

THE
NIGHTSHADE
CROWN

·1·

KRÓL TRUJĄCYCH KWIASTÓW

To będzie książka z twoich snów. I z twoich koszmarów.

ALI HAZELWOOD

HANNAH
WHITTEN

PRZEŁOŻYŁ STANISŁAW BOŃCZYK

Hannah Whitten

Król trujących kwiatów

przełożył Stanisław Bończyk



Tytuł oryginału: *The Foxglove King*
Copyright © 2023 by Hannah Whitten
Cover design by Lisa Marie Pompilio
Cover illustration by Mike Heath | Magnus Creative
Cover background image by Shutterstock
Cover copyright © 2023 by Hachette Book Group, Inc.
Map by Charis Loke
Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, 2023
Copyright © for the Polish translation by Stanisław Bończyk 2023
Wydanie I
Warszawa 2023

Niniejszy produkt objęty jest ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że wszelkie udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, upublicznianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Spis treści

Copyright

Dedykacja

Motto

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Rozdział 36

Rozdział 37

Rozdział 38

Rozdział 39

Rozdział 40

Rozdział 41

Epilog

Podziękowania

Przypisy

Strona redakcyjna

Wszystkim tym, którzy wybrali siebie

*Świat ludzkich spraw zbyt wiele dla nas znaczy, w dłoni
Dzierżąc nietrwałą zdobycz, każdy swego ducha
Wyjaławia. Niczyje serce już nie słucha
Natury. Zaprzędane codziennej pogoni.
To morze, gdy pierś oku Księżyca odśłoni,
Ten wiatr, jutrzejsza może wściekła zawierucha,
Dziś śpiące jak skulone kwiaty: nasza głucha
Dusza jest z tym – ze wszystkim – w wiecznej dysharmonii;
Świat potrąca w nas niemą strunę.*

William Wordsworth, *Świat ludzkich spraw zbyt wiele dla nas znaczy*, przeł. Stanisław Barańczak



Rozdział 1

Nie ma cierpliwszych nad umarłych.

Przysłowie auverraińskie

Michał co miesiąc zarzekał się, że dogadał się z właścicielem domu, a Nicolas, również co miesiąc, i tak wysyłał któregoś z synów po pieniądze. Ci ciągnęli chyba słomki, by ustalić, któremu z nich tym razem przypadnie to niewdzięczne zadanie. W tym miesiącu pechowcem okazał się Pierre, najmłodszy i najbardziej przyszczyty. Wlókł się teraz przez portową dzielnicę Dellaire, przypominając skazańca zmierzającego na szafot.

Lore jego nastrój był całkiem na rękę.

Przypatrując się nadchodzącemu chłopakowi, oparła się o framugę, tak aby mająca najlepsze lata dawno za sobą podomka zsunęła jej się z ramienia. Wzrok Pierre'a co rusz wędrował ku odsłoniętemu skrawkowi jej nagiej skóry, a Lore musiała aż przygryźć policzek, by się na ten widok nie roześmiać. Cóż, jak widać, dla faceta golizna to golizna – Pierre'owi nie przeszkadzały najwyraźniej srebrnawe blizny na jej skórze. Na ciele Lore widniała niejedna pamiątka po toczonych w ciemnych zaułkach potyczkach na noże. Była też i inna, ciekawsza blizna. Ją jednak skrywała skrętnie wewnątrz zaciśniętej dłoni.

Od oceanu powiał chłodny wiatr. Lore z trudem zapanowała nad sobą, by nie zadrzeć z zimna. Pierre, choć musiał wiedzieć, że poranki w tej okolicy są chłodne nawet latem, nie zadał sobie najwyraźniej trudu, by zastanowić się, dlaczego stanęła w drzwiach półnaga. Był łatwym celem. Pod wieloma względami.

– Pierre! – Posłała mu zniewalający uśmiech, taki sam, na którego widok Michał mrużył nieufnie oczy i pytał, czego chce. Ponownie otarła się o framugę i przybrała następną niewymuszoną na pozór pozę, a jednocześnie kolejny podmuch zimnego wiatru sprawił, że pod nosem zakłęła. – Czy to już koniec miesiąca?

Nie ona powinna tu teraz stać. Ten cholerny dom to w końcu problem Michała. Zdecydowała mimo to, że da mu pospać, bo sporo się poprzedniego dnia nabiegał. Musiał lecieć z towarem od Gilberta aż do Okręgu Północno-Wschodniego.

Wczesna pobudka miała zresztą z punktu widzenia Lore swoje zalety. Dzięki niej nieniepokojona przetrząsnęła kieszenie Michala i odczytała współrzędne zrzutu. Potem mogła pójść spokojnie do tawerny na rogu i przekazać je stojącemu za barem Frederickowi, który był na liście płac Val, odkąd tylko sięgała pamięcią. Gdy ten otrzymał już współrzędne, Val wysłała kogoś, by je od niego odebrał, a potem – jeszcze przed wschodem słońca – wyprawiała kolejnego umyślnego w miejsce zrzutu, by zgarnął pozostawioną truciznę, nim zdąży to zrobić klient, który ją zamówił.

Lore, gdy się do czegoś brała, robiła to porządnie.

Teraz jej zadaniem było dopilnować, aby mężczyzna – z którym mieszkała od roku, by dzięki temu szpiegować jego szefa – nie został eksmitowany.

– No... tak. – Pierre z wyraźnym wysiłkiem spojrzał jej w oczy. – Mój ojciec mówi, że tym razem żarty się skończyły i...

Lore z rozmysłem pozwoliła swojemu uśmiechowi stopniowo blednąć. Najpierw ustąpił miejsca dezorientacji, potem zdumieniu i wreszcie – smutkowi.

– Och... – powiedziała cicho, otulając się rękoma i odwracając twarz tak, by wyeksponować długą, alabastrową szyję. – Że też akurat w tym miesiącu... – Tu zawiesiła głos. Dobrze wiedziała, że nic więcej dodawać nie musi. Dwadzieścia trzy przeżyte lata, z których dziesięć spędziła na ulicach Dellaire, nauczyły ją, że mężczyźni generalnie nie lubią widzieć w kobietach aktywnych graczy. Wolą przypisywać je do niewielkich ról w ramach historii, które sami sobie opowiadają.

Kątem oka dostrzegła, że Pierre wyraźnie się zafrasował i jednocześnie spąsował na piegowatej twarzy. Wszyscy synowie Nicolasa byli bardzo bladzi. Gdy się czerwienili, wyglądali, jakby dopadła ich jakaś infekcja.

Chłopak spojrzał ponad ramieniem Lore w głąb sypiącego się szeregowego domu. Cienie poranka kryły jednak wszystko poza drobinami kurzu wirującymi w smużkach światła. Inna rzecz, że nawet gdyby dało się dostrzec więcej, nie byłoby czego oglądać. Michal spał na górze, a jego siostra, Elle, drzemała rozwalona na kanapie, wciąż trzymając w dłoni butelkę wina i zaskakująco melodyjne chrapiąc. Ot, dom jak każdy inny na tej ulicy: zapuszczony szeregowiec zamieszkały przez ludzi mniej lub – jak w tym przypadku – bardziej na bakier z prawem i usiłujących związać jakoś koniec z końcem.

– Te trudności to przez chorobę? – spytał niemal szeptem Pierre. Starał się przy tym przybrać współczujący wyraz twarzy, ale wyszedł mu raczej grymas kogoś, kto

napił się właśnie skisłego mleka. – A może spodziewasz się dziecka? Wiem, że to Michał wynajmuje dom, ale czy...

Lore uniosła brwi. Pozwalała w życiu snuć mężczyznom niejedną historię na własny temat, ale *tego* jeszcze nie było. Pierre'owi wyraźnie chodził po głowie seks – jak inaczej wytłumaczyć to, że niemal natychmiast pomyślał o ciąży? Postanowiła iść za ciosem. Lepszego wyjścia i tak nie miała. Delikatnie oparła dłoń na brzuchu – i ten gest wystarczył za całą jej odpowiedź. Technicznie rzecz biorąc, nawet w tym momencie nie kłamała. Dała po prostu Pierre'owi wysnuć własne mylne wnioski.

Inna rzecz, że nie wyrzucała już sobie kłamstw. Tak czy siak, czekało ją potępienie, choćby nawet jej dusza pozostała nieskalana. Po co więc miała się pilnować?

– Biedactwo... – Pierre, choć chyba młodszy od niej, przybrał protekcyjny ton starej kwoki. Lore w ostatniej chwili powstrzymała się, by nie przewrócić oczami. – I to z roznosicielem trucizny? – ciągnął chłopak. – Wiesz przecież, że on nie będzie potrafił o ciebie zadbać.

Znów przygryzła policzek, tym razem mocniej. Jej fikcyjna niedola wyraźnie ośmieliła Pierre'a.

– Mogłabyś pójść ze mną – dodał. – Mój ojciec na pewno pomoże ci znaleźć pracę. – Uniósł rękę i oparł dłoń na jej odsłoniętym ramieniu.

W tym momencie każdy nerw w ciele Lore zamarł.

Gest Pierre'a był na tyle niespodziewany, że nie zdołała się opanować. Zadrzała i wyłamując się z roli kruchej, potulnej istoty, natychmiast odtrąciła jego dłoń. Przywykła czuć coś podobnego, gdy szło o kamień, metal czy tkaninę. Ba, nawet zwłoki, jeśli kontakt z nimi okazał się nieunikniony. Mortem wyczuwalny w czymś nieożywionym – jakkolwiek nieprzyjemny – był czymś naturalnym. Lore miała dość wprawy, by zapanować wtedy nad swoją reakcją.

Ale żeby wyczuć go w *żywym* człowieku?! I to takim, który bynajmniej nie stał nad grobem? Była tym zszokowana, lecz zaraz przyszło kolejne wrażenie – zapach naparstnicy. Tak wyraźny, że nie miała wątpliwości: Pierre musiał przyjąć dawkę ledwie kilka minut przed przyjściem pod jej dom.

I on miał czelność szkalować gońców roznoszących truciznę! Hipokryta.

Dłoń Lore błyskawicznie zacisnęła się na nadgarstku chłopaka i go wykręciła. Sprowadzony na klęczki, Pierre poślizgnął się dodatkowo na kamieniu, wyrzucając w bok nogę pod nienaturalnym kątem.

– Kurwa! – Jego zdławiony głos poniósł się echem po nierozbudzonych jeszcze uliczkach dzielnicy portowej.

Lore przykucnęła, tak aby znaleźli się twarzą w twarz. Wiedziała już, czego szukać, więc zadanie było banalne. Wystarczyło, że spojrzała chłopakowi w oczy, a dostrzegła natychmiast, że są szkliste i przekrwione. Ręką wyczuła jednocześnie jego spowolniony, nierówny puls. Było jasne, że odwiedził kogoś z najtańszych trucizniarzy, jednego z tych, którzy nie potrafią nawet porządnie dobrać dawki dla klienta. Żyłki w kącikach oczu Pierre'a były ledwie muśnięte szarością. Przyjął zbyt mało trucizny, by jakkolwiek przedłużyć sobie życie, i stanowczo za mało, by choć otrzeć się o moc czekającą u progu śmierci.

Inna rzecz, że prawdopodobnie ani na jednym, ani na drugim mu nie zależało. Większość tych, którzy odwiedzali handlarzy, chciała się po prostu naćpać.

Ciemne żyłki Mortemu pod skórą Pierre'a kolejny raz zadrgały pod naciskiem palców Lore. To trucizna sprawiła, że się przebudziły. Sam Mortem, esencję śmierci i moc zrodzoną z entropii, nosił w sobie każdy. W każdym bez wyjątku czekał on tylko, by wziąć górę w chwili, gdy ciało okaże słabość. Jedyny sposób, by go ujarzmić i wykorzystać po swojemu, to otrzeć się o śmierć.

Ci, którym nie zależało na mocy ani euforycznych stanach, zwykle przyjmowali truciznę, aby zyskać kilka dodatkowych lat. Umiejętne dawkowanie pozwalało utrzymać ciało w stanie delikatnej równowagi pomiędzy życiem a śmiercią. Okresowe ustępstwa wobec obecnego w ciele Mortemu pozwalały, paradoksalnie, pożyć nieco dłużej. Inna rzecz, że zyskane w ten sposób życie z pewnością nie było pierwszej jakości. Żyły z czasem dosłownie kamieniały, a krew sączyła się przez nie niczym z kolana trącego o bruk.

Pewne było jedno: po cokolwiek Pierre poszedł do handlarza, zapłacił zbyt mało, aby to otrzymać. Gdyby dostał choć tyle, by porządnie się naćpać, leżałby sobie teraz w jakimś zaułku, a nie zawracał jej głowę o komorne. A skoro o komornym mowa, to kwota rzucona przez Pierre'a wydawała się dziwnie wysoka w porównaniu z tą z poprzednich miesięcy.

– Posłuchaj teraz dobrze – poleciła szeptem. – Pójdiesz do Nicolasa i powiesz mu, że rozliczyliśmy się z tobą za sześć miesięcy z góry. W przeciwnym razie dowie się, że przepuszczasz jego kasę u trucizniarzy.

Do cholery z nieudolnymi wybiegami Michała. Lore uznała, że najwyższa pora, by to ona raz a dobrze załatwiła sprawę komornego.

Chłopak spojrział na nią zdumiony spod ciężkich od trucizny powiek.

– Skąd wi...

– Cuchnie od ciebie naparstnicą i masz oczy jak dukaty. – Nie dała mu skończyć pytania.

Nie było to do końca prawdą i Lore zapewne nie zorientowałyby się, gdyby nie wyczuła Mortemu dotykem. Wiedziała jednak, że chłopak jeszcze przez dłuższą chwilę nie będzie mógł uważnie się sobie przyjrzeć. Potem zaś efekty uboczne przyjęcia trucizny i tak by ustąpiły. – Wystarczy na ciebie spojrzeć, Pierre. Od razu widać – ciągnęła po chwili. – Chociaż handlarz tak cię okantował, że pewnie ledwo poczułeś dreszczyk. Wątpię, żebyś zyskał dzięki tej dawce chociaż pięć minut, więc mam nadzieję, że przynajmniej było miło.

Chłopakowi aż opadła szczęka. Z rozdziawionymi ustami i szklistymi oczami wyglądał teraz jak ryba. Lore nie miała wątpliwości, że za mizerną porcyjkę naparstnicy zapłacił sporą sumę. Gdyby nie była tak dobra w szpiegowaniu dla Val, sama mogłaby zostać handlarką. Trucizniarze dorabiali się niezłych pieniędzy, a w gruncie rzeczy gówno robili.

Pierre tymczasem zaczerwienił się jak burak.

– Nie mogę... – wydukał po chwili. – Jeśli tak powiem, będzie dopytywał, gdzie mam pieniądze.

– Tak zaradny chłopak jak ty na pewno jakoś je zorganizuje – rzuciła Lore, po czym dała Pierre'owi prztyczka i go puściła.

Podniósł się niepewnie i stojąc na trzęsących się nogach, rozprostował wymiętą koszulę. Szarawy odcień żyłek w kącikach jego oczu zaczynał już zanikać.

– Spróbuję – odparł głosem równie drżącym jak on sam w tej chwili. – Ale nie obiecuję ci, że ojciec uwierzy.

Lore posłała mu triumfalny uśmiezek i naciągnęła podomkę na ramię.

– Lepiej dla ciebie, żeby uwierzył.

Pierre oddalił się może nie biegiem, ale jego chód był nietypowo zwawy.

Słońce pięło się po niebie coraz wyżej, dzielnica portowa budziła się ze snu. W ciemnych zaułkach poruszały się kolejne kłęby łachmanów – pijacy jeden za drugim przytomnieli, muśnięci chłodną bryzą znad oceanu. Kolejne pary oczu otwierały się, drażnione coraz to ostrzejszym światłem. Lore usłyszała w domu naprzeciwno głośne westchnienie – nieomylny znak, że dziewczyny madame Brochfort zaraz posprzeczą się o to, która pierwsza skorzysta z balii. Było też

kwestią chwili, że ostatni zasiedziali klienci zostaną grzecznie, acz stanowczo wyproszeni z przybytku.

– Pierre? – zawołała Lore za chłopakiem, gdy ten był już w połowie ulicy.

Odwrócił się natychmiast i spojrzał na nią, zaciskając wargi. Wyglądał, jakby spodziewał się usłyszeć z jej strony kolejny szantaż.

– Mała rada. – Tu zwróciła się w stronę domu Michała, a jej podomka załopotowała na wietrze. – Prawdziwi truciźniarze mają na zapleczu kostnice. Wiesz, szalę śmierci łatwo przechylić.

*

Elle, która niedawno się ocknęła, była wciąż półprzytomna. Mrużąc oczy pod burzą złotych loków, powiodła wzrokiem po unoszących się w rozświetlonym powietrzu drobinach kurzu. Na jej twarzy wciąż widać było resztki rozmazanego makijażu.

– Co jest? – spytała.

– Jakbyś nie wiedziała – odparła Lore, strzepując dłoń, którą dotknęła wcześniej Pierre'a. Usiłowała pozbyć się w ten sposób resztek kłucia i mrowienia. Z coraz większą łatwością wyczuwała Mortem i niespecjalnie cieszył ją taki rozwój sytuacji. Raz jeszcze energicznie potrząsnęła dłonią, a następnie ruszyła w stronę kuchni. – Koniec miesiąca, kwiatuszku.

W poszczerbionym glinianym naczyniu było ledwie dość kawy dla jednej osoby. Lore wsypała ją w skrawek poplamionej tkaniny, której używała jako sitka, i umieściła w swoim kubku. Potem sięgnęła po czajnik i postawiła go na ogniu. Skoro w domu nie było więcej kawy, to ta nędzna resztką należała się właśnie jej.

– Nie mów tak do mnie – jęknęła Elle. W nocy zasnęła tak, jak siedziała: nie zdjawszy nawet rajstop do tańca. Na obu łydkach dawno puściły jej oczka. Ją samą strasznie to wkurzało, ale bywalcom pobliskiego Pod Syreną i Skrzypkami zdawało się nie przeszkadzać wcale. Elle przymrużonym okiem ostatni raz zerknęła w głąb butelki. Gdy okazało się, że nie ma w niej już ani kropli wina, dzwignęła się z kanapy na nogi. – Michał śpi – rzuciła. – Nie musimy udawać, że się lubimy.

Lore mimowolnie parsknęła śmiechem. Mieszkała w tym domu od roku i już dawno stało się dla niej jasne, że nie znajdzie wspólnego języka z siostrą Michała. Nie żeby ją to zresztą szczególnie martwiło. Jej relacja z samym Michałem opierała się na

kłamstwie i nie było szans, by okazała się trwała, po co więc troszczyć się o przyjaźń z jego bliskimi? Jedno słowo Val i zawinie się stąd bez mrugnięcia okiem.

Elle precisięła się obok niej w głąb kuchni. Pęknięcia w okiennych szybach rzucały na jej postrzępioną tiulową spódniczkę cienie przywodzące na myśl pajęczynę.

– Nie ma kawy? – spytała, zerkając do dzbanka.

– Niestety – odparła Lore, ściskając w garści szmatkę.

– Niech to szlag! – Elle opadła ciężko na jedno z krzesel przy sfatygowanym stole. Gdy była trzeźwa, poruszała się jak na tancerkę zaskakująco niezgrabnie. – Dobra – burknęła po chwili. – Może być herbata.

– Nie myślisz chyba, że ci ją przyniosę?

Elle mruknęła coś pod nosem i przewróciła oczami, po czym dźwignęła się zza stołu i powlekła w stronę szafki. Gdy stała zwrócona do Lore plecami, ta wykorzystała moment i dyskretnie dołała sobie gorącej wody do kubka. Liczyła na to, że Elle wciąż nie do końca wytrzeźwiała i nie wyczuje zapachu kawy.

Nadal gderając coś pod nosem, Elle wsypała do swojego kubka resztki herbaty.

– No i? – spytała, odbierając z rąk Lore czajnik i nie wyczuwając chyba kawowego aromatu. – Na czym stanęło? Czy Michał będzie musiał w końcu wydać pieniądze na coś innego niż chłanie i zakłady na walkach?

– Nie. W każdym razie nie na komorne – odparła Lore, celowo nie zwracając się twarzą w jej stronę, i dyskretnie schowała zawiniątko z fusami do kieszeni. – Jesteśmy rozliczeni za najbliższe pół roku z góry.

– To dlatego jesteś taka poczochrana? – Elle szyderczo wydeła wargi. – Mógł skoczyć naprzeciwko, wyszłoby mu taniej.

– To, jak wyglądam, to akurat zasługa twojego brata. – Lore oparła się o blat i zwróciła teraz w stronę Elle. – I naprawdę, kwiatuszku, nie na miejscu są takie uwagi o dziewczynach madame Brochfort. To praca jak każda inna. Jeśli się z tym nie zgadasz, to nie za wiele masz w głowie.

Siostra Michała znów przewróciła oczami i skrzywiła się, popijając słabą herbatę, a Lore jeszcze szerzej uśmiechnęła się z satysfakcją. Następnie pociągnęła solidny łyk kawy i ruszyła w stronę schodów. Wcześniej tego dnia odebrała w tawernie wiadomość. Val potrzebowała jej pomocy przy zrzucie. Angażowanie Lore w takie akcje, gdy wciąż działała jako agentka pod przykrywką, było ryzykowne. Znów jednak dał o sobie znać niedobór ludzi. Co rusz podkupywano kogoś do doków.

Poza tym Lore miała umiejętności, którymi nie mógł pochwalić się nikt inny.

Potrzebowała wymówki na usprawiedliwienie całodziennej nieobecności. Jeśli obudzi Michała pocałunkami, pomyślała, ten nie będzie raczej zbyt dociekliwy. Złapała się na tym, że uśmiecha się na myśl o własnym fortelu. Lubiła całować Michała.

Jej uśmiech zaraz zbladł, bo wiedziała oczywiście, że takie słabostki to grząski grunt.

Wiodące na piętro szeregowca schody były mocno zdezelowane. Jak zresztą wszystko w tym domu. Czwarty stopień wydał z siebie przeraźliwy trzask, a Lore, która poczuła, jak jej stopa się zapada, oblała sobie palce wciąż gorącą kawą.

Gdy odsunęła zapyziałą kotarę odgradzającą ich sypialnię, zastała Michała siedzącego na materacu, niechlujnie okrytego od pasa w dół zsuwającą się na podłogę pościelą. Trudno było stwierdzić, czy zbudził go trzeszczący stopień, czy przekleństwo, które wyrwało się Lore, gdy poparzyła sobie palce.

Michał odgarnął ciemne włosy z wciąż przymrużonych oczu.

– To kawa? – spytał.

– Ostatni kubek, ale podzielę się z tobą, jeśli tu podejdziesz.

– Miło z twojej strony, bo pewnie sama jej potrzebujesz – rzucił Michał, po czym podniósł się z materaca z prześcieradłem owiniętym wokół nagich łądźwi. – Znów śnił ci się jakiś koszmar. Miotłaś się przez sen, jakby goniła cię sama Nocna Wiedźma.

Lore zaczerwieniła się nieco, ale nic nie odpowiedziała, wzruszyła tylko ramionami. Jej koszmary były nowością ostatnich tygodni. Jak się wydawało – przypadkową. Niemal nic z nich nie zapamiętywała. Pozostawało jedynie mgliste, szczątkowe wspomnienie, które niezbyt pasowało do nękającego ją przerażenia. Ot, niebieskie niebo i morskie fale. Do tego jakiś nieostry kształt unoszący się w powietrzu, coś jakby gęstszy dym...

Wyciągnęła rękę z kawą w stronę Michała.

– Przepraszam, jeśli nie dałam ci spać.

– Tym razem przynajmniej nie krzyczałaś. – Michał upił solidny łyk i natychmiast się skrzywił. – Bez mleka?

– Elle zużyła resztkę. – Lore wzruszyła ramionami, wzięła od niego kubek, a następnie opróżniła go jednym haustem.

Michał przyczesał dłonią niesforne włosy, po czym sięgnął po rozrzucone na podłodze ubranie. Gdy okrywające go prześcieradło zsunęło się na posadzkę, pozwoliła sobie zerknąć łakomie w stronę jego bioder.

– Mam dziś zrzut – oznajmił Michał i zaczął się ubierać. – Wrócę pewnie dopiero wieczorem.

To bardzo ułatwiało Lore życie. Starając się nie dać po sobie poznać ulgi, oparła się o parapet i przyglądała, jak Michał wkłada na siebie kolejne elementy garderoby.

– Gilbert ostro cię goni – powiedziała.

– Jest coraz więcej zamówień, a ludzi ubywa. Co rusz ktoś odchodzi pracować przy załadunkach. Gilberta nie stać, żeby płacić tyle, co w dokach.

Michał ze skupieniem powiódł wzrokiem po pokoju i po chwili wypatrzył w kącie swój but ukryty pod stertą pościeli.

– Presque Mort i krwawi szykują się na jutrzejszy ingres Księcia Słońca. Wszyscy korzystają z ich nieuwagi.

Lore miała wrażenie, że plan Gilberta jest mało roztropny i pomimo chwilowego braku czujności służb prosi się on o kłopoty. Jego interesy nie były jednak jej problemem. Tak przynajmniej powtarzała sobie w chwilach, gdy zaczynała niepokoić się o Michała.

– Ingres jak jasna cholera, skoro zaprosili tam Presque Mort. Umówmy się, to nie są wymarzeni goście.

Michał zaśmiał się cicho, wciągając buty.

– Fakt – przyznał. – Zwłaszcza jeśli na imprezie ma być trucizna.

Wstał i pokręcił głową, by pozbyć się odrętwienia, które powodował twardy jak kamień materac.

– Uważaj wieczorem – powiedziała do niego Lore, ale zaraz ugryzła się w język. Nie zamierzała tego mówić. Wyrwało jej się, i to, co gorsza, szczerze.

Kąciki ust Michała uniosły się w leniwym uśmiechu. Podszedł do niej i ujął jej twarz w dłonie.

– Lore, czyżbyś ty się o mnie *martwiła*?

Spojrzała spode łba, ale nie odtrąciła jego rąk.

– Nie przyzwyczajaj się – odparła.

Michał zaniósł się śmiechem. Przytulona do niego Lore poczuła rytmiczne drżenie jego piersi, a tuż po nim – ciepło jego ust na swoich wargach. Z westchnieniem odwzajemniła pocałunek, otaczając rękoma ramiona Michała i przyciągając go ku

sobie. To, co ich łączyło, i tak miało się wkrótce skończyć. Dlaczego więc nie nacieszyć się chwilą?

Lore, nawet wtulona w ciepłe ciało Michala, wciąż była bliska dreszczy. Wokół wyczuwała Mortem. Był wszędzie: na koszuli Michala, na ulicznym bruku za oknem, w stojącym na parapecie poszczerbionym ceramicznym kubku. W ostatnich miesiącach u Lore systematycznie rosła zdolność jego wyczuwania, ale dotąd – jeśli zechciała – zwykle udawało jej się ignorować jego bliskość. Tę kruchą równowagę zaburzyło jednak nieoczekiwane poranne spotkanie z odurzonym naparstnicą Pierre'em. Tu, na obrzeżach Dellaire, stężenie Mortemu było co prawda znacznie niższe niż w pobliżu Cytadeli i pochowanych pod nią zwłok bogini, ale i tak wystarczało, by przyprawić Lore o gęsią skórę.

Dzielnica portowa, położona na południowym krańcu miasta – to tu najdalej mogła w praktyce dotrzeć Lore. Dalej Mortem nie pozwoliłby jej się zapuścić. Jasne, mogłaby wsiąść na statek czy ruszyć którąś z krętych dróg prowadzących w głąb Auverrainne, ale nie zdałoby się to na nic. Drobinę Mortemu, którym przesiąkła do szpiku kości, i tak ściągnęłyby ją z powrotem. Lore była skazana na to cholerne miasto. To, że nie zdoła go opuścić, stało się równie pewne jak to, że wszystkich żyjących czeka śmierć; równie oczywiste jak półksiężyc wypalony u spodu jej dłoni.

Wargi Michala powędrowały tymczasem ku jej szyi. Lore wygięła się ku niemu i zamknęła oczy. Wczepiła się palcami w jego włosy, a on objął ją ręką w talii, jakby miał zaraz unieść ją, ułożyć na materacu i pozwolić jej zapomnieć, że ich wspólne dni są policzone. I już sama świadomość, że *chciałaby* zapomnieć, sprawiła, że natychmiast odsunęła go od siebie.

– Ej, bo się spóźnisz! – powiedziała, siląc się na figlarny ton.

Michał raz jeszcze przesunął wargami po jej ustach, po czym się cofnął.

– W takim razie widzimy się wieczorem – oznajmił.

Lore odpowiedziała mu uśmiechem, czuła jednak, że wypadł mało autentycznie.

Michał ruszył schodami na dół. Po chwili usłyszała skrzypienie tego samego co zawsze stopnia, a jeszcze później – odgłos zamykanych drzwi i towarzyszący mu brzęk okien. Do uszu Lore dobiegło też westchnienie Elle, która zdawała się uważać, że zajęcie, jakim para się jej brat, jest dla niej osobistą zniewagą. Ściany i sufit były tu tak cienkie, że choć Elle została na parterze, Lore czuła się, jakby stały tuż obok siebie.

Jeszcze przez moment nie ruszała się z miejsca. Promienie niespiesznie wznoszącego się słońca muskały jej włosy i znoszoną jedwabną podomkę. Dopiero po chwili ubrała się w obszerną koszulę i obcisłe bryczesy i sama zeszła na dół. Wkrótce miała udać się na spotkanie z Val.

Elle, znów zwinięta w kłębek na kanapie, w jednej ręce trzymała zaczytane powieści, a w drugiej kubek letniej herbaty. Na przechodzącą Lore spojrzała tak, jak patrzy się na coś nieładnego, co dostrzeże się na ulicy.

– A ty dokąd? – rzuciła w jej stronę.

– Nie słyszałaś? Mam zaproszenie na ingres księcia. Nie wybierałam się, ale gadają, że po ceremonii będzie orgia. Tego sobie nie odmówię.

Elle przewróciła oczami, wkładając w to tyle wysiłku, że Lore aż się zdziwiła, że czegoś sobie nie nadwyrężyła.

– Coś jest z tobą grubo nie tak – odparła Elle kąśliwie.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo. – Lore otworzyła drzwi prowadzące na zewnątrz. – Pa, kwiatuszku.

– Gnij sobie w swoim piekiełku, najdroższa.

Gdy tylko zamknęły się za nią drzwi, Lore zaczęła nieco nerwowo kręcić młynka palcami. Przeczynała, że gdy jej misja w tym domu się skończy i Val każe jej szpiegować inną komórkę, jakaś jej część będzie tęsknić za Elle. Pewna była zaś tego, że będzie tęsknić za Michalem.

W przypadku żadnego z nich tęsknota nie miała jednak trwać długo. Tak to już w życiu Lore było: jedni ludzie się pojawiali, inni znikali. Jedynymi niezmiennymi elementami były jej matki, Val i Mari, oraz ulice Dellaire – miasta, którego nie mogła opuścić. No i jeszcze wspomnienia z dzieciństwa, o którym nieustannie usiłowała zapomnieć.

Lore po raz ostatni zerknęła w stronę zapuszczonego szeregowego domu, po czym ruszyła przed siebie ulicą.

Rozdział 2

Zrodzeni w mroku będą mieć go za składnik swej natury. Grzech będzie nieodłączny ich jestestwu, ich ciałom i ich duszom.

Księga Praw Śmiertelniczych, Rozprawa 7

Poruszanie się po Dellaire było łatwe. Lore wiele nasłuchiwała się o innych miastach – chaotycznych, nieczytelnych i pełnych ślepych zaułków – ale z trudem je sobie wyobrażała. Pół życia spędziła w Dellaire, którego układ był uporządkowany. Ot, cztery okręgi, dwa zachodnie skierowane ku morzu, a dwa wschodnie – otwarte na pagórkowate pola uprawne. W samym środku wzniesionego na planie koła centrum – kościół i cytadela. O ile jednak ulice Dellaire układały się w logiczną siatkę, o tyle ciągnące się pod miastem katakumby były prawdziwym labiryntem.

Lore czuła, jak słabe promienie słońca nieśmiało ogrzewają jej kark. Stała teraz przed wejściem do zaniedbanego budynku oddalonego o kilka przecznic od domu Michała. Bryła, którą przed sobą miała, musiała w swojej historii spełniać różne funkcje i przechodzić liczne przebudowy. Ich łączny efekt był taki, że budynek zatracił jakikolwiek wyraz i charakter. Suszące się w oknach znoszone ubrania poruszały się w podmuchach wiatru od morza.

Zakłęta cicho. Ilekroć zbliżała się do katakumb, zaczynała czuć się nieswojo. Wiedziała, że nikogo w nich nie ma. Wyczuwała to nawet teraz, stojąc dobrych kilka metrów od wejścia. Tunele były puste w promieniu co najmniej trzech kilometrów. Mimo to Lore poczuła mrowienie na skórze.

Ta właśnie szczególna zdolność czyniła ją bezcenną. To nią zadziwiła Mari przed dziesięciu laty, w dniu, w którym się poznały. Lore miała wtedy trzynaście lat. Włóczyła się po ulicach z nieprzytomnym spojrzeniem i świeżą blizną po oparzeniu na dłoni. Żona Val szła właśnie na targ, gdy spostrzegła ją obok prowadzącej do katakumb wyrwy w ścianie zapuszczonego budynku. Lore wyparła prawie wszystko, co było wcześniej – trzynaście lat życia niemal w całości spędzonych pod ziemią. Tamten dzień i spotkanie z Mari pamiętała jednak doskonale. Jakby jej umysł postanowił zapisać go w pamięci w najdrobniejszych detalach – po to, by na całą resztę rzucić cień zapomnienia.

– Wszystko w porządku? – Głos Mari był cichy i łagodny. Głowę wieńczyły jej splecione ciemne warkocze. Z lekkim wahaniem oparła na ramieniu Lore dłoń, a jej skóra miała złotobrazowy odcień. – Czy coś się stało? – spytała.

Lore wpatrywała się w czerń w głębi wyrwy, wciąż czując swędzenie świeżego oparzenia na dłoni. Ciemność i mrok były dotąd wszystkim, co знаła. Gdy zamruwała, widziała pod powiekami rozkład podziemnych tuneli.

– Nikt nie idzie – powiedziała po chwili. – Teraz nie.

Dorośla obecnie Lore pokręciła tylko głową. Z biegiem lat nabrała wprawy w kontrolowaniu swojej wrażliwości na bliskość katakumb. Potrafiła ją dozować i wzmacniać wyłącznie wtedy, gdy była jej potrzebna. Udawało jej się to nawet pomimo tego, że jej szczególny dar przybierał na sile, odkąd stała się wyczulona na Mortem. Teraz jednak, kiedy znajdowała się tak blisko wejścia, ignorowanie sygnałów wydawało się niemal niemożliwe. Świadomość bliskości katakumb sączyła się przez ciało Lore niczym smużki atramentu w wodzie. Była jak czucie w fantomowych kończynach, jakby katakumby i obecny w nich Mortem stanowiły część niej samej. Lore nachodziła czasem myśl, że gdyby zerwać z niej skórę i wywrócić ją na lewą stronę, ukazałaby się mapa podziemi.

Z westchnieniem oparła się o ścianę budynku. Val była bardzo punktualna, ale Lore pojawiła się na miejscu spotkania nieco przed umówioną godziną.

Minutę później zobaczyła zmierzającą w jej stronę kobietę. Val jak zwykle szła zdecydowanym, żwawym krokiem – poruszała się tak niezależnie od tego, czy spacerowała, czy miała zaraz stoczyć walkę na noże. Była w średnim wieku, z wyglądu raczej surowa niż urodziwa. Miała papierowoblada cerę i ciemnozielone oczy. Złote włosy przewiązała chustką, która zdążyła już niemal całkowicie stracić kolor.

Lore uniosła dłoń w geście powitania, a Val ujęła ją za palce, przyciągnęła ku sobie i czule objęła.

– Nie pakujesz się w żadne kłopoty, myszko? – spytała.

– Nie w takie, których byś nie chciała – odparła Lore, odwzajemniając uścisk.

Gdy tylko zbliżyła się do Val, poczuła znany, kojący zapach pszczelego wosku i whisky. Kobieta, którą miała przed sobą, wychowywała ją wspólnie z Mari od dnia, kiedy Lore wyłoniła się z mroku na nieznaną sobie świat. Razem zapewniły jej bezpieczeństwo i dały poczucie celu w życiu. Nie poddawały się, nawet jeśli

oznaczało to dla nich ryzyko – gdy w przerażający sposób dawało o sobie znać to, w jakich okolicznościach upłynęła większość dzieciństwa Lore.

Dziś żadna z nich o tym nie wspominała.

Val zaśmiała się pod nosem i odsunęła się nieco, wciąż opierając wyprostowane ręce na ramionach Lore. Jej spojrzenie jak zawsze było ostre niczym brzytwa.

– Zdejmuję cię z tego tematu – oznajmiła bez słowa wstępu.

– Co takiego? – Lore zmarszczyła brwi.

– Wiemy już o komórce Gilberta wszystko, co trzeba. A jeśli naprawdę planuje na ten tydzień tak duży przerzut towaru, to niedługo i tak przestanie zajmować się trucizną. Każdy ingres wywołuje duże poruszenie religijne i przez jakiś czas członkowie Presque Mort mogą być mniej czujni, ale wierz mi: po ceremonii rzuca się do roboty z zapalem, jakiego jeszcze nie widziałaś.

Lore szczerze kochała swoje przybrane matki, ale nawet ona nie miała złudzeń: jedna i druga były pozbawione skrupułów. Cel Val i Mari to zostać jedynymi dostawczyniami trucizny w całym Dellaire. Wiedziały, że gdy już im się to uda, staną się praktycznie nietykalne. Krwawi sami wystawiali ręce po łapówki, a zarówno Presque Mort, jak i reszta Kościoła potrafili niekiedy przymknąć oko na to, co trzeba. Auverrainiński półświatek przestępczy przestawał być uznawany za przestępczy, o ile tylko odpowiednia ilość złota trafiała we właściwe ręce.

Lore pokręciła głową. W myślach tłumaczyła sobie, że jej opór wobec porzucenia sprawy jest czysto zawodowy i nie ma nic wspólnego z Michalem.

– To zły pomysł – odparła po chwili. – Mogę się jeszcze sporo dowiedzieć.

Val uniosła jasną brew i przekrzywiła głowę, posyłając Lore kolejne bezbłędnie wnikliwe spojrzenie.

– Spodobał ci się.

– Nie – wyparła się Lore. – On nie ma tu nic do rzeczy.

– Myszko... – westchnęła Val. – Mówiłam ci przecież: nie wolno ci się angażować.

Sęk w tym, że Lore *nigdy* dotąd tego nie robiła. Moc, którą w sobie nosiła, i to, do jak potwornych rzeczy była zdolna, sprawiały, że zawsze trzymała się z dala od wszystkich i wszystkiego. Ten jeden raz miło było poczuć nieco ciepła i otuchy – dać się lubić czy nawet kochać za to, co w niej dobre.

Val poklepała ją po ramieniu.

– Tak będzie lepiej, Lore. Zaufaj mi.

Na moment zapadła cisza. Lore nerwowo przygryzła wargę.

– Naprawdę, tak będzie lepiej dla wszystkich – powtórzyła po chwili Val.

Miała rację, jak zawsze. Lore westchnęła tylko i bez słowa skinęła głową.

Nie czekało ją zresztą nic szczególnie trudnego. Miała na takie sytuacje gotowe scenariusze i długą listę wymówek. Przez lata serwowała je kolejnym kochankom, w których życie wbrew przestrogom wchodziła, by zdobyć jak najwięcej informacji na temat ich mocodawców. Była więc wersja o chorej ciotce, którą musi się zaopiekować, wersja o zazdrosnym mężu, któremu udało się ją namierzyć, czy bajeczka o tym, że nagle zapragnęła przeprowadzić się do innego miasta, aby zacząć wszystko od nowa. Wymówek tych zwykle nikt nie kwestionował, a Dellaire to miasto na tyle duże, że najczęściej nie miała więcej do czynienia z byłymi kochankami. Jeśli już z rzadka któregoś gdzieś zobaczyła, ten nawet jej nie zauważał. Romanse Lore kończyły się szybko, a kurierzy roznoszący truciznę jeszcze szybciej podążali dalej własną drogą.

– Mów o zrzucie. – Lore chciała szybko zmienić temat.

– Sprawa jest prosta. – Val na moment odwróciła wzrok. – Normalnie nie zawracałabym ci tym głowy, ale klient zażyczył sobie, żeby towar zostawić w wejściu do katakumb przy targu w Okręgu Północno-Zachodnim.

– Mam pilnować towaru, żeby nikt nie zgarnął go przed klientem...

Zewnętrzny tunelami poruszało się po Dellaire wielu włóczęgów. Pozostawianie czegokolwiek cennego w tej części katakumb było bardzo ryzykowne.

– To nie potrwa długo – odparła uspokajająco Val. – Jeśli ruszysz od razu i pójdziesz skrótem przez doki, dotrzesz na miejsce przed zmianą warty. Będzie rozgardiasz, bo wszyscy szykują się na jutrzejszy ingres. Jean-Paul dostarczy towar na plac. Jeśli znajdzie się na miejscu, kiedy strażnicy będą się zmieniać, powinno mu się udać przemknąć bez kontroli. Wtedy możesz pomóc mu przy rozładunku.

Dostać się na plac, przygotować zrzut i pilnować trucizny do chwili, aż odbierze ją klient. Proste. Zamawiający nie lubili, gdy towar długo czekał w miejscu odbioru, więc Lore nie powinna musieć stróżować dłużej niż godzinę. Potem będzie mogła wrócić do domu Michała i w rdzewiejącej wannie zmyć z siebie pobyt w katakumbach. Gdy już to zrobi, pomyśli, jakim kłamstwem się posłużyć, by zakończyć związek, czy jak tam nazwać to coś, co ich łączyło.

– W takim razie ruszam – powiedziała ze stanowczym skinieniem głowy.

Val przyjrzała jej się z trudnym do rozszyfrowania wyrazem twarzy. Potem postąpiła o krok naprzód i przytuliła Lore tak mocno, że ta z zaskoczenia omal nie

krzyknęła.

– Mari i ja kochamy cię jak własną córkę – szepnęła jej do ucha. – Wiesz o tym, prawda?

Lore skinęła głową na tyle, na ile mogła w ciasnych objęciach Val.

– Tak, oczywiście – odparła nieco oszołomiona.

– Jeśli coś robimy, to dlatego, że tak trzeba. – Val cofnęła się, pozostawiając dłonie oparte na ramionach Lore. Spojrzenie jej zielonych oczu było zaskakująco łagodne. – Przepraszam, że każemy ci od niego odejść, myszko.

Lore znów nieco nerwowo kiwnęła głową. W gardle czuła dziwny ucisk.

Jeszcze jedno ściśnięcie ramion i Val w końcu ją puściła.

– A teraz leć – powiedziała. – Lepiej, żebyś się nie spóźniła. – Odwróciła się i zaczęła się oddalać tą samą drogą, którą przyszła.

Lore przymknęła oczy i westchnęła, a po chwili ruszyła w przeciwną stronę, ku dokom.

*

Wybór drogi przez doki był błędem. Lore nie przeszła nawet dwóch kilometrów, a już widziała w oddali złotą poświatę. Po kolejnych kilkuset metrach stało się jasne, że przygotowania do ingresu spowodowały niemal całkowite zatarasowanie ulic na odcinku pomiędzy miejscem, gdzie się znajdowała, a Okręgiem Północno-Zachodnim. Puste zwykle uliczki zastawione były kolorowymi kramami, na każdym kroku oferowano figurki Krwawiącego Boga i miedziane repliki zdobnej w promienie słońca korony jego syna. Krwawi w swoich charakterystycznych karmazynowych mundurach krążyli w gęstniejącym tłumie, połyskując bagnetami. Lore wypatrzyła również kilku członków Presque Mort, od stóp do głów odzianych w złowieszczą czerń.

– Co za głupota – syknęła pod nosem. – Żeby robić zrzut tuż przed ingresem.

Wiedziała, że jakoś dotrze do celu, ale ominięcie tłumów wymagało czasu. To zaś oznaczało, że towar dłużej pozostanie bez dozoru. Klnąc cicho, Lore zawróciła i truchtem ruszyła w stronę miejsca, w którym rozmawiała z Val. Skoro droga górą była zablokowana, pozostawał tylko jeden sposób, by znaleźć się o czasie w wyznaczonym punkcie. Musiała iść przez katakumby.

Szlag by to wszystko trafił!

Dobrze chociaż, że miała u boku sżytylet. Jego ciężar zawsze dodawał Lore otuchy.

Z pochyloną głową przeszła ostrożnie przez wałącą się furtkę, wypatrując naokoło tak zwanych zjaw. Ich ruchy były powolne, a ciała zniszczone przez nadmiar trucizny i nienaturalnie długie życie, więc nie stanowiły one tak naprawdę większego zagrożenia. Jednak Lore i tak nie miała chęci na spotkanie. Zjawy gromadziły się zwykle w pobliżu wejść do katakumb, a tak się pechowo składało, że tu jej szczególny dar nie działał. Wyczuwała jedynie, czy ktoś znajduje się w głębi tuneli.

W pobliżu wejść zdarzały się też wycieki Mortemu, zatem przebywanie tam było w najlepszym razie nieprzyjemne, w najgorszym zaś – zwyczajnie niebezpieczne. Nieukierunkowany Mortem potrafił przeżreć ciało na wylot, a ze zwłok pochowanej pod Cytadelą bogini wybijał w takich ilościach, że niekiedy Kościół – nawet przy wsparciu Presque Mort – nie dawał sobie z nim rady.

Na samą myśl o Presque Mort Lore nerwowo zacisnęła wargi. Była to elitarna grupa mnichów przyjmujących Mortem, utworzona specjalnie po to, by przekierowywać wycieki i zapobiegać jego rozprzestrzenianiu się po mieście. Czasem jednak i oni nie potrafili sprostać zadaniu. Samo kanalizowanie polegało zwykle na wpuszczeniu Mortemu z powrotem w skałę – rozwiązanie logiczne, bo substancja była już martwa. Sęk w tym, że na dłuższą metę skutkowało to powstawaniem dziur i zapadlisk. Martwa bogini okazała się dla infrastruktury Dellaire prawdziwym koszmarem.

Alternatywnym rozwiązaniem było kanalizowanie Mortemu w coś żywego – zazwyczaj rośliny. Po mieście krążyła plotka, jakoby Presque Mort miało cały ogród skamieniałych kwiatów i znieruchomiałych, martwych drzew. Gdy okoliczności stawały się szczególnie dramatyczne, mnisi musieli obracać w kamień całe pola uprawne. Na szczęście już od wielu lat nie zdarzył się wyciek, który wymagałby tak radykalnych działań.

Wejście do katakumb znajdowało się na tyłach budynku, za stertą pomazanych napisami kamieni i połamanych desek podłogowych. Ktoś życzliwy postanowił narysować obok bużkę ze znakami „x” zamiast oczu i strzałkę we właściwym kierunku.

Lore nie potrzebowała takich podpowiedzi. Im bliżej była katakumb, tym silniej odczuwała mrowienie na skórze. Jej wrodzony dar budził się do życia i z każdą sekundą dawał mocniej o sobie znać. Teraz, gdy była już prawie w środku, wystarczyło, że na moment zamknęła oczy, a widziała splot ciemnych linii

odzwierciedlający układ tuneli. Obraz katakumb coraz wyraźniej przeplatał się z jej myślami i jak zawsze czuła się przez to nieswojo. Kierując się w głąb, oddychała więc głęboko i ze wszystkich sił starała się nie mrugać. Chciała w miarę możliwości zachować czysty umysł.

Zostawić w katakumbach towar do odbioru to jedno, a wędrować nimi i odczuwać je na sobie z każdej strony – to coś zupełnie innego. Lore poczuła przelotny ból w miejscu, gdzie na jej skórze widniał półksiężyc. Ukłucie gorąca kosztowało ją sekundę nieuwagi, a to wystarczyło, by ktoś dopadł ją od tyłu, nim zdążyła się zorientować.

Czyjeś ręce chwyciły ją za szyję. Dotykowi brudnych paznokci na jej skórze wtórował silny zapach wilczych jagód. Cedząc pod nosem przekleństwo, Lore natychmiast wymierzyła napastnikowi cios łokciem. Atakujący okazał się potwornie chudy. Zjawa, na sto procent. Kolejny ludzki wrak o wyglądzie chodzących zwłok.

Zjawa zaśmiała się, wydając z siebie świszczący odgłos. Znow dał się wyczuć ostry roślinny zapach. Ręka napastnika puściła szyję Lore, a on sam zachwiał się i zatoczył do tyłu. Ten ułamek chwili wystarczył, by dziewczyna odwróciła się, dobyła sztyletu i przystawiła ostrze do gardła przeciwnika.

Zjawa, którą miała przed sobą, od dawna już powinna nie żyć. Jej nieporadne ciało było przerażająco kościste. Pozostało jej niewiele zębów, oczy zapadły się głęboko, a twarz przybrała trupio bladą barwę, na której tle wyraźnie odcinały się kamiennoszare żyłki. Postać okazała się tak wyniszczona, że nie dało się ustalić z całą pewnością, jakiej jest płci. Gdy po chwili zjawa znow zaniósła się świszczącym śmiechem, Lore widziała przez jej skórę, jak pracują utrudzone płuca. Ciało, które znajdowało się przed nią, miało więcej wspólnego z kamieniem niż z żywą tkanką.

– Myślałaś, że się ukryjesz? – Usta zjawy zastygły na chwilę w upiornym uśmiechu. Wargi rozchyliły się, ale nie sączyła się spomiędzy nich żadna ciecz. – Na kilometr czuć od ciebie śmiercią, złotko. Takie bogactwo! Jakim cudem wyglądasz tak zdrowo? Dziewczyna przeznaczona nicości nie powinna w ten sposób wyglądać.

– Główka pracuje, chociaż ciało ledwo ciepłe? – syknęła Lore.

Jej rozmówca zaśmiał się szorstkim, bolesnym śmiechem.

– Parę razy byłem blisko. O krok od tego, żeby dotknąć wieczności... – Wzruszył ramieniem. – Nie udało się, choć niewiele brakowało. Ale ty... Tobie taka moc przychodzi bez żadnego wysiłku. Co za rzadkość. Co za dar... – Obnażył w uśmiechu splekane żółte zęby. – Powinni cię byli zabić, kiedy mieli okazję.

Lore na ułamek sekundy zeszywniała. Czubek jej sztyletu zadrgał na gardle zjawy.

– Byłem tam na dole, wiesz? – Postać znów się uśmiechnęła. – Wędrowałem całymi dniami i wszystko widziałem. Robią zapasy. Mają już tego całe piękne rządki. Szykują się na wojnę.

Nonsens. Bełkot umęczonego, konającego umysłu. Na moment ogarnęło ją współczucie wobec rozmówcy, który dawno już powinien być trupem. Lore jednak nie miała sumienia go zabijać. Odłożyła sztylet do pochwy i na lekko drżących nogach ruszyła przed siebie. Zastanawiała się, czy nie zacząć biec. Gdyby pokonała w ten sposób całą drogę, dotarłaby na miejsce spotkania tylko kilka minut po czasie.

Po chwili usłyszała za plecami śmiech i trzask kości układających się na posadzce.

– Możesz biec, złotko – rzuciła łagodnie zjawa. – Przed samą sobą i tak nie uciekniesz.

*

Lore wiedziała, że się spóźniła, zanim jeszcze zobaczyła strażników.

Tych, swoją drogą, trudno było nie zauważyć. Trzymający wartę przy Cytadeli nosili karmazynowe dublety, a ich wypolerowane na wysoki połysk bagnety jaśniały czystością tak bardzo, że nasuwało się pytanie, czy kiedykolwiek używali ich do walki. Lore знаła jednak brutalną prawdę – przydomek „krwawi” nie wziął się znikąd. Wiedziała również, że z włosami ukrytymi pod czapką i w luźnym, maskującym jej kształty męskim ubraniu zdoła przemknąć się niezauważona, o ile tylko nie będzie zadzierać głowy.

Było już ewidentnie po zmianie warty. Pozostawało jej mieć nadzieję, że Jean-Paul zdołał załatwić sprawę, zanim posterunek został ponownie obsadzony. Tu, w pobliżu targu, tłum okazał się jeszcze gęstszy niż przy dokach. Lore wspięła się na palce, usiłując wypatrzeć charakterystyczną rudą czuprynę Jean-Paula lub łagodnego, rosnącego konia, którego wykorzystywali do miejskich zrzutów. Gdy przez dłuższą chwilę nie udawało jej się dojrzeć ani jednego, ani drugiego, poczuła ukłucie paniki. Mocno zaniepokojona, ruszyła w stronę starej witryny sklepowej, przy której Jean-Paul miał zostawić towar. Może przedostał się już przez punkt kontrolny i czekał tam na nią...

Gdy wyszła zza rogu, jej oczom ukazała się stara witryna. A tuż obok niej karmazynowe mundury, wypolerowana broń, głowa o rudych włosach i wóz

wypełniony głównie pustymi skrzynkami. Jean-Paul posłał jej szybkie spojrzenie. Ten przysadzisty mężczyzna w średnim wieku pracował dla Val od bardzo dawna, znacznie dłużej niż sama Lore. Zachowywał wystudiowane niewzruszony wyraz twarzy, ale w jego oczach widać było niemal zwierzęcy strach.

Za późno. Za późno.

Przez chwilę Lore nie potrafiła ruszyć się z miejsca, ale gdy tylko jeden ze strażników spojrział w jej stronę, natychmiast ukryła się w bocznej uliczce. Przywarła plecami do szorstkiego muru, oddychając tak ciężko, że aż poczuła drapanie w gardle.

– Niech to szlag! – wycedziła.

Po chwili, wstrzymując oddech, zerknęła znów na ulicę. Wyglądało na to, że Jean-Paul dostał się na plac bez kontroli, lecz chwilę później krwawi zdali sobie sprawę, że popełnili błąd, i postanowili zatrzymać go na przeszukanie pod samą witryną. Nawet gdyby Lore dotarła na miejsce o czasie, niczego by to nie zmieniło.

Jean-Paulowi należało oddać, że podczas przeszukania wozu bezbłędnie odgrywał spokój. Stał sobie z rękoma w kieszeniach i kołysał się od niechcenia na piętach. Ot, kolejny prosty kupiec cierpliwie poddający się kontroli krwawych. Mogłoby go zdradzić jedynie przerażenie w oczach, ale to ukrył skwapliwie pod szerokim rondem kapelusza.

Lore powinna go tak zostawić. Wiedziała o tym. Była to jedna z pierwszych lekcji, jakich udzieliła jej Val: gdy na robocie robi się gorąco, każdy jest zdany na siebie. A jednak nie potrafiła tak po prostu uciec. Jean-Paul miał męża i małego syna. Gdyby go zatrzymano, trafiłby na Popielne Wyspy. Lore nie mogła pozwolić, by spotkał go taki los.

– Niech to wszystko jasna cholera – zaklęła jeszcze raz pod nosem, po czym wymknęła się z ciasnej uliczki i wtopiła w tłum.

Potrafiła nie rzucać się w oczy, krwawi bowiem nie zwrócili na nią najmniejszej uwagi. Jeden z nich, krzepki wąsaty mężczyzna, przyglądał się właśnie podejrzliwie skrzynce pełnej ziemniaków, które niemal wypuszczały już pędy.

– Gdybyś był pan moim dostawcą, tobym zaczął podejrzewać, że mnie kantujesz – rzucił ze złośliwym uśmiechem.

Skrzynki z nielegalnym towarem zawsze układano z wierzchu. Krwawi zupełnie się tego nie spodziewali i zawsze przeglądali te na samym spodzie. Wydawało im się oczywiste, że trucizna będzie ukryta tak głęboko, jak to tylko możliwe. Jeśli więc ktoś

został zatrzymany w połowie wyjazdu, istniała spora szansa, że towar leży już spokojnie w punkcie zrzutu.

– Alarykowi były potrzebne skrzynki – odparł beznamyślnie Jean-Paul. Alaryk to imię, które ludzie Val podawali, ilekroć ktoś pytał ich, dla kogo pracują. – Chce w nich coś trzymać. Ziemniaki wrzuciłem tylko po to, żeby dociążyć je na wozie.

Wszystkie skrzynki zostały już zdjęte, a towarzysze wąsacza zaczęli teraz przeglądać te wyładowane w ostatniej kolejności. W pierwszej, którą otworzyli, znaleźli tylko mączyste kartofle. W drugiej również. I w trzeciej.

– Jakiś kupiec opłacił wozaka, żeby przewieźć między okręgami skrzynki starych ziemniaków?

Zostało sześć skrzyń. W trzech z nich była mandragora. Lore poczuła na karku krople potu.

– Mnie tam nic do tego, jak wydaje pieniądze – odpowiedział Jean-Paul.

Kolejna otwarta skrzynka. Jeśli miała coś zrobić, należało działać już. Tyle że nie wiedziała jak. Krwawych było zbyt wielu, by załatwić ich sztyletem, zwłaszcza że tylko jednego mogłaby wziąć z zaskoczenia. Walka wręcz też odpadała – Lore nigdy nie była w tym dobra.

Czuła w dłoniach pełzające mrowienie. Nasilało się. Wyraźnie wyczuwała Mortem uśpiony w ulicznym bruku, w ceglanych ścianach i w martwym drewnie sklepowej witryny oraz wozu. Była też oczywiście trucizna zawarta w nieodkrytej wciąż mandragorze. Wrażenie, którego doświadczała Lore, przypominało jej cichy szept. Mortem był jak nić, którą mogła ująć w dłoń i pociągnąć. Jakież byłoby to łatwe...

Jeden z krwawych sięgnął po kolejną skrzynkę i podważył bagnetem wieko. Gdy Lore dostrzegła w ciemnym wnętrzu skrawek zieleni, momentalnie odegnała od siebie zew Mortemu i ruszyła naprzód.

– No, znalazłeś je! – rzuciła, nim na dobre zdążyła się zastanowić, co robi.

Jean-Paul i wąsacz jednocześnie zwrócili się w jej stronę. Krwawy, któremu przerwała kontrolę, podejrzliwie zmarszczył na jej widok brwi. Lore tymczasem błyskawicznie chwyciła otwartą przed momentem skrzynkę i przycisnęła ją do piersi.

– Ojciec mnie przysłał. Wybacz, że nie byłam na czas.

Wąsacz przekrzywił głowę i powiódł po niej wzrokiem.

– A panienci ojciec to może Alaryk? – spytał.

Diabli nadali taki biust, pomyślała Lore. Zdawało jej się, że ma na sobie na tyle luźne ubranie, że jej piersi nie będą rzucać się w oczy. Okazało się inaczej. Cóż, bujne

kszałty w tym miejscu zawsze było jej trudno ukryć.

– Tak – odparła Lore, stając prosto i uśmiechając się szeroko. – Strasznie się gniewał, bo tłukłam słoiki, ładując je sztuka po sztuce. Na gwałt potrzebowaliśmy tych skrzynek... – Wyrzucając z siebie słowa i szafując uśmiechami, krok po kroku wycofywała się ku starej sklepowej witrynie. Znajdująca się tuż obok zapadnia prowadziła wprost do katakumb, a niezawodny instynkt podpowiadał jej, że w pobliskich tunelach nikogo nie ma. Byle tylko przepchnąć skrzynki jeszcze kawałeczek...

W tym momencie Lore pośliznęła się na obłuzowanym kamieniu i straciła równowagę. Skrzynka wypadła jej z rąk i na bruku pojawiła się zielona smuga mandragory.

Na ułamek chwili wszyscy zamarli jak w malarskim kadrze: Lore, Jean-Paul, krwawi i nawet bezimienny łagodny koń, którego dziewczyna czule nazywała po prostu Konikiem. Tuż po tym jednak wąsacz z okrzykiem triumfu rzucił się naprzód.

– Spieprzamy! – Lore, dobywając jednocześnie sztyletu, uskoczyła bokiem w stronę uliczki, w której chwilę wcześniej się schroniła. Pech chciał, że lądując, krzywo ustawiła stopę. Z bólu aż pobiełało jej przed oczami i momentalnie osunęła się na kolana. Poczwała zaraz, jak silne dłonie w rękawiczkach chwytają ją i szarpiają ku górze.

Krwawi byli nagle wszędzie. Wystraszony koń stanął dęba, zarzucając wozem w stronę zgromadzonych wokół gapiów. Jean-Paul na widok mielących powietrze kopyt otworzył usta w rozpaczliwym niemym okrzyku i rzucił się natychmiast w stronę konia, próbując chwycić za uzdę. Ale było już za późno. Moment wcześniej bagnet jednego z krwawych przeszył szyję zwierzęcia i Konik w agonalnych drgawkach padł ciężko na bruk.

Lore, wciąż widząc nieostro, usiłowała wymierzyć cios trzymającemu ją gwardziście. Nie udało jej się jednak zamachnąć sztyletem, bo kolejny krwawy błyskawicznie wykręcił jej rękę z taką siłą, że o mały włos jej nie złamał. Lore wydała z siebie głucho rżenie. Krzyk uwiązł w jej gardle, gdy poczuła przystawiony do szyi bagnet. Miała teraz przeciwko sobie trzech gwardzistów, w tym jednego z bronią palną. Szanse w starciu z nimi wyglądały blado.

Wtem znów poczuła mrowienie w dłoniach. Raz jeszcze dał o sobie znać pełzający chłodny dotyk jej szczególnego daru.

– Rusz się tylko, a strzelam – warknął gwardzista. – Od strzału w szyję nie umiera się szybko i bezboleśnie.

Lore poczuła drzenie palców. Mortem sączył się z katakumb i ze stygnącego truchła nieszczęsnego konia. Nie władała nim od trzynastu lat. Każdy jego zew spychała na dno umysłu i pozwalała mu tam gnić. W tym momencie jednak niemal tonęła w doświadczeniu jego obecności.

Doświadczenie obecności i instynkt. Dawały o sobie w tej chwili znać z niespotykaną wcześniej mocą. Lore niemal parzyły dłonie – jej ciało aż rwało się, by przywołać Mortem i uczynić go sobie posłusznym. Opieranie mu się wywoływało płytki oddech i poczucie odurzenia.

Połowa krwawych rzuciła się na rozsypaną mandragorę, lecz ich dowódca skupił się na Jeanie-Paulu i natychmiast chwycił go za rękę. Ten usiłował sięgnąć po ukryty pod płaszczem sztylet, ale przeciwnik nie dał mu na to szans i błyskawicznie przytknął ostrze bagnetu do jego gardła.

– Nie zmuszaj mnie, żebym cię zabił – rzucił dowódca patrolu spod krzaczastych wąsów. – Przydasz się w kopalni na Popielnych Wyspach. – Tu mężczyzna zaniósł się śmiechem. – Panienska też. Wygląda na silną, da sobie radę z łopata.

Szczerze mówiąc, nawet kula w szyję zdawała się bardziej kusząca niż zesłanie do kopalni. Lore słyszała o niejednym kurierze, który wolał sam poderżnąć sobie gardło niż spędzić resztę życia w mrokach i pyłe gdzieś na Popielnych Wyspach.

Ciemność. Pył. Śmierć. Wszystko to zdawało się wirować w głowie Lore i dosłownie wciskać w jej zatoki. W powietrzu czuła miedziany zapach krwi. Z końskiego truchła uniosła się tymczasem utkana z czarnych smug mgiełka widoczna jedynie dla władających Mortemem. Z zastygłych oczu i zwiotczącego pyska zwierzęcia dobywało jej się coraz więcej. Mortem wzywał Lore.

Postuż się nim.

Lore nie była pewna, czy naprawdę usłyszała głos, czy to tylko jej umysł rozpaczliwie starał się wymyślić *jakikolwiek* wyjście z sytuacji.

Odwrócić choć na moment uwagę gwardzistów – tego potrzebowała. Byle tylko Jean-Paul miał chwilę na ucieczkę. Musiałoby wydarzyć się coś na tyle przerażającego, by zdążył wymknąć się krwawym. Dla niej i tak było już za późno. Została pojmana i cokolwiek by się teraz stało, nic nie mogło tego zmienić. Jej pozostawał wybór między kopalnią a stosem. Mniejsza o to, na co by padło, jeśli Jean-Paul miałby otrzymać szansę powrotu do rodziny.

Nie było zatem co zwlekać. Lore zdecydowała, że odwróci uwagę krwawych – i jej ciało natychmiast przystąpiło do dzieła.

Zaczerpnęła powietrza i przytrzymała je w płucach, tak aby instynkt wziął górę. Chciała, by poprowadził ją jak przed laty. Urodziła się, aby to właśnie robić. Była córką mroku i magii i każda jej cząstka – z wyjątkiem umysłu – aż rwała się ku nim.

Na ułamek chwili wszystko rozbłysło upiornym blaskiem, ale zaraz potem Lore ledwie widziała własne otoczenie zanurzone teraz w odcieniach szarości. Czuła pieczenie w płucach, jej ciało grawitowało ku śmierci. Krwawi, Jean-Paul, zebrani wokół gapie – każdy był teraz otoczony lśniąca białą poświatą. Biel aury wokół zwłok konia z każdą sekundą bladła, ustępując miejsca czerni – życie ulatywało, przejmowane przez śmierć. Wijące się w powietrzu smugi Mortemu były jak czarna świetlna korona odwróconego słońca.

Lore, nie patrząc po sobie, wypuściła powietrze. Trzymała Mortem mocno w ryzach i czuła, jak unosi ją prąd instynktu. Wiedziała dobrze, jak w tej chwili wygląda – palce miała trupio blade, a oczy pokryte bielmem. Blizna w kształcie półksiężyca z całą pewnością mieniła się czarnym blaskiem, który – choć uosabiał brak światła – był tak ostry, że od spojrzenia nań bolały oczy. Na sercu Lore zaciskał się misterny węzeł mroku: skryta pod ubraniem czarna gwiazda nicości.

Tak, wiedziała dobrze, jak wygląda. Jak krocząca przed siebie śmierć.

Jej dłonie zacisnęły się w pięści. Niczym mortemowy magnes przywoływała ku sobie potęgę śmierci. Czarne smugi nad martwym koniem zaczęły drgać i zaraz przemieszczać się w stronę Lore. Wiły się i splatały w powietrzu, po czym wnikały w palce jej dłoni. Ciało nie stanowiło dla magii zapory.

Śmierć zwierzęcia tańczyła teraz w żyłach Lore, płynęła przez nią niczym skażona krew. Uchwycony w jarzmo Mortem wędrował przez jej organizm, sącząc się jak wody na wpół zamrożonego strumienia. Splatał się ze słabym biciem jej serca i coraz płytszym oddechem. Magia śmierci krążyła po każdym z jej organów, sprawiając, że nieruchomiały – przysypiały jak oszronione w wiosenny poranek paki.

Tak właśnie działanie Mortemu miało wydłużać życie. Zmrożone od wewnątrz ciało wolniej płynęło przez czas, a tym samym upływ lat mniej dawał się we znaki. Biorący truciznę nie potrafili ukierunkować śmierci, którą sobie dozowali, z powrotem na zewnątrz. Pozwalali tylko, by przebudzała obecny w ich ciałach Mortem, i zastygali pomалу w czymś na kształt kalekiej nieśmiertelności. By prawdziwie władać Mortemem, trzeba było otworzyć się na śmierć – przyjmując ją jak kochankę i ufać, że wypuści nas ze swych objęć. Na to zaś porywał się mało kto, na pewno nie z rozmysłem.

Tak przynajmniej Lore to sobie wyobrażała. Ona sama po prostu się z tym darem urodziła. Śmierć towarzyszyła jej od narodzin niczym cień.

Bardzo powoli skierowała Mortem w swoim ciele z powrotem ku dłoniom, jakby nabierała czarnych smug w garść. A potem wyrzuciła z siebie cały zabójczy ładunek.

Mortem wystrzelił z jej palców, niosąc spragnioną nowego domu śmierć. Lore miała dość refleksu, by w ostatniej chwili wycelować go w klomb pełen kwiatów, które zaskakujący o tej porze roku brak opadów zdążył już pozbawić życia. Rośliny w mgnieniu oka stały się popielatoszare i kruche jak spalony papier. Mortem wniknął następnie w kamienną misę i pokrył ją pajęczą siecią pęknięć aż po podstawę. Nie utworzyło się – chwała wszystkim martwym i umierającym bogom – zapadlisko. Skończyło się na rozdziawionych w niemym krzyku ustach gapiów.

Serce Lore zaraz jednak zamarło w piersi. Instykt, który ją niósł, nagle jakby uleciał, a pozostały tylko panika i obrzydzenie.

Bo oto, wydając z siebie bolesny, wytężony odgłos, Konik dźwignął się na nogi.

Rozdział 3

Zgon jest dla istot śmiertelnych nieodwołalny. Ktokolwiek podniesie ciało z martwych, winny będzie najcięższej herezji. Wymierzona mu zostanie za jego czyn kara śmierci, aby po wieczność cierpiał męki we własnym piekle.

Księga Praw Śmiertelniczych, Rozprawa 1

Cedric był od Lore o rok starszy. Miał czternaście lat i w porównaniu z nią wydawał się obyty jak książę. Z nim właśnie, synem jednego z kurierów Val i Mari, Lore spędzała najwięcej czasu w pierwszych miesiącach po poznaniu swoich przybranych matek. Był życzliwy i pełen ciepła, miał brązowe oczy i niesforne, wiecznie opadające na czoło włosy. W dokach nauczył ją pływać.

Aż pewnego dnia, podczas nalotu, stratował go koń jednego z krwawych. Cedric był w koszmarnym stanie. Jego pogruchatane ciało w niektórych miejscach zapadało się, w innych sterczały z niego popękane kości. Twarz pozostała jednak nietknięta. Jak zahipnotyzowany wpatrywał się swoimi brązowymi oczami w niebo.

Lore nie zastanawiała się nad tym, co robi. Poszła po prostu za głosem instynktu. Naplotła śmierć na palce jak nić podczas zabawy w kocią kołyskę, którą pokazał jej Cedric. Przyzwała ją ku sobie, a następnie skierowała w dół, pod skałę, gdzieś poniżej korzonków rozdeptanej kopytami trawy. Sprawiała, że śmierć opuściła ciało Cedrica i powędrowała w głąb ziemi.

Nie minęła chwila, a chłopak usiadł. Wydał przy tym przerażający odgłos. Nic nie znajdowało się w nim na swoim miejscu, ciało Cedrica było wciąż po prostu zmiążdżone. Mimo to jej przyjaciel dźwignął się z ziemi i spojrzał na nią. Jego oczy nie były już brązowe – źrenice i tęczęwki zaszły czernią. Szybko stało się też jasne, że chłopak nie robi niczego bez polecenia Lore. Był teraz jak maszyna, której mechanizm wymaga nakręcania i wprowadzania komend. Nie mając lepszego pomysłu, sięgnęła więc po kłębek nici, którą wykorzystywali do kociej kołyski.

– Pobaw się ze mną – powiedziała.

Niedługo później znalazła ich Val. Miała przed sobą dziewczynkę i martwego chłopca, którzy bawili się w najlepsze nicią, jakby zupełnie nic się nie stało. To

zdumiewające, że nie zabiła wtedy Lore. Zorientowała się, do czego ta jest zdolna, a jednak nie postanowiła się jej pozbyć.

To właśnie wspomnienie stanęło Lore przed oczami na widok podnoszącego się z bruku Konika. Był ewidentnie martwy, ale właśnie stanął na nogi. Różnica sprowadzała się do tego, że nie musiała mu mówić, co ma robić. Cóż, najwyraźniej zwierzęta różniły się pod tym względem od ludzi.

– Jasna cholera... – zaklęła cicho. Nogi miała jak z waty. Przewodzenie śmierci przyprawiło ją o odrętwienie i niemal zupełny bezdech. Osuwając się na kolana, poczuła nagle, jak ostrze bagnetu oddała się od jej szyi. Zahaczyło przy tym o skórę, lecz nie na tyle mocno, by ją rozciąć. – A żeby Cytadelę obsrali.

Przez chwilę myślała już, że jej mortemowa sztuczka na nic się nie zdała. Tak starała się odwrócić uwagę gwardzistów, ci jednak nie odstępowali jej ani Jean-Paula na krok. W pierwszej chwili nie spojrzeli nawet w stronę podnoszącego się konia. I na co jej było odpowiadać na zew Mortemu?

Z ust Lore dobył się wściekły, urywany krzyk.

Dopiero gdy przytrzymujący ją gwardzista chciał szarpnięciem postawić ją na nogi, zobaczył jej zmatowiałe białe oczy. Z przerażeniem dostrzegł też poczerniałe żyły i trupie palce. Gdy tylko dotarło do niego, z czym ma do czynienia, momentalnie zbladł jak papier. Puścił Lore i zaczął się cofać, aż trafił plecami na ceglana ścianę.

– Krwawiący Boże... – wymamrotał w panice. – Miej nas w opiece!

No! Wreszcie jakiś efekt.

Pozostali gwardziści też zauważyli w końcu wskrzeszonego konia. Wąsacz natychmiast wymierzył zwierzęciu kolejny cios bagnetem. Nic to jednak nie dało, koń przecież był już i tak martwy. Wydawał się za to wręcz zaciekawiony całą sytuacją. Trącał nozdrzami swoje broczące krwią ciało, a ziejąca rana w jego szyi przypominała przy tym drugi rozdziawiony pysk. Zwierzę trzepotało rzęsami, odganiając zlatujące się muchy od pokrytych bielmem śmierci oczu.

– Przepraszam, Koniku – wymamrotała Lore, po czym zwymiotowała kawę na bruk.

Gdy podniosła wzrok, zobaczyła nad sobą wąsacza, który na widok jej przemiany pod wpływem Mortemu pobladł niemal tak samo jak ona.

– Herezja – wyrzucił głosem ochryłym od krzyku. – Zło!

– Dramatyzowanie... – Wargi Lore były odrętwiałe, jak zresztą całe jej ciało.

Nagle rozpętał się chaos. Jakby czas chciał nagle nadgonić kilka sekund zawieszenia. Wąsacz zaczął wymachiwać bagnetem, nakazując podkomendnym natychmiast otoczyć konia i „guślarkę”. Do Lore dopiero po chwili dotarło, że chodzi o nią. Nekromantów i nekromantki rzeczywiście nazywano kiedyś „guślarzami” – przynajmniej do czasu, aż wszyscy co bieglejsi we władaniu Mortemem znaleźli się na Wyspach Popielnych. Teraz pozostała tylko ona. Ostatnia guślarza, wiedźma śmierci.

Od kierowania Mortemem palce jej rąk stały się woskowate i trupio blade. Skóra wydawała się teraz niemal przezroczysta i dokładnie widać było przebieg cienkich żył. Lore wyglądała gorzej niż zjawy, a to o czymś świadczy.

Kątem oka widziała smugi śmierci wiążące ją z koniem. Jeszcze chwila i z gardłowym krzykiem zacisnęła pięści – zerwała je, te zaś w mgnieniu oka rozpląły się w powietrzu jak dym. To samo, choć niechcący, zrobiła przed laty, gdy Val krzyknęła na widok jej i Cedrica. Lore była wtedy zdumiona i przerażona, dlatego zerwała smugi łączące ją z przyjacielem. Tamtego dnia wszystko było dla niej trudne: i przebudzenie Cedrica, i zerwanie więzi. Teraz nie musiała się nawet starać. Kierowanie Mortemem przychodziło jej naturalnie: potrafiła bez trudu wykraść śmierć z ciała i odprawić ją w dowolnym kierunku.

Truchło zwierzęcia, znów wyzute z życia, przy wtórze wrzasków bólu i dźwięku łamanych kości runęło na kilku gwardzistów. Wokół rozległy się krzyki przerażonych gapiów. Pozostali krwawi zapomnieli o Lore i Jeanie-Paulu, który błyskawicznie czmychnął w boczną uliczkę. Wąsacz odwrócił się na dźwięk padającego truchła, po czym nie był już w stanie zrobić ani kroku w stronę Lore, natychmiast bowiem porwał go ze sobą spanikowany tłum. Z oddali wciąż dochodziły jego okrzyki, ale po nim samym w mgnieniu oka nie było śladu.

Lore aż nadto udało się więc odwrócić uwagę gwardzistów. Teraz, pomyślała, dobrze byłoby się stąd zmyć.

Pomagając sobie rękoma, z pewnym trudem podniosła się z ziemi. W nogach wciąż czuła mrowienie i drżenie. Klnąc pod nosem i utykając, zaczęła się oddalać. Nie dawały jej spokoju wspomnienia o Cedricu – wyrwały się z okowów, w których jej umysł przez lata je trzymał, i sprawiły, że przeszłość i teraźniejszość zdawały się zlewać w jeden nieskończony i koszmaryny ciąg.

Lore kuśtykała naprzód tak szybko, jak tylko potrafiła. Po chwili skryła się w cienistym zaułku pomiędzy frontami sklepów. Gdy tylko złapała oddech, przytomnie zerwała z głowy czapkę i rozpuściła włosy. Wcisnęła też koszulę

w spodnie, żeby bardziej podkreślić kształt bioder. Trudno było nazwać to przebraniem, ale wyglądała teraz choć trochę inaczej niż w chwili, gdy wskrzesiła zadźganego konia. Ta drobna zmiana miała dać jej namiastkę anonimowości, której potrzebowała, by wydostać się z oparów.

Wtem ktoś chwycił ją za rękę. Lore odwróciła się błyskawicznie z wściekle wyszczerzonymi zębami, gotowa natychmiast wymierzyć cios.

Stał przed nią Michał.

Widać było, że nie spodziewał się tego, co zobaczył. Zauważył Lore kryjącą się w uliczce, ale nie powiązał jej dotąd z tym, co stało się z koniem. Po chwili jednak wyraz jego twarzy zdradził, że Michał połączył wszystkie elementy układanki w całość. Jego niebieskie oczy były szeroko otwarte ze zdumienia graniczącego z przerażeniem. Z rozdziawionymi ustami zerknął przez ramię w stronę placu, a następnie wzdrygnął się i szybko cofnął dłoń.

– Przepraszam – bąknęła Lore. – Naprawdę przepraszam.

Tuż po tym przepchnęła się obok Michała i wyszła z powrotem na plac. Minęła pierwszą uliczkę i ze spuszczoną głową brnęła dalej naprzód. Wciąż nie widziała ostro i losowo wybierała kierunek marszu. Jedyne, czego chciała, to jak najszybciej znaleźć się możliwie daleko. Niemal biegła, więc gdy nagle wyrósł przed nią jeden z członków Presque Mort, o mało się z nim nie zderzyła.

Górujący nad nią mnich rozpostarł ręce. Na każdej z jego dłoni widniał wytatuowany symbol płonącej świecy. Czarny strój przylegał mu do muskularnego ciała. Mężczyzna przyjrzał się Lore bacznie lśniącym niebieskim okiem – jego drugi oczodół skryty był pod przepaską.

Miał w sobie coś, co wydało się Lore niemal znajome. Odnosiła wrażenie, że gdzieś go już widziała. Ta myśl była jednak niedorzeczna. Nie znała przecież nikogo ani w samym Presque Mort, ani w żadnej innej organizacji podlegającej Kościołowi.

Już nie.

– No jasne, musiało tu przywiać Presque Mort! – syknęła, cofając się o krok i próbując sięgnąć po sztylet. – Musiało, kurwa!

Mnich nie odpowiedział ani słowem. Patrzył tylko, jak Lore próbuje zawrócić i odejść w innym kierunku. Potem zagwizdał nisko, a natychmiast temu krótkiemu sygnałowi zawtórowało kilka identycznych, dobiegających z różnych stron.

Była otoczona.

Pierwszy z mnichów spokojnie ruszył w jej stronę. Powoli wysunął przed siebie wytatuowane dłonie, jakby Lore była nieoswojonym psem, którego nie chce spłoszyć. Był ponadprzeciętnie wysoki, miał krótko przycięte rudoblond włosy i szerokie ramiona – marnotrawstwo męskiej urody na kogoś, kto ślubował życie w celibacie.

– Nie chcemy zrobić ci krzywdy – odezwał się niskim głosem. Mówił takim tonem, jakby nie stali w brudnym zaułku, lecz mieli zaraz zatańczyć w sali bankietowej w Cytadeli.

– Zabawnie to okazujecie – odparła Lore, przesuwając stopy wstecz po nierównym bruku i omal nie tracąc równowagi.

Mnich i tym razem nie odpowiedział. Z dwóch stron uliczki schodzili się tymczasem kolejni mnisi, odziani w takie same gładkie, ciemne stroje. Powoli, lecz nieuchronnie zmiierzali w jej stronę – i było ich zbyt wielu, by miała w starciu z nimi jakiegokolwiek szansę. Co gorsza, nie widziała też w pobliżu żadnego zwierzęcia, którego wskrzeszenie odwróciłoby ich uwagę.

Lore poczuła, jak uginają się pod nią kolana. Oparła się wciąż odrętwiałą dłonią o ścianę. Nawet dla kogoś tak predysponowanego do magii śmierci jak ona czas regeneracji był udręką.

Czuła się tak zmęczona i rozkojarzona, że gdy pierwszy z mnichów sięgnął do kieszeni po chustkę, nawet tego nie zauważyła. Zorientowała się, gdy było już za późno, a tkanina przylegała szczelnie do jej ust i nosa. Chloroform. Używanie go w mieście słynącym z wymyślnych roślinnych trucizn miało w sobie coś rozczulająco przyjemnego...

– Nie chcemy ci zrobić krzywdy – powtórzył cicho mnich – ale musisz pójść z nami. A coś mi mówi, że świadomie byś tego nie zrobiła.

– Skąd taki pomysł? – wymamrotała Lore, zanim poczerniało jej przed oczami.

*

Dotyk więzów na skórze miał w sobie coś znajomego. Był jak echo wspomnień. Na ułamek chwili Lore poczuła zapach kamienia i przypalanej skóry. Wydało jej się, że znów ma przed sobą tunele oświetlone bladym światłem pochodni, obsydianowy grobowiec i migdałowe oczy podobne do jej własnych. Gdy więc spojrzała wokół i przekonała się, że jest w celi – niemal poczuła ulgę.

Ktoś zakneblował jej usta kawałkiem szmaty – miała cierpki smak, jakby użyto jej do wytarcia rozlanego wina. Jedną liną przywiązano jej kostki do nóg krzesła, drugą związano z tyłu ręce w nadgarstkach, trzecia zaś łączyła ze sobą dwie pierwsze. Ktokolwiek ją skrępował, zostawił dość luzu, by ucisk więzów nie był bolesny, jednocześnie jednak nie miała żadnych szans się uwolnić.

Liny, krzesło, kamienne mury wokół – wszystko to pachniało śmiercią.

Lore westchnęła pod kneblem, przez co materiał wsunął się jeszcze głębiej w jej gardło. Krztusząc się, zamknęła oczy. Dotąd radziła sobie z wyczuleniem na Mortem w nieożywionej materii. Musiała, nie było w końcu przed nim ucieczki. Mimo to coś zmieniło się po tym, jak przebudziła Konika. Mortem zdawał się teraz naciskać na nią ze wszystkich stron. Miała wrażenie, jakby lepił się do niej i dusił swoim ciężarem.

Najgorsze wydawały się nie lina czy mury, w których nigdy nie było życia, ale to, co je w sobie miało. Ot, choćby źdźbła trawy wybijające spomiędzy kamieni w posadzce, ludzie znajdujący się na tyle blisko, że mogła ich wychwycić zmysłami, czy nawet jej własne ciało. To ostatnie chwilowo wciąż żyło, lecz Lore czuła, jak każda ze składających się na nie komórek się zapada. Prawdziwy mikrokosmos wieczności.

Czy zmiana zaszła w niej po zejściu z Cedrikiem? Jeśli tak, to nie pamiętała tego. Wyglądało na to, że im jest starsza, tym łatwiej jej coś lub kogoś przebudzić, za to efekty uboczne stosowania takiej magii robią się coraz bardziej dotkliwe.

Lore z trudem przełknęła ślinę i kolejny raz otworzyła oczy. Tym razem postanowiła rozejrzeć się po otoczeniu.

Technicznie rzecz biorąc, nie znajdowała się w celi. Było to po prostu pomieszczenie o kamiennych ścianach – puste, nie licząc drewnianego stołu i krzesła, do którego ją przywiązano. Na jednej ze ścian wisiał gobelin, który wydawał się jeszcze bardziej pstrokaty niż w rzeczywistości, jako że stanowił jedyny w całym pomieszczeniu barwny element. Przedstawiał mężczyznę o złotobrazowych włosach, bladej cerze i zakrwawionych rozpostartych rękach. Na piersi postaci ziała potężna rana, z której w ciemność poniżej spływała krew. W tle widać było coś, co przypominało dekorowaną złotem fontannę, a ponad głową mężczyzny wyszyto srebrną nicią przesłanie:

Apolliuszu, niech dane nam będzie utrzymać Twą Cytadelę, chronić świat przed śmiercią i żyć w czystości, póki nie powrócisz u zarania Nowej Ery.

Mglisty kształt pod nogami Apolliusza w pierwszej chwili wydawał się cieniem. Gdy jednak Lore przyjrzała mu się uważniej, dostrzegła sylwetkę kobiety. Widać było, że tkacz celowo użył w niektórych miejscach nici o innym odcieniu, tak aby wyróżnić ozdobioną księżycem głowę i zarysować kobiece kształty. Stopy Krwawiącego Boga znajdowały się bezpośrednio nad zarysem korony, przez co odnosiło się wrażenie, że wdeptuje on kobiecą postać w ziemię.

Postacią tą była Nyxara – Pochowana Bogini.

Lore przebywała zatem w kościele. Cóż, można było się spodziewać, że członkowie Presque Mort przywiozą ją właśnie tutaj.

Na myśl o tym, gdzie się znalazła, poczuła, jak wzbiera w niej panika. Mnich, który ją odurzył, twierdził, że nie zrobią jej krzywdy. Mogła to być jednak z jego strony tylko okrutna gra. Owszem, sami mnisi nie mieli prawa jej zgładzić, ale najwyższy kapłan jak najbardziej takie uprawnienia posiadał. Zresztą kto wie, może i sam król zechciałby czynić honory? Minęły wieki, odkąd spalono na stosie ostatniego nekromantę. Wszystkie ofiary tamtych egzekucji spłonęły w roku Boskiego Upadku i podczas kolejnej dekady. Mortem broczył wtedy ze zwłok bogini jak krew z przeciętej tętnicy.

Lore wzięła głęboki wdech, starając się zapanować nad strachem. Rozważała, co powiedzieliby mnisi, gdyby poprosiła o kolejną dawkę chloroformu. Wolalaby spać odurzona niż siedzieć tak, trawiona lękiem, zwłaszcza że jej los wydawał się przesądzony.

Burczało jej w brzuchu. Jak długo już tu siedziała? Pomieszczenie nie miało okien, więc trudno było oszacować upływ czasu. Po odrętwieniu w kończynach i silnym głodzie wnioskuje jednak, że musiało upłynąć już dobrych kilka godzin.

Ledwie zareagowała, gdy do pokoju weszło dwóch mnichów. Pierwszym był ten, który uśpił ją chloroformem. Drugiego nie rozpoznawała – miał gładko ogoloną głowę i skórę o orzechowym odcieniu, a jego ręce pokryte były głębokimi, srebrnymi bliznami. Właśnie on odezwał się w pierwszej kolejności.

– Chyba trochę przesadziłeś z chloroformem, Gabrielu – zaczął, unosząc brew. – Wygląda, jakby miała nam tu zwymiotować.

– Nie dostała wcale dużo – odparł wysoki mnich, najwyraźniej o imieniu Gabriel. Przyjrzał się przy tym uważnie Lore swoim jedynym zdrowym okiem. – Minał cały dzień, a dalej strasznie tu gęsto – dodał z grymasem na twarzy.

Cały dzień? – zdziwiła się Lore. Odplynęła na aż tak długo?

– Dużo przez siebie przepuściła... – Gabriel zwrócił się do towarzysza. – Czujesz?

– Trochę – odparł tamten niemal z niechęcią i spochmurniał. – Na pewno nie tak jak ty. Wiesz, niektórzy z nas muszą robić swoje w Dellaire, a nie w jakimś klasztorze na prowincji. Przywykliśmy tu do gęstego Mortemu.

Ton mnicha brzmiał nieco defensywnie, a jednak odnosiło się wrażenie, że jego słowa miały być żartem. Gabriel uniósł wytatuowaną rękę.

– Nie chciałem cię urazić, Malcolmie – przeprosił.

– Nie uraziłeś – odparł dobrotliwie Malcolm. Potarł o siebie dłońmi i uśmiechnął się pod nosem, jakby starał się rozluźnić atmosferę. – Gdybym miał spędzić cały okres przygotowawczy na prowincji, chyba zwariowałbym z nudów. I tak o mało mnie to nie spotkało, a bywam tam raptem dwa miesiące w roku.

– Fakt, niezbyt to rozrywkowe – przytaknął Gabriel. – Mimo to po dwóch dniach w mieście mam chęć tam wrócić.

– Tam jesteś zdany na siebie. Tu, w Dellaire, masz dostęp do znacznie lepszej biblioteki.

– No tak, wiem, że masz swoje priorytety... – rzucił ironicznie Gabriel. – Spokojnie, załatwimy szybko tę sprawę i będziesz mógł znów zająć się tym, co kochasz.

– I dobrze. Zgodziłem się tu przyjść tylko dlatego, że brakuje wam ludzi. Bieganie po rewirze to nie moja bajka.

Gabriel, marszcząc lekko czoło, zwrócił się ku Lore. Ta, gdyby była nieco naiwniejsza, mogłaby wziąć wyraz jego twarzy za współczujący.

– Oto chyba w czym problem, Malcolmie – powiedział po chwili. – Skoro my wyczuwamy tu tyle Mortemu, to pomyśl tylko, ile musi go wyczuwać ona.

– Za dużo – próbowała odpowiedzieć, ale przez knebel z jej ust dobiegł tylko charkot.

Obaj mnisi wzdrygnęli się na jej głos. Mieli takie miny, jakby nagle odezwał się do nich mebel. Sama Lore za to ledwie była świadoma, że udało jej się wydobyć z siebie jakikolwiek dźwięk. Głowę miała wciąż pełną śmierci, a jej układ nerwowy dygotał po przytłaczającym doświadczeniu entropii.

Gabriel skinął głową, jakby zapadła właśnie jakaś decyzja. Malcolm spojrzał na niego zdezorientowany.

– Nie rozumiem... – zaczął powoli. – Czy to może boleć? Niektórzy mówili mi, że odczuwają pewien dyskomfort. Ja sam czuję najwyżej lekkie odrętwienie.

– Tak, może – odparł Gabriel. W jego głosie pobrzmiwało przygnębienie. – Czasem naprawdę boli.

Przez twarz Malcolma przemknął wyraz zdradzający coś pomiędzy strachem a zazdrością. Mnich raz jeszcze potarł o siebie zabliznionymi rękoma.

Gabriel przeszedł teraz na drugą stronę pokoju i przyklęknął obok krzesła, na którym siedziała Lore. Nawet w takiej pozycji czubek jego głowy znajdował się niemal na wysokości oczu dziewczyny. Jego krótko ostrzyżone włosy niosły ze sobą zapach kościelnego kadzidła. Znowu poczuła wewnętrzne napięcie. Kolejny raz coś dawało jej znać, że miała już z tym człowiekiem do czynienia.

Gabriel sięgnął delikatnie za głowę Lore. Rozwiązał knebel, a ten zaraz wysunął się z jej ust.

– Posłuchaj – zaczął cicho, lecz tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Czucie śmierci nosi się w umyśle. Można je zablokować.

– Jak? – spytała Lore, wciąż mając w ustach posmak skisłej bawełny.

Za Gabrielem z rękoma skrzyżowanymi na piersi stał Malcolm. Wyraz jego twarzy sugerował, że jest w jednakowym stopniu zaintrygowany i zaniepokojony.

– To wszystko jest w twojej głowie. – Spojrzenie niebieskiego oka było surowe. – Jeśli czegoś nie chcesz, to nie pozostanie tam. Sprawisz, że zniknie. – Mówił tak, jakby wygłaszał często powtarzaną lekcję.

Lore próbowała się zaśmiać, ale szpony paniki były wciąż zatopione w jej ciele. W rezultacie zabrzmiała tak, jakby zaczynała szlochać.

– Będziesz mi chyba musiał rozpisać instrukcję krok po kroku – odparła.

Gabriel skinął głową, jakby w jej życzeniu nie było absolutnie nic nadzwyczajnego.

– Wyobraź sobie mur – zaczął. – Gruby, skutecznie tłumiący dźwięki. Wyobraź sobie zaporę wokół swojego umysłu. Uczyn ją tak solidną, żebyś miała wrażenie, że możesz jej dotknąć. Gdy już to zrobisz, przestań po prostu wpuszczać za nią czucie śmierci. Nie da się przecież nie być go świadomym, zwłaszcza gdy włada się takimi ilościami Mortemu. Nie musisz ulegać czuciu śmierci. Nie musisz być mu posłuszna.

Brzmiało to podejrzenie prosto, ale w końcu tonący brzytwy się chwyta. Lore zamknęła szczelnie oczy i wyobraziła sobie mur. Z początku zobaczyła konstrukcję z kamienia, ale zaraz odepchnęła od siebie tę wizję – kamiennych murów miała dość na resztę życia. Kamień był przy tym martwy, a na śmierć też napatrzyła się już aż nadto. Wyobraziła więc sobie drzewa: szpaler potężnych pni rosnących jeden tuż obok drugiego.

Lore nigdy nie widziała z bliska lasu. Jej dar nie pozwalał jej oddalać się zbyt od katakumb, w Dellaire zaś żadnego lasu nie było. Ot, najwyżej kępa równo przyciętych drzewek w co zamożniejszych dzielnicach. Potrafiła go sobie jednak wyobrazić – prawdziwy, zielony i gęsty.

Zapora, którą stworzyła wokół umysłu, nie była więc murem. Wyobraziła sobie siebie wśród potężnych drzew. Wokół panował spokój, a niebo nad jej głową było niebieskie. Czuła przy tym woń ognia, która okazała się zadziwiająco kojąca. Wszystko w tej wizji wydawało się Lore naturalne i na miejscu – jakby las od dawna na nią czekał.

Już po chwili wrażenie bezpośredniego obcowania ze śmiercią zaczęło ustępować. Przestało być przytłaczające, a zaczęło przypominać raczej cichy szmer w tle.

Lore otworzyła oczy i natychmiast poczuła na sobie świdrujące spojrzenie mnicha. Jego oko wydawało się teraz jeszcze bardziej niebieskie.

– Dzięki – rzuciła. Miała chęć dodać coś kaśliwego, bo pomoc tuż przed posłaniem jej na stos była czymś szczególnie sadystycznym. Ale nic poza zdawkowym podziękowaniem nie przyszło jej na myśl.

Gabriel raz jeszcze skinął głową.

– Przyda ci się to.

Lore ponownie wydała z siebie coś przypominającego śmiech.

– Spalą mnie za nekromancję. Raczej nie będę już mieć okazji kierować Mortemem – odparła cierpko.

Mnich zmarszczył brwi ponad opaską, a Lore nie wiedziała, jak rozumieć wyraz jego twarzy. Tak czy owak, Gabriel w żaden sposób nie odniósł się do tego, co może ją czekać. Sięgnął po zdjęty niedawno knebel.

– Wytyczne najwyższego kapłana – odezwał się przepaszającym tonem. – Będę musiał założyć ci go z powrotem.

Lore była zbyt zmęczona, by stawiać opór. Skinęła tylko głową, a Gabriel ostrożnie umieścił knebel w jej ustach. Poczowała, że tym razem zostawił jej więcej luzu. Następnie wyprostował się i stanął obok Malcolma. Z twarzy drugiego z mnichów również trudno było cokolwiek wyczytać.

– To konieczne? – wymamrotał. – Żeby... wygaszać czucie Mortemu? – Malcolm zerknął na przepaskę na oku Gabriela, po czym zaraz odwrócił wzrok, jakby się zawstydział.

– Czasem tak. Techniki z zaporą nauczył mnie Anton, tuż po tym, jak zostałem wtajemniczony. – Gabriel zawiesił głos i podrapał się po skórze przy opasce. – Odniosłem prawie tak samo poważny uraz jak on, więc wiedział, że mam ogromny potencjał władania Mortemem.

Malcolm pokręcił głową i jakby na potwierdzenie podrapał się po oku.

– Jasna cholera...

Gabriel nie odpowiedział, za to Lore aż się wzdrygnęła. Członkowie Presque Mort nabywali zdolności kierowania Mortemem w taki sam sposób, jak wszyscy inni: na chwilę umierali. Działo się to zwykle na skutek wypadku, urazu lub choroby. Jako że kierowanie Mortemem było wbrew świętym prawom, osoba, która wyszła cało z takiej sytuacji, miała dwa wyjścia: za wszelką cenę unikać Mortemu lub wstąpić do Presque Mort. Sposób otarcia się o śmierć nie był tu bez znaczenia. Ci, którzy dobrowolnie – z pomocą handlarzy – faszerowali się śmiercią, nie mogli kandydować na mnichów, ponieważ członkowie Presque Mort stanowili formalnie część kleru.

Przez kilka lat tuż po Boskim Upadku istniało jeszcze jedno wyjście. By z niego skorzystać, należało zaszyć się pod ziemię, w najgłębszych tunelach katakumb. To tam służyła Straż Grobowa. Na jej temat nie mówiono już jednak od dawna – co najmniej od czasu, gdy ostatnia uznawana przez Kościół kapłanka nocy postradała rozum.

Malcolm wskazał kciukiem w stronę drzwi.

– Kiedy ma tu przyjść?

– Lada chwila – odparł Gabriel, krzyżując ręce na piersi. – Musiał po drodze zgarnąć informatora, żebyśmy mogli się upewnić, że mamy właściwą osobę.

– Mamy, to akurat pewne. – Malcolm zaśmiał się pod nosem.

Lore zmarszczyła brwi. Knebel w jej ustach nadał grymasowi na jej twarzy groteskowy wygląd.

Informatora? Jakiego informatora?

Wtem otworzyły się drzwi. Jako pierwszy pojawił się w nich starszy mężczyzna o srebrzystosiwych włosach, ubrany w powłóczystą białą szatę. Na szyi miał wisior w kształcie serca, z którego biły promienie, a jego wierzchołek ozdobiony był granatem oszlifowanym na kształt łyzy. Gdy mężczyzna zwrócił się w jej stronę, Lore aż przygryzła knebel.

Połowa jego twarzy była niemal anielsko urodziwa. Drugą połowę natomiast szpeciły blizny po poparzeniach, które z upływem lat nabrały ciemnopurpurowego

odcienia. Wiły się od podbródka aż po linię włosów, a ich układ w pobliżu ust sprawiał, że mężczyzna wyglądał, jakby cały czas szyderczo się uśmiechał.

O tej twarzy Lore słyszała nieraz, nie sądziła jednak, że kiedykolwiek zobaczy ją z bliska. Stał przed nią Anton Arceneaux, najwyższy kapłan, głowa Kościoła i naczelnik Presque Mort. Brat bliźniak króla Augusta.

Tuż za nim do pomieszczenia weszła kobieta o blond włosach owiniętych znajomo wyglądającą chustką. Nie spojrzała na Lore, nawet gdy ta na jej widok wydała z siebie pełen zdumienia i niedowierzania odgłos.

Val.

Nie, to nie mogło dziać się naprawdę. Lore musiała wciąż być odurzona Mortemem i chloroformem. Krwawiący Bóg musiał igrać z jej umysłem, podsuwając tę wizję rodem z koszmaru.

Val się wzdrygnęła.

– Nie musieliście jej kneblować – rzuciła ostro, posyłając najwyższemu kapłanowi gniewne spojrzenie. – Co jest? Boisz się, że zacnie się nabijać z twojej twarzy?

Kapłan uniósł tylko jedną nieokaleczoną brew.

– Nad nami, w Sanktuarium Południowym, wierni zanoszą prośby. – Jego ton był jedwabisty i wyrafinowany, jak przystało na brata świętego króla. – Kościół jest wypełniony po brzegi, ponieważ szykujemy się na wieczorny ingres mojego bratanka. Nie chcę, by zgromadzonym cokolwiek przeszkodziło.

– Więc zagroź jej, że ją dźgniesz, jeśli zacnie hałasować. – Val stała dokładnie pomiędzy wyobrażonymi na gobelinie rękami Krwawiącego Boga. Wyglądało to tak, jakby witał ją, zadowolony z faktu, że wywiązała się z zadania. – Nie knebluj jej.

Po chwili ciszy najwyższy kapłan skinął głową. Gabriel natychmiast podszedł do Lore i rozwiązał kneble.

– Wybacz – powiedział cicho i się odsunął.

Z wolnymi ustami Lore nadal jednak nie miała nic do powiedzenia. Odebrało jej mowę. Siedziała tylko i niemo gapiła się na Val.

Ta zaś nadal unikała jej spojrzenia.

– To ona – powiedziała tylko znużonym tonem. – Tak jak mówiłam. – Skierowała teraz swoje penetrujące spojrzenie na Antona. – Tyle ci wystarczy?

Kapłan raz jeszcze skinął głową.

– Odzyskasz swoje zapasy – powiedział po chwili. – Akt ułaskawienia możesz w dowolnej chwili odebrać u sędziego dla Okręgu Północno-Zachodniego. – Tu

zdrowy kącik jego ust powędrował ku górze. – Pierwsza handlarka trucizną uznana przez dwór. Taki zaszczyt...

– Niech cię szlag – mruknęła Val.

– I ciebie – syknęła Lore. Smutek potrafiła głęboko ukryć, za to gniew był przydatnym narzędziem, którym mogła się posłużyć. – Zachciało ci się korsarstwa, Val?! Sprzedałaś mnie za *kontrakt*?

Spodziewała się jadowitej odpowiedzi, lecz Val tylko zwiesiła ramiona.

– Nie miałam wyboru – odpowiedziała. – Wiedzieli o Cedricu.

Palce Lore już zdążyły zdrętwieć od więzów, ale na słowa Val odrętwienie rozlało się po jej kręgosłupie i piersi.

Val, ze łzami w oczach, w końcu na nią spojrzała.

– Myszko...

– Nie mów tak do mnie – przerwała jej Lore.

„Myszka z podziemi” – tak nazwała ją Val, jeszcze jako dziewczynkę. Po części dlatego, że włosy Lore nie mogły się zdecydować, czy są złote, czy brązowe, i zatrzymały się gdzieś pośrodku, a po części – że Mari znalazła ją u wylotu katakumb. Lata mijały, Lore dorosła, ale i tak pozostała „myszką”.

– Mari wie? Ona też uznała, że dla kontraktu warto skazać mnie na śmierć?

Usta Val były spierzchnięte. Na moment kobieta przymknęła oczy.

– Wyjaśnię to Mari – odparła, podnosząc powieki. – Zrozumie.

– To ma szczęście. – Głos Lore zaczynał się łamać. – Bo dla mnie to, kurwa, niepojęte.

Val westchnęła, a po chwili podeszła do krzesła i przykucnęła naprzeciw Lore. Uniosła dłoń, jakby chciała pogłodzić jej włosy, ale dziewczyna natychmiast odwróciła twarz.

– Wiem, jak to wygląda – zaczęła Val łagodnie. – Ale zrozum, że to dla ciebie szansa. Tu będziesz bezpieczniejsza, niż kiedykolwiek byłabyś u nas.

Lore nie odpowiedziała. Wbiła wzrok w gobelin i wpatrywała się w niego, aż barwy zaczęły zlewać się przed jej załzawionymi oczami.

Po dłuższej chwili Val odsunęła się od niej i wyszła, cicho zamykając za sobą drzwi.

– O ile to coś dla ciebie znaczy – odezwał się kapłan, który usiadł naprzeciw niej na krześle podstawionym przez Gabriela – nikt tutaj cię nie okłamał. Naprawdę nie chcemy zrobić ci krzywdy, Lore.

– Więc czego chcecie? – spytała wciąż nieco drżącym głosem. Czuła się, jakby jej gardło było z kamienia. Ciężko przełknęła ślinę.

Na twarzy Antona pojawił się delikatny uśmiech.

– Potrzebujemy pomocy – odparł. – I wygląda na to, że ty jedna możesz nam jej udzielić.

Rozdział 4

Sztylet daj temu, który zdoła najszybciej cię pchnąć.

Przysłowie kiryteańskie

Lore przez krótką chwilę milczała, po czym wybuchła szorstkim śmiechem. Wciąż czuła w ustach posmak bawełnianego knebla. Zwiesiła głowę i śmiała się tak mocno, że omal nie zaczęła płakać.

– Chcecie mojej pomocy? – wykrztusiła z siebie w końcu. Pulsowały jej skronie. Z powodu chloroformu dostała solidnego bólu głowy, gorszego nawet niż na kacu. – Myślałam, że kapłanowi nie trzeba tłumaczyć takich rzeczy, ale proszenie o pomoc nielegalnej mortemistki to nie lada herezja.

Anton wyglądał na niemal rozbawionego, oczywiście po tej stronie jego twarzy, która wciąż mogła przybrać jakiś wyraz.

– Herezja jest wybaczalna, o ile służy wyższemu dobru – odparł.

Z twarzy widocznego za Antonem Malcolma nadal nie dawało się nic wyczytać. Stał nieruchomo, skrzyżowawszy na piersi pokryte bliznami ręce. Gabriel natomiast na dźwięk słowa „herezja” jakby lekko się skrzywił.

– Krwawiący Bóg wie, z czym się zmagamy, i udziela nam błogosławieństwa, byśmy w jego służbie robili, co konieczne – ciągnął kapłan jedwabistym barytonem. Brzmiał, jakby wygłaszał słowa modlitwy. Zresztą kto wie, może tak właśnie było. Księga Modłów była opasła jak cholera i dało się w niej chyba znaleźć zapis dosłownie na każdą okazję. – Rzec można, że to właśnie istota działań Presque Mort. Zanurzamy się w mrok, wiedząc, że ostatecznie zostanie on przewyciężony przez światło. Tak jak Pochowana Bogini została przewyciężona przez chwałę Krwawiącego Boga.

W praktyce aż tak różowo to nie wyglądało. Mortem wciąż przecież sączył się z ciała bogini...

– Jeśli wymyśliliście sobie, że dołączę do tej waszej sekty, to moja odpowiedź brzmi: nie – odparła Lore stanowczo.

Teraz to Anton zaśmiał się w głos. Jego śmiech był równie elegancki jak sposób, w jaki się wysławiał.

– Ależ nie – odparł rozbawiony. – Bynajmniej nie tego chcemy. Jako członkowie Presque Mort mogą sprawdzić się jedynie osoby... o bardzo szczególnym temperamencie.

Lore posłała mu błogi uśmiech.

– Poza tym jestem za ładna – rzuciła.

Malcolm odwrócił się, wyraźnie starając się nie uśmiechnąć. Gabriel nie zareagował, wciąż tylko wpatrywał się w Lore swoim niebieskim okiem. Anton tymczasem uniósł brew w ironicznym grymasie.

– Istotnie, nie nosisz na sobie blizn. Twoja zdolność władania Mortemem nie zrodziła się z wypadku. Różnisz się pod tym względem od nas.

Jak na gust Lore Anton nieco za bardzo zbliżył się do prawdy na jej temat. Mnisi najwyraźniej potrzebowali jej do czegoś, byli więc gotowi przymknąć oko na jej moc, co nie zmieniało faktu, że wołała nie mówić o tym, czemu tę moc zawdzięczała. Lore nerwowo poruszyła się na krześle.

– Więc do czego jestem wam potrzebna? – spytała.

Z twarzy Antona zniknął ślad rozbawienia.

– Słyszałaś zapewne o wiosce?

Słyszał o niej chyba każdy. Lore również.

Skinęła głową.

– Co dokładnie? – dociekał Anton.

– Właściwie to niewiele. – Uniosła za plecami ręce, na ile pozwalały jej więzy, i poruszyła palcami. – Przypomniałabym sobie więcej, gdybyście mnie rozwiązali.

Anton zareagował pełnym spokojem. Skinął ręką na Gabriela, a ten zaraz pochylił się i uwolnił ją z więzów. Gdy się zbliżył, znów poczuła kadzidło.

Uwolniona Lore nachyliła się na krześle i rozruszała nadgarstki. Gdy zauważyła, jak bacznie przygląda jej się Malcolm, uniosła ręce jak do poddania się.

– Nie mam broni, nie spinaj się tak.

Nie usłuchał.

– To nie o broń się martwię.

– Kierowałaś już Mortemem – odparła Lore, otwierając i zamykając dłonie. – Wiesz, że to nie bułka z masłem. Wcale mi się nie spieszy do powtórki.

Malcolm jeszcze raz spojrział na nią badawczo, po czym nieco opornie skinął głową.

Lore, już trochę mniej obolała, opadła na oparcie krzesła.

– Słyszałam, że z dnia na dzień wymarła cała wieś. Shademount, na południowym wschodzie.

Shademount było jednym z najmniejszych auverrainskich osiedli. Bardziej niż miejscowością – należałoby je nazwać posterunkiem. Był to najdalej wysunięty skrawek Auverrainie przed granicą Belgii – niewielkiego księstwa wchodzącego obecnie w skład Imperium Kiryteańskiego. Lore, rzecz jasna, nigdy tam nie dotarła. Piła natomiast kiedyś warzone w Shademount piwo, bardzo smaczne, choć teraz zapewne nie miał go już kto robić...

– Zmarli nie mieli żadnych ran ani znamion – ciągnęła po chwili. – Żadnych śladów otrucia czy choroby. Podobno wyglądali, jakby po prostu pozasypiali. Niektórzy uważają, że spotkał ich taki los, bo popadli w niełaskę Apolliusza.

– A ty? Co uważasz? – Anton splótł palce na wysokości piersi jak nauczyciel odpytujący uczennicę.

– Moim zdaniem to głównie plotki. Może ktoś tam faktycznie zachorował i zmarł z dnia na dzień, może nawet szlag trafił całą rodzinę. Ale żeby cała wioska? Pieprzenie.

– To nie „pieprzenie” – odparł Anton spokojnie. Był kapłanem, ale najwyraźniej przekleństwa nie robiły na nim wrażenia. – To wszystko prawda. – Tu zawiesił głos. – Teraz zresztą to już nie jedna wioska, lecz dwie – kontynuował po chwili. – To samo wydarzyło się dwie noce temu w Orlimar. To wieś pod granicą Erokki, trochę większa niż Shademount.

Kolejna wioska na południowym wschodzie i kolejna pod granicą kraju podbitego przez imperium. Lore nerwowo przełknęła ślinę.

W oku Antona pojawił się błysk. Wyraz jego twarzy przez ułamek chwili zdawał się mieć w sobie coś złowieszczonego. Zaraz jednak wszystko wróciło do normy – Lore znów ujrzała przed sobą maskę dyplomatycznej uprzejmości. Stojący za kapłanem Gabriel i Malcolm mieli nieprzeniknione wyrazy twarzy. Tylko Gabriel raz po raz sięgał dłonią do opaski, jakby czuł pod nią swędzenie.

– Interesujące – odezwała się w końcu Lore. – Tylko wciąż nie mam pojęcia, jak miałabym wam pomagać.

– Tak samo, jak dziś rano pomogłaś swojemu pechowemu kopytnemu kompanowi – odparł Anton. – Miałabyś dokonywać wskrzeszeń. – To ostatnie słowo poniosło się echem po pomieszczeniu, jakby ktoś wrzucił kamień do studni.

Lore aż otworzyła usta ze zdumienia. Zapomniała nawet o mrowieniu towarzyszącym powracaniu krążenia.

– No ale... – Pokręciła głową, usiłując pozbyć się wywołanego chloroformem bólu głowy. – Ja naprawdę nie robię tego często – dodała po chwili. – Poza tym mam potem straszny zjazd. Wolałabym się w to nie bawić.

– Zrobiłaś to więcej niż raz. – Anton skinął dłonią w taki sposób, jakby gratulował jej sukcesu. – Taka umiejętność nie ulatuje ot tak z człowieka. Nie wolisz posługiwać się nią w służbie korony i Kościoła, niezagrożona stosem?

Jakkolwiek łagodny był jego ton, Anton wprost jej groził. Lore odruchowo naparła plecami na oparcie krzesła, starając się jak najdalej odsunąć od najwyższego kapłana. Blizny na jego twarzy drgnęły, a po chwili pojawił się okrutny uśmiech.

– Kto ma mroczne talenty, ten winien używać ich w zbożnej sprawie.

– A wy sami czasem ich nie macie? – Lore zaśmiała się nieufnie. – Nie może się tym zająć któryś z was? Władacie przecież Mortemem, tak? Po to w sumie jesteście. – Wykorzystała fakt, że jej ręce nie były już skrępowane, i błyskawicznie wycelowała palec wskazujący w Gabriela. – On *czuje* Mortem! Ktoś w tej waszej sekcie na pewno potrafi wskrzeszać. Mnie w to nie mieszajcie!

Gabriel przymrużył swoje zdrowe oko.

– Nekromancja jest poza naszym zasięgiem.

– A tu trzeba właśnie nekromanty. – Granat zdobiący wisior Antona zaśnił w blasku świec, gdy kapłan poruszył się na krześle. – Owszem, mnisi Presque Mort potrafią kierować Mortemem, ale żaden z nas nie potrafiłby dokonać wskrzeszenia. Nie tak jak ty.

Nasuwały się dwa logiczne pytania: jak i po co Lore miałyby to robić? Nikt jednak nie kwapił się, by na nie odpowiedzieć. Cała czwórka przez moment siedziała w ciszy. Twarze Antona i Malcolma były całkowicie nieporuszone, twarz Gabriela – lekko ściągnięta. Po chwili stało się jasne, że to Lore musi odezwać się pierwsza.

– Wciąż nie rozumiem jednego – zaczęła z westchnieniem. – Załóżmy nawet, że to zrobię. Jak niby pomoże wam to ustalić, co się zdarzyło w tych wioskach?

Anton wzruszył ramionami i odpowiedział takim tonem, jakby odpowiedź była absolutnie oczywista.

– Wskrzesisz ofiary i zapytasz je, co się stało.

Lore na samą myśl o tym aż się wzdrygnęła. Już wskrzeszenie konia to było dla niej nadto. Gardło do teraz miała podrażnione po z wymiotowaniu kawy. Wciąż

wracał do niej widok mrugających ciężko powiek martwego zwierzęcia. Człowieka więcej wskrzeszać nie zamierzała. Nigdy, przenigdy.

– Nie będę... – zaczęła.

– To nie trwałoby długo. – Najwyższy kapłan nie dał jej dokończyć. – Zmarli nie muszą nawet wstawać.

Lore nie miała już czym wymiotować, ale i tak poczuła, jak przewraca jej się w żołądku.

– Potrzebujemy tylko – ciągnął Anton – żebyś wskrzesiła zmarłych na moment. Muszą jedynie opowiedzieć, co się stało. Chcemy w ten sposób ustalić, co ich spotkało.

– A jeśli odmówię? – Lore starała się zabrzmieć buntowniczo, ale wyszło jej to dość żałośnie.

– Wtedy wybór jest następujący: stryczek, stos albo Wyspy Popielne. – Kapłan wzruszył ramionami, jakby było mu najzupełniej obojętne, na którą z opcji padnie. – Podobno na wyspach kopią coraz więcej i głębiej. Tworzą rezerwy, na wypadek gdybyśmy stracili kopalnie na rzecz Kiryteańczyków. Przyda im się kolejna para rąk. – Powiedział to z lekceważeniem, po dworsku wymawiając samogłoski.

Lore zacisnęła zęby i przełknęła ciężko ślinę, próbując zapanować nad burzą w żołądku.

– Pomyśl tylko o tych wszystkich, którym byś pomogła – włączył się Gabriel, świdrując Lore spojrzeniem niebieskiego oka. Miał taką minę, jakby przekonywanie jej wymagało od niego walki z samym sobą. Mierziło go chyba, że musi przymilać się do wyciągniętej z rynsztoka kurierki, która w ogóle nie powinna się była znaleźć w jego kościele. – To już dwa zdarzenia – ciągnął – a mamy podstawy sądzić, że na tym się nie skończy. Obie miejscowości znajdują się pod naszą granicą z Kiryteą. Nie muszę ci chyba tłumaczyć, co to oznacza.

Rzeczywiście nie musiał. Relacje Auverraine z Imperium Kiryteańskim od zawsze były napięte. Poprzedni cesarz, Ouran, podbił za swojego życia przeszło połowę kontynentu eneańskiego, przez co terytorium jego państwa sięgnęło południowo-wschodnich krańców Auverraine. Obecnie na tronie zasiadał jego syn Jax i nikt nie był w stanie przewidzieć, czy podtrzyma on kruchy rozejm zawarty za czasów ojca. Nie wróżyły tego raczej ponawiane wypadki Kiryteańczyków na Wyspy Popielne, które Auverraińczykom udało się utrzymać przez całe panowanie Ourana.

Anton skinął głową, ukradkowo posyłając Gabrielowi spojrzenie pełne aprobaty.

– Gabriel ma rację. Tu nie chodzi o byle nietypowe zdarzenie czy zaspokajanie naszej ciekawości. W grę wchodzi bezpieczeństwo naszego kraju.

– Przeceniacie chyba mój patriotyzm – odparła Lore.

– To nie kwestia patriotyzmu, tylko niedopuszczenia do wojny. – Blizny na twarzy Antona naprężyły się, gdy przymrużył zdrowe oko. Wyglądało na to, że przychodzi mu to z trudem ze względu na ból. – Wiesz przecież, co stanie się w razie konfliktu. Najwyższej ceny za wojnę nie zapłacą możni w Cytadeli, ale prosty lud. Wieśniacy i miejski plebs roznoszący truciznę. Ludzie tacy jak ty. – Powiedział to takim tonem, jakby był realnie zatroskany. Lore miała nadzieję, że istotnie był.

Gabriel odwoływał się do jej poczucia wyższego dobra – czy w ogóle je miała? – Anton zaś do jej instynktu samozachowawczego. Z jednej strony szantaż, z drugiej śmierć.

– I tu przechodzimy do drugiej części twojego zadania – powiedział nagle najwyższy kapłan. Można było odnieść wrażenie, że realizuje precyzyjnie przemyślany scenariusz. – Nekromancja to niejedyna twoja umiejętność, która będzie nam przydatna. Jesteś przecież także znakomitym szpiegiem.

– „Znakomitym” to chyba lekka przesada – mruknęła Lore.

– Mamy podstawy sądzić – kontynuował Anton niezrażony – że ktoś z grona dworzan Cytadeli przekazuje informacje Kiryteańczykom. Niewykluczone, że robi to sam Książę Słońca.

Lore zrobiła wielkie oczy.

– Że co, kurwa? Mam szpiegować *Księcia Słońca*?

– Masz tylko trzymać się blisko niego – odparł Anton z wymownym gestem. – Jesteś dość atrakcyjną kobietą, a Bastian lubi otaczać się ładnymi ludźmi. Gdy już dołączysz do dworu, wkupienie się w jego łaski nie powinno sprawić ci trudności.

Lore rozumiała każde pojedyncze słowo, ale trudno było jej pojąć, o czym właściwie najwyższy kapłan mówi.

– Że... ja? Do dworu?

– Wszystko stanie się dla ciebie jaśniejsze, kiedy pomówimy z moim bratem. – Anton popatrzył w górę tak, jakby potrafił przejrzeć strop na wylot i ocenić godzinę na podstawie położenia słońca. – Nie powinniśmy z tym dłużej zwlekać. Za kilka godzin zaczyna się ingres. – Powiódł po Lore spojrzeniem zdrowego oka. Urodziwa część jego twarzy tchnęła spokojem. – A więc co wybierasz? Dwór czy kopalnię?

Takie postawienie sprawy nie dawało tak naprawdę możliwości wyboru.

– Dobra, zrobię to – odpowiedziała.

Gabriel wyglądał, jakby nieco mu ulżyło.

Anton skinął powoli głową – dokładnie takiej odpowiedzi oczekiwał.

– Zatem zapraszam – powiedział, kierując się ku drzwiom. – Święty król nie lubi na kogoś czekać.

Rozdział 5

Gdy zaś Nyxara, żądna władzy, ośmieliła się porwać na należne Apolliuszowi miejsce, ten cisnął nią w dół, ponad morzem i Złotą Górą, która była im domem, i mimo Źródła Źródeł, które uczyniło ich bogami. W miejscu, gdzie spadła, ziemia stała się węglem. Gdzie zaś On krwawił, obrodziła klejnotami niczym kwieciem. Odtąd nazywano ich Pochowaną Boginią i Krwawiącym Bogiem.

Księga Praw Świętych, Rozprawa 3

Obszerna męska koszula i ubłocone spodnie najwyraźniej nie były odpowiednim strojem na audiencję u jego wysokości Augusta Arceneaux, świętego króla i pomazańca Apolliusza. Gdy tylko Lore opuściła pokój przesłuchań, Anton skinął na nią i wskazał niewielki boczny korytarz.

– Daj jej coś z darów – powiedział do Gabriela. – Znajdź coś stonowanego w odpowiednim rozmiarze.

Po chwili Lore znalazła się w olbrzymiej garderobie pełnej wymyślnych szat, których próżno byłoby szukać poza Cytadelą. Zaraz okazało się też, że „coś stonowanego” znaczy dla Antona coś zupełnie innego niż dla niej. Kiecka z bladolawendowego tiulu w pierwszej chwili wyglądała obiecująco, ale tylko do momentu, gdy Gabriel wydobył ją spod gąszczy nedorzecznie luksusowych strojów i Lore mogła przyjrzeć jej się w całości. Zdobny w pióra gorset wyglądał tak, jakby wzorowano go na korpusie pawia.

Z niedowierzaniem spojrzała na kreację, po czym zwróciła się do stojącego w drzwiach Gabriela.

– To wszystko na dary?

Zwrócony tyłem do niej mnich skinął głową. Jego szerokie ramiona wypełniały niemal całą szerokość futryny.

– Dwór rozumie, że sytuacja poza murami... odbiega od ideału. Mieszkańcy Cytadeli starają się w ten sposób pomóc.

„Odbiega od ideału”, naprawdę nieźle ujęte. Podatki nakładane na zwykłych Auverrainczyków rosły z roku na rok pod pretekstem ochrony państwa przed

zakusami Kirytei i nie tylko, tymczasem daniny płacone przez dworzan były bliskie zera.

Lore sięgnęła po kolejną sukienkę – ta dla odmiany miała krój opinający aż po biodra, a poniżej rozkloszowanie ozdobione czymś, co przypominało rybie łuski.

– O ile któreś z tych ciuchów nie są jadalne, to ludziom gównu to wszystko da. Nikomu na dworze nie przyszło do głowy, żeby wspomóc poddanych pieniędzmi, zamiast obnosić się z tą „zabójczą” modą?

Gabriel zaśmiał się cicho.

– Arystokraci lubią robić akurat tyle, by mieć poczucie, że pomagają. Rzadko zdobywają się na cokolwiek więcej. Moda zmienia się szybko, a łatwiej oddać strój, w którym ktoś nie chce się już pokazywać niż przechowywać go w nieskończoność w garderobie.

Lore uniosła brwi. Choć Gabriel starał się to ukryć, w jego głosie dało się wyczuć jad.

– Chyba dobrze znasz dwór – powiedziała.

Na moment zapadła cisza. U Gabriela ten temat najwyraźniej powodował dyskomfort. Dopiero po chwili lekko wzruszył potężnymi ramionami.

– Lepiej, niżbym chciał – odparł zdawkowo.

Lore zdjęła tymczasem z wieszaka najmniej ostentacyjną sukienkę, jaką udało jej się znaleźć. Uszyto ją z ciemnozielonego aksamitu i wyglądało na to, że dziewczyna zdoła się w nią zmieścić w biodrach i w biuście.

Zsunęła z siebie koszulę. Gdy ta upadła cicho na posadzkę, Gabriel aż zeszywniał.

Uśmiechnęła się szelmowsko.

Sukienka była nieco przyciasna, ale Lore straciła już nadzieję, że znajdzie cokolwiek lepszego. Gdy skończyła się ubierać, trąciła Gabriela w ramię, dając mu znać, że mogą iść.

– Dzentelmen z ciebie – powiedziała, gdy szli korytarzem w stronę czekających na nich Antona i Malcolma. Dziwnie się czuła w świszczącym aksamicie. – Musi wam się nudzić w celibacie, a ty nawet nie próbowałeś podglądać.

Mnich jakby cicho się zakrztusił.

Cytadela jaśniała tak bardzo, że mogła przyprawić o ból oczu. Lore widziała dotąd tylko szczyty czterech wież, ledwie wystające ponad mury kościoła. Zobaczyć Cytadelę z bliska i od wewnątrz – to coś zupełnie innego. Budowla aż połyskiwała, a jej piętrzące się ku niebu zdobione srebrem wieże mieniły się w słońcu. Równomiernie rozmieszczone okna w łączących je murach wyglądały jak drogocenne kamienie, a szklany dach ponad dziedzińcem rozszczepiał światło niczym tęcza. Sama bryła była absolutnie potężna, a wzniesiono ją z marmuru, szlachetnych metali, szlifowanego drewna i drogocennych kamieni. Letnie miesiące spędzał tu cały dwór. Lore nasza myśl, że mogłaby chodzić po tej budowli rok i nie znaleźć drogi na zewnątrz.

Przy Cytadeli ciągnęły się ogrody – przynajmniej tu, pomiędzy głównym wejściem a południowym murem. Po jej drugiej stronie znajdowały się pola i stajnie, teren dorównujący powierzchnią dwóm razem wziętym okręgom Dellaire. Całość otoczono imponującymi fortyfikacjami. W równym stopniu, co świątynia Cytadela była twierdzą zdolną utrzymać plebs z dala.

Anton wprowadził ich teraz do ogrodu. Lore zdążyła się zorientować, że przyszli tu z Sanktuarium Południowego – tego przeznaczonego dla zwykłych zjadaczy chleba. O dobrych kilka kilometrów od nich, na przeciwległym krańcu Cytadeli, znajdowało się przeznaczone dla dworzan i możnych Sanktuarium Północne. Potężne kamienne mury dzielące teren Cytadeli na dwie odrębne części mieściły w sobie komory magazynowe i wirydarze, a zwieńczone były blankami – na wypadek oblężenia.

Pośród morza różowych róż wznosił się biały marmurowy posąg – kolejne wyobrażenie Krwawiącego Boga. Jego głowę zdobiła korona z promieniami, pozostałość z czasów pełnego panteonu, gdy on sam był jedynie bogiem światła, życia i dnia, a nie panem wszystkiego. Statuę Krwawiącego Boga otaczały puste cokoły. Lore naliczyła ich pięć, po jednym na każdego z dawnych patronów żywiołów – których ciała odnaleziono w różnych zagadkowych miejscach – i jeden, nieco wyższy, dla Nyxary. Ten ostatni stał najbliżej posągu Apolliusza.

Anton i Malcolm szli na przedzie, za nimi Lore, a jako ostatni – Gabriel. Żaden z mnichów nie zdawał się jednak szczególnie jej pilnować. I tak nie miała dokąd uciec, mogłaby najwyżej wrócić do kościoła.

– Jeśli kogokolwiek zobaczysz, spuść głowę. – Cichy głos Gabriela jakby pogładził ją po plecach. – Chyba że chcesz, by przez lata o tobie plotkowano. Nowa twarz na dworze to duża rzadkość.

– Może wymyśliliby na mój temat coś ciekawego... – odpowiedziała równie cicho Lore.

– Ciekawszego niż prawda?

– Też fakt. – Po chwili zerknęła na niego przez ramię. – Skoro twój szef chce, żebym zbliżyła się do księcia, to chyba i tak nie unikniemy plotek.

Gabriel przymrużył tylko oczy, ale nie odpowiedział ani słowem.

Drzewa nasadzono w ogrodzie w akurat takich odstępach, by ich układ dało się wziąć za niezaplanowany. Ławki osłonięto kwietnymi altanami zapewniającymi sporo prywatności. Lore w pewnym momencie dostrzegła ruch w jednej z nich. Ciekawość natychmiast wzięła w niej górę. Zapominając o radzie Gabriela, zmrużyła oczy i wyteżyła wzrok.

Zobaczyła ciemnowłosego mężczyznę nachylonego ku zwróconej do niego plecami kobiecie i szepczącego coś do niej. Gąszcz kwiatów uniemożliwiał wychwycenie zbyt wielu detali jego twarzy, jednak to, co udało się Lore zobaczyć, było... aż niedorzecznie piękne: wyraźnie zarysowana żuchwa, opalona na złoto cera, ciemne oczy. Odwróconej kobiecie jeszcze trudniej było się przyjrzeć. Lore udało się ustalić tylko tyle, że miała jasnobrązowe włosy i elegancki strój. Mężczyzna starał się ją chyba namówić, żeby go z siebie zdjęła – tak można by wnosić po tym, jak śmiało przesunął dłonią po jej udzie i musnął wargami ramię.

Obserwowany jakby poczuł na sobie spojrzenie dziewczyny, bo nagle podniósł wzrok i zerknął na nią przez gąszcz kwiatów. Tuż po tym zaś, wciąż wodząc ustami po łopatkę swojej towarzyszki... puścił do Lore oko.

Ta natychmiast odwróciła głowę.

Wartownicy strzegący wejścia do Cytadeli przepuścili ich bez słowa i skłonili głowy przed Antonem. Na potężnych dwuskrzydłowych drzwiach Lore dostrzegła złożone serca – identyczne z tym na wisiorze kapłana. Były wysadzane granatami, które mieniły się w słońcu barwą zbliżoną do koloru płaszczy wartowników.

Dotąd udawało jej się trzymać nerwy na wodzy. Gdy było trzeba, miała głowę na karku i zwykle potrafiła zachować spokój. Kiedy jednak zamknęły się za nią drzwi Cytadeli, poczuła, jak serce podchodzi jej do gardła.

We wnętrzu panował jeszcze większy przepych niż na zewnątrz. Wmurowane w ściany postaci podtrzymywały ikony z wizerunkami Apolliusza. Sączące się do środka promienie słoneczne rzucały złote refleksy na mahoniowe detale figur. Stropy pokryto barwnymi polichromiami przedstawiającymi bujny ogród pełen nagich

postaci odpoczywających w cieniu drzew i nad strumykami. Z sufitu w pewnych odległościach od siebie zwisały złote łańcuchy podtrzymujące ciężkie żyrandole.

Czymś, co wydawało się wybitnie nie na miejscu, były żelazne poprzeczki przecinające posadzkę. Zlicowano je idealnie z poziomem marmuru, ale Lore i tak nie chciała nastąpić na żadną z nich. Gdy tylko się do którejś zbliżała, wydłużała krok, na ile tylko pozwalała jej nieco ciasna sukienka.

– Ciekawy element wystroju... – skomentowała niemal szeptem. Wszechobecny przepych sprawiał, że odruchowo ściszała głos.

– Mają znaczenie symboliczne – odparł cicho Gabriel. – To przypomnienie, że Cytadela trzyma w ryzach Mortem, a dynastia Arceneaux rządzi z bożej łaski.

– Ostentacyjne to.

– Owszem, dosyć.

Po lewej stronie korytarza wisiał ogromny gobelin, niemal dorównujący mu długością. W jego górnym narożniku widniała postać Apolliusza wzbijającego się na świetlistych skrzydłach. Jedną z jego rąk wycelowana była w pierś spadającej ciemnej sylwetki. Tak jak na gobelinie w Kościele – i tu postać ta była ledwie zarysowana. Przywodziła na myśl dym lub chmurę. Jedyнным wyraźnym elementem była jej korona w kształcie półksiężyca. Poniżej lazurowy błękit wyszywanego obrazu przełamowały kontury w odcieniach brązu i zieleni – siedem wysp pośród wzburzonego morza. Skrajna wyspa archipelagu, najbardziej oddalona od patrzącego, wyraźnie górowała nad pozostałymi rozmiarem. Była to Złota Góra – do pewnego czasu wspólny dom Apolliusza i Nyxary.

Boski Upadek odmienił archipelag zwany od tego czasu Wyspami Popielnymi. Gdy Nyxara porwała się na życie i władzę Apolliusza, ten strącił ją z nieba. Po upadku bogini na jednej z wysp powstał głęboki krater. W pozostałych również pojawiły się pęknięcia. Jeśli wierzyć Księdze Praw Świętych, to właśnie dzięki temu na archipelagu wydobywano takie ilości kamieni szlachetnych i cennych metali. Bogowie mieli jakoby krwawić bogactwami. Wygodna narracja.

Lore przystanąła i przyjrzała się gobelinowi. Dziwnie było zobaczyć wszystkie siedem wysp. W rzeczywistości dym wzbity przez Boski Upadek spowijał każdą z nich poza dwiema pierwszymi. Złota Góra natomiast niemal z pewnością była tylko mitem. Niezliczeni śmiałkowie, którzy próbowali ją odnaleźć, na zawsze przepadli w dymnym obłoku unoszącym się nieprzerwanie nawet po pięciuset latach.

Ktoś delikatnie dotknął jej łokcia. To Gabriel dawał jej znać, że muszą iść dalej. Wskazał przy tym na Antona i Malcolma, którzy zbliżali się właśnie do zakrętu korytarza.

Lore oderwała wzrok od Apolliusza i Nyxary i ruszyła przed siebie.

Za załomem korytarza wyłoniły się masywne dwuskrzydłowe drzwi, jeszcze zdobniejsze niż te w głównym wejściu. Po obu stronach stali krwawi, którzy jak na komendę kłaniali się przechodzącemu Antonowi. Ten jednak nie zwracał uwagi na kolejne pary wartowników. Zmierzał równym krokiem w stronę drzwi, które otworzyło przed nim na oścież dwóch ostatnich gwardzistów.

Sala tronowa robiła jeszcze większe wrażenie niż reszta Cytadeli. Była ogromna – bez trudu można by w niej urządzać bankiety. Na ścianach widniały złote frezy przechodzące w eleganckie łuki poniżej przeszklonego kopułowego stropu. I tu podłogę przecinały żelazne belki, choć wydawały się bardziej nabłyszczone niż te w korytarzach. Ich odcień był niemal srebrny. Zbiegały się u podnóża tronu, gdzie wychodziły ponad posadzkę – wyglądały jak promienie bijące od osadzonego na jego szczycie złożonego serca, które zostało umieszczone tuż ponad głową siedzącego na tronie człowieka.

– Anton, nareszcie! – odezwał się król August. – Trwało to dłużej, niż przewidywałeś.

– Musiałem przedstawić panience nasze oczekiwania. Minęła chwila, nim dała się przekonać. – Szorstki komentarz brata nie zrobił na Antonie większego wrażenia. Najwyższy kapłan sięgnął tylko do swojego wisiora i przesunął palcem po osadzonym w nim granacie. – Mogłem może zostawić to zadanie tobie? W końcu znakomity z ciebie negocjator. – Ton Antona nie pozostawiał wątpliwości: to nie był komplement.

– Nie byłem tu potrzebny – odparł August, po czym wstał z tronu i z wprawą przeszedł ponad żelaznymi belkami u jego podnóża.

On i Anton byli bliźniętami, jednak król nie dorównywał bratu urodą. Czy może raczej nie dorównywałby, gdyby Anton nie został tak potwornie oszpecony. Obaj mieli srebrzystosiwe włosy i ciemnobrązowe oczy. Wyraźnie zaznaczoną szczękę Augusta zdobiła krótko przycięta broda, podczas gdy twarz Antona była gładko ogolona.

Na tle ekstrawaganckiego wystroju pałacu strój króla sprawiał wrażenie skromnego. August miał na sobie ciemne spodnie, kremowobiałą koszulę i ciemny

dublet, a do tego miękkie skórzane buty. Widać było, że każdy element jego ubioru wykonali najlepsi auverrainscy rzemieślnicy. Prostota stroju Augusta potęgowała tylko wrażenie, jakie robiła jego korona – o wzorze takim samym jak te, które Lore widziała na straganach. Królewskie insygnium składało się z dwóch kutych opasek: jedna wysadzana była lśniącymi rubinami, druga zaś, umieszczona wyżej, podtrzymywała wyobrażenie promieni słonecznych. W swojej koronie August wyglądał jak sam Apolliusz.

O to chyba w końcu chodzi, pomyślała Lore.

Powinna była poczuć w obecności świętego króla coś w rodzaju nabożnej czci. Sęk w tym, że wszystkie dotychczasowe wydarzenia dnia były tak nierzeczywiste i tak kompletnie nie mieściły się w ramach tego, co Lore знаła, że nie potrafiła czuć niczego poza lekką irytacją z domieszką obawy.

– A więc – odezwał się król – oto nasza guślarka.

Lore przestąpiła nerwowo z nogi na nogę. Nie wiedziała, czy powinna się uklonąć, ale uznała, że pewnie udałoby się jej tylko wywalić na tyłek. Zadarła więc jedynie podbródek i zacisnęła dłonie na tkaninie sukienki.

– We własnej osobie – odpowiedziała.

Kąciki ust króla drgnęły w przelotnym, bezbarwnym uśmiechu.

– Mówiono mi, że zadałaś się z handlarzami trucizną. Jak taki los mógł spotkać kobietę o tak wybitnych zdolnościach?

– Jestem zbyt wredna, by ktokolwiek chciał za pieniądze spędzać ze mną czas, zbyt niezdarna na oberżystkę, no i fatalnie gotuję. Trudno by mi było o inną pracę. – Ton Lore pozostawał łagodny, a swoją odpowiedzią nie wyjawiała niczego istotnego. – Z moich „wybitnych zdolności” też nie ma za wiele pożytku.

Król pokręcił nosem.

– Twoja dotychczasowa pracodawczyni twierdzi, że jesteś wytrawnym szpiegiem. Nie mówiąc już o twoim... bardziej niespotykanym darze. Na takich umiejętnościach z pewnością da się zarobić.

Samo wspomnienie o Val sprawiło, że Lore poczuła nieprzyjemne ukłucie.

– Bycie dobrym szpiegiem w dużej mierze sprowadza się do tego, by wiedzieć, kiedy skłamać, a kiedy milczeć – odpowiedziała. – A zarobić na czymkolwiek jest teraz trudno. Niezależnie od tego, co się robi.

– Nieszczęśliwe położenie. – August skinął głową. – A nie czyni go łatwiejszym zagrożeniem ze strony Kiryteńczyków. W królestwie dają o sobie znać różne braki.

W Cytadeli, jak się wydawało, nie brakowało niczego. Wręcz przeciwnie. Lore ugryzła się jednak w język. Owszem, wyglądało na to, że nikt inny nie mógłby wykonać zadania, które chciano jej powierzyć, ale miała dość rozumu, by nie igrać z losem.

– Anton przedstawił ci już pokrótce, czego od ciebie oczekujemy – odezwał się po chwili król. – Ja opiszę teraz twoją misję bardziej szczegółowo. – August zwrócił się znów w stronę tronu i rozsiadł się na nim wygodnie. – Sądzymy, że Kiryteańczycy atakują wioski wzdłuż granicy i zabijają naszych obywateli, posługując się jakimś poślednim typem magii. Zapewne pozostałością po mocy któregoś z pomniejszych bogów.

Lore zmarszczyła brwi.

– Istnieje jeszcze taka magia?

Po śmierci bogów żywiołów z ich ciał broczyła moc, tak jak Morzem z ciała Nyxary. Tyle że dawno już miał nie pozostać po niej ślad. Tak przynajmniej powszechnie uważano.

August skrzywił się lekko.

– Jax jest zmyślny. – Trudno było to uznać za odpowiedź na pytanie Lore. – Na razie mówimy tylko o dwóch niewielkich wsiach – ciągnął król. – Pory ataków też wydają się przypadkowe. – Choć mówił o ludzkiej śmierci, nonszalancko oparł nogę na nodze i pociągnął łyk z kielicha stojącego na podłokietniku tronu. – Musimy jednak zneutralizować zagrożenie, nim Kirytea spróbuje uderzyć w istotniejsze cele.

Istotniejsze cele, też coś. Jakby życie ludzi, którzy zginęli w przygranicznych wioskach, było czymś mało istotnym.

– Mam ustalić, co się tam wydarzyło – zaczęła Lore, mrużąc oczy – zanim zabiją kogoś *ważniejszego*, tak?

Jej zgryźliwy ton najwyraźniej umknął królowi.

– Właśnie tak – odparł August.

Gabriel stał za plecami Lore, ale kątem oka była w stanie dostrzec jego twarz. Wyglądał, jakby walczył ze sobą, by nie dać po sobie poznać dezaprobaty. Odpowiedź króla rozgniewała go najwyraźniej tak samo jak ją.

Lore była ciekawa, na ile członkom Presque Mort wolno sprzeciwiać się monarsze. Korona i Kościół stanowiły dwa filary władzy, ale o ile się orientowała, nie zawsze były zgodne.

– Jeśli to Kirytea stoi za atakami – mówił dalej August – musimy niezwłocznie rozpoznać zagrożenie i podjąć odpowiednie działania.

To mogło oznaczać tylko jedno: wojnę. Lore zerknęła ukradkiem w stronę mnichów. Gabriel przymrużył oczy, usta Malcolma ułożyły się w ciekawą kreskę, Anton zaś, jeśli perspektywa konfliktu w ogóle go zaniepokoiła, nie dał niczego po sobie poznać – z jego oszpeconej bliznami twarzy wciąż bił spokój.

Król z błyskiem w oczach klasnął w dłoń.

– Zamieszkaż w Cytadeli – powiedział. – Poza tym, że pomożesz nam ustalić, co spotkało tych wieśniaków... będziesz moimi oczami i uszami.

– Mam obserwować księcia.

August uśmiechnął się drapieżnie i pociągnął kolejny łyk z kielicha.

– Widzę, że mój brat zdradził ci jednak pewne istotne szczegóły – odparł. – Tak, twoim celem będzie zbliżenie się do Bastiana. Mamy podstawy podejrzewać, że został szpiegiem na usługach cesarza Jaxa i donosi mu o naszych słabych punktach.

– Dlaczego miałyby to robić? – Lore skrzyżowała ręce na piersi, jakby chciała się nimi osłonić. – Dlaczego następcę tronu miałyby chcieć wydać własny kraj Kiryteańczykom?

– Korona nie jest lekka – odparł cicho August. – Mój syn nigdy nie zapowiadał się na człowieka, który sprosta temu zadaniu.

Anton zacisnął dłoń na wisiorze, ale jego twarz pozostała nieporuszona.

– Głównym przedmiotem naszego zainteresowania jest Bastian – kontynuował król. – Poza tym chcę, żebyś wniknęła w dworskie kręgi. Moi dworzanie równie chętnie jak o tobie będą plotkować z tobą.

– Wszystko pięknie, ale jakim cudem mam ot tak, wtopić się w dwór, nie wzbudzając niczyich podejrzeń? – Tu Lore wskazała na niezbyt dobrze leżącą na niej sukienkę. – Czy nie rzuca się natychmiast w oczy, że nie jestem arystokratką?

– Nic podobnego. – August uśmiechnął się jeszcze szerzej. – Dworzanom powiemy, że jesteś kuzynką księcia Balgii.

Stojący za nią Gabriel pobladał prawie jak papier. Anton westchnął ciężko, jakby ta część przychodziła mu z największym trudem.

– Balgii? – Lore uniosła brew. To niewielkie, położone na południowy wschód księstwo od czternastu lat znajdowało się pod kontrolą Kiryteańczyków. Jax podbił je, gdy cesarzem był jeszcze jego ojciec.

– Tak. – August skinął głową, po czym zwrócił się do Gabriela. – Przyszła pora, żebyś znów zaczął posługiwać się swoim tytułem, Gabrielu Remaut.

Rozdział 6

Grzechy ojców obciążą ich następców. Dzieci dziedziczyć będą tak chwałę, jak i hańbę.

Księga Praw Śmiertelniczych, Rozprawa 24

Trupio blady Gabriel zacisnął kurczowo szczęki, jakby na sam dźwięk własnego nazwiska przewróciło mu się w żołądku. Blizny wokół opaski na jego oku stały się jeszcze bardziej widoczne.

Książę? Gabriel był księciem? Co też strzeliło mu do głowy, by wstąpić do Presque Mort? I cóż z tego, że dwór, który był jego domem, formalnie już nie istniał?

No i jak to się stało, że książę stracił oko?

Król albo nie zauważył reakcji Gabriela, albo zupełnie się nią nie przejął.

– Twój rodowód w końcu się na coś przyda – kontynuował bez skrępowania. Rubiny na jego pierścieniach zalsniły, gdy kolejny raz sięgnął po kielich. – Przyznam, że miałem wątpliwości, kiedy Anton upatrzył sobie ciebie po twoim... wypadku. Teraz widzę, że wiedział, co robi, werbując cię do Presque Mort.

Każdy skrawek ciała Gabriela wydawał się napięty jak struna. Lore miała wrażenie, że zaraz zaczną całe wibrować.

– Wasza wysokość... Naprawdę nie wiem, czy... – Gabriel zagubił nagle swój opanowany ton i wyraźnie nie potrafił się wysłowić.

Nie musiał. Jego twarz mówiła wszystko. Był wściekły. I przerażony.

– Synu. – Anton oparł łagodnie dłoń na ramieniu Gabriela. – Wiem, jakie to dla ciebie zaskoczenie.

A więc najwyższy kapłan wiedział. Zdawał sobie sprawę, co ma nastąpić, i zataił przed Gabrielem prawdę. Lore nagle poczuła wobec niego pogardę.

– Taka jest jednak wola Apolliusza – ciągnął Anton. – Przez lata ukrywałeś się poza dworem, lecząc swoje rany. Pora teraz, byś na nowo ukazał się światu. Byś odegrał rolę, którą przeznaczył ci Apolliusz.

Na dźwięk imienia boga mnich zamknął zdrowe oko.

– Będziesz towarzyszyć Lore, Gabrielu – kontynuował kapłan. – Pomożesz jej wykonać powierzone zadania i zostaniesz za to nagrodzony. Obowiązki, które nam przypadają, nie zawsze są tymi, które sami byśmy wybrali, jednak Apolliusz, pan

wszystkiego, wie, co dla nas najlepsze. By sprostać zadaniom, które nam wyznacza, musimy niekiedy postępować wbrew swej naturze, lecz on wywyższy tych, którzy wybierają jego ponad wszystko... – Anton na chwilę zawiesił głos. – Wywiązując się z tego zadania, odbędziesz swoją pokutę.

– Sądziłem, że moją pokutą było samo przystanie do Presque Mort – odparł ochryplym szeptem Gabriel. – Czy nie tak właśnie mówiłeś? Opisałeś mi przecież swoją wizję.

To właśnie za sprawą wizji Anton został oszpecony. Tę historię znała nawet Lore. Gdy brat króla modlił się żarliwie, Apolliusz zesłał na niego wizję – tak uświęconą, że Kościół od lat utrzymywał jej treść w tajemnicy. W religijnej ekstazie Anton wpadł na paleniska koksowe i niemal zmarł od odniesionych obrażeń. Gdy odzyskał przytomność, okazało się, że nabył zdolność władania Mortemem. Wówczas August, już koronowany na króla, uczynił go najwyższym kapłanem. Wcześniej zmusił do ustąpienia ze stanowiska jego poprzednika, o którym nikt od tego czasu nie słyszał.

– Mój synu – szepnął Anton. – Nie mogłem powiedzieć ci wtedy wszystkiego.

Gabriel był dotknięty do żywego. Widać to było po jego zaciśniętych szczękach i po sposobie, w jaki wycofał się spod ręki Antona. Mimo to nie odmówił, nie skarżył się na niesprawiedliwość, która go spotkała. Nie odezwał się też ani słowem.

August uśmiechnął się, po czym znów spojrzał na Lore. Zupełnie jakby nie zwrócił uwagi na cichą rozmowę pomiędzy Gabrielem i najwyższym kapłanem.

– Zresztą, mój Remaut, to przecież dziewczyna z ludu. Nie odbieraj jej szansy na przeżycie historii jak z bajki. Pewnie od dziecka marzyła o takiej szansie.

– O tym, żeby kręcić się po Cytadeli, licząc na to, że ktoś mi coś powie? Nie przypominam sobie, żebym miała takie marzenia – odparła Lore.

– Ależ nie będziesz się tylko „kręcić” – zaoponował August. – Zawrzesz tu nowe znajomości i wtopisz się w towarzystwo. – Leniwie uniósł kielich. – Przede wszystkim zaś będziesz się trzymać blisko mojego syna. Jeśli nie sprostasz zadaniu... cóż, w celach nie brakuje miejsca.

Lore poczuła, że z nerwów aż ją skręca, ze wszystkich sił jednak starała się nie dać tego po sobie poznać. Król pociągnął solidny łyk, czym do końca opróżnił kielich, a potem odstawił naczynie na podłokietnik.

– Czas nagli. Wkrótce rozpocznie się ingres Bastiana, a wszyscy musimy się na nim pojawić. – Tu wykonał w stronę Gabriela gest, jakim ktoś mógłby przywoływać dobrze ułożonego psa. – Gabrielu, zbliż się, proszę.

Księżę usłuchał, lecz na jego ściągniętej twarzy wyraźnie malowało się napięcie. Ze zwieszoną głową stanął przed tronem, wzrok utkwił w podłodze.

Jego pokora i uległość nie dawały Lore spokoju, choć sama nie wiedziała dlaczego. Tak jak instynktownie wyczuwała, że coś ich ze sobą łączy, tak teraz miała poczucie, że Gabriel nie powinien być aż tak posłuszny i potulny. Że zbyt gorliwie wykonuje polecenia, nie bacząc na własny gniew. Ktoś taki jak on, myślała, powinien pozwolić swojej złości zapłonąć.

August tymczasem wstał, zstąpił z żelaznego tronu i zatrzymał się na najniższym ze szczebli podestu. Zrobił to nie przypadkiem – chciał, by spojrzenia jego i Gabriela znalazły się na jednej wysokości. Nie zamierzał zadzierać głowy, stojąc przed kimś, kogo miał za posledniejszego od siebie.

Wyciągnął zdobną w klejnoty dłoń i oparł ją na ramieniu mnicha.

– Wiem, że wolałbyś raz na zawsze porzucić swój tytuł – zaczął król łagodnie. – Wiem, że nie przyniósł ci on niczego prócz trudów i wstydu.

Lore nieufnie przymrużyła oczy. Aż za dobrze знаła typ ludzi, którzy współczuciem posługiwali się jak bagnetem. Którzy za fasadą fałszywej troski ukrywali własne dążenie do podporządkowywania sobie innych. August wcale nie starał się dodać Gabrielowi otuchy. Przeciwnie – próbował go zastraszyć.

– Wiedziałeś jednak, że pewnego dnia będziesz musiał pojawić się na dworze – ciągnął król. – Oto twoja szansa na odkupienie. Pokażesz Cytadeli, że ród Remaut nie składa się wyłącznie ze zdrajców, którzy poddają się w popłochu na samo wspomnienie wojny. Znasz rozprawy równie dobrze jak ja: grzechy rodziców obciążają ich dzieci. W twoich żyłach płynie zaś zdrada twego ojca.

– Miałem *dziesięć* lat. – Ton Gabriela był spokojny, dało się jednak wychwycić, że celowo zaakcentował swój wiek. Spojrzenie jego niebieskiego oka wydawało się nieobecne, zawieszony gdzieś w oddali. – Miałem dziesięć lat, gdy Jax zamordował mojego ojca i pozbawił mnie oka. Nie wiedziałem, co robić.

Więc to tak mnich stracił oko! Wyłupił mu je Jax. Anton wykorzystał okaleczenie Gabriela jako pretekst, by ściągnąć go do Presque Mort, za to August przedstawiał je teraz jako dowód, że księżę ponosi winę za nie swoje grzechy. W tym momencie Lore poczuła szczerą nienawiść do obu braci Arceneaux.

– I tak właśnie zostałeś zapamiętany. – August wprawdzie skierował rozmowę na inny tor. Najwyraźniej wyczuwał bezbłędnie, gdy rozmówca zaczyna pękać. – Pamiętają cię jako tego, który się ukrył.

Gabriel z roztargnieniem sięgnął znów do przepaski na oku.

– Anton przygarnął mnie, mówiąc, że swoją pracą będę mógł oczyścić imię rodu – odparł cicho. – Miałem tylko przystąpić do Presque Mort.

– Twój powrót na dwór nie będzie oznaczać, że przestaniesz być mnichem. To tylko kolejny krok ku przywróceniu godności imieniu twego ojca. – August delikatnie poklepał Gabriela po ramieniu, po czym cofnął dłoń. Uśmiechał się, ale w jego uśmiechu nie było za grosz ciepła. – Pomyśl, ile osób chciałoby znów cię ujrzeć, Gabrielu – dodał. – Na czele z Alienor Bellegarde.

Na dźwięk tego imienia Gabriel jeszcze bardziej stężał. Cofnął się o krok, wciąż patrząc gdzieś w dal.

– Zostaniecie oficjalnie przedstawieni jutro rano, gdy dwór zbierze się na modlitwę w Sanktuarium Północnym. Otrzymacie stosowną garderobę, jednak w trosce o dyskrecję nie zostanie wam przydzielona służba. – Wzrok króla powędrował ku Lore. – Postaraj się utrzymywać ład w komnacie.

W tym momencie Lore postanowiła, że przy pierwszej okazji rozleje na dywan całą butelkę wina.

August spojrział teraz na swojego brata.

– Pokaż im ich kwatery – polecił. – Tylko proszę, pospiesz się. Nie każmy na siebie czekać.

Lore zauważyła, że na odchodne Anton nie zgiął się w ukłonie, ale jedynie pochylił lekko głowę. Następnie energicznym krokiem poszedł w stronę otwartych przez wartowników dwuskrzydłowych drzwi. Natychmiast podążyli za nim Malcolm i wciąż oszołomiony Gabriel.

Lore, nim ruszyła za nimi, zerknęła jeszcze na Augusta. Święty król, muskany promieniami słońca, na swoim tronie wyglądał niczym posąg.

– Witaj na dworze, Lore – powiedział. – Za godzinę spotkamy się na ingresie mojego syna.

*

Czekający przed salą tronową krwawi bez słowa poprowadzili całą czwórkę lśniącymi korytarzami, w których Lore sama natychmiast by się zgubiła. Co pewien czas mijali kolejne atria – każde z nich mogłoby być pełnoprawnym muzeum sztuki – aż ociekające freskami, polichromiami, ikonami i gobelinami. Nie spotkali za to po

drodze ani jednej osoby. Wszyscy dworzanie szykowali się już najwyraźniej na ceremonię. Sądząc po wpadającym do środka świetle słonecznym, było około południa.

Na czele, tuż za dwoma krwawymi, szedł Anton. Niemal krok w krok podążał za nim Malcolm, a Gabriel i Lore trzymali się nieco z tyłu – jakby dzieliła ich od dwóch mnichów jakaś bariera, niewidzialna linia odgradzająca Kościół od dworu.

Gwardziści poprowadzili ich następnie szeroką, wyłożoną dywanem klatką schodową. Z obu stron okalały ją rzędy marmurowych posągów ukazujących w różnym stopniu obnażone ciała. Na jej końcu znajdował się krótki korytarz o kilku parach identycznych, zwieńczonych łukami drzwi. Krwawi podeszli ku ostatnim z nich, jak się okazało – prowadzącym do kolejnej klatki schodowej, tym razem wyraźnie węższej i nieco mniej wystawnej.

– Południowo-wschodnia wieża – podpowiedział cicho Gabriel. Słusznie podejrzewał, że Lore trudno jest nadążyć za topografią pałacu. – To najmniej szykkowna kwatery w Cytadeli. Wszystkie co ważniejsze postaci mieszkają latem w wieży północno-zachodniej.

Ton Gabriela był zwoodniczo spokojny, gdy jednak Lore zerknęła na niego, dostrzegła, że wciąż jest bład jak papier i robi wrażenie nieobecny. Nim się zorientowała, jej ręka była już w połowie drogi ku jego ramieniu – w spontanicznym geście otuchy.

Cofnęła ją w ostatniej chwili, jednocześnie zwierając palce w pięść. Rany, ależ dziwne to podskórne poczucie bliskości. A przecież ostatnie, czego było jej teraz trzeba, to jakaś kaleka forma czułości wobec smutny mnicha.

Mijali wiele półpięter, ale Lore miała wrażenie, że gwardziści kazały im piąć się schodami w nieskończoność. W końcu dotarli na piętro, gdzie dywany robiły wrażenie mocno wydeptanych. Ich stan był wyraźniej gorszy niż gdziekolwiek indziej. Tu otworzono przed nimi drzwi wiodące na kolejny korytarz – tonący w półmroku i oświetlony jedynie kandelabrem umieszczonym na jednej ze ścian. Kandelabrem, który był zresztą kolejnym wyobrażeniem serca Krwawiącego Boga. Pośrodku tliła się lampa parafinowa, a na końcu każdego z promieni słonecznyh – świece. Większość z nich zdążyła się już wypalić.

Na przeciwległej ścianie znajdowały się masywne drewniane drzwi.

– Wybaczyć, mości książę. – Najbliżej stojący gwardzista pochylił głowę przed Antonem, Gabrielem i Malcolmem, a następnie przekręcił klucz w zamku. Na Lore

nawet nie spojrział. – Nasz pan nalegał, by zakwaterować was tutaj. To dawne lokum lorda i lady Grosjean, którzy zmarli zeszłej zimy.

Nic dziwnego, że August postanowił upchnąć ich właśnie tu – w dusznym korytarzu, z dala od reszty możnych. W ten sposób łatwiej było mieć ich na oku.

Gabriel wyglądał, jakby gwardzista wręczył mu żywego szczura.

– Mamy... mieszkać tu we dwoje?

Gwardzista przytaknął.

– Jego wysokość nakazał, abyś zamieszkał tu wraz ze swoją kuzynką, księżę.

Malcolm uniósł ciemną brew, Gabriel przełknął ciężko ślinę.

Lore przewróciła oczami.

– Obiecuję nie narażać twojej cnotliwości – rzuciła.

Malcolm wydał z siebie dźwięk, który przypominał zdławioną salwę śmiechu. Gabriel wciąż milczał, za to jeszcze bardziej pobladł.

Anton posłał Lore karcące spojrzenie, po czym gestem dłoni odprawił gwardzistów.

– Zostawcie nas – rzucił. Jego ton nie był ostry, ale nie pozostawiał miejsca na dyskusje.

Krwawi usłuchali i natychmiast się oddalili. Anton tymczasem, kręcąc głową, otworzył drzwi na oścież.

Kwatera, którą im przydzielono, była dwa razy większa od domu Michała. Pierwszy z pokoi wchodzących w jej skład umeblowano sofą i dwoma fotelami ustawionymi naprzeciwko wygaszonego kominka. Tapicerkę wykonano z luksusowej tkaniny, ale było już po niej widać upływ czasu. Otwarte drzwi wiodły z saloniku do dwóch wystawnych sypialni. Był tu również wyłożony ceramicznymi kaflami pokój kąpielowy z obszerną miedzianą miednicą, a w pobliżu kominka znajdowały się drzwi prowadzące do logii wyposażonej w wiklinowe meble. Ostatnie pomieszczenie stanowił przylegający do saloniku niewielki gabinet. Całość była na tyle obszerna, że mogłyby tu wygodnie mieszkać cztery osoby.

Anton westchnął i zwrócił się do Gabriela.

– Wiem, że to nieco przytłaczające po pobycie w klasztorze Northreach. Specjalnie poprosiłem jednak Augusta, by zakwaterował cię możliwie daleko od reszty dworu. Chciałem, żebyś miał dość przestrzeni, by czuć się komfortowo. – Nieokaleczona połowa twarzy kapłana przybrała łagodny wyraz, który mimo to wydawał się niezbyt szczery. – Uwierz, Gabi, robiłem, co mogłem, żeby nie było ci tu ciężko.

Gabi. Takie zdrobnienie powinno zabrzmieć pieszczotliwie. A jednak wypowiedziane przez Antona – wcale tak nie zabrzmiało. Przeciwnie, miało w sobie coś kaśliwego.

Lore przypomniła sobie teraz słowa Malcolma o tym, że Gabriel przebywał w „klasztorze na prowincji”. Najwyraźniej ściągnięto go do Dellaire pod pretekstem książęcego ingresu, by dopiero na miejscu zafundować mu bolesną niespodziankę – niejasne, ryzykowne zadanie i zdradę ze strony człowieka, któremu ufał najbardziej ze wszystkich.

Zerknęła na Gabriela. Ten, skrzyżowawszy ręce na piersi, wbił znów wzrok w podłogę. Zmarszczka ponad przepaską na jego oku zdradzała, że głęboko się nad czymś namyśla, a spięte ramiona zdawały się sugerować, że szykuje się na kolejny cios.

– Mnie tam kwatery się podoba – rzuciła Lore. Rozsiadła się na sofie, z której wzbił się natychmiast obłok kurzu. Nikt tu najwyraźniej od dawna nie sprzątał, tym bardziej nie było więc co się przejmować gadaniem Augusta o „utrzymywaniu ładu”. Wyglądało na to, że i sami Grosjeanowie niekoniecznie o niego dbali. – Lepsze to niż klasztorna cela. W Northreach czy gdzie tam.

Malcolm powiódł wokół nieco podejrzliwym wzrokiem.

– Chyba nawet w klasztorach częściej wymieniają tapicerkę. Tak czy inaczej, tutaj są meble – skomentował.

Anton posłał mu gniewne spojrzenie.

– Za niespełną godzinę zaczyna się ingres i oboje macie się tam pojawić.

Gabriel ścisnął mocniej skrzyżowane ręce i czujnie zerknął zdrowym okiem na Lore. Jakby strzegł się konia, który potrafi wierzgnąć.

– Nie sądziłem, że będziesz oczekiwał mojej obecności podczas ingresu.

– Ależ oczywiście, że tak! – odparł Anton zaskakująco ożywionym tonem. Jakby sam pomyślał, że Gabriela lub Lore mogłoby zabraknąć na ceremonii, wydał mu się kompletnie niedorzeczny. – Oboje macie przecież zbliżyć się do Bastiana. Nie może was zabraknąć na jego ingresie.

– Czy Księżciu Słońca nie wyda się dziwne, że przykleja się do niego nagle jakaś przypadkowa krewna księcia Balgii? – spytała Lore. – Skoro już upatrzycie mnie sobie jako szpiega, to pozwólcie, że powiem wam coś z zawodowego doświadczenia: trzymanie się kogoś jak rzep psiego ogona nie zawsze jest najlepszą metodą zdobywania informacji. Czasem warto działać trochę subtelniej.

Anton zbliżył się do sofy i obrzucił Lore chłodnym spojrzeniem. Ta miała już się wyprostować, ale uznała, że będzie to wyglądać jak kapitulacja. Siedziała więc dalej w nonszalanckiej pozie i posłała tylko Antonowi głupawy uśmiezek.

– Masz wykonywać rozkazy, które od nas otrzymujesz. – Ton Antona był zimny jak lód. – Co do joty.

Lore nic nie odpowiedziała. Poruszyła się jedynie nerwowo na niedbale rozrzuconych poduszkach. Anton odsunął się i zwrócił do Gabriela.

– W jednej z sypialń są stosowne stroje dla niej, w drugiej dla ciebie. Przebierzcie się. Potem odprowadzimy was na ingres. Niech Krwawiący Bóg ma nas wszystkich w opiece...

Rozdział 7

W dwudziestym czwartym roku śmiertelnego życia bogowie doznali podwyższenia: Apolliusz posiadał władzę nad życiem i dniem, Nyxara nad śmiercią i nocą. Hestraon władać miał odtąd ogniem, Lereal powietrzem, Braxtos ziemią, Caeliar zaś wodami morskimi.

Księga Praw Świętych, Rozprawa 7

Lore nie wiedziała, co właściwie ma na siebie włożyć. Nigdy wcześniej nie zapraszano jej na ceremonię święcenia. Był to powszechny obrządek dokonywany w dniu dwudziestych czwartych urodzin, ale tylko arystokraci robili z niego wydarzenie i nazywali niekiedy „ingresem”. Wszyscy inni – o ile w ogóle zwracali sobie nim głowę – stawiali się po prostu w najbliższym kościele i dawali się poświęcić pierwszemu lepszemu kapłanowi.

Stos ubrań, który dostarczono Lore, onieśmiałały ją, nawet gdyby nie musiała szybko wybrać czegoś na ceremonię. Nie otrzymała teraz na szczęście kreacji tak niedorzecznych jak te, które widziała wśród tych przeznaczonych na dary, ale była to odzież luksusowa jak żadna, z jaką miała wcześniej do czynienia. Ostatecznie wybór padł na sukienkę, którą jak się wydawało, bez większego trudu zdoła sama założyć. Przecież gdyby poprosiła o pomoc któregoś mnicha, ten chyba nakryłby się nogami z przerażenia.

Zielona kreacja w odcieniu szafwii leżała aż podejrzanie dobrze. Lore dłuższą chwilę przyglądała się sobie w dużym lustrze umieszczonym w drzwiach szafy. Wysoki kołnierz, marszczone rękawy, sięgający ziemi dół... do tego pasujące odcieniem wsuwane buty, które wybrała z całego rzędu obuwia znalezionego pod łóżem z baldachimem. Strój zdawał się pasować wręcz idealnie: albo zupełnym przypadkiem udało się trafić w jej rozmiar – co było mało prawdopodobne, zważywszy, że miała pełniejsze kształty niż typowy manekin swojego wzrostu – albo kreację skrojono dla niej na miarę.

Lore poczuła, jak włoski na karku stają jej dęba. Usłyszała od Val, że Presque Mort wiedziało o niej już od czasów Cedrica. Mimo wszystko trudno było pogodzić jej się z myślą o tym, jak bacznie była obserwowana.

O Val też zresztą trudno było Lore myśleć. Przełknęła ślinę, starając się przewyciężyć wrażenie ucisku na gardle i ciepła w kącikach oczu. Nie miała czasu na rozklejanie się, a potrafiła nie ulegać emocjom. Dawno zdążyła nabrać w tym wprawy. Val i Mari nie były już częścią jej życia. Zastąpiły je jedwabna sukienka, pasujące do niej buty i złota smycz, na której trzymali ją król i najwyższy kapłan.

Lore pochyliła głowę i mrugała, póki mrowienie w oczach nie ustało. Odkąd pamiętała, musiała umieć się dostosować. To była tylko kolejna rzecz, do której została zmuszona przywyknąć. Wiedziała, że i tym razem przetrwa. Jak zawsze.

Pospiesznie splotła włosy w okalający głowę wianek. Było to najbardziej wymyślne uczesanie, jakie potrafiła ułożyć. Następnie otworzyła na oścież drzwi i w ironicznie teatralny sposób zwróciła się do mnichów:

– Oto przed wami dama!

– Powiedzmy, że prawie – odparł Anton sucho.

Stojący za nim Malcolm dotknął skroni palcem wskazującym.

– Masz, *pani*, lekki nieład na głowie – zwrócił jej uwagę.

– Jasna cholera. – Lore spojrzała w zaśnieżone lustro wiszące ponad sofą. Z pospiesznie skleconego warkocza rzeczywiście wystawał długi, niesforny kosmyk, przez co wyglądała, jakby miała na głowie róg. Z grymasem niezadowolenia na twarzy rozpuściła włosy, by zaraz zapleść je na nowo.

Tymczasem w drzwiach drugiej sypialni pojawił się Gabriel – zupełnie niewyglądający jak mnich. Miał na sobie ciemnoniebieskie bryczesy wpuszczone w wypastowane na wysoki połysk czarne buty. Jego atletyczny tors okrywała biała przylegająca lniana koszula, a całości dopełniała pasująca odcieniem do spodni kamizelka. Było mu w tym stroju tak do twarzy, że niemal dało się przeoczyć jego bolesny grymas, podkreślony jeszcze skórzaną opaską na oku.

Malcolm wydał z siebie odgłos, coś jakby wzbierający śmiech, zamilkł jednak momentalnie pod karcącym spojrzeniem Antona.

– Elegancko, Gabi – powiedział tylko.

Gdy Gabriel przeniósł ciężar ciała z jednej nogi na drugą, skóra nierozchodzonych butów zatrzeszczała.

– Ojczy, czy jesteś pewien, że...

– Jestem pewien. Co ważniejsze, nie tylko ja, ale i Apolliusz. – Anton przymrużył oczy. – Nie śmieję kwestionować jego woli, Gabrielu.

Mnich skinął głową. Zawiesił wzrok gdzieś w oddali, jakby wyobrażał sobie, że jest w zupełnie innym miejscu.

Lore znów poczuła ukłucie gdzieś wewnątrz. Jej umysł kolejny raz wygrywał nutę, która zdawała się współbrzmieć w nich obojgu. Przycisnęła rękę do obojczyków i potarła je nerwowo. Trudno było jej patrzeć na cierpienie Gabriela.

Malcolm też nie miał chęci dłużej mu się przyglądać.

– Wracam do biblioteki – powiedział łagodnym tonem, klepiąc Gabriela po ramieniu. – Dacie sobie radę.

Następnie wymknął się drzwiami, a po chwili dały się słyszeć jego szybkie kroki w korytarzu. Łatwo było poznać, że Malcolm nie czuje się dobrze w Cytadeli i nie ma chęci spędzać w niej czasu. Lore zastanawiała się, czy w przypadku wszystkich mnichów rozdział Kościoła od dworu wygląda na tak oczywisty i namacalny.

Skinieniem głowy Anton dał znać jej i Gabrielowi, że pora opuścić kwaterę. Lore ruszyła za kapłanem, a jako ostatni z pokoju wyszedł Gabriel.

– Wolałbym chodzić po rozżarzonych węglach niż iść na tę całą ceremonię... – mruknął pod nosem.

– Witaj w klubie, mnichu – odparła szeptem Lore.

Nie odpowiedział, ale wyraz jego twarzy nieco złagodniał.

*

Ceremonię zorganizowano na polu rozciągającym się za Cytadelą. Ustawiono tam złoty podest z obszernym, łopoczącym na wietrze białym baldachimem. Na samym jego środku stał wysadzany granatami pulpit, na nim zaś czekał nóż o złotej rękojeści. Na widok tego ostatniego Lore zrobiła wielkie oczy. Nie wiedziała nic o tym, by rytuał święcenia wymagał upuszczania krwi. Czyżby u możnych wyglądało to inaczej...

Podest ze wszystkich stron otaczały ławki z heblowanego drewna. Anton wskazał Lore i Gabrielowi miejsca w jednym z ostatnich rzędów, po czym odszedł w stronę baldachimu. Z perspektywy swojej ławki dziewczyna zauważyła wewnątrz pulpitu wnękę, w której czekała opaska księga. Kompendium – potężny tom zawierający Księgę Praw Świętych, Księgę Praw Śmiertelniczych i Księgę Modłów.

Lore wyciągnęła szyję, starając się wyrzeć poza podest. Miejsca wokół niego pomału zapełniały się elegancko ubranymi dworzanami. Niektórzy trzymali w rękach

wachlarze z piór, inni – ponadgryzane wypieki. Prawdę mówiąc, wyglądali raczej jak goście na pikniku niż jak wierni gromadzący się na ceremonii religijnej. Niektórzy zerkali ciekawsko w stronę jej i Gabriela, większość jednak całkowicie ich ignorowała. To tyle, jeśli chodzi o gadkę Augusta o nowych znajomościach. Cóż, widać dworzanie z Cytadeli nie zwracają uwagi na nieznane twarze, póki nie są pewni, że mają przed sobą kogoś ważnego.

Ich ławka nie okazała się na szczęście oblegana. Schodzący się możni i dworzanie w większości zajmowali miejsca bliżej podestu z baldachimem. Nasilający się i cichnący na zmianę szmer ich rozmów przypominał ptasi śpiew.

Lore trudno było zdecydować, czy wpatrywać się w nich, czy wbić wzrok w ziemię. W swojej pracy nie powinna pozwalać sobie na uleganie lękom, lecz na widok tylu arystokratów w jednym miejscu poczuła, jak żołądek zawiązuje jej się w supeł. Skala misji szpiegowskich, które wykonywała dla Val, była zupełnie inna. Komórki przerzucające truciznę nie tworzyły dużych organizacji, więc Lore nie musiała dotąd okłamywać więcej niż dziesięciu osób jednocześnie. Teraz zaś przyszło jej się mierzyć z całym dworem...

Nagle poczuła ciepło na dłoniach, które bezmyślnie wbijała w tkaninę, byle nimi nie przebierać. To Gabriel oparł szorstką od zrogowaceń dłoń na palcach obu jej rąk. Nie patrzył na Lore, lecz i tak momentalnie cofnął rękę, gdy ta zwróciła twarz w jego stronę.

– Zaraz porwiesz tę sukienkę – szepnął – a to zwróci na nas większą uwagę niż samo siedzenie tutaj.

Lore z pewnym trudem oderwała palce od tkaniny i oparła spocone dłonie na kolanach. Wytrwała w tej pozycji również wtedy, gdy sąsiednie miejsca zaczęły zajmować dworzanie, którzy nie zmieścili się do pierwszych rzędów. Stojący za pulpitem Anton sięgnął tymczasem po Kompendium i wertował je szybko, zaznaczając zakładkami stosowne ustępy. Kolejny duchowny rozpałał kadzidła ustawione na obwodzie podestu. Ten miał na sobie prostą białą szatę, nie w barwach *Presque Mort*, był więc zapewne szeregowym duchownym. Smużki ziołowego dymu wzbijały się w powietrze, barwiąc je na szaro.

Gabriel zaśmiał się pod nosem.

– Gdyby z każdego święcenia robić takie wydarzenie, duchowni nie zajmowałiby się niczym innym... Na moim ingresie odczytano tylko Traktat Siódmy i posypano mi głowę popiołem.

Mnich odezwał się do Lore zapewne tylko dlatego, że nie miał innego rozmówcy do wyboru. Mimo to uznała, że warto zająć czymś myśli, i podjęła rozmowę.

– Więc... nie tak to normalnie wygląda?

To być może tłumaczyłoby obecność noża.

Gabriel zwrócił się ku Lore tak, aby spojrzeć na nią zdrowym okiem.

– Nie byłaś jeszcze święcona? – spytał, unosząc brew.

Lore pokręciła głową.

– Dopiero latem skończę dwadzieścia cztery lata.

– Ach. – Znów odwrócił wzrok.

I tak wyglądała ich rozmowa. Cóż, Gabriel wyraźnie nie był gadułą.

Głęboki wdech, długi wydech, patrzeć naprzód i nie myśleć o tym, czy ktoś się gapi – na tym skupiła się więc Lore. Jej koncentracja zaraz jednak została podkopana uporczywą myślą, że musi *natychmiast* się odwrócić. Znów nerwowo przycisnęła rękę do obojczyka. Niedające spokoju przeczucie wywołało fizyczną reakcję: włoski na karku stanęły jej dęba. Lore nie wytrzymała – odwróciła się.

Za ławkami, dobrych kilkanaście metrów od niej, stał młody mężczyzna o sięgających ramion ciemnych włosach ujętych w złoty diadem. Cały jego strój, aż po wysokie skórzane buty, skrzył się śnieżną bielą. Dzieliła ich zbyt duża odległość, by dało się dostrzec szczegóły, ale jego sylwetka wydała się Lore znajoma. Podobnego wrażenia doświadczyła, kiedy pierwszy raz ujrzała Gabriela. Znów naszała ją myśl, że osoba, którą ma przed sobą, powinna być jej znana. Jednocześnie była pewna, że nigdy wcześniej się nie spotkali.

W pobliżu ławek szykował się do występu kwartet smyczkowy. Muzycy mieli na sobie jasne stroje, a ich instrumenty lśniły, jakby wypolerowano je i nabłyszczono specjalnie na ceremonię. Maestro uniósł batutę i po chwili rozległa się dostojna, procesyjna muzyka. Stojąca z tyłu postać w bieli ruszyła w tym momencie w stronę podestu. Jej krok był niemal powolny, jakby nic na świecie nie mogło przyprawić mężczyzny o pośpiech.

Wszystko stało się jasne. Był to Książę Słońca.

Gdy siedzący obok Gabriel wstał, Lore natychmiast zrobiła to samo. Serce biło jej coraz szybciej. Miała wrażenie, jakby jej żyły aż pęczniały od krwi.

Książę był coraz bliżej, a Gabriel coraz wyraźniej tężał na całym ciele.

Po chwili lśniąco biała, półboska postać znalazła się na wysokości ich ławki. Nagle Bastian Arceneaux zerknął w ich stronę. Jego jasna cera lśniła w słońcu. Miał

wyraźnie zarysowaną żuchwę i ciemne oczy. Puścił do Lore oko – i w tym momencie jej pamięć znalazła brakujące ogniwo.

To jego dostrzegła wcześniej w ogrodzie. Książę widział, jak w kiepsko leżącej sukni z darów wchodziła do Cytadeli w towarzystwie Gabriela, Antona i Malcolma.

Jasna cholera!

Bastian wszedł na podest, z gracją przenikając pomiędzy powiewającymi zasłonami i kadzidlany dymem. Witany brawami i głośnym aplauzem, teatralnie się uklonił. Przy pulpicie czekał już sztywny jak kij Anton z Kompendium otwartym na pierwszej zakładce. Dokładnie naprzeciw podestu, na tronie tylko trochę mniej ostentacyjnym niż ten w sali tronowej, siedział August. W zdobnej w rubiny dłoni i tym razem trzymał kielich, z którego raz po raz bez słowa pociągał, obserwując ze stoickim spokojem swojego syna.

– Średnio to eleganckie pić na ingresie własnego dziecka – mruknęła Lore.

– August nie odstawia kielicha nigdy – odparł cicho Gabriel.

Po chwili gwar na widowni przycichł i Anton zaczął mówić. Na początek odczytał Rozprawę Siódmą, w której opisano bogów podwyższonych do nieśmiertelności w dniu dwudziestych czwartych urodzin: Caeliar, Braxtosa, Hestraona, Apolliusza, Nyxarę i Lereala. Potem przyszła kolej na czytanie z Księgi Modłów – wybór padł na ustęp uczący, by władzę brać w swoje ręce w odpowiednim czasie i wiedzieć, kiedy się jej rzec. Gdy najwyższy kapłan odczytywał kolejne fragmenty z ksiąg, Bastian, wyraźnie znudzony, przestępował z nogi na nogę. W pewnym momencie uśmiechnął się głupawo do kogoś siedzącego na lewo od podestu. Lore zastanawiała się, czy tym kimś była kobieta, którą całował w ogrodzie.

Ceremonia zdawała się pomału dobiegać końca. Zebrani wyraźnie mieli chęć się rozejść i czekali tylko na sygnał. Wtedy jednak Anton sięgnął do kolejnej czerwonej zakładki umieszczonej pod koniec Kompendium, a więc w Księdze Praw Świętych. Wziął też do ręki nóż, którego ostrze załśniło w promieniach słońca. Lore była zbyt daleko, by dostrzec wyraz twarzy księcia, ale zauważyła, że ten cofnął się o krok.

Zerknęła na Gabriela – mnich zmarszczył brwi.

– Czytanie z Rozprawy Czternastej Księgi Praw Świętych – zaczął Anton. – Moce idące sobie wbrew zarazem wzajemnie się umacniają. Ciemność czyni światło wyrazistszym, światło dławi mrok. Strzeżcie się jednak, nikt bowiem poza waszym bogiem nie jest zdolny władać obojgiem. Życie nie może istnieć bez śmierci, a panować nad całością może ten jedynie, kto posiadał świętość.

Lore skrzywiła wargi. Księga Praw Świętych była nie lada łamigłówką. Częściowo spisano ją jeszcze przed Boskim Upadkiem, większość natomiast utrwalono na piśmie dopiero w roku samego Upadku – pomiędzy śmiercią Nyxary a zniknięciem Apolliusza. Nowsze rozprawy przeczyły wcześniejszym i jako jedynego prawdziwego boga wskazywały właśnie Apolliusza. To on sam, tuż przed swoim zniknięciem, podyktował Księgę Praw Świętych Gerardowi Arceneaux, którego namaścił następnie na świętego króla.

Ród Arceneaux, wybrany przez samego boga, nieprzerwanie sprawował od tamtego czasu władzę.

Pośród zebranych zapadła cisza. Dworzanie wymieniali spojrzenia. Jedni uśmiechali się nieswojo, inni nie kryli nawet swojej dezorientacji.

– To chyba nie jest zwyczajowa część ceremonii... – szepnęła Lore do Gabriela.

Ten pokręcił głową.

– Bastianie Leandrze Arceneaux – powiedział Anton, unosząc nóż. – Jesteś latoroślą świętego rodu. Pomazańcem świętej władzy. Dziś przystępujesz do ingresu z sercem, które odtąd gotowe będzie prowadzić nas w nowy wiek.

Z twarzy zebranych i samego Bastiana uleciały pełne konsternacji uśmiechy. Książę wciąż milczał, jak zresztą przez całość ceremonii. Nie postąpił też ani o krok w stronę stryja.

– Zbliź się, bratanku. – Lore nie słyszała dotąd u Antona tak łagodnego tonu. – Dziś staniesz się tym, kim jest ci przeznaczone być.

August pochylił się nieco naprzód na swoim złotym siedzisku, kurczowo ściskając w dłoni kielich. Książę natomiast zawahał się, a po chwili roześmiał wymuszonym, teatralnym śmiechem. Widać było, że rozpaczliwie próbuje rozładować wiszące w powietrzu napięcie.

– Wyrazy uznania, stryju – rozległ się jego głęboki baryton. – Widzę, że zapoczątkowałeś nowy nurt. Jestem pewien, że odtąd na każdym ingresie będzie miejsce na improwizację.

Na widowni rozległy się gromkie śmiechy, które jednak podszyte były nerwowością. Jakby goście ochoczo korzystali z pozwolenia księcia, by nie czuć się nieswojo wobec nietypowego przebiegu ceremonii. Lecz stojący przy pulpicie Anton zachował kamienną twarz. W wyciągniętej dłoni wciąż trzymał nóż.

August siedział nieruchomo, nie spuszczał oka ze swego syna.

W końcu Bastian zbliżył się do najwyższego kapłana i wyciągnął przed siebie dłoń. Anton chwycił ją natychmiast i czubkiem ostrza naciął jej skórę. Wszystko stało się tak szybko, że zgromadzeni zdążyli tylko kurtuazyjnie westchnąć. Księżę skrzywił się boleśnie i spiął ramiona, ale nie cofnął ręki.

Gdy było już po wszystkim, Anton zwrócił się do zebranych, ale stanął akurat plecami do ławki Lore i Gabriela. Choć nawet stamtąd dało się dostrzec krew na księżęj dłoni, Lore nie widziała, co dokładnie kapłan na niej wyrzył.

Niebo nagle pojaśniało, jakby słońce postanowiło na krótką chwilę przygrzać mocniej. Dały się też słyszeć pełne uznania szepty. Lore zastanawiała się, czy i to nie było zainscenizowane – czy to nie aby kolejny zaplanowany element, który miał dodać ingresowi dramatyzmu.

Siedzący naprzeciw podestu August wyglądał jednak na zdumionego.

– Oto Bastian Leander Arceneaux, pomazaniec i przyszły święty król Auverraine, poświęcony dziś na waszych oczach wobec Krwawiącego Boga! – Anton robił wrażenie rozradowanego. Po złotym nożu w jego ręku wciąż spływały krople krwi.

– Chwała! – zawołali gromko zgromadzeni. Ich okrzyk, nim zdążył do końca wybrzmieć, utonął w fali ogłuszającego aplauzu.

Bastian zaśmiał się i nisko skłonił, a następnie z namaszczeniem otarł zakrwawioną dłoń o biały dublet.

– Chodź – mruknął Gabriel do Lore. – Nie siedźmy tu dłużej.

Dworzanie rzucili się w stronę podestu. Śmiejąc się i nawołując, próbowali zbliżyć się do księcia, a ten pozwalał im na to. Gdy któryś z gości podał mu puchar pełen wina, Bastian pociągnął z niego obficie, czym wywołał falę jeszcze bardziej entuzjastycznych okrzyków.

August podejrzewał, że Bastian zdradza Auverraine, ponieważ nie chce brać na siebie ciężaru rządzenia. Zdaniem Lore wyglądało jednak na to, że księżę czuje się bardzo dobrze, gdy znajduje się w centrum uwagi. Ruszając za Gabrielem w stronę wejścia do Cytadeli, nie miała wątpliwości, że Bastian da sobie radę z tłumem rozentuzjasmowanych dworzan.

Jedynymi, którzy poza nimi natychmiast skierowali kroki ku pałacowi, byli Anton, młody duchowny i August. Ten ostatni, krocząc w asyście krwawych, wciąż kurczowo ścisnął kielich. Uniósł go zaraz drżącą dłonią i raz jeszcze chciwie się z niego napił. Rozchlapał przy tym wino i omal nie oblał rąbka sukienki Lore. Ta, nim weszła za Gabrielem do Cytadeli, ostatni raz zerknęła za siebie.

Bastian stał nadal na podeście, ze wszystkich stron otoczony pięknymi ludźmi w barwnych strojach. Wszyscy oni bez wyjątku zabiegali o jego uwagę, ale to nie na nich patrzył następca tronu. Lore sama nie wiedziała, jak może być tego pewna mimo dzielącego ich dystansu, a jednak nie miała żadnych wątpliwości – księżę gapił się na nią.

Rozdział 8

*Miała guślarka stać przy grobie,
a pomieszało jej się w głowie.
Boginię z grobu wypuścić chciała,
a ta w jej głowie zamieszkała.*

Auverrainńska rymowanka dziecięca

Myślisz, że zostawili nam tu jakieś wino? – spytała Lore. Kwatera, gdy byli w niej tylko we dwoje, wydawała się nagle przepastna niczym górską grota. – Po tym wszystkim muszę się napić – dodała, opadając ciężko na sofę.

Buty zrzuciła przy samych drzwiach, bo strasznie ją obcierały. Presque Mort, pomimo tylu lat obserwacji, pomyliło się co do rozmiaru.

– Jeśli cokolwiek jest, to tam. – Gabriel wskazał ręką na niewielki stolik przy zimnym kominku. Potem oparł się o ścianę i poprawił skórzaną przepaskę na oku. – Mam nadzieję, że August każe nam przynieść coś do jedzenia.

– O pustym żołądku szpiegować nie będę – odparła Lore i zaczęła przeszukiwać półki poniżej blatu stolika. Po chwili wyprostowała się, trzymając w rękach dwa zakurzone kieliszki i małą butelkę czerwonego wina. – To tam... było dziwaczne, prawda? – zagaiła. – Nie żebym często bywała na święceniach. W sumie to nie byłam na żadnym. Ale chyba nie tak to normalnie wygląda?

– To prawda – zgodził się Gabriel. – Malcolm mówił mi, że Anton planuje więcej czytać niż zazwyczaj, ale nie spodziewałem się...

– Upuszczania krwi?

Twarz mnicha przybrała wyraz pomiędzy uśmiechem a grymasem.

– No właśnie... – Gabriel potarł rudawy zarost, który z upływem godzin pojawił się na jego brodzie. – Ale na pewno wszystko to miało czemuś służyć. Anton niczego nie robi bez powodu. Zresztą ingres księcia Arceneaux to nie pierwsze lepsze święcenie. Chyba należało się spodziewać, że nie przebiegnie jak każde inne.

Wyglądało na to, że Gabriel zdążył nabrać wprawy w racjonalizowaniu postępów Antona. Najwyższy kapłan mógłby rozebrać się do naga i zatańczyć na środku

Sanktuarium Południowego, a ten i tak upierałby się, że musiało to służyć wyższym duchowym celom...

Lore zębami wyciągnęła korek z butelki i zaraz skrzywiła się, czując octowy zapach.

– Do dupy jest to wino – ostrzegła, po czym nalała Gabrielowi i wyciągnęła w jego stronę rękę z kieliszkiem. – Jak zresztą cały ten dzień.

Nie wiedziała, jaki stosunek do alkoholu mają mnisi Presque Mort, i nie zdziwiłaby się, gdyby Gabriel odmówił. W pierwszej chwili, widząc, jak przygląda się trunkowi w kieliszku, sądziła, że tak właśnie robi.

– Jeśli mi nie pomożesz, sama wypiję całą butelkę – rzuciła. – Uwierz, że tego nie chcesz. Kiedy się spiję, śpiewam, a mam naprawdę fatalny głos.

Gabriel jeszcze przez moment spoglądał na kieliszek, po czym wziął go do ręki.

– Niech będzie – powiedział i upiwszy pierwszy łyk, okrutnie się skrzywił. – Na rany Apolliusza, okropne!

– I tak lepsze niż myślenie o tym, w co nas wpakowali. – Lore z kieliszkiem w ręku usiadła na dywanie, krzyżując nogi pod pożyczoną sukienką. – Nadal nie wiem, jak niby mam się zbliżyć do Bastiana. Ani po co kazali nam iść na tę... cudaczną ceremonię.

– To nie będzie trudne – odparł Gabriel ponuro, najwyraźniej celowo omijając temat ingresu. Upił kolejny łyk wina. – August miał rację: Bastian lubi ładnych ludzi. Musisz tylko go do siebie dopuścić.

– To mógłby być komplement. Gdybyś tylko nie wypowiedział słowa „ładny” takim tonem, jakbyś mówił o ropieniu. – Lore jednym haustem dokończyła zawartość kieliszka i natychmiast sobie dolała. – Chociaż i tak chyba powinnam być wdzięczna. Dotąd ani razu nie wypowiedziałeś przy mnie tylu słów.

Gabriel nie odpowiedział. Wpatrywał się tylko w karmazynowy trunek w kieliszku.

– Jest mi trudno... być tutaj – odezwał się w końcu.

Na chwilę znów zaległa cisza.

– Przykro mi – powiedziała Lore.

Gabriel spojrzał na nią zaskoczony.

– Z jakiego powodu? – spytał.

– Że musisz tu ze mną siedzieć.

Zaśmiał się cicho.

– Naprawdę nie jesteś najgorszym towarzystwem w tym pałacu.

– Zdecydowanie musisz popracować nad komplementami.

Gabriel uniósł kieliszek w udawanym toaście. Lore zrobiła to samo. Oboje wypili.

Lore nie przestawała się dziwić, jak swobodnie czuje się w towarzystwie mnicha. Owszem, nie był zbyt rozmowny, ale jego milczenie działało na nią kojąco – zupełnie jakby miała naprzeciw siebie starego przyjaciela.

Zmarszczyła brwi. Znała Gabriela raptem dwa dni – ich znajomość zaczęła się podczas szarpaniny w uliczce przy rynku. Było jasne, że jest bezwzględnie lojalny wobec króla i najwyższego kapłana, Lore tymczasem nie ufała żadnemu z braci Arceneaux. Pozwalanie sobie na nadmierną poufałość wobec tego jednookiego mnicha nie było dobrym pomysłem. Miała dość rozumu, by to wiedzieć. Co takiego w sobie miał, że wbrew życiowemu doświadczeniu chciała natychmiast mu zaufać?

To musiało być z nerwów. Z nerwów i desperacji. Chwytała się jedyne go człowieka, który wydał się jej potencjalnym oparciem. Tak to już było z Lore – gdy sytuacja wymykała się spod kontroli, nie pozwalała nieść się nurtowi wydarzeń, ale natychmiast szukała sposobu, by gdzieś zakotwiczyć, jakkolwiek ryzykowne by się to wydawało.

Machnęła ręką zdeterminowana, by zacząć myśleć o czymkolwiek innym. Z powodu szumiącego w głowie wina nie wykazała się jednak taktem.

– Masz tylko jedno oko – zaczęła.

– Celną obserwacja.

– Bardzo bolało?

Palce Gabriela znów powędrowały ku przepasce.

– Tak – odparł spokojnie po chwili milczenia. Zaraz jednak zmienił ton na znacznie bardziej zapalczywy. – Kurewsko bolało.

– Pijesz i klniesz – brnęła dalej Lore. – Czyli w Presque Mort nie są wcale tacy rygorystyczni... Kążą wam tylko wytrwać w celibacie.

– Są rygorystyczni, jak najbardziej – zaoponował Gabriel. – To ja, mimo czternastu lat zakonnego życia, nie wyzbyłem się do końca świeckiej plugawości. Ot, osobista ułomność.

Dopił wino, po czym podszedł do kominka. Tuż obok, na złotym stojaku, czekały równo pocięte polana. Mnich sięgnął po kilka z nich i wrzucił je do paleniska. Potem zaczął rozglądać się za zapałkami.

– Świętość najwyraźniej przychodzi powoli – dodał.

– O ile w ogóle. – Lore przyglądała się, jak Gabriel bez powodzenia szuka zapalek, po chwili jednak odstawiła kieliszek i ruszyła w stronę wyjścia. – Poczekaj – rzuciła po drodze. – Jest prostszy sposób.

W przedpokoju zdjęła jedną z płonących świec z kandelabru wyobrażającego serce Krwawiącego Boga.

– Włóż ją do paleniska i przystaw do drewna – poinstruowała, wręczając świecę Gabrielowi. – Nie przywykłeś do rozpalania ognia, co?

– Nie w tym rzecz. – Gabriel odsunął cięższe polana, sięgnął po mniejszy kawałek drewna i przystawił do niego płomień świecy. – Nie przywykłem do okradania przedstawień Krwawiącego Boga. Użycie tej świecy to formalnie grzech.

– No i widzisz? Pięć minut, a ja już podkopuję twoją nabożność. Ale spokojnie, większość i tak już się tam wypaliła. Widać w tej wieży nie są zbyt gorliwi.

– Witaj w Cytadeli. Tu nikt nie jest gorliwy, jeśli inni nie patrzą. – Gabriel przykucnął naprzeciw paleniska i obserwował, jak płomień pomału zaczyna trawić polana. – A skoro już bawimy się w pytania, to jak było z tobą? Spodziewam się, że twoja historia jest nieco mniej dramatyczna. Nie wykłuł ci oka następca tronu Kirytei... Otarłaś się o śmierć w jakiś przyziemniejszy sposób? Rodzina najadła się strachu, a ty zostałaś z mocą?

Krwawiący Boże, dopomóż. Lore przez ułamek chwili wahala się, czy nie powiedzieć mu prawdy. Z jej uchylonych ust miało już się ulać: „Wiesz, urodziłam się w katakumbach. Umiem władać Mortemem, odkąd tylko pamiętam”. Ugryzła się w język w ostatniej chwili.

Szlag by to trafił, znów to niezrozumiałe poczucie komitywy. Zaczynało się to robić naprawdę irytujące. Ba, niebezpieczne.

Lore pociągnęła kolejny łyk wina.

– Spadłam z mostu i przez minutę się topiłam. Ale wróciłam z tamtej strony. Rodzinie niezbyt się to wszystko podobało. Kiedy miałam trzynaście lat, wywalili mnie z domu.

Ogólniki. Brak szczegółów. Łatwe kłamstwa.

– Ładna mi rodzina – mruknął Gabriel w stronę płomieni, po czym wstał i usiadł obok Lore na sofie. – Tak czy inaczej, nie mnie ją oceniać – dodał po chwili.

– No a ty? – Lore chciała odwieść rozmowę od siebie samej. – Jak to się stało, że trafiłeś do Presque Mort po tym, jak...

– Jak mój ojciec zdradził Augusta i dał Kiryteańczykom w prezencie przyczółek pod samą granicą Auverraine? – Głos Gabriela brzmiał beznamiętnie. – Znalazł mnie Anton. Powiedział, że moim przeznaczeniem jest dołączyć do Presque Mort i to, co niegodne, przekuć w święte.

Gabriel miał wtedy dziesięć lat. Lore zapamiętała jego słowa z sali tronowej. Był świeżo osieroconym, potwornie okaleczonym chłopcem, a Anton posłużył się jego tragedią! Najwyższy kapłan budził w Lore coraz większą odrazę.

Nie spytała, jak wszystko się wtedy potoczyło. Gabriel mówił jednak dalej, zupełnie jakby to zrobiła. Czasem wystarczy pokazać komuś, że chce się go wysłuchać.

– Kiedy Kiryteańczycy podeszli pod granicę Belgii, mój ojciec złożył im hołd lenny. August odmówił nam pomocy wojskowej. Wszystkie nadwyżkowe oddziały, jakie tylko miał, wysyłał do pilnowania Wysp Popielnych. – Mnich zawiesił głos. – Koniec końców, wszystko to było na nic. Kiryteańczycy i tak zabili mojego ojca. Jax uznał, że człowiek, który zdradził jednego sojusznika, łatwo może zdradzić kolejnego. I skrócił mojego ojca o głowę. Jax miał wtedy szesnaście lat... Był wciąż dzieckiem, a już potrafił być tak okrutny.

– Byłeś przy tym? – spytała cicho Lore. Zaraz jednak pokręciła głową. – No tak, musiałeś być, przecież tuż po tym... – Nie dokończyła. Nagle zupełnie zaschło jej w gardle. Gabriel Remaut oglądał śmierć własnego ojca, a chwilę później człowiek, który właśnie odebrał mu rodzica, wyłupił mu oko.

Gabriel skinął głową. W panującym w pokoju półmroku Lore zdało się, że w okaleczonym mężczyźnie widzi wciąż coś z przerażonego chłopca.

– Nie wiem, dlaczego Jax zostawił mnie przy życiu – ciągnął mnich. – Nie był jeszcze cesarzem, a zabijając nas wszystkich, dobitniej pokazałby, co czeka zdrajców. On tymczasem odesłał mnie do Auverraine. Okaleczonego i załamane, ale jednak żywego. – Tu Gabriel wzruszył ramionami. – Niedługo później znalazł mnie Anton. Zostałem wprowadzony do Presque Mort i zamieszkałem w klasztorze Northreach. W Dellaire zostać nie mogłem, byłem wtedy zbyt wyczulony na Mortem. Anton przyjeżdżał do mnie tak często, jak tylko mógł, i uczył mnie, jak nad nim panować. Jak blokować jego oddziaływanie. Plan był taki, że gdy tylko będę gotowy, sprowadzę się tutaj. – Zaśmiał się smutno. – Okazało się, że potrzebowałem kilkunastu lat. Gdy w końcu się udało, byłem już po święceniu.

Lore przypomniała sobie rozmowę w celi pod kościołem. Powiedział jej wtedy, żeby otoczyła swój umysł zaporą. „To wszystko jest w twojej głowie”. Brzmiał, jakby

powtarzał doskonale wyuczoną lekcję.

Splatając palce, pochyliła się naprzód.

– Więc Jax oszczędził cię po tym, jak zabił ci ojca... – zaczęła. – Biorąc pod uwagę, ilu bydlaków mieszka na tym dworze, stawiam, że przez to byli wobec ciebie tylko bardziej podejrzliwi.

Gabriel milczał na tyle długo, że Lore pomyślała już, że może się rozmyślił i nie zamierza dzielić się z nią szczegółami swojej historii.

– Były chwile... – odezwał się końcu – kiedy żałowałem, że Jax nie załatwił sprawy raz a dobrze.

Z korytarza dobiegł szmer. Ktoś wsunął jakiś przedmiot pod drzwi ich kwatery. Jak się zaraz okazało, była to kremowobiała koperta.

Lore na nieco miękki od wina nogach podeszła do drzwi i ją podniosła. „Remaut” – napisano na kopercie zdobną, złotą czcionką. Lore rozdarła papier i zerknęła do środka.

– To zaproszenie – powiedziała do Gabriela, machając arkusikiem.

Mnich podszedł do niej ze zmarszczonymi brwiami.

– Dokąd? – spytał zaskoczony.

– Na bal maskowy wyprawiany przez Bastiana. O zachodzie słońca w sali tronowej – odczytała Lore.

Wymienili spojrzenia, starając się przy tym nie dać po sobie poznać emocji.

– Dziwne... – Lore odezwała się jako pierwsza. – To ja miałam się do niego zbliżyć.

Gabriel mruknął coś pod nosem, po czym wziął od niej zaproszenie, by samemu je przeczytać.

– August nie przedstawił cię jeszcze dworowi. Skąd książę wie, że tu jesteśmy?

– Widział chyba, jak wchodziłam do Cytadeli – wyjaśniła Lore, po czym opowiedziała szybko o sytuacji, która miała miejsce w ogrodach. Celowo nie opisywała, co dokładnie robił książę, wołała nie narażać mnisiej wrażliwości Gabriela. Ten jednak najwyraźniej domyślił się wszystkiego bez słów, bo wymownie przewrócił oczami.

– Cudownie – mruknął. – Chyba udało się spalić twoją przykrywkę, zanim w ogóle wzięłaś się do szpiegowania.

– Niekoniecznie – odparła Lore, która natychmiast przypomniała sobie, co czeka ją, jeśli nie zdoła wykonać zadania. Nie uśmiechał jej się ani pobyt w celi, ani wskrzeszanie wieśniaków. – Potrafię dobrze kłamać – dodała. – Jeśli spyta, co

robiłam rano w ogrodach, powiem, że noc spędziłam na mieście, a ty eskortowałeś mnie do pałacu.

– Wciąż tylko nie wiem, jak Bastian dowiedział się, gdzie cię szukać. Jest znacznie uważniejszy, niż Augustowi się wydaje. Czułem, że nie powinniśmy byli pokazywać się na ceremonii!

Była to najbliższa sprzeciwni się Augustowi rzecz, jaką Lore usłyszała od Gabriela. Mnich raz jeszcze zerknął na zaproszenie, a następnie odrzucił je na sofę.

– I w co niby mielibyśmy się ubrać na bal maskowy? – powiedział poirytowany.

W tym momencie rozległo się ciche pukanie do drzwi.

– Wasza miłość, ja z polecenia jego wysokości...

– No! – ucieszyła się Lore. – Oby to była kolacja.

Nie była. Zamiast posiłku dostarczono im dwa pokrowce ze strojami. Służka, której powierzono dostawę, przyjrzała się Lore z zaciekawieniem, po czym niezwłocznie dygnęła i oddaliła się szybkim krokiem. Nie zdążyli jej nawet o nic zapytać.

– No cóż... – powiedziała Lore po chwili. – Ze strojami nie będzie chyba problemu.

Gabriel tylko jęknął.

Rozdział 9

Nie ma boleśniejszej przemiany nad przemianę przyjaciela we wroga.

Przysłowie auverraińskie

Koszmarna jest ta kiecka!

Słyszając Lore, Gabriel zerknął na nią kątem oka. On sam ubrany był w ciemnozielony dublet z wyszywanym złotą nicią motywem winorośli, dopasowane do niego odcieniem spodnie i śnieżnobiałą koszulę o rękawach tak obszernych, że w każdym zmieściłby się pieczony indyk. Gdy miał na sobie tak elegancki strój, trudniej było oswoić się ze skórzaną przepaską na jego oku. Jakby bardziej go szpeciła i wydawała się czymś nie na miejscu.

– Ładnie ci – bąknął zdawkowo, choć to, jak szybko uciekł wzrokiem w inną stronę, zdawało się przeczyć szczerości tych słów.

– Wyglądam jak śliwkowy budyń! – Wściekła Lore kopnęła kawałek tkaniny, który zahaczyła niechcący obcasem. – I jeszcze nie da się w tym chodzić! – W tym momencie zaczął się z niej zsuwać gorset. – Nie da się w tym chodzić, więc tym łatwiej mnie tam poźrą!

– W porównaniu z tym, co potrafią włożyć na siebie niektórzy dworzanie, to stonowany strój.

Lore podrapała skórę pod maską na oczy, którą dostarczono jej razem z suknią. Był to wąski skrawek lawendowego jedwabiu udekorowany punkcikami w odcieniu ciemnego fioletu.

– Nie ma co, przed tobą ciekawy wieczór.

Gabriel wygiął usta w szyderyczym uśmiechu. Jego strój w odróżnieniu od kreacji Lore dostarczono bez maski. Komuś zależało, by jego twarz pozostała wyraźnie widoczna. Tym kimś był zapewne sam książę. Bastian prawdopodobnie nie tylko wiedział, że Gabriel przebywa na dworze, ale chciał też, żeby go *zobaczono*. Żeby bez trudu rozpoznano go na dworze, na którym uchodził za zdrajcę – dziedzica przewin swego ojca.

Dziewczyna kolejny raz przydepnęła dół sukni.

– Na Krwawiącego Boga! Do dupy z tą kiecką!

– Dobrze, wyrzuć to z siebie. Tu możesz kłać do woli, na sali nie. Kuzynki ksiąząt wysławiają się gładko, a ty masz wypaść wiarygodnie.

– To może od razu zacznę skrzeczeć jak paw...

Wąskie, kręte schody, którymi wcześniej krwawi doprowadzili ich do kwatery, byłyby teraz dla Lore nie do pokonania. Zabiłaby się na nich w swoich fioletowych butach na wysokim obcasie. Dlatego szli okrężną drogą, by skorzystać z szerszych schodów na końcu każdego z większych korytarzy.

– Mam chyba być pawiem. Bo przecież nie budyniem?

– A musimy czymś w ogóle być? – zdziwił się Gabriel.

– To przecież bal maskowy, mój ty mnichu! Cała zabawa polega na przebierankach – rzuciła Lore, która jednak wciąż nie była pewna, co każde z nich ma przypominać. Tiule na jej spódnicy uszeregowano piętrami w odcieniach fioletu, od ciemnobordowego skrawka u dołu po bladolawendowy na samej górze. Ciemnofioletowy gorset okalały zielone przeszycia zwieńczone poniżej głębokiego dekoltu białymi liśćmi. Może, skoro nie pawiem, miała być jakimś kwiatem?

Strój Gabriela nie dostarczał żadnych poszlak. Wyglądał jak zwyczajny dworski ubiór, o tyle tylko nietypowy, że w całości utrzymany w odcieniach zieleni.

– Kiedy już tam dojdziemy, nie mów do mnie „mnichu” – uczulił. – Nie mówiłabyś tak przecież do krewnego.

– Więc jak? Po prostu „Gabrielu”?

– Lepiej „Gabi”.

– Gabi – powtórzyła Lore, jakby ważyła słowo na języku.

Mnich z namaszczeniem skinął głową, ale kąciki jego ust uniosły się w uśmiechu. Lore też się do niego uśmiechnęła, zaraz jednak znów skupiła się na karkołomnym zadaniu kroczenia naprzód w swojej absurdalnej sukni. Wcześniej miała wrażenie, że ich kwatera znajduje się potwornie daleko od najważniejszych pomieszczeń Cytadeli. Teraz, widząc coraz to zdobniejsze kandelabry i posadzki, czuła, że zbliżają się do nich stanowczo za szybko. Serce biło jej coraz prędeziej, a na skórę wystąpił pot, przez co miała jeszcze bardziej dość swojej tiulowej kreacji.

– Jak brzmi twoje pełne imię? – spytał nagle Gabriel, to znaczy Gabi, gdy pokonawszy kolejny zakręt korytarza, znaleźli się w obszernym atrium. Lore miała wrażenie, że już tu wcześniej byli. Rozpoznała różane krzewy rosnące w zdobionych złoceniami ceramicznych donicach, stoliki z kutego żelaza i statuetki figlujących nimf. – Czy „Lore” to zdrobnienie?

– Nie. – Wzruszyła ramionami. – To jedyne imię, jakie mam.

– Więc musimy szybko wymyślić coś, co będzie brzmieć jak imię kuzynki księcia. – Gabriel spojrział na nią z wyrazem skupienia na twarzy. Jego rysy oświetlał sącący się do atrium blask zachodzącego słońca. – Eldelore – powiedział po chwili.

Lore zmarszczyła nos. Gabriel, widząc to, uniósł brew ponad przepaską.

– Nie? To masz mniej więcej dwie minuty, żeby wymyślić coś lepszego.

– Dwie minuty?

Pokonali jeszcze jeden zakręt korytarza i w oddali pojawiły się drzwi sali tronowej. Gabriel posłał Lore niewesołe spojrzenie.

– Powiedziałem „mniej więcej”...

Z jakiegoś powodu wejście do sali wyglądało tym razem jeszcze bardziej onieśmielająco. Sącące się do wnętrza wieczorne światło nadawało zdobiacemu je sercu Krwawiącego Boga pomarańczowo-czerwony odcień. Potężnych drzwi strzegło pięciu krwawych z szablami przy bokach. Broni palnej ani bagnetów Lore nie zauważyła. Pewnie dlatego, pomyślała, że takie uzbrojenie nie przystawało „elegancją” do wnętrza Cytadeli. Rzeź na ludziach uprawiało się poza jej murami.

Gwardziści strzegący wejścia nie byli tymi, którzy stali tu wcześniej.

– Nowi krwawi? – szepnęła ledwie słyszalnie do Gabriela.

– Ci, których widziałas rano, raczej się tu więcej nie pojawią – odparł cicho. – August jest boleśnie skrupulatny. Tych, którzy zatrzymali cię w mieście, też pewnie już tu nie ma. Król chce, by krąg ludzi, którzy wiedzą, kim naprawdę jesteś, był jak najmniejszy.

– Czyli... tych żołnierzy przeniesiono?

– O ile tak chcesz nazwać zesłanie na Wyspy Popielne.

Cytadela karmiła się więc przemocą tak samo jak ulice Dellaire. Nieważne, że broń polerowano tu na wysoki połysk, a plamy krwi niezwłocznie usuwano.

– Zechcą się wasze miłości przedstawić – odezwał się jeden z gwardzistów, gdy zbliżyli się do drzwi.

Lore nie miała wątpliwości, że to wyłącznie formalność. Krwawy patrzył na Gabriela wielkimi oczami, jakby miał przed sobą ducha.

– Leif Gabriel Remaut, książę Belgii – odparł mnich pewnym, mocnym głosem, jakby robił to tysiące razy. – A to moja kuzynka, Eldelore Remaut.

Lore wczepiła się palcami w rękę Gabriela, pilnując, by się nie uśmiechnąć.

Gwardzista skinął głową i otworzył drzwi. Ich oczom ukazał się teraz wytworny chaos na miarę Świetlistego Królestwa zmarłych bogów czy któregoś z tysięcy wyobrażeń piekieł.

Dworzanie w kosztownych strojach wirowali w rytm muzyki wygrywanej przez niewielką orkiestrę. Widać było fryzury na kształt spiral czy wież. Paleta niewiarygodnych barw pudrów na włosach gości sięgała od głębokich zieleni przez mineralne błękity po soczyste róże. Niektórzy z tańczących – przystrojeni w półmaski czy sztuczne uszy wykonane z kosztownych tkanin – przypominali przebraniami zwierzęta. Jakaś chuda osoba miała na plecach lśniące motyle skrzydła, na głowie zaś odpowiadającą im odcieniem jaskrawożółtą farbę. Inny gość przytroczył sobie skrzydła łabędzie, które wyglądały wypisz wymaluj jak prawdziwe – tańcząca z nim kobieta z kolei nie miała na sobie nic poza wykonanymi z piór przepaskami w talii i na piersiach.

Gdyby brwi Lore potrafiły powędrować wyżej, zniknęłyby pod linią włosów.

– Nie przesadziłeś... – wykrztusiła. – Rzeczywiście jestem ubrana bardzo zwyczajnie.

– Wręcz cnotliwie. – Gabriel miał taką minę, jakby wolał znaleźć się w więziennej celi niż zostać na tym przyjęciu. Mięśnie wokół jego szczęki były wyraźnie napięte, tak samo zresztą jak ręka, w którą wczepiła się Lore.

Do jej nozdrzy dobiegł znany, drażniący zapach. Wilcze jagody.

Rozejrzała się bacznie po tłumie zebranych i szybko wypatrzyła w kącie grupkę dworzan popijających na zmianę z niewielkiej ceramicznej czarki. Nie próbowali się nawet z tym kryć. Ich twarze były zarumienione, a oczy szkliste. Wyglądało też na to, że niezbyt pewnie stoją na nogach. Od razu było widać, że są odurzeni trucizną. Euforycznie naćpani. Na ich nadgarstkach i gardłach zdążyły się już pojawić szare smużki. W ich żyłach postępowało kamienienie. Mieli w sobie dość Mortemu, by spowolnić spustoszenie, jakie czyni czas; wydłużyć swoje rozpustne życie o lata boleści.

– Wykończą się, jeśli wypiją za dużo – szepnęła Lore. – Mortem trzeba brać z umiarem, a chyba na tej imprezie nikt nie ma pojęcia, co to takiego.

– Dworscy medycy mają wprawę w tym temacie. – Gdy Gabriel odwrócił wzrok od grupki odurzonych, Lore dostrzegła błysk w jego niebieskim oku. – Przedawkowania to tutaj codzienność, a prawo nakazuje, by arystokraci ustępowali na rzecz swoich dziedziców, jeśli żyją zbyt długo.

– Nie widziałam tu nikogo, kto wyglądałby jak zjawa.

– Z tym tutejsi medycy też sobie radzą. Kiedy nadarzy się okazja, przyjrzyj się uważnie któremuś ze starszych moźnych. Ukrywają kamieniejące żyły i wychudzenie dzięki kosmetykom i poduszkom w odpowiednich miejscach.

Dziewczyna aż zacisnęła zęby, gdy ekstrawagancko ubrani dworzanie, chichocząc, dzielili się trucizną. Nawet sobie tego nie uświadamiając, zaczęła pomалу zmierzać w ich stronę. Przystanęła dopiero wtedy, gdy poczuła na ramieniu dłoń Gabriela.

– Opuść, Lore.

Miał rację. Nawet gdyby do nich podeszła, co niby by wskórała? Nie zmieniłoby to nic. Westchnęła więc tylko i rozprostowała zaciśnięte w pięść palce. Potem na nowo zajęła się obserwowaniem dworskiej rozpusty.

Biesiadnicy popijali trunki w przerwach pomiędzy tańcami. Ich wzorzyste, wielobarwne stroje zdawały się dorównywać zdobnością złoconym freskom na ścianach. Ci, którzy akurat nie całowali się ani nie pili, plotkowali, zbliżając twarze na tyle, na ile tylko pozwalały wymyślne fryzury. Kolejne porcje szeptów raz po raz przerywała salwa śmiechu. Spojrzenia umalowanych oczu wędrowały po sali, jakby ich właściciele chcieli upewnić się, że ich radość jest dostatecznie widoczna. Najlepiej jeszcze, gdyby wzbudzała zazdrość.

Mężczyzna w niebieskozielonej masce ze złotymi łuskami leniwie powiódł wzrokiem po Gabrielu, po czym się odwrócił. Zaraz jednak jego spojrzenie powróciło. Obojętność wyraźnie ustępowała miejsca zaskoczeniu, bo nachylił się ku stojącej obok osobie o misternej fryzurze na wzór pszczelego ula. Zaczęły się szepty.

– No to już zauważono nowe twarze – skwitowała Lore. Ona i Gabriel wciąż stali blisko drzwi wejściowych. Żadne nie miało chęci zanurzać się w barwny tłum.

– Moja nie jest tu nowa. W tym problem – westchnął Gabriel. – A już miałem nadzieję, że po dziesięciu latach i bez jednego oka będę trudniejszy do rozpoznania.

– Wiesz, raczej ciężko cię przeoczyć – mruknęła i szybko ugryzła się w język.

– I to *ja* mam popracować nad komplementami? – Gabriel rozprostował ramiona. – Mniejsza z tym, do boju – dodał i pociągnął za sobą Lore w tłum biesiadników.

Mijali kolejnych tańczących, których stroje aż krzyczały o ich bogactwie. Gdziekolwiek spojrzeć, widać było wysadzone klejnotami gorsety i przesywane złotem tiule. Nikt z bawiących się nie zwracał najmniejszej uwagi na żelazne belki w posadzce – symbol uświęconej odpowiedzialności kleił się od potu i rozlanego szampana.

Serce Lore łomotało, i to nie tylko z nerwów. Otaczające ją zewsząd widoki przypomniały jej o co barwniejszych lokalach w dzielnicy doków. Tu jednak jeszcze bardziej wyczuwała w powietrzu zagrożenie. Było przesycone władzą i pieniędzmi, które mocno uderzały do głowy.

Choć Lore wyrzucała to sobie, wszystko to było dla niej na swój sposób ekscytujące. Część niej nie potrafiła zapomnieć przy tym o grupce arystokratów popijających wywar z wilczych jagód.

Poza zapachem tańczących ciał i silną wonią perfum na sali dało się też wyczuć aromaty potraw. Żołądek Lore zaburczał natychmiast pod opiętym gorsetem.

– Masz jakiś pomysł, gdzie może być bufet? – spytała, podnosząc nieco głos, by przekrzyczeć muzykę i śmiechy.

– Chyba tam, po prawej – odparł Gabriel, rozglądając się niespokojnie niczym zwierzyna w jamie drapieźników.

Zauważało ich coraz więcej biesiadników. Kolejne osoby z wystudiowaną nonszalancją zerkały w ich stronę, by zaraz odwrócić wzrok. Pomiedzy ludzkimi falami na parkiecie Lore dostrzegła po chwili stół z poczęstunkiem. Ustawiono go pod złożonym obrazem przedstawiającym polowanie na lisa: ujadające psy i nawołujący myśliwi gonili wysadzone rubinami zwierzę przez znaczny fragment pałacowej ściany. Z dwóch fontann pośrodku stołu lało się wino – z jednej białe, z drugiej czerwone. Tuż obok ustawiono prawdziwą piramidę kryształowych kielichów i misy pełne owoców i wypieków. Wszystko to bardziej niż poczęstunek przypominało barwną biżuterię.

Lore kolejny raz zaburczało w brzuchu. Zrobiła już krok naprzód, by zacząć przedzierać się przez tłum ku jedzeniu, lecz w tym momencie biesiadnicy rozstąpili się i jej oczom ukazał się tron. Po raz pierwszy, odkąd znalazła się w sali, zauważyła, że nie jest on pusty. Siedzący na nim człowiek przerzucił nogę przez podłokietnik, o drugi z kolei opierał się łokciem. Głowę jakby od niechcienia podparł zdobną w pierścienie pięścią. Bastian Arceneaux. Nawet pośród całej tej dekadencji udawało mu się wyglądać na zblazowanego.

I znów, gdy na niego patrzyła, odezwało się w niej poczucie, że się znają. Książę był niemal jak *déjà vu*. Wydawało się, że idealnie wypełnia w jej umyśle przestrzeń, o której nie wiedziała nawet wcześniej, że jest pusta.

– Gabrieli? – Zza ich pleców dobiegł nagle melodyjny kobiecy głos.

Mnich momentalnie znieruchomiał, najwyraźniej więc go rozpoznał.

– Gabriel Remaut? – Pytanie podszyte było wahaniem. – Przepraszam... czyżbym się pomyliła?

Lore ujęła Gabriela za przedramię i odwróciła go w stronę mówiącej osoby. Była nią stojąca na skraju parkietu drobna kobieta o nieco zalęknionym wyrazie twarzy i marmurowo białych lokach. Miała miedzianą cerę ze szczyptą piegów, a na jej kościach policzkowych lśnił perłowy brokat pasujący odcieniem do skrzydełek na jej tiulowej sukience. Odcień jej zielonych oczu pasował z kolei do haftu otaczającego dekolt. Wyglądała jak kwietna wróżka prosto z bajki, a uśmiech, który pojawił się na jej twarzy, był niemal tak promienny jak cała ona.

Ręka Gabriela wydawała się jeszcze bardziej napięta niż przed chwilą.

– Alienor... – powiedział, pochylając lekko głowę.

– To naprawdę ty! – Kobieta roześmiała się i zaklaskała w ręce. – Bastian mówił, że przyjechałeś z północy, żeby przedstawić nam swoją kuzynkę, ale myślałam, że żartuje!

– Fakt, Bastian jest w najlepszym razie średnio prawdomówny.

– Czternaście lat w zakonie, a ty wciąż grzeszysz zazdrością. – Alienor ironicznie pokręciła głową, a ze skrzydełek na jej plecach posypał się lśniący brokat.

– O niego nigdy nie byłem zazdrosny.

– Oczywiście, że byłeś! Wystarczyło, by powiedział, że ładnie wyglądam, a natychmiast kazałeś mi się pilnować przy twojej narzeczonej. A on tylko się z tobą drażnił. – Alienor powiedziała to swobodnym tonem, niemal jak żart. Jej oczy zdradzały jednak, że pod radosnym głosem kryje się kropla gorzkości.

Narzeczone. To tłumaczyło napięcie Gabriela. Miał zaledwie dziesięć lat, kiedy Anton sprowadził go do Cytadeli i przeznaczył do Presque Mort, ale członków dworu zaręczano bardzo wcześnie. Ich życia planowano praktycznie od chwili urodzin.

Skępowany Gabriel jak zwykle w chwilach nerwowości sięgnął do przepaski na oku. Wzrok Alienor powędrował za jego dłonią.

– Dobrze cię widzieć – powiedziała tonem, w którym nie było już figlarności. Wyglądało na to, że nieco posmutniała.

– I ciebie – odparł Gabriel, opuszczając rękę.

Lore przestąpiła z nogi na nogę, czuła się w tej sytuacji jak intruz. Alienor spojrzała na nią, jakby dopiero teraz ją zauważyła. Na jej twarzy znów pojawił się szeroki uśmiech.

– A to twoja kuzynka, prawda? Nie wiedziałam, że masz kuzynostwo.

– Dalekie. Mamy wspólnych prapradziadków – wtrąciła się pomocnie Lore. Taką wersję wymyślili wspólnie, gdy Gabriel pomagał jej z sukienką i o mało nie zemdłał na widok kobiecych łopatek. – Taka ze mnie siódma woda po kisielu. Dzięki mojemu krewnemu mam szansę pokazać się na dworze.

– Alie, poznaj Eldelore. – Wargi Gabriela drgnęły, gdy wypowiadał to fikcyjne imię. Widać było, że o mało się nie uśmiechnął.

– Po prostu Lore. – Korzystając z szerokiej spódnicy, „Eldelore” dyskretnie przydepnęła obcasem palec Gabriela.

Alienor uśmiechnęła się i wyciągając dłoń w stronę Lore, lekko dygnęła.

– Wspaniale cię poznać, po prostu Lore. Ty mów mi, proszę, Alie. Tak nazywają mnie przyjaciele. – Jej twarz była życzliwa i otwarta. Alienor nie wyglądała, jakby próbowała cokolwiek udawać.

Lore naprawdę chciała, by jej słowa okazały się szczere, choć wszystko, co widziała w Cytadeli, skłaniało ją ku daleko posuniętej ostrożności.

– Alie – powtórzyła kobieta, po czym na chwilę zapadła niezręczna cisza. W tym samym momencie przestała też grać muzyka. Po chwili jednak rozbrzmiała znowu, tym razem jeszcze skoczniejsza i bardziej rytmiczna.

Gabriel zmarszczył brwi i pokręcił głową.

– To kiryteańska muzyka.

– Naprawdę? – Alie była wyraźnie zbита z tropu. – Rzeczywiście ciekawy wybór...

– Jeśli przez „ciekawy” rozumieć „zdradziecki”.

– To chyba przesadny dramatyzm. – Zza pleców Lore dobiegł nowy głos. Brzmiał po dworsku wytwornie, ale miał w sobie coś żartobliwie prowokacyjnego. – Wolałbym nazwać ten wybór nie zdradzieckim, lecz śmiałym.

Zdrowe oko Gabriela i jego zaciśnięta szczęka natychmiast zasygnalizowały, że nie jest mu do śmiechu. Alie za to uśmiechnęła się szeroko i zamachała połyskującą brokatem ręką.

– O wilku mowa! – rzuciła radośnie.

Lore odwróciła się i ujrzała przed sobą Księcia Słońca. Następca tronu uniósł brew ponad maseczkę na oczach. Już widziany z daleka – w ogrodzie czy przystrojony w biel na ceremonialnym podeście – wydawał się atrakcyjny. Z bliska zaś, ubrany w idealnie pasującą do jego włosów i oczu czerń, był po prostu zabójczo przystojny.

Jego uśmiech świadczył o tym, że świetnie zdaje sobie z tego sprawę.

– Powrót rodu Remaut do Cytadeli to nie lada okazja! – Bastian poklepał Gabriela po plecach. Ten ani drgnął, jak drzewo, które opiera się podmuchowi wiatru. – Mój ojciec bardzo się cieszy, że może was gościć na dworze. Sam zaproponował, bym stosownie was powitał. Nie miał chyba na myśli balu maskowego, bo teoretycznie pora teraz na wieczorne nabożeństwo... Ale co tam. Dziś był przecież mój ingres. Krwawiący Bóg pozwoli chyba, żebym przez jeden wieczór był mniej gorliwy.

– Jakbyś kiedykolwiek bywał! – rzuciła sarkastycznie Alie.

– Ranisz mnie. – Bastian przycisnął dłoń do piersi, po czym spojrzał na Gabriela. – Za to ty sprawiasz mi dużą radość! Nie sądziłem, że wygram z Apolliuszem i zobaczę cię tutaj. Wybacz, że nie dostałeś maski. Nie byłem pewien, jak komponowałyby się... – Tu skinął dłonią w stronę oczu Gabriela.

Lore od początku wiedziała, że to był pomysł Bastiana. Słyszając jednak, jak książę wprost się do tego przyznaje, poczuła, że przewraca jej się w żołądku. Co za okrutna impertynencja! Uczynił z Gabriela gwóźdź programu, a przecież ten znajdował się wśród ludzi, przez których wcale nie chciał być widziany. Sporo wysiłku kosztowało ją, by nie dać po sobie poznać irytacji.

Bastian uśmiechnął się szelmowsko, nie była więc pewna, czy ostatecznie jej się to udało. Następnie odezwał się do niej, ściszej nieco głos:

– Niezmiernie mi miło panienkę widzieć, tym razem z bliska. Żałuję, że podczas ingresu byłem zajęty i nie mieliśmy szansy porozmawiać. To rzadkość widzieć na dworze świeżą krew.

Lore cieszyła się, że ma na sobie skórzane rękawiczki. Dzięki nim nie było widać, jak spocona jest dłoń, którą podała księciu.

– Miło mi służyć swoją – odpowiedziała, siląc się na możliwie kokieteryjny uśmiech. Chyba marnie jej wyszedł, bo kątem oka dostrzegła, jak Gabriel błyskawicznie odwraca się w stronę fontanny z winem. Wyglądał, jakby tłumił wybuch śmiechu. Lore posłała mu poirytowane spojrzenie. Miała się przecież zbliżyć do księcia, tak? Doświadczenie uczyło ją, że tak się to właśnie robi.

W oczach Bastiana widać jednak było wyrachowanie. Nie potrafił ukryć za uśmiechem chłodnej rezerwy. Lore natychmiast pomyślała, że może być równie wytrawnym graczem jak ona.

Alie skrzyżowała ręce na piersiach, kolejny raz strącając z nich na sukienkę drobiny brokatu.

– Bastianie, wszystkim powiedziałaś, że to bal kostiumowy, a sam przyszedłeś ubrany na czarno.

– Jestem nocą – wyjaśnił księżę, puszczając dłoń Lore, i wskazał na lśniąca zakrzywioną szablę u swojego boku. – A to mój księżyc.

Może i szabla była tylko elementem kostiumu, ale i tak wydawała się ostra.

– O Krwawiący Boże... – Alie przewróciła oczami. – Wszyscy będą teraz myśleć, że przesadzili z kostiumami, a to ty po prostu jesteś leniem!

– Nic podobnego! Wszyscy tu wiedzą, że nim jestem. – Bastian nie przestawał patrzeć Lore w oczy. I ona nie odwracała wzroku, jakby odruchowo wdała się z nim w potyczkę na spojrzenia. Potyczki tej nie zamierzała teraz przegrać.

W tym momencie zjawiała się obok dworzanka w tęczowej pastelowej sukni i o oczach podkreślonych brokatem. W ręku trzymała kielich i lekko chwiała się na nogach. Trucizna, jeszcze więcej trucizny. Lore skrzywiła się. Czuła, jak od jej bliskości aż drętwieją jej palce. Odruchowo zrobiła krok do tyłu i omal znów nie nadepnęła Gabrielowi na nogę. Zaraz jednak się okazało, że Mortem przyprawia ją jedynie o lekkie mrowienie i delikatne nudności. Nic więcej. Technika, której nauczył ją Gabriel, sprawdzała się rewelacyjnie.

Dworzanka podsunęła kielich księciu.

– Poczęstujesz się, Bastian? – spytała, po czym spojrzała na Lore i Gabriela. Na jej twarzy pojawił się nieco okrutny uśmiezek. – A może wy macie ochotę? Tak w ramach debiutu...

– Daj spokój, Cecelia. – Ton księcia był łagodny, ale jego skryte pod maską oczy groźnie załśniły. – Zachowuj się, jak należy.

Tiule zaszeleściły, gdy dziewczyna znów zachwiała się na nogach.

– Jak wolicie... – Upiła kolejny niewielki łyk i odeszła.

Bastian roześmiał się, ledwie słyszalny przy wysoko grających smyczkach.

– Darujcie im – powiedział z wciąż chłodnym spojrzeniem. – „Ręce bezczynne zwracają się ku grzechowi jak kwiaty ku słońcu”. Księga Praw Śmiertelniczych, Rozprawa Czterdziesta Piąta.

Gabriel nie odezwał się ani słowem, ale znów zacisnął szczęki.

Księżę Słońca dopił wino i wręczył pusty kieliszek przechodzącemu obok dworzaninowi. Ten wyglądał na tyleż dezorientowanego, co zachwyconego.

– Nie przedstawisz mnie swojej czarującej kuzynce, Gabi? – spytał po chwili.

– A muszę? – Gabriel brzmiał tak, jakby jego szczęki same miały chęć zatrzasnąć się na dobre. – Mam wrażenie, że i tak wszystko już o nas wiesz. – Palce zwieszanej u boku ręki zacisnęły mu się w pięść.

Lore pogładziła ją delikatnie. August i Anton, mówiąc o „zbliżaniu się”, nie mieli raczej na myśli zbliżania pięści do twarzy księcia.

Gabriel, aż z pewną przesadą, rozwarł z powrotem dłonie.

– Przyjęło się to uważać za kulturalne. – Bastian w końcu oderwał wzrok od oczu Lore i spojrzał na Gabriela. – Ale cóż, wiem, że od dawna nie bywasz na dworze, bo harujesz dla mojego stryja w Northreach. Skoro więc zapomniałeś o manierach, będę musiał przedstawić się sam.

Muzycy zagrali na jeszcze żywszą nutę. Tańczący zareagowali na świergot smyczków radosnymi okrzykami.

– Pozwolę sobie zrobić to w tańcu – dokończył Bastian, po czym splótł palce z palcami Lore i pociągnął ją za sobą w wir na parkiecie.

Rozdział 10

Oto mym wybrańcom pozostawiam mą moc – Spiritum, magię życia. Niech służy czynieniu świata takim, jakim być powinien.

Księga Praw Świętych, Rozprawa 714 (zdania wygłoszone przez Apolliusza do Gerarda Arceneaux)

Lore, nielegalna kurierka, czuła lekkie mdłości – trochę z głodu, a trochę przez woń trucizny i związany z nią pełzający po ciele niepokój. Eldelore Remaut byłaby jednak zachwycona, że oto sam księżę porywa ją do tańca. I to właśnie Eldelore miała być tego wieczora obecna na sali – by zbliżyć się do księcia i zacząć ustalać, czy rzeczywiście jest winny zdrady. Jeśli tak... wybór kiryteańskiej muzyki był więcej niż „śmiały”.

Ciemnofioletowy tiul spódnicy znów zaplątał się pod piętę. Lore, klnąc, zaraz zręcznie go odkopnęła. Bastian uniósł brew i uśmiechnął się rozbawiony. Cóż, to nie było raczej zachowanie na miarę Eldelore Remaut...

Po kuzynce księcia można by też oczekiwać, że będzie dobrze tańczyć. Tego zaś Lore nie potrafiła. Kiedyś próbowała – raz. Zatrudniła się w tawernie, by robić to, co Elle. Miała porywać bywalców lokalu do tańca i sprawiać, że godzinami będą pić i wydawać pieniądze. Skończyło się na tym, że przewróciła dwie barmanki i nie dotrwała nawet do końca zmiany. Roznoszenie trucizny – w tym jednym była dobra. No i jeszcze w szpiegowaniu.

To tyle.

Lore oparła się lekko prowadzącej ją rękę Bastiana. Na jego knykciach zauważyła odciski, których nie spodziewałaby się u księcia. Miała też wrażenie, że jego nos jest lekko wykrzywiony, jakby był kiedyś złamany.

Bastian zerknął na nią przez ramię i uśmiechnął się cierpko.

– Spokojnie, nie ugryzę – rzucił wesoło, po czym uśmiechnął się szerzej. – Chyba że będziesz chciała.

Lore pomyślała, że wypadałoby się splotnić, ale naprawdę nie takie rzeczy już słyszała. Ostatecznie postarała się odpowiedzieć skromnym uśmiechem.

– Nie znam niestety tego tańca – powiedziała.

Kiryteańska muzyka aż ulatywała z instrumentów, na miarę roz hulania biesiadników. Szybko okazało się, że taniec obejmuje podskoki i klaskanie – i tu pojawiał się kłopot. Lore niezbyt wyobrażała sobie, jak miałyby robić którąkolwiek z tych rzeczy w swojej sukience.

– Nie znam kiryteańskich obyczajów. A ty? – spytała. Ot, pytanie otwarcia. Łagodny początek, żeby przekonać się, z na ile trudnym przeciwnikiem ma się do czynienia.

– Niespecjalnie – odparł Bastian. Nie zamierzał się więc podłożyć. Doprowadził teraz Lore na środek parkietu. Dworzanie rozstępowali się przed nimi jak mieniące się klejnotami fale. Uniósł rękę i skinął na muzyków. Ci w mgnieniu oka zmienili melodię na znacznie spokojniejszą. – Ale starczy już *katairosa*. – Wyszczrzył się w uśmiechu, jednocześnie ujmując Lore w talii.

Utwór, który właśnie się rozpoczynał, był chyba walcem. Pozostawało mieć nadzieję, że jako kuzynka z prowincji ma prawo do pewnych niedostatków gracji.

– Więc ta kiryteańska muzyka była dla Gabriela? – Lore przekrzywiła głowę, nie przestając się uśmiechać, ale jej pytanie miało w sobie odrobinę jadu. Mnich może i był nadąsany i przemądrzały. I z pewnością mógł sam o siebie zadbać. A jednak... splot okoliczności sprawił, że Lore miała do niego stosunek niemal opiekuńczy.

– O nie, nie dla niego. – Bastian obrócił ją i przyciągnął znów ku sobie. Był niższy od Gabriela, ale tylko nieznacznie. Lore uderzyłaby czołem o jego podbródek, gdyby w ostatniej chwili z gracją się nie uchylił. Zrobił to tak, że całość wyglądała na zamierzony element tańca. – Kazałem grać kiryteańską muzykę, bo ją lubię – dokończył myśl.

– Twój ojciec jest pewnie zachwycony.

Oczy księcia zalśniły pod maską, a jego uśmiech stał się ostrzejszy.

– Nic, co robię, nie zachwyca mojego ojca. Uznał, że jestem nieudacznikiem, a mnie niezbyt chce się wyprowadzać go z błędu.

Kolejny obrót, tym razem pod ręką księcia. Drugą wciąż trzymał w dole pleców Lore, prowadząc ją w tańcu.

– Jeszcze jedno – szepnął, gdy byli najbliżej siebie. – Nie pozwoliłbym sobie na żarty z rodziny Gabiego. Wiem, że uważa mnie za potwora. Ma swoje powody. Ale nawet ja nie jestem *tak* okrutny.

Lore miała nadzieję, że jej śmiech nie zabrzmiał tak nieszczerze, jak jej się wydało.

– Za to dopilnowałeś, żeby nie miał maski, bo chciałeś, by wszyscy mogli mu się przyjrzeć – odpowiedziała.

– Chciałem, żeby dworzanie dowiedzieli się, że tu jest, i żeby on sam miał szansę zobaczyć, co traci. Liczyłem, że zdecyduje się zostać, zamiast wracać do Presque Mort. – Ton Bastiana był łagodny, ale krawędzią jego szczęki można by ciąć skały. – Od czasu wypadku mój stryj to półszaleniec, nawet jeśli wszyscy wolą udawać, że to objaw świętości. On sam od czternastu lat ma Gabriela na smyczy. Ja dostrzegłem szansę na to, by zwrócić Gabrielowi wolność, chociaż na kilka tygodni. Powinien być mi wdzięczny.

Lore zastanawiała się, co powiedziała by księżę, gdyby się dowiedział, że mnich zjawił się na dworze wyłącznie na polecenie Antona. Gdyby się przekonał, w jak żelaznym uścisku jego stryj trzyma młodego księcia Belgii.

– Jak bycie oglądanym przez wszystkich miało sprawić, że Gabriel zechce tu zostać? – spytała po chwili.

Bastian wskazał dłonią na imprezę wokół.

– Wrzuć człowieka do jaskini nieprawości po latach spędzonych w klasztorze, a będzie szansa, że zgrzeszy – odparł. – Niech tylko sprawa nabierze rozgłosu, a Anton może nie chcieć go więcej u siebie. Na to przynajmniej liczę. – Bastian parsknął śmiechem. – Ale muszę przyznać, że chyba nie doceniłem pobożności Gabriela. On od zawsze miał zadatki na męczennika.

Przez moment w milczeniu kołysali się do muzyki. Powietrze między nimi wypełniały dźwięki skrzypiec i zapach rozlanego szampana.

– Chyba szczęśliwie się dla ciebie złożyło, że Gabriel wstąpił do Presque Mort? – Oczy Bastiana, tak ciemnobrązowe, że niemal czarne, lśniły impertynencką ciekawością. – Powiedziałbym, że stał się twoim biletem do Cytadeli. Trudno mi sobie wyobrazić, by zaproszono na dwór daleką kuzynkę pohańbionego księcia, gdyby najwyższy kapłan nie uczynił tego księcia swoim projekciem. – Powiedział to wszystko w sposób rozmyślnie protekcyjny, jakby podpuszczał ją, by zaoponowała, i liczył na to, że z jej sprzeciwu czegoś się dowie.

Lore uśmiechnęła się przekornie.

– Znalazłabym inny sposób – odparła. Kuzynka z prowincji spragniona pozycji i wpływów, marząca o dostaniu się na dwór... Trudno byłoby Lore wymyślić kogoś odleglejszego od siebie. Lecz tę rolę mogła grać.

Bastian przyjrzał jej się uważnie. Z jego skrytej częściowo pod maską twarzy nie sposób było cokolwiek wyczytać. Zaraz jednak zaśmiał się i kolejny raz obrócił swoją partnerkę w tańcu.

Gabriel i Alienor wciąż stali z boku sali i rozmawiali. Nachylili ku sobie głowy, by lepiej się słyszeć, ale wściekłe spojrzenie oka Gabriela i tak nieustannie wędrowało za Lore i Bastianem.

Przy kolejnym obrocie Lore była już lepiej przygotowana. A gdy wszyscy do rytmu przytupnęli prawą nogą, bezbłędnie się z nimi zgrała.

– Szybko się uczysz! – Bastian uśmiechnął się szeroko.

– Staram się.

Znów zbliżyli się do siebie. Gdy okrążali się wzajemnie, każde przesunęło dłoń po talii drugiego. Gdyby nie jego taneczna lekkość, ruch ten miałby w sobie coś drapieżnego.

– Dobrze ci w tej sukni – powiedział Bastian, nie starając się ukryć tego, jak wodzi spojrzeniem po ciele Lore. – Ani na ingresie, ani wczoraj w ogrodzie nie miałem czasu dobrze ci się przyjrzeć, ale wygląda na to, że trafiłem.

A więc rozpoznał ją wtedy w ogrodach. Lore kokieteryjnie posłała mu wstydlawy uśmiech.

– To byłeś ty? Ale wstyd! Moje rzeczy nie dojechały na czas, więc musiałam pożyczyć sukienkę z darów dla Kościoła...

Ich dłonie z wysokości talii powędrowały w kierunku twarzy i zatrzymały się w powietrzu o centymetry od siebie.

– Co za szczęście – rzucił Bastian, gdy Lore okrążała go w tańcu. – Mieć tak bliskie znajomości w Kościele.

Po chwili muzyka dobiegła końca. Wszystkie pary wokół zatrzymały się w pozycji ze złączonymi prawymi dłońmi, a lewymi uniesionymi skośnie ponad głowę. Bastian i Lore wciąż jednak stali twarzą w twarz z jedną ręką wysuniętą naprzód. Ich uniesione dłonie były tuż od siebie, ale ani na moment się nie zetknęły.

– Cieszę się, że będziemy się widywać na dworze, Lore – powiedział książę cicho, nachylając się ku niej. Jego oddech musnął jej skroń. – Jest tu potencjał na coś interesującego.

– Tak uważasz, wasza wysokość?

Był tak blisko, że dziewczyna poczuła ruch jego warg tuż przy swojej skórze.

– Wiem to.

Spod przeciwległej ściany, chichocząc i przysłaniając usta dłonią, przyglądała im się Alie. Spojrzenie stojącego obok Gabriela spotkało się teraz ze wzrokiem Lore. Gdy mnich szyderczo uniósł brew, próbowała odpowiedzieć mu miną mówiącą: „A co niby innego miałam robić?”. Nie wyszło. Wyraz jej twarzy zdawał się głównie mówić, że jest jej trochę niedobrze.

Bastian cofnął się o krok. Sięgnął pod zakiet, a Lore przez ułamek sekundy myślała już, że wyciągnie sztylet lub mały pistolet i zabije ją pośrodku parkietu, potwierdzając tym samym, zgodnie z podejrzeniami własnego ojca, że jest szpiegiem na usługach Kiryteńczyków. Dworzanie byliby zapewne zachwyceni. Wszyscy zaczęliby odtąd sprowadzać na bale wieśniaków, by zabijać ich na oczach gości. Byłby to nowy, szykowny trend.

Bastian jednak sięgał nie po broń, ale po zagniecioną roślinkę. Ciąg bladofioletowych kwiatków na zielonej łądźce.

– Naparstnica dla kobiety naparstnicy. Piękna, ale i zabójcza. Jak ty sama, że ośmielię się tak to ująć, choć znam cię ledwie chwilę.

Ostrożnym ruchem wzięła od niego kwiat. Zasuszone płatki zaszeleściły cicho w jej palcach.

– Do następnego, Lore – rzucił Bastian na odchodne, po czym zniknął w tłumie biesiadników. Jak kropla inkaustu w morzu barw.

*

Lore zamknęła za sobą drzwi kwatery i oparła się o nie ciężko.

– Poszło chyba tak, jak miało.

– Wywiązałaś się z zadania świetnie – odparł Gabriel, siadając z przeciągłym westchnieniem na sofie.

– Wygląda na to, że samo zbliżenie się do Bastiana nie będzie trudne – ciągnęła. – Ciężko może być za to cokolwiek z niego wydobyć. Nie przyzna mi się do zdrady tylko dlatego, że wpadłam mu w oko. Jest znacznie bystrzejszy, niż wydaje się jego ojcu i stryjowi.

Gabriel parsknął śmiechem.

Lore zrzuciła pantofle na szpilce, które otrzymała wraz z kostiumem – bladofioletowe z haftowanym motywem dzwonkowatych liści. Liści naparstnicy. Wciąż miała w dłoni zasuszoną roślinkę, którą wręczył jej Bastian. Gdyby zatrzymano

ją tak na ulicach Dellaire, spędziłaby co najmniej trzy dni w dybach. I to pod warunkiem, że byłby to pierwszy raz. Przy recydywie czekałoby ją zesłanie na Wyspy Popielne. Jednak tu, w złotym pałacu pełnym pieniędzy i przepychu, był to tylko drobny podarek od księcia. Pomyślała zaraz o dworzanach popijających wywar z wilczych jagód. I o czuwających medykach, dzięki którym nie musieli niczym się przejmować. Jej palce natychmiast zwały się w pięść, miażdżąc zasuszoną naparstnicę. Lore otrzepała dłoń z jej resztek, po czym odrzuciła na podłogę swoją maskę.

Gdy chwilę po zdjęciu butów odzyskała czucie w stopach, podeszła do Gabriela i wskazała na guziki na swoich plecach.

– Pomóż mi, nie sięgnę do nich.

Mnich zawahał się, ale spełnił prośbę. Jak na duchownego, pomyślała Lore, zaskakująco sprawnie radzi sobie z rozpinaniem kobiecego ubrania.

– Powiedział cokolwiek istotnego, kiedy tańczyliście? – spytał po chwili.

Prawda była taka, że jedyny ważniejszy fragment ich rozmowy dotyczył właśnie Gabriela. Lore uznała jednak, że jeśli mu ją zrelacjonuje, ten tylko zamknie się w sobie. Znała go dopiero dwa dni, ale to wystarczyło, by wiedzieć, że nie przyjmie dobrze szkalowania Antona i Presque Mort. Ci, którzy uważają się za ocalonych, mają w zwyczaju patrzeć na swoich zbawców jak na bogów.

– Raczej nie. A już na pewno nic, co wskazywałoby na to, że jest szpiegiem – westchnęła, opadając na drugi koniec sofy i opierając stopy na otomanie. – Nie wiem, skąd u Augusta przekonanie, że Bastian jest zdrajcą.

– Wyjaśnił ci to przecież – odparł Gabriel, patrząc na dopalające się w kominku polana. – Widzi, że Bastian nie chce być królem. – Oparł głowę na dłoni i poluzował fular, odsłaniając skrawek bladej, piegowatej skóry na piersi. – Kiedy byliśmy mali, Bastian powtarzał, że chce zostać piratem.

Dziwnie było wyobrazić sobie tego mnicha jako chłopca biegającego każdego lata po pałacowych korytarzach z Księciem Słońca i śliczną Alie. Chłopca, który nie wie jeszcze, że jego życie legnie w gruzach, z których będzie musiał podnosić je przez świętość.

– Jako ktoś, kogo nie tak wiele dzieliło od pirackiego życia, chciałabym tylko powiedzieć, że to nic fajnego – stwierdziła Lore.

– Sądzę, że to i tak ciekawsze niż bycie królem.

– To nadal nie powód, żeby próbować rozpętać wojnę.

– Można być innego zdania, gdy jest się następcą tronu z rodu Arceneaux – mruknął Gabriel w stronę ognia.

Lore spojrzała na niego ze zdziwieniem.

– Jak na kogoś, kto go wyraźnie nie lubi, zaskakująco podzielasz jego sposób myślenia.

Mnich zmarszczył brwi.

– Po prostu znam Bastiana na tyle dobrze, by rozumieć, dlaczego widzi w wojnie rozwiązanie i ucieczkę od odpowiedzialności. Zwłaszcza w wojnie, którą i tak uważa za nieuniknioną. Jego zdaniem to niewielka cena za uwolnienie od spuścizny rodu, świętości i całej reszty.

Lore uśmiechnęła się szyderczo, gdy przypomniała sobie żelazne belki w posadzkach i ich symboliczne znaczenie. Dane od boga prawo do tronu przysługiwało rodowi Arceneaux tylko pod warunkiem, że będzie on trzymać w ryzach Mortem broczący z ciała Nyxary. Wzniesienie ponad jej grobem Cytadeli i kościoła w dużej mierze rozwiązało problem, ale na tym rzecz się przecież nie kończyła. Wedle rozpraw ród Arceneaux miał także władać Spiritum, magią życia. Sęk w tym, że żaden jego przedstawiciel dotąd tego nie potrafił.

– Wierzysz, że to prawda? – spytała Lore. – Ten fragment o Spiritum?

Gabriel namyślał się przez chwilę.

– Wierzę, że to dzięki obecności rodu Arceneaux w Cytadeli Mortem nie rozlał się po całym kontynencie – odpowiedział niespiesznie, wyraźnie zmagając się z wątpliwościami. – Reszta jest historią. Mamy przecież zapiski o tym, co działo się, zanim Gerard Arceneaux wznosił Cytadelę i uczynił ją swoją siedzibą.

– Za to nigdzie poza rozprawami nie ma słowa o tym, żeby faktycznie władał Spiritum.

– Słowa mogły zostać mylnie zinterpretowane. Zdarzało się to nieraz. – Gabriel spojrzał na Lore. – Rodzice nie straszili cię Nocną Wiedźmą?

– To znaczy obłąkaną kapłanką? – spytała Lore. Poczuli, że momentalnie zasycha jej w gardle. Pytanie zadała tak, jakby nie była do końca pewna, o co chodzi Gabrielowi. Jakby opowieść, o której wspomniał, nie była nierozzerwalnie związana z jej własną historią.

– Tak jest! – Gabriel poruszył się na sofie, znów sięgając do opaski. – Nocna Wiedźma była kiedyś zwyczajną kapłanką. Stała na czele Straży Grobowej, zakonu, który miał za zadanie strzec sarkofagu bogini i obserwować, ile Mortemu się z niego

wydobywa. Można powiedzieć, że to była siostrzana formacja Presque Mort. W niej też służyły osoby uprawnione do władania Mortemem. Wszystko zmieniło się po wzniesieniu Cytadeli i koronacji Gerarda Arceneaux. Kiedy kapłanka zostawała wiedźmą, była w jej szeregach jedyną władającą Mortemem.

Lore przytaknęła, a Gabriel po chwili kontynuował.

– W końcu postradała rozum i próbowała otworzyć grób Nyxary. Mylnie odczytała jedną z rozpraw w Księdze Praw Świętych i zaczęła twierdzić, że jest odrodzoną boginią. Ten fragment wykreślono zresztą później z Kompendium. – Gabriel pokręcił głową niemal z żalem. – Dlatego są nam potrzebni ludzie tacy jak Anton. Którzy potrafią właściwie odczytywać rozprawy i objaśniać nam ich znaczenie. Błędna interpretacja niesie ze sobą potężne zagrożenie.

Lore spłotła na kolanach drętwiejące, zimne palce. Przez moment ona i Gabriel siedzieli w milczeniu. Słysząc było tylko trzaskanie polan w palenisku. Dopiero po chwili Gabriel podniósł się i zniknął na moment w swojej sypialni. Zaraz jednak wrócił, niosąc w rękach poduszki i koce, które ku zaskoczeniu Lore zaczął układać przy drzwiach.

– Wiesz, że masz tam normalne łóżko? – spytała.

– Będę spać przy drzwiach. – Gabriel zerknął na Lore z czujnym błyskiem w oku i zaczął zdejmować z siebie dublet i koszulę. Jego umięśniony tors pokrywały rudawe włoski, o ton ciemniejsze od jego zarostu. – Nie ufam w Cytadeli nikomu. Aż mnie odrzuca.

– Wygląda, jakbyś sam miał ochotę kimś rzucić – mruknęła Lore.

– Miejmy nadzieję, że nie będę miał okazji – odparł, układając się na swoim prowizorycznym pościeliu. Gdyby ktokolwiek próbował dostać się do ich apartamentu, natknąłby się natychmiast na potężnego jednookiego człowieka. – Na twoim miejscu też bym się kładł – dodał. – Nabożeństwo pierwszego dnia zaczyna się o wschodzie słońca.

Nabożeństwo... Na śmierć o nim zapomniała. A przecież to podczas niego August miał oficjalnie przedstawić ich dworowi. Lore jęknęła, po czym dźwignęła się z sofy i poczłapała w stronę sypialni, której Gabriel nie ograbił z poduszek.

– Dobranoc, mnichu – rzuciła na odchodne.

– Dobranoc, heretyczko.

Lore ledwie miała siłę się zaśmiać. Szybko zsunęła z siebie naporstnicową suknię i rzuciła się na łóżko. W mgnieniu oka opadła ją ciemność i zmorzył sen.

Rozdział 11

Bogini do ucha więdźmy tak mówi:

„Wypuść mnie, kochana, do ludzi.

Otwórz drzwi, zamień ze mną słowo.

Historii moc wyjawię przed tobą”.

Rymowanka dziecięca

Lore siedziała nad oceanem i po raz pierwszy, odkąd sięgała pamięcią, było jej po prostu dobrze.

Przyjemnie ciepła woda omywała jasny brzeg, ochlapując jej kostki i podbierając piasek, na którym siedziała. To nie była zimna i kamienista plaża w pobliżu doków. Nie, było to jedno z tych miejsc na południu Auverrainne, o których tyle razy słyszała. Miejsc, do których bogaci umykali przed ostrą zimą. Tu, w powietrzu, nie unosiła się woń soli.

 Nie pachniało niczym.

Ktoś się do niej przysiadł. Kto – tego nie wiedziała. Gdy spojrzała w bok, zobaczyła tylko nieostrą sylwetkę, wyrwę w przestrzeni, która przybrała kształt osoby. Wokół rozciągała się pustka, jednak gdy mocno się w nią wpatrzyła, pojawiły się przebłyski. Obsydianowy grobowiec. Rozpalone żelazo w kształcie półksiężyca. Kobieta o migdałowych oczach takich samych jak jej własne.

 Lore nie starała się dojrzeć ich kolejny raz.

Ponad ciepłym oceanem na błękitnym niebie wił się szary dym. Lore dopiero po chwili zorientowała się, że smugi unoszą się z jej własnej piersi i ponad wodą splatają się z innymi czarnymi smugami. Patrzyła, jak dym pnie się po niebie coraz wyżej, układając się w kształt łuku.

 – Doskonale – powiedziała niewidoczna postać obok niej. – Tym razem poszło znacznie łatwiej.

Lore usiadła gwałtownie na zbyt miękkim łóżku i przycisnęła knykcie do oczu tak mocno, że aż zobaczyła gwiazdy. Zapora wokół umysłu, którą nauczył ją wznosić Gabriel, puściła. Jakby przedziwny koszmar, który ulatywał właśnie z jej pamięci, po prostu przepalił chroniący ją dotąd las. Nagle wyczuwała Mortem we wszystkim: od ścian przez pościel po meble. Pulsowało jej w głowie, całe ciało wydawało się ciężkie jak ołów. Mając wrażenie, że się dusi, łapczywie zaczerpnęła powietrza. Ciężka jej śmierć – skryształizowana i nieskończona, czysty ból bez wytchnienia.

Lore stanęła na drżących nogach. Kolejna fala pulsowania w głowie sprawiła, że aż syknęła z bólu. Ucieczka przez Okręg Północno-Zachodni, jedna noc w powrozach na krześle i kolejna przetańczona na balu – wszystko skumulowało się w jej ciele, przez co krzyczało ono z wysiłku niczym pękająca pod ciężarem lina.

Zaciskając zęby, zmusiła się do wyjścia z sypialni do wspólnego saloniku. Omal nie wpadła przy tym na ścianę. Dotknięcie czegokolwiek sprawiło, że czuła się, jakby jej mózg przyjmował ciosy. Miała chęć zerwać z siebie podomkę, ale w ostatniej chwili powstrzymała własną dłoń. Potrzebowała pomocy Gabriela, a ten gotów jeszcze umrzeć na serce, gdyby zobaczył ją nagą.

Jednooki mnich leżał wciąż oparty o próg drzwi prowadzących na korytarz. Lore trąciła stopą jego ramię. Za bardzo bolała ją głowa, by dała radę się schylić. Łatwo mogłoby się to skończyć wymiotami.

– Gabi, znów się to dzieje.

Przebudził się w mgnieniu oka i z zatroskaną miną usiadł na pościeli. Cały czas miał na oku przepaskę, a więc najwyraźniej nie zdejmował jej do snu. Przynajmniej nie wtedy, kiedy pilnował drzwi.

Jedno spojrzenie na Lore wystarczyło Gabrielowi, by zrozumieć, w czym problem. Nie musiała mu na szczęście niczego tłumaczyć.

– Pamiętałaś przed snem o utrwaleniu?

– O czym?

– Czyli rozumiem, że nie...

– Skąd, kurwa, miałam wiedzieć, że mam coś jeszcze robić? – Ból utrudniał jej panowanie nad złością, ale Gabriel nie zamierzał się obruszać.

Szybko usiadł po turecku i oparł dłonie na kolanach. Krótkim gestem dał też Lore znać, by zrobiła to samo. Ta usłuchała, cedząc pod nosem przekleństwo. W odrętwiałych nogach czuła nieznośne klucie. Poruszanie nimi przypominało przerzucanie worków bezwładnego mięsa.

– Utrwalenie – zaczął Gabriel, gdy była już gotowa – polega na zwizualizowaniu zapory i osadzeniu tej wizualizacji. Ma ona być dla umysłu możliwie rzeczywista, tak aby nie trzeba było w sposób ciągły skupiać się na jej podtrzymywaniu.

– Przez cały dzień nie skupiałam się na niej wcale i jakoś się trzymała – odparła Lore. Problem pojawił się, dopiero gdy zaczął śnić jej się koszmar. Wciąż odczuwała go sercem i obrzeżami umysłu, jakby nadal spała. Jakby sen był żywym bytem, wcielonym złem, które nie chce wypuścić jej z pułapki. Kłopot w tym, że Lore nie była w stanie pochwycić go myślą. Próbowwała przypomnieć go sobie w całości, ale nie udawało jej się odtworzyć nic poza pojedynczymi przebłyskami: białym piaskiem czy niebieską wodą.

Gabriel ściągnął brwi, wyraźnie zaskoczony.

– To... dziwne – stwierdził.

– Możemy nie gadać teraz o dziwności?

Skinął głową, choć w jego oku pojawił się błysk zaniepokojenia.

– Pomyśl o swojej zaporze – polecił, opierając swobodnie ręce na kolanach. – Przywołaj każdy szczegół, choćby najmniejszy. Zanurz się w to, co widzisz. Niech wyda ci się równie rzeczywiste, jak wszystko inne, co cię otacza.

Jedynie, co w tej chwili wydawało się Lore rzeczywiste, to ból rozsadzający jej czaszkę. Miała chęć sama przyłożyć sobie w głowę, byle choć na moment ustał. Stopniowo udało jej się jednak uspokoić oddech i rozluźnić szczęki. Oderwała myśli od bolesnego pulsowania i potu, który wystąpił na jej czoło, a zaczęła myśleć o lesie.

Drzewa. Wiele, wiele drzew. Otaczały Lore zwartym zielonym murem. Słyszała równy rytm oddechu Gabriela, a jej własny oddech stopniowo stał się dla niego kontrapunktem. Jakby każdy jej wdech odpowiadał jego wydechowi. Pomału wrażenie wszechobecności śmierci zaczęło ustępować. Choć nie do końca, bo całkowicie nie zanikało nigdy. Zelzało jednak na tyle, że Lore przestała mieć poczucie, że tonie. Teraz, gdy udało jej się skupić, a las w głowie jawił się tak samo prawdziwie jak zakurzony dywan, na którym siedziała, zaczęła dostrzegać coś za linią drzew. W niebieskie niebo wzbijały się smugi dymu. Ich widok był jak mrowienie pełzające po umyśle, mimo to wciąż nie potrafiła przypisać go do żadnego konkretnego wspomnienia.

Gdy pulsowanie w głowie ustało, a podomka nie wydawała się już pośmiertnym całunem, Lore otworzyła oczy.

Gabriel się jej przyglądał. W ciągu dwóch dni, które spędzili razem, dużo na nią patrzył, ale teraz – gdy jego nakrapiana piegami skóra migotała w słabym blasku ognia w kominku – czuła na sobie jego spojrzenie znacznie wyraźniej. Czuła, że naprawdę ją *widzi*. Nie jako guślarke, pozorantkę w kosztownej sukni czy kamień, który zawieszono mu u szyi. Po prostu jako kobietę.

– Zawsze aż tak cię to męczyło? – spytał cicho. – Czucie Mortemu?

Lore przełknęła ślinę.

– Nie.

Gabriel milczał, spodziewał się chyba, że będzie mówiła dalej. Gdy jednak dłuższą chwilę się nie odezwała, nie próbował ciągnąć jej za język.

– Nasze umysły są najbardziej narażone, gdy śpimy – zaczął, patrząc na nią z empatią. – Są wtedy bardziej chłonne i otwarte. Nie należy się tego wstydzić.

Jakby to akurat *tego* Lore się wstydziła.

– Dzięki za pomoc – powiedziała i nagle się podniosła, by zaraz zniknąć w swojej sypialni. Chciała znów zapaść w sen. Zatracić się w zapomnieniu pośród bezpiecznego lasu.

Zamknęła oczy i wyobraziła go sobie tak szczegółowo, jak tylko potrafiła. Gałęzie kołysały się, szerokie pnie piętrzyły się ku górze. I tylko gdzieś za zielonym listowiem w lazurowe niebo wzbijał się dym.

*

Kościół był budowlą równie okazałą co Cytadela, choć utrzymaną w zupełnie innym stylu. Cytadela olśniewała przepychem i złoceniami, świątynia zaś była surową bryłą ze śnieżnobiałego, lśniącego w słońcu kamienia. Dębowe krokwie i ławki wypolerowano na wysoki połysk. Przez mieniące się jak klejnoty witraże na zebranych w Sanktuarium Północnym sączyło się różnokolorowe światło.

Lore, nie pierwszy raz od wstania o nieludzkiej dla siebie porze, dziękowała losowi, że powściągliwie korzystała z fontanny z winem. Wciąż kleiły jej się oczy, ale nie była chociaż takim ludzkim wrakiem jak niektórzy z dworzan schodzących się w milczeniu do świątyni. Miała przed sobą całą paradę czerwonych oczu i niezmytych przez przeoczenie smużek brokatu. Łatwo było rozpoznać, którzy z obecnych przetańczyli noc na balu Księcia Słońca.

Wyglądało na to, że większość... Bastian miał ogromne towarzyskie wzięcie, przynajmniej pośród młodszych mieszkańców Cytadeli. Lore zastanawiała się, czy to po części dlatego August tak łatwo posądził go o szpiegostwo. Mężczyźni u władzy często są przeczulenii na punkcie swoich cieszących się popularnością dziedziców. Pod tym względem dwór nie różnił się aż tak bardzo od szajek przerzucających truciznę. Lore nieraz widziała, jak ambitny „porucznik” ginął z ręki własnego „generała”.

Ziewnęła teraz tak szeroko, że aż przeskoczyła jej zuchwa. Półprzytomna, ledwie dowlokła się z Cytadeli do Sanktuarium Północnego. Dzieliło je dobrze ponad dwa kilometry, ale nie miała siły chłonać po drodze szczegółów. Nie dało się jednak nie zauważyć, że ścieżka była równo wybrukowana i obsadzona z obu stron krzewami różnymi. Zupełnie nie przypominała zawalonej gruzem trasy do przeznaczonego dla plebsu Sanktuarium Południowego. Wszystko po tej stronie murów kościoła było czyste, dostatnie i starannie utrzymane.

Lore poczuła nagle lekkie szturchnięcie w ramię.

– Nie śpij, kuzynko – szepnął Gabriel.

– Nie śpię, *kuzynie* – odpowiedziała, zaraz jednak znów rozdziawiła usta w przeciągłym ziewnięciu. – Po co, do ciężkiej cholery, zaczynać nabożeństwo o wschodzie słońca? W południe Apolliusz też chyba wysłuchuje modlitw?

Gabriel skinął głową w stronę witraża wieńczącego prezbiterium. Było to wyobrażenie serca Krwawiącego Boga wykonane z paneli w odcieniach czerwieni i ochry. Wraz z tym, jak słońce pięło się w górę, całość rozświetlała się stopniowo ciepłymi barwami.

– Po to – odpowiedział tonem, co do którego Lore nie była pewna, czy jest nabożny, czy raczej urażony. Może jedno i drugie po trochu.

Jak na kogoś, kto spędził noc na podłodze pod drzwiami, Gabriel wyglądał zaskakująco świeżo. Był teraz ubrany skromniej niż podczas balu. Miał na sobie ciemny dublet i spodnie, a do tego lnianą koszulę – tym razem o normalnych rękawach. Było to jego najprzystojniejsze wydanie w ciągu ich krótkiej znajomości.

Lore tego ranka z rozmysłem trzymała się z dala od lustra. Nawet uczesała się, nie patrząc na swoje odbicie. Czuła, że ma pod oczami wory, w których dałoby się przemycać cykuteę.

Dwuskrzydłowe drzwi do sanktuarium były wciąż otwarte. Właśnie schodzili się przez nie ostatni dworzanie. Zaraz pojawiła się i Alienor. Gdy przecinała wyłożoną

dywanem nawę, światło sączące się przez witraże rzucało barwne refleksy na jej niemal białe loki – wyglądała, jakby wokół jej głowy powstała kolorowa aureola. Szła równym krokiem, patrząc przed siebie jasnym, przytomnym spojrzeniem. Po chwili dotarła przed ołtarz, przyklękła i ucałowała drewnianą nastawę. Gabriel i Lore zrobili to samo, gdy nieco wcześniej zjawili się w świątyni – Lore starała się wtedy nie myśleć o tym, ile ust dotykało przed nią punktu, który całuje.

Gdy Alie wyprostowała się i zaczęła szukać sobie miejsca w ławkach, spojrzenia jej i Lore się spotkały. Gabriel za to nawet nie spojrzał w jej stronę.

Tuż za Alienor podążał starszy mężczyzna. Nie byli do siebie podobni, ale trzymali się tak blisko siebie, że musieli przyjąć razem. Miał znacznie jaśniejszą niż ona, mlecznobłądą karnację i brązowe włosy – proste, nie jak ona w puklach. Wyraz jego twarzy był ponury, a kształt zmarszczek wokół jego ust wskazywał, że rzadko bywało inaczej. W pewnym momencie zerknął na Lore tak, jakby chciał spojrzeniem zdjąć z niej wymiary.

– Kto to? – spytała Lore dyskretnym szeptem.

– Severin Bellegarde. – Aby odpowiedzieć, Gabriel nie musiał nawet odwracać wzroku. Dawno już zdążył przyjrzeć się Alie i starszemu mężczyźnie. – Jej ojciec.

Lore uniosła brew – Alie najwyraźniej była znacznie bardziej podobna do matki niż do ojca. Temu ostatniemu przestała się przyglądać i z teatralnym namaszczeniem zaczęła podziwiać witraże. Powiodła wzrokiem po kolejnych przedstawieniach Apolliusza – scenach zarówno zaczerpniętych z rozpraw, jak i apokryficznych: Apolliusz leczący dotykami śmiertelną ranę, Apolliusz porzucający świat doczesny i wstępujący po chmurach do Świetlistego Królestwa...

Lore zmarszczyła brwi i z powrotem zajęła się obserwowaniem zebranych. Przy całej niechęci do zrywania się tak wcześnie musiała przyznać, że widok wypełnionego szykownymi dworzanami Sanktuarium Północnego robił duże wrażenie. Każdy tu wiedział dokładnie, co robić, jakie miejsce zająć i jak wyglądać nabożnie nawet pomimo czerwonych od przepicia i trucizny oczu. Jako plebejka Lore nie miała tu wcześniej wstępu. Była kilka razy w Sanktuarium Południowym przeznaczonym dla ludu, lecz i to zwykle po to, by mieć przykrywkę podczas rekonesansu poprzedzającego zrzut.

W świątyni zjawili się już ostatni dworzanie. Prowadzące na zewnątrz ciężkie dwuskrzydłowe drzwi zamknęły się z hukiem.

Chwilę później otworzyły się za to niewielkie drzwi przy podwyższeniu za ołtarzem. Pojawił się w nich Anton w szacie tak białej, że niemal kolącej oczy. Na jego piersi widniał nieodłączny wisior. Zaraz dołączyła też do niego szeregowka mniszka w tradycyjnym czarnym stroju Presque Mort. Niosła w rękach kadzielnice, z której sączył się gęsty dym. Nie miała jednej dłoni, tylko poorany straszliwymi bliznami kikut.

Nieczęsto widywało się w tej formacji kobiety. Dawniej każdy, kto władał Mortemem, a nie był mężczyzną – jeśli tylko nie starał się zignorować zewu magii śmierci – dołączał do Straży Grobowej. Niemniej kobietom wolno było wstępować do Presque Mort, zwłaszcza że alternatywa w postaci służby w Straży Grobowej już nie istniała. Przynajmniej oficjalnie.

Lore zerknęła na Gabriela: stał wciąż obok, spokojny i niewzruszony. Ona sama, gdyby tylko dorastała w nieco normalniejszych warunkach, próbowałaby zapewne wyprzeć swój szczególny dar. Jakoś nie miała wrażenia, by służba w Presque Mort była czymś szczególnie przyjemnym.

Obok mniszki pojawił się kapłan, którego Lore nie rozpoznawała. Podchodził kolejno do otaczających ołtarzowy podest palenisk i rozpalał je. Był ubrany w białą szatę i nie miał blizn, musiał więc być tylko zwyczajnym duchownym.

W świetle rozżarzonych palenisk Lore przyjrzała się uważniej Antonowi. Zdziwiło ją, że choć sam kiedyś tak potwornie się poparzył, nawet nie wzdryga się na ich widok. Najwyższy kapłan zbliżył się do rozpalonych węgli jak gdyby nigdy nic.

Po przeciwległej stronie podwyższenia otwarły się teraz kolejne, większe drzwi. Pojawił się w nich August w promienistej koronie na głowie, ubrany w czarny dublet i ciemnopomarańczową powłóczystą szatę. Gdy kroczył w stronę ołtarza, Lore zauważyła, że spodnią część jego płaszcza uszyto ze złotej tkaniny. Po chwili monarcha opadł na kolana przodem do zgromadzonych. Jego ruchy zdradzały pewną nerwowość. Lore wychwyciła tik palców i drżenie w jednym z kolan. August podrapał się też po ukrytym za wysokim kołnierzem karku. Dopiero potem złożył ręce do modlitwy.

Za nim po krótkiej chwili pojawił się Bastian, który zmierzał w stronę ołtarza na tyle wolno, by zakłócić nieco rytm ceremonii. Łatwo było odnieść wrażenie, że w ogóle tej nocy nie spał. Pod jego zaczerwienionymi oczami widać było wyraźne cienie. Sęk w tym, że jakimś cudem było mu z nimi do twarzy. Włosy opadały mu na ramiona lśniącymi falami, a zarost na brodzie dodawał mu hardości, zamiast po

prostu wydawać się niechlujnym. Ubrany był dość podobnie do ojca: miał na sobie czarny dublet i czarną koszulę, a także płaszcz, choć w odcieniach karmazynu i brązu. Inaczej prezentowała się natomiast jego korona – ot, prosta, wysadzana rubinami opaska.

Księżę posłał zebrany leniwe spojrzenie, po czym dołączył do klęczącego przed ołtarzem Augusta. Twarz monarchy była ukryta za jego złożonymi dłońmi, Lore dostrzegła jednak, że jego ramiona nagle się spięły.

Bastian tymczasem poruszył się nieznacznie i odgarnął włosy z twarzy. Był prawdziwym artystą pozornie przypadkowych gestów, mistrzem wystudiowanej nonszalancji. Księżę jakby usłyszał myśli Lore, bo nagle uniósł wzrok, a ich spojrzenia się spotkały. Na twarzy Bastiana pojawił się szeroki uśmiech. Gdy odpowiedziała mu tym samym, stojący obok Gabriel przewrócił tylko oczami.

Jako że obie koronowane głowy klęczały już przed ołtarzem, uklękli również wszyscy zebrani. Pod ławkami czekały już przygotowane miękkie poduszki. Gabriel z gracją opadł kolanami na swoją, jednocześnie nabożnie pochylając głowę. Lore tak gładko nie poszło... Szybko musiała zmianą ugięcia zapobiec temu, by dół sukienki nie ciągnął za sobą dekoltu. No cóż, postępy robiła powoli. Tym razem udało jej się chociaż nie przekląć.

Gdy wszyscy klęczeli już jak należy, Anton uniósł ręce. W świetle wpadającym przez potężny witraż jego blizny wydawały się znacznie świeższe.

– Apolliusz, panie światła i życia – zaczął. – Oddajemy ci cześć o brzasku w pierwszy z siedmiu dni.

– Oddajemy ci cześć i prosimy, byś udzielał nam łask w nadchodzących dniach – odpowiedzieli zgromadzeni.

Lore, która ledwie za nimi nadążała, spojrzała karcąco na Gabriela. Powinien był ją przecież uprzedzić, że wierni uczestniczą w głośnej modlitwie.

Mnich ledwie widocznie wzruszył ramionami.

Tymczasem na podwyższeniu jednoręka mniszka kołysała kadzielnicą do rytmu słów Antona. Szary dym wił się u jej stóp, a następnie rozpostarł się po posadzce, wokół misternych sukien i butów na obcasach. Ponieważ z palenisk również unosił się dym, sanktuarium już po chwili wyglądało, jakby spowiła je gęsta mgła.

– Prosimy, byś udzielał nam łask i strzegł nas od zła – kontynuował Anton. – Zechciej zesłać na nas jasność ze Świetlistego Królestwa, w którym oczekujesz w chwale.

Lore wykrzywiła wargi. Świetliste Królestwo było swoistym ustępstwem Kościoła wobec śmierci. Głoszono, że to tam Apolliusz oczekuje od czasu swego zniknięcia. Kto będzie żyć pobożnie i zgodnie z rozprawami, ten dołączy do niego po zejściu z tego świata.

Niewiele nudniejszych rzeczy potrafiła sobie wyobrazić.

– Prosząc, byś nas strzegł, ofiarowujemy ci nasze posłuszeństwo – odpowiedzieli zebrani arystokraci. – Podążamy ku światłu miejsca, w którym przebywa twe nieśmiertelne ciało.

Gęsty, odurzający kadzidlany dym dotarł do ich ławki. Lore z trudem powstrzymała kichnięcie.

Anton opuścił ręce, po czym skłonił głowę ku promienistemu sercu na swojej piersi. W mgnieniu oka zawtórowali mu wszyscy zebrani. August i Bastian również pochyłili głowy, co nie zmieniało faktu, że wyglądało to wszystko tak, jakby cały kościół wraz z najwyższym kapłanem kłaniał się właśnie im.

Lore nagle poczuła na sobie spojrzenie. Anton z nieprzeniknionym wyrazem twarzy przyglądał jej się ponad pochylonymi głowami.

Natychmiast przyciągnęła podbródek bliżej piersi.

– Przymierzamy ci wierność – kontynuował najwyższy kapłan – i wyrzekamy się wszelkich panów poza tobą. W tobie jednym uznajemy boga.

– Wyrzekamy się wszelkich panów poza tobą – zaszemrał tłum zebranych. – Jedynym panem jest nam Apolliusz. Przewodnikami nam ci, których pobłogosławił.

„Ci, których pobłogosławił” – a więc ród Arceneaux. Tron i ołtarz były tu splecione nierozzerwalnym węzłem.

Lore kolejny raz się poruszyła. Od klęczenia zaczynały drętwieć jej nogi.

– Czerpiemy z twojej światłości – zadeklamował Anton, opierając dłonie na piersi. Do złudzenia przypominał stojący w ogrodzie posąg Krwawiącego Boga, a Lore nie miała wątpliwości, że było to celowe. – Wiernie czekamy, aż powrócisz i uwolnisz nasz świat od mroku. Modlimy się, byś uczynił nas powiernikami swego światła.

– Powróć, Apolliuszu, nasz panie, i ześlij na nas świętość – odpowiedzieli wierni. – Uczyń ten świat swym Świetlistym Królestwem.

Kadzielnica wykonała kolejny półkolisty ruch, rozsiewając w powietrzu smugi dymu. Anton, mniszka i duchowny cofnęli się o krok, a tymczasem święty król podniósł się z kolan. Światło zza potężnego okna oświetlało jego włosy, a promienie

jego korony lśniły złotym blaskiem. Anton skłonił głowę przed bratem, oddając mu głos.

August uniósł drżącą lekko dłoń.

– Gabrieli i Eldelore Remaut, zbliżcie się – powiedział.

Na wszystkich umarłych i umierających bogów! Naprawdę nikomu nie przyszło do głowy, by uprzedzić ich, że tak to będzie wyglądało? Owszem, Gabriel mówił Lore, że zostaną oficjalnie przedstawieni dworowi, bo brak takiego aktu wypadłby dziwnie. Nikt jednak nie zająknął się choćby słowem, jak to „przedstawienie” będzie przebiegać.

August zadarł brew, jakby irytowało go, że oboje wyglądają na zbitych z tropu. Lore aż naszła chęć, by wyrwać jeden z klejnotów w jego koronie i wepchnąć mu go w nozdrza. Gabriel wyglądał na równie zaskoczonego jak ona. Oboje stali przez ułamek chwili nieruchomo, wymieniając spojrzenia. Zaraz jednak Gabi z nieodłączną sobie gracją podał dziewczynie łokieć, pomógł jej wyjść z ławki i poprowadził ją w stronę ołtarza. Tam, z minami pełnymi samozadowolenia, czekali już na nich król i książę.

Gdy Gabriel i Lore szli w ich stronę, odprowadzały ich ciekawskie spojrzenia. Lore trudno było ocenić, czy którekolwiek z nich są przyjazne, ale nie postawiłaby na to pieniędzy. August tymczasem, patrząc, jak się zbliżają, uśmiechnął się do nich obojga. Był to uśmiech chłodny, wyzuta z uczucia maska. Król nie odezwał się też do nich ani słowem. Gestem palca dał im tylko znać, by zwrócili się ku wiernym.

Policzki Gabriela zapłonęły, przez co delikatne piegi na jego nosie stały się wyraźniejsze. Usłuchał jednak Augusta i wraz z Lore ustawił się frontem do zebranych. Lore nie zdziwiłaby się, gdyby możni w pierwszym rzędzie usłyszeli zgrzytanie jego zębów.

– Oto w końcu – dobiegł zza ich pleców donośny głos Augusta – ród Remaut powraca do Cytadeli.

Król zawiesił głos. Na krótki moment zaległa kompletna cisza i dopiero po chwili zebrani odpowiedzieli kurtuazyjnym aplauzem. Przedramię Gabriela pod dłoń Lore było tak napięte, że niemal drżało. Ścisnęła je delikatnie palcami, starając się jakkolwiek dodać mu otuchy. Wyraz twarzy Gabriela nie zmienił się jednak wcale – jakby w ogóle przestał zauważać obecność Lore.

– Gabriel – ciągnął August – zawiesił okresowo wykonywanie swoich obowiązków w Presque Mort. Spędzi lato pośród nas, aby wprowadzić swoją kuzynkę w nasz krąg.

Sprawcie, by oboje czuli się tu jak w domu.

Dworzanie pochyłili głowy. Z ich twarzy, zalanych wpadającym przez okno światłem, nie sposób było cokolwiek wyczytać. Lore w odpowiedzi sama skinęła głową, głównie dlatego, że nie miała pomysłu, jak inaczej zareagować. Najchętniej pozdrowiłaby ich wszystkich środkowymi palcami, ale to raczej nie wchodziło w grę. Co jak co, ale to na pewno nie przystawało kuzynce księcia.

– Idźcie w pokoju. – Tymi słowami August zakończył nabożeństwo.

Dworzanie zaczęli wstawać i kierować się kolejno ku prowadzącym na zewnątrz dwuskrzydłowym drzwiom. Tu i ówdzie dawało się już słyszeć szepty i ciche śmiechy – powaga zastrzeżona dla religijnego rytuału rozpływała się w ciepłym powietrzu słonecznego dnia.

Lore spojrzała na Gabriela, lecz ten wciąż wydawał się nieobecny. Po chwili bez słowa ruszył za resztą dworzan w stronę drzwi. Lore westchnęła i podążyła za nim. Wyglądał w tym otoczeniu na zupełnie zagubionego. Niemal tak samo jak ona.

Nim zdążyła postawić dwa kroki, poczuła na ramieniu dłoń Augusta.

– Przykro mi, dworskie rozrywki będą musiały poczekać – powiedział cicho. – Czeka cię kolejne zadanie, Lore. Chodź ze mną.

Rozdział 12

Krążyły pogłoski, jakoby cesarz – chcąc żyć dłużej – wypijał co rano napar ze szczwołu. Zmarł w nocy. Wielu twierdzi, że nie przez chorobę, lecz z ręki własnego syna.

Z ostatniego raportu auverrainńskiego szpiega, Gasparda Beauchampa, straconego przez cesarza Jaxa w dwa dni po otrzymaniu wiadomości

Gabriel zerknął przez ramię akurat w momencie, gdy August przytrzymał Lore za łokieć. Zupełnie jakby kazał mu to zrobić szósty zmysł. Gdy pośród odpływającej fali dworzan zobaczył, co się dzieje, zmarszczył brwi. Król jednak zbył go gestem dłoni.

– Nie będziesz nam potrzebny, książę Remaut – powiedział na tyle głośno, by Gabriel zdołał go usłyszeć. – Idziemy tylko do krypt.

– A nie mógłby pójść? – Lore poruszyła się pod ciężką dłonią Augusta. – Wolałabym...

– Chyba wyraziłem się jasno – uciał August, po czym ujął Lore za rękę. Zaskakująco delikatnie, zważywszy na ostry ton, jakim się posłużył. Ktokolwiek, kto spojrzalby w tym momencie na nich dwoje, zobaczyłby dobrotliwego króla witającego na dworze skromną szlachciankę. – Ty idziesz ze mną, książę nie – dodał, dotykając palcem jej podbródka, tak jakby mówił do niesfornego dziecka. – Im szybciej zajmiemy się sprawą, tym prędzej znów się spotkacie.

Lore zacisnęła wargi, ale nie próbowała się opierać. Zamiast tego skłoniła głowę tak elegancko, jak tylko potrafiła.

– Jestem do dyspozycji waszej wysokości.

August zaśmiał się niespodziewanie.

– No proszę – odezwał się rozbawiony. – I z chwastu będzie róża, jeśli przesadzi się go z rynsztoka.

Jeszcze parę takich odzywek i Lore sama zetrze sobie zęby na miał.

Gabriel z zatroskaną miną odprowadził ich wzrokiem. Lore tymczasem starała się wyglądać na możliwie spokojną i opanowaną. Tak między innymi płaciła za to, by nie znaleźć się na Wyspach Popielnych. Cena mogła być wyższa.

Gdy odwróciła wzrok od Gabriela, jej spojrzenie trafiło na Bastiana. Książę kręcił się w pobliżu wejścia, gawędząc z kilkorgiem dworzan, których Lore widziała już

podczas balu. Była w tej grupce Cecelia – kobieta, która chciała ich poczęstować wywarem z wilczych jagód. Miała nieco szkliste spojrzenie, ale poza tym wyglądała zdrowo. Widać nadwornicy medycy naprawdę zasługiwali na swoje uposażenie.

Słońce, które zdążyło wspiąć się już wyżej po niebie, jasno oświetlało twarz księcia. Blask podkreślał bliznę przecinającą brew Bastiana, a zarazem sprawiał, że jego oczy bardziej niż czarne wydawały się złote. Gdy odprowadzał wzrokiem Lore i swego ojca, w jego spojrzeniu było coś zaskakująco poważnego.

Gdzie dokładnie znajdowały się krypty – tego Lore nie wiedziała. Było to kolejne z miejsc dostępnych tylko nielicznym. Pochówek w obrębie Cytadeli kosztował astronomiczne kwoty. Kto nie był nieprzyzwoicie bogaty lub gotów ciułać na ten przywilej przez większość życia, musiał zadowolić się skromną kamienną skrzynią w piętrowych sarkofagach gdzieś na obrzeżach Dellaire.

Święty król kroczył wolno, by stwarzać wrażenie, że niespiesznie spaceruje. Lore zauważyła jednak, jak napięta jest jego skryta pod równo przyciętą brodą szczęka.

– Większość ciał ofiar ostatniego ataku przebadano, po czym się ich pozbyto – zaczął. – Ale nie wszystkich. Kilku mnichów jechało całą noc, by dostarczyć jedno tutaj. Chcą, żebyś... przeprowadziła próbę.

Na dłonie Lore wystąpił pot, więc odruchowo otarła je o tkaninę sukienki.

– Ostatniego ataku? – spytała.

August skinął głową.

– Tej nocy miał miejsce kolejny.

Zaatakowano trzy wsie. Nikt nie przeżył.

Lore poczuła nagle gulę w gardle. Przez chwilę ona i August szli w pełnej napięcia ciszy. Wkrótce znaleźli się z powrotem wewnątrz Cytadeli. Gdy zamknęły się za nimi potężne dwuskrzydłowe drzwi, zanurzyli się w półmroku. W pierwszej chwili było to dezorientujące, bo na zewnątrz na dobre trwał już jasny, słoneczny dzień.

August przystanął, oddychając ciężko, jakby krótki marsz przez ogrody zdążył go zmęczyć. Następnie sięgnął pod lśniąca pelerynę, wyjął spod niej piersiówkę i pociągnął z niej krótki łyk. Lore w mgnieniu oka rozpoznała charakterystyczny, drażniący zapach. A więc popijanie trucizny mieli w zwyczaju nie tylko młodzi dworzanie...

– Mam tylko nadzieję, że dawkuje wam to ktoś sensowny... – odezwała się cicho.

August posłał jej mroczne spojrzenie.

– Pilnuj własnego nosa, guślarko – rzucił sucho, chowając butelczynę pod płaszczem. – Sam umiem się o siebie zatroszczyć.

Święty król skręcił w pewnym momencie ku niewielkim drzwiom pomiędzy dwoma wielkimi olejnymi przedstawieniami Apolliusza – oba musiały pochodzić sprzed Boskiego Upadku, bo przedstawiały go z nienaruszoną piersią: serce Apolliusza nie zostało jeszcze wyłupione przez jego mściwą żonę.

August, rozejrzawszy się na boki, pchnął drzwi. Otwierał się za nimi wąski korytarz, po którego obu stronach umieszczono nisze przyozdobione złożonymi promieniami słońca. Stały w nich marmurowe posąжки Apolliusza, z których każdy przedstawiał go w nieco innej pozie – tu ręce rozpostarte, tam przy piersi, gdzie indziej uniesiona głowa czy łagodny uśmiech. Na łuku na końcu korytarza umieszczono z kolei wykaligrafowaną sentencję, tak zdobną, że w półmroku Lore trudno było ją odczytać.

– „Śmierć nasza pozostaje naszą własną” – wyręczył ją August.

Nerwowe odrętwienie pełzające po karku Lore rozlało się na jej ramiona, gdy drzwi na końcu korytarza bezszelestnie stanęły otworem. Mieli przed sobą wiodącą w dół klatkę schodową z surowego kamienia przechodzącą niżej w tunel.

– Chodź – polecił król.

Lore chwyciła jego wyciągniętą rękę i pozwoliła prowadzić się w mrok.

Nie cierpiała tuneli, ale ten szczęśliwie okazał się krótki. Na jego końcu – jak się zdawało, w miejscu oświetlonym światłem dziennym – stał samotny wartownik. Nie był to pierwszy lepszy krwawy; Lore natychmiast zauważyła złote klapy na jego mundurze oraz wypolerowane na wysoki połysk szablę i bagnet. Gwardzista nie dał po sobie poznać, że w ogóle ich zauważył. Dopiero gdy August podszedł bliżej, skłonił głowę i odstąpił o krok na bok.

– Święta Straż – wyjaśnił August, gdy minęli wartownika. – Wielu zabiega o to, by móc w niej służyć. Kandydaci muszą spełniać odpowiednie kryteria fizyczne i duchowe, a ich lojalność musi być ponad wszelką wątpliwością. – Król zerknął na Lore z ukosa. – Rzadko mają okazję sięgać po broń, ale każdy włada nią doskonale.

Lore może i głowiłaby się, czy to aby nie groźba, gdyby całkowicie nie zaabsorbował jej widok krypt. Pomieszczenie na końcu tunelu było obszerne i miało plan okręgu. Lecz tym, co robiło większe wrażenie, był nieprawdopodobnie wysoki strop i umieszczony w nim świetlik ze rżniętego szkła. To właśnie musiał być ten skrzący się w słońcu element budowli, który zauważyła, gdy po raz pierwszy

wchodziła do Cytadeli. Na świetliku się jednak nie kończyło – bodaj jeszcze bardziej imponujące były same krypty. Piętrzyły się ku górze niczym kamienne wieże, niemal po wysokość przeszklonego stropu. Po ich bokach umieszczono kręte schody z półpiętarami zapewniającymi dostęp do sarkofagów i znajdujących się w nich ciał. Na samej górze, tuż pod sklepieniem, pięły się ku słońcu obfite krzewy różane. Gdy krypty nikt akurat nie odwiedzał, kwiaty były jedynym żywym elementem w całej tej olbrzymiej przestrzeni – nie licząc, rzecz jasna, wartownika.

Lore skupiła się na wzmocnieniu zapory wokół swojego umysłu. Gąszcz drzew i ich listowie miały maksymalnie chronić go przed obecnością Mortemu. Następnie powiodła wzrokiem po sarkofagach. Drzwi do niektórych z nich były zamknięte, większość jednak pozostawała otwarta. Przypominały z dołu niewielkie okna prowadzące w mrok. Każde z takich okien oznaczało, że sarkofag jest pusty. Cóż, nawet spośród możliwych nie wszystkich stać na pochówek w tym miejscu.

Otwarte sarkofagi znajdujące się najwyżej przeznaczone były dla członków rodu Arceneaux.

– Staraliśmy się ocalić po jednym ciele z każdej wsi – wyjaśnił August, kierując się ku zamkniętym drzwiom jednego z niżej umiejscowionych sarkofagów. Nic dziwnego, że wybór padł akurat na ten: nie marnowano by górnego sarkofagu na plebejusza, jakkolwiek zagadkowe były okoliczności jego śmierci. – Pozostałe ciała zniszczono.

– Ile trzeba dać, żeby tu leżeć? – spytała Lore cicho, nie odrywając wzroku od krypt.

Król zaśmiał się pod nosem.

– Więcej, niż zobaczysz w całym swoim życiu. Lepiej wybierz sobie miejsce pod miastem. – Tu August zastukał w kamienną ścianę. – Anton! Jesteśmy.

Najwyższy kapłan uchylił drzwi sarkofagu, mrużąc oczy, które zdążyły już przyzwyczać się do ciemności. Bez słowa wpuścił brata do środka, po czym spojrzał na Lore. Pozdrowił ją skinieniem głowy, ale nie uszło jej uwadze nerwowe drgnięcie mięśnia jego żuchwy.

We wnętrzu sarkofagu panowały mrok i chłód. Gdy oczy Lore przywykły już do ciemności, odruchowo cofnęła się o krok, wpadając plecami na ścianę. Patrzyło na nią kolejne kamienne wyobrażenie Apolliusza. Stopy posągu opierały się o tylną ścianę krypty, zaś jego wygięte w łuk plecy poprowadzono po linii sklepienia. W rezultacie ziejąca wyrwa w piersi boga otwarta była bezpośrednio na katafalk, a jego oczy – umiejscowione dokładnie na wysokości wejścia. Jego twarz wydawała

się przerażająco wyzuta z wyrazu, zdobne w granaty dłonie wskazywały zaś na kamienny katafalk pośrodku pomieszczenia.

Na katafalku leżały zwłoki dziecka.

Lore poczuła w gardle zółć. Martwy chłopiec ani trochę nie przypominał Cedrica – miał nie więcej niż dziesięć lat, a więc był młodszy niż on wtedy, a jego ciało pozostało nienaruszone i nie miało przebarwień. A jednak, mimo tego wszystkiego, zobaczyła w nim właśnie dawnego przyjaciela, którego chciała choć na chwilę odzyskać.

Na bogów, miała zrobić to sobie kolejny raz.

– Straszne... – odezwał się August. Lore nie mogła dojrzeć wyrazu jego twarzy, ale w głosie króla słyhać było autentyczny żal. – Przepraszam, że zaczynamy od takiego eksperymentu. Uznaliśmy, że być może z dzieckiem będzie ci łatwiej, bo... jedno już kiedyś wskrzesiłaś.

Skrzywiła się boleśnie.

– Jakież zmarnotrawiony potencjał... – powiedział Anton cicho, kręcąc ze smutkiem głową.

Wskrzeszając konia, Lore podążyła po prostu za instynktem. Pozwoliła zadziałać mechanizmowi, który był w niej zakorzeniony od zawsze – jak mapa katakumb, którą widziała, gdy zamknęła oczy. Teraz wystarczyło dać mu zadziałać ponownie. Pozwolić, by ciało wzięło górę nad umysłem. Nie zastanawiać się.

Lore zaczęła na zmianę zaciskać i otwierać dłonie. Jednocześnie mrugała powiekami tak długo, aż nabrała pewności, że się nie rozpłacze. Co do zasady – nigdy nie pozwalała sobie na płacz. Z żadnego powodu. Nie była pewna, czy gdyby zaczęła płakać, zdołałaby przestać.

Anton zniknął na moment za drzwiami, by po chwili wrócić z krzewem różanym w dużej donicy. Choć musiała być bardzo ciężka, pewnie, niemal bez wysiłku postawił ją na posadzce. Potem znów zajął miejsce pomiędzy kamiennymi rękami Apolliusza.

– O zadawanie pytań nie musisz się troszczyć – wyjaśnił August. – Rozkaż tylko dziecku słuhać moich poleceń. Potem możesz wyjść.

Lore nie słuchała go, ale odruchowo pokiwała głową. Król wskazał ręką na leżące na katafalku ciało.

– A więc zaczynajmy.

W sarkofagu było aż gęsto od Mortemu. Lore niemal czuła jego ozonowy zapach, który zawsze kojarzył jej się z niebem podczas burzy i chwilami dzielącymi grzmot od blasku błyskawicy.

Zamknęła oczy, raz jeszcze wyobrażając sobie las. Swoją ostoję.

Zwłoki dziecka zlały się w jej myślach w jedno z ciałem Cedrica – Lore czuła, jak dławi to jej umysł i utrudnia koncentrację. Została zdradzona i uwięziona. Teraz zaś miała posłużyć się mocą, o której wolałaby nie pamiętać, w służbie króla, którego nie obchodził nikt poza murami Cytadeli.

Jedna myśl dodawała jej jednak otuchy. Urodziła się z darem władania Mortemem, w jej żyłach od zawsze płynął mrok, w którym widziała jedynie ropiejącą ranę i własne wynaturzenie. Moc, którą w sobie nosiła, była czymś, od czego przez całe życie chciała uciec. Teraz zaś miała szansę posłużyć się nią w imię dobra.

Lore otworzyła oczy i odetchnęła głęboko. Jej ręce, jakby niekierowane myślą, sięgnęły naprzód; momentalnie stały się przy tym blade i zimne.

– Krwawiący Boże, niech nas twoja ranna ręka strzeże... – szepnął Anton. Choć same słowa można by wziąć za wyraz lęku, ton, jakim zostały wypowiedziane, wcale nie był nim podszyty. Przeciwnie, czuło się w nim niemal... zapał.

Lore jednak nie miała teraz czasu o tym myśleć. Wszystko widziała już w odcieniach szarości. Król i kapłan byli ledwie plamami białego światła, a zwłoki dziecka – niewyraźnym konturem na katafalku. Potężny posąg Apolliusza wyglądał przerażająco: tonął w szarościach i czerniach, a martwej kamiennej materii nie rozświetlała nawet jedna biała smuga.

Uniosła rękę nad katafalk. Czuła przy tym, jak pali ją blizna na dłoni. Śmierć dziecka była daleko, jej chwila mocy dawno przeminęła. Lore wyczuwała ją, lecz nie potrafiła jej pochwycić. Unoszące się ponad ciałem meandrujące smugi pozostawały zbyt wątle.

Śmierć zdążyła zanurzyć się głębiej.

Lore zbliżyła się do ciała o kolejny krok. Jej dłonie były teraz tuż ponad nim, niemal go dotykały. Póki ciało żyło, otaczał je krąg energii – Spiritum, którym władać potrafił jeden Apolliusz, choć rzekomo moc tę przekazał także linii Arceneaux. Spowijało ono to, co żywe, świetlistą aureolą, która w chwili śmierci zniknęła, eksplodując niczym umierająca gwiazda. To ją właśnie zdążyła pochwycić Lore, gdy wskrzeszała Konika. Przez krótki czas, gdy Spiritum stawało się Mortemem,

powstawała krucha, alchemiczna niemal równowaga. Ta sama, za sprawą której przyjmowanie trucizny pozwalało osiągnąć wynaturzoną nieśmiertelność.

Energia wybuchu ulatywała jednak niezwykle szybko. Rzedła wraz z tym, jak śmierć osiadała w ciele, a po krótkim czasie całkowicie zanikała. Jeśli miała wskrzesić ciało chłopca, nie było innego wyjścia niż odnaleźć w nim ostatnią iskrę Mortemu – pochwycić śmierć i wyszarpnąć ją ku górze.

Lore zacisnęła zęby i oparła pobladłe palce na piersi dziecka. Minęła kolejna chwila i już myślała, że niczego nie zdoła odszukać. W tym momencie natrafiła na ledwie wyczuwalną smugę ciemności – głęboko skrytą iskrę śmierci.

Chwyciła się jej jak liny ratunkowej, a następnie pomału zaczęła nawijać Mortem na dłoń. Kolejnymi wprawnymi ruchami przyciągała go ku sobie, on zaś ustępował, opuszczając stopniowo ciało – i meandrując, wnikał w nią.

Serce Lore ma ułamek sekundy zamarło.

Jej ręka nagle szarpnęła w prawo – Mortem przepłynął z niej na przyniesiony przez Antona różany krzew. Kwiaty i listki natychmiast obumarły: w ułamku sekundy zbladły i uschły. Lore otworzyła oczy, by wyrwać się z morza szarości i znów zobaczyć świat w prawdziwych kolorach. Jej żyły aż po łokcie były czarne, opuszki palców – białe i zimne. Ciało na katafalku wciąż leżało nieruchomo, bez jakichkolwiek oznak zmian.

Sęk w tym, że Lore miała przed sobą człowieka, nie zwierzę. Przyszła teraz pora, by wskazać mu, co ma robić. August mówił jej, co powinna w tym momencie powiedzieć, ale nie zapamiętała jego słów. Zadała więc pytanie, na które wszyscy chcieli poznać odpowiedź.

– Powiedz nam, co się stało – szepnęła ochryłym, zmęczonym głosem. Jej gardło było suche i obolałe.

August stanął obok Lore ze zmarszczonym czołem.

– Nie ty będziesz zadawać pytania – rzucił tonem mającym podkreślać zwierzchność. – Powiedziałem ci dokładnie, co masz robić. Nie wyrywaj się przed szereg.

Cały ten spór był jednak jałowy, bo ciało wciąż nie wykazywało żadnych oznak życia. Lore nie dała rady. Była jedyną, której mogło się udać, i nie sprostała zadaniu.

– Przepraszam. – Widząc niezadowolenie króla, zaczęła głupio się tłumaczyć. – Zrobiłam to samo co wtedy, ale minęło chyba zbyt dużo czasu, bo...

Przerwał jej chropawy odgłos oddechu w wyschniętych płucach. Tego dźwięku nie dało się pomylić z żadnym innym.

Lore, August i Anton wpatrywali się w siebie nawzajem, stojąc nad ciałem. Im z kolei przyglądał się kamienny Apolliusz z ziejącą wyrwą w piersi. Po chwili dał się słyszeć szmer – ciało poruszyło się, a następnie z trzeszczącym odgłosem usiadło. Martwy chłopiec otworzył oczy. Lore nie potrafiła się powstrzymać – musiała w nie spojrzeć. Nieważne, jak straszny był to widok ani jak straszne było jej własne, wciąż ukryte za bielmem śmierci spojrzenie.

Oczy chłopca stały się całe czarne. Nie dało się odróżnić białka czy tęczówki. Otaczały je ciemne żyłki, podobne do blizn wokół przepaski Gabriela i żył, które w tym momencie odcinały się na twarzy samej Lore.

Chłopiec otworzył usta, jakby chciał ziewnąć, a po chwili – choć nie poruszał wargami – dał się słyszeć jego szept.

Rozdział 13

Nie ma grzechu większego niż sięgnąć po władzę ponad tę, którą się otrzymało.

Księga Praw Śmiertelniczych, Rozprawa 78

Z początku szept dziecka przypominał szmer. Był to ledwie załączek mowy, z którego nie sposób było jeszcze czerpać informacji. Lore odgłos ten przypomniawszy bzyczenie much, duszący kurz i powolne odpadanie gnijącego ciała od kości.

Po chwili jednak z dźwięcznego bezładu wyłoniły się słowa – jedno urywane i raz po raz powtarzane zdanie. Najpierw wypowiedziane ledwie zrozumiale, lecz z każdą chwilą wyraźniejsze:

– Przebudzili się. Przebudzili się, przebudzili się, przebudzili się... – powtarzało ciało chłopca.

Król pobladł. Wyglądał na zdenerwowanego i niemal zdumionego tym, że Lore się udało.

– Czy to oznacza... – zaczął, patrząc na brata, lecz natychmiast przerwał na widok jego uniesionej dłoni.

Najwyższy kapłan, namyślając się, przeniósł spojrzenie z chłopca na Lore.

Ta wpatrywała się wciąż w czarne oczy dziecka i jego nieruchome szepczące usta.

– Dość – odezwała się chrypliwie. – Przestań, proszę!

Ciało, z wciąż otwartymi oczami, opadło na plecy i zwiesiło bezwładnie kończyny.

Lore zaczęła na przemian to otwierać, to zaciskać dłonie – tak samo jak po wskrzeszeniu konia i dawno temu po przebudzeniu Cedrica. Rozpaczliwymi ruchami zerwała nici Mortemu wiążące ją z ciałem na katafalku, po czym wybiegła z krypty. Ze środka dobiegał głos wzywającego ją Augusta, ale Lore nie baczyła na krzyki króla.

Nagle potknęła się o rąbek sukni i upadła, zdzierając sobie skórę z kolan. Oddychała ciężko, ze wszystkich sił starając się zapanować nad wzbierającą w gardle żółcią. Czuła, jak pomału jej trupie palce odzyskują barwę i ciepło. Serce łomotało jej tak mocno, że przyprawiało ją niemal o fizyczny ból.

– Wstawaj. – Ton Antona był równie chłodny jak kamienna posadzka, na którą upadła.

Lore otarła usta wierzchem dłoni, celowo odwlekając moment, zanim ponownie stanie na nogi. Dopiero po chwili podniosła się i posłała najwyższemu kapłanowi lodowate spojrzenie. Wpadające przez świetlik słońce rozświetlało jego siwe włosy i sprawiało jednocześnie, że rysy Antona były ledwie widoczne.

– Gotowy na drugą rundę? – Lore niemal splunęła słowami. Wraz z tym, jak śmierć ustępowała w niej miejsca człowieczeństwu, wzbierała w niej złość. Na myśl o tym, że zakłóciła spokój zmarłego w strasznych okolicznościach dziecka, poczuła ukłucie wstydu. – Może ponękamy jeszcze jakieś ciało? Mamy przecież czas – rzuciła cierpko. – Wejdźmy wyżej i przekonajmy się, czy uda mi się obudzić jakiegoś markiza. Spróbuję go namówić na odśpiewanie hymnu.

– Dość – mruknął Anton z twarzą wciąż skrytą w półmroku. – Dobrze wiesz, po co sprowadziliśmy cię na dwór. Niech cię teraz nie nachodzą wyrzuty sumienia.

– Mam nie słuchać sumienia? Ciekawe słowa jak na kapłana.

– Mówiłem ci już – odparł Anton. – Krwawiący Bóg rozumie, że w imię wyższego dobra należy czasem nagiąć zasady. Na chwałę jego i spełniających się proroctw. – Uniósł dłoń i wskazał na jeden ze złotych promieni u swego wisiora. – Apolliusz przebacza wszystko swoim wiernym. Zawsze.

Lore przełknęła ślinę i zacisnęła mocniej dłonie na tkaninie sukni. Poczucie wstydu nie mijało. Zdołała tylko zepchnąć je w głąb siebie. Zastanawiała się mimo to, jak i kiedy się z nim upora.

– Nie udało mi się... – Pokręciła głową. – Nadal nie mamy pojęcia, co wydarzyło się w tych wioskach.

„Przebudzili się” – upiorny szept wciąż pobrzmiwał w jej głowie. „Przebudzili się”.

Spytała chłopca, co go spotkało, i nie podejrzewała, by zmarły mógł kłamać. Odpowiedź, która padła, zdawała się jednak nie mieć większego sensu.

– Nieważne, to tylko pierwsza próba. – August, który schylając się, przechodził właśnie przez niskie drzwi grobowca, zbył jej słowa machnięciem ręki. Choć na jego twarzy wciąż malował się strach, wyglądało na to, że jest zadowolony. Wręcz podekscytowany... – Sprawiaś, że się odezwał. O to chodziło.

– No ale... – zaczęła Lore.

– Wszystko w swoim czasie – przerwał jej król. W ustach kogo innego zabrzmiałoby to może jak słowa otuchy, lecz August wypowiedział to takim tonem, jakby mówił: „Będziesz próbować do skutku”.

– Ciało długo nie wytrzyma – powiedział cicho Anton. – Trzeba je stąd zabrać.

– Spalcie je. Będą kolejne. – Król, zerkając na Lore, znów nonszalancko machnął ręką. – Skoro Kiryteańczycy raz zaczęli, to sami z siebie raczej nie przestaną.

– Tylko czy to na pewno oni? – odezwała się Lore tonem pełnym wątpliwości.

– A kto inny? – August sięgnął pod płaszcz po piersiówkę i upił solidny łyk.

Anton skrzywił się lekko, ale nie skomentował nietaktownego zachowania brata.

– A skoro o Kirytei mowa... – dodał król. – Byłaś wczoraj na przyjęciu Bastiana?

– Oczywiście – odparła Lore, oglądając się na wejście do grobowca. Było uchylone akurat na tyle, że mogła dojrzeć leżące płasko na katafalku ciało. – Ale raczej trudno to nazwać sukcesem. Nie dowiedziałam się niczego istotnego.

– Wszystko w swoim czasie – powtórzył August. – Jeszcze się dowiesz.

Wisior zakołysał się na szyi Antona, połyskując krwistością granatów.

– Cóż – najwyższy kapłan postanowił odwieść rozmowę od Bastiana – nie ma co się zamartwiać. Będą kolejne próby. Oby następne zwłoki miały nam więcej do powiedzenia. To przecież było tylko dziecko.

August przytaknął skinieniem głowy. Lore za to znów poczuła mdłości.

– No dobrze... – odezwała się po chwili. – A co mam robić, zanim...

– Ciesz się dworskim życiem, Lore – odparł król, po czym odwrócił się i ruszył w stronę korytarza, którym dotarli do krypt. – Zostałaś już oficjalnie wprowadzona, więc teraz zawieraj przyjaźnie, znajdź sobie kochanków, baw się... Słowem, rób, co zechcesz. Dopilnuj tylko, by trzymać się blisko mojego syna.

Mięśnie nieokaleczonej połowy twarzy Antona drgnęły w napięciu.

– Dam ci znać, kiedy będziemy mieć dla ciebie kolejne ciało – dodał August. – Coś mi mówi, że nie będziesz czekać długo.

Niepewna, co ze sobą zrobić, Lore ruszyła za królem w głąb korytarza. Gwardzista ze Świętej Straży i tym razem nie zwrócił na nich najmniejszej uwagi. Jego bagnet lśnił złowieszczo w świetle wpadającym przez przeszklony strop.

Idąc za Augustem, Lore bawiła się nerwowo nitką, która zaczęła wypruwać się z jej sukni.

– Wasza wysokość – zaczęła nieśmiało. – Wiem, że mam zbliżyć się do Bastiana, ale przydałoby mi się więcej wytycznych. I jakiegokolwiek poszlaki co do tego, jakie informacje może wyjawiać Kiryteańczykom...

– Otrzymałaś już wytyczne – odparł August, gdy pokonał krótką klatkę schodową i otworzył drzwi na korytarz z posągami. – Czy mam rozumieć, że zadanie cię

przerasta?

Od tego typu aluzji Lore wolała trzymać się jak najdalej. W najlepszym razie groziło jej przecież zesłanie, w najgorszym – stos.

– Nie. – Pokręciła głową. – Dam sobie radę.

– Dobrze – uciął król, po czym odwrócił się do niej plecami i ruszył dalej korytarzem. Pomarańczowo-złoty płaszcz łopotał w rytm jego kroków. Ciekawe, że nie wyznaczył jej żadnego terminu złożenia raportu. Był najwyraźniej gotów czekać, aż sama przyjdzie do niego z czymś konkretnym.

Usłyszała, jak zamykają się drzwi na drugim końcu korytarza. Gdy się obejrzała, zobaczyła Antona przyglądającego jej się z błyskiem w oku.

– Ile masz lat, Lore? – spytał, pochylając lekko głowę.

Ściągnęła brwi, lecz zaskoczona, odruchowo udzieliła odpowiedzi.

– Dwadzieścia trzy.

– Latem skończysz dwadzieścia cztery, prawda? To dla ciebie rok święcenia.

Lore skinęła głową, ale czuła się trochę nieswojo. Wciąż nie potrafiła się oswoić z tym, jak wiele kapłan wie na jej temat. Aby nie przedłużać rozmowy, ruszyła dalej korytarzem. Anton jednak zaraz zrównał z nią krok.

– Trzeba zadbać o odpowiednią oprawę ceremonii. Jesteś teraz dworzanką, nieważne, że fałszywą.

– Naprawdę nie ma takiej potrzeby – odparła.

– Uwierz, że jest. – Anton, szeleszcząc szatą, wyprzedził dziewczynę i otworzył przed nią drzwi. – Bastian powinien być gdzieś w ogrodzie. Znajdź go – rzucił, po czym oddalił się w głąb Cytadeli ku swoim świętym obowiązkom. Jakikolwiek były o tej porze dnia.

Lore została sama.

Przez chwilę tkwiła w bezruchu pośród kamiennych wyobrażeń krwawiącego Apolliusza. Potem pokonała ostatni fragment korytarza i weszła do głównego budynku Cytadeli. Skierowała się w stronę fragmentu ogrodów otaczającego Sanktuarium Północne. Po drodze nie natknęła się na nikogo. Wszyscy dworzanie pochowali się tam, gdzie spędzali swoje niezliczone wolne godziny.

Może i lepiej, pomyślała. Czuła się nieco oszołomiona i trudno byłoby jej teraz grać wiarygodnie kuzynkę księcia. Kazano jej odszukać Bastiana, więc zamierzała to zrobić, ale bez pośpiechu. Czasu miała aż nadto.

Słońce wisało już wysoko na niebie. Świeciło tak mocno, że Lore musiała zmrużyć oczy. Szybko zboczyła z brukowanej alejki i skierowała się w stronę zagajnika. Nie było w nim nic dzikiego, zaprojektowano go bowiem co do listka, mimo to przypominał prawdziwy las.

Gdy znalazła się już w cieniu drzew, zamknęła oczy i wzięła głęboki wdech. Dopiero teraz uzmysłowiła sobie, jak rześkie jest powietrze w obrębie murów Cytadeli. Aż zdumiewające, o ile czystsze wydawało się od tego, którym oddychano w mieście. Lore przywykła czuć woń stłoczonych ciał, morską sól i smród odpadków. Tu nie było po tym ani śladu.

Westchnęła i opadła ciężko na trawę. Z jej ust wyrwało się przekleństwo, bo zauważyła, że poplamiała suknię na wysokości kolan. Teraz jednak nic już nie mogła na to poradzić. Westchnąwszy kolejny raz, ułożyła się na plecach i zamknęła oczy. Promienie letniego słońca sączyły się na nią przez listowie, rozświetlając misterną sieć żyłek pod jej powiekami. Ich widok przywiódł jej natychmiast na myśl mapę katakumb. Zaraz też przypomniała sobie swoje wyczulenie na Mortem, ciągłe odpychanie go od siebie i poczucie kruchej, ledwie pozwalającej jej normalnie funkcjonować równowagi. Aż trudno było uwierzyć, że zdołała przeżyć tyle lat bez umiejętności otaczania umysłu zaporą. Wyglądało na to, że wskrzeszenie konia otworzyło śluzę. Tu, w Cytadeli, czuła się lepiej niż w mieście, ale i tak jej wyczulenie na Mortem osiągnęło poziom niespotykany nigdy wcześniej. Co więcej, zdawało się ono wzmacniać wraz z upływem kolejnych godzin dnia i z każdym dniem, który przybliżał ją do dwudziestych czwartych urodzin.

Wskrzeszenie dziecka było nie lada obciążeniem. Zapora sprostaa zadaniu, lecz nawet mimo niej Lore niemal czuła w gardle popielisty smak Mortemu. Nie ustawało też mrowienie w palcach – jakby smugi mroku oparzyły ich skórę i pozostawiły piętno podobne do tego na jej dłoni. Lore czuła ze wszystkich stron nieznośny ucisk. Uderzyła w nią potężna burza... nicości.

To właśnie wydawało się najgorsze. Pustka, brak czegokolwiek. Śmierć wydawała się ziejącą otchłanią, przepaścią bez dna.

O ileż byłoby Lore łatwiej, gdyby potrafiła pójść za prostą wiarą nauczaną przez Kościół. Gdyby potrafiła uwierzyć, że po śmierci czeka na nią miejsce w Świetlistym Królestwie. Ale nie miała nawet po co próbować. Nawet gdyby Królestwo istniało, i tak nigdy nie zobaczyłaby go na oczy.

Wzdrygnęła się. Na nic było rześkie powietrze, piękne ubranie, wykwintne potrawy i iluzja bezpieczeństwa, którą stwarzała gościna u króla. Bo na samą myśl o tym, że będzie musiała wskrzesić kolejne ciało, miała chęć biec do doków i błagać Val i Mari, by przyjęły ją z powrotem. Wybaczyłyby im wszystko, byleby tylko nie musieć już nigdy posługiwać się Mortemem.

– Jak się nie obróćę, z tyłu dupa... – wymsknęło jej się.

– To może mieć swoje zalety – usłyszała nagle głos.

Spojrzała natychmiast w górę, lecz pod słońce nie zobaczyła niczego poza nieostrą sylwetką. Gdy jednak postać cofnęła się nieco, natychmiast rozpoznała czarne włosy i szelmowski uśmieszek. Bastian spojrzał teraz na zielone plamy na kolanach Lore.

– No proszę – zaczął szyderczo. – Czyżby komuś już się poszczęściło?

No cóż. Nie musiała szukać księcia. To on znalazł ją.

Lore podniosła się, strzepując trawę z włosów i na próżno próbując ustawić się tak, by plamy na sukience przestały rzucać się w oczy.

– Wybacz, wasza wysokość. To znaczy święty...

– Po prostu Bastian, proszę – wybawił ją z opresji. – Przepraszać też nie musisz. Tak to już bywa, że w pierwszych miesiącach na dworze strzela się gafy.

– Moją było chyba tylko to... że próbowałam się zdrzemnąć. – Lore wskazała na altanę listowia ponad ich głowami. – Piękny mamy dziś dzień, ale ta wczesna pobudka...

– Przywykniesz. – Oczy Bastiana zaśmiały się. Nie były, jak jej się dotąd wydawało, czarne. Z bliska miała szansę zauważyć, że ich odcień przypominał raczej barwę whisky. – Słyszałem, że mój ojciec pokazał ci krypty. Przyznam, że byłem nieco zaskoczony. Wielu dworzan marzy, by je zobaczyć, a on postanowił zaspokoić akurat twoją ciekawość.

Książę był znacznie bardziej spostrzegawczy, niż byłoby to Lore na rękę...

– Rozmawialiśmy o mojej matce – odparła niemal bez namysłu. – Mocno podupadła na zdrowiu. Czuje, że zbliża się jej koniec, i zastanawia się nad pochówkiem tu, w Cytadeli.

Bastian uniósł wysoko brwi.

– Przykro mi to słyszeć – odpowiedział, ale na tym nie skończył. – Wybacz moją obcesowość, ale nie wiedziałem, że rodzina Remaut ma na tyle zamożnych krewnych, by w ogóle rozważać pochówek w krypcie. Członkowie pomniejszych rodów decydują

się zwykle na sarkofagi przy Okręgu Północno-Wschodnim. To bez wątpienia najładniejszy cmentarz poza murami Cytadeli.

Lore posłała mu uśmiech mający sugerować pewność siebie. Prawda była jednak taka, że w jej głowie zawył alarm przypominający sygnały sztormowe w dzielnicy portowej.

– Od dawna gromadzimy oszczędności – powiedziała.

Z twarzy księcia nie zniknął uśmiech, ale w jego oczach pojawił się cień wyrachowania.

– Ty i wszyscy inni... Cóż za pobożność i obywatelska cnota. Za życia i po śmierci.

Szydercza nuta w jego tonie sprawiła, że Lore postanowiła odpłacić pięknym za nadobne.

– Szkoda tylko, że bycie zacnym obywatelem kosztuje takie krocie – odparła.

Księżę Słońca zaśmiał się. Jego śmiech miał w sobie dozę jadu, ale ostrze szyderstwa nie było już wymierzone w Lore.

– Istotnie szkoda. Aż nasuwa się myśl, że Kościół nie troszczy się wcale o to, czy ciała pobożnych doczekają nienaruszone do nastania Świetlistego Królestwa.

– Doczekają tylko ci, którzy zapłacą.

– Otóż to. – Bastian podał Lore łokieć. – Chodź, zabiorę cię do stajni. Jeśli ktoś spyta, skąd te plamy, powiemy, że spadłaś z konia.

Lore pomyślała natychmiast o kobiecie, z którą widziała Bastiana pierwszego dnia. Gdyby ktoś zobaczył go teraz z nią i zwrócił uwagę na plamy na jej kolanach, na pewno nie uwierzyłby, że mają cokolwiek wspólnego z jazdą konno.

Gdy wzięła księcia pod rękę, od razu poczuła przez materiał mięśnie. Nie spodziewała się takiej tężyzny fizycznej u rozpuszczonego chłopca. Do tego blizna na brwi i odciski na dłoniach zaskakująco nie miały nic wspólnego z gładkim wizerunkiem.

Lore i księżę szli powolnym krokiem po wytyczonej przez laszek alejce. Ścieżka wiała się, tak aby przypominać naturalną, ale nie miała oczywiście z naturą nic wspólnego. Podmuch wiatru poruszył opadającymi na ramiona włosami Bastiana. Lekko przydługimi, zgodnie z najnowszą modą. Tak czy inaczej, jakiegokolwiek uczesanie nosiłby Bastian, zapewne byłoby naśladowane przez cały dwór.

Księżę pachniał czerwonym winem i kosztownymi perfumami, których nut niewprawny nos Lore nie potrafił wyłowić.

– Nieraz prosiłem ojca, żeby zniósł opłaty za pochówki w kryptach – powiedział na kolejnym zakręcie ścieżki. Granica skrojonego na miarę lasu była coraz bliżej. – On jednak twierdzi, że potrzebujemy pieniędzy na nieuniknioną wojnę z Kiryteą.

Lore spięła ramiona, ale wyraz jej twarzy pozostał niewzruszony.

– Ach tak – odpowiedziała cicho. – Czy uważa, że do wojny dojdzie już niedługo?

– Uważa tak, odkąd tylko pamiętam.

– Cóż, imperium ciągle się rozrasta – odparła Lore.

Rozrosło się na tyle, że w dokach od lat szeptano o nadchodzącej wojnie. Ludzie bali się przymusowych wcieleń do armii i utrudnień w handlu.

– A jednak – Bastian spojrzał na nią – nigdy na nas nie uderzyło.

– Może Kiryteańczycy na coś czekają – powiedziała Lore, patrząc przed siebie i pozorując swobodny ton. – Na przykład na właściwy moment albo na informacje na jakiś temat.

– O jakiegokolwiek cenne informacje byłoby im trudno – odparł Bastian, wciąż spoglądając na Lore. – Mój ojciec nie powierza tajemnic wojskowych nikomu poza garstką zaufanych ludzi. Nawet ja nie znam większości z nich.

Lore się zaśmiała.

– Nie, to niemożliwe. Jesteś przecież jego dziedzicem.

– I popatrz, jak go to wścieka.

Przez chwilę szli w ciszy. Lore czuła, jak jej oparta o rękę księcia dłoń coraz bardziej się poci. Tkanina rękawa była miękka i pofalowana – mało prawdopodobne, by nie pozostały na niej ślady potu.

– Czy wojna się zbliża, czy nie, uważam, że to niegodne żądać od ludzi takich kwot za przyzwoity pochówek. A jeśli już, to przynajmniej niektórzy powinni być zwolnieni z opłat. – Bastian zerknął na nią kątem oka. – Weźmy chociaż całą tę sytuację z przygranicznymi wsiami.

Lore aż przygryzła wewnętrzną część policzka. Gorączkowo starała się wymyślić, jak dowiedzieć się więcej i nie wzbudzić przy tym podejrzeń. August powiedział, że ciał z wiosek się „pozbyto”. Musiało to oznaczać, że zostały spalone – niezależnie od tego, jaki pochówek planowały poszczególne ofiary. Shademount i Orlimar były niewielkimi wsiami, a większość ich mieszkańców uprawiała rolę, by się wyżywić. Według świętych rozpraw do Świetlistego Królestwa wchodziło się ciałem w stanie z pochówku. Innymi słowy – kto został spalony, ten w ogóle nie miał szans się tam

znaleźć. Kościół nie miał więc powodu przejmować się opłatami za pogrzeb wieśniaków.

– Jestem zaskoczona, że Kościół nie optuje za bardziej egalitarnym rozwiązaniem – powiedziała po chwili. – To, czy ktoś znajdzie się w Świetlistym Królestwie, powinno zależeć od jego nabożności, nie zamożności.

– Zwłaszcza że większość możliwych nie zobaczy nawet progę Królestwa. Czy ich ciała będą w jednym kawałku, czy nie. Kościół i krwawi mogą przymykać oko na to, ile trucizny trafia do Cytadeli, ale Apolliusz raczej tego nie zrobi.

Lore zazgrzytała zębami na wspomnienie parady z czarką Cecelii oraz Augusta obficie pociągającego ze swojej piersiówki.

– No tak, nasz wymiar sprawiedliwości...

– Raczej inny wymiar absurdu! – Lekki uśmiech Bastiana zamienił się w nieskrępowany wybuch śmiechu. – A ze sprawiedliwością dawno nie ma to nic wspólnego.

Wypielegnowany lasek przeszedł w kolejną część ogrodów – nieco mniej rozległą i uporządkowaną niż ta po drugiej stronie Cytadeli. I to była jednak misterna, przecząca samej sobie imitacja dzikiej przyrody. Pośród krzewów gniazdowały barwne ptaki, a pomiędzy ścieżkami przechadzały się pawie. Wokół rosły kolorowe kwiaty, gdzieś tam umieszczono też sadzawki pełne jaskrawo ubarwionych, egzotycznych ryb. W pobliżu kilkoro dworzan spacerowało lub leniwie pogrywało w krokietę. Lecz nikt z tego grona nie zbliżył się do Lore i księcia – kontakt sprowadzał się do pozdrowień wyrażonych skinieniem głowy. Cała reszta dworu wciąż zapewne odsypiała pobudkę przed wschodem słońca.

– Co do tamtych wiosek... – Lore postanowiła odejść od tematu, który wprawiał ją tylko we wściekłość, i spróbować za to czegoś się dowiedzieć. – Słyszałam, że wszyscy mieszkańcy pomarli tam z dnia na dzień. Bez żadnych oznak choroby czy otrucia. Ale to przecież niemożliwe, prawda?

– Podobno tak właśnie było. Ale mam własną teorię na ten temat. – Bastian pogładził przechodzącego obok pawia. – Moim zdaniem ci ludzie zmarli przez Mortem.

Lore w tym momencie zahaczyła o kamień brukowy i wczepiła się palcami w rękaw Bastiana, z trudem powstrzymując się przed przekleństwem. Umięśniona ręka księcia była twarda jak skała – dziewczyna wyrzucała sobie, że w ogóle zwróciła na to uwagę.

– Ach tak? – spytała zaintrygowanym tonem.

Książę wzruszył ramionami, znów wprowadzając w ruch ukryte pod ubraniem mięśnie.

– Cóż innego, skoro nie było śladów otrucia, choroby czy walki? Jak dla mnie to musiał być Mortem.

– Nie wydaje mi się. – Lore pokręciła głową. – Gdyby to był nieskanalizowany Mortem, ciała nie zachowałyby się w całości. Szybko zaczęłyby się błyskawicznie rozkładać.

Wycieki Mortemu były poważnym problemem w pierwszych latach po Boskim Upadku, ale teraz nie stanowiły już zagrożenia. Niebezpieczeństwo zostało zażegnane wraz z powołaniem Presque Mort i wzniesieniem przez ród Arceneaux Cytadeli ponad grobowcem Nyxary.

Bastian przyjrzał się Lore uważnie.

– Wiesz o Mortemie więcej niż przeciętna dworzanka, Lore. – Książę powiedział to swobodnym tonem, ale było jasne, że to tylko gra.

Szlag by to trafił! Bastian wręczył jej łopatę, a ona sama zaczęła kopać pod sobą dołek...

– Ciekawi mnie ten temat – odparła.

– To dość niezdrowa ciekawość.

– Tak to bywa. To, co niezdrowe, jest interesujące. – Wzruszyła ramionami. – Zresztą każdy, kto zna historię, dojdzie do tego samego wniosku. Okres po Boskim Upadku jest dobrze udokumentowany. Ze źródeł wiadomo, jak wyglądały ciała, które miały kontakt z surowym, nieskanalizowanym Mortemem.

– To prawda. – Książę wyłowił z liści krzewu zgubione przez pawia pióro i wsunął je sobie za ucho. Lore czuła, że i to lada moment będzie modne na dworze. – Czy nie mogło być jednak tak, że Mortem odpowiednio ukierunkowano? Że zesłano go na te wsie w taki sposób, by wybić mieszkańców, nie pozostawiając śladów?

– Wątpię – odparła Lore. – Obecność Spiritum by to uniemożliwiła.

Nie słyszała dotąd, by kierowany Mortem został wprost użyty do zabicia kogoś. Tchnięcie śmierci w żywe ludzkie ciało byłoby bardzo trudne – aura Spiritum wokół niego czyniła to niemal niemożliwym. Dałoby się przedrzeć przez nią w przypadku roślin czy nawet schorowanych ludzi, ale nie zdrowego człowieka.

Jeśli mieszkańcy wioski rzeczywiście zginęli od Mortemu, znaczyło to, że ktoś posłużył się nim w sposób, o którym Lore nie miała pojęcia. Tymczasem o czym jak

o czym, ale o Mortemie wiedziała dużo.

– Widzę, że rzecz wymaga konsultacji naukowej – odparł Bastian. Pawie pióro za uchem zaczęło go chyba drapać, bo wyciągnął je i obracał teraz w palcach. – Nikt, z kim dotąd o tym rozmawiałem, nie wiedział tyle co ty.

Lore udała skromny uśmiech kuzynki z prowincji, mający sugerować, że nie ma co brać jej słów zbyt poważnie.

– Nie miałam w domu wielu rozrywek. Szukałam ich, gdzie się dało...

Książę uniósł brew i spojrzał wymownie na plamy na jej kolanach.

Wczepiła palce w jego rękę, walcząc ze sobą, by nie wybuchnąć szczerym śmiechem.

– Lore! – W ich stronę zmierzał ścieżką Gabriel. Nie biegł, ale wyglądał, jakby starał się ich dogonić, i gdy stanął naprzeciwko, był lekko zdyszany. Zerknął na Bastiana, a następnie na Lore, jakby poirytowany, że ta tak sumiennie wywiązuje się z zadania.

– Remaut, miło, że do nas dołączyłeś. – Bastian połaskotał pawim piórem podbródek Gabriela. – Szliśmy właśnie z twoją kuzynką do stajen. Spokojnie, miała już te plamy, kiedy na siebie wpadliśmy.

Gabriel zadarł brwi. Lore próbowała się do niego uśmiechnąć, ale wyszło to bardziej jak grymas.

– Chodźcie. – Bastian nacisnął przedramieniem na dłoń Lore. – Pokażę wam mój nowy, interesujący nabytek. Zobaczycie go jako pierwsi. – Tu posłał jej olśniewający uśmiech. – Naprawdę niezły ze mnie wodzirej towarzyski. Najpierw bał maskowy, teraz to. Matki panien na wydaniu powinny mnie zatrudniać.

– August byłby zachwycony – odparował Gabriel, zrównując krok z Lore.

Czuła się teraz tak, jakby eskortowały ją dwa zdumiewająco wielkie i nieprzystępne kocury.

– Anton może i cieszy się, kiedy wracasz na dwór, ale na pewno nie jest mu na rękę, że na długie miesiące stracił ulubionego mortemistę – rzucił książę.

Gabriel nie odpowiedział. Kurtuazyjnie ukrył ręce za plecami, by nie obnosić się z zaciśniętymi pięściami. Lore natychmiast przypomniała sobie słowa Bastiana podczas tańca na balu. Książę zarzekał się, że chciał dać Gabrielowi odetchnąć wolnością, nie wiedząc, że Anton wszystko ukartował.

Chwila niezręcznej ciszy posłużyła Lore za pretekst, by spróbować pomówić o rządzących Auverrainie braciach z kimś, kto powinien znać ich relacje najlepiej.

– August i Anton... – zaczęła, pomału dobierając słowa – nie dogadują się chyba najlepiej. Dlaczego?

– Anton został najwyższym kapłanem dopiero po pierwszej mistycznej wizji – wyrwał się do odpowiedzi Gabriel, choć musiał wiedzieć, że pytanie skierowane było do Bastiana. Nie potrafił się powstrzymać, by nie stanąć w obronie swego mistrza. – Augusta od urodzenia szykowano na następcę tronu. Był wybrańcem Apolliusza. Nic dziwnego, że rodziło to pewne napięcia.

– Jak dzieci rywalizujące o uwagę kochanego tatusia – rzucił szyderczo Bastian. – Bardzo to wygodne z tą wizją Antona.

Gabriel posłał mu gniewne spojrzenie.

– Sugerujesz, że to nieprawda?

– Remaut, nie wiem nawet, co Anton wtedy zobaczył. Ani ja, ani nikt inny. – Bastian ponad głową Lore poklepał Gabriela po ramieniu. – Ale musiało to być naprawdę coś. Ja w każdym razie na jego miejscu nie rzuciłbym się inaczej w palenisko. Tak czy owak, zyskał dzięki temu magiczną moc. Coś za coś...

Szczęka Gabriela drgnęła, ale ani słowem nie skomentował insynuacji na temat wizji Antona.

– Według rozpraw ród Arceneaux posiadał moc od zawsze – powiedział tylko.

– Między innymi dlatego nie zawracam sobie zbytnio głowy rozprawami. – Bastian uniósł rękę i z szelmowskim błyskiem w oku teatralnie rozczapierzył dłoń. – O mnie mówią, że mam magiczne palce. Ale to akurat nie ma ze świętością nic wspólnego.

Gabriel przewrócił oczami.

Pałacowe ogrody zwięzały się ku rozpościerającym się za nimi zielonym polom, po których swobodnie spacerowały konie. Nie ograniczało ich tu nic – najbliższym ogrodzeniem był znajdujący się o ponad kilometr dalej mur kościoła. Cóż, w Cytadeli nawet zwierzęta zażywały luksusu.

Zbudowane z jasnego drewna stajnie umiejscowiono na niewielkim wzniesieniu. Były znacznie ładniejsze niż którykolwiek z domów, w których mieszkała w życiu Lore. Wierzchowce oprowadzała po padoku służba w ciemnofioletowych liberiach. I tu znalazło się też miejsce na sztuczną, perfekcyjnie utrzymaną sadzawkę.

– Na umarłych i umierających bogów... – szepnęła Lore.

– Wielbicielka jeździectwa? – Ton Bastiana zdradzał, że znów się z nią przekomarza.

– Mogłabym się dać namówić.

Książę zaśmiał się i poprowadził ją bliżej ku stajniom.

– Dobrze to słyszeć – dodał. – Gabi nienawidzi koni.

Lore zerknęła na Gabriela. Ten przymrużył oczy i wbił spojrzenie w skroń Bastiana, bo książę nadal nie zwracał się do niego frontem.

– To nieprawda – odparł.

– Sam mi to powiedziałaś.

– Zgadza się, kiedy miałem osiem lat i spadłem akurat z wyjątkowo wrednego konia. A to ty podpuściłaś mnie, żebym na niego wsiadł. Wiesz, większość ludzi w wieku dwudziestu czterech lat jest dojrzała niż w wieku ośmiu. Zmienia się też ich wyobrażenie o tym, czego nienawidzą.

– Nienawidziłem piezzonego pawia, kiedy miałem osiem lat, i nienawidzę go nadal – odparł książę.

– Powiedziałem: *większość* ludzi.

Bastian zbył go machnięciem ręki.

Weszli tymczasem do wnętrza. Stajnie robiły tu równie ogromne wrażenie jak z zewnątrz. Na widok przechodzącego Bastiana konie rżały cicho, a on klepał je czule po pyskach. Prowadził Lore i Gabriela w głąb budynku, skąd dobiegały głosy dzieci stłoczonych wokół ostatniego boksu. Niektóre z nich ubrane były po dworsku, inne wyglądały, jakby na co dzień pracowały w stajni. Wszystkie zaś bez wyjątku wpatrywały się wielkimi oczami w niewidoczne na razie dla Lore ukryte w boksie zwierzę.

– Odsuńcie się – powiedział Bastian do dzieci łagodnym tonem.

Lore sądziła, że grupa na jego widok błyskawicznie się rozpierzchnie, ale tak się nie stało. Dzieci przesunęły się tylko nieco na bok, wciąż wpatrując się w boks.

Gdy tylko Lore znalazła się dostatecznie blisko, przestała się dziwić ich zdumionym spojrzeniom.

Wewnątrz boksu stał Konik.

Nie, to niemożliwe, pomyślała w pierwszej chwili. To, co widziała, w świetle całej jej wiedzy o Mortemie nie miało sensu. Co martwe – było martwe, i nawet korzystając z magii, nie dało się ot tak, wyciągnąć z ciała całej śmierci. Wskreszenie mogło stworzyć pozory życia, lecz wybudzona w ten sposób istota nie miała prawa samodzielnie funkcjonować. Przecież wtedy, na placu, zerwała smugi Mortemu i na własne oczy widziała, jak stojące przed nią zwierzę pada na bruk. Śmierć zawładnęła ponownie jego ciałem.

A jednak... coś musiało się od tamtej chwili zmienić. Bo oto miała przed sobą Konika.

Lore stała jak wmurowana. Jej palce znów wczepiły się w rękaw księcia, lecz tym razem nie czuła nawet przez materiał jego ręki. Oczy konia wciąż pokrywało mlecznobiałe bielmo. Jego gardło nadal było rozplątane. Zwierzę musnęło nozdrzami wyciągniętą rękę Bastiana i wydało z siebie odgłos, który – gdyby nie uszkodzone struny głosowe – byłby rzeniem.

– Piękny okaz, prawda? – Oczy Bastiana rozbłysły w półmroku. – Nazwałem go Claude.

Rozdział 14

Sekrety mnożą się same.

Przysłowie caldieńskie

W sezonie sztormowym wody przyływu biły o brzegi dzielnicy portowej jak w bęben. Fale czuć było solą i rybą, a odgłos ich nieskończonych uderzeń o kamienie potrafił w pierwszych tygodniach przyprawić o obłąd. Później stawał się po prostu szmerem w tle.

Podobnie Lore odczuwała teraz swój puls: był jak nieprzerwane bębnienie w uszach, rozlewające się nieznośnie w stronę gardła. Gdyby przyjrzeć się jej nadgarstkom, dałoby się pewnie zauważyć pulsowanie.

Konik-Claude spojrzał na nią z zainteresowaniem. Gdy przekrzywił głowę, rana na jego szyi rozchyliła się jeszcze szerzej. Wciąż kleiła się od krwi i ropy, a teraz Lore widziała jeszcze ruch zszarzałych, martwych mięśni i postrzępione skrawki naruszonych kości.

– Interesujące, prawda? – Bastian pogładził Konika po pysku, a ten znów wydał z siebie ten sam potworny dźwięk. – Powinien być martwy, ale... jakby o tym nie wiedział albo się na to nie godził. – Księżę Słońca zaśmiał się, ale w jego oczach pobłyskiwało coś więcej niż rozbawienie. – Może to właśnie sekret nieśmiertelności? Nie godzić się na śmierć. To znacznie prostsze niż zmieniać się pomału w kamień.

Dawniej Lore miała Konikowi nieco za złe, że niewiele sobie z niej robił. O ile nie przyniosła mu jabłek, zwykle zupełnie nie zwracał na nią uwagi. Teraz jednak cieszyła się, że zwierzę zdawało się jej nie rozpoznawać. Koń pochylił tylko głowę i ogonem przegonił z zadu muchę. Kości jego szyi upiornie zatrzeszczały.

Nie tak powinien działać Mortem, nawet ukierunkowany przez guślarza na tyle potężnego, że potrafiącego podźwignąć ciało z martwych. Swoją drogą, wszystkich takich guślarzy dawno stracono. Zwierzęce życie było mniej złożone od ludzkiego, dla stworzenia pozorów ożywienia nie potrzebowano tu żadnych szczegółowych instrukcji. Zwłoki działały jednak jak marionetka – aby mogły udawać żywe ciało, guślarz musiał poruszać smugami śmierci jak sznurkami. Koń poruszający się jak żywy... nie, to nie powinno być możliwe.

Swoją drogą, Lore nie była „normalną” guślarką.

Odepchnęła zaraz od siebie tę myśl, przygryzając język tak mocno, że aż poczuła miedziany posmak. Bastian tymczasem sięgnął po jabłko i podsunął je Konikowi. To znaczy Claude’owi. Zwierzę powąchało owoc i odwróciło pysk.

– Nie je. – Książę rzucił jabłko jednemu z chłopców stajennych, a ten natychmiast wgryzł się w nie z apetytem. – Nie pije i się nie wypróżnia. O ile mi wiadomo, również nie śpi. Ale poza tym jest jak zwywy.

Zwierzę zatrzepotało długimi rzęsami, a Lore aż przewróciło się w żołądku. Zerknęła nerwowo na Gabriela z nadzieją, że nie wygląda na równie przerażonego jak ona. Mnich nie dawał po sobie poznać szoku, choć cera wokół jego ust nieco pobladła.

– Rzeczywiście interesujący okaz – powiedział, udając lekki ton. – Skąd go masz?

Na moment zaległa cisza. Bastian lekko wykrzywił wargi.

– Szwendał się po Okręgu Południowo-Zachodnim – odezwał się po chwili książę. – Zaprzyjaźnieni gwardziści przyprowadzili go tutaj, bo nie wiedzieli, co z nim zrobić. Pachnie mi to zakazaną magią. Może jakieś resztki po mniejszych bogach żywiołów? Na przykład magia ziemi? To szczególnie żywotna moc, a ciało Braxtosa znaleziono przecież w Auverrainie.

Rzeczywiście tak było. Odnaleziono je w jaskini pośród wzgórz na wschodzie kraju. Fragment zwłok Braxtosa zachował się w skamieniałej formie. Przypominał niedokończony posąg, a okoliczni rolnicy modlili się do niego. Nie było to jednak żadne wytłumaczenie – po magii pomniejszych bogów nie pozostał nawet ślad. Bastian musiał o tym wiedzieć i było jasne, że kłamie. Zdradziły go wykrzywione wargi, sposób, w jaki zamrugał ciemnomiodowymi oczami, oraz to, jak odgarnął z twarzy Lore kosmyk włosów, gdy ta wpatrywała się w martwego konia.

– Przepraszam – mruknął Bastian. – Myślałem, że Claude będzie dla ciebie atrakcją, ale chyba jesteś nieco delikatniejsza, niż myślałem.

Koń obwąchał leżące w boksie siano, a rana na jego szyi znów rozwarła się szerzej. Na jego otwartej pustej tętnicy przysiadł komar.

Lore wzdrygnęła się na ten widok.

– Wybacz, droga Eldelore. – Bastian wzruszył ramionami. – Byłem przekonany, że cię to zaciekawia.

Nie odpowiedziała. Nie potrafiła wydobyć z siebie słowa. Bastian równie dobrze mógł powiedzieć jej wprost, że złapał ją w pułapkę. Gdyby to była robota dla Val, nie

minęłaby godzina, a Lore by stąd zniknęła. Najdrobniejsze podejrzenie, że może być spalona, wystarczało, by ulotniła się i wróciła do doków, gdzie przybrane matki mogły jej zapewnić bezpieczeństwo.

Bezpieczeństwo... Przez jej twarz przebiegł grymas. Wiedziała, że już nigdy nie schroni się w magazynie Val i Mari w dzielnicy portowej. Nawet gdyby mogła opuścić Cytadelę, i tak nie wróciłyby do nich. Byłoby to zbyt bolesne.

Dobiegające do uszu Lore głosy Gabriela i Bastiana brzmiały jak ciche brzęczenie much. Ot, nic niewarte przeprosiny przyjęte lodowatym tonem. Po chwili poczuła na sobie rękę Gabriela odciągającą ją do wyjścia ze stajni. Mnich rzucił na odchodne, że „jego kuzynka potrzebuje chwili odpoczynku”.

W drzwiach ostatni raz obejrzała się przez ramię. Konik przyglądał się jej, ocierając martwymi mięśniami i kośćmi o deski boksu. Tuż obok, odprowadzając ich wzrokiem, stał Bastian.

Gdy spojrzenia jego i Lore się spotkały, na twarzy księcia pojawił się uśmiech.

*

Gabriel przysiadł na sofie. Skrzyżował ręce na piersi i pochylił się nieco ku przodowi.

– On coś wie – rzucił.

– Tak – zgodziła się Lore, kręcąc się nerwowo po pokoju i przygryzając paznokieć. Gdy Gabriel prowadził ją przez ogrody i sztuczny zagajnik do ich kwatery, miała dość czasu, by otrząsnąć się z szoku. Zaskoczenie i lęk nie zniknęły całkiem, ale górę nad nimi wzięła wściekłość. – Nie ma to jak dać się podejść za pomocą martwego konia...

Na twarzy Gabriela pojawił się grymas obrzydzenia.

– Jakim cudem ten koń w ogóle wciąż...

– Chodzi? – Lore przebiegł dreszcz, jakby ktoś dotknął jej karku lodowatą dłonią. – Zachowuje się jak żywy?

– To nie jest robota innego mortemisty – myślał na głos Gabriel. – Gdyby ktoś w pobliżu kierował Mortemem, wyczułbym to. *Oboje* byśmy to wyczuli, prawda?

Lore wzruszyła nerwowo ramionami. Gabriel miał rację. Kilka razy była w pobliżu mnichów kierujących Mortemem i zawsze wtedy czuła dziwny dyskomfort. Jakby coś... ciągnęło ją za żyły, a jej krew próbowała krzepnąć. Nie przegapiłaby tego wrażenia.

Przegryzła paznokieć i zaklęła cicho, czując ukłucie bólu.

– Tak, wyczulibyśmy to – potwierdziła.

Dublet Gabriela zaszeleścił o brokatową tapicerkę, gdy mnich zwrócił się w stronę Lore.

– Skoro nikt nie kierował wtedy Mortemem... – zaczął – ...to znaczy, że wciąż utrzymuje się efekt wywołany przez ciebie.

– Nie – zaprzeczyła natychmiast. – Mortem tak przecież nie działa. On tylko...

– Wiem dobrze, jak działa Mortem – przerwał jej Gabriel i podniósł się z sofy. Choć stali ponad metr od siebie, Lore poczuła, jak góruje nad nią i ją przytłacza. Jego ton i postawa nagle się zmieniły: znów miała przed sobą gotowego użyć przemocy członka Presque Mort, który ją zatrzymał, a nie kogoś, o kim zaczynała myśleć jak o przyjacielu. – Wiem też dobrze – ciągnął Gabriel, przymrużywszy oko – że tak jak ty nie włada Mortemem nikt. Przynajmniej odkąd stracono nekromantów. Zresztą nawet za ich czasów wskrzeszone istoty nie pozostawały żywe o własnych siłach!

Teraz i Lore przymrużyła gniewnie oczy. Wyprostowała się, czując, jak odzyskuje ducha rodem z portowej dzielnicy.

– Jeśli o coś mnie oskarżasz, Gabrielu, powiedz to wprost. Nie baw się w gierki słowne jak Bastian.

Na dźwięk tego imienia Gabriel jakby się spłoszył. Ponownie Lore zobaczyła człowieka, nie posępnego mnicha Presque Mort. Wystarczyło, że przypomniał sobie o wspólnym rywalu i wspólnym celu. I o tym, że on i Lore nie mogą pozwolić sobie na to, by znaleźć się po przeciwnych stronach.

Gabriel ze znużeniem przesunął dłonią po twarzy.

– Nie oskarżam cię – odezwał się po chwili. – Ale chyba twoja magia dezorientuje cię tak samo jak nas wszystkich – dodał z nutą rozbawienia.

– Dobrze, że tak cię to pokrzepia... – Lore oparła się plecami o ścianę i uniosła wzrok na zakurzony żyrandol pośrodku sufitu. – Mnie raczej przeraża.

Gabriel wydał z siebie bliżej nieokreślony odgłos. Znów usiadł na sofie, łokcie oparł na kolanach.

– No to chyba mamy wyjaśnienie – powiedział. – Być może... tak to prostu działa. To część twojego daru.

– Nie wiem, czy cię to pocieszy – odparła Lore, siadając obok niego – ale gdybym wiedziała, jak to działa, powiedziałabym ci.

– Gdybyś dowiedziała się tego w najbliższym czasie, byłoby świetnie.

– Będę pamiętać.

Siedzieli przez chwilę w ponurej ciszy. Wkrótce jednak Lore wróciła myślami do innego, większego problemu, z którym musieli się zmierzyć.

– Skoro Bastian wie, kim jestem – zaczęła – dlaczego mi tego nie powie? Albo mnie nie zabije? Czy nie to by zrobił, gdyby naprawdę był informatorem Kiryteańczyków?

Gabriel potarł przepaskę.

– Bastian jest regularnie szpiegowany. Może czuć, że go obserwujesz, co nie znaczy, że wie *dlaczego*.

– Z całej tej szopki z koniem wnoszę, że ma jednak pojęcie – odarła Lore. – Jest bystry. Najwyraźniej domyślił się, że skoro jego ojciec sprowadził na dwór nekromantkę, to ma to coś wspólnego ze śmierciami w wioskach. A jeśli to Kiryteańczycy są za nie odpowiedzialni, nie było mu trudno wpaść na to, że ta nekromantka może go wydać.

– Możliwe też, że jest podekscytowany swoją nową zabawką i w ogóle nie łączy ze sobą faktów.

– Tak samo możliwe jest, że wcale nie pracuje dla Kiryteańczyków. August i Anton mogą się zarzekać do woli, ale nie mają realnych podstaw, by go podejrzewać. A jeśli mają, to nam o nich nie powiedzieli.

– Anton nie należałby na to śledztwo, gdyby nie miał ważnego powodu. – Gabriel oparł rękę na podłokietniku, a policzek na dłoni. – Zresztą jaki inny powód miałby mieć? To, że nie powiedzieli nam wszystkiego, nie oznacza, że sami nic więcej nie wiedzą.

Ta rozmowa zmierzała donikąd. Gabriel był zaprogramowany, by odruchowo brać stronę Antona. Lore natychmiast przypomniała sobie słowa Bastiana z balu: „Mój stryj od czternastu lat ma Gabriela na smyczy”.

Westchnąwszy, oparła czoło na dłoniach i postanowiła zmienić temat na taki, który nie będzie grozić sprzeczką.

– Skąd on w ogóle wziął tego konia? Jestem pewna, że ta historia o gwardzistach to bujda.

– Niekoniecznie – odparł Gabriel. – Bastian naprawdę ma wśród gwardzistów znajomych. I nawet kochanków. Krwawi mieli zapewne spalić ciało, ale ktoś wspomniał o nim księciu jako o ciekawostce. Bastian się zaciekawił, a gwardziści spełnili jego zachciankę.

– Widzę, że same tęgie głowy w tym garnizonie. Najlepsi z najlepszych... – Lore z rezygnacją zwiesiła dłonie. – Powiemy im?

Im: Augustowi i Antonowi. Nie musiała wypowiadać ich imion na głos. Zapadła podszyta nieznośnym napięciem cisza, która aż prosiła się, by któreś z nich ją przerwało.

Lore wiedziała, że jeśli okaże się dla braci Arceneaux bezużyteczna jako szpieg, ci wtrąca ją do celi i nie wypuszczą, póki nie będzie potrzebna przy kolejnych wskrzeszeniach. Potem zaś czeka ją zesłanie do kopalń.

– Nie – odezwał się w końcu Gabriel. Jego ton był łagodny. – Nie musimy im na razie mówić.

– Dziękuję – odpowiedziała cicho Lore.

Mnich skinął tylko głową.

Na stoliku naprzeciw sofy leżał stos kopert połyskujących w słabym świetle płomieni. Wszystkie wsunięto pod drzwi pod nieobecność Lore i Gabriela. Ten ostatni zgarnął je tylko z podłogi i przerzucił na blat.

Teraz Lore zaczęła od niechcienia przeglądać korespondencję. Miała przed sobą liczne zaproszenia – na podwieczorki, kolacje, a nawet wieczór gier karcianych. Zapraszając ich na bal maskowy, Bastian nadał im dwojgu towarzyski status. Było tylko kwestią czasu, gdy reszta dworu pójdzie za ciosem. Na myśl o takiej aktywności Lore aż zakręciło się w głowie.

– Nie musimy chyba iść we wszystkie te miejsca? – spytała.

– We wszystkie nie, w niektóre tak.

Gabriel wpatrywał się w ogień kominka, jakby celowo omijał spojrzeniem zgromadzony na stoliku stosik.

– Zwróć też uwagę, że tylko niektóre z tych zaproszeń są dla nas dwojga – dodał po chwili.

– To stąd twój szampański nastrój? Poczujesz się pominięty.

Gabriel odchrząknął.

– Dworzanie są ciekawi ciebie, bo jesteś tu nową twarzą. Niewielu ma chęć zadawać się towarzysko z... urlopowanym mnichem Presque Mort. – Uśmiechnął się i zmienił ton na mocno sarkastyczny. – Z czego zresztą bardzo się cieszę. Dwa podwieczorki i będziesz marzyć o tym, by być na moim miejscu.

– Z pewnością. Widzę po tobie, że życie zakonne to sama radość.

Lore przejrzała kolejnych kilka kopert i wybrała losowo jedną z nich. Opisano ją zdobnym, odręcznym pismem i zaadresowano do nich obojga – co ciekawe, wyłącznie po imieniu. „Lore i Gabi” – do tego maleńki rysunek kwiatka przy imieniu

mnicha. Marszcząc lekko brwi, otworzyła kopertę. Równie luksusowej papeterii nie widziała dotąd w całym życiu – miała wrażenie, że papier, którego dotyka, jest droższy niż każde z ubrań, jakie kiedykolwiek na sobie miała.

Wewnątrz znajdowało się zaproszenie na partię krokieta. Od Alienor.

– Tam chyba powinniśmy się pokazać – powiedziała Lore.

Gabriel wyciągnął dłoń po zaproszenie. Gdy zaczął czytać, jego szczęki natychmiast się zacisnęły. Nie odezwał się jednak ani słowem. Oddał Lore blankiet gestem sędziego wręczającego asesorowi wyrok.

Obracając zaproszenie w palcach, Lore czuła, jak takt ściera się w niej z chęcią zaspokojenia ciekawości. Ostatecznie wygrała ta druga.

– Jak wy dwoje... To znaczy... – zagaiła nieskładnie.

– Nasi rodzice postanowili nas zeswatać, kiedy oboje ledwo umieliśmy chodzić – zaczął Gabriel cichym, monotonnym głosem. Brzmiał tak, jakby wygłaszał przygotowaną wcześniej wypowiedź. Nieobecne spojrzenie utkwiał w oknie na przeciwległej ścianie. – W dzieciństwie byliśmy przyjaciółmi. Przynajmniej na tyle, na ile to możliwe w przypadku dwojga dzieci, które mają się kiedyś pobrać. Wszystko to zostało przerwane, kiedy miałem dziesięć lat. Z wiadomego powodu. To tyle. Nie ma tu nic więcej do opowiadania.

Lore poczuła nagle ukłucie bólu, gdy zasłuchana, zacięła się przez nieuwagę brzegiem kartki.

– Czy ona... ma teraz innego narzeczonego? – spytała po chwili.

– Nic mi o tym nie wiadomo. To zresztą bez znaczenia.

Słowa Gabriela mówiły jedno, ciało – drugie. Jego zwieszona ramiona natychmiast zdradziły, że wcale nie uważa tego za nieistotne. Lore złapała się przy tym na niewygodnej myśli, że i ją to obchodzi. Dlatego że obchodzi *jego*.

Poczucie, że istnieje pomiędzy nimi więź, zdążyło osłabnąć, co nie oznaczało, że całkiem zanikło. Lore wciąż nie mogła pozbyć się wrażenia, że zna Gabriela znacznie dłużej niż kilka dni. I że byli dla siebie kimś więcej niż skleconą naprędce parą współników mających wykonać zadanie.

Nie należało się tym przejmować. Gdy zaczynała szpiegować inne grupy rozprowadzające truciznę, Mari ostrzegła ją, że nieraz doświadczy poczucia dziwnie szybkiej bliskości wobec obcych osób. Tak już bywało w tym szczególnym zawodzie – umysł poszukiwał punktów oparcia i zaczepienia. Rozpaczliwie dopatrywał się więzi.

Lore odłożyła zaproszenie na stos nieotwartych kopert.

- No cóż, mam nadzieję, że potrafisz grać w krokieta, bo ja ani trochę.
- Wszedłem z wprawy. W Northreach raczej nie grywamy – odparł Gabriel.
- Nie, byłeś po prostu zbyt zajęty wpatrywaniem się maślanymi oczami w portrety Apoliusza i uczeniem się na pamięć rozpraw.
- Właśnie tak. – Gabriel podniósł się nagle i rozprostował ręce ponad głową. – Czy ty też masz już dość tego pokoju? – spytał. – Chętnie ruszyłbym się gdzie indziej.
- A znasz takie „gdzie indziej”, gdzie nie wpadniemy na wścibskich dworzan, były narzeczone albo gburowatych książąt i ich martwe konie?
- Tak się składa, że znam – odpowiedział, ruszając w stronę drzwi.

Rozdział 15

Mocą Nyxary była śmierć – śmierć namacalna, niezależna od nosiciela esencja zaniku życia. Jedyne ten, kto sam otarł się o śmierć, może władać jej surową formą, przepuszczając ją przez siebie samego, by następnie tchnąć ją w inny organizm i wprowadzić go tym samym w stan uśpienia. Owa śmierć w surowej formie, którą zwykliśmy nazywać Mortemem, gdy ukierunkować ją na słabsze formy żywej materii, jak rośliny, pozbawi je życia w sposób nieodwracalny. Nie będzie natomiast zabójcza dla silniejszych nosicieli, takich jak zdrowi ludzie czy zwierzęta. Istnieje przy tym sposób dawkowania Mortemu żyjącemu organizmowi, który zamiast pozbawiać go życia, będzie obracać go stopniowo w materię pokrewną kamieniowi. Powstanie tu równowaga pomiędzy życiem a śmiercią oparta na współobecności Mortemu i Spiritum. Metoda ta sprawdza się, pod warunkiem że osoba dawkująca Mortem potrafi robić to umiejętnie.

Z notatek Hakema Tabbala, eroccańskiego przyrodnika. Zapiski datowane na rok 2
P.B.U. (po Boskim Upadku)

„Gdzie indziej” okazało się ogrodem z kamienia. No, może nie w całości – bo pomiędzy skamieniałych roślin tu i ówdzie wyzierały te o normalnym wyglądzie. Pośród swoich martwych sobowtórów kwitły krwistokarmazynowe róże, a po skamieniałym bluszczu pięł się także ten zielony. Ale niemal wszystko inne było tu z kamienia.

Co nie oznaczało, że było martwe.

Lore w pierwszej chwili nie potrafiła ogarnąć tego rozumem. Skała to materia, w której zawsze niezawodnie wyczuwała Mortem. Materia pozbawiona życia i niemająca szans go z siebie wyrzesać. A jednak – otaczające ją skamieniałe rośliny zawierały w sobie jego iskrę. Była przygaszona, ale bez wątplenia obecna i tylko częściowo spowita Mortemem.

Wszystko to... emanowało spokojem. Ogród sprawiał wrażenie, jakby odpoczywał. Jakby po długim i ciężkim dniu opadł na miękkie łóżko.

Stojący obok Gabriel rozluźnił ramiona. Napięcie uszło z niego w mgnieniu oka – jak deszczówka sprowadzona rynną ku ziemi. Samej Lore również zrobiło się lżej.

Oboje jakby pozbyli się nagle ciężarków u nóg. Ciężarków, których sami nie zauważali, póki nagle nie zostały odcięte.

Ogród, do którego Gabriel przyprowadził Lore, znajdował się na dziedzińcu przylegającym do muru kościoła. Od pałacowych terenów Cytadeli odgradzało go wysokie, zdobne ogrodzenie i równie zdobna brama. Ogród był niewielki i uporządkowany – z miejsca, w którym stali, Lore widziała każdy jego kraniec, a układ alejek przypominał ten, który znała z dzielnic Dellaire. Pośrodku umieszczono coś, co wyglądało jak studnia pod spiczastym złotym daszkiem. Otaczał ją drewniany krąg, a wieńczyła niewielka statuetka Apolliusza. Z jakiegoś powodu jedno spojrzenie w jej stronę wystarczyło, by zburzyć wrażenie spokoju, jakie stwarzał ogród. Lore, która nagle poczuła na plecach zimny dreszcz, natychmiast odwróciła wzrok.

Po chwili nieśmiało sięgnęła ku jednej ze skamieniałych róż. Kwiat był zaskakująco gładki w dotyku – niemal jak żywy.

– Więc to w to miejsce kierujecie Mortem? – spytała.

Nieraz słyszała opowieści o tym, z jaką wprawą mnisi Presque Mort potrafili go kanalizować. Mieli kierować Mortem w głąb roślin tak umiejętnie, że nie pozbawiali ich życia. Żadna opowieść nie mogła jednak przygotować jej na widok, jaki właśnie się przed nią ukazał. Spodziewała się czegoś ponurego i ciężkiego – tymczasem to, co tu zastała, było piękne.

Gabriel skinął głową. Obok niego piętrzyły się skamieniałe kwiaty i liście. Najmłodsze piętro ogrodu porastało poprzednie.

– Jak? – spytała Lore. W tym momencie podmuch wiatru przechylił w jej stronę jedną z żywych róż, której kolce zaczepiły o jej rękaw. Delikatnym ruchem odczepiła je i wyprostowała kwiat. – To znaczy wiem *jak* – dodała. – Nie rozumiem, tylko w jaki sposób sprawiacie, że są...

– Jesteśmy bardzo uważni. – Gabriel się uśmiechnął. – Nie kierujemy Mortemu w głąb roślin, ale rozprawdzamy go po samej ich powierzchni. Nie dławimy wtedy Spiritum, tylko je... powleka. Rośliny zamierają w zastoju, gdzieś pomiędzy życiem a śmiercią. – Idąc przed siebie ścieżką, niemal z dumą powiódł wokół ręką. – Gdyby było trzeba, moglibyśmy odwrócić cały ten proces. Wystarczyłoby, że przepuścilibyśmy Mortem przez siebie i tchnęli go w cokolwiek martwego. Kwiaty odzyskałyby wtedy swoją dawną postać. Śmierć, która je spowija, nie jest nieodwracalna.

Lore jeszcze przez chwilę przyglądała się różom – w promieniach słońca kołysały się tam i z powrotem. Zaraz jednak dołączyła do Gabriela, który w błogim nastroju dalej kroczył brukowaną alejką. Odnosiła wrażenie, że ma przed sobą innego człowieka. Gabriel szedł lekko, jakby z jego barków zdjęto jakiś ciężar. Lore zaczęła się zastanawiać, czy zawsze wyglądał właśnie tak, gdy był po prostu mnichem – gdy nie otaczali go ludzie i miejsca przypominające mu o tym, jak mogło wyglądać jego życie.

– Brzmi jak lekkie oszustwo. – Lore nie dawała rady dogonić Gabriela, ale starała się trzymać od niego nie dalej niż o dwa kroki. – Żeby tak bez konsekwencji wędrować sobie w tę i we w tę pomiędzy życiem a śmiercią.

– Mówisz o konsekwencjach picia trucizny? – Gabriel pokręcił głową. – Każdy, kto po nią sięga, zasługuje na nie. Człowiek ma przeżyć na tym świecie określony czas, a kto oszustwem próbuje zyskać dodatkowe lata, sprzeciwia się planowi Apolliusza.

Lore była ciekawa, czy Gabriel zauważył piersiówkę, z której tak ochoczo pił August, i co miałyby na jej temat do powiedzenia.

– Próbowano kiedyś zrobić to samo z człowiekiem? – spytała po chwili, wskazując na kwiaty.

Gabriel na dźwięk jej słów aż zastygł.

– Nie wolno zrobić czegoś takiego człowiekowi – odparł z przerażeniem w oku.

Lore cofnęła się o krok. Widząc reakcję Gabriela, poczuła wyrzuty sumienia. Jednocześnie jednak nie zamierzała odpuszczać.

– Nie sugeruję, że sam to robiłeś, Gabrielu. Jestem po prostu ciekawa. – Lore przełknęła ślinę. – Latami uczyłeś się od swoich mentorów o magii i Mortemie. Dla mnie cały ten dar był tylko ciężarem.

Mnich przyglądał jej się chwilę, po czym przeciągnął się z trudnym do rozszyfrowania wyrazem twarzy. Następnie ruszył dalej przed siebie. Jego krok nie był już tak lekki jak jeszcze przed momentem.

– Nikt tak naprawdę nie wie, co stałoby się, gdyby tchnąć w ten sposób Mortem w istotę mającą duszę – zaczął. – Stanowisko Kościoła jest takie, że dusza ta trafiłaby wtedy do Świetlistego Królestwa lub któregoś z piekieł. Jak rozumiem, zależnie od tego, jak dany człowiek przeżył ziemskie życie. Tyle że gdyby przywrócić go potem do naszego świata, znalazłby się pośród żywych, mając wiedzę, jakiej nie powinien posiadać żaden śmiertelnik.

Wskrzeszenie człowieka nie przywracało życia jego duszy, ale jedynie wprawiało w ruch jego ciało. To dlatego wybudzona ze śmierci osoba nie mogła funkcjonować bez rozkazów mortemisty. Ciekawość życia pozagrobowego była jednak nieprzebrana. To dlatego w latach tuż po Boskim Upadku nastąpił prawdziwy wysyp praktyk nekromanckich. Niemal każdy, kto władał Mortemem na tyle, by być w stanie wskrzesić zmarłego, usiłował dowiedzieć się, co spotyka człowieka po śmierci. Poznać prawdę o tym, dokąd trafiaamy, gdy ciało dożyje swoich dni. Kościołowi się to nie podobało. Mniejsza o to, że żadne z tych praktyk nie okazały się skuteczne i nikt nigdy nie uzyskał od wskrzeszonego ciała spójnej odpowiedzi.

– Wierzysz w Świetliste Królestwo? – spytała Lore, zerkając na Gabriela.

– Jestem duchownym. Mam obowiązek w nie wierzyć.

Lore po przyjacielsku trąciła go ramieniem. Po krótkiej chwili na twarzy Gabriela pojawił się ledwie zauważalny uśmiech.

Zbliżali się akurat do studni. Wieńcząca ją statuetka Apolliusza była zaskakująco skromna: ot, lity kamień bez żadnych ozdób. Lore przyjrzała się jej z lekką nieufnością.

– Co to? – spytała.

– Wejście do katakumb – odparł Gabriel tak lekkim tonem, że przez moment Lore nie była pewna, czy się nie przesłyszała. Mnich zaraz jednak wzruszył ramionami i posłał jej cierpkie spojrzenie. – Otwieramy je przy każdym zaćmieniu. Wypuszczamy Mortem i kierujemy go na rośliny. To rozwiązanie świetnie się sprawdza. Prawdopodobnie dzięki temu od dawna nie zdarzył się żaden większy wyciek.

Na samo wspomnienie zaćmień Lore przycisnęła dłoń do uda, ukrywając bliznę.

– Kiedy wypada następne? – spytała.

– W środku lata – odpowiedział mnich. – Tym razem to zaćmienie słońca, więc Mortem będzie szczególnie stężony. Nyxara usiłuje przyćmić Apolliusza, i tak dalej, sama rozumiesz. – Tu Gabriel uniósł brew. – To chyba blisko twoich urodzin?

Nie mylił się. Wtedy właśnie wypadały jej dwudzieste czwarte urodziny, a tym samym – jej dzień święcenia.

– Zamierzasz kupić mi tort? – spytała Lore, tuszując ukłucie niepokoju prostodusznym uśmiechem.

– Niewykluczone. Zależy, jak będziesz się do tego czasu sprawować.

Lore przewróciła oczami i biorąc go pod rękę, zrównała z nim krok. Mimo to myśl o zaćmieniu nie dawała jej spokoju.

– Nie niepokoisz się? – Przygryzła wargę. – Skoro podczas zaćmienia Mortem nabiera mocy...

– Staram się nie niepokoić, póki Anton nie powie mi, że należy to robić – przerwał jej Gabriel.

Jego odpowiedź ani trochę nie dodała jej otuchy, ale usiłowała nie dać tego po sobie poznać.

– Najwyższy kapłan jest ci chyba bliższy niż komukolwiek innemu w Presque Mort? – spytała, siląc się na swobodny ton.

– Anton był dla mnie jak ojciec – zaczął Gabriel. – To po części z powodu jego wizji, bo dowiedział się z niej, że wolą Apolliusza jest, abym wstąpił do Presque Mort. Ale to nie wszystko. Okazał mi wiele dobroci i życzliwości. Gdy tylko mógł, odwiedzał mnie w klasztorze i upewniał się, że mam się dobrze. Gdyby nie on, nie byłoby mnie tu teraz.

Lore nie była pewna, co właściwie Gabriel ma na myśli. Czy to, że nie znalazłby się w Cytadeli, czy może – że w ogóle nie byłoby go już wśród żywych. Wolała nie wnikać.

– Dlaczego spytałaś, czy wierzę w Świetliste Królestwo? – odezwał się Gabriel po dobrych kilku minutach nieco krępującej ciszy. – Ty nie wierzysz?

Wzruszyła ramionami.

– Rzadko myślę, co może mnie spotkać po śmierci. Mam dość zmartwień tu i teraz.

Gabriel nieco smutno skinął głową na znak, że rozumie.

– A jeśli już o tym pomyślę – Lore kontynuowała, kopnąwszy leżący na ścieżce kamyczek – to dochodzę do wniosku, że nie wierzę w Świetliste Królestwo. Przynajmniej nie w takie, o jakim naucza Kościół.

Gabriel uniósł brwi, prosząc w ten sposób, by rozwinęła myśl. Tylko tyle. Nie nazwał jej heretyczką ani nie pobiegł na skargę do Antona. Lore taką reakcję uznała za obiecującą.

Próbując zebrać myśli, uniosła wzrok. Jakby letnie słoneczne niebo miało podsunąć jej właściwe słowa.

– Mortem to dla mnie... nieobecność czegokolwiek. Koniec wszystkiego. Na logikę w ogóle nie powinnam wierzyć w życie pozagrobowe. Mimo to... chyba wierzę. Wydaje mi się, że po śmierci coś jednak jest. Tylko jakoś zupełnie nie trafia do mnie wizja Świetlistego Królestwa. Prędzej już uwierzyłabym w setki różnych piekieł.

Myślę, że cokolwiek spotka nas po śmierci, będzie konsekwencją tego, jak żyliśmy. Za życia coś siejemy, po śmierci trzeba to zebrać. Nawet jeśli wyrosło coś paskudnego.

– Najgorszym z setek piekieł byłaby samotność – powiedział cicho Gabriel. – Utknąć samemu w świecie własnych grzechów i ich konsekwencji. Rozumiem twój argument, ale nie wierzę, by człowiek pobożny mógł być po śmierci skazany na samotność. Nie ma też powodu, by ktokolwiek inny miał ponosić konsekwencje naszych własnych czynów.

Lore przesunęła dłonią po skamieniałym geranium.

– Sama nie wiem... – zaczęła. – Skoro Mortem to pustka i samotność, czy i śmierć nie powinna się z nich składać?

Zaległa cisza. Gdzieś zza murów Cytadeli dobiegały tylko głosy bawiących się dworzan. Ktoś zasiewał właśnie to, co miał zbierać po śmierci.

– Myślę, że śmierć i to, jak odczuwamy Mortem, to dwie różne rzeczy. – Gabriel brzmiał, jakby zwracał się głównie do siebie. – Ta pierwsza czeka nas wszystkich, to drugie to tylko wynaturzona magia sącząca się z ciała martwej bogini. Owszem, jedno pochodzi od drugiego, ale nie są tym samym.

– Dlaczego akurat jej magię nazywa się „wynaturzoną”? – Gdyby nie byli sami w ogrodzie, który wydawał się poza rzeczywistością, Lore nie odważyłaby się zadać tego pytania. Jednak w tych szczególnych okolicznościach wypowiedziała je, a jej słowa niemal ociekały jadem. – Ona i Apolliusz byli sobie równi. Może i jej magia związana była z mrokiem i nocą, ale nie było w niej nic bardziej „wynaturzonego” niż w jego magii. Czy w magii pomniejszych bogów żywiołów, o których istnieniu tak lubicie zapominać. Była po prostu inna.

– Hmm – mruknął Gabriel, z namysłem marszcząc brwi. – Słyszałaś o prawie przeciwieństw? – spytał po chwili.

Był to elementarz rozpraw. Prawa tego uczono dzieci, które ledwo co zaczęły chodzić. No, pod warunkiem że nie wychowywały się w takich warunkach jak Lore. Nawet ona jednak znała tę formułkę, więc skinęła głową na potwierdzenie.

– „Jeśli coś jest dobre, to jego przeciwieństwo musi być złe”. – Gabriel pokręcił głową. – Uważam, że to nieprawda.

– Ty nie wierzysz w coś, co zapisano w rozprawach? Uważaj, prosisz się o wakacje na Wyspach Popielnych!

Teraz to on porozumiewawczo trącił Lore w ramię.

– Uważam, że rozprawy podlegają interpretacji, a w tym wypadku interpretacja, którą się posługiwaliśmy, była błędna – odpowiedział. – Przeciwności nie zawsze muszą być ze sobą sprzeczne. Ot, choćby dzień i noc. Są sobie równe, a żadne z nich nie jest złe. – Gabriel zacisnął na moment wargi. – Tak czy inaczej, jedno przynosi światło, a drugie mrok. Myślę, że to też nie jest bez znaczenia.

Lore nie odpowiedziała. Skrzyżowała tylko ręce na piersi, a spojrzenie utkwiała we własnych stopach.

– Nie myślę, że Nyxara była wcieleniem zła – ciągnął po chwili Gabriel. Brzmiał przy tym, jakby zmagał się ze słowami, a samo wypowiedzenie na głos imienia bogini przychodziło mu z niemałym trudem. – Popęłniła po prostu błąd, porywając się na życie Apolliusza. Nie znamy powodów, dla których to zrobiła, ale spotkał ją za to upadek. Wątpię, by była teraz przy nim w Świetlistym Królestwie, nie miałoby to przecież sensu. Żywię jednak nadzieję, że dokądkolwiek trafiła, nie spotkał jej tam najgorszy los. – Gabriel zawiesił na moment głos. – Szkoda, że nie zabrała ze sobą swojej magii. Gdziekolwiek teraz jest. Byłoby to lepsze niż pozwolić jej rozpląwać się po Dellaire. Mimo to podejrzewam, że nie ona o tym decydowała.

Lore zerknęła na Gabriela.

– Coś mi mówi, że właśnie zbluźniłeś. Ta nadzieja, że Nyxary nie spotkał po śmierci najgorszy los...

– Jeśli ta odrobina miłosierdzia to bluźnierstwo, niech szykują dla mnie stos – odparł Gabriel. Próbował wypowiedzieć te słowa żartobliwie, ale oboje wiedzieli, że mówił serio.

Znów przez moment szli w ciszy, pogrążeni w myślach.

– Zgłodniałaś? – odezwał się w końcu Gabriel. Obeszli cały ogród dookoła i zmierzali znów w stronę bramy prowadzącej do Cytadeli. – Jeśli od czasów mojego dzieciństwa nie zmieniły się tu zwyczaje, w głównym holu o tej porze powinien być wystawiony poczęstunek.

Gabriel się nie mylił. Gdy tylko przekroczyli drzwi Cytadeli, ich oczom ukazał się potężny podłużny stół wprost uginający się od jedzenia. Lore nigdy nie widziała, by w jednym miejscu wystawiono naraz tyle dań i przekąsek. Nie zabrakło również fontann z winem, które znała już z balu maskowego Bastiana. Całość wieńczył upieczony w całości dzik z jabłkiem w pysku.

Lore na widok całej tej rozpusty aż otworzyła usta.

– Oni tak... po prostu to tu zostawiają?

– Większość dworzan przysyła tu służących z tacami, żeby przynieśli im coś do komnat – wyjaśnił Gabriel, odkrawając kawałek dziczyzny. – My służby nie mamy, więc... pozostaje nam się częstować.

– Taka fatyga... – Lore z młaśnięciem przełknęła słodki makaronik.

Nie wszyscy dworzanie wysłali po posiłek służbę. W głębi holu Lore wypatrzyła Alie, ubraną w szyfonową suknię w kolorze lawendy – skromną, lecz bardzo stylową. Gdy tylko Alienor zauważyła ją i Gabriela, pomachała do nich przyjaźnie, szybko zostawiła dworzanki, obok których stała, po czym zbliżyła się i nieco nieoczekiwanie uściskała Lore.

– Gdzie się oboje podziewaliście? – zagaiła. – Właśnie skończyliśmy na tyłach pałacu partię krokieta. Byłam pewna, że przyjdziecie. – Alie poruszyła swoimi bladymi brwiami. – Powinniście potrenować, jeśli ma nam się dobrze grać.

– Byliśmy na spacerze – wyjaśnił Gabriel.

– Bastian pokazywał nam stajnie – powiedziała w tym samym momencie Lore.

Oko Gabriela rozbłysło gniewem. Lore spojrzała na niego przepaszająco ponad ramieniem Alie. Zawsze uczono ją, że kłamstwa są bardziej wiarygodne, gdy przepiecie się je prawdą. Czy samo nie nasuwało się więc, że w ich interesie jest kłamać jak najmniej?

Alie zrobiła wielkie oczy.

– No tak. Nie dziwię się, że wolałaś pójść z Bastianem niż grać w krokieta. – Tu zadarła brew, patrząc na Gabriela. – A ty? Postanowiłaś dołączyć jako przyzwoitka? Chyba słusznie.

– Och, nic podobnego – zaoponowała Lore. – Księżę był niesamowicie uprzejmy.

Alie uśmiechnęła się szelmowsko.

– Uprzejmość to coś nie w jego stylu. Pewne jest jedno: lubi zaczynać miłosne podchody, zabierając upatrzoną kochankę do stajen.

Lore z trudem powstrzymała wybuch śmiechu. Może i Bastian rzeczywiście miał taki zwyczaj, ale była pewna, że do uwodzenia nie wykorzystywał zwykle wskrzeszonego konia.

Gabrielowi natomiast samo wspomnienie o rozrywkach Bastiana wystarczyło do przybrania cierpiętniczego wyrazu twarzy. Mnich przez moment przypominał leżącego na stołowym blacie dzika.

– Dziękujemy ci za tę ciekawostkę, Alie – odezwał się w końcu.

– Zawsze do usług – odpowiedziała. – Mam dla was dworskie plotki z wielu lat. – Tu Alienor z uśmiechem zwróciła się do Lore. – Sprzedam ci najsmakowitsze kąski za tydzień przy krokiecie. Z młotkiem w dłoni plotkuje się najlepiej.

Lore, która nie zdecydowała dotąd, z jakich zaproszeń skorzystać, przełknęła obfity łyk wina.

– Będziemy – zadeklarowała bez wahania.

– Wspaniale – odparła Alie, po czym pomachała grupce pięknie ubranych kobiet, z którymi akurat Lore usilnie starała się nie nawiązywać kontaktu wzrokowego. Nie było pośród nich Cecelii ani też, na ile Lore była w stanie ocenić, żadnej z osób, które piły na balu truciznę. – W takim razie do zobaczenia! – rzuciła Alie na odchodne.

Lore zwróciła się znów w stronę zastawionego jedzeniem stołu. Uśmiech momentalnie zniknął jej z twarzy.

– Wiemy przynajmniej, że Bastian nie proponował spaceru do stajni w tym celu co zwykle – odezwała się do Gabriela.

Miał to być żart i sądziła, że mnich zwyczajowo w takich sytuacjach zareaguje przewróceniem oczami. Gabriel nabił jednak tylko kolejną truskawkę na nóż i wsunął ją sobie do ust.

– Nie byłbym taki pewien – mruknął.

Rozdział 16

Każdemu człowiekowi wiedza dana jest wedle jego pozycji. Nieprawomyślnym jest sięgać po więcej, niż przeznaczyli nam bogowie.

Księga Praw Śmiertelniczych, Rozprawa 90

Popołudnie upływało niespiesznie w rozleniwiającej słonecznej aurze. Po posiłku Lore wymogła na Gabrielu, by oprowadził ją po Cytadeli. Wcale nie było to dla niego takie łatwe, bo przecież nie spędzał tu czasu od lat. Nieznajomość tego miejsca okazała się jednak niemal zaletą tej przechadzki we dwoje. Byli jak para intruzów zanurzona w morzu obcego im luksusu. Gdy w głowie Lore pojawiały się myśli o tym, co mógłby lub czego nie mógłby zrobić Bastian, zaraz wypychała je poza zaporę drzew przywoływaną dzięki technice Gabriela. Potrzebowała czasu, by spokojnie pomyśleć o tym, jak rozmawiać z Augustem. By ułożyć plan, dzięki któremu nie wyląduje w celi.

Potrzebowała też chwili oderwania, a Gabriel to właśnie jej dał. Wędrowali razem złoconymi korytarzami o sufitach zdobionych polichromiami i lśniącymi żyrandolami. W jednej z sal, przez które przeszli, były wyłącznie posągi – rzędy gładkich marmurowych ciał, uchwyconych w tańcu, walce czy momencie pocałunku. W kolejnej, okrągłej i niemal w całości przeszklonej, umieszczono pośrodku sadzawkę z fontanną, gdzie na lustrze wody unosiły się różane płatki. Lore i Gabriel nie zatrzymywali się tam. Wokół sadzawki kręcili się jacyś dworzanie, a kilkoro kolejnych kąpało się w niej – nago, jak ich stworzyli bogowie. Mnich na ich widok zaczerwienił się i natychmiast zawrócił w stronę korytarza. Lore kosztowało niemało wysiłku, by roześmiać się dopiero wtedy, gdy żadne z dworzan nie mogło już tego usłyszeć.

Chwilę później, zupełnym przypadkiem, ona i Gabriel trafili do biblioteki.

Cała Cytadela mogłaby posłużyć za studium przepychu, ale właśnie to pomieszczenie sprawiło, że Lore szczęka opadła do samej podłogi. Biblioteka obejmowała trzy widoczne z samego dołu poziomy – trzy obszerne balkony, do których dostęp zapewniały wpuszczone w regały wąskie klatki schodowe z polerowanego drewna. Każdy z poziomów pękał w szwach od książek, a całość

oświetlało potężne, umieszczone powyżej okno. Na każdym z pięter rozstawiono niewielkie, obite brokatem krzesła – czekały na czytelnika w specjalnych niszach do lektury, jednak w tym momencie z biblioteki nie korzystał nikt.

– To musi być warte tony złota... – szepnęła oniemiała Lore. – Wiesz, jak drogie są książki?

– Wiem – odparł Gabriel ponuro. – A wszystkie te pieniądze na nic. Prawie nikt tu nie czyta.

– Naprawdę? Co za marnotrawstwo.

Gabriel przestąpił z nogi na nogę.

– Kiedyś przychodził tu Bastian – zaczął nieswoim tonem. – Kiedy byliśmy dziećmi, czytał wręcz nałogowo.

– Tego bym się nie spodziewała... – Lore przesunęła dłonią po tapicerce jednego z krzesel. Materiał był niesamowicie wykwintny, o wiele zbyt szlachetny, by marnować go na mebel.

– Bastian nie jest głupi – odpowiedział Gabriel. – No, przynajmniej jeśli chodzi o erudycję – poprawił się zaraz, przekrzywiając nieco głowę. – Co innego w zdroworozsądkowym, ludzkim wymiarze.

Lore przygryzła wargę i zaintrygowana, podeszła do jednego z regałów w pobliżu wejścia. Jak na Cytadelę przystało – był pełen tomików poezji erotycznej.

– Chyba całkiem dobrze się znacie? – odezwała się po chwili.

– Lepiej, niżbym chciał – odparł Gabriel.

– Byliście sobie bliscy, kiedy... kiedy spędzałeś tutaj czas?

Gabriel zwlekał chwilę z odpowiedzią. Gdy w końcu się odezwał, mówił cicho.

– Tak. Bastian, Alie i ja byliśmy nierozłączni.

„Byliśmy”. Jedno słowo w czasie przeszłym, a jakież jego ciężar! Czy teraz ona i ten ponury mnich mieli kogokolwiek za przyjaciela? Jeśli tak, to byli nim dla siebie nawzajem. Straszne, gdy się nad tym zastanowić.

Lore niespiesznym ruchem zdjęła z regału losową książkę i przekartkowała ją. Stronice przedstawiały pełno upiornych ilustracji.

– Wasi rodzice też byli sobie bliscy? – spytała po chwili. Jej własne wyobrażenie o dziecięcych przyjaźniach mogło zostać spaczone. Z obserwacji cudzych doświadczeń wysnuła jednak wniosek, że łatwiej było nawiązywać je tym dzieciom, które z rodzicami łączyła przyjacielska zażyłość.

Na moment znów zapadła cisza. Nie powinna chyba zadawać tego pytania, temat rodziców był dla Gabriela zbyt trudny. Sęk w tym, że brała nad nią górę niepowstrzymana ciekawość. Remaut był jednym wielkim splotem sprzeczności i przeciwieństw, a ona chciała w końcu rozgryźć tego człowieka.

– Nasi ojcowie byli zbyt zajęci, by mieć czas na przyjaźń – odezwał się w końcu – ale nasze matki się przyjaźniły. – Nieobecnym ruchem potarł przepaskę na oku. – Ivanna, matka Bastiana, podupała na zdrowiu po jego urodzeniu. Rzadko opuszczała swoje komnaty. Moja matka i Lise, matka Alie, zabierały nas tam. One rozmawiały i piły wino, a my we troje baraszkowaliśmy dookoła.

– Brzmi sympatycznie – powiedziała cicho Lore.

Gabriel wzruszył tylko ramionami.

– Nasze matki były... nie nazwałbym ich może wyrzutkami, ale nie pasowały do tutejszego dworu – ciągnął. – Matka Alie była Auverrainką, jak wszyscy tutaj, ale przypominała z wyglądu swojego ojca, Malfourańczyka. Co głupsi dworzanie traktowali ją przez to inaczej niż pozostałych. Moja matka nie była dość bogata, by należeć do śmietanki. Balgia pozostawała niewielkim księstwem, przynoszącym małe dochody i niemal pozbawionym znaczenia, i liczyła się tylko dlatego, że stała Kiryteańczykom na drodze do Auverrainie. Ivanna z kolei wydawała się cicha i skryta. Różni ludzie próbowali się do niej zbliżyć, bo była królową, ale ona nigdy nie wydawała się zainteresowana. – Gabriel spochmurniał na twarzy. – August nie traktował jej dobrze.

Tuż po tych słowach odwrócił się gwałtownie, próbując stworzyć wrażenie, że zainteresowała go jedna z książek na regale. Ponieważ sięgnął po tomik z erotykami, Lore od razu zrozumiała, że jego zaciekawienie to tylko pozór, a tak naprawdę stara się po prostu przerwać rozmowę.

– Jak miała na imię twoja matka? – spytała po dłuższej chwili ciszy.

– Claire – szepnął Gabriel. – Miała na imię Claire i zmarła, kiedy skończyłem osiem lat.

– Współczuję.

– Było mi trudno. – Gabriel zawiesił głos, ale po chwili kontynuował łagodniejszym tonem. – Mimo wszystko cieszę się, że odeszła przed moim ojcem i nie musiała oglądać tego, co go spotkało.

Lore zerknęła na mnicha. Jego skryte pod dubletem ramiona były wyraźnie spięte. Palce splótł za plecami, na jego zwróconej do zewnątrz dłoni widniał tatuaż

przedstawiający świecę. Zaczynający się tuż powyżej nadgarstka rysunek biegł w poprzek linii życia i serca, knot sięgał podstawy palców, a wyobrażenie płomyka – knykcii. Tatuaz wydawał się precyzyjny, wręcz misterny – aż po wyobrażenie drobnych zacieków topiącego się wosku. Naniesienie go na dłoń musiało być potwornie bolesne.

Choć raczej nie tak bolesne jak utrata oka.

Gabriel uniósł dłoń i potarł niewidoczną teraz dla Lore część twarzy.

– Na wszystkich bogów, jestem taki zmęczony... – powiedział to tak cicho, że gdyby Lore nie przypatrywała mu się, nie wychwyciłaby nawet jego słów. Gabriel krył głęboko w sobie swoje zmęczenie, gniew i wszystkie inne uczucia.

Lore odwróciła się, wciąż trzymając w dłoni zdjętą z półki przypadkową książkę.

– Znalazłam coś do poczytania. Wracajmy do siebie. Obojgu nam dobrze chyba zrobi drzemka. – Mówiła szczerze. Bal u Bastiana w parze z pobudką przed świtem sprawiły, że czuła się naprawdę zmęczona.

Gabriel spojrział na nią, zadzierając brew. Gdy jego wzrok padł na książkę, którą wzięła, jego niebieskie oko otwarło się szerzej.

– Wybrałaś akurat tę?

Lore dopiero teraz przewróciła w dłoniach pozłocaną okładkę i przyjrzała się jej dokładniej. Był to kolejny tomik poezji erotycznej. Jego front zdobił rysunek podnieconego satyra goniącego nimfę, której nie okrywało nic poza burzą blond włosów.

Uśmiechnęła się szelmowsko.

– A co z nią nie tak, mnichu?

– Nic. Zupełnie nic – rzucił Gabriel, po czym sztywnym krokiem ruszył w stronę drzwi.

– Sam mógłbyś do niej zajrzeć – nie odpuszczała Lore. – Mógłbyś się czegoś nauczyć. Skoro całe życie żyłeś w celibacie...

– Taka jesteś pewna, że nigdy nie zламаłem ślubów?

Lore, zaintrygowana, przekrzywiła głowę.

– A zламаłeś?

Gabriel, zadzierając podbródek, spojrział na nią spokojnie.

– Ależ byś chciała wiedzieć.

W momencie gdy sięgał ku klamce, drzwi otworzyły się i stanął w nich Malcolm w czarnym habicie Presque Mort. Wyprężył się, gotów posłać lekkomyślnym

szlachcicom spojrzenie osoby będącej autorytetem Kościoła, lecz w tym momencie rozpoznał, kogo przed sobą ma. Poważny wyraz jego twarzy w mgnieniu oka ustąpił miejsca uśmiechowi.

– Dzień dobry, Lore. Ukłony, *wasza miłość*.

– Daruj sobie – mruknął Gabriel, klepiąc jednak Malcolma przyjacielsko po ramieniu.

– Nie sądziłem, że spotkam tu was dwoje bez księcia. – Malcolm podszedł z naręczem książek do najbliższych schodów prowadzących na wyższe poziomy. – Anton chciał chyba, żebyście nie odstępowali go na krok.

– Zamierzałam go właśnie poszukać – odpowiedziała błyskawicznie Lore. Było jasne, że Gabriel i Malcolm się przyjaźnią, a ona sama polubiła tego ostatniego na tyle, na ile miała szansę. Nie wątpiła jednak, że i on szczegółowo donosi o wszystkim Antonowi. – Gabriel myślał, że zastaniemy Bastiana tutaj, ale okazuje się, że książkę spędza swój wolny czas gdzie indziej.

Na przykład w stajni, karmiąc jabłkami martwego konia...

Malcolm zerknął w dół z drugiej kondygnacji biblioteki. Gdy jego spojrzenie padło na okładkę książki, którą trzymała Lore, roześmiał się, robiąc przy tym wielkie oczy.

– Widzę, że temat zbliżania się do Bastiana potraktowałaś *bardzo serio!* – rzucił rozbawiony.

– Zawsze wykonuję rozkazy – odparła Lore.

Gabriel skrzywił się, ale nie silił się na złośliwe komentarze. Istotniejsze było dla niego to, co w bibliotece robił Malcolm.

– Czy Anton wyprowadza kolejne księgi z kościelnej biblioteki? – spytał.

– Niezupełnie. – Malcolm odłożył naręcze tomów na podłogę, a następnie wsunął jeden z nich w puste miejsce na półce. Księga była opasła, a mnich musiał napiąć mięśnie, żeby wepchnąć ją do końca. Lore znów pomyślała, że w Presque Mort marnuje się męska uroda. – Kazał przynieść sobie te tytuły, bo chciał się w nie zagłębić. To nowsze edycje Kompendium. Niektóre z nich przetłumaczono z innych języków ponownie na auverrainiński – wyjaśnił Malcolm, upychając na półce kolejny gruby tom. – Nie mam pojęcia, dlaczego chciał przejrzeć akurat te. W kościelnej bibliotece są przecież setki Kompendiów, w tym oryginał. W dodatku, z tego, co widziałem, przeglądał tylko Księgę Praw Świętych. Ale co ja tam wiem, jestem tylko bibliotekarzem. – Wcisnął na półkę ostatnią z ksiąg i zwrócił się w stronę Gabriela, opierając dłonie na balustradzie. – Kompendia przynajmniej było łatwo znaleźć. Parę

miesiący temu zażyczył sobie księgi o ingerencji w sny. Musiałem pisać podania do uniwersytetu aż w Farramark, a sprowadzenie jej tutaj trwało wieki. To kawał drogi nawet morzem, a on zażyczył sobie tego tomu akurat zimą, kiedy przełęcz Ourish była nieprzejezdna.

– Szuka czegoś konkretnego w przekładach – mruknął Gabriel. – Która rozprawa go interesowała?

– Zostawił wczoraj Kompendia otwarte. Wszystkie na fragmencie o prawie przeciwieństw. – Malcolm wzruszył ramionami i ruszył schodami w dół. – Kto go tam wie. Ja w każdym razie nie widzę żadnej różnicy między wersjami.

– Czy różnic w ogóle jest dużo? – spytała Lore.

– Nie. – Malcolm pchnął drzwi, puszczając przodem ją i Gabriela. – Zresztą, prawdę mówiąc, Kompendium to najmniej ciekawa pozycja w całym kościelnym katalogu. Relacje z pierwszej ręki na temat Boskiego Upadku czy opisy eksperymentów z magią żywiołów są znacznie ciekawsze.

– No myślę! – rzuciła Lore.

Malcolm uśmiechnął się na widok błysku zainteresowania w jej oczach.

– Jeśli masz chęć do nich zajrzeć, zapraszam. Daj mi tylko znać z wyprzedzeniem. Zadbam o to, by Antona nie było w pobliżu. Jest rygorystyczny, gdy idzie o kościelną bibliotekę.

Przez twarz Gabriela przebiegł grymas, ale z jego ust nie padło żadne słowo.

– Jestem zainteresowana – rzuciła Lore do Malcolma, wychodząc na korytarz i próbując znaleźć drogę do południowo-wschodniej wieży. – O ile uda mi się na dość długo odkleić od Bastiana...

Malcolm się zaśmiał.

– Daj znać, gdyby było trzeba ci w tym pomóc.

*

Gdy Gabriel i Lore dotarli w końcu do swojego apartamentu, słońce zaczynało już chylić się ku zachodowi. Mnich przez całą długą drogę powrotną nie odezwał się ani razu, a wszelkie zagajenia i żarty ze strony Lore zbywał milczeniem. Nie zrobił się rozmowniejszy również wtedy, gdy pokonali próg swojej kwatery. Wszedł do środka z głośnym westchnieniem i rękami zwieszonymi u boków. Potem skierował się do przylegającego do saloniku niewielkiego gabinetu i ciężko opadł na krzesło.

Lore podeszła do stolika po butelkę wina i nalała sobie. Wciąż miało octowy posmak, ale dawało się wypić. Nie mogła znaleźć drugiego kieliszka, więc wino dla Gabriela nalała do kubka, który zupełnie nie kojarzył się z tego typu trunkami.

Znaczną część miejsca w gabinecie zajmowało obszerne dębowe biurko. Na blacie nie było niczego poza szklanym przyciskiem do papieru udekorowanym motywem róży. Przy ścianach ustawiono regały na książki, ale większość półek pozostawała pusta. Nie było tam niczego poza zakurzonym egzemplarzem Kompendium i paprotką, która aż błagała, by ją podlać. Gabinet był na tyle mały, że aby podać wino Gabrielowi, Lore wystarczyło tylko przekroczyć próg.

Mnich przez moment przyglądał się kubkowi. W końcu jednak wziął go do rąk.

– Strasznie siadł ci nastrój – zauważyła Lore, opierając się ramieniem o framugę.

Gabriel westchnął i pociągnął łyk wina.

– Tak to bywa, kiedy przypominam sobie o nieumiarkowaniu całego tego miejsca.

Trudno było mu się dziwić. I ją uwierał widok korytarzy niczym z muzeum i wszechobecnego przepychu. Zwłaszcza że z pierwszej ręki poznała ubogie życie poza murami Cytadeli. Jej samej głód nigdy nie zajrzał w oczy – zawdzięczała to Mari i Val – był on jednak realnym zagrożeniem, w którego cieniu żyła niejedna osoba w mieście.

Lore zajrzała w głąb kieliszka.

– Nasze wyrzuty sumienia nikomu na nic się nie zdadzą – powiedziała.

Gabriel znieruchomiał. Lore za to energicznie postukiwała stopą o posadzkę, próbując zebrać myśli.

– Wiesz... jakaś część mnie też czuje się winna, że korzystam z tego wszystkiego. Uwiera mnie moja własna zachłanność, bo wiem, jak niewiele mają zwykli ludzie. Tyle że poczucie winy to luksus, na który nie możemy sobie teraz pozwolić. Nie w sytuacji, gdy w powietrzu wisi wojna, a my dwoje i tak jesteśmy tu uwięzieni.

Gdy to mówiła, Gabriel nie patrzył w jej stronę. Ze zwieszonymi ramionami wyglądał jak rzucony na krzesło worek.

– Wydawało mi się, że nie tęsknię za tym miejscem – zaczął. – Ale to tu... byłem kiedyś szczęśliwy. – Zawiesił głos, a po chwili westchnął i kontynuował. – Zanim zrozumiałem, jak zepsute jest to miejsce, uważałem je za swój dom. Wtedy, dawno, bez trudu je kochałem. Równie prosto było mi je znienawidzić, kiedy dotarło do mnie, jak jest zdeprawowane. Ale tę nienawiść łatwo jest czuć, tylko gdy jest się daleko stąd. – Gabriel tęsknił za tą łatwością. Za łatwymi odpowiedziami i czytelnymi

granicami. A gdyby nie Lore, miałyby je. – To haniebne – powiedział cicho. – To haniebne, ile ci ludzie mają. Ile dla siebie zagrabiają...

– Tak – potwierdziła Lore. – Chciałabym coś na to poradzić, jakoś to ukrócić. Ale... – Zamilkła i wzruszyła ramionami. Choć ta myśl wracała do niej raz po raz, wciąż nie potrafiła do końca jej wyrazić. – Po prostu nie wiem jak. Jestem pojedynczą osobą. I to mało istotną. Za to naprzeciw siebie mam tłum możliwych i lata ich tradycji. Czuje się bezradna. Jakbym próbowała postawić tamę na rzece, a za cały budulec miała jeden kamień.

– O tak. Tu trzeba wielu kamieni – zgodził się Gabriel, unosząc przycisk do papieru i obracając go w dłoniach. Gdy Lore zbliżyła się, odstawił go delikatnie na blat.

– Tyle mówisz o miłosierdziu, więc miej go choć trochę dla siebie – powiedziała łagodnym tonem.

Po tych słowach wyszła do swojej sypialni, trzymając w ręku tomik erotyków. Zostawiła jednookiego mnicha samego, wpatrującego się w mrok.

Przez jakąś godzinę próbowała potem czytać. Gdy słońce całkowicie skryło się za horyzontem, zapaliła świecę na stojącym obok łóżka stoliku. Erotyki okazały się jak na jej gust o wiele zbyt kwieciste, za to niezbyt wciągające. W rezultacie Lore złapała się na tym, że więcej niż na stronie patrzy na baldachim nad łóżkiem i rozpamiętuje swoją wizytę w kryptach.

Na wspomnienie drobnego ciała na katafalku poczuła ukłucie w piersi. Uchylone usta, szept, czarne oczy – jak u Cedrica, a jednak inne. Lore wciąż nie potrafiła ogarnąć tego wszystkiego rozumem. Czyżby to jej magia się zmieniła? Stała się mroczniejsza, a przez to... gorsza? A przecież oczekiwano, że będzie dokonywać kolejnych wskrzeszeń.

Bastian uważał, że tragedie w wioskach spowodował Mortem. Powiedziała mu, że to niemożliwe, ale po tym, co zobaczyła w stajni, nabrała wątpliwości, czy aby na pewno wie o Mortemie tyle, ile sądziła. Więcej – przestała być pewna, że wie o nim *cokolwiek*.

Wzdrygała się na myśl o kolejnym wskrzeszeniu, ale żeby tak po prostu odpuścić i uznać swoją porażkę – nie, to nie wchodziło w grę. I to nie tylko dlatego, że w konsekwencji znalazłaby się na Wyspach Popielnych. W przygranicznych wioskach straciły życie całe rodziny, wiedziała o tym. Jednak wiedzieć, a zobaczyć coś – to dwie różne rzeczy. Czymś jeszcze innym była świadomość, że jest jedyną, która może dociec prawdy. Lore czuła się niemal, jakby miała krew na rękach.

I właśnie w tym momencie – gdy rozpamiętywała swoją porażkę i widok wskrzeszonego „Claude’a” – uświadomiła sobie, że obie te rzeczy się łączą.

– Jasna cholera! – rzuciła, siadając energicznie na łóżku.

Rozdział 17

Nic nie zbliża ludzi bardziej niż rozpacz.

Porzekadło eroccańskie

Gabriel wciąż nie spał, gdy Lore wypadła ze swojej sypialni jak wystrzelona z procy. Zastała go już nie w zakurzonym gabinecie, ale wpatzonego refleksyjnie w ogień na kominku. Zdążył zdjąć koszulę i rozłożyć pod drzwiami swoje poślanie. Płomienie rzucały na jego umięśniony tors czerwoną łunę. Gdy Lore wparowała do salonu, zwrócił się natychmiast w jej stronę z zaniepokojonym wyrazem twarzy.

– Coś się stało? – spytał.

Lore zerknęła na wiszący na ścianie zegar. Dochodziła północ. O tej porze można było mieć nadzieję, że wszyscy na dworze albo śpią, albo oddają się rozrywkom, które dość skutecznie zaprzatają uwagę.

– Muszę jeszcze raz wejść do krypt – powiedziała.

– *Co takiego?*

Błyskawicznie wzięła buty i przepasała szarfą znaną w szafie podomkę. Kolejna rzecz skrojona jak na miarę i w kolorze – jaskraworóżowym – po który Lore sama z siebie nie sięgnęłaby nigdy.

– Wskrzeszając dzisiaj ciało – zaczęła pośpiesznie wyjaśniać – tchnęłam w nie Mortem tak samo jak w tego konia.

Gabriel, widząc, jak gorączkowo szykuje się do wyjścia, podniósł się z sofy.

– Nie rozumiem, w czym problem.

– Problem w tym – odparła Lore, przysiadając na podłodze, by zawiązać sznurówki – że ten chłopiec może się przebudzić. Tak samo jak koń.

Cedric, pomyślała od razu. Na wszystkich bogów, czy i jego mogło spotkać to samo? Po tym, jak Lore zerwała smugi Mortemu, jego ciało spalono. Czy jego uchylone usta mogły oznaczać, że się przebudził? Że płonął, wydając z siebie bezgłośny krzyk?

Dopiero gdy poczuła na ramieniu kojący ciężar dłoni Gabriela, uświadomiła sobie, że wpadła w hiperwentylację. Walczyła teraz, by uspokoić oddech, a półnagi mnich klęczał naprzeciw niej z zatroskanym wyrazem twarzy.

– Ludzkiemu ciału trzeba mówić, co ma robić, prawda? – spytał po chwili. – To nie zwierzę, które samo się podniesie i zacznie spacerować. Możemy tam pójść rano.

– Nie. – Lore pokręciła głową. Wystarczyło, że przymknęła powieki, a widziała przerażone spojrzenie Cedrica. – Muszę z tym coś zrobić teraz. Nie mogę go tak zostawić. Po prostu nie mogę.

Gabriel spojrzął jej w oczy i skinął głową, jeden raz.

Lore ruszyła w stronę drzwi, nie dając mu czasu na zmianę zdania. Gabriel, klnąc pod nosem na jej pośpiech, włożył przez głowę koszulę i szybko zaczął zakładać buty.

– Lore, poczekaj, przecież to nie...

– Muszę coś na to poradzić, zanim August lub Anton się zorientują.

Dlaczego – tego sama nie była pewna. Nie miała jednak żadnych wątpliwości: czerpała z tej samej pierwotnej, wrodzonej wiedzy, która pozwalała jej wskrzeszać ciała. Coś wewnątrz mówiło jej, że ani król, ani najwyższy kapłan nie mogą zobaczyć, czym naprawdę może skutkować jej magia. Koń to jedno, człowiek – coś zupełnie innego. Leżący na katafalku chłopiec miał nigdy już w pełni nie ożyć ani nie odzyskać świadomości. A jednak Lore poczuła zimny dreszcz na myśl, że miałyby pozostawić go samego w ciemności.

– Od waszej wizyty w kryptach nie powinien był tam pojawić się nikt poza wartownikami – powiedział Gabriel. Omal nie przewrócił się podczas wiązania drugiego buta. W pośpiechu nie do końca też naciągnął koszulę, więc na widoku pozostał niepokojąco duży fragment jego nagiego brzucha. – To nie jest miejsce, do którego ot tak, się zachodzi. Jeśli chłopiec się przebudził, nikt nie miał szans tego zauważyć.

Po ciele Lore rozlało się ciepłe uczucie ulgi. Nie mogła być pewna, że Gabriel nie powie kiedyś o całej tej sytuacji Antonowi, ale teraz przynajmniej wybrał ją. A ona zamierzała z tego skorzystać.

Ruszyli w stronę ciasnej klatki schodowej na tyłach wieży. Wydawała się bezpieczniejszym wyborem niż szerokie schody frontowe. Spirala tylnych schodów była tak ciasna, że nie widziało się dalej niż na pół metra przed siebie. Lore co rusz oglądała się na Gabriela, cały czas kurczowo trzymając się przy tym poręczy.

– Czy wartownik nas przepuści? – spytała.

– O północy jest zmiana warty. Jeśli się pospieszymy, dojdziemy na miejsce, kiedy wejście przez moment będzie niepilnowane.

– Dobrze, w takim razie chodźmy do... – Lore przerwała, bo jej ramię zderzyło się nagle z czymś, co dziwnie przypominało ciało innej osoby.

Osoba ta chrząknęła z niezadowoleniem.

Lore pomału zwróciła się w jej stronę.

Miała przed sobą ojca Alienor.

Stał niżej, więc ich twarze znalazły się na tej samej wysokości. Mimo to Lore i tak odniosła wrażenie, że lord Bellegarde nad nią góruje. Wbił w nią spojrzenie swoich jasnozielonych oczu. Włosy związane miał w schludny kucyk, uśmiechał się, ale był to uśmiech chłodny i pozbawiony radości.

Lore, próbując wziąć się w garść, dygnęła na tyle zgrabnie, na ile było to możliwe w jej podomce. Stojący za nią Gabriel na widok Bellegarde'a znieruchomiał.

– Proszę wybaczyć. Szłam tak nieuważnie – wydusiła z siebie.

– Nie chowam urazy – odparł ojciec Alienor, odpowiadając na jej dygnięcie skinieniem głowy.

W tym momencie jego spojrzenie padło na Gabriela. Jeśli był zbity z tropu widokiem jego i Lore przemykających się razem tylnymi schodami w niekompletnych ubiorach, to ukrył to z prawdziwą maestrią.

– Gabriel Remaut. Nie sądziłem, że jeszcze kiedykolwiek zobaczę cię na dworze. – Jego ton był tak lodowaty, że przyprawiał o dreszcze.

Zaniepokojona Lore z trudem powstrzymała się, by nie zacząć obgryzać paznokcia.

Przelotny grymas na twarzy Gabriela zdradził, że mnich doskonale wyczuł chłód pod swoim adresem. Nie próbował jednak odpowiedzieć w podobnym tonie. Pozdrowił Bellegarde'a skinieniem głowy, jakby mijali się podczas balu, a nie w ciasnej klatce schodowej w środku nocy.

– Lordzie Bellegarde, i ja przyznam, że nie spodziewałem się tu wrócić – dodał.

– Wiosną minęło czternaście lat. – Ojciec Alienor splótł ręce za plecami. Pomimo późnej pory i niecodziennego miejsca wciąż był ubrany po dworsku: ubrany był w śnieżnobiałą koszulę o falbaniastych rękawach, dublet z przesytego złotem kremowego jedwabiu i pasujące do niego odcieniem bryczesy. Lore i Gabriel mieli na nogach ciężkie, wysokie buty, on zaś pantofle na obcasie w tym samym śnieżnobiałym odcieniu co jego koszula. Nie pasowały mu, ale nawet ich niedorzeczny wygląd nie zaburzał powagi jego postury. – Czternaście lat – kontynuował – a dopiero niedawno zdołaliśmy zaradzić wszystkim nieszczęściom,

które spowodowała twoja rodzina. Mimo że nie łączyła was z Alienor przysięga małżeńska, reputacja Bellegarde'ów została zszargana tak samo jak wasza.

Lore patrzyła to na lorda, to na Gabriela, nerwowo gniojąc w palcach tkaninę podomki. Całe szczęście, że zajęła w ten sposób ręce, bo korciło ją, by dać Bellegarde'owi w twarz.

Gabriel zniósł atak z godnością. Spuścił wzrok.

– Wiem o tym – przyznał szczerze ściszym głosem. – Wierz mi, Severinie, że nigdy świadomie nie wplątałbym Alie w konsekwencje działań mojej rodziny. Nic nie wiedziałem o zamiarach mojego ojca względem Kiryteańczyków.

Wypowiedzenie na głos imienia córki Bellegarde'a było zagranieniem hazardowym, które okazało się niewypałem. Oczy lorda zalśniły chłodem.

– Tak się jednak złożyło, że byłeś w Belgii, gdy doszło do zdrady, choć nie miałeś powodu opuszczać dworu. Jak widzisz, podejrzenie, że uczestniczyłeś w zмовie, samo się nasuwa.

Napięte szczęki Gabriela zdradzały, że mnich z trudem się hamuje.

– Lecz są tu okoliczności łagodzące – odparł drętwo. – Zostałem do Belgii wysłany. Nie pojechałem tam z własnej woli.

Bellegarde jakby zupełnie nie baczył na jego słowa.

– Kiedy Anton sprowadził cię tu z powrotem – ciągnął – nie zrobiłeś nic, by unieważnić zaręczyny. To my musieliśmy porządkować po tobie papiery.

– Miał wtedy *dziesięć* lat – wtrąciła się Lore, posyłając Bellegarde'owi wściekłe, pełne pogardy spojrzenie. – Był dzieckiem!

Stali tak blisko siebie, że bez trudu wyczuwała zapach jego perfum, a jednak Bellegarde spojrzał na nią tak, jakby zapomniał, że w ogóle przebywała gdzieś w pobliżu.

– A teraz jeszcze to... – zaśmiał się pogardliwie. – Żeby obronę własnego honoru pozostawiać kuzynce z prowincji, o której istnieniu nie raczyłeś nam dawniej nawet wspomnieć. Brawo, Gabrielu, doprawdy.

Palce Lore zwały się w pięść, ale Gabriel pojednawczo otoczył je dłonią.

– Czy czegoś ode mnie chcesz, Severinie? – Gabriel powinien być wściekły, ale w jego głosie słychać było tylko zmęczenie. – Jest późno. Skoro wybrałaś się do południowo-wschodniej wieży, to zakładam, że chciałaś o czymś ze mną pomówić. Sam z pewnością mieszkasz w szykowniejszym miejscu. Nie podejrzewam też, byś skalał się rozmową z kimkolwiek innym mieszkającym w tej części pałacu.

Lore zerknęła kątem oka na Gabriela. Ten, o dziwo, wyglądał, jakby mówił w pełni serio. Severin Bellegarde musiał zatem mieć w zwyczaju nawiedzać ludzi w ich komnatach, by tuż przed północą udzielać im połajanek. Tuż przed *północą*, pomyślała nagle. Na wszystkich bogów, musieli natychmiast biec do krypt!

Twarz Bellegarde'a ani drgnęła. Lore dostrzegła za to drobny ruch jego zwieszanej u boku ręki. Lord zdawał się zgniatać w dłoni zmięty skrawek papieru.

– Chciałem tylko powitać cię na dworze, Gabrielu – zaczął, choć w jego tonie nie było krzty powitalnej życzliwości. – To znaczy was, ciebie i twoją... kuzynkę.

– Późna pora jak na wizyty towarzyskie – zauważyła Lore.

Bellegarde wzruszył tylko ramionami.

– Dworski rytm dnia ma niewiele wspólnego z tym poza murami – odparł. – Przyznam też szczerze: chciałem zdobyć się wobec was na życzliwy gest, ale była to zdecydowanie najmniej pilna rzecz, jaką miałem dziś do zrobienia.

Gabriel westchnął.

– Dziękujemy zatem za powitanie. Niestety w tym momencie moja kuzynka i ja nieco się spieszymy i...

– Tego już zdążyłem się domyślić – przerwał mu Bellegarde. – Biegliście oboje po schodach jak oszalali. Ciekaw jestem, dokąd to kuzynostwo może się tak spieszyć. Zwłaszcza na wpół rozebrane.

– Jak to dokąd? Na imprezę! – wypaliła Lore, nim Gabriel zdążył choćby otworzyć usta. Wyglądał na spanikowanego, więc natychmiast zrozumiała, że musi przejąć inicjatywę. – Nie zamierzam wracać do siebie przed świtem, więc lepiej było od razu wrzucić na siebie coś wygodnego.

Bellegarde uniósł brew.

– Pasujesz do tego dworu jak ulał – stwierdził. Jak się zaraz okazało, na odchodne. Po kilku sekundach niezręcznych manewrów minął ich i ruszył bez słowa w górę schodów, otwierając przed Lore i Gabrielem dalszą drogę w dół.

Lore ze zmarszczonym czołem odprowadziła go wzrokiem. Jednak nie wybierał się na górę wyłącznie do Gabriela. Zamierzał coś jeszcze. Albo aż tak nie w smak byłoby mu iść razem z nimi na sam dół. To ostatnie działało z wzajemnością.

Tuż przed zniknięciem za załomem schodów Bellegarde raz jeszcze obejrzał się na dziewczynę i z ponurym wyrazem twarzy zwarł u boku palce w pięść. Wciąż ścisnął w dłoni niewielki skrawek papieru.

Ani Lore, ani Gabriel nie odezwali się przez całą drogę na dół. W milczeniu wyszli na wyłożony szkarłatnym dywanem korytarz na przylegającej do głównej części pałacu pierwszej kondygnacji wieży.

– Co za straszny człowiek – mruknęła w końcu Lore, wpatrując się w głęb korytarza i stawiając krok z wyjątkowo mocnym przytupem. – Co za podły, mały człowiek.

– Nie oceniaj go aż tak surowo.

Lore wysoko uniosła brwi.

– Bellegarde nie poważa Presque Mort. Kanalizowanie Mortemu uważa za śmiertelny grzech i jest przekonany, że nie tak należy rozwiązywać problem. Jego zdaniem powinniśmy czekać, aż sam Apolliusz wskaże nam rozwiązanie. – Gabriel zrównał krok z Lore, ale nie tupał z taką złością jak ona. – Gdybym, zamiast złożyć śluby, odbył karę więzienia, nie robiłby mi wyrzutów. W każdym razie nie takie. A najszczęśliwszy byłby chyba, gdybym od razu zmarł od ran. Unieważnienie moich zaręczyn z Alienor byłoby wtedy mniej pracochłonne.

W oczach Lore tliła się wściekłość.

– A jednak widziałam go dziś rano w sanktuarium. Co oznacza, że to nie tylko podły i małostkowy człowiek, ale też hipokryta! Pozwolę więc sobie surowo go oceniać.

– Pomimo swoich obiekcji względem Kościoła Severin nigdy nie opuszcza nabożeństw – wyjaśnił Gabriel. – Byłoby to zniewagą wobec Apolliusza.

Dotarli do szerokiej, wygodnej klatki schodowej na końcu korytarza i znów ruszyli w dół. Rozmawiali szeptem, a mięsisty dywan niemal całkowicie wygłuszał ich kroki.

– Bellegarde’owi nie podoba się rozdział Kościoła od korony. Uważa, że powinny stanowić jedno wszechwładne ciało, na którego czele stałby król. Bo to on jest wybrańcem Apolliusza.

– I jeszcze teokrata. Cudownie. – Lore przewróciła oczami. – Rozumiem, że on i Anton raczej za sobą nie przepadają?

– Głównie wzajemnie się unikają – odparł Gabriel, nie patrząc na Lore. Widać było, że samo mówienie o kimś, kto tak jawnie nie zgadza się z Antonem, przyprawia go o dyskomfort. – Bellegarde i jego nieliczni stronnicy skupiają się głównie na obnoszeniu się ze swoim oburzeniem, a niewiele próbują zmienić. Żółć to cała ich tożsamość. Gdyby jakimś trafem dostali, co im się marzy, nie mieliby pojęcia, co ze sobą zrobić.

– Czy Alie zgadza się z jego poglądami? – Lore bardzo chciała, by Gabriel zaprzeczył.

– Ani trochę – odparł na szczęście. – Alie, o ile mi wiadomo, w ogóle nie poświęca zbyt wiele uwagi sprawom wiary i polityki.

– To jest życie... – rzuciła Lore melancholijnie.

Znajdowali się teraz w atrium, z którego otwierało się kilka korytarzy prowadzących w różnych kierunkach. Ponad ich głowami połyskiwały kryształy żyrandoli. Refleksy światła wędrowały po ocienionej ścianie oświetlonej pojedynczym kinkietem.

Gabriel rozejrzał się, wyraźnie niepewny, w którą stronę iść.

– Wiesz, jak trafić do krypty, prawda? – spytał po chwili.

– Chcesz powiedzieć, że ty nie wiesz?

– Nie każdy bywa tam zapraszany. – W jego głosie pobrzmiwała irytacja granicząca ze złością. – Tylko najzamożniejsi i najbardziej uprzywilejowani.

– Albo ci wrobieni w nekromancję. – Lore nie lubiła, gdy zdawał się sugerować, że ona sama przynależy do układu, którego tak nienawidziła, jakby nie pamiętał, że tak samo jak on nie znalazła się w Cytadeli z własnej woli.

Teraz zerknął tylko na nią i westchnął.

– Na szczęście dla ciebie, mój pozbawiony przywilejów biedaku, mam świetną pamięć – odparła sucho, a następnie poprowadziła go płataniną absurdalnie wystawnych korytarzy, które w mroku bardziej niż przepychem, biły po oczach grozą.

Nie spotkali po drodze nikogo, choć raz czy drugi do ich uszu dobiegły głosy i śmiechy, które o tej porze brzmiały nieco upiornie.

Ich szczęście skończyło się za ostatnim zakrętem korytarza. Tuż przed drzwiami prowadzącymi do dojścia do krypt stał krwawy, oparty o ścianę i uzbrojony w lśniący bagnet. Zauważyli go akurat w momencie, gdy donośnie ziewał.

Klnąc pod nosem, Lore błyskawicznie wycofała się za róg i oparła plecami o zbiorowy portret pasterzy, którzy wyglądali na kompletnie pijanych.

– Myślałam, że nikogo tu nie będzie – szepnęła. – Wtedy był tylko jeden ze Świętej Straży na dole.

– Wybitny z ciebie strateg, nie ma co – mruknął Gabriel.

– Pozbądź się go, potem możesz się ze mnie śmiać.

– Ja? Dlaczego ja?

– Bo ja tu jestem od myślenia, a ty od pary w łapach.

Gabriel posłał jej spojrzenie, które mówiło, że nie całkiem się z nią zgadza. Zaraz jednak odkleił się od ściany i bezgłośnie ruszył naprzód. Trzymał się najbardziej ocienionych miejsc i jak na tak rosnącego mężczyznę poruszał się niezwykle zręcznie.

Lore przechyliła nieco głowę, by lepiej widzieć Gabriela w momencie, gdy ten od tyłu dopadał do wartownika. Czy tak bezszelestnego poruszania się uczyli w klasztorze Northreach? Jeśli tak, to niejednemu członkowi załogi Val przydałby się pobyt tam.

Val, niech to szlag. Nie chciała znów o niej myśleć.

Wartownik nie zauważył Gabriela aż do chwili, gdy było już za późno. Mnich jedną ręką zakrył mu usta, drugą zaś uciskał punkt na jego karku. W mgnieniu oka gwardzista stracił przytomność, a Gabriel ostrożnie opuścił jego ciało po ścianie na posadzkę. Był na tyle ostrożny, że dopilnował nawet, aby szpic bagnetu o nic po drodze nie zahaczył.

– Będzie myślał, że po prostu zasnął – rzucił cicho Gabriel. – Mamy jakieś pół godziny. Tyle wystarczy?

– Mam nadzieję – odpowiedziała Lore, mijając na palcach leżącego wartownika i kierując się w głąb korytarza. Gabriel bezgłośnie ruszył za nią.

Korytarz oświetlało tylko kilka świec. Znaczna jego część tonęła w mroku. Płomyki w niszach ostro podkreślały rysy Apolliusza, sprawiając jednocześnie, że granaty na jego pierścieniach połyskiwały złowrogo.

Lore obawiała się przez chwilę, że drzwi do tunelu będą zaryglowane. Te jednak natychmiast ustąpiły i bezszelestnie stanęły otworem. Logiczne, pomyślała, po co ryglować drzwi, gdy w pobliżu stoi wartownik. Poza tym, sądząc po słowach Gabriela, mało kto wiedział w ogóle, jak tu trafić.

Krótkie schody prowadzące do tunelu były pogrążone w zupełnej ciemności. Lore przystanąła na moment w progu, usiłując przypomnieć sobie jego przebieg. Wiedziała też, że gdzieś na końcu stoi wartownik ze Świętej Straży. Po chwili spojrzała przez ramię na Gabriela.

– Będzie problem ze strażnikiem – szepnęła. – Jest ustawiony tak, że nie da się go zająć zniemacka.

– Nie doceniasz mnie.

– Mówię serio. Może naprawdę powinnam tu wrócić rano. Nie chcę, żeby coś ci się stało...

– Naprawdę, oszczędźmy sobie tego – odezwał się nagle głos zza ich pleców.

Lore i Gabriel zamarli, kompletnie zaskoczeni. Byli jak zwierzyna, na której właśnie zaciskały się wnyki.

– Bogom dzięki, że tu jestem – rzucił Bastian, wychodząc z leniwym uśmiechem z cienia. – Inaczej mielibyście grubego pecha.

Rozdział 18

Dzieci moje, dążcie do tego, by żyć nienagannie. Niełatwo bowiem zasłużyć na przebaczenie.

Księga Praw Śmiertelniczych, Rozprawa 403

Lore język stanął kołkiem w gardle. Mózg miała nagle jak z waty. Nie przychodziła jej do głowy żadna wymówka, którą mogliby się zasłonić. Stojący obok, ledwie widoczny w mroku Gabriel też milczał. Aż nagle Lore zobaczyła nóż. Nie miała pojęcia, skąd Gabriel go wziął. Zdążyła tylko zauważyć błysk ostrza, gdy to znalazło się nagle tuż przy szyi Bastiana.

Ten widok wyrwał ją z chwilowego paraliżu.

– Na bogów, Gabi, chcesz wisieć?

– Nie zdziwiłbym się. – Ton Bastiana był zdumiewająco beztroski jak na kogoś, kto ma nóż na gardle. – Efektownie zakończyły swoją sagę nieszczęśnika.

Zęby Gabriela zaśniły równie jasno jak ostrze sztyletu.

– Śmiało sobie poczynasz z nożem przy szyi.

– Naprawdę, ranisz mnie. – Bastian teatralnie spojrział przez ramię ku wąskim drzwiom. – Ale na razie nie na tyle, żebym obudził strażnika, który siedzi po drugiej stronie. – Jego niemal złote oczy zaśniły w ciemności. – Przekupiłem świętego, który stał w tunelu. Pewnie chla teraz w jakiejś tawernie, ale jeśli zechcę, raczej uda mi się go odnaleźć.

Nie była to zbyt subtelna groźba.

Cała trójka stała przez chwilę w ciszy, patrząc po sobie. Gabriel wciąż trzymał sztylet na gardle Bastiana, a ten wciąż zdawał się niewiele sobie z tego robić.

W końcu to Lore, uświadomiwszy sobie, że ci dwaj mogą milczeć w nieskończoność, zabrała głos.

– Kazałeś komuś nas śledzić? – zwróciła się do księcia.

– Oczywiście, że nie – odparł Bastian, palcem odsuwając od szyi ostrze. – Sam was śledziłem.

Gabriel ścisnął rękojeść tak mocno, że zbielały mu knykcie, ale ustąpił i opuścił sztylet.

– W odróżnieniu od mojego ojca – ciągnął Bastian – nie najmuje innych do szpiegowania. Wolę robić to osobiście.

Po karku Lore spłynęła kropla potu. Była naiwna, gdy sądziła, że zdołają przechytryć księcia. Że uda jej się przetrwać na dworze pomimo tego, że Bastian nabrał wobec niej podejrzeń. August bardzo się mylił, nie doceniając swego syna. Teraz jego pomyłka miała kosztować ją i Gabriela życie.

Bastian jednak nie sięgnął po szablę, nie próbował ich skuć ani nie wezwał straży, która przed świtem wyprawiałaby Lore na Wyspy Popielne. Odwrócił się tylko w stronę drzwi prowadzących do Cytadeli i poszedł korytarzem. Po drodze gasił kolejne świece w niszach z posągami. Po chwili odgarnął z twarzy kosmyk włosów i zerknął przez ramię na nich dwoje.

– Idziecie? – spytał jakby nigdy nic.

– Za nic – wycedził Gabriel przez zaciśnięte zęby. Po wystudiowanym szacunku, jaki okazywał księciu jeszcze kilka godzin wcześniej, nie było śladu. Pozostała tylko zimna jak lód wściekłość.

– Szkoda. – Bastian wzruszył ramionami. – A chciałem zabrać was do krypt. Choć nie od razu, ale po małym spacerze. – Oparł się ramieniem o ścianę i przesunął dłonią po zmierzwionych celowo włosach. Nie był ubrany ani do snu, ani jakby zamierzał zażywać rozpusty: miał na sobie luźną koszulę, ciemne spodnie i wysokie buty. Jego strój przypominał te, które nosili zwyczajni ludzie z miasta. – Pomyśl tylko, o ilu ciekawych rzeczach mogłabyś potem donieść mojemu ojcu i stryjowi.

Lore przełknęła ślinę. Gabriel w milczeniu zacisnął pięści.

– No więc – księżę wyszczerzył się w uśmiechu – pytam jeszcze raz: idziecie?

Na krótką chwilę zapadła cisza. Potem Gabriel lekko skinął głową.

– Świetnie. – Bastian ruszył dalej korytarzem, gasząc ostatnie świece.

Lore i Gabriel zrównali z nim krok. Ona czuła, jak wzbiera w niej niepokój, on kipiał bezgłośnym gniewem. Zostali przyłapani i żadne nie mogło być pewne, co zrobi z nimi teraz Bastian. Jeśli podejrzania króla były trafne – czy przekaże ich Kiryteańczykom? A może szantażem zmusi ich, by jako podwójni agenci donosili mu o działaniach Antona i Augusta?

Lore zerknęła ukradkowo na Gabriela. Już jej własna porażka była dla niej bolesna. Jeszcze gorsza okazała się jednak świadomość, że pociągnęła go za sobą.

Nagle poczuła ciepłą dłoń Gabriela na swojej dłoni. Mnich spojrział na nią wymownie kątem oka – i to jedno spojrzenie natychmiast dodało jej otuchy.

Nawet jeśli chłopiec, którego wskrzesiła, przebudził się, nikt nie mógł o tym wiedzieć ani zrobić mu krzywdy. Był chwilowo bezpieczny, nawet jeżeli w jakimś stopniu odzyskał świadomość. Przypominało to sytuację, w której musiałby przemocować w grobowcu. Lore nie miała najmniejszej chęci porzucać go w takich okolicznościach, ale zrobić cokolwiek mogła dopiero, gdy dokończą „spacer” z księciem.

Oczywiście pod warunkiem, że ten dotrzyma słowa.

Otwarte przez Bastiana drzwi trąciły wciąż śpiącego na posadzce krwawego. Wartownik poruszył się, ale się nie ocknął. Dalej pochrapywał cicho z głową opartą na ugiętych rękach.

– Naprawdę go załatwiłeś. – Bastian zerknął na Gabriela. – Musisz mnie tego nauczyć.

– To rozkaz? – warknął mnich.

– Pomyślmy – odparł Bastian. Przesząpił nad śpiącym gwardzistą i ruszył przed siebie korytarzem.

Prowadził Lore i Gabriela inną trasą niż ta, którą dotarli pod krypty. Po drodze minęli kilkoro dworzan chichoczących po kątach w złotawym blasku świateł. Przystojny mężczyzna o szkarłatnych włosach trzymający w ramionach kobietę skinął w stronę Bastiana, zapraszając go, by ten się do nich przyłączył. Księżę zbył go jednak machnięciem ręki.

Para nie wydawał się ani trochę speszona jego reakcją.

Lore zadrżała, gdy znaleźli się przy strzeżonych drzwiach prowadzących do ogrodów na tyłach pałacu – tych samych, którymi rano wyszli na nabożeństwo. Ale wartownicy ledwie zwrócili uwagę na Bastiana i nie zareagowali w żaden sposób, gdy ten pchnął drzwi, wpuszczając do wnętrza chłodne nocne powietrze. Byli najwyraźniej przyzwyczajeni widywać księcia o przeróżnych porach.

Wszystko to nie ukoło jednak nerwów Lore.

Bastian w milczeniu prowadził teraz ją i Gabriela przez ogrody. Szedł przy tym nie po bruku, lecz po trawie. Zmierzali w przeciwną stronę niż Lore podczas swojego wcześniejszego spaceru, ale i tak znaleźli się wkrótce w kolejnym udawanym lasku o sztucznie wytyczonych ścieżkach. Drzewa szemrały na wietrze, w powietrzu unosił się sosnowy zapach. Lato w Auverrainie oznaczało upalne dni, lecz zaskakująco chłodne noce.

Gabriel nagle przystanął.

– Dokąd właściwie idziemy? – spytał.

– W ciekawe miejsce – rzucił Bastian, nie wyjmując rąk z kieszeni i nie zwalniając zawadiackiego niemal kroku. – Skoro mojego ojca tak ciekawi, co robię w czasie wolnym, będziecie mieć dla niego świetną historyjkę. A wam dwojgu przyda się trochę rozrywki.

– Co, jeśli wcale jej nie chcemy? – spytała Lore.

Książę wyszczerzył zęby w uśmiechu. Przystanął, po czym z gracją podszedł do Lore. Zatrzymał się tuż przy niej. Jego ciemne włosy powiewały w nocnym wietrze. Pachniał czerwonym winem i kosztownymi perfumami.

– Myślę, Lore – zaczął łagodnym tonem – że chcesz właśnie tego. I nie wydajesz mi się kobietą, która wypiera się swoich pragnień.

– Nic o mnie nie wiesz – odparła.

Całe życie upłynęło jej na wypieraniu się tego, kim jest i czego chce. Do tego czuła się w tej chwili jak w potrzasku. Bastian stał zbyt blisko, kipiący złością Gabriel – również. Napięcie było nie do zniesienia.

Książę kolejny raz szeroko się uśmiechnął.

– Może, ale się dowiem – odparł, a Lore od razu zrozumiała, że to prawda. Dlaczego? Tego za nic nie potrafiłaby wyjaśnić. Coś uciskało ją w piersi, wygrywając wewnątrz niej złowieszcze nuty. Powietrze wokół ich trojga jakby stało się nagle gęstsze.

Gabriel cofnął się o krok, by wyrwać się sile ciężenia, którą odczuwali wszyscy troje. Podmuchy chłodnego wiatru poruszały jego krótkimi włosami. Mnich skrzyżował ręce na piersi, zadarł podbródek i wyprężył się, jakby chciał podkreślić, że jest od księcia minimalnie wyższy.

– Czy jeśli z tobą pójdziemy – zaczął, patrząc na Bastiana – wprowadzisz nas do krypt?

– Oczywiście, stary druhu. – Bastian odwrócił się i ruszył dalej. Kościelne mury odgradzające Cytadelę od reszty Dellaire majaczyły w mroku, rzucając długi cień na teren poniżej nich. – Ja wprowadzę was do krypt, a wy powiecie mi, co kombinuje mój ojciec. Wszyscy wyjdziemy z tego wygrani.

Gabriel i Lore znów wymienili ukradkowe spojrzenia. Próbowali porozumieć się bez słów, ale nie wyszło im to najlepiej. Ona nie dowiedziała się z jego wzroku niczego ponad to, że najchętniej połamałby kopniakami któreś z perfekcyjnie

przystrzyżonych drzewek. Jej wzruszenie ramion – choć miało oznaczać zgodę – sprawiło zaś tylko, że jego szczęki zacisnęły się jeszcze mocniej.

W podstawie muru umieszczono niewielki przepust. Służył do odprowadzania wody i chroniony był żelazną kratą. Póki nie znaleźli się tuż przy nim, trudno było go zauważyć. Był jednak dość szeroki, by mógł przedostać się nim dorosły mężczyzna. Bastian wsunął rękę za cholewkę i wyciągnął metalowy wytrych. Kilka ruchów wystarczyło, by zamek ustąpił. Kłódka z cichym brzękiem spadła na ziemię.

– Zanim wybierzemy się do krypt – odezwał się Bastian – dobrze zrobi wam obojgu mała przygoda.

Po tych słowach przykucnął, dał im znak, by podążali za nim, po czym zanurzył się w ciasnym otworze. Lore skrzywiła się, słysząc plusk.

Kolejny tunel, do jasnej cholery! I to tym razem pełen wody.

– Bawi się nami – mruknął Gabriel ledwie słyszalnym szeptem. Przelewająca się w nim złość sprawiała, że był jak płomień pośród zimnej nocy. – Czuję, jak to się skończy. Kiedy wyjawimy mu plan Augusta, zadźga nas i zostawi na śmierć w jakimś zaułku.

– Sam też nieźle radzisz sobie z nożem.

– Dziękuję, ale raczej nam to nie pomoże.

– Innego wyjścia i tak nie mamy – odparła Lore. Miała już zanurzyć się w przepuście, gdy poczuła na ramieniu rękę Gabriela. – Myślisz, że tak po prostu nam odpuści? – rzuciła, posyłając mu gniewne spojrzenie. – Że ot tak, pozwoli nam dalej robić swoje? Jeśli nie chcesz trafić na Wyspy Popielne, włącz ze mną do wody.

Przez chwilę patrzyli na siebie chłodno, w końcu jednak Gabriel ustąpił i cofnął wytatuowaną dłoń.

– W porządku – powiedział cicho, po czym jako pierwszy wszedł do przepustu.

Lore ruszyła za nim. Niemal natychmiast usłyszała szelest wody i poczuła, że jej podomka jest przemoczona. W tunelu było ciemno jak oko wykol i w pierwszej chwili zupełnie nic nie widziała. Gdy jej oczy przywykły już do mroku, celowo nie patrzyła w dół. Woląca nie wiedzieć, w jakim ścieku właśnie brodzi.

– W sumie to chciałbym zrozumieć. – Z ciemności dobiegł nagle głos Bastiana. Tak jakby wcale nie przerwali rozmowy. Zaraz dał się też widzieć błysk zapalniczki i twarz księcia zamajaczyła w mroku, oświetlana pomarańczowym żarem cygaretki w jego ustach. – Co właściwie mają z tym wszystkim wspólnego krypty?

– Dowiesz się, kiedy nas tam zaprowadzisz – odparła Lore, siląc się na śmiałość. – Jeśli aż tak cię to ciekawi, możemy pójść tam od razu.

– Negocjatorka... – rzucił Bastian, który zbliżał się właśnie do kraty po drugiej stronie przepustu. Było już widać sączące się zza niej słabe światło latarni gazowych.

Księżę raz jeszcze sięgnął po wytrych i zabrał się do otwierania zamka.

– Jestem naprawdę ciekaw, co tam jest grane, ale byłoby z mojej strony nierozsądne nie poznać najpierw odpowiedzi na kilka innych pytań.

– Nie zamierzałeś czasem i tak wymusić na nas odpowiedzi szantażem? – warknął Gabriel.

Bastian obejrzał się na niego z błyskiem w oku i jadowitym uśmiechem.

– Nie doceniasz się, Gabrielu. Kto jak kto, ale ty umiałbyś wcisnąć mi garść półprawd. Uczyłeś się w końcu od mistrza.

W oczach Gabriela znów mocniej zatliła się wściekłość. Bastian tymczasem skinął zapraszająco w stronę Lore.

– Panie przodem – powiedział, po czym bez słowa chwycił ją w talii i przyciągnął ku sobie. Znaleźli się tak blisko, że znów czuła na włosach jego oddech. – Przepust wychodzi na ulicę prowadzącą do doków – odezwał się szeptem, jakby wyjawiał jej sekret. – Lepiej tu nie pobłądzić. W okolicy kręcą się różne podejrzane typy. Ale to już przecież wiesz. – To powiedziawszy, podsadził Lore na wysokość kraty.

Mur był w tym miejscu bardzo śliski, więc musiała chwycić się prętów, by nie zsunąć się z powrotem do niekoniecznie czystej wody.

Wylot przepustu znajdował się na mało uczęszczanej bocznej uliczce. Lore zadrżała, kiedy słony zimny wiatr przycisnął mokrą podomkę do jej nóg, szybko jednak podciągnęła ją nieco i mocniej przewiązała się w talii paskiem. Różowa tkanina nie była najszcześniejszym wyborem, gdy chciało się po nocy wymykać z Cytadeli przez wodny spust...

Lore rozejrzała się i natychmiast rozpoznała uliczkę, na której się znalazła. Kiedyś dostarczyła w to miejsce wilcze jagody zaszyte w starym płaszczu Mari. Było to jedno z pierwszych zleceń, które pozwolono jej wykonać samodzielnie.

Ale to przecież już wiesz.

Poczuła nagle nieprzyjemny skręt żołądka.

Po chwili z wylotu wyłonił się Bastian, który jakimś cudem nie wyglądał wcale dużo gorzej niż przed wejściem do przepustu. Sięgnął do kieszeni, by wyciągnąć z niej kawałek białego lnu i trzy czarne maseczki na oczy.

– Weźcie – powiedział, podając dwie z nich Lore i Gabrielowi. – Przydadzą się wam.

– Znów idziemy na bal maskowy? – burknął mnich. Myśl o kolejnym takim wyjściu musiała być dla niego równie kusząca, co wizja odgryzania sobie palca.

– O nie. – Bastian uśmiechnął się szyderczo. – Tak chodzi się na walki. Są formalnie nielegalne, więc nikt nie chce dać się rozpoznać. Ciesz się, że nie każę wam zakładać na głowy worków. Wielu możliwych tak robi.

Patrząc wilkiem na Bastiana, Lore zawiązała sobie maseczkę na oczach. Książę zrobił to samo, następnie zaś sięgnął po len i zaczął owijać sobie nim dłonie. Jak pięściarze...

Na Krwawiącego Boga!

Gabriel z chmurnym wyrazem twarzy przyjął od Bastiana maskę, ale nie odezwał się ani słowem. Popatrzył na niego wilkiem, po czym natychmiast założył ją, ukrywając pod materiałem przepaskę na swoim oku. Nie wyglądał teraz aż tak bardzo jak ktoś, na kogo życiu długim cieniem położyły się przemoc i ból.

Bastian zaklaskał w dłonie.

– Nie ma to jak spacer odpływem burzowym, co? – rzucił przekornie. – Gotowi? No to idziemy. – Po tych słowach książę ruszył przed siebie uliczką.

Lore i Gabriel, wymieniwszy wymowne spojrzenia, poszli za nim.

– Widziałeś jego ręce? – Lore z rozmysłem ściszyła głos. – Owinął je. Prowadzi nas na walki i wygląda na to, że sam zamierza się bić.

– Cudownie – mruknął Gabriel. – Ostatnie, co chce mi się teraz robić, to ratować Bastianowi tyłek.

– Taki jesteś pewien, że przegra? – Wzruszyła ramionami. – Mnie wygląda na niezłego pięściarza.

– Ach tak? – W tonie Gabriela słychać było wyraźną irytację, Lore więc posłała mu gniewne spojrzenie. – No cóż, mam nadzieję, że się mylisz. Jeśli ktoś go znokautuje, to może nie będzie pamiętać ostatniej godziny.

– Za to nie wprowadzi nas do krypt.

– Zawsze możemy poprosić Antona...

– Nie. – Na samą myśl o tym Lore instynktownie zacisnęła pięści. – Jeśli z ciałem tego chłopca cokolwiek się stało, nie chcę, żeby o tym wiedział.

Gdyby Anton i August zobaczyli, że wydarzyło się coś niepożądanego, łatwo mogliby przestać postrzegać moce Lore jako atut, a zacząć w nich widzieć zagrożenie.

A wtedy czekałaby ją cela. Albo i szafot, gdyby uznano ją za zbyt niebezpieczną.

Gabriel zacisnął wargi i po chwili skinął głową. Bastian tymczasem kroczył beztrudnie naprzód, jakby ani trochę się nie obawiał. Musiał bywać tu regularnie. Lore zastanawiała się, czy był dobrym zawodnikiem. Przegrani w pięściarskich walkach w dokach zwykle nie wracali po więcej. Ich porażka pozostawiała też zazwyczaj trwałe ślady na ciele.

A co będzie, jeśli ktoś ją rozpozna? Co, jeśli umyte włosy, wypiełgnowana twarz i kosztowna, choć mocno już niemodna podomka nie ukryją dostatecznie tego, kim naprawdę jest? Jej wygląd nie zmienił się przecież aż tak bardzo. Znała za to niejedną osobę, która bywała na walkach. Pozostawało jej się nie wychylać. Musiała trzymać się Gabriela i Bastiana, unikać kontaktu wzrokowego i starać się nie zwracać na siebie uwagi.

Wychodząc z bocznej uliczki, wyglądali, jakby zmuszono ich do maszerowania w orszaku. Bastian ochotczy kroczył na przedzie, Lore apatycznie podążała za nim, a pochód zamykał patrzący na wszystko wilkiem Gabriel. U wylotu ulicy, przy samym nabrzeżu, stały dwa sypiące się budynki. Zatknięte na nich latarnie gazowe rzucały na czarną wodę pomarańczowawe światło. Obok, w pustym oświetlonym doku gęstniał pomалу tłum, który czuć było piwem i potem. Każdy tutaj miał na sobie maskę – niektóre zakrywały jedynie fragment twarzy, inne nie pozostawiały ani jednego odsłoniętego skrawka. Lore, przypatrując się kolejnym mijanym osobom, zastanawiała się, czy któraś z nich mogła widzieć rano w sanktuarium.

– Trzymaj się blisko mnie – szepnął Gabriel, zrównując krok z Lore. Bastian tymczasem wyraźnie wysforował naprzód.

Lore zrobiła, jak prosił Gabriel. Z rosnącym mnichem u boku czuła się o wiele różnie.

Tymczasem przed Bastianem krocącym w stronę ogrodzonego belami siana ringu rozstępował się tłum. Nie było w tym jednak nabożności, która zdradzałaby, że ktokolwiek z obecnych domyśla się, iż ma przed sobą księcia. I nic dziwnego. Tu, poza murami, rodzina królewska była czymś niemal abstrakcyjnym. Każdy wiedział o jej istnieniu, ale jej wpływ na codzienne sprawy był znikomy. Mało kto miał czas, by myśleć o koronowanych głowach, a jeśli już to robił – to z obojętnością lub wręcz pewną dozą wrogości.

Nikt ze zgromadzonych nie mógł wiedzieć, jak wygląda Bastian. Zresztą ten – w prostym stroju, z owiniętymi pięściami, w masce i z zarostem na twarzy – niczym nie odróżniał się od reszty zebranych. Owszem, mogliby rozpoznać go przychodzący

tu incognito arystokraci. Lecz nikt nie odezwał się do niego choćby słowem, a sam Bastian kroczył w stronę ringu z taką pewnością siebie, jakby robił to już dziesiątki razy.

Książę Słońca mógł robić, co zechce. Skoro jego zachcianką było zbierać łomot od plebejuszy, nikt nie śmiałyby go powstrzymać lub demaskować.

Bastian zdjął koszulę i puszczając oko, podał ją rozentuzjzmowanemu mężczyźnie stojącemu przy samym ringu. Książę był równie umięśniony jak Gabriel. Na jego ciele widać było przy tym odcinające się odcieniem od jego karnacji blizny i kilka niewygojonych w pełni, fioletowawych sińców.

Gabriel i Lore zatrzymali się pośród tłumu, kawałek od ringu. Nikt ze stojących obok nie zwracał na nich większej uwagi. Lore z ulgą stwierdziła też, że nie widzi w pobliżu nikogo znajomego.

W tym momencie jednak jej wzrok padł na przeciwnika księcia.

W przeciwległym narożniku ringu rozgrzewał się zwrócony do nich plecami mężczyzna. Nie miał już na sobie koszuli, a Lore natychmiast rozpoznała jego podkreśloną muskulaturę i charakterystyczne zmierzwiłone włosy.

Michał.

Wydała z siebie przyduszony jęk i natychmiast skryła się za plecami Gabriela.

– Coś się stało, Lore? – Mnich rozejrzył się błyskawicznie, jakby przeoczył wcześniej jakieś bezpośrednie zagrożenie.

Gdy Gabriel zwrócił się w jej stronę, Lore zerknęła pomiędzy jego ręką i torsem w kierunku ringu. Bastian przypatrywał jej się przymrużonymi oczami. Wyglądał, jakby czekał tylko, aż Michał się odwróci.

No tak, oczywiście! Podejrzewał, że Lore jest szpiegiem, więc nie zamierzał wierzyć jej na słowo ani nawet wyciągać z niej prawdy groźbą. Uknuł więc misterny plan, który pozwoli mu dowiedzieć się, kim ona naprawdę jest. Plan, dzięki któremu potwierdzi, że ma przed sobą nie tylko szpiega, ale co ważniejsze – dziewczynę z placu targowego. Nekromantkę, która wskrzesiła konia. Michał wiedział już, co potrafi Lore. Książę, który przyglądał jej się teraz jak jastrząb kołujący nad myszą, musiał tylko zobaczyć, jak ona zareaguje na jego widok.

Lore przygryzła wargę i przymusiła się, by stać prosto. Odpowiedziała księciu spojrzeniem mającym sugerować, że wszystko jest w jak najlepszym porządku.

– Nie – odpowiedziała Gabrielowi, który wciąż wypatrywał źródła zagrożenia. – Nic się nie stało.

Tymczasem Bastian z nieprzeniknionym wyrazem twarzy wciąż świdrował ją spojrzeniem swoich złotobrazowych oczu. Po chwili uśmiechnął się, ale nie jak zazwyczaj – figlarnie i zawadiacko. Tym razem jego uśmiech był jak ostrze noża. Lore mogła udawać, że jest inaczej, ale on wiedział już, że zadał celny cios.

– Znów tu przyszedłeś? – odezwał się Michał do księcia. Z uniesionymi pięściami przyjął postawę do walki, ale w jego głosie nie było wrogości, raczej cień sympatii. – Nie masz już dość?

– Mówisz, jakbyś nie oberwał w dwóch ostatnich rundach. – Bastian, również przybrawszy postawę, zaczął krążyć po ringu jak drapieżnik. W odróżnieniu od Michała nie markował ciosów, tylko czyhał na okazję.

– Miałeś fart – rzucił Michał i wyprowadził cios w twarz księcia. Ten, śmiejąc się, w porę wykonał unik.

Obaj, lekko podskakując, krążyli po ringu. Poruszali się z zabójczą wprawą, ale w ich starciu nie było nic brudnego. Walczyli bez złośliwości, a wymiany ciosów były niemal jak transakcja. Bastian uchylił się przed kolejnym sierpowym Michała i natychmiast wyprowadził cios na tył jego korpusu. Michał zachwiał się i przykucnął, ale nie zwolnił tempa – błyskawicznie wykorzystał niską pozycję, by zaatakować kolano księcia. Widzowie podnieśli okrzyk, bo Bastian o mało nie stracił równowagi. Zdołał jednak ustać i prowokacyjnie puścił oko do Michała, skinięciem zakrwawionych palców zachęcając go jednocześnie do kolejnego ataku.

– Jak tak dalej pójdzie, będziemy tu siedzieć całą noc – mruknął ponuro Gabriel. – Albo i dłużej, jeśli któryś w końcu weźmie się do roboty i znokautuje drugiego.

Michał wciąż krążył wokół Bastiana, ale jego ruchy stały się bardziej chaotyczne. Zmęczenie zaczynało dawać mu się we znaki. Płacił cenę za markowanie ciosów i wszystkie niepotrzebne popisy. Lore przypomniała sobie, że trochę podobnie zachowywał się w łóżku, kiedy silił się czasem na zupełnie zbędne akrobacje.

Bastian z kolei wyglądał na niemal rozluźnionego. Z łatwością unikał ciosów, sam zaś wyprowadzał kolejne. Ale i jego ciało lśniło od potu, a w kąciку ust widać było rozcięcie po celnym uderzeniu Michała.

Księżę zerknął przez ramię i raz jeszcze spojrzął na Lore. Ta widziała przed nim nieostrą sylwetkę Michała szykującego się do zadania ciosu. Tłum krzyczał, a trzymający koszulę księcia młody mężczyzna niemal podskakiwał. Bastian nic sobie jednak nie robił ze wszystkich tych ostrzeżeń. Ze wzrokiem wciąż utkwionym w Lore otarł tylko wierzchem dłoni krew z rozciętej wargi.

„Mam cię” – poruszył bezdźwięcznie ustami.

W tej samej chwili pięść Michała z impetem trafiła go w głowę. Książę Słońca padł na deski.

Zaległa cisza. Michał, niemal zdziwiony, spojrzął najpierw na swoją pięść, a potem powiódł wzrokiem po tłumie zebranych. Wyraźnie starał się wypatrzeć, co też mogło odwrócić uwagę jego rywala.

I niemal natychmiast mu się udało.

– Lore? – odezwał się, robiąc wielkie oczy.

Z jego ust padały kolejne pytania, ale wszystkie zostały całkowicie zagłuszone przez okrzyki rozentuzjasmowanych kibiców. Ludzie ruszyli szturmem w stronę ringu, tratując otaczające go bele siana. Każdy chciał osobiście pogratulować zwycięzcy. Michał przy wtórze wiwatów został zaraz porwany na ręce, ale na jego twarzy wciąż malował się wyraz zdumienia.

Stojący obok Lore Gabriel miał podobną minę.

– Na Krwawiącego Boga i Pogrzebaną Boginię – zaklął, wyrrywając się z szarżującego tłumu. – Kto to był?

– Stary znajomy – usłyszeli nagle Bastiana, który podkradł się do nich bezszelestnie. Książę miał zakrwawioną twarz, ale się uśmiechał. Był to znów ten sam ostry jak brzytwa uśmiech, który aż przyprawiał Lore o ciarki.

Bastian trzymał w rękach koszulę. Nie założył jej jednak, tylko jak ręcznikiem otarł nią z siebie krew.

– A teraz wybacz, Gabrielu – rzucił, po czym chwycił Lore mocno za ramię i pociągnął za sobą.

Nie miała innego wyjścia niż pójść z nim – i po chwili oboje zniknęli w mroku. Wołający za nią Gabriel został gdzieś z tyłu, odcięty przez wiwatujący tłum.

Rozdział 19

Każdy sekret to płomień, a każdy płomień kiedyś gaśnie.

Przysłowie auverraińskie

Lore niemal natychmiast próbowała się uwolnić. Szarpała się w żelaznym uścisku Bastiana, miotając przekleństwa, których z pewnością nie znają kuzynki książąt. Nie było już po co troszczyć się o pozory. Michał ją rozpoznał, a tym samym Bastian wiedział, kim była.

Kim i czym.

Lore miotała się i usiłowała wyswobodzić, ale księżę trzymał ją mocno. Nie zwalnając kroku, prowadził ją ku wylotowi kolejnego ciemnego zaułka. Dobiegające zza ich pleców okrzyki tłumu stawały się coraz cichsze.

Lore nie nosiła przy sobie sztyletu, a gdy szło o siłę mięśni, nie miałyby z księciem żadnych szans. Pozostawał jej tylko Mortem. Nie wiedziała za bardzo, jak się nim teraz posłużyć – nie było w pobliżu żadnego ciała, które mogłaby wskrzesić, a i to na niewiele by się chyba zdało. Ale coś przecież *musiało* dać się zrobić.

Wstrzymała oddech i odczekała, aż zacznie widzieć w odcieniach szarości, a palce jej dłoni spowije nekrotyczny chłód. Nic takiego się jednak nie stało. Zamiast tego pojawiła się iskra. Błysk gdzieś za oczami i dotyk rozgrzanego powietrza – tak gorącego, że przez ułamek sekundy Lore obawiała się oparzenia. Cały ten natłok wrażeń zbiegł się ze znanym jej dobrze odczuciem skumulowanej pustki. Wokół było aż gęsto od Mortemu. Dwie energie ścierały się ze sobą, jakby chciały rozerwać ją na pół. Bastian się zatrzymał. Chwył jego palców na ramieniu Lore nie zelżał, ale w pewnym momencie wyczuła ich skurcz. Ten zaraz ustąpił, jakby księżę zdołał zdławić w sobie atak paniki.

Wciąż czuła wokół Mortem. Ale nie była w stanie go zobaczyć ani tym bardziej ukierunkować. Wzrok nie podpowiadał jej, gdzie przebiega granica pomiędzy żywą i martwą materią. Nie było również smug, które mogłaby ku sobie przyzwać. Zupełnie jakby coś ten Mortem od niej odpychało! Jakby otaczała ją niewidzialna bariera uniemożliwiająca jej kierowanie nim.

Lore, odkąd tylko pamiętała, nienawidziła swojego daru. Teraz jednak poczuła się bez niego jak bez nogi.

Cokolwiek się właśnie działo, zdawało się ani trochę nie przeszkadzać księciu. Bastian wciągnął ją w głąb ciemnej, pełnej śmieci uliczki i przycisnął do czarnego od sadzy ceglanego muru. Szarpnął ją za ramię i odwrócił twarzą ku sobie – była teraz uwieczona pomiędzy ścianą a jego wciąż nagim torsem. Stali tuż naprzeciw siebie, ale ich ciała się nie stykały. Lore raz jeszcze spróbowała przyzwać Mortem, ale na próżno. Wystarczyło, że książę zacisnął dłoń na jej ramieniu, a zew śmierci natychmiast gasł.

Co takiego Bastian z nią robił?!

– Dostyc tego! – warknął książę, odrzucając na bok trzymaną w drugiej dłoni zakrwawioną koszulę. Po arogancji nie został nawet ślad. Spojrzenie jego oczu było ostre niczym szpice bagnetów. – Zamierzałem poczekać z pytaniami, póki nie będziemy w krypcie. Ale skoro wiem już, że to ty wskrzesiłaś Claude’a, masz powiedzieć mi wszystko teraz.

– Konika – poprawiła go Lore. W jej głowie panował kompletny zamęt i nie potrafiła wydusić z siebie nic innego, co miałyby choć odrobinę sensu.

– Tak, Lore. Wiem, że to był koń.

– Nie koń, Konik. Tak ma na imię. Nie nazywa się Claude.

Bastian, kręcąc głową, wyprostował się. Ich ciała znalazły się teraz jeszcze bliżej siebie. Książę puścił ramię Lore i oparł dłoń o mur na wysokości jej głowy.

– Możesz mówić sobie na tego cholernego konia, jak ci się podoba – burknął. – Ja chcę wiedzieć, dla kogo pracujesz.

– Dla Augusta – odpowiedziała słabym, zaleknionym głosem. Brzmiała tak, jakby jej gardło nie było w stanie wydobyć z siebie pełnego dźwięku. – Przecież wiesz.

– Tylko dla niego? – spytał Bastian. – Nie płacą ci też czasem Kiryteańczycy? Wydawałaś się bardzo zainteresowana tym, ile o nich wiem.

– Nie, nie płacą mi. Pracuję tylko dla twojego ojca. – Lore pomału się uspokajała. Nie wyglądało na to, by Bastian zamierzał ją zabić. W każdym razie nie od razu. – August uważa, że to ty szpiegujesz dla Kiryteańczyków. Dlatego próbowałam wyciągnąć z ciebie coś na ich temat.

Książę spojrział na nią złowrogo. Kosmyk przepoconych włosów zsunął mu się na twarz.

– Cóż... – odezwał się po chwili. – Co za ironia losu, prawda?

Lore, wciąż uwięziona pomiędzy murem a księciem, z determinacją wysunęła naprzód żuchwę. Nie wiedziała, czego się spodziewać po szerszym, prawdziwszym Bastianie, którego miała przed sobą. Cały niemalże promieniował gniewem – takim, który zazwyczaj się ukrywa. Teraz, gdy nie dusił go w sobie, była szczerze zdumiona, że nie dostrzegła go wcześniej. Że tak łatwo nabrała się na Bastiana żartownisia, który uwielbiał się droczyć i wymądrzać. Na Bastiana, o którym sądziła, że bez większych trudności da sobie z nim radę.

Teraz miała przed sobą inną postać – mężczyznę pełnego wściekłości. I zupełnie nie wiedziała, jak się z nim uporać. Znowu dopadło ją poczucie ciężaru sytuacji. To samo, które udzieliło się jej, gdy wchodzili z Gabrielem do przepustu pod murem. Kolejny raz miała wrażenie, że zmierza ku czemuś nieuniknionemu.

Księżę cofnął się nieco, jednak nie na tyle, by miała szansę na ucieczkę. Jego dłonie wciąż oparte były o mur powyżej jej ramion.

– Oto, co masz zrobić – odezwał się po chwili. – Najpierw powiesz mi, po co *dokładnie* mój ojciec cię tu ściągnął. A potem mi wyjaśnisz, jakim, kurwa, cudem potrafisz przepuścić przez siebie więcej Mortemu niż wszyscy mnisi razem wzięci.

– Miałam wypadek. – Lore próbowała zasłaniać się tą samą wymówką co podczas rozmowy z Gabrielem. – Jeszcze kiedy byłam dzieckiem.

Księżę z drapieżnym uśmiechem przekrzywił głowę.

– O nie, Lore – zaczął. – Widzę, że się nie zrozumieliśmy. Widzisz, tak się składa, że wiem, kim byłaś. Roznosiłaś z Michałem truciznę. Wiem też, że robiłaś w grupie za psa łańcuchowego, bo z katakumbami łączy cię jakaś dziwna więź. To niesamowite, ile można się dowiedzieć od ludzi, jeśli tylko jest się gotowym słuchać. A ja lubię słuchać.

– Po to przychodzisz tu zbierać po gębie? – wycedziła Lore. – Żeby słuchać?

– Przychodzę tu, bo kiedy jestem w Cytadeli, mam ochotę wykluć sobie oczy – odpowiedział Bastian. – Słuchanie to tylko dodatek. Tak dowiedziałem się o wymarłych wioskach i o tym, jak niskie podatki płacą możni w porównaniu ze wszystkimi innymi. Tutaj usłyszałem też, że nekromantka, która wskrzesiła konia na placu targowym, to zwykła dziewczyna z miasta. Zbieranie po gębie, jak to pięknie ujęłaś, to dla mnie jedyny sposób, żeby się czegoś dowiedzieć. Na ojca nie mam co w tych sprawach liczyć.

Lore poczuła na ciele zimny dreszcz. Sama nie wiedziała, czy to ze strachu, czy przez mokrą podomkę.

– Nie wiem oczywiście wszystkiego – ciągnął książkę. Opuścił przy tym dłoń i sięgnął po coś za cholewkę buta. – Ale dowiedziałem się dość, by być niemal pewnym, że mocy władania Mortemem nie posiadaś w normalny sposób. Zawdzięczasz ją czemuś znacznie ciekawszemu niż wypadek w dzieciństwie. Zadałem ci pytanie i oczekuję szczerzej odpowiedzi.

Lore nie była pewna, co książkę wyciągnął z za cholewki, ale tajemniczy przedmiot w jego dłoni połyskiwał w słabym świetle jaśniej niż jego złowieszczo wyszczerzone zęby. Dopiero po chwili zorientowała się, że to ostrze sztyletu, które Bastian specjalnie obrócił tak, by mogła dostrzec jego blask.

– Spróbujmy jeszcze raz – odezwał się książkę po chwili. – Tym razem zaczniemy od pytań o mojego ojca. Widzę, że łatwiej ci się na nie odpowiada. – Zbliżył twarz do twarzy Lore tak bardzo, jakby zamierzał ją pocałować, a jednocześnie przesunął ostrzem po jej jedwabnej podomce. – W jakim celu, poza szpiegowaniem, ściągnął cię do Cytadeli?

– Chodziło o wioski. – Lore mogłaby kolejny raz spróbować skłamać, ale po co? Bastian wciąż co prawda nie robił wrażenia kogoś, kto chce ją zabić, ale gdy rozmówca ma w ręku sztylet, lepiej jednak mówić prawdę. Gabriel próbował ją ostrzec.

Właśnie, Gabriel! Lore się łudziła, że miał dość rozumu, by za nią nie pójść, ale nie ufała własnym nadziejom.

– August i Anton próbują ustalić, co się stało w tych wioskach – kontynuowała, przełknawszy ślinę. – Chcą, żebym wskrzeszała zmarłych i pytała, co ich spotkało.

– Mają już jakieś podejrzenia? – Jeśli Bastiana zaskoczyło to, jakie zadanie powierzył Lore jego ojciec, to nie dał tego po sobie poznać. – Spodziewam się, że tak.

– Myślą, że Kiryteańczycy posłużyli się tam magią żywiołów pochodzącą od któregoś z pomniejszych bogów – odpowiedziała Lore. – Podejrzewają też, że współpracujesz z nimi.

Z twarzy księcia zniknął drapieżczy wyraz. Wyglądał, jakby coś uleciało z niego nagle, by ustąpić miejsca czemuś innemu. Nie było to poczucie winy, to wydawało się zbyt proste. Lore miała wrażenie, że Bastian poczuł się... niemal zraniony.

– No tak, oczywiście – prychnął cicho. Nie zabrzmiało to jednak ani trochę jak stłumiony wybuch śmiechu. – To dlatego miałaś trzymać się blisko mnie, tak?

Potwierdziła skinieniem głowy. Bastian luźno trzymał sztylet w dłoni, prawie jakby o nim zapomniał. Ale Lore *nie* zapomniała.

– Kogo my tu mamy... – dał się nagle słyszeć nowy, wysoki i skrzeczący głos.

Bastian przewrócił oczami.

– Cudownie – mruknął pod nosem.

Lore oderwała wzrok od ostrza i przyjrzała się nieznajomemu. Był nim drobny biały mężczyzna w postrzępionych ubraniach. Miał posiniaczone ręce i strupy po jednej stronie twarzy. Nie wyglądał zbyt groźnie. Co innego stojący za nim zwalisty kompan. Ten robił przerażające wrażenie. Miał przy tym szkliste spojrzenie i spąsowiałą twarz. Widać było, że niedawno przyjął porcję trucizny.

– Panowie – odezwał się Bastian. Ręką trzymającą nóż wykonał uprzejmy gest, podczas gdy drugą wciąż trzymał opartą o mur. – Szanuję waszą przedsiębiorczość, ale zapewniam, że ani ja, ani moja przyjaciółka nie mamy nic cennego do zaoferowania.

– Lepiej dla ciebie, żeby to nie była prawda. – Drobny mężczyzna rozłożył przepaszająco ręce. – Inaczej nasz pracodawca będzie jeszcze bardziej niezadowolony, niż już jest.

– Przegrałeś – odezwał się większy z mężczyzn, postępując o krok naprzód. Łatwiej było teraz zauważyć blizny na jego twarzy i opuchliznę na uszach, pamiątkę po latach ulicznych walk. Lore i Bastian wciąż mieli na sobie maski, ich rozmówcy zaś nie, choć przy ich wyglądzie nie byłoby to złym wyjściem. – Przegrałeś, a wyszedłeś bez płacenia.

– Zagapiłem się. – Ton Bastiana był beztroski, ale jego palce pewnie objęły rękojeść sztyletu. Znów, jak w ringu, przybrał pozycję spokojnego wyczekiwania. – Miałem pilną sprawę do załatwienia, ale zapewniam, że opłacę wszystkie należności. – Kącik ust księcia drgnął. – Jak rozumiem, obstawiliście przeciwko mnie? – Mówiąc to, przesunął się pomału i niby obojętnie, tak aby swoim ciałem odgrodzić Lore od obu mężczyzn.

Nie posądzałyby go o taką opiekuńczość. Naprawdę coraz trudniej było jej objąć rozumem Bastiana Arceneaux.

– Nie będziesz się musiał fatygować – odparł mężczyzna z bliznami. Na jego ustach malował się niepokojący uśmiech. – Odbierzemy należność od razu.

– Nie mogło być za prosto... – mruknął Bastian.

W tym samym momencie pięść mężczyzny wystrzeliła w stronę jego twarzy. Książę zrobił unik, uginając i skręcając kolano, natychmiast uderzył napastnika w plecy podstawą dłoni. Ten jęknął, ale nawet się nie zachwiał i zaatakował Bastiana z innego

kąta. Przyjęta niedawno trucizna ani trochę nie spowalniała jego ruchów. Lore wzdrygnęła się, widząc, jak wyprowadza potężny cios kolanem – na szczęście o włos minął podbródek Bastiana. Książę cały czas miał w ręku nóż, ale celowo starał się go nie używać. Najwyraźniej wolał nie korzystać z broni, póki nie będzie do tego zmuszony.

Lore zauważyła jednak również inny blask niż połyskiwanie ostrza. Może to półmrok i jej przerażony umysł płatały jej figle, ale była niemal pewna, że ruchomej pięści księcia towarzyszą złote smugi. Tymczasem jej uwagę odwrócił od nich srebrny blask drugiego ostrza. Mężczyzna z bliznami również wyciągnął zza pasa sztylet. Lore miała wrażenie, że Bastian tego nie zauważył, i chciała go ostrzec. Ledwie jednak otworzyła usta, poczuła potężne uderzenie w skroń. Przed oczami zobaczyła gwiazdy. Człowiek z bliznami wymierzył jej cios ręką sztyletu.

Lore osunęła się na kolana, uderzając boleśnie o szorstki bruk. Tuż po tym poczuła na karku coś chłodnego i ostrego, a między jej łopatki trafił but.

Leżała przyciśnięta do ziemi. Czas zwolnił. Dzwoniło jej w uszach, co jednocześnie tłumilo dźwięki i czyniło wszystko dziwnie wyraźnym. Nieraz ryzykowała kalectwo czy nawet utratę życia. Lecz nigdy nie była w takim położeniu jak teraz – z ostrzem noża przy szyi i praktycznie bez szans na ratunek. W palcach zaczynała czuć mrowienie, a przytknięty do jej skóry czubek sztyletu niemal wibrował Mortemem.

Wciąż jednak nie była w stanie pochwycić go i nad nim zapanować.

Spojrzenia jej i Bastiana się spotkały. Lore sama nie wiedziała, czy patrzy na niego błagalnie, czy prowokacyjnie. Spytał ją, po co została sprowadzona do Cytadeli i czego chciał jego ojciec. I odpowiedzi na te pytania uzyskał. To one się dla niego liczyły, o całą resztę pytał wyłącznie z ciekawości, a chęć jej zaspokojenia to zbyt mało, by teraz uratować życie Lore. Nie w tak dogodnych dla siebie okolicznościach. Miał przecież przed sobą doskonałe wytłumaczenie jej śmierci – zbira przyciskającego jej nóż do szyi. Mógł pozbawić dziewczynę życia, nawet jej nie dotykając.

– Kasa za przegraną to za mało – zacharczał mężczyzna z bliznami i mocniej przycisnął ostrze do skóry Lore. – Zapłacisz podwójnie, bo się rzuciłeś. A ja kupię sobie za to piękny zapas wilczych jagód.

Lore widziała po oczach Bastiana, jak ten kalkuluje. Jak waży w myślach korzyści i straty.

Po chwili książę sięgnął do kieszeni, a ułamek chwili jego nieuwagi wystarczył, by niższy mężczyzna wymierzył mu cios w brzuch. Bastian zgiął się wpół, wysuwając

przy tym dłoń naprzód. W półmroku zalśnił jego złoty sygnet.

– Z łaski swojej – odezwał się książę, który jakimś cudem niemal nie stracił tchu. – Puśćcie moją przyjaciółkę.

Drobny mężczyzna na widok sygnetu pobladł.

– Milo, puść panią – rzucił natychmiast do rosnącego kompana.

Ten był jednak zupełnie niezrażony.

– W dupie mam, kim jest – odparł ostro. – Wisi mi kasę, a ja jestem bez grosza.

Czując na skórze ukłucie, Lore nerwowo wciągnęła powietrze.

Bastian wyprostował się, po czym przeskoczył na drugą stronę zaułka i błyskawicznie przytknął ostrze swojego sztyletu do tętnicy Mila, jednocześnie odciągając jego głowę za włosy do tyłu. Powstał w ten sposób obłąkańczy ciąg grózb: sztylet księcia na gardle Mila, nóż Mila na karku Lore...

– Jestem Księciem Słońca Auverrainne, pomazańcem Apolliusza – syknął Bastian. – Zrobisz, co mówię, i puścisz moją przyjaciółkę.

Na chwilę zapadła cisza, po czym Milo jakby skarłał. Po jego złowieszczej zwalistości nie było nagle śladu. Bastian bez trudu pchnął go za ramię w dół i zmusił do przyklęknięcia obok drobniejszego towarzysza.

Lore próbowała uspokoić oddech i pomału usiadła. Nogi wciąż drżały jej za bardzo, by mogła wstać. Niewielkie rozcięcie na szyi było jak piekące włókno bólu.

– Nie chciałem po niego sięgać – mruknął Bastian, nie patrząc na Lore i chowając sygnet do kieszeni. Wokół jego dłoni nie było już widać żadnych złotych smug. Musiały być efektem gry świateł i złudzeniem przerażonego umysłu Lore. Bo czym by innym?

– Wybacz, wasza wysokość. – Drobny mężczyzna wyglądał na przerażonego. I Milo pochylił teraz głowę, ale Lore zdołała dostrzec jego wściekłe spojrzenie. – Nie wiedzieliśmy. Nie mieliśmy pojęcia...

– I najlepiej będzie, jeśli tak zostanie – westchnął Bastian. – Co do należności, zamierzałem opłacić je... po krótkiej nieobecności.

Książę przekrzywił lekko głowę i spojrzał na Lore. Ta była wciąż tak wstrząśnięta, że potrafiła tylko tępo się na niego gapić. Uratował ją! Miał doskonałą okazję, by się jej pozbyć, nie brudząc sobie rąk, a tymczasem... ocalił jej życie.

Co, do wszystkich piekieł, miała teraz o nim myśleć?

Książę tymczasem zwrócił się do rzezimieszków.

– Tak się pechowo składa, że chyba już tu jednak nie wrócę – kontynuował. – Byłbym zatem zobowiązany, gdybyście zachowali dyskrecję. – Tu księżę posłał im swój ostry, drapieżczy uśmiech. – Jeśli dowiem się, że po mieście krążą plotki, będę wiedział, czyja to sprawka. Rozumiemy się?

Obaj mężczyźni przytaknęli, a gdy Bastian ruchem podbródka dał im znać, że mają mu zejść z oczu, rzucili się przed siebie niemal na wyścigi. U wylotu uliczki Milo ostatni raz obejrzał się do tyłu, ale jego twarz nikła w mroku. Potem sam zniknął na dobre.

– Można by powiedzieć, że im się upiekło... – odezwała się po chwili Lore ochrypłym głosem, rozmasowując kark.

– Możesz to nazwać wielkodusznością. – Księżę pomału zwrócił się w jej stronę. Dolatujące z głównej ulicy słabe światło latarni gazowych rzucało na jego twarz czerwonawą poświatę. – Za to ty wciąż nie odpowiedziałaś mi na jedno pytanie. – Wyciągnął do niej dłoń.

Lore nie zamierzała pytać księcia, dlaczego gotów był poświęcić swoją anonimowość w imię ratowania jej życia. Gdyby jednak się na to zdecydowała, spodziewała się, że powodem okaże się właśnie to: niezaspokojona ciekawość i chęć poznania odpowiedzi na wszystkie zadane pytania. Sama nie była pewna, czy ufać temu przeczuciu.

Pozostawały jeszcze dwie kwestie: prawdziwe lub urojone smugi światła wokół pięści Bastiana i ten przedziwny efekt ciężenia – wrażenie, że kolejne sytuacje nieuchronnie układają się w pewną całość. Lore miała niewytłumaczalne poczucie *wiedzy*. Przy Bastianie i przy Gabrielu wiedziała po prostu, że coś w głębi niej rozpoznaje obu tych mężczyzn. Mniejsza o to, że jej umysł i serce nie nadały za tym przedziwnym podszeptem.

Lore chwyciła wyciągniętą dłoń Bastiana. Ten pomógł jej stanąć na nogi, po czym puścił jej rękę. Nie próbował kolejny raz przycisnąć jej do muru. Ufał, że nie będzie usiłowała uciec. Zrodziła się pomiędzy nimi nić porozumienia i żadne z nich nie chciało jej teraz zrywać.

– No dobrze – odezwał się księżę. – Powiedz mi, jak to się stało, że jesteś tak wytrawną mortemistką. I proszę, tym razem nie kłam. Wiesz już, że się zorientuję.

Miał rację. Była tego równie pewna, co widoku półksiężyca u podstawy swojej dłoni. Gabriel, pomimo łączącej ich przedziwnej nici wiedzy, uwierzył w jej

kłamstwo. Tymczasem jej więź z księciem – czymkolwiek była – wydawała się silniejsza i bardziej szorstka.

Bastian uratował jej właśnie życie. Nie mogła być pewna, że zrobi to ponownie, jeśli spróbuje mu się sprzeciwić. Wzięła więc głęboki oddech i zaczęła mówić prawdę.

– Jestem córką jednej z sióstr nocy – zaczęła cicho. – Urodziłam się w katakumbach, pośród niedobitków Straży Grobowej.

Rozdział 20

Istnieć będą dwa ciała za cel mające trzymanie w ryzach mocy Pogrzebanej Bogini. Presque Mort, Bliscy Śmierci, będą przekierowywać Mortem, gdy ten zacznie wydobywać się na powierzchnię. Veilleurs Enterre, Straż Grobowa, dopilnowywać zaś będzie, by to, co raz strącone z niebios, nigdy nie powróciło na wyżyny.

Księga Praw Świętych, Rozprawa 35

Po krótkiej chwili ciszy książę wybuchnął szorstkim śmiechem. W jego oczach pojawił się mroczny błysk, owinięte zakrwawionym lnem palce zacisnął w pięści.

– Straż Grobowa? Rozwiązano ją tuż po tym, jak Nocna Wiedźma postradała rozum. W katakumbach dawno już nikogo nie ma.

– Są tam – odparła Lore, ciężko przelękając ślinę. Mówiąc, czuła się, jakby w jej gardle tkwiły rozżarzone węgle. – Jest ich bardzo niewiele, nie więcej niż dwadzieścia. Ale wciąż żyją w katakumbach i strzegą grobowca.

Straż nadal czuwała. Nadal co zaćmienie posyłała kogoś do wnętrza obsydianowego grobowca, by sprawdził, czy ciało bogini się nie poruszyło. Lore pamiętała, jak każda z sióstr wyglądała po wyjściu stamtąd. Pamiętała zastygły wyraz twarzy i pustkę w oczach. Każdy, kto opuszczał grobowiec, sprawiał wrażenie, jakby wyssano z niego poczucie własnego jestestwa, a półksiężycowa blizna na ręce każdej z tych osób płonęła wściekłą czerwienią.

– To nie ma najmniejszego sensu – odparł Bastian takim tonem, jakby wątpił, czy Lore go rozumie. – Straż nie istnieje od stuleci. Kościół za nic nie zgodziłby się na jej dalsze działanie po tym, jak Nocna Wiedźma ogłosiła się nowym wcieleniem Nyxary.

Lore wzruszyła ramionami.

– Jest tak, jak mówię: zostało ich niewiele, bo Kościół zgładził większość po historii z Nocną Wiedźmą. Niektórym jednak udało się ukryć. Te ocalałe podtrzymały działanie zakonu.

– I skąd niby biorą się nowi członkowie? Przecież do katakumb nie schodzi nikt.

– Schodzą tam ci, dla których nigdzie indziej nie ma miejsca.

Tak właśnie było z córką kupca noszącą bękarta, którego za wszelką cenę chciała urodzić. Matka Lore zdecydowała się na ucieczkę do katakumb, gdy rodzice

powiedzieli jej, że wyprawią ją do przytułku. W panice szukała miejsca, w którym mogłaby się schronić, ale pod ziemią znalazła coś więcej. O wiele więcej.

Brwi Bastiana powędrowały ku górze. Na jego twarzy malowało się niedowierzanie.

– Więc reszta opowieści też jest prawdziwa? – spytał szyderczo. – Czy członkinie straży wymykają się po nocy i podszeptują dzieciom złe sny? I zaklinają konie, żeby zrzucały jeźdźców?

– Nie. – Lore pokręciła głową. – Prawdziwa Straż Grobowa, czyli siostry nocy, które złożyły śluby, nie opuszcza katakumb nigdy. Wyjątkiem są najmłodsze, wysyła się je czasem po zapasy. Kradłyśmy albo wymienialiśmy się za rzeczy znalezione w tunelach. Zgubione monety, drogocenne kamienie... Zdziwiłbyś się, co można tam znaleźć. Wystarczy dobrze się rozejrzeć. – Lore mówiła to wszystko tonem tak swobodnym, jakby nie było w tym nic nadzwyczajnego. Bastian był tymczasem dopiero trzecią osobą, której o tym opowiadała. Poprzednie dwie to Val i Mari, zwierzyła im się po tym, jak wskrzesiła Cedrica. Myślała, że nigdy już nie zdoła znaleźć słów, by mówić o tym wszystkim. Te jednak teraz nasuwały się jakby same.

Książę Słońca przymrużył oczy, ale tym razem nie próbował zarzucać jej kłamstwa.

– Więc straż wciąż robi to, co opisano w rozprawach? – spytał ostrożnie. – Pilnuje, by Nyxara nie podniosła się z grobu?

– Siostry korzystają z Kompendium. Czytają te same rozprawy co mnisi Presque Mort i postępują według wytycznych Kościoła. – Lore, choć starała się zachować spokój, poczuła, jak zaczyna wzbierać w niej gniew. – Straż Grobowa dostała najgorsze zadanie z możliwych. Siostry posłano pod ziemię i kazano im żyć w ciemnościach. A kiedy ich przywódczyni straciła rozum, co zrozumiało, gdy jest się skazanym na życie w tunelach tuż obok grobu bogini, Kościół uznał, że błędnie odczytywały rozprawy, i nakazał je wszystkie zabić.

Przepecone włosy kleiły się Lore do czoła, podniosła więc rękę, by je odgarnąć. Nie zorientowała się przy tym, że użyła dłoni z blizną. Aż do chwili, gdy Bastian chwycił ją za nadgarstek.

Instynktownie spróbowała mu się wyrwać. Blizna miała wprawdzie niecodzienny kształt, ale Lore nie czuła potrzeby ukrywania jej. Przynajmniej do tej chwili. Teraz jednak książę, trzymając mocno za nadgarstek, odchylił jej palce, by móc się lepiej przyjrzeć. Po chwili zaś obok jej dłoni umieścił swoją otwartą dłoń.

Widniało na niej słońce. Czy raczej jego połowa. Kontur został wyryty w skórze Bastiana w górnej części dłoni, od nasady małego palca po kciuk. Krótkie kreski symbolizujące promienie sięgały knykci. Linie tworzące rysunek był wciąż świeże i czerwone – dopiero zaczynały się goić.

Gdyby Bastian i Lore zetknęli ze sobą dłonie, odwrócony półksiężyc idealnie dopełniłby obwód słońca. Lore natychmiast przypomniała sobie ingres i zszokowane miny zebranych, w chwili gdy Anton naciął dłoń księcia.

– Ciekawy zbieg okoliczności, prawda? – mruknął Bastian. Lore wyrwała dłoń z jego rąk. – To dzięki temu umiesz władać Mortemem? – ciągnął książkę. – Czy to tylko pamiątka po czyimś zamiłowaniu do efekciarstwa, jak u mnie? Anton, jak on kocha dramaturgię.

– To nie dzięki siostronom władam Mortemem – odparła Lore. – Urodziłam się z tym. Nie wiem, dlaczego tak się stało, i wątpię też, by one to wiedziały.

Nigdy nie doczekała się z ich strony jakiegokolwiek wyjaśnienia. Były tylko szepty i spojrzenia z ukosa.

Bastian popatrzył na Lore ze zmarszczonymi brwiami, jakby była szczególnie trudnym do złamania szyfrem. Jakby udzielone przez nią odpowiedzi niczego nie rozjaśniały, tylko rodziły kolejne pytania. A przecież, na Krwawiącego Boga, odpowiedziała szczerze na *każde* jego pytanie! Powiedziała o sobie Księciu Słońca więcej niż komukolwiek przed nim. Tyle nie wiedziały o niej nawet Val i Mari. Jemu jednemu przyznała się, że urodziła się mortemistką, a nie posiadała swojej mocy za sprawą wypadku.

– Chodź – powiedział w końcu Bastian. – Musimy wracać do Cytadeli, jeśli chcesz wejść do krypt przed wschodem słońca.

Skoro nie zamierzał pytać więcej o jej dzieciństwo, ona tym bardziej nie zamierzała o nim mówić.

– Musimy najpierw znaleźć Gabriela – powiedziała tylko.

– Remaut sobie poradzi – rzucił Bastian, który zdążył już dojść do wylotu zaułka. Lore dogoniła go z pełnym irytacji warknięciem. – Jeśli zbliżymy się do ringu, możesz łatwo wpaść na swojego byłego, a podejrzewam, że wolałabyś z nim nie rozmawiać. Jego w końcu *też* szpiegowałaś – dodał, oglądając się przez ramię. Na widok zdumionej miny Lore nie wydawał się ani trochę zdziwiony. Najwyraźniej się jej spodziewał. – Nie doceniałaś Michała. Jest znacznie bystrzejszy, niż ci się zdawało,

i szybko cię rozgryzł. Powiedział mi o wszystkim, kiedy byłem tu po balu maskowym. Myślę, że wybaczyłyby ci, gdybyś poza byciem szpiegiem nie okazała się nekromantką.

Lore na myśl o tym próbowała nie poczuć bólu.

– Czy ty kiedykolwiek sypiasz? – spytała tylko.

– Dla nikczemnych nie ma wytchnienia, moja droga.

Gazowe lampy na rogach ulic rzucały wokół słoneczną poświatę. Teraz, gdy jej życie nie było już zagrożone, myśli Lore zaczęły znów zataczać szersze kręgi. Jej umysł nie trzymał się już kurczowo wyłącznie chęci przetrwania.

– Myślałeś, że jestem płatną morderczynią – odezwała się po chwili.

– Wydawało mi się to całkiem prawdopodobne.

– Ale wiedziałeś przecież, że pracuję dla twojego ojca. Naprawdę myślisz, że...

– Tak, Lore – przerwał jej Bastian. – Myślę, że ojciec mógłby zlecić moje zabójstwo.

– Bo niby szpiegujesz dla Kiryteańczyków?

– Akurat nie dlatego – odparł ksiązę, spinając nagie ramiona. – Jeśli cię to ciekawi, jestem niemal pewien, że on sam dobrze wie, że to kompletna bzdura.

Lore przygryzła dolną wargę, układając oderwane myśli w całość i dopowiadając w głowie to, czego nie powiedział na głos ksiązę.

– Więc August... chce po prostu twojej śmierci, a to miał być tylko pretekst?

– Brawo.

– Ale dlaczego? Jesteś jego jedynym spadkobiercą! Poza tym, jeśli naprawdę chce cię zabić, to dlaczego po prostu nie wynajmie zabójcy? Po co cała ta próba wrabiania cię w zdradę?

Bastian z początku nie odpowiedział. Przez chwilę szli ulicą w milczeniu, raz po raz zanurzając się w cieniu i wychodząc znów na światło.

– Ojciec i ja nigdy nie byliśmy zgodni – odezwał się w końcu łagodnym tonem. – Różniliśmy się w poglądach na rządzenie, wiarę i wszystko inne. Moim zdaniem to głupie, żeby o tym, kto rządzi Auverraine, przesądzało błogosławieństwo Apolliusza. Nieobecny bóg nie powinien decydować o tym, jak wygląda nasze prawo.

– To herezja.

– Owszem. – Bastian podrapał się po boku, na którym coraz wyraźniej było widać siniec. Wydawał się nieco nieobecny. – Mój ojciec uważa, że myślę tak, bo sam nie chcę korony. I ma rację: nie chcę jej. Ale nie na tyle, by oddać ten kraj Jaxowi i Kiryteańczykom.

– Więc dlaczego chce twojej śmierci?

– Na wypadek gdybym zmienił zdanie – odparł Bastian sucho. – A co do wynajęcia zabójcy... August zna swoich dworzan. Wie, że jego pogarda wobec mnie nie jest dla nich żadną tajemnicą. Gdybym padł nagle martwy albo gdyby „przypadkiem” mnie zabito, zaraz pojawiłyby się plotki. Pamiętaj, że ród Arceneaux został pobłogosławiony. Tu, na ziemi, reprezentujemy boskość. Nikt z mojej rodziny nie może pozwolić sobie na to, by oskarżano go o morderstwo. Lepiej wrobić mnie w szpiegostwo na rzecz Kiryteańczyków, wtedy ojciec miałby idealny pretekst, żeby posłać mnie na szafot.

Bastian spojrział drwiąco na Lore.

– Kazał ci się trzymać blisko mnie, prawda? – spytał. – Myślę, że zamierzał podrzucić mi coś, co będziesz mogła znaleźć. Coś, co potwierdzi moją winę. Na dowód miałby słowo duchownego i „kuzynki księcia”. Nikt nie śmiałyby kwestionować jego motywów.

– Więc dlaczego stąd nie uciekniesz? – spytała Lore. – Skoro uważasz, że ojciec szuka tylko pretekstu, by cię zabić, i nie chcesz nawet dziedziczyć korony, to po co dalej tkwisz w Cytadeli?

– Bo Cytadela jest *moja*. – W tonie Bastiana zabrzmiała zapalczywość, której Lore zupełnie się nie spodziewała. – Zresztą moja ucieczka niczego by nie zmieniła. To nieistotne, czy czegoś chcę, czy nie. Mogę nie chcieć być Księciem Słońca, ale jestem nim. A to wiąże się z pewną odpowiedzialnością. Jeśli chcę, żeby zaszyły tu jakieś zmiany, muszę zaprowadzić je sam. – Tu Bastian spojrział na Lore. – Poza tym, gdyby ojciec się mnie pozbył, miałby prawo wybrać swego następcę spośród wszystkich żyjących członków rodu. I zareczam ci, że ten, kogo by wybrał, nie byłby dobry dla Auverraines. Mam niewielu krewnych, a wszyscy bez wyjątku są koszmarni.

Lore przypomniała sobie rozmowę z Gabrielem i swoje słowa o próbie spiętrzenia rzeki za pomocą jednego kamienia. Bastian nie był jednak byle kamykiem, lecz głazem.

– Dziwię się, że August w ogóle myśli o tym, kto miałby go zastąpić – powiedziała, zrównując krok z księciem. Szli ramię w ramię kolejnymi dobrze jej znanymi uliczkami. – Regularnie przyjmuje truciznę i wątpię, żeby dawkował ją sam. Ma na pewno farmaceutę, który odpowiednio ją dozuje. Wygląda mi na to, że twój ojciec zamierza bardzo długo odpychać temat ustępowania z tronu.

Bastian nie odpowiedział. Zerknął tylko na nią, po czym zaraz odwrócił wzrok. Zaciśnął usta i się zamyślił.

Skręcili za kolejny róg. Bastian podał Lore łokieć i poprowadził ją w stronę wiodącego do Cytadeli otworu w murze. Przepust był całkowicie pogrążony w ciemności i Lore sama by go nie zauważyła.

– Ty i Remaut musicie popracować nad odgrywaniem ról – odezwał się Bastian po chwili, zmieniając temat. – Ludzie na dworze łatwo wyczuwają blagę, a on nie patrzy na ciebie jak na kuzynkę.

– A niby jak? – Lore wysunęła rękę spod jego łokcia.

– Tak, jakby uwierało go, że ślubował życie w celibacie.

Poczuła falę gorąca na policzkach.

Bastian z uśmiechem wskazał na przepust dłonią z wizerunkiem słońca.

– Panie przodem.

Lore wgramoliła się do otworu w murze, raz jeszcze mocząc sobie podomkę. Bastian wskoczył do niego z pluskiem tuż po niej, po czym minął ją i przyświecając sobie zapałką, poprowadził ją naprzód.

– Gabriel wie, jak wrócić do Cytadeli, prawda? – upewniła się Lore.

– To zaradny chłopak, poradzi sobie. – Niewielki płomyk rzucał słabe, migoczące światło na wilgotne mury. Coś przypominającego szczura przemknęło wzdłuż tunelu i skryło się w cieniu. – Ale to urocze, jak się o niego troszczysz.

Ton, jakim powiedział to Bastian, wyraźnie przeczył jego słowom. Lore posłała mu poirytowane spojrzenie, zadzierając jednocześnie podomkę.

– On siedzi w tym wszystkim tak samo jak ja.

– Być może, ale lojalny jest tylko wobec jednej osoby. Świetnie się spędza czas w twoim towarzystwie, ale raczej wątpię, żebyś mogła konkurować z Apolliuszem. Nie miej złudzeń, jeśli tylko Remaut będzie miał okazję wykorzystać cię w służbie bogu, zrobi to. – Bastian zwrócił się w stronę Lore. W świetle zapałki widać było jedynie jego ciemne włosy, oczy zaś pozostawały w cieniu, co nadało twarzy księcia łotrzykowski wygląd. – Wychodzi na to, że w całej Cytadeli tylko ja jeden wiem, kim jesteś i co potrafisz, a nie próbuję zrobić z ciebie swojego narzędzia.

Nie była to prawda, ale Lore nie dodało to otuchy. Gabriel nie wiedział przecież do końca, kim była. Nie tak jak Bastian.

Na Krwawiącego Boga i Pogrzebaną Boginię, oby to wszystko nie okazało się wielkim błędem.

– Gabriel nie próbuje się mną posłużyć – powiedziała po chwili miękko. – Dbam tylko o moje bezpieczeństwo.

Książę odwrócił się ze smutnym westchnięciem.

– Aż tak przywykłaś do bycia wykorzystywaną, że nawet tego nie zauważasz, póki ktoś robi to łagodnie?

Lore nie wiedziała, co odpowiedzieć.

Rozdział 21

Natura ciąży ku nikczemności – znakiem tego choćby zaćmienia. Niebo zasnuwa się ciemnością, gdy winno być jasne. Księżyc przyćmiewa Słońce. Tak oto wygląda chwila nastania ciemnej mocy. Nie lękajcie się jednak, i ją można bowiem wykorzystać.

Księga Praw Świętych, Rozprawa 745¹

Przeprawa krótkim tunelem nie trwała długo, lecz gdy lekko zziajana Lore wyłoniła się po drugiej stronie, jej podomka i tak była przemoczona po pas.

– Często tędy wychodzisz? – spytała, zwracając się w stronę Bastiana. – I gdzie, u diabła, upychasz te sterty brudnych ciuchów?

– Zwykle wychodziłem raz na tydzień. Teraz będę musiał chyba trochę odpuścić, skoro co najmniej dwóch egzekutorów od bukmachera wie, kim jestem – odpowiedział ksiązę, z pluskiem wyłaniając się z przepustu tuż za Lore. Znów niemal nie było po nim widać zmęczenia. – Co do ubrań: zwykle zostawiałem je w przepuście i wracałem przez ogrody nago. To przyjemnie orzeźwiający, a do tego ktokolwiek znajdował moje rzeczy, z pewnością potrzebował ich bardziej niż ja.

– Tylko nie mów, że teraz też zamierzasz paradować nago.

– Nie będę narażać twojej kruchej wrażliwości. Choć skończy się to pewnie koszmarnymi obtarciami. – Bastian podsadził Lore, by pomóc jej dostać się na poziom ogrodu.

Tam czekał już na nią Gabriel.

Mnich cofnął się o pół kroku i objął dziewczynę rękoma, jakby pomagał jej stanąć prosto.

– Nic ci nie jest? – spytał, przesuwając dłońmi od jej ramion po nadgarstki. – Nie zrobił ci krzywdy?

– Próbujesz mnie obrazić? – Bastian wspiął się na trawnik powyżej przepustu z uśmiechem na twarzy i ostrym jak brzytwa spojrzeniem. – Chyba czuję się urażony.

– Nie, nic mi nie zrobił. – Lore celowo nie wspomniała o sytuacji w zaułku, gdy zanosilo się na to, że ksiązę jednak to zrobi. Szybko wysunęła się z objęć Gabriela i spojrzała mu w oczy. – Co ci się stało? – spytała, zauważywszy na jego twarzy siniec i zaschniętą krew w kącie ust.

– Trafiłem na egzekutorów, którzy twierdzili, że jestem im winien pieniądze za przegrany zakład. – Mnich otarł z twarzy smugę zaschniętej krwi, ale nie poprawiło to zbytnio jego wyglądu. – Kiedy już się od nich uwolniłem, próbowałem was odszukać. Nie udało mi się, więc wróciłem tu, żeby poprosić Antona o pomoc.

No tak, oczywiście. Lore zaczęła się zastanawiać, czy Gabriel zamierzał powiedzieć najwyższemu kapłanowi o wszystkim. Czy planował wspomnieć również o chłopcu, który być może przebudził się w sarkofagu, czy jednak miał dość rozumu, by to akurat pominąć. Nie była tego taka pewna. Szybko odwróciła wzrok od twarzy mnicha i skrzyżowała ręce na piersi, jakby próbowała się od niego odgradzić.

Gabriel nawet tego nie zauważył. Zaraz zwrócił się za to do Bastiana, zaciskając u boków pięści. Widać było, że wiele wysiłku kosztuje go, by jednej z nich nie postać natychmiast w twarz księcia.

– Co to, u diabła, miało być, Bastian? – spytał ostro. – Wleciesz nas do doków, każesz nam bawić się w plebs, sam zbierasz baty...

– Celowo, chcę zaznaczyć.

– ...potem porywasz gdzieś Lore, a mnie zostawiasz samego. – Gabriel cały czas przemieszczał się w stronę Bastiana, aż stanął tuż naprzeciwko niego. Wyprężył się przy tym, starając się jak najbardziej podkreślić kilkucentymetrową przewagę wzrostu. – W co ty się, kurwa, bawisz?!

– Niech wasza miłość nie kala języka – rzucił Bastian, zupełnie nieprzejęty wściekłym wyrazem twarzy mnicha. – Przykro mi, jeśli miałeś przeze mnie kłopoty, ale widzę, że całkiem nieźle dałeś sobie radę.

– Jesteś księciem, ale to nie znaczy, że wolno ci... – Rozzłoszczony Gabriel nie zwracał uwagi na jego słowa.

– On wie – przerwała mu Lore.

Mnich na moment zamilkł.

– Wszystko? – zapytał po chwili, zwracając się ku Lore z wyraźnie spiętymi ramionami.

– Tak – potwierdziła.

Gabriel odpowiedział jej skinieniem głowy, po czym odwrócił się w stronę Bastiana i błyskawicznym ruchem przycisnął go do muru.

– Gabrielu! – rzuciła ostro Lore.

Mnich jednak jakby w ogóle jej nie słyszał. Nie zwalnając chwytu, z odsłoniętymi zębami wpatrywał się wściekle w Bastiana.

– No, to jak zamierzasz nas zabić? – warknął. – Wiesz już, po co tu jesteśmy, i wiesz, że ojciec odkrył, że szpiegujesz dla Kiryteańczyków, a ja mam uwierzyć, że ot tak, dasz nam spokój?

Bastian pomimo naprężonego karku roześmiał się w głos, jakby uczestniczył w zabawie.

– Naprawdę wbili ci to do głowy! Wydaje ci się, że oczyścisz się ze zdrady, którą ci przypisują, tylko wtedy, kiedy dopatrzysz się jej u kogoś innego?

Ręce Gabriela zaczęły delikatnie drżeć. Lore nie była pewna, czy to z wysiłku, czy stąd, że mnich powstrzymywał się, żeby księcia nie uderzyć.

– Im nigdy nie będzie dość, Gabi. – Na ustach Bastiana widniał nikczemny uśmiech, ale jego ton był łagodny. – Kościół i korona nie zapominają i nie wybaczą. Tak samo jak bogowie, którzy byli przed nimi. Będą mamić cię przebaczeniem jak fatamorgana na pustyni. Całe życie będziesz się łudził, że go dostąpisz, ale nigdy ci się nie uda.

Przez krótką chwilę dwaj mężczyźni patrzyli na siebie. Potem Gabriel znów pchnął Bastiana na mur.

– Przestańcie już, obaj! – Lore chwyciła rękę Gabriela i odciągnęła go od księcia. Myślała, że mnich zaraz znów spróbuje się na niego rzucić, ten jednak, choć z wyraźnym oporem, ustąpił. – A ty ani słowa – rzuciła do Bastiana.

Księżę, rozprostowując ramiona, skrzywił się, ale nic nie powiedział. Lore zwróciła się teraz do Gabriela. Oddychała ciężko, jakby sama przed momentem omal nie wdała się w bójkę.

– Możemy to wykorzystać – powiedziała cicho, nie patrząc w stronę księcia. Nie chciała, by słyszał, jak jej tok rozumowania jest bliski jego słowom z tunelu, gdy mówił o posługiwaniu się innymi. – Bardzo możliwe, że August próbuje zrobić Bastiana.

– On ci to powiedział? – spytał mnich, patrząc na nią ostro.

– Czy to ważne kto? – Lore nie potrafiłaby tego wytłumaczyć, ale wiedziała, że Bastian mówi prawdę. Przynajmniej w tej jednej sprawie.

– Nie znasz go. – Gabriel pokręcił głową. – Uwierz mi, Lore, Bastian to...

– Pomyślałeś choć przez chwilę, że wypowiadasz się o mnie, choć znałeś mnie tylko jako dziecko? – wtrącił swobodnie Bastian. – To chyba niezbyt w porządku. Powinieneś to wiedzieć, zważywszy, że spotkało cię coś podobnego.

Gabriel znów zacisnął palce w pięści. Po chwili wyprostował się i spojrzał stanowczo na Lore.

– Skoro chcesz mu zaufać – powiedział, nie zwracając uwagi na księcia – nie pójdziemy od razu do Augusta. Najpierw zwrócimy się do Antona, żeby...

– Nie – wypalili jednocześnie Lore i Bastian.

Gabriel zadarł wysoko brwi.

– Ojciec chce się mnie pozbyć – powiedział Bastian takim tonem, jakby mówił o pogodzie. – Wolę nie dowiadywać się, co zrobi, gdy nie wypali jego plan usunięcia mnie w białych rękawiczkach. – Odsunął się od muru, po czym związał na karku włosy mokre od potu i wody. – Do tego ta sprawa wiosek, w których ludzie wymarli z dnia na dzień. Chciałbym ustalić, co dokładnie się tam stało.

– Nie mam żadnego powodu, by ci ufać – wycedził Gabriel przez zęby. – Widzę, że Lore udało ci się omamić, ale ze mną nie pójdzie ci tak łatwo. – Mówił to tonem, w którym czaiła się reprimenda, jakby chciał dać jej do zrozumienia, że więcej się po niej spodziewał. Ta tylko mocniej skrzyżowała ręce na piersi. Od wzbierających w niej wstydu i złości czuła popielisty posmak w ustach.

– A co powiesz na taki powód? – Bastian się wyprostował. Nawet teraz, z nagim tułowiem i włosami w nieładzie, potrafił wyglądać władczo. – Jeśli powiesz mojemu ojcu albo stryjowi cokolwiek ponad to, co ci pozwolę, każę zesłać was oboje na Wyspy Popielne.

Lore wciągnęła powietrze tak szybko, że aż nie zdołała utrzymać go w płucach.

Gabriel zerknął nerwowo w jej stronę. Zaraz jednak jego spięta sylwetka zaczęła się rozluźniać i pomału otworzył zaciśnięte w pięści dłonie.

– Zgoda – rzucił chłodno.

– Świetnie, a więc mamy umowę. – Bastian wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Odtąd oboje pracujecie dla mnie.

Gabriel, choć uległ wobec szantażu, nie zamierzał kłaść uszu po sobie.

– A odkąd to interesuje cię, że twoi poddani umierają? – spytał zjadliwie.

– Gabrielu – podniosła ton Lore.

Dwaj mężczyźni nie zaczęli na szczęście znów się szarpać.

– Interesuję się poddanymi od zawsze, Remaut. – Bastian sięgnął do kieszeni i wyjął z niej kolejną cygaretkę, jakimś cudem suchą. Zapalił i wypuścił z ust obłok dymu. – Przynajmniej na tyle, na ile mam wgląd w bieżące sprawy. August i Anton usiłują zatajać przede mną wszystkie szczegóły.

– Na co ci szczegóły, jeśli sam byłeś w to pewnie zamieszany?

– Tego akurat możesz się łatwo dowiedzieć, Gabi. – Księżę, znów z uśmiechem, wsunął rękę do kieszeni. – Wystarczy, że spytamy ciało w sarkofagu. Lore i tak miała z nim rozmawiać, prawda?

Na jego słowa Lore natychmiast przypomniała sobie wizytę w krypcie i moment, gdy August skarcił ją za to, że sama zadała pytanie, zamiast nakazać ciału wykonywać polecenia króla. Wcześniej nie zastanawiała się nad tym, teraz jednak zafrapowało ją, dlaczego August i Anton nie chcieli, aby była obecna, kiedy zaczęły wypytywać chłopca o przebieg wydarzeń.

– Dobrze, spytam je jeszcze raz – powiedziała. – Kiedy tylko dojdziemy na miejsce.

– Świetnie – odparł Bastian, a następnie swobodnym krokiem ruszył w stronę wypielegnowanego zagajnika. Niebo zaczynało się pomału przecierać, nieuchronnie zbliżał się świt. – A jeśli ktoś jeszcze chce pomówić o trudnych tematach z dzieciństwa, proponuję zrobić to przy śniadaniu.

*

Korytarze wewnątrz Cytadeli były puste. O tej porze nawet najbardziej zagorzali rozpustnicy odpoczywali już w swoich komnatach. Kroki całej trójki odbijały się echem od marmurowej podłogi, gdy księżę prowadził Lore i Gabriela przez labirynt upstrzony złotymi kinkietami, obrazami olejnymi i posągami przyozdobionymi biżuterią – aż pod niepozorne niewielkie drzwi wiodące ku kryptom.

Wartownik, którego obezwładnił wcześniej Gabriel, już się obudził. Stał w półśnie, usiłując utrzymać koncentrację, i raz po raz zadzierał ku górze opadający szpic bagnetu. Na widok trzech nadchodzących osób zmarszczył brwi, gdy jednak rozpoznał Bastiana, wyprężył się natychmiast i skłonił głowę. Nie wydawał się ani trochę zgorszony tym, że księżę jest półnagi.

– Wasza wysokość – pozdrowił go.

– Czołem, żołnierzu. – Tak oficjalnego tonu Lore jeszcze u księcia nie słyszała. Nie brzmiał ani trochę, jakby kilka ostatnich godzin spędził w dokach, obrywając na ringu. – Ja i moi przyjaciele chcemy wejść do krypt. Matka lady Eldelore podupadła na zdrowiu i opłaciła niedawno jeden z sarkofagów. Poleciała przy tym córce, by dokonała jego oględzin o wszystkich porach dnia.

Była to wierutna bzdura, ale wypowiedziana władcym, dostojnym głosem, zabrzmiała dziwnie przekonująco. Po wyrazie twarzy wartownika nie sposób było rozpoznać, czy rzeczywiście dał wiarę księciu, zaraz jednak odstąpił na bok i otworzył przed całą trójką drzwi.

– Gwardzista ze Świętej Straży wciąż jest na posterunku – oznajmił wartownik.

– Nie spodziewa się nas, ale to nie problem – rzucił Bastian z machnięciem ręki. – Wszystko mu wyjaśnię.

Ruszyli w milczeniu w głąb tonącego w ciemnościach korytarza. Nikt nie rozpałił ponownie świec w niszach z rzeźbami. Idący na przedzie Bastian wydawał się tylko konturem, ledwie zarysowanym jasnym tułowiem zwieńczonym ciemną plamą włosów. Po chwili otworzył drzwi wiodące do tunelu i z ukłonem puścił Lore przodem. Stojący za nią Gabriel parsknął cicho na ten widok.

Czuwający na końcu korytarza członek Świętej Straży nie odezwał się na widok trojga nadchodzących. Lecz kiedy rozpoznał Księcia Słońca, jego chwyt na broni wyraźnie zelżał. Bastian nie czekał, aż gwardzista odezwie się pierwszy.

– Mamy coś do załatwienia – rzucił zdawkowo.

Strażnik skinął głową, ale zaraz też powiódł wzrokiem za Lore. Było jasne, że zapamiętał ją z wcześniejszej wizyty.

Cudownie.

Lore nie miała jednak głowy do tego, by martwić się teraz wartownikiem ani tym, co powiedzą bracia Arceneaux na wieść, że ponownie odwiedziła kryptę. Nie zamierzała też zastanawiać się, jak zareagują, gdy usłyszą o wskrzeszeniu konia – bo że się o tym dowiedzą, było tylko kwestią czasu. Była pewna, że w porę coś wymyśli i zdoła w miarę przekonująco się wyłgać.

Teraz zaprzętała ją głównie walka z nudnościami, które dopadły ją na samą myśl o ponownym ujrzeniu ciała chłopca. Zwłaszcza jeśli ten przebudził się znów do stanu połowicznego ożywienia.

– Lore? – W łagodnym tonie Gabriela pobrzmiwał niepokój.

– Nic mi nie jest – odparła uspokajająco, po czym ruszyła w stronę sarkofagu, w którym była wcześniej z Augustem. Z całych sił starała się przy tym zapanować nad drżeniem palców.

Ponad szklanym sklepieniem wciąż widać było gwiazdy, ale na granatowym niebie przybywało jasnolawendowych smug. Otwór w boku kamiennej wieży wyzierał z półmroku niczym bezzębne usta.

– To tutaj? – spytał Bastian, przekrzywiając głowę.

Lore przytaknęła, zaraz też poczuła przypływ żalostnej wdzięczności – księżę wszedł do grobowca jako pierwszy. Schylił się w obłym otworze wejściowym i zanurzył w mroku. Jeszcze jedno westchnienie i niechętnie spojrzenie – i w jego ślady podążył Gabriel. Lore uniosła głowę ku nocnemu niebu, wzięła głęboki wdech i ruszyła za nimi.

Jej oczy powoli przyzwyczajają się do ciemności. Potrzebowała chwili, by dostrzec Bastiana stojącego pomiędzy rozpostartymi rękami posągu Apolliusza. Księżę zatrzymał się tuż przed wyrwą w piersi boga i wyglądał, jakby sam był jego brakującym, wyrwanym sercem. Gabriel stał pod przeciwległą ścianą, w narożniku grobowca. Ciało dziecka leżało nieruchomo na katafalku.

Lore w potężnym przypływie ulgi poczuła, jak miękną jej kolana. To, co stało się z Konikiem, musiało być konsekwencją pomyłki. Prawdopodobnie któraś ze smug pozostała nieprzerwana i dlatego...

W tym momencie zmarły chłopiec jakby wyczuł w powietrzu jej zapach, poruszył się i usiadł na katafalku. Jego ruch był przy tym całkowicie nienaturalny – choć ręce zwisały luźno po bokach ciała, korpus powędrował ku górze, jakby podciągnięto go na przymocowanej do głowy linie.

Chłopiec powoli otworzył poczerwiałe oczy i zwrócił trupio bladą twarz w stronę Lore. Wyglądał, jakby czekał, aż ta pojawi się i wyda mu polecenia.

Kolana Lore wciąż były miękkie, ale bynajmniej nie z ulgi.

– Jasna cholera... – wyszeptał oniemiały Bastian.

Gabriel nie odezwał się ani słowem, ale on sam i przestrzeń wokół niego zdawały się aż kipieć napięciem.

Lore potrzebowała chwili, by przypomnieć sobie, po co właściwie tu jest. Gdy czuła na sobie spojrzenie czarnych oczu chłopca, trudno było jej zebrać myśli. A przecież miała porozmawiać z nim i spróbować poznać prawdę.

– Co cię zabiło? – spytała cicho.

Drobne usta chłopca uchyliły się, odsłaniając ciemność.

– Noc – powiedział nienaturalnie szorstkim głosem, nie poruszając wargami. – Zabiła mnie noc.

Przez chwilę cała czwórka – Lore, Gabriel, Bastian i nieżywy chłopiec – trwali w milczącym bezruchu. W końcu odezwał się księżę:

– Widzisz, Gabi? – spytał, wskazując na katafalk. – Mówiłem, że to nie ja.

Gabriel przestąpił z nogi na nogę i puścił słowa księcia mimo uszu.

– „Noc” to niezbyt precyzyjne... – odezwał się po chwili.

Lore ściągnęła brwi. Całą swoją uwagę skupiła na siedzącym naprzeciw niej chłopcu. Ten raz jeszcze uchylił usta, nieco szerzej.

Spodziewała się znów usłyszeć to samo. Tym razem słowa chłopca zabrzmiały inaczej. Jego martwe wargi i struny głosowe nadal się nie poruszały, ale dało się wyczuć, że... podejmuje wysiłek. Za pierwszym razem mówił jak ptak, którego nauczono recytować kilka słów. Teraz jego słowa miały w sobie rozmysł i brzmiały inteligentniej.

– Odszukajcie pozostałych – spłynęło z nieruchomego, martwego języka. – Oni nie zostali zniszczeni.

Lore sądziła, że chłopiec po odpowiedzi na jej pytanie opadnie z powrotem na katafalk. On jednak, nie zamykając ust, wciąż siedział wyprostowany i wpatrywał się w nią czarnymi oczami. Minęła chwila, nim do Lore dotarło, co powinna zrobić. Skoro wskrzesiła ciało, musi teraz odwrócić wszystkie wcześniejsze czynności. W dużej mierze po to tu przecież wróciła.

Wyciągnęła przed siebie ręce, zamykając jednocześnie oczy. Jedyne, co przychodziło jej do głowy, to spróbować zrobić coś dokładnie odwrotnego niż podczas poprzedniej wizyty w grobowcu. Odwrócić nurt Mortemu i zamiast próbować wyciągać śmierć z chłopca – tchnąć nią w niego.

Gabriel i Bastian stali nieruchomo, nie odzywali się. Lore była zdana na siebie i swój instynkt.

Pomału zaczęła rozrzedzać otaczającą jej umysł zaporę z drzew. Wzięła głęboki wdech i nie wypuszczała powietrza, póki jej widzenie nie stało się monochromatyczne. Po chwili dostrzegła już tylko biel życia odcinającą się od szarości martwej materii. Gabriel i Bastian byli ledwie jasnymi smugami, za to ciało na katafalku stało się popielate – wskazywała, że jest ono czymś w pół drogi. Czymś, co powinno być martwe, lecz zostało sztucznie przebudzone ze śmierci.

Mortem był łatwy do znalezienia – tkwił w kamiennych ścianach i szklanym sklepieniu, za którym pomału zaczynał się malować różowy świt. Lore jednak znów nie mogła go pochwycić. Choć próbowała, nie udawało jej się go ukierunkować.

Nagle zrozumiała. Działo się tak, bo tuż obok stał Bastian.

Otworzyła oczy.

– Musisz wyjść – powiedziała do księcia.

Na twarzy Bastiana odmalowało się najpierw zdumienie, a zaraz potem wzbierająca złość.

– Nie ma mowy – odparł ostro. – Przecież ustaliliśmy, że...

– Nie dam rady kierować Mortemem, jeśli będziesz obok – przerwała mu. Nie miała siły się z nim spierać. Na bogów, ile to już czasu, odkąd ostatnio spała. – Nie wiem, o co chodzi, ale nie uda mi się, jeśli będziesz tu stał. Musisz wyjść z krypty.

Doceniła, że Gabriel nie zrobił mędrkowatej miny. W ogóle nie spojrzął na księcia. Ściągnął tylko brwi i całą uwagę skupił na Lore. Potrafiący władać Mortemem widzieli jego smugi. Dla tych, którzy nie byli mortemistami, pozostawał on niewidoczny – ci widzieli tylko ostateczny efekt, jaki wywierał na ludzi i rzeczy. Gabriel widział, że Lore sięga po smugi i że nie udaje jej się ich pochwycić.

Przez moment przyglądała się mnichowi. Zauważyła, że wstrzymał oddech, a jego palce pobieleły. Skoro Lore nie dawała rady, on sam sprawdzał teraz, czy uda mu się poruszyć obecny wokół Mortem. Na próżno. I Gabriel był bezradny, póki w pobliżu stał Bastian.

Lore sama nie wiedziała, czy powinno ją to cieszyć, czy niepokoić. Książę tymczasem nie spuszczał z niej wzroku. Skrzyżował ręce na piersi i zacisnął wargi, ale w jego spojrzeniu nie było gniewu. Po chwili skinął głową i wyszedł z grobowca.

Gabriel o nic nie pytał. Stał tylko bez ruchu i czekał. Lore była mu za to wdzięczna.

Raz jeszcze zamknęła oczy, zaczerpnęła powietrza i uchyliła chroniącą umysł zaporę. Sięgnęła po smugi Mortemu i zaczęła nawijać je na zbiele, zmartwiałe palce. Żyły na jej rękach nabiegły czernią, gdy niemal ustał w nich przepływ krwi.

Mortem pomału ją wypełniał. Śmierć zbierała się w komórkach jej ciała, ale ich nie niszczyła. Lore czuła ciężar w swoich dłoniach. Po chwili uniosła ręce i wypchnęła go z siebie.

Mortem poszybował w stronę katafalku kleistą ciemną smugą i wniknął w ciało przez nozdrza, poczerniałe oczy i uchylone wciąż usta. Po chwili plecy chłopca zaczęły pomału opadać ku kamiennej płycie.

Lore tchnęła w chłopca śmierć. Na nowo ułożyła go do wiecznego snu.

Jeszcze moment i opadła ciężko na podłogę, czując klucie i mrowienie w całym ciele. Krążenie w jej żyłach powracało. Oddychała ciężko, serce waliło jej jak młotem.

Gabriel podszedł do niej i przyklęknął tuż obok. Potem, podciągając ją za ramiona, pomógł jej usiąść i z niepokojem spojrzął jej w oczy.

– Nic mi nie jest – uspokoiła go Lore chrypiącym głosem, nim Gabriel sam zdążył o cokolwiek spytać. Mijała się nieco z prawdą, ale mnich i tak nie mógłby nic poradzić na jej obecny stan. – Ważne, że się udało.

Drzwi grobowca uchylły się, jakby Bastian wyczuł, że już po wszystkim. Księżę wszedł do środka, ale przystanął, gdy zobaczył Lore i Gabriela na podłodze. Nie spytał jednak, czy coś się stało. W ogóle nie wydawał się zaniepokojony.

To dlatego, że doskonale wie, kim jesteś.

Bastian rozumiał, że dla Lore kierowanie Mortemem to coś równie oczywistego jak jej własne ciało.

Do pomieszczenia przez uchylone drzwi sączyło się światło. Ponad przeszklonym sklepieniem świtało. Musieli teraz jak najszybciej opuścić kryptę. Zadanie Lore zostało wykonane.

Mimo to Gabriel wciąż siedział bez ruchu, podtrzymując jej ramiona i zerkając to na jej twarz, to na leżące na katafalku ciało.

– O co mogło mu chodzić? – spytał po chwili. – Co to znaczy, że pozostali „nie zostali zniszczeni”?

– Musiał mieć na myśli pozostałe ciała z wioski – odpowiedziała Lore cichym, ochrypłym głosem. Była przy tym absolutnie pewna swoich słów. Tak samo jak była pewna przedziwnej, głęboko zakorzenionej więzi łączącej ją z Gabrielem i Bastianem. Coś sprawiało, że nie miała żadnych wątpliwości. – Nie zostały spalone. Anton i August gdzieś je ukryli.

Rozdział 22

Katastrofy przychodzą falami.

Przysłowie auverraińskie

Sen coraz bardziej ciążył na powiekach Lore. Ona jednak nie dawała im opaść, a w każdym razie próbowała. Raz po raz obraz saloniku i siedzącego nieopodal Gabriela zanikał, a ona musiała napominać się, by nie zasnąć.

Z Bastianem rozstali się tuż po wyjściu z krypt. O świcie nawet księżę zaczął ziewać. Na odchodne nie odezwał się do nich ani słowem. Kiedy ruszyli w stronę południowo-wschodniej wieży, po prostu odszedł w przeciwnym kierunku. Z początku oboje byli zbyt zmęczeni, by jakkolwiek komentować to, czego się dowiedzieli – długa wspinaczka po schodach sprawiła jednak, że Gabriel znów nabrał wigoru.

– To przecież bez sensu – odezwał się, przesuwając dłońmi po krótkich włosach. Na niewielkiej sofie wydawał się aż nadto rosły, zwłaszcza teraz, gdy przez swoją złość i dezorientację sprawiał wrażenie jeszcze większego. – Po co Anton miałby kłamać na temat tego, co stało się z ciałami?

Siedząca po turecku naprzeciw kominka Lore wzruszyła ramionami, po czym podparła dłonią brodę.

– Uważasz, że się mylę?

– Tego nie powiedziałem. – Gdy Gabriel uniósł wzrok, w jego oku odbił się blask płomieni. Lore widziała, jak w myślach próbuje układać słowa, tak aby nie zabrzmiały oskarżycielsko. – Tylko... skąd właściwie ta pewność?

Oto było pytanie. Jedyne logiczne, jakie nasuwało się w tej sytuacji. Lore tymczasem nie potrafiła oczywiście na nie odpowiedzieć. Owszem, mogła zacząć od samego początku – opowiedzieć Gabrielowi o swoim pochodzeniu i szczególnej więzi z Nyxarą oraz niedobitkami Straży Grobowej. Mogła zwierzyć mu się jak Bastianowi i liczyć na to, że jej szczerłość wzbudzi jego zaufanie. Mogła przyznać się, że coś w głębi popycha ją ku niemu i Bastianowi – jakby byli trzema kroplami spływającymi tym samym strumieniem i skazanymi na to, by trafić w to samo miejsce.

Zaraz jednak przypomniała sobie słowa Bastiana o tym, że nie będzie w stanie konkurować z Apolliuszem. Gabriel zgodził się już dotrzymać tajemnicy i zataić dla niej coś przed Antonem. Nerozważnie byłoby nalegać na więcej.

Splotła więc palce przed sobą i przesiadając się nieco w stronę Gabriela, zaczęła układać w głowie kłamstwo.

– To chyba za sprawą Mortemu w ciele. Więzi, która powstała między nim a mną, kiedy je wskrzesiłam... – Wytłumaczenie tak samo dobre jak każde inne.

Gabriel pokręcił głową.

– Założmy, że masz rację, i ciała z wiosek naprawdę ukryto. Anton i August nie zrobiliby tego, gdyby nie mieli ważnego powodu...

– Okłamali nas – przerwała mu Lore i zwróciła się twarzą wprost do niego. – Kłamali na temat tego, co stało się z ciałami. Twierdzili, że przebadano je pod kątem poszlak, a potem się ich pozbyto. Wmawiali nam też, że Bastian pracuje dla Kiryteańczyków, a oboje wiemy już, że to nieprawda...

– No tak, musimy przecież ufać Bastianowi. – Gabriel uśmiechnął się szyderczo pod nosem.

– Nie każę ci ufać jemu. – Lore musiała się pilnować, by nie wycedzić tych słów. – Chcę, żebyś zaufał mnie.

– Ściślej mówiąc, chcesz, żebym zaufał Mortemowi. Mam zaufać mocy, która zatruwa nasze miasto, a kiedyś zagrażała całemu kontynentowi. Mocy, przez którą ludzie boją się być chowani w ziemi, bo ta jest skażona magią występnej bogini. – Gabriel wstał, rzucając na Lore długi cień. – Wybacz, ale „Mortem mi tak powiedział” nie brzmi zbyt przekonująco.

Lore poczuła na twarzy uderzenie gorąca. Zerwała się na nogi, by stanąć naprzeciw Gabriela i wbić gniewne spojrzenie w jego niebieskie oko.

– A co powiesz na „obchodzisz Antona tylko na tyle, na ile jesteś dla niego użyteczny”? Albo „August to kłamca, który chce zabić własnego syna”? To brzmi dla ciebie bardziej przekonująco?

Usta Gabriela drgnęły.

– I znów mówimy o Bastianie.

– Bastian przynajmniej nie wlaźł nikomu w tyłek tak głęboko, że przestał widzieć na oczy.

– Nie, jest tylko zaślepiiony sobą. I zrobi wszystko, żeby zaciągnąć cię do łóżka.

– Nawet jeśli to prawda, dlaczego w ogóle cię to obchodzi?

– Dlatego, że więcej się po tobie spodziewałem. Sądziłem, że nie nabierzesz się na ładną buźkę, która mówi ci to, co chcesz usłyszeć. Myślałem też, że decyzje podejmujesz rozumem, a nie...

Lore zazgrzytała zębami tak mocno, że niemal dało się to usłyszeć. Nim zdążyła pomyśleć, jej ręce wystrzeliły naprzód. Popchnęła Gabriela za ramiona, czym zmusiła go, by usiadł na sofie. Kolana ugięły się pod nim i mnich ciężko opadł na siedzisko, nim zdążyło stać się coś, co nie przystawałoby duchownemu. Lore oparła teraz dłonie na oparciu, po obu stronach jego głowy. Ich twarze znalazły się tuż naprzeciw siebie, ale Gabriel nie cofnął głowy. Siedział nieruchomo, wpatrując się w Lore niczym szczerzący zęby pies.

– Jego „buźka” nie ma tu nic do rzeczy – syknęła dziewczyna prosto w twarz Gabriela. – Wszystko sprowadza się do tego, że król, najwyższy kapłan i Presque Mort wysługują się nami. Ściągnięto mnie tu podstępem, a wszystko, co się tu dzieje, to jedna wielka manipulacja. Jesteśmy jej ofiarą, Bastian i ty również. To, co różni nas dwoje od ciebie, to fakt, że przynajmniej potrafimy nazwać rzecz po imieniu!

„Aż tak przywykłaś do bycia wykorzystywaną, że nawet tego nie zauważasz, póki ktoś robi to łagodnie?” Słowa Bastiana powróciły echem w głowie Lore. Gabrielem nie wysługiwano się nawet w sposób łagodny, tyle że on sam nie uważał, by zasługiwał na jakąkolwiek dobroć. I być może tu właśnie tkwił problem. Wszystko, co go spotykało, Remaut przyjmował jako pokutę za zdradę, której wcale się nie dopuścił.

Lore poczuła na twarzy oddech Gabriela. Był tak blisko. Tak ciepły na całym ciele. Ona za to nosiła głęboko w sobie chłód, któremu zawsze chciała ulżyć.

– Tak to bywa z ofiarami manipulacji – odezwał się Gabriel łagodnym tonem. – Same stają się jej mistrzami. Nie ma lepszego nauczyciela niż doświadczenie.

Wpatrywali się w siebie. Byli zbyt blisko, zbyt rozgrzani emocjami. Tlił się w nich gniew, ale i coś jeszcze. Lore miała już chęć pochylić się i pocałować Gabriela – ująć całą tę sytuację w ramy, które sama by rozumiała. A jednak zdołała znaleźć w sobie dość siły woli, by się powstrzymać.

Gabriel nie mógł poznać prawdy o niej.

On też chciał, żeby go pocałowała. Widziała to pragnienie w jego oku i czuła jego namacalne niemal pożądanie. Ale Gabriel był na wskroś członkiem Presque Mort i nawet w takiej chwili nie zamierzał pozwolić sobie na to, by nachylić się jako pierwszy i złamać śluby.

Lore powoli, z rozmysłem oderwała dłonie od oparcia sofy, po czym równie powoli się wyprostowała. Spojrzała wymownie na Gabriela, który patrzył na nią tak, jak płomień mógłby patrzeć na naftę.

– Odszukam te ciała – powiedziała cicho. – Z twoją pomocą lub bez.

– Tylko ty i Bastian, tak? – Miało to zabrzmieć nonszalancko, ale efekt był sztuczny i wysilony. – Życzę szczęścia...

– Nawet jeśli mu się „poszczęści”, nic takiego się nie stanie.

Gabriel mruknął z dezaprobatą, po czym wyprostował się na sofie i otarł dłonią twarz. Potem znów spojrzał na Lore.

– Nawet jeśli ciała rzeczywiście gdzieś ukryto... – zaczął – ...czego to niby dowiedzie?

Napięcie, jeszcze przed chwilą aż rozsadzające przestrzeń wokół nich obojga, uleciało. Słowa nie wydawały się już zabarwione podwójnym znaczeniem.

– Zapewne wielu rzeczy – odparła Lore. – Jakich? Tego nie będziemy wiedzieć, póki nie zobaczymy ciał i nie przekonamy się, co z nimi zrobiono. Na razie wiem tyle, że nie możemy ufać Augustowi ani Antonowi. Wygląda na to, że wszystko, co mówili nam i o zwłokach, i o Kiryteńczykach, było nieprawdą.

Na dźwięk imienia Antona Gabriel zamknął oko. Lore poczuła wobec niego współczucie. Podkopywanie zaufania, które żyło w człowieku latami, jest zawsze bolesne. Nawet gdy było ono owocem manipulacji.

Gabriel wbił wzrok we fragment dywanu pomiędzy swoimi butami.

– A co z tym, że przy Bastianie nie mogłaś przywołać Mortemu? – odezwał się po chwili niemal oskarżycielskim tonem. Sączące się przez okno światło poranka padało ciepłą smugą na jego rudawe włosy. – Zamierzałaś ze mną o tym porozmawiać?

– Rozmawiać możemy, ale kompletnie nie potrafię tego wytłumaczyć. – Lore westchnęła i potarła dłońmi zmęczone oczy. – Pierwszy raz próbowałam przywołać przy nim Mortem, kiedy odciągnął mnie od ringu. Nie byłam w stanie. Kiedy mnie dotykał, ledwo cokolwiek wyczuwałam.

Gabriel zmarszczył lekko czoło.

– Ja w krypcie też przestałem wyczuwać Mortem – przyznał. – Może obecność Bastiana go tłumi, bo jest jednym z Arceneaux?

– Tyle że przy Antonie i Auguście nic podobnego się nie działo.

Tylko przy Bastianie, który najchętniej wcale by jednym z Arceneaux nie był...

Gabriel spochmurniał na twarzy.

– Może Bastian posługuje się jakąś formą wykradzionej magii żywiołów...

Lore natychmiast pokręciła głową.

– Takiej mocy już od pokoleń nie ma nikt – powiedziała. – A gdyby Bastian potrafił na zawołanie odpychać Mortem, użyłby tej mocy, by pomóc Auverrainie.

Kolejny raz mówiła o czymś, czego była pewna, choć nie potrafiła tego wyjaśnić i musiała zdać się na zaufanie Gabriela. Mnich odwrócił głowę tak, że nie widziała jego oka, tylko przepaskę na pustym oczodole, wyraźnie zarysowaną szczękę i zarost, który zdążył się na niej pojawić.

– Możemy sprawdzić w kościelnej bibliotece – odezwał się w końcu. – Jeśli członkowie rodu Arceneaux oddziałują w jakiś szczególny sposób na Mortem, w księgach powinna być o tym wzmianka. Jeżeli niczego nie znajdziemy, będziemy wiedzieć, że to coś, co robi sam Bastian.

Gabrielowi zdawała się dodawać otuchy myśl, że być może znajdą coś, co obciąży księcia. Oto miał plan, który pozwoli mu przekonać się, czy może ufać przyjacielowi z dzieciństwa.

Lore skinęła głową.

– Dobrze, sprawdźmy.

– Ciał też poszukamy – powiedział Gabriel tonem ustępstwa – ale odczekajmy parę dni. Kilka osób widziało, jak wychodzimy z Bastianem. August na pewno niedługo nas do siebie wezwie.

Raz jeszcze kiwnęła głową. Nie pasowało jej celowe odwlekanie poszukiwań, ale nie mogła zaprzeczyć, że to rozsądny ruch. Zwłaszcza jeśli mieli zostać wkrótce wezwani na audiencję.

– Położę się na trochę. – Gabriel wstał i się przeciągnął. Gdy Lore zerknęła wymownie na okno, za którym było już jasno, wcale go to nie zraziło. – Wszyscy w tym cholernym pałacu śpią za dnia. My też możemy – oznajmił, po czym ruszył w stronę drzwi, zdejmując po drodze koszulę. Zaraz wziął się do układania swojego pośłania w progu.

Lore obserwowała go, przestępując z nogi na nogę w drzwiach swojej sypialni, gdzie czekało na nią o wiele za miękkie łóżko. Aż nagle w mgnieniu oka podjęła decyzję: przeszła przez salon i ułożyła się na sofie.

– Moje łóżko jest za miękkie – mruknęła. Nie dodała na głos, że chce ufać Gabrielowi mimo jego słów o manipulacji i że czuje się zagubiona, a w całym pałacu

on jeden może uchronić ją od poczucia samotności. Za ilustrację wszystkich tych emocji musiało starczyć pięć zdawkowych słów.

Krótkie spojrzenie Gabriela było znakiem, że przynajmniej je usłyszał.

Lore pomyślała o chwili, w której chciał, żeby go pocałowała, i w której postanowiła tego nie robić. Wspomniała swoją decyzję, by nie mówić mu prawdy o swoim pochodzeniu, i choć po jej ciele wciąż pełzało pragnienie, nie żałowała tego.

Pomyślała też o ślubach Gabriela.

Mnich westchnął, po czym dało się słyszeć, jak układa się na posłaniu pod drzwiami.

Lore zwróciła się twarzą ku oparciu sofy i wtedy poczuła na poduszkach zapach kurzu. Wyobraziła sobie swój bezpieczny las tworzący zieloną zapórę, przez którą nie będzie mogła prześlizgnąć się śmierć. Zobaczyła zielone listowie, brązowe konary i lazurowe niebo, na którym znów unosiły się smugi czarnego dymu.

Zasypiając, pomyślała, że wydaje się gęstszy niż poprzednio.

*

Potrzebowała całego dnia, by znów poczuć się jak człowiek. Gabriel jego większość spędził w ciasnym gabinecie, czytając zatechłe manuskrypty i wertując fragmenty Kompendium. Od czasu do czasu schodził tylko do głównego holu, by przynieść im obojgu coś do jedzenia. Lore zaś po prostu drzemała na sofie, dając ciału w końcu odpocząć po całodziennym włączeniu się za księciem.

Gabriel na swoim posłaniu pod drzwiami ułożył się dopiero po zachodzie słońca. Lore cieszyła się jednak, że ma go obok i w razie potrzeby wystarczą jej dwa kroki, by znaleźć się przy nim.

Nie żeby taką potrzebę zamierzała wynajdywać.

Kolejnego ranka oboje spali do późna. Kiedy więc rozległo się pukanie do drzwi, dłuższą chwilę trwało, zanim się przebudziła. Usiadła na sofie z potarganymi włosami i zmiętą koszulą nocną splątana wokół tułowia.

– Gabi! – zawołała z poranną chrypką w obawie, że pukający może mieć klucz i zaraz uderzy mnicha otwieranymi drzwiami.

Niepotrzebnie się niepokoiła. Gabriel, rozmasowując plecy, sam dźwignął się już na posłaniu i przyglądał się właśnie czemuś, co zostało wsunięte przez szparę pod drzwiami. Z korytarza dobiegał tymczasem odgłos oddalających się kroków. Gdy

mnich po chwili odwrócił się na posłaniu i usiadł po turecku, Lore zobaczyła, że ma w dłoniach sztywną białą kopertę.

– Nie polecam na pobudkę zacięcia papierem... – mruknął, gdy Lore usiadła naprzeciw niego. Siedzieli teraz razem tak samo jak pierwszej nocy, gdy Gabriel uczył ją utrwalania. Lore poruszyła się nieco nerwowo, zadając sobie w głowie pytanie, czy też to zauważył.

Na leżącej na kolanach Gabriela kremowej kopercie napisano „Remaut”. Przy „t” widniał na papierze niewielki kwiatek.

– Alie – powiedziała Lore cicho.

Sięgnęła po kopertę i rozerwała ją. W środku znajdował się pojedynczy biały arkusz zapisany tym samym zdobnym pismem. Lore korciło przez chwilę, żeby się roześmiać.

– Przypomina nam o partii kroieta – oznajmiła, przebiegłszy wzrokiem po tekście.
– Dziś po obiedzie. – Lore zerknęła za okno, gdzie słońce stało już w zenicie. – To chyba za chwilę.

Gabriel pokręcił głową w geście odmowy, lecz Lore natychmiast zaproponowała.

– Idziemy! – powiedziała stanowczo.

– Potrafisz w ogóle grać w kroieta?

– Nie, ale przecież mnie nauczysz, prawda? – odparła niezrażona, choć wciąż kleiły jej się oczy, a ciało było obolałe po aż za długim odpoczynku. Miała chęć szybko wyjść z kwatery. Czuła też, że dobrze zrobi jej odrobina normalności, choćby udawanej. Partia kroieta wydawała się tymczasem najnormalniejszym, na co może liczyć w tym pałacu.

Gabriel, krzywiąc się delikatnie, potarł dłonią oko.

– Kiedyś grałem naprawdę nieźle – powiedział, po czym wstał i wyciągnął dłoń do Lore.

Ta chwyciła ją i pozwoliła podciągnąć się ku górze, lecz gdy tylko stanęła na nogi, mnich dziwnie szybko puścił jej rękę. Było w tym coś nienaturalnego.

Cóż, choć ich relacje wydawały się unormowane i mieli tylko wykonać razem zadanie, emocje w głębi nich wcale do końca nie zgasły. Były raczej jak gorące węgle, które czekają tylko na powiew wiatru.

Lore szybko włożyła lawendową sukienkę z podwyższoną talią i rękawami okrywającymi tylko ramiona. Dół był długi i obszerny, lecz i tak skromny

w porównaniu z tym, co potrafiły założyć na siebie niektóre dworzanki. Nie groziło jej, że zajmie swoją kreacją całą szerokość korytarza.

Czy był to odpowiedni strój na partię krokieta – nie miała pojęcia. Uznała po prostu, że jakoś to będzie.

Skrzywiwszy się lekko na widok swoich włosów, szybko zebrała ich część w warkocz zapleciony wokół głowy jak wianek. Reszcie pozwoliła luźno opadać na ramiona. Barwa włosów Lore była złotawo-brązowa, jednak w zestawieniu z delikatnym odcieniem sukienki wydawały się one nieco ciemniejsze. Gdy tylko uporała się z fryzurą, delikatnie przyszczypała policzki i przygryzła wargi, by wydobyć z nich nieco koloru. Tłumaczyła sobie przy tym, że nie ma to *nic* wspólnego ani z towarzystwem Gabriela, ani z możliwością natknięcia się na Bastiana.

Gdy wyszła ze swojej sypialni, Gabriel był już gotowy. Bez słowa podał jej łokieć, a ona wsunęła pod niego rękę. Ruszyli przed siebie korytarzem takim krokiem, jakby szli pod sąd.

Lore przywykła do widoku wpuszczonych w posadzkę żelaznych belek i w pewnym momencie przestała je nawet zauważać. Po wydarzeniach poprzedniej nocy znów jednak zaczęły się jej one rzucać w oczy. Odcinające się na tle posadzki – przypominały jej, że tacy jak ona nie są tu u siebie.

Obfity poczęstunek wystawiono w tym samym miejscu co poprzednio. Potężny stół aż ugiął się od wypieków, przekąsek i setek małych kanapeczek. Alie stała nieopodal, otoczona wianuszkami dworzan. Charakterystyczny jasny odcień włosów sprawiał, że łatwo było ją zauważyć.

Równie łatwo było zauważyć stojącego tuż obok Bastiana. Księżę popijał z kieliszka wino, patrząc na Lore i Gabriela jak myśliwy obserwujący zwierzę wchodzące w zasadzkę.

– Cudownie, że przyszliście! – Gdy Alie zaklaskała w dłonie, blade klejnoty na jej bransoletkach zaśniły w słońcu. – Teraz będziemy mieć równe zespoły.

– Rzeczywiście cudownie – mruknął Bastian. – Alie, powinnaś chyba w takim razie zagrać w drużynie z Gabrielem i Lore – zaproponował. – Jeśli będziemy oboje w jednym zespole, nie będzie szans na wyrównaną grę.

Stojąca obok kobieta, w której Lore rozpoznała po chwili nieodurzoną tym razem Cecelię, wyduła teatralnie wargi.

– Uważasz, że grasz lepiej ode mnie? – zwróciła się do księcia. – O ile mnie pamięć nie myli, ostatnim razem cię ograłam.

Bastian zaśmiał się pod nosem.

– To prawda, ale nie byłem wtedy skupiony na grze... – odparł.

Cecelia oblała się wdzięcznym rumieńcem i odwróciła wzrok.

Stojący obok niej mężczyzna zerknął na Lore z cierpiętniczym wyrazem twarzy.

– Czy ty kiedykolwiek się na niej skupiasz, Bastianie? – rzucił.

– Ranisz mnie, Olivierze. – Księżę przycisnął dłoń do serca. – Nie miej mi za złe.

Uwierz, odwracasz moją uwagę od gry równie skutecznie, jak twoja urocza siostra.

Olivier przewrócił oczami, ale i on lekko się spłonił. Łatwo było teraz dostrzec łączące go z Cecelią pokrewieństwo – u obojga rumieniec podkreślał jasnoniebieskie oczy i ciemne włosy.

– Z flirtowaniem poczekaj, aż skończymy mecz – skwitowała Alie, kierując się w stronę drzwi prowadzących do ogrodu. – Mnie tam teraz w głowie inne zdobycze.

– Niech nas bogowie uchowają... – mruknął Gabriel.

Rozdział 23

Czym się różni trucizniarz od boga? Trucizniarzom zdarza się usłyszeć nasze modlitwy.

Zasłyszane w caldieńskiej tawernie w roku 306 P.B.U.

Mecz trwał już od godziny, a Gabrielowi nadal udawało się nie zdzielić Bastiana młotkiem. Lore również trzymała swój na wodzy – kłopot w tym, że ani razu też nie zdołała za jego pomocą przetoczyć piłki przez bramkę.

– Wydaje mi się, że źle prowadzisz prawą rękę – stwierdziła Alie, gdy Lore szykowała się do kolejnego uderzenia. – Jest za sztywna i w efekcie uderzasz piłkę bokiem młotka zamiast przodem.

– Mam ją ugiąć? – Lore w ciągu ostatniej godziny zdążyła odkryć, że o ile nie zakochała się w krokiecie, o tyle jeszcze bardziej nie cierpi w niego przegrywać. Odprowadziła teraz łokieć na zewnątrz, ustawiając go niemal pod kątem prostym.

– Nie aż tak. – Alie delikatnie skorygowała ułożenie jej ręki. – Spróbuj teraz.

Lore spróbowała. Piłka minęła najbliższą bramkę, ale potem skręciła na tyle, że zmieściła się w kolejnej.

– Nareszcie! – Lore, promieniejąc, wyprostowała się. Musiała się pilnować, by z radości sama nie uderzyć się narzędziem w głowę.

Bastian, który oparłszy się o swój młotek, obserwował ją z krawędzi boiska, wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Nie ta bramka, moja droga!

Szlag trafił całą radość.

– Wynik: dziesięć do czterech dla nas – odezwała się Cecelia. Kiedy zaczynała liczyć punkty, wyraźnie cieszyło ją, że jej, Bastianowi i Olivierowi udaje się wyjść na prowadzenie. Teraz jednak w jej tonie zaczynało pobrzmiwać zażenowanie.

Olivier wyraźnie chciał się zaśmiać, ale siostra w porę szturchnęła go w ramię. Lore pomyślała, że Cecelia zachowuje się całkiem w porządku, kiedy nie jest odurzona wywarem z wilczych jagód.

Z głośnym westchnieniem po młotek sięgnął stojący obok Lore Gabriel. Wyglądało na to, że tak samo jak ona nie znosi przegrywać.

Alie, przygryzając wargę, przypatrywała się, jak szykuje się do uderzenia.

– Przepraszam, że przeze mnie przegrywamy – szepnęła do niej Lore.

– Nie żartuj. – Alie zbyła jej słowa machnięciem ręki. – Tydzień temu ograłam Oliviera we wszystkich trzech rundach, więc teraz próbuje ratować twarz i popisać się przed Bastianem. – Jej ton był pogodny, ale ani na moment nie oderwała wzroku od Gabriela. Lore trudno było wyczytać cokolwiek z jej wyrazu twarzy. Był zbyt złożony, by zdradzać tęsknotę, ale i zbyt łagodny, by oznaczać żal.

Sam Gabriel z kolei od początku meczu niemal nie odzywał się do swojej byłej narzeczonej. Ograniczał się do niezbędnego minimum, które pozwoliłoby mu nie wyjść na niegrzecznego. Alie kilkakrotnie próbowała zagajać rozmowę, lecz on rzadko reagował czymkolwiek więcej niż skinieniem głowy. Gdy stali obok siebie, raz za razem pocierał przepaskę na oku. Jakby sama obecność Alie przypominała mu o tym, że ma ją na twarzy.

– No cóż – powiedziała Lore – chyba następnym razem ja i Gabriel musimy najpierw zagrać kilka rund treningowych.

Na twarzy Alie pojawił się ciepły uśmiech.

– Świetny pomysł – stwierdziła. – A przy okazji: wysłałam wam zaproszenie na herbatę na ten tydzień, ale chciałabym, żebyś wiedziała, że jesteś mile widziana zawsze, a nie tylko ten jeden raz. Ja i moi przyjaciele spotykamy się każdego szóstego dnia i zawsze możesz do nas dołączyć.

Lore poczuła wewnątrz zaskakującą falę ciepła. Ten serdeczny gest był zapewne skierowany głównie do Gabriela – wystarczyło spojrzeć, jak Alie na niego patrzy, by nie mieć wątpliwości, że bardzo chce poznać go na nowo – jednak Lore bynajmniej nie zamierzała go z tego powodu odrzucać. Od dawna już z nikim się nie zaprzyjaźniła.

Poza tym, spędzając czas w towarzystwie Alie, miała większe szanse dowiedzieć się, kto z dworzan może rzeczywiście pracować dla Kiryteńczyków.

– Dziękuję – powiedziała.

Alie po przyjacielsku ścisnęła jej dłoń.

Tymczasem na boisku przyszła pora na uderzenie Cecelii. Ta z łatwością zdobyła kolejny punkt, po czym ruszyła w stronę Alie i Lore. Zbliżając się do nich, sięgnęła do kieszeni po płaską buteleczkę i pociągnęła z niej niewielki łyk. Lore natychmiast wyczuła zapach wilczych jagód.

– Skąd to bierzesz? – spytała.

Spodziewała się, że Cecelia zrobi wielkie oczy i zachowa się jak przestępczyni złapana na gorącym uczynku. Z formalnego punktu widzenia w końcu nią była. Dziewczyna jednak uśmiechnęła się tylko kokieteryjnie, upiła kolejny łyk, po czym wsunęła buteleczkę z powrotem do kieszeni.

– Stamtąd, skąd wszyscy – odparła niewzruszona. – Ze składu, w którym krwawi trzymają skonfiskowaną truciznę.

Lore stężała nagle na całym ciele. Stojąca obok niej Alie z zaniepokojeniem przygryzła dolną wargę, ale Cecelia najwyraźniej tego nie zauważyła.

– Jeśli chcesz, pokażę ci, gdzie to jest – kontynuowała jak gdyby nigdy nic. – Łatwo tam trafić.

– Cecelio... – Alie potrząsnęła niemal białymi lokami. W odróżnieniu od swojej przyjaciółki zauważyła, że Lore zrobiło się nieswojo.

Cecelia wzruszyła tylko ramionami.

– Jak tam wolisz – rzuciła na odchodne, po czym dołączyła do reszty swojej drużyny. Olivierowi i Bastianowi również zaproponowała łyk trucizny. Ten pierwszy skwapliwie skorzystał, drugi odmówił i zaraz z błyskiem w oku spojrzął na Lore.

Niedługo później partia dobiegła końca, a decydujący punkt zdobył Bastian. Cecelia i Olivier pożegnali się szybko, twierdząc, że są umówieni na obiad. Gdy się oddalali, dziewczyna obejrzała się przez ramię i zawołała do Lore:

– Gdybyś zmieniła zdanie, daj znać! Urządzimy sobie imprezę.

Lore zacisnęła u boku palce w pięść, kryjąc dłoń w fałdach lawendowej tkaniny. Tymczasem podszedł do niej Bastian z zarzuconym na ramię krokietowym młotkiem.

– W jakiej sprawie miałabyś zmienić zdanie? – spytał, odprowadzając wzrokiem Cecelię i jej brata.

– Nieważne. – Lore skupiła się na tym, by rozewrzeć palce i uspokoić się dzięki głębokim oddechom. – Nie zamierzam go zmieniać.

Książę zadarł brew.

– Nie chodziło przypadkiem o truciznę? – spytał.

Lore nie odpowiedziała.

– Wolałabym, żeby to odstawiła – wtrąciła Alie łagodnym tonem. Ze skrzyżowanymi na piersi rękami nerwowo wodziła palcami po koronce na rękawie. – Wiem, że jak mało kto ma powód, by tak sobie pomagać, a jednak nie podoba mi się to.

– Nie ma dobrego powodu, żeby się truć – skwitował ponuro stojący z brzegu grupy Gabriel. Swój młotek do krokiet trzymał teraz jak pałkę. – Świadome zaburzanie w swoim ciele równowagi pomiędzy Spiritum i Mortemem jest sprzeczne z rozprawami.

– Bycie dobrym lub złym nie sprowadza się do rozpraw, Gabi. – Ton Alie nie był napastliwy, ale dało się w nim wyczuć pewną ostrość, z którą Lore jeszcze się u niej nie spotkała. I Gabriel musiał ją wychwycić, bo na jego twarzy odmalowało się zaskoczenie.

– Aż do ostatniego balu maskowego nie wiedziałem, że Cecelia zażywa truciznę – odezwał się Bastian, kierując rozmowę na tory, które bardziej mu odpowiadały.

– Niedawno zaczęła – westchnęła Alie. – I naprawdę miała swoje powody.

– Jednym z nich jest zapewne to, że lubi się naćpać – odparł Bastian sucho.

– To nie to. – Alie pokręciła głową. – W każdym razie *nie tylko* to. Cecelia jest chora. Choroba nie postępuje na razie bardzo ostro, ale lekarze mówią, że... pożyje krócej, niż miała. To dlatego zaczęła pić wywar. Liczy na to, że dzięki truciznie zyska chociaż kilka lat. – Potarła czoło. – Jasne, nie powinna jej pić tyle, co na ostatnim balu, ale po prostu się boi.

Lore poczuła, jak ze złości robi się jej gorąco na policzkach. Szybko odwróciła wzrok, by nie dać po sobie poznać emocji.

Rozumiała, że Cecelia ma swoje powody. Nie zmieniało to faktu, że jako uprzywilejowana dworzanka mogła brać truciznę, nie narażając się na konsekwencje grożące wszystkim poza murami. Lore знаła niejedną osobę, która zażywała truciznę z powodu choroby – chcąc dodać sobie lat, by jak najdłużej móc opiekować się bliskimi. Byli nawet trucizniarze, którzy zajmowali się wyłącznie takimi klientami. Val i Mari dostarczały im towar za darmo, a stratę odbijały sobie na innych klientach.

Tyle że gdy plebejusza złapano na braniu trucizny, nikt nie pytał go, czy jest chory. Czekalo go natychmiastowe zesłanie na Wyspy Popielne. Teraz okazywało się jeszcze, że trucizna, którą ubodzy z takim wysiłkiem kupowali, trafiała po konfiskacie wprost do pańskich kielichów.

Ostry błysk w oku Gabriela zdradzał, że podąża on tym samym tokiem rozumowania co Lore. Mnich odłożył młotek i skrzyżował ręce na piersi.

– Wielu ludzi poza Cytadelą boi się dokładnie tak samo – powiedział. – Ale oni nie mogą spacerować sobie z butelką naparu z wilczych jagód.

– Nie mówię, że to właściwe – odpowiedziała łagodnie Alie. – A już na pewno nie jest właściwe to, jak Cecelia zdobywa truciznę. Rozumiem jednak, dlaczego ją bierze. Rozumiem, że się boi i jest gotowa zrobić wszystko, by śmierć nie dopadła jej, póki nie będzie na nią gotowa.

Bastian w milczeniu oparł się o młotek i z namysłem zmarszczył brwi.

– Ja też muszę już iść – odezwała się naraz Alie. Zanim ruszyła w stronę Cytadeli, zwróciła się jeszcze do Lore: – Obiecałaś ćwiczyć, pamiętaj! Widzimy się przy herbacie, a może i wcześniej!

– Do zobaczenia. – Lore, siląc się na uśmiech, pomachała jej dłonią.

Ona, Gabriel i Bastian zostali teraz sami. Cisza, która zaległa między nimi, była jak zaprawa murarska – im więcej czasu mijało, tym bardziej zdawała się zastygać i stawać nie do przełamania.

Problem rozwiązał się jednak sam, bo pojawił się sługa trzymający w chudych, bladych palcach kopertę. Zerknął nerwowo na Bastiana, jakby wahał się, czy w jego obecności wolno mu wykonać powierzone zadanie. Stwierdził najwyraźniej, że tak, bo wręczył kopertę Lore. Widać z całej trójki jej obawiał się najmniej. Zaraz potem się oddalił.

Na kopercie widniało nazwisko „Remaut”. Tym razem równo wykaligrafowane, bez typowych dla Alie zawijasów i ozdobników.

Lore spojrzała na Gabriela, poruszając trzymaną między palcami kopertą.

– Masz trzy strzały.

– Mnie wystarczy jeden – wtrącił się rozbawiony Bastian.

Gabriel, nie zwracając na niego uwagi, wziął od Lore kopertę. Otworzył ją, a następnie przebiegł zdrowym okiem po tekście.

– To od Augusta – odezwał się po chwili. – Mamy stawić się w sali tronowej w najbliższej dogodnej porze.

– Czy „najbliższa dogodna pora” może być po drzemce? – spytała z nadzieją.

– Jak znam mojego ojca – odezwał się Bastian – „najbliższa dogodna pora” znaczy, że macie w tej chwili w podskokach zapieprzać na audiencję. – Oparł młotek na ramieniu i ruszył w stronę pałacu. – Bawcie się dobrze i koniecznie wszystko mi opowiedzcie!

Krwawi strzegący wejścia do sali tronowej rozwarli przed nadchodzącą parą dwuskrzydłowe drzwi. Wartowników było więcej niż poprzednio – zapewne po to, by nikt nie mógł dostać się do środka podczas poufnej rozmowy. Wchodząc na audyencję, Lore i Gabriel mieli nadzieję, że król nie będzie zadawać zbyt wielu trudnych pytań.

August wyglądał na równie zmęczonego jak oni sami. Jego ciemna jak zwykle szata była wymięta, jakby miał ją na sobie całą noc. Spojrzenie króla pozostawało szkliste, a jego twarz – wymizerowana. August nie miał na głowie korony. Żelazne belki tuż przy podeście tronowym wychodziły łukiem ponad posadzkę, przypominając fale rozbijające się o dziób łodzi. Siedzący powyżej nich król oparł łokcie na kolanach i nie podniósł nawet wzroku, gdy Lore i Gabriel zmierzali w jego stronę.

Obok królewskiego tronu stał Anton. Jego biała szata też wydawała się wymięta i nieświeża. Najwyższy kapłan skinieniem głowy dał Lore i Gabrielowi znak, by się zbliżyli. Cienie na skórze wokół jego zdrowego oka zdradzały, że i on był bardzo znużony. Żaden z braci Arceneaux nie spał chyba tej nocy za wiele, co tylko spotęgowało niepokój Lore.

– Przedostatniej nocy byliście z moim synem poza murami – odezwał się August, z westchnieniem podnosząc w końcu wzrok. – Jestem pod wrażeniem. Widzę, że z zabójczą skutecznością wkupiliście się w jego łaski.

Wargi Antona drgnęły w przelotnym uśmiechu, po którym po chwili nie pozostał ślad.

Gabriel stał obok Lore nieruchomo jak skała i wydawał się jednym wielkim kłębkim nerwów. Widziała jego twarz od strony przepaski, więc nie była w stanie zobaczyć, w którą stronę patrzy. Jego podbródek był jednak zwrócony nieco w kierunku Antona.

Lore przełknęła ślinę.

Bastian się mylił – Gabriel tak naprawdę był lojalny nie wobec Kościoła czy nawet samego Apolliusza, ale wobec Antona. Bo to on zastąpił mu zamordowanego ojca, dał w życiu cel i wskazał, jak odzyskać utracony honor. Najczarniejszy okres w życiu Gabriela przekuł w coś, co ten do dziś uważa za błogosławieństwo.

A teraz Lore oczekiwała, że Gabriel tego człowieka okłamie.

Pomyślała o więzi, którą wyczuwała pomiędzy sobą a mnichem – o przedziwnym przeświadczeniu, że znają się znacznie, znacznie dłużej niż tylko kilka dni. Gabriel

nie wyznał jej nigdy, by czuł cokolwiek podobnego, ale na wszystkich bogów, Lore bardzo chciała teraz wierzyć, że tak jest, a mnich zachowa się po jej myśli.

– Czy udało wam się czegoś dowiedzieć? – spytał August, opadając na oparcie. – Wygadał się?

– Nie powiedział nic istotnego – odparła gładko Lore. – Zabrał nas do doków na swoją walkę. Przegrał.

– Kolejne rozczarowanie – mruknął August.

– Człowiek działa na miarę oczekiwań wobec siebie – odezwał się Anton. – Ty zaś nigdy nie kryłeś tego, jak niewiele spodziewasz się po swoim synu.

Król obrzucił wzrokiem najwyższego kapłana. Srogie spojrzenia obu braci były niemal jednakowe, podobnie jak napięcie rysujące się na ich twarzach. Obaj ani drgnęli, ale przestrzeń między nimi niemal zgęstniała od przemocy. Gabriel i Lore czuli się, jakby zastali braci podczas potężnej kłótni, którą ci przez grzeczność na moment tylko przerwali.

Lore nerwowo kołysała się na stopach. Anton, nie bacząc dłużej na brata, odezwał się do niej po chwili:

– Czy Bastian zrobił... cokolwiek dziwnego?

Lore z trudem zapanowała nad swoim wyrazem twarzy na tyle, by wyglądać nie na zdumioną, lecz tylko lekko zbitą z tropu. Natychmiast pomyślała o sytuacji, gdy nie była w stanie przyzwać Mortemu, ale nie zamierzała się z tego zwierzać.

– Chyba nie do końca rozumiem pytanie... – odezwała się po chwili.

Najwyższy kapłan westchnął.

– Czy podczas walki robił cokolwiek, co wydało ci się niecodzienne? – spytał powoli.

– Nie. – Lore pokręciła głową. – Po prostu wszedł na ring i oberwał.

Przez twarz Augusta jakby przemknął cień. Król zerknął na brata, ale ten nie odpowiedział na jego spojrzenie i tylko skinął z namysłem głową.

– Dobrze sobie radzisz – odezwał się w końcu Anton po chwili krępującego milczenia. – Udało ci się zbliżyć do Bastiana, a tego właśnie oczekiwaliśmy. – Najwyższy kapłan spojrzał w stronę tronu. – Jesteśmy przekonani, że twoje działania wkrótce przyniosą efekty.

Gabriel wciąż stał bez ruchu i milczał. Jego twarz była blada, a wargi zacisnęły się w cienką linię. Tylko ledwie zauważalne drżenie palców – które stłumił szybko,

opierając wytatuowaną dłoń na nodze – zdradzało, że poczuł się nieswojo, słuchając pochwał pod adresem Lore.

Wtem rozległ się głośny dźwięk otwierania drzwi i do sali tronowej wpadł zdyszany Malcolm. Jego ciemne oczy były szeroko otwarte, a na czole skrzyły się krople potu.

– Wyciek... – zaczął, z trudem łapiąc oddech. – Potężny wyciek Mortemu w Okręgu Południowo-Wschodnim!

Rozdział 24

Mortem pozostaje niewidoczny dla wszystkich z wyjątkiem potrafiących nim władać – tych, którzy zbliżyli się do śmierci na tyle, by ujarzmić jego moc. Wszyscy inni pozostają nieświadomi zagrożenia, jakie niesie, póki nie padną jego ofiarą. Dlatego też nie wolno nam poprzestać na modlitwie i karmieniu się nadzieją, że zagrożenie owo samo przeminie.

Phillipe Deschain, auverrainiński uczony, z opracowania przedstawionego Kościołowi
w roku 1 P.B.U. (tuż po zniknięciu Apolliusza)

Idę z wami.

– Nie.

Na ułamek chwili zapadła cisza. Zaraz jednak atmosfera rodzinnego sporu uleciała, by ustąpić miejsca niezwłocznym, precyzyjnym działaniom. Anton wyszedł z sali najszybciej, jak dało się to zrobić, nie biegnąc, a wciąż zdyszany Malcolm czym prędzej podążył za nim. August tymczasem podniósł się z tronu i zakrzyknął w stronę straży, nakazując natychmiastowe zamknięcie Cytadeli. Nikt miał jej od tego momentu nie opuszczać i nikomu nie wolno było do niej wejść. Lore chciała już powiedzieć, że nie ma to większego sensu, bo zamknięte wrota czy furty i tak nie są dla Mortemu żadną przeszkodą, ale ugryzła się w język, gdy zobaczyła, że Gabriel pospiesznie opuszcza salę, by podążyć za Antonem i Malcolmem. Wolała pójść za nim, niż próbować pouczać Augusta.

By dotrzymać mnichowi kroku, musiała niemal biec.

– Mogę wam pomóc – zagaiła cicho.

– Możesz też zginąć. – Gabriel stanowczo pokręcił głową. – Nie zamierzam cię narażać.

– To pierwszy poważniejszy wyciek Mortemu od... sama nie wiem ilu lat. W każdy razie od *cholernie* dawna. Potrzebujecie mnie.

Mnich zacisnął zęby, ale nie odpowiedział ani słowem i ani na moment nie zwolnił kroku. Idący z przodu Anton i Malcolm byli zbyt pochłonięci myślami w drodze do kościoła, by wsłuchiwać się w prowadzoną cicho rozmowę Lore i Gabriela. Może i lepiej. Lore nie była pewna, czy życzyliby sobie jej dalszej obecności, więc postanowiła po prostu pójść za nimi i postawić ich przed faktem dokonanym.

– Poza tym – mówiła pełnym wyrzutu szeptem – nie tylko ja mogę zginąć!

Po korytarzach szybko przemykali krwawi. Słysząc było też kolejne krzyki zaskoczonych dworzan.

– Presque Mort może nie poradzić sobie z tym wyciekiem – dodała Lore.

Prawdziwe wycieki – nie stróżki Mortemu, które trafiały czasem do kamiennego ogrodu, gdy uchylano studnię – zdarzały się niesłychanie rzadko. Nie licząc pierwszych lat po Boskim Upadku, gdy magia broczyła z ciała bogini niczym wody wezbranej rzeki, odnotowano zaledwie trzy. Każdy z nich spowodował jednak niemałą liczbę ofiar. Każdy rozlał się też poza granice Dellaire, mnisi nie zdołali bowiem przekierować całego uwolnionego Mortemu w drzewa i kwiaty.

Gabriel nie odpowiedział. W oddali widać już było otwarte drzwi prowadzące do ogrodu. Rysowały się za nimi połyskujące w popołudniowym słońcu bryły kościoła i Sanktuarium Południowego. Wyjścia pilnowali gwardziści, czekający tylko na to, by zamknąć je za wychodzącymi mnichami.

– Nie chcę, żeby coś ci się stało – odezwała się Lore zdyszonym, lekko ochrypłym głosem. – Słyszysz, Gabi? Nie chcę, żeby stała ci się krzywda, więc pozwól mi sobie pomóc!

Mnich przystanął, zwrócił się w jej stronę i zmierzył ją ostrym spojrzeniem zdrowego oka.

– W porządku – odezwał się po chwili, po czym znów ruszył w stronę otwartych drzwi.

Znów musiała gonić go niemal biegiem.

Wartownicy zaryglowali za nimi drzwi, nim stopa Lore na dobre oderwała się od progu. Miały one pozostać zamknięte, póki wyciek nie zostanie opanowany. Pozostawały teraz dwie możliwości: Anton albo pozwoli jej dołączyć do mnichów, albo zamknie ją w kościele. Lore wątpiła, by zdecydował się na to drugie. Każdy mortemista był teraz przecież na wagę złota.

Jej przypuszczenia potwierdziły się już chwilę później, gdy wszyscy przekroczyli drzwi stojącego po drugiej stronie ogrodów kościoła. Anton zerknął przez ramię i w pierwszej chwili wyglądał, jakby musiał się upewnić, że dobrze widzi.

– Co ty tu... – zaczął.

– Sam wiesz, że masz za mało ludzi, żeby opanować jakikolwiek większy wyciek – rzuciła Lore. Minęła Antona i skierowała się ku otwartym przez Malcolma wewnętrznym drzwiom. – Idę z wami.

Najwyższy kapłan nie próbował się spierać. Przyjrzał się tylko Lore. Okaleczona część jego twarzy była skryta w cieniu, jego ciemne oczy lśniły w półmroku.

– Tak – odezwał się po chwili. – To chyba rzeczywiście dobry pomysł.

Lore, nie bacząc dłużej na kapłana, minęła Malcolma i weszła do chłodnego wnętrza. W kościele unosił się zapach polerowanego drewna i kadzidła – zapach, który zawsze przywodził jej na myśl Gabriela.

– Jesteś pewna? – spytał cicho Malcolm, zrównując z nią krok. Anton minął ich oboje i poprowadził całą trójkę korytarzem z szarego kamienia. Drzwi po obu jego stronach wiodły do kolejnych cel klasztornych. – Delikatnie mówiąc, nie wygląda to dobrze.

Skinęła głową, świadomie ignorując ukłucie strachu.

– Przydam się wam – powiedziała.

– Temu nie przeczę – odparł Malcolm.

Anton szybkim krokiem prowadził ich przez kolejne korytarze układające się w labirynt niemal tak samo zagmatwany, jak ten w Cytadeli. Wreszcie zatrzymali się w obszernym pomieszczeniu bez drzwi, gdzie czekało kilkunastu ludzi z bliznami. Mnisi Presque Mort.

Większość przebierała się akurat z białych szat – identycznych z tą, którą miał na sobie Anton – w czarne przylegające koszule i skórzane uprząże. Na każdej uprząży umieszczono dwie kabury ze sztyletami. Najwyraźniej na wypadek, gdyby mnisi musieli uporać się nie tylko z magią, ale i z... czynnikiem ludzkim. Członkowie Presque Mort nosili broń, lecz nie była to zasadniczo formacja zbrojna.

Na dłoni każdego z mnichów widniał tatuaż wyobrażający świecę.

Spojrzenia wszystkich bez wyjątku padły teraz na Lore. Jedne zdradzały zaciekawienie, inne – wyraźną nieufność. Lore nie spuściła oczu. Zadarła podbródek i sama powiodła wzrokiem po zebranych.

– Też potrafi kanalizować Mortem – wyjaśnił Anton, niedbale machając dłonią, jakby Lore nie była nikim szczególnie istotnym. – Przyda się nam pomoc.

*

Trasę do Obwodu Południowo-Wschodniego pokonali nie pieszo, ale konno. Czarne konie pędziły przez ciasne brukowane uliczki w takim tempie, że Lore chwilami bała się o życie. Miasto wydawało się niemal opustoszałe – wieść o wycieku

rozprzestrzeniała się na szczęście szybciej niż sama zabójcza magia. Większość ludzi niemożność zobaczenia Mortemu z naddatkiem rekompensowała sobie paniką. Im bliżej miejsca wycieku znajdowali się mnisi i Lore, tym mniej ludzi widać było wokół. Kto tylko mógł, uciekł na drugą stronę miasta.

Lore z całych sił obejmowała Gabriela w pasie i przyciskała pierś do jego pleców. Nigdy nie lubiła jeździć wierzchem. Jeśli tylko miała wybór, wołała pójść pieszo lub podjechać bryczką. Czarnym koniom nie sposób było jednak odmówić chyżości. Cała grupa dotarła na miejsce w niespełna pół godziny.

W Okręgu Południowo-Wschodnim już zapach powietrza zdradzał, że coś jest bardzo nie tak.

Gabriel zsunął się błyskawicznie z konia, po czym wyciągnął ręce ku górze i pomógł Lore zsiąść, przytrzymując ją w pasie. Gdy ta stanęła na ziemi, omal się nie zachwiała. Grunt pod jej stopami był niestabilny. Wydawał się ledwie cienką powłoką spowijającą coś przegniłego, gotowego lada chwila się skruszyć.

Wiszący w powietrzu kwaśny fetor sprawił, że Lore aż skreśliło w żołądku.

– Co to? – spytała. Jej głos zaczynał drżeć. Kolana również.

– Co takiego? – Gabriel przymrużył oko i podał uzdę stojącemu obok duchownemu nienależącemu do Presque Mort. Mężczyzna wyglądał, jakby wolał być wszędzie, tylko nie tu. – Ja niczego nie czuję.

Twarz Gabriela robiła się coraz bardziej nieostra. Cały jego kontur zdawał się rozmywać, jak gdyby lada moment miał się w coś przemienić. Patrząc na Lore, mnich wysunął ręce lekko naprzód, jakby spodziewał się, że za chwilę będzie ją musiał podtrzymać.

– Nic – ucięła. Pewnie z nerwów coś jej się uroiło.

Pokręciła głową i ruszyła za Antonem. Pilnując się, by równo stawiać kroki, rozejrzała się na wszystkie strony. Nic innego nie wydawało jej się rozmyte. Tylko Gabriel zdawał się... zanikać.

Nie, niemożliwe. To musiało być z nerwów.

Ze wszystkich okręgów Dellaire ten Południowo-Wschodni leżał najbliżej terenów uprawnych. To tu rolnicy przyjeżdżali sprzedawać swoje plony. Ponad linią dachów otaczających rynek widać było ciągnące się na zielonych pagórkach pola i pastwiska. Był to najślabiej zaludniony miejski okręg, lecz i tak dziwnie było widzieć go tak opustoszałym. Na ulicach nie zastali żywej duszy. Wszyscy albo zbiegli na zachód miasta, albo zaryglowali się w domach. Wszechobecną ciszę zakłócał tylko odgłos

kroków podążających za Antonem mnichów. Najwyższy kapłan nie miał już na sobie białej szaty. On również włożył czarny strój i skórzaną uprząż. Wyglądał dziwnie – jakby się za kogoś przebrał. Z jego zwyczajowego ubioru pozostał tylko potężny złoty wisior w kształcie serca, który połyskiwał teraz w promieniach chylącego się ku zachodowi słońca.

Nim Lore zdążyła zobaczyć wyciek, poczuła go. Omal nie straciła równowagi. Miała jednocześnie wrażenie, jakby coś w jej wnętrzu zajęczało. Kwaśny fetor w powietrzu stawał się coraz bardziej nieznośny. Wyprostowała się natychmiast, ale spojrzenie, które posłał jej Gabriel, dowodziło, że zauważył, co się stało.

Śmierć otaczała ją ze wszystkich stron – wisiała w powietrzu jak dym szukający tylko szczeliny, którą będzie mógł wnikać do środka. Lore skoncentrowała się i pomyślała o błękitnym niebie i zaporze z drzew. Z trudem udało jej się stłumić koszmarnie doznanie, które ją dopadło.

Idący na przędzie Anton zatrzymał się nagle.

– Jest! – zawołał.

Wyciek bił z opuszczonego sklepu. Sypiący się budynek był podobny do tego, obok którego Lore tydzień wcześniej wskrzesiła konia i tym samym wpakowała się w całą tę historię. Mrok sączył się na zewnątrz przez wykrzywione drzwi i wylewał po krótkich schodach na ulicę. Przypominał jednocześnie wodę i dym – był spoisty i robił wrażenie ciekłego, a jednak miał w sobie coś ulotnego i zwiewnego, co sprawiało, że trudno było się na nim skupić. Obie strony mortemowego potoku zasłane były drobnymi kośćmi. Tylko tyle zostało z myszy i innych drobnych stworzeń, które zdążyły paść już jego ofiarą.

Lore poczuła, że kurczy jej się żołądek.

Godne podziwu było to, jak mnisi próbowali nie okazywać strachu. Mimo to nawet niektórych z nich zdradzały wielkie oczy czy niepewna postawa. Żaden nie widział do tej pory czegoś podobnego.

Jako pierwszy do Antona dołączył Malcolm. Wziął głęboki wdech i skierował wytatuowane dłonie ku rzece Mortemu.

– Kierujcie jak najwięcej w kamienie – poinstruował pozostałych. – Byle nie za dużo, bo zaczną pękać. Jeśli zostanie coś jeszcze, wykorzystajcie to. – Skinął głową w stronę niewielkiego zieleńca pośrodku placu. – Gdyby rośliny nie mogły już przyjąć więcej, kierujcie Mortem na pola. Uwaga na konie. Możecie je wykorzystać tylko w ostateczności.

Lore obejrzała się przez ramię. Przerażony duchowny stał kawałek dalej, trzymając za uzdy kilka niczego niepodejrzewających wierzchowców.

Konie. Dlaczego znów konie?

Pozostali mnisi ustawili się w szyku, tworząc trójszereg po lewej stronie wycieku. Gabriel stanął obok Malcolma i Antona, a Lore zaraz do niego dołączyła. We czworo tworzyli pierwszy szereg. Wszyscy jednocześnie wyciągnęli ku mrocznemu nurtowi dłonie z symbolem światła Krwawiącego Boga.

Na próżno jednak.

Minęła chwila, nim Lore zorientowała się, że członkowie Presque Mort w ogóle kanalizują Mortem. Od śmiertelnego potoku odrywały się pojedyncze smużki, które rozpląwały się w powietrzu, nim zdążyły wnikać w kogokolwiek z zebranych. W niczym nie przypominały one gęstych, ciemnych smug, do których przywykła Lore. Choć wszyscy mnisi mieli zbieleiałe, trupie palce i zmętniałe oczy, wyciekającego Mortemu wcale nie ubywało. Po chwili jeden z członków Presque Mort stracił na moment równowagę. Nie miało to już żadnego znaczenia. Ani on, ani wszyscy zebrani mnisi razem wzięci nie mogli uporać się z taką ilością Mortemu.

Coś – choć Lore nie do końca wiedziała co – było tu bardzo nie tak. Rozrzucone po bruku kości przywiodły jej na myśl pułapkę na myszy i zwierzę, które idąc na śmierć, zupełnie nie jest tego świadome.

Anton jako jedyny nie miał rąk w górze. Jako jedyny nie patrzył w stronę potoku Mortemu. Spojrzenie jego ciemnego oka utkwione było w Lore.

Przypatrywał się jej jeszcze przez chwilę i dopiero potem zwrócił się w stronę wycieku i uniósł rękę.

Efekt był natychmiastowy. Z mroku dobyły się potężne smugi Mortemu – takie, jakie Lore wydobywała wcześniej ze zwłok. Zamiast jednak natychmiast powędrować ku dłoniom Antona, zaczęły wić się i splatać w powietrzu, a po chwili ułożyły się w coś na kształt misternego węzła. Lore nigdy wcześniej czegoś podobnego nie widziała. Ale przecież tak skupiony Mortem musiało być znacznie trudniej tchnąć w rośliny lub kamienie...

– Lore. – Jej imię zabrzmiało jak świszczący oddech konającego.

Natychmiast zwróciła głowę w stronę Gabriela. Ten spojrzał na nią zdrowym okiem, z którego zniknął cały błękit. W całości pokrywało je trupie bielmo. Policzki mnicha były zapadnięte, a jego zęby nienaturalnie obnażone. Skóra zdawała się ciałniej przylegać do czaszki.

– Mówiłaś, że chcesz pomóc – odezwał się Gabriel. – Więc pomóż.

W powietrzu wciąż unosiła się kwaśna woń. Lore miała wrażenie, że stoi na miękkich nogach. Anton nadal układał Mortem w zupełnie niezrozumiały dla niej kształt. Gabriel miał rację. Mierne efekty wysiłków pozostałych mnichów jasno wskazywały, że taka ilość Mortemu ich przerasta.

Lore uniosła więc ręce i przymknęła powieki. Wstrzymując oddech, odczekała, aż świat przed jej oczami stanie się czarno-biały. I wtedy przyzwała ku sobie śmierć.

Coś znów było inaczej niż dotąd. Zobaczyła w morzu szarości węzeł zapleciony przez Antona. Pulsował w powietrzu ponad strumieniem z wycieku. Przyciągając smugi Mortemu, Lore starała się go ominąć, ale nie miała dość precyzji. Nigdy nie nauczyła się działać tak ostrożnie jak mnisi. Skutek był taki, że węzeł w mgnieniu oka rozlał się w powietrzu.

Lore myślała, że Anton zacznie na nią krzyczeć. Że będzie starał się w jakiś sposób ją powstrzymać, a potem odtworzyć swój misterny twór. On jednak odsunął się tylko nieco na bok i zwrócił się ku niej, otoczony białą poświatą.

Usiłowała wstrzymać to, co zaczęła, ale nie dała rady. Jej instynkt zadziałał ze zbyt wielką mocą. Czuła się, jakby porwał ją potężny wir. Splecione wcześniej przez Antona smugi Mortemu powędrowały błyskawicznie ku jej dłoniom, po czym natychmiast przeniknęły przez jej skórę i dotarły aż do serca.

Odczuwała Mortem inaczej niż zwykle. Mocniej. Wirując szaleńczo, przetoczył się przez jej żyły i wcale nie uleciał na zewnątrz.

Lore w panicznym odruchu wbiła stopy w ziemię i rozczapierzyła palce. Usiłowała stawić opór nawałnicy, która na nią runęła.

I wtedy rozległ się krzyk.

Próbowała zamknąć dłonie, ale ciało nie było jej posłuszne. Czuła się jak skostniały trup. I tak też z pewnością wyglądała. Wszystko zdawał się spowijać przesywający chłód. Lore czuła, jak stygnie i nieruchomieje – od palców dłoni przez kręgosłup aż po serce. Jakby zgniatał ją w garści jakiś lodowy olbrzym.

I wciąż ten niemilknący krzyk. Krzyk, który – nie wiedząc jak – sama wywołała.

Najdonośniejszy był jednak głos w jej własnej głowie.

Nie masz szans przed tym uciec. Nie zorientowałaś się jeszcze?

Słowa niosły się echem w jej kościach i wprawiały w drżenie każdy nerw. Głos brzmiał jednocześnie obco i znajomo. Przedziwnie. Był jak kanon dobywający się z dwóch gardeł.

Jeden z dwóch zawartych w nim głosów brzmiał przy tym jak głos samej Lore.

Co dzień się umacnia. Przeżera cię jak gnicie. Tym bardziej, im bliższa jesteś wyniesienia.

Głos był jak olej rozlewający się po wszystkich zakamarkach jej mózgu. Wnikający w każdą, najmniejszą choćby wolną przestrzeń. Podobnie brzmiał ten, który przed tygodniem kazał jej na placu wskrzesić konia. Ale tym razem słowa wypowiedane były z większą stanowczością.

Nie uciekniesz przed tym, kim jesteś, córko mroku. Śmierć odnajdzie cię zawsze, bo jesteś jej dziedziczką. Nosisz w sobie apokalipsę. Nastanie końca. Jesteś pożogą, na której wyrośnie las. Zniszczeniem u zarania powtórnych narodzin.

Lore czuła, jak śmierć wbija się szponami w jej płuca, serce. Każdy organ jej ciała, jeszcze przed chwilą zdrowy i pełen życia, zdawał się więdnąć i usychać. Nie była w stanie wyrzucić z siebie Mortemu, za to wciąż chłonęła go więcej i więcej. Nie zabijał jej – to byłoby zbyt proste. Coś jednak powodował. Odmieniał ją. Wgryzał się w jej moc i szarpał nią na wszystkie strony, jakby chciał rozpostrzeć ją szerzej. Jakby chciał wydrążyć Lore i stworzyć w niej przestrzeń na coś nowego. Coś potężnego i mrocznego.

Nie była w stanie otworzyć oczu, jakby zszyto jej powieki. Zaciskając zęby, w końcu dobyteła z siebie siłę, której wcześniej nie była nawet świadoma. Z donośnym krzykiem wyrzuciła z siebie Mortem – wypychając go z obrzmiałych żył i kości, które najchętniej skruszyłyby się pod naporem potwornej siły.

Kamienie pod stopami Lore były już zbyt kruche. Wokół czuła jednak życie. Tak samo, jak czuła śmierć. Były dla siebie niczym negatyw. Jak dwa różne strumienie zrodzone z jednego źródła. Lore czuła ciała dyszących, przerażonych koni i zatrute strachem serca mnichów. Nieco dalej – wolną od myśli i wciąż spokojną energię zieleńca. Jeszcze dalej zaś – pola uprawne.

Mortemu było zbyt wiele, by przy kierowaniu nim móc pozwolić sobie na choć odrobinę finezji. Pchnęła go więc bez namysłu w korzenie – te w ziemi pod zieleńcem i te dalsze, tkwiące w glebie pól. Teraz śmierć, opuszczając jej żyły, wiodła ją samą z powrotem ku życiu.

Prawo przeciwieństw, pomyślała. Oto splecione ze sobą życie i śmierć umacniały się nawzajem.

Spiritum uleciało z każdego, najmniejszego choćby liścia czy źdźbła. Ustępowało jednak miejsca nie śmierci, ale zastoju. Wstrzymaniu czasu. Mortem spowił każdą

widoczną i niewidoczną drobinę życia – owady, larwy, wszystko, aż po niedostrzegalne gołym okiem mszyce. Potem zaczął wnikać głębiej. Zmieniał w kamień źdźbła trawy pośród kamieni brukowych, wyczekujące deszczu dżdżownice i niewidoczne cebulki kwiatów, które miały zakwitnąć dopiero jesienią. Zaraz przyszła też kolej na pola uprawne. Źdźbła pszenicy w mgnieniu oka przemieniały się w zwieńczone kłosem kamienne tyki, a korzenie zamarły w formie nieruchomej podziemnej mozaiki.

Lore udało się oszczędzić zwierzęta hodowlane, choć mało brakowało, by w porę się nie opamiętała. Niski, pełen przerażenia ryk krów przebił się przez ludzkie krzyki w ostatniej chwili.

Wszystko wokół – życie – na moment zamarło. Lore na ten jeden ułamek chwili stała się bramą śmierci: pozwoliła płynąć jej przez siebie jak wodzie przez koło młyńskie. Gabriel ostrzegał ją, że kierując w ten sposób Mortemem, trzeba być szczególnie ostrożnym. Lecz ona czuła tylko, jak przetacza się przez nią chaos. Póki magia nie ustała, nie uświadamiała sobie nawet, że sama zaczęła krzyczeć.

Oni chcą twojej mocy, powiedział głos cicho, gasnąc wraz z ostatnimi smugami Mortemu. Ciało Lore pomału wracało do życia. Każą ci nabierać siły, by potem cię złamać. By uczynić cię ledwie łonem rodzącym magię, do której sami nie są zdolni. Nie stanie się tak jednak, jeśli sama im na to nie pozwolisz. Nawet gdy dostąpisz już wyniesienia, pamiętaj, że należysz wyłącznie do siebie.

Lore otworzyła oczy.

Wyciek ustał. To akurat było dobre. Mimo to nie obeszło się bez ofiar.

Mnich, którego imienia nie знаła, leżał na ziemi, wpatrując się w swoją stopę. Czy raczej w to, co z niej zostało – lśniące trupa bielą naruszone kości. Skórę i mięśnie Mortem obrócił w pył. Mężczyzna krzychał, nie odrywając wzroku od swojego okaleczonego ciała.

Lore rozejrzała się szybko, by upewnić się, czy nie ucierpiał ktoś jeszcze, ale mnich był jedyną ofiarą. Nikt inny nie zetknął się z nurtem Mortemu.

W pierwszej chwili była tak przerażona widokiem obnażonych kości, że nie poczuła nawet na sobie spojrzeń wszystkich pozostałych członków Presque Mort.

Z ich oczu były tymczasem zdumienie, przerażenie i wstręt.

Anton wysunął się przed pozostałych. Jego twarz nie zdradzała na razie żadnych emocji. Po zaplecionym przez niego mortemowym węźle nie było śladu. Kapłan

przyglądał się teraz Lore jak nieznanemu wcześniej zwierzęciu. Jak istocie, która jest tak potężna, że należy się przy niej mieć na baczności.

Gabriel stał obok, nieruchomo wpatrzony w rannego mnicha. Nie odsunął się od Lore, jednak gdy ta, rozpaczliwie chcąc znaleźć w kimkolwiek oparcie, sięgnęła w jego stronę, wzdrygnął się. Dłoń dziewczyny trafiła w pustkę. Jej chwytające powietrze palce wyglądały jak nogi leżącego na plecach pająka.

– Ja to zrobiłam? – Ton Lore brzmiał krucho, niemal dziecinnie. Jednocześnie żałowała, że się odezwała, i desperacko chciała poznać odpowiedź na swoje pytanie.

Gabriel jej nie udzielił.

Leżący na ziemi mnich przestał krzyczeć, ale jego widok stał się od tego tylko bardziej przerażający. Ranny wciąż wpatrywał się tępo w miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą znajdowała się jego stopa, a teraz sterczała jedynie przecięta kość.

Lore czuła, że uginają się pod nią kolana. Znów zaczęła widzieć nieostro – tym razem nie tylko Gabriela, lecz wszystko wokół. Choć wyciek ustał, w powietrzu wciąż unosiła się kwaśna woń Mortemu. W Lore z każdym oddechem narastało wrażenie, że zaczyna w nim tonąć.

– Gabi, czy ja to zrobiłam? – próbowała ponowić pytanie. Jej słowa zwały się w ledwie zrozumiałe bełkot.

Nie usłyszawszy nawet, czy Gabriel odpowiedział, osunęła się w mrok.

Rozdział 25

Ciało zawsze wie.

Przysłowie eroccańskie

Umysł Lore był jak papka, jej nogi i ręce – jak z ołowiu. W ustach czuła kwaśny smak. Nie przebudziła się, ale też nie spała. Tkwiła gdzieś pośrodku. Zstałe powietrze smakowało mineralnie, ostro.

Wiedziała, że śni – lub że dzieje się z nią coś zblizonego – lecz i tak poczuła ukłucie strachu, gdy zobaczyła grobowiec. Był większy, niż go zapamiętała. Potężny obsydianowy blok połyskiwał ciemnym blaskiem. Był jak groźba wypowiedziana przez samą ziemię – jakby ta chciała przygnieść dziewczynę, pochłonąć ją i zagrzebać w sobie.

Lore przemieszczała się z senną powolnością. Płynęła przez przestrzeń jak zwarta bryła. Jakby nie miała rąk i nóg. Była ledwie kłębkim myśli i nieważkiej materii. Próbowwała odsunąć się od grobowca Nyxary, ale nie była w stanie chwycić się podłoża. Nie słyszała odgłosu przesuwanej po kamieniu tkaniny. Cokolwiek robiła, odległość pomiędzy nią a sarkofagiem się nie zwiększała. Lore czuła się jak pies uwiązany na łańcuchu. Nie mogła ani o cal oddalić się od spoczywającej w grobowcu bogini.

Udawało jej się tylko raz po raz poruszać ku górze. Przebijać taflę czarnych wód na tyle długo, by zdążyć zaczerpnąć powietrza.

– Żyje – usłyszała nagle. Głos, który rozbrzmiał nad nią, z jakiegoś powodu skojarzyła odruchowo z ogniem, kadzidłem, tłumioną wściekłością i płonącymi drzewami. – Żyje, ale się nie ocknęła.

– Ocknie się – odpowiedział drugi, nieznany głos. Lore złapała się teraz na myśli, że pierwszego też tak naprawdę nie zna. Różnica pomiędzy nimi była jednak wyraźna. Ten, który usłyszała wcześniej, był dźwięczny i wyrazisty. Drugi, cichszy, zdawał się dobiegać z większej odległości. – Musimy dać jej czas.

– Minęły już trzy dni.

– Widziałeś przecież sam, co zrobiła. – W tonie mówiącego nie było złości, ale słowa wypowiedział z naciskiem. – Po czymś takim trzeba czasu, żeby dojść do siebie.

Pierwszy głos nie odezwał się więcej.

Lore znów straciła przytomność.

*

Czas płynął. Czy upłynęło go wiele – tego Lore nie wiedziała. Zawieszona w pustce barwy atramentu, niczego nie widziała ani nie czuła.

Aż nagle rozpoznała piasek, ocean i błękitne niebo.

Ten sen był przynajmniej znajomy.

Znów siedziała obok niej ta sama postać. Lore zwróciła się ku niej, licząc na to, że tym razem będzie mieć szansę lepiej się jej przyjrzeć. Przez ułamek sekundy myślała już, że ją rozpozna. Lotny, nieostry obraz scalał się w coś namacalnego i znanego. Zaraz zniknął, pozostawiając po sobie tylko cień.

Lore poczuła nagle szarpnięcie w piersi. Zaniepokojona, osłoniła się natychmiast skrzyżowanymi rękoma. Szarpnięcie było bolesne. Miała wrażenie, że coś próbuje wyrwać jej serce. Nie zamierzała jednak oddać go nikomu ani niczemu. Należało wyłącznie do niej.

Po niebie nie wił się dym. Było czyste i nieskazitelnie błękitne.

Siedząca obok postać wydawała się wystraszona. Na tyle przynajmniej, na ile bezcielesny byt może się wystraszyć.

– Interesujące – odezwał się pusto brzmiący, wyzuty z emocji głos. – Wygląda na to, że większa moc skutkuje zwiększoną kontrolą. Mamy jednak czas. Spróbujemy ponownie.

Lore nie słuchała.

Znów odpłynęła w mrok.

*

Lore poczuła, że się wynurza. Jej nawykłe do mroku oczy oślepił nieznosnie jasny blask. Po chwili zarysowały się rozmyte kontury pokoju, który wydał jej się znajomy. Jej kończyny były ciężkie i niemal bezwładne, ale przynajmniej po raz pierwszy od dawna je czuła. Po długiej przerwie znów zatliło się w niej życie.

Ktoś oparł na jej ramieniu dłoń, a Lore miała wrażenie, że jest ona gorąca jak słońce. Śmierć i mrok, w które na tak długo się zapadła, nagle zostały odegnane.

Ziejąca wewnątrz niej wyrwa, przez którą była niczym naczynie czekające na napełnienie, teraz jakby zbiegała się i zapadała w głąb samej siebie.

– Długo trwał ten stan? – Głos osoby, która jej dotknęła, także brzmiał znajomo. Miał w sobie życie. Był słodki, choć z nutą goryczy, wzbudzał w Lore jednocześnie miłość i nienawiść, nadzieję i lęk.

– Prawie tydzień – oznajmił głos, który też słyszała już wcześniej. Ten, który przywodził jej na myśl ogień. – Anton mówi, że należało się tego spodziewać, ale...

– Pieprzyć Antona! – Palce mocniej zacisnęły się na jej ramieniu. Lore chciała dać znać, że sprawia jej to ból, ale nie była w stanie poruszyć ustami. – Trzeba było wpuścić mnie do niej za pierwszym razem, a nie zmuszać mnie, żebym skarżył na ciebie jak dziecko.

– Na tym akurat się znasz, co? – Odpowiedź aż kipiała tłumionym gniewem.

Na moment zapadła cisza. Lore żałowała, że nie daje rady otworzyć oczu. Chętnie przekonałaby się, czy rozmówcy właśnie rzucają się sobie do gardeł. Wyglądało na to, że bardzo niewiele ich od tego dzieli.

– Wpuściłem cię teraz – odezwał się po chwili płomienny głos. – Co za różnica? I tak w żaden sposób jej nie pomożesz.

Mylił się. Dotyk dłoni na ramieniu Lore przepędzał śmierć i mrok w sposób zarazem cudowny i przerażający. Chętnie powiedziała by to głośno, wciąż jednak nie była w stanie się odezwać. Co gorsza, dotarło do niej, że kolejny raz odpływa i pomału traci przytomność.

*

Powiedzieć, że Lore czuła się po przebudzeniu kiepsko, byłoby dużym niedopowiedzeniem. W ustach miała ohydny smak, jakby opła się wody z rynsztoka, a palce bolały ją tak, jakby przez wiele godzin je wykrzywiała. Gdy zerknęła na swoje dłonie, zorientowała się, że są ciasno zaciśnięte w pięści – może więc rzeczywiście tak było.

I to nie przez kilka godzin, ale dni...

Cały ten paskudny stan okazał się też ledwie wstępem do wspomnienia o mnichu, któremu Mortem do kości przeżarł nogę, pozbawiając go stopy.

Lore skupiła się na tym, by palec po palcu rozluźnić dłonie. Było to bolesne i na usta cisnął jej się krzyk, ale zapanowała nad sobą. Po chwili przypomniała też sobie

głosy, które słyszała pogrążona w półsennym letargu. Miała teraz pewność, że należały do Gabriela i Bastiana. Wcześniej, na wpół przebudzona, nie potrafiła po prostu przypomnieć sobie ich imion. Nie wątpiła jednak, że obaj stali przy jej łóżku.

Teraz pokój był pusty. Na stoliku przy łóżku Lore zobaczyła miski z niedojedzonym bulionem i do połowy opróżnioną szklanę z wodą. Nie pamiętała nawet, by miała cokolwiek w ustach, ale teraz bulion okazał się jak znalazł. Dzięki niemu choć trochę pozbyła się paskudnego posmaku.

Spróbowała dźwignąć się z łóżka. Opierając się o słupek, z trudem stanęła na odrętwiałych nogach. Wciąż miała przed oczami wyraz twarzy Gabriela na ułamek sekundy przed tym, jak zemdląca. Widziała jego przerażenie – na widok jej samej i tego, co zrobiła.

Mimo to Gabriel był przy niej, kiedy leżała nieprzytomna. Pomimo tego co się stało. Tak naprawdę – co właściwie zrobiła? Nie było tu jasnej odpowiedzi. To, jak patrzyli na nią członkowie Presque Mort, jasno wskazywało jednak, że uważali ją za winną nieszczęścia swego towarzysza. Sęk w tym, że jeśli pechowy mnich jakimś sposobem wplątał się w smugi Mortemu unoszące się pomiędzy nią a wyciekami, Lore nic nie mogła na to poradzić. Nie ona była tu winna i nie obchodziło jej, że zakonnicy mają w tej sprawie inne zdanie.

Ale gdyby Gabriel uważał, że zawiniła...

Na samą myśl o tym poczuła nieprzyjemne ukłucie.

Raz po raz stawał Lore przed oczami ostatni zapamiętany obraz Antona – przypatrującego jej się ze spokojnym zaciekawieniem. Nim nieszkolone dłonie Lore zaczęły kanalizować Mortem, najwyższy kapłan uformował go w sposób, z jakim nigdy wcześniej nie miała do czynienia. Czy coś w nim zmienił? Czy może wpłynął tym jakoś na nią? Chciała w to wierzyć, ale miała świadomość, że wygląda to na szukanie wymówek. Tak samo widziałyby to również Gabriel.

Palenie w piersi Lore nie brało się do końca ze smutku. Ani też z gniewu. Choć trudno było jej to przyznać, dręczące ją uczucie miało wiele wspólnego ze wstydem. Cóż, przynajmniej gdy kuśtykała teraz w stronę drzwi sypialni, absorbowało ją coś innego niż głos, który słyszała w głowie, gdy przewodziła Mortem.

Każą ci nabierać siły, by potem cię złamać.

Pokręciła głową i pchnęła drzwi.

Na zakurzonej kanapie przed rozpalonym kominkiem ktoś siedział. Nie był to jednak Gabriel.

Bastian...

Lore przystanąła w drzwiach i nieco zdezorientowana spojrzała na Księcia Słońca. Ten po chwili obejrzał się na nią przez ramię. W jego złotobrazowych oczach odbijały się płomienie. Bastian wstał i przeciągnął się – gdy jego nieskazitelnie biała koszula lekko się uniosła, Lore zauważyła, że brzuch księcia wciąż jest posiniaczony po walce.

– Dzień dobry – odezwał się. – Czy raczej dobry wieczór. Przespałaś kolację, ale to niedziwne, bo przespałaś też cały ostatni tydzień. Dlatego pomyślałem, że przyniosę ci coś do jedzenia.

Głos księcia jakby wyzwolił w niej iskrę. Więź, którą wyczuwała zawsze w jego obecności, przez chwilę wydawała się jeszcze głębsza. Wniknęła w Lore aż po mięśnie i szpik. Przed oczami stanął jej obraz skąpanego w słońcu ogrodu różanego na szczycie góry. W mgnieniu oka jednak zniknął.

Na stoliku obok sofy stała taca przykryta srebrną pokrywą, spod której unosił się smakowity aromat. Lore, nie zastanawiając się, jakie danie może na nią czekać, sięgnęła po widelec, szybkim ruchem uniosła pokrywę, po czym wpakowała sobie kęs do ust.

Po chwili rozpoznała smak ptasiego mięsa pieczonego w warzywach.

– To paw – podpowiedział Bastian, siadając na podłokietniku sofy i przyglądając się Lore. – Dla mnie to paskudztwo, ale widzę, że tobie podchodzi.

– Wzięłabym teraz do ust wszystko – odparła Lore, przeżuwając.

– Gdyby nie to, że masz za sobą traumatyczne doświadczenie, pozwoliłbym sobie na świński dowcip. Ale daruję ci. Doceń, że umiem się opanować.

„Traumatyczne doświadczenie” – dobrze ujęte. Paw zaczął nagle smakować jak popiół. Lore z trudem przełknęła kęs, który miała w ustach, po czym odłożyła widelec i skrzyżowała ręce na piersi.

– Gabriel powiedział ci, co się stało? – spytała, wbijając wzrok w krążek cebuli, by uniknąć patrzenia księciu w oczy.

– Oczywiście, że nie – odparł Bastian z nutą szyderstwa. – Musiałem o wszystko pytać Malcolma. Szczęście, że byłem akurat w sanktuarium, kiedy cię tam przynieśli.

– Książę zawiesił na moment głos. – Gabriel nie chciał mnie do ciebie dopuścić. Dopiero Anton wymógł to na nim na moją prośbę.

Lore zamrugnęła, zaskoczona tym, że Bastian sam z siebie zwrócił się do stryja.

– Jak to?

– Pytasz o to, dlaczego Gabriel tak się upierał, czy o to, dlaczego chciałem cię odwiedzić? – Książę na moment wbił wzrok w dywan. Wyraz jego twarzy zdradzał, że tak naprawdę dobrze wie, o co pyta Lore. – Czy uwierzysz, jeśli powiem, że jesteś dla mnie ważna? – Jego słowa zawisły w powietrzu niczym niewidzialna linia.

Lore nie potrafiła jej w tym momencie przekroczyć, więc odpowiedziała zachowawczo:

– Rozumiem. Skoro szantażem zmusiłeś mnie, żebym dla ciebie pracowała, nic dziwnego, że chronisz swoją inwestycję.

– Wiesz przecież, że nie to miałem na myśli.

– Nie zamierzała dać się teraz w to wciągnąć. Po tygodniu spędzonym w łóżku była zbyt słaba i obolała.

– Więc nie ześlesz mnie na Wyspy Popielne, jeśli powiem twojemu ojcu i stryjowi, że znasz ich plany?

Całą odpowiedzią Bastiana było milczenie. Lore spodziewała się zresztą takiej reakcji. Zależało mu na niej, ale nie na tyle, by rzec się nad nią kontroli.

– Skinęła głową, jakby książę wyraził się wprost.

– Nie chcę, żebyś cierpiała – powiedział wymijająco Bastian. Mówił cicho. – Możesz myśleć o mnie, co ci się podoba, ale naprawdę chcę dla ciebie dobrze. I nie dlatego, że dla mnie pracujesz. Po prostu.

– Krótko się znamy – odparła Lore niemal szeptem.

– To prawda. – Książę się uśmiechnął. – A jednak... jakbyśmy znali się od dawna.

– Temu nie umiała zaprzeczyć. Ale nie była gotowa rozmawiać na ten temat. Nie wiedziała po prostu jak.

Na stoliku, obok tacy, stał kieliszek z rozwodnionym winem. Lore sięgnęła po niego i upiła łyk, a po chwili się odezwała.

– Co właściwie robiłeś w sanktuarium?

Bastian łatwo przystał na zmianę tematu. I on nie miał najwyraźniej chęci rozmawiać o tym, na ile są dla siebie ważni i jaką więź między sobą wyczuwają.

– Pewne osoby, które lubię całować, mieszkają w mnisich celach – odparł bez skruchy.

– Krwawiący Boże...

– On akurat nie ma z tym *nic* wspólnego – zastrzegł Bastian, jednak z jego tonu szybko zniknęła szelmowska nuta. – Tak naprawdę byłem tam, bo chciałem pójść za tobą do wycieku – wyjaśnił. – Nie zdążyłem w porę wyjść. Drzwi były już zamknięte.

– Po co chciałeś za mną iść? – spytała Lore ze zdziwieniem. – I tak nic byś nie poradził.

Książę oderwał wzrok od dywanu i spojrzał na nią. Kosmyk ciemnych loków zsunął mu się z czoła na policzek.

– Chciałem mieć cię na oku – odparł tonem, który miał brzmieć żartobliwie. – Remauta zresztą też. Instynkt samozachowawczy nie jest mocną stroną żadnego z was.

Lore nie miała siły się na niego jeżyć. Westchnęła tylko i poczęstowała się kolejnym kęsem tak znienawidzonego przez Bastiana pawia.

– Czy Macolm mówił ci, co *dokładnie* się stało? – zapytała, gdy już udało jej się przełknąć. – Ten mnich... Byłam obok i to moja wina, ale sama nie wiem...

– To *nie* twoja wina.

Nie licząc sytuacji w ciemnym zaułku w dokach, Lore nie słyszała u niego tak stanowczego tonu. Zaskoczona, podniosła wzrok i sponad talerza przyjrzała się Bastianowi.

Książę wciąż siedział na podłokietniku w nonszalanckiej pozie, ale widać było po nim napięcie.

– Robiłaś, co mogłaś – dodał po chwili.

Nie uciekniesz przed tym, kim jesteś.

Lore naszła myśl, by powiedzieć Bastianowi o głosie, który usłyszała w głowie. Zaraz jednak ją odpędziła. Instynkt podpowiadał jej, by zachować tę informację dla siebie. Jakiś sekret musiała sobie zostawić.

Na moment zapadła cisza. Lore wbiła wzrok w talerz, jednocześnie czuła na sobie spojrzenie księcia.

W końcu Bastian westchnął.

– Malcolm wszystko dokładnie mi opisał – zaczął – ale zanim powiem ci więcej, chcę, żebyś wiedziała, że ten ranny mnich dochodzi do siebie. Rana się goi, a Kościół opłaci mu protezę. Będzie pod dobrą opieką.

Lore drętwo skinęła głową.

– Podobno kiedy zaczęłaś kanalizowanie – ciągnął książę – Mortem nagle... wezbrał. Jak fala. Przestał poddawać się mnichom i cały ruszył w twoją stronę.

Jakby na nią czekał. Albo został w jej stronę skierowany...

– Na pewno cały? Czy tylko ten uformowany przez Antona?

Bastian uniósł brew.

– Nikt nie wspominał nic o Antonie.

Czyżby to wszystko było tylko złudzeniem? Zapleciony przez Antona mortemowy węzeł i wewnętrzny głos... Może przepływająca przez jej głowę potężna fala Mortemu sprawiła, że Lore zaczęła widzieć i słyszeć rzeczy, których tak naprawdę nie było?

– Tak czy owak, Jean, ten ranny mnich, sam się do ciebie zbliżył. Prawdopodobnie chciał pomóc. – Bastian wzruszył ramionami. – Niestety podszedł za blisko. Mortem wciąż ścielił się po ziemi, a Jean w nim ugrzązł. Gdyby Malcolm w porę go nie odciągnął, mogłoby z niego nic nie zostać. Potem mnisi nie próbowali ci już pomagać.

Z początku jednak nie zostawili jej samej! Człowiek, który nawet nie znał Lore, rzucił jej się na pomoc i przyplącił to utratą stopy.

– To niesamowite, że stoisz o własnych siłach – powiedział po chwili Bastian łagodniejszym tonem. – Przez tydzień byłaś nieprzytomna. Zaczynaliśmy mieć wątpliwości, czy kiedykolwiek się ockniesz.

Lore, pogrążona w półśnie gdzieś poza pamięcią, sama dłuższy czas nie była tego pewna. Teraz wsunęła tylko automatycznie do ust kolejny kęs mięsa.

– A jeśli niepokoisz się o Gabriela, to jemu też nic nie będzie – dodał ksiązę niedbale, odgarniając włosy z oka.

– Jak to „nic mu nie będzie”? – Lore poczuła, jak nagle wzbiera w niej panika.

– Wyciągnął rękę w twoją stronę i stracił kawałek palca. – Przez twarz księcia przemknął figlarny uśmiech. – Nie żeby wiele mógł tym palcem zdziałać. W końcu ślubował czystość.

A więc i Gabriel próbował coś zrobić. Nie rekompensowało to jego nieobecności w tej chwili, ale było to już coś...

Przez chwilę siedzieli w bezruchu. Ciszę zakłócało tylko wesołe trzaskanie polan w kominku. Potem Bastian wstał i otrzepując ciemne spodnie z kurzu, z niesmakiem powiódł wzrokiem po porzuconych przez Gabriela na podłodze kocach i ubraniach.

– Przez cały czas, kiedy leżałaś, nikt nie miał tu wstępu, ale teraz przyślę pokojówkę. Widzę, że Remaut nie potrafi sam zadbać o porządek.

Na widok koców Lore poczuła ulgę. Miała przed sobą kolejny drobny dowód na to, że Gabriel nie odwrócił się od niej, nawet wiedząc, co zrobiła.

– Dziękuję, Bastianie – powiedziała cicho.

– Nie ma o czym mówić – odparł księżę i skierował się w stronę wyjścia. – Odpoczywaj. Nie byłoby źle, gdybyś z powrotem zasnęła. Do świtu jeszcze dobrych kilka godzin.

Lore niemrawo skinęła głową, ale nie paliła się, by wracać do sypialni.

– Myślisz, że Gabriel wróci? – spytała, gdy Bastian był już przy samych drzwiach.

Mimo że widziała leżące na podłodze koce, chciała się upewnić. Potrzebowała usłyszeć od kogoś, kto wiedział, kim była, że Gabriel się od niej nie odwróci.

Dłoń księcia, nim ostatecznie oparła się na drzwiach, zastygła na moment w powietrzu.

– Oczywiście – odparł Bastian bez wahania. – Przecież ty tu jesteś.

Po tych słowach wyszedł na korytarz.

Lore bez przekonania zjadła jeszcze kilka kęsów mięsa, a następnie wyciągnęła się na sofie. Tapicerka wciąż była ciepła.

Zastanawiała się, jak długo księżę czekał, aż ona się ocknie. Trudno było jej sobie wyobrazić, by był gotów siedzieć tu godzinami, jednak ciepło sofy wyraźnie wskazywało, że nie przyszedł tylko na chwilę.

Zamknęła oczy i westchnęła. I pod powiekami zobaczyła zaraz twarz Gabriela – przerażoną na jej widok, jakby była jakimś monstrum.

Lore otworzyła oczy i zawiesiła wzrok na płomieniach. Próbowwała przypomnieć sobie cokolwiek z wielu godzin snów. Nie wracało do niej jednak nic poza głosami. Głosami Gabriela i Bastiana. To one – i dotyk księcia – odeгнаły duszący ją Mortem i przywróciły do życia. Lore przypomniała sobie nagle o sytuacji w zaułku. Gdy Bastian stał obok, nie była w stanie przyzwać Mortemu.

Czy to dlatego, że był z rodu Arceneaux? Dlatego, że namaścił go Apolliusz? Z tego, co wiedziała, żaden z jego przodków nie posłużył się nigdy Spiritum. Ale może źle się do tego zabierali... Jeśli Spiritum było równie niestałe i niezbadane jak Mortem, władanie nim mogło wymagać nie lada precyzji.

Gdyby tylko zjawił się Gabriel, od razu by go o to wypytała.

Czując na żołądku przyniesioną przez Bastiana sutą kolację, Lore wyginała i rozprostowywała wciąż odrętwiałe od Mortemu palce. Na wszelki wypadek sprawdziła szczelność zapory wokół swojego umysłu. Wolą oszczędzić sobie przykrych niespodzianek, gdyby jednak udało jej się zasnąć. Wizualizując sobie drzewa i błękitne niebo, znów pomyślała o Gabrielu i utkanej z tylu sprzecznych emocji więzi między nimi. Było tu pragnienie i przyjaźń, podejrzliwość i konflikt

lojalności... Nie żeby o to ostatnie zamierzała mieć do Gabriela pretensje. Nie po tym, jak usłyszała głos.

Nie uciekniesz przed tym, kim jesteś.

– No to zobaczymy – warknęła pod nosem w stronę płomieni. Ciężyły jej powieki, ale serce było pełne determinacji.

*

Zbudziło ją skrzypienie drzwi.

Usiadła błyskawicznie na sofie z włosami w nieładzie, niepewna, czy uciekać, czy się bronić.

Jej przestrach był jednak niepotrzebny. W drzwiach stał Gabriel. Końcówka jego palca wskazującego owinięta była bandażem, a sam palec wydawał się krótszy, niż powinien.

Mnich spojrział na nią, a ona na niego. Żadne z nich nie wiedziało, co ma powiedzieć.

Po przeciągającej się chwili ciszy spojrzenie Lore oderwało się od niebieskiego oka Gabriela i powędrowało w dół, ku przedmiotowi, który trzymał w dłoniach. Była to zwinięta torba z tkaniny. Lore rozpoznała wzór materiału – pakunek pochodził od jednego z okolicznych aptekarzy.

Gabriel podążył za jej wzrokiem.

– To lek – powiedział cichym, ochryłym nieco głosem. Brzmiał tak, jakby nie spodziewał się, że będzie się musiał odezwać. – Pomoże ci na dłonie.

Lore wstała i podeszła do niego. Sięgnęła po torbę tak, by nie dotknąć skóry Gabriela. Wewnątrz pakunku znajdował się słoiczek maści leczniczej. Jej zapach okazał się tak intensywny, że dało się go wyczuć pomimo zatkniętego korka. Lore natychmiast go zresztą rozpoznała – była to mieszanka goździka i cynamonu. Oba świetnie rozgrzewały.

– Używamy tego, kiedy musimy kanalizować Mortem – wyjaśnił Gabriel już nieco czystszym głosem. Momentalnie też się wyprostował, a Lore miała wrażenie, że zaczyna znów przywdziewać swoją maskę. – Szczypie jak skurwysyn, ale szybko przywraca czucie w palcach.

– Jak skurwysyn, mówisz? – Lore spojrziała na niego z lekko kąśliwym uśmiechem. Nie potrafiła dłużej patrzeć mu w oczy, więc przesunęła spojrzenie na piegi na jego

nosie. – Dwa tygodnie Anton cię nie pilnuje i zaczynasz kłąć, jakbyś robił to od dziecka.

Na samą wzmiankę o Antonie Gabriel lekko się wzdrygnął. Zaraz jednak wzruszył ramionami.

– Wszystko przez ciebie – odpowiedział. I choć rzucił to niemal żartobliwym tonem, te trzy słowa zdawały się mieć znaczny ciężar. Oboje natychmiast to wyczuli i choć żadne się nie poruszyło, nagle jakby dystans między nimi się zwiększył.

– Dzięki – bąknęła Lore po chwili, wsuwając torbę z lekiem pod pachę. Wystarczyło, że na chwilę odsunęła się od ognia, a zrobiło jej się zimno. Teraz, gdy poczuła na rękach gęsią skórę, zorientowała się nagle jak bardzo. Drżąc, zaczęła kierować się w stronę swojej sypialni. – Chyba lepiej się położyć. Wiem, że przespałam cały tydzień, ale to nie był zdrowy sen.

– Kto tu przede mną był? – spytał nagle Gabriel.

Lore na widok jego miny ściągnęła brwi. Spojrzenie mnicha padło na tacę z niedojedzonym pawim mięsem. Po tym, jak odruchowo zacisnął palce w pięść, łatwo było poznać, że zna już odpowiedź na swoje pytanie.

– Bastian – odparła, nie siląc się na żal w głosie. – Był tu, kiedy się przebudziłam.

Nie miało to zabrzmieć jak wyrzut, ale Gabriel wyraźnie tak odebrał jej słowa. Wskazywał na to sposób, w jaki odwrócił natychmiast twarz w stronę ognia.

Bijąca od kominka czerwonawa łuna nadawała teraz jego rysom ostrzejszy wyraz. Widok Gabriela w tej chwili poruszył w umyśle Lore odległą nutę, jakby zatarte niemal w całości wspomnienie. Zaraz jednak odegnała je od siebie.

– Myślisz, że Malcolm pozwoli nam wejść do kościelnej biblioteki? – spytała po chwili.

– O ile będziemy mieć sensowny powód. Jest taki?

Lore przygryzła wewnętrzną stronę policzka, głowiąc się, jak dobrać słowa.

– Wiesz już, że obecność Bastiana utrudnia przyzywanie Mortemu... – zaczęła w końcu. – Wtedy przy ringu, później w krypcie... Sam to przecież wyczułeś. Za to potem, kiedy leżałam tu nieprzytomna... czułam, że wszedł do pokoju. Coś we mnie zareagowało na jego obecność.

Mnich słuchał z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. Znów jednak wyraźnie się spiął.

– Ta jego obecność mi pomogła – dodała Lore, wzruszając ramionami. I tak było to z jej strony niedopowiedzenie, zważywszy, jak niezwykła rzecz wtedy zaszła. –

Wydaje mi się, że to może mieć związek ze Spiritum. I z tym, że Bastian jest z rodu Arceneaux.

– Nie wyciągałbym pochopnych wniosków – odparł szybko Gabriel. – Rozumiem, że to, co stało się w krypcie, było dziwne i trochę niepokojące, ale pamiętaj, że dosłowna interpretacja zapisu w rozprawach do dziś jest sporna...

– Właśnie dlatego chcę skorzystać z biblioteki – przerwała mu Lore. – Sprawdźmy, czy uda się nam znaleźć więcej informacji. Nie tylko o Spiritum i Arceneaux, ale o... wszystkim. – Lore gestykulacją dała znać, że chodzi jej o Bastiana, wymarłe wioski i potężny wyciek Mortemu po latach spokoju. – Jestem pewna, że to wszystko jakoś się ze sobą łączy. Może uda nam się znaleźć tekst, który pomoże nam jakoś to rozgryźć.

Gabriel na ułamek chwili znieruchomiał, po czym rzeczowo skinął głową.

– Jutro pomówimy z Malcolmem – powiedział, patrząc w końcu wprost na Lore. – Wspominałaś Bastianowi o swoich podejrzeniach?

Gabriel zadał to pytanie spokojnym tonem, który miał w sobie jednak coś mrocznego. Może i wisiała nad nimi groźba Bastiana – a Lore wiedziała, że nie jest to czcza pogroźka – lecz mnich nie zamierzał być wierny Księżciu Słońca. Ani teraz, ani kiedykolwiek.

– Nie – odparła Lore. – Nie mówiłam mu.

Na twarzy Gabriela odmalowała się ulga. Skinął głową, jednocześnie rozluźniając ramiona. Przez chwilę stali naprzeciw siebie bez słowa, choć przestrzeń między nimi zdawała się tylko czekać, aż coś ją wypełni. Możliwości było wiele, lecz Lore postanowiła nie korzystać z żadnej. Odwróciła się, po czym zniknęła w swojej sypialni.

Zamknawszy za sobą drzwi, odstawiła maść na toaletkę i przebrała się w wełnianą koszulę nocną, którą znalazła w szafie. Zaraz też otuliła się ciepłym szlafrokiem. Wciąż raz po raz przechodziły ją dreszcze. Czują śmiertelny, przesywający do szpiku kości chłód. Jakby na widok Gabriela jej ciało przypomniało sobie o mortemowym koszmarze.

Zgrabiętymi palcami wyjęła korek z buteleczki z maścią i nałożyła lek. Gabriel miał rację – rzeczywiście szczypało... jak skurwysyn. Lore syknęła i potarła dłońmi, rozprowadzając maść po palcach i nadgarstkach. Jeszcze chwila i szczypanie ustąpiło miejsca ciepłu. Ze skrzyżowanymi na piersi rękami szybko zagrzebała się w pościeli.

Sen nie chciał jednak nadejść. Lore była zbyt zmarznięta i wycieńczona.

Nie namyślając się, nieco instynktownie, dźwignęła się po chwili z łóżka i ruszyła w stronę drzwi do salonu. Otworzyła je i wyjrzała w spowity czerwoną łuną półmrok. Gabriel leżał na swoim posłaniu pod drzwiami ze wzrokiem utkwionym w sufit. Po jego nagiej piersi pełzały ciepłe refleksy światła bijącego od płomieni.

Gdy Lore zaczęła się zbliżać, mnich spojrzał w jej stronę. Wciąż obejmowała się rękami – jak ktoś, kto rozpaczliwie otula się, brnąc przez zamieć.

– Tak mi zimno... – odezwała się.

Gabriel bez słowa uniósł koc w zapraszającym geście. Lore położyła się obok niego, a on zaraz ją przykrył. Ułożył się przy tym plecami ku drzwiom, tak aby mogła oprzeć się swoimi o jego pierś.

Jego ciepło szybko zaczęło rozchodzić się po jej ciele. Gdy odrętwienie ustępowało, Lore czuła się, jakby po latach obcowania ze śmiercią wracało do niej życie. Gabriel delikatnie objął ją ręką w talii i przyciągnął ku sobie. Biały bandaż na jego palcu odcinał się na tle ciemnego koca. Lore czuła na włosach spokojny oddech mnicha. Po chwili zamknęła oczy i zapadła w długo wyczekiwany sen.

Tym razem nic na szczęście się jej nie śniło.

Rozdział 26

Nie do przecenienia jest wpływ zjawisk naturalnych na oddziaływanie boskich mocy. Apolliusz był bogiem Słońca, Nyxara zaś – Księżycy. Ich związek okazał się gwałtowny, a jego skutkiem była zagłada świata, jaki znaliśmy przed Boskim Upadkiem. Jednakże – gdy symbole tych dwojga bóstw łączą się na niebie, nastaje czas niezmiernych możliwości dla tych, którzy potrafią posługiwać się mocą. Zaćmienie oznacza zmianę zachodzącą w obrębie natury samej magii. Jest to czas, gdy przeciwieństwa mogą stać się jednością.

Solenne Bacque, wykładowca teologii kosmologicznej na Uniwersytecie Ularha
w Kadmarze (okres przed zaborem kiryteańskim)

Au! – Głos Gabriela nagle przebudził Lore. Dobiegał z zaskakująco bliska.

Otworzyła natychmiast oczy i zobaczyła świat pod nieco dziwnym kątem – z dołu i z ukosa. Każdy mięsień jej ciała był o włos od skurczu, a do tego coś uwierało ją w plecy. Okazało się, że to kręgosłup zwróconego twarzą ku drzwiom Gabriela. Mnich wciąż leżał obok niej bez koszuli. Chcąc się ogrzać, Lore spędziła noc przytulona do niego i nie myślała o tym, w jakim stanie zostanie ich poranek.

Teraz, dźwignąwszy się z pośłania, zabrała ze sobą koc i otuliła się nim ciasno. Spała w życiu z wieloma osobami – w obu tego słowa znaczeniach – i dotąd nie była osobą pruderyjną. Przy Gabrielu czuła się jednak inaczej. Był nabożny, wiązały go śluby, no i... był Gabrielem. Wszystko to sprawiało, że ze wstydu i skrzepowania aż piekły ją policzki.

Rumieniec na twarzy mnicha zdradzał, że i on czuł się w tej nowej sytuacji mocno niekomfortowo. Łatwo dało się też poznać, że w mgnieniu oka podjął decyzję, by nie mówić o tym, co stało się poprzedniej nocy. Lore była mu za to wręcz niedorzecznie wdzięczna.

Gabriel sięgnął za siebie po kolejną przesyłkę wsuniętą pod drzwi. Lore tymczasem zastanawiała się, kiedy mnich się obudził. Czy gdy spała, długo leżał obok, otaczając ją ramieniem i pozwalając jej odzyskiwać siły?

Gabriel trzymał teraz w dłoni kopertę – zaadresowaną „Remaut” i opisaną eleganckim pismem. Na zamknięciu przystawiono imponującą pieczęć z purpurowego wosku. Pieczęć rodu Arceneaux.

– Wzywa nas? – spytała Lore, patrząc, jak Gabriel otwiera korespondencję.

Mnich szybko przebiegł wzrokiem po papierze.

– Niezupełnie – odparł, po czym podał jej wyjęty z koperty arkusz.

Było to zaproszenie na bal i kolację w ramach obchodów zaćmienia. O ile sam bal miał być dużym wydarzeniem dla tłumu gości, o tyle na zaplanowaną po nim uroczystą kolację zaproszono nielicznych. Ich dwoje znalazło się w tym wąskim gronie.

Lore dostrzegła nagle datę na zaproszeniu. Bal zaplanowano na noc przesilenia letniego, a więc w jej urodziny. Nie pamiętała, że zostało do nich tak niewiele czasu. Nie lada oprawa, pomyślała – ucztą i zaćmienie jednego dnia.

Zaproszenie poruszyło się nieznacznie w palcach Lore, gdy te nagle zdrząły. Nie... to musiał być zbieg okoliczności. Anton zapowiadał co prawda, że urządzi jej ingres, ale bal to przecież co innego...

– Lore? – Gabriel, który wciąż siedział na podłodze, posłał jej zatroskane spojrzenie. Na jego brodzie pojawił się wyraźny zarost. W ciągu nocy kilka razy poczuła go na włosach. – Wszystko w porządku?

Z trudem zdobyła się na uśmiech i z udawaną nonszalancją zamachała zaproszeniem.

– Bal jest w moje urodziny. Dwudzieste czwarte.

Mnich uniósł wysoko brew.

– O żadnym ingresie nie ma tu słowa – dodała Lore. – Może oszczędzą mi wstydu. Tylko z kolacji nie da się pewnie wykręcić?

– Skoro August imiennie nas zaprosił, to nie. – Gabriel westchnął, po czym się podniósł. Skrępowana Lore odwróciła wzrok. – Natychmiast by zauważono, że nas nie ma.

Lore skinęła głową, przygryzając wargę. Następnie poszła odłożyć zaproszenie na stolik, tuż obok tacy z niedojezoną kolacją. Na jej widok natychmiast pomyślała, że pora poprosić kogoś, by ją sprzątnął. Wkrótce widok mógł się stać naprawdę paskudny.

Gdy nachylała się nad stolikiem, zauważyła nagle inną kopertę. Widniało na niej nie jej fikcyjne nazwisko, ale tylko „Lore”.

Alie i jej zaproszenie na herbatę. No tak, na meczu krokietu mówiła przecież, że Lore jest mile widziana w każdy szósty dzień.

– Jaki dziś dzień? – spytała.

– Siódmy – odpowiedział Gabriel, idąc po ubrania do sypialni, z której nie korzystał.

A więc opuściła pogaduszki przy herbacie. Pomyślała, że przy najbliższej okazji będzie to musiała nadrobić. Byłoby co najmniej niezręczne, gdyby nie pojawiła się na tym spotkaniu przynajmniej raz, a poza tym – podczas niego miała szansę czegoś się dowiedzieć. Zresztą nawet gdyby jej się nie udało, miło byłoby choć poudawać, że ma się na dworze przyjaciółki.

Lore szybko się przebrała. Znowu zdecydowała się na sukienkę, którą najłatwiej było założyć. Tym razem padło na złotą – z długim, szeleszczącym wokół nóg szyfonowym dołem i również długimi, zwężanymi w nadgarstkach rękawami z tego samego materiału.

Część niej miała chęć pogrzebać głębiej w szafie i wyszukać grubszą, zimową suknię. Takie też z pewnością w niej wisały, a Lore wciąż czuła się trochę zziębnięta. Przyszło jej też do głowy, by znowu spróbować przytulić się do Gabriela. Natychmiast jednak pokręciła głową, odpychając od siebie tę myśl.

Gdy wyszła z pokoju, Gabriel był już gotowy – ubrał się w bardzo poważny strój i kończył właśnie podwijać absurdalnie obszerne mankiety.

– Rozumiem, że chcesz iść prosto do biblioteki? – spytał, posyłając Lore cierpkie spojrzenie.

– Prowadź, mnichu – odparła z uroczystym gestem.

*

Po krótkim namyśle Lore postawiła przyniesioną przez Bastiana tacę w przedpokoju, pod kandelabrem z sercem Krwawiącego Boga. Książę sam wspominał, że zamierza przysłać do ich kwatery pokojówkę, więc Lore miała nadzieję, że ta zgarnie przy okazji naczynie z resztkami.

Spojrzała na brudną tacę z grymasem niezadowolenia. Przez ostatnią godzinę udawało jej się nie myśleć o księciu, teraz jednak musiała zacząć liczyć czas od zera... Było to dziwne uczucie – wspominać Bastiana, wciąż pamiętając ciepły dotyk piersi Gabriela.

Żadne z nich nie miało czasu na głupie miłosne gierki. Gdyby tylko sytuacja wyglądała inaczej, Lore przespałaby się z nimi oboma, odhaczyła temat i skupiła się na naprawdę ważnych sprawach – takich jak odnalezienie stosu trupów, ustalenie,

dłaczego August i Anton je ukryli, albo dowiedzenie się, dlaczego mieszkańcy wioski w ogóle stracili życie.

Kłopot w tym, że jeden był Księciem Słońca, a drugi mnichem, który ślubował życie w czystości. Już samo to mocno komplikowało sprawę. Do tego księżę wypędził z jej ciała Mortem jednym dotknięciem dłoni. To sprawiło, że okoliczności stały się *ekstremalnie* skomplikowane.

Gdy Gabriel skrzywił się na widok brudnej tacy pod kandelabrem, Lore wzruszyła ramionami.

– Bastian powiedział, że przyśle tu niedługo pokojówkę. Nie spodobało mu się, jak dbasz o porządek.

Mnich przewrócił oczami i zaraz podrapał się po przepasce na oku. Lore zauważyła teraz, że zdjął z ręki bandaż. Poczuła ulgę, widząc, że jego palec nie wygląda wcale tak źle – jakby jego końcówkę amputowano precyzyjnym cięciem tuż poniżej paznokcia. Na skórze wciąż widać było ciemne szwy, ale wyglądało na to, że rana czysto się goi.

Gabriel podążył wzrokiem za spojrzeniem Lore, ale nie odezwał się ani słowem. Wyglądało na to, że on i ona nie będą rozmawiać ani o samej ranie, ani o tym, w jaki sposób Gabriel doznał urazu. Bardzo jej to odpowiadało.

Ruszyli tylną klatką schodową. Wybór ten był dla obojga oczywisty – nie chcieli wpaść na kogokolwiek, kto mógłby zainteresować się tym, dokąd się wybierają. A już na pewno nie na Bastiana.

Choć Lore czuła z księciem więź i choć stał się on dla niej ważny, nie chciała, by wiedział o jej podejrzeniach co do Spiritum. Coś jej podpowiadało, że gdyby o nich usłyszał, zaburzyłoby to ich relację.

Pokonali wąskie schody, nie napotykając po drodze nikogo. Podobnie było przez całą drogę aż do południowego wyjścia z Cytadeli. Tam dopiero natknęli się na dwóch krwawych strzegących dwuskrzydłowych drzwi. Wartownicy przepuścili ich bez słowa ze znudzonym wyrazem twarzy. Lore, patrząc na nich, pomyślała o gwardzistach, którzy widzieli, jak przed dwoma tygodniami wchodziła w pożyczonej sukience do Cytadeli. Przypomniały jej się słowa Gabriela, że zapewne zesłano ich na Wyspy Popielne.

– Kościelna biblioteka jest w południowym skrzydle? – spytała, gdy ruszyli przez ogród. – Dziwne. Myślałam, że gdzieś przy Sanktuarium Północnym.

Gabriel wzruszył ramionami.

– Arystokratom i tak nic po starych manuskryptach i Kompendiach.

– Przecież to bardzo cenne zbiory, prawda? Wydawało mi się, że Kościół woli trzymać takie rzeczy z dala od plebsu.

– Plebejusze proszą o dostęp do tomów znacznie częściej niż arystokraci. Malcolm co chwila dostaje od nich podania.

Lore ze zdziwienia o mało nie potknęła się o własną spódnicę.

– Plebejuszy wolno wpuszczać do archiwów?

– Szczerze mówiąc, nie wiem, co dokładnie mówi protokół – odparł. – Ale odkąd Malcolm został kustoszem biblioteki, stara się, by każdy, kto chce zapoznać się z jakimś tekstem, miał taką szansę. Przynajmniej jeśli chodzi o manuskrypty, do których dostęp nie wymaga specjalnej dyspensy. Wiadomo, że tekstu proroczw nie dostanie do ręki pierwsza lepsza osoba z ulicy. Na to musi wydać zgodę Anton.

Lore zmarszczyła brwi na wspomnienie najwyższego kapłana i tego, jak nabawił się swoich bliźni.

– Malcolm opowiedział mi kiedyś historię z wczesnej młodości, z czasów przed wypadkiem i przystąpieniem do Presque Mort – ciągnął Gabriel. – Uwielbiał czytać, ale w jego rodzinnym domu było tylko kilka książek. I wtedy dowiedział się, że Kościół ma potężne księgozbiory. Poszedł prosto do zakonnika i poprosił o dostęp do nich. Nie przyszło mu nawet do głowy, że mogłyby być niedostępne dla zwykłych ludzi. Uważał, że książki są dla wszystkich.

– Czy tamten zakonnik uważał tak samo?

– Na szczęście tak. Zaprowadził Malcolma do biblioteki, a tam starszy kustosz pozwolił mu czytać wszystko, na co tylko miał ochotę. – Ton Gabriela był łagodny i refleksyjny. – Później, kiedy Malcolm posiadał zdolność władania Mortemem i wstąpił do Presque Mort, bardzo zależało mu na tym, by móc opiekować się księgozbiorem. Kilka lat później przejął posadę bibliotekarza po zakonniku, który kiedyś wpuścił go do archiwów.

– Widzę, że Malcolm nie próżnuje.

Gabriel zaśmiał się pod nosem. Gdy szli przez zieleń w stronę rysujących się w oddali potężnych murów kościoła, Lore przyjrzała się mnichowi kątem oka: zacisnął lekko wargi, wyraźnie się nad czymś namyślając. Ciekawe, czy pod wpływem ich rozmowy o Malcolmie sam zaczął wspominać czasy, gdy nie był mnichem, ale po prostu chłopcem – nieosieroconym i z dwojgiem zdrowych oczu.

Chwilę później drzwi kościoła otwały się przed nimi bezszelestnie na idealnie naoliwionych zawiasach. Wewnątrz Gabriel skierował się w przeciwną stronę niż wtedy, gdy biegli tamować wyciek. Ponad ich głowami sączące się przez witraże światło rzucało ciepły blask na wypolerowane drewniane krokwie.

Na całej długości korytarza, którym szli, witraży było sześć. Pierwszy przedstawiał Apolliusza w złoto-białej tonacji: dłonie boga ociekały krwią, a jego ciemne włosy powiewały ponad ramionami. Na drugim witrażu sportretowano boga ognia, Hestraona, pracującego w swojej kuźni i oświetlonego pomarańczową łuną płomieni. Trzeci przedstawiał Lereala zwróconego twarzą ku podmuchowi wiatru. Na kolejnych dwóch widnieli Caeliar na tle morskiej fali i bóg ziemi, Braxtos, z którego dłoni wyrastały kwiaty. Ostatni witraż, znajdujący się na końcu korytarza, składał się tylko z gładkich paneli w odcieniach od granatu i purpury po czerń.

Lore zmarszczyła czoło.

– Dziwne, że macie tu przedstawienia innych bogów. Myślałam, że nie wolno wam czcić żadnego poza Apolliuszem.

– Przedstawienie kogoś na obrazie nie oznacza jeszcze czci – odparł cicho Gabriel, zerkając ukradkowo w stronę ostatniego, ciemnego witrażu.

Korytarz kończył się krótkimi drewnianymi schodami. Mnich pokonał je szybkim krokiem, po czym skierował się ku drzwiom po prawej stronie i zastukał.

Lore weszła po schodach znacznie wolniej. Szybki marsz z Cytadeli do kościoła zdążył przyprawić ją o zadyszkę. Ten tydzień nie był dla niej łatwy...

Po chwili drzwi uchyliły się z cichym skrzypnięciem i wyjrzał zza nich zaciekawiony Malcolm.

– Gabriel? Nie spodziewałem się tu ciebie.

– Mamy kilka pytań – odpowiedziała mu Lore, starając się nie dać po sobie poznać, jak jest zdyszana.

– Trzeba będzie pogrzebać w teorii religii i innych zakrawających na herezję wymysłach... – mruknął Gabriel.

Malcolm uśmiechnął się szeroko.

– W takim razie przyszlście we właściwe miejsce – powiedział, otwierając drzwi szerzej.

W zakresie objętości zbiorów kościelna biblioteka śmiało mogła konkurować z tą w Cytadeli. Urodą też jej dorównywała, choć jej wystrój był zupełnie inny. Kunsztownie zdobiona biblioteka pałacowa dawała poczucie światła i przestrzeni.

Kościelna tonęła w półmroku przełamany tylko gdzieś światłem lampy gazowej, a jej wykończenie w ciemnym, połyskującym drewnie było skromniejsze.

Biblioteka miała co najmniej cztery poziomy. By dostać się na te wyższe, należało skorzystać z przesuwanej drabiny. Przez parter ciągnęły się długie stoły, wewnątrz których umieszczono na zawiasach przeszklenia. Można było dzięki nim czytać umieszczone poniżej wyjątkowo stare księgi bez ich dotykania. Niewielkie drzwi pomiędzy regałami prowadziły do mniejszego pomieszczenia wyglądającego na czytelnię. Znajdował się tam kolejny przeszklony stół, a półki wokół zastawione były głównie cieńszymi tomami. Ich okładki opisano tak zdobnymi czcionkami, że Lore z daleka nie potrafiła odczytać choćby jednego tytułu.

Wzdłuż regałów ustawiono niewielkie donice z roślinami pnącymi się ku górze się po półkach. Lore przyjrzała im się, zdziwiona. Choć w pobliżu nie było ani jednego okna, które zapewniałoby dopływ światła, wszystkie rośliny wydawały się całkowicie zdrowe.

– Teoria religii, mówisz? – zwrócił się Malcolm do Gabriela, uchylając szklany fragment blatu ponad jedną ze starych ksiąg. Założył w tym celu jasne rękawiczki, a z wyjętym spod szkła tomem obchodził się z taką ostrożnością, jakby miał na rękach niemowlę. – To dość szeroka dziedzina. Sprecyzujesz, co dokładnie masz na myśli?

– Informacje na temat Spiritum – odparł Gabriel. – Zwłaszcza teorie na temat tego, jak może się objawiać jego obecność.

– Wiem, czego szukać. – Malcolm delikatnie odłożył księgę do jednej z szuflad przy ścianie, po czym bezszelestnie ją zamknął. – Tego samego chciał się jakiś czas temu dowiedzieć Anton.

Rozdział 27

Odpowiedź nic nie znaczy, gdy nie padnie właściwe pytanie.

Porzekadło auverraińskie

Dni kolejnego tygodnia upływały jednakowym rytmem. Gabriel i Lore wstawali, jedli śniadanie, po czym od razu udawali się do kościelnej biblioteki. Tam spędzali długie godziny, ślęcząc nad manuskryptami, zbiorami notatek z lat po Boskim Upadku oraz Komentariami przełożonymi z eroccańskiego, kiryteńskiego, a nawet myroszańskie – bo nim język ten został zakazany przez kiryteńskich zaborców, także w nim opublikowano święte pisma.

O ile w ogóle natrafiali na wzmianki o Spiritum, były one zdawkowe. Niezrażeni, wracali jednak następnego dnia, by dalej przekopywać się przez pozycje, które Malcolm podsunął wcześniej Antonowi. Co dzień starali się znaleźć cokolwiek, co sprawi, że knowania braci Arceneaux, ciała zmarłych z wioski i zagadka Bastiana złożą się na mającą choć cień sensu całość.

Czytali też o sprawach jeszcze bardziej zagadkowych – a mianowicie o tym, co udało się osiągnąć poprzez kanalizowanie magii pochodzącej od pomniejszych bogów żywiołów. Ktoś, jak się okazało, zdołał dzięki mocy Caeliar sprawić, że statek szybciej zeglował. Ktoś inny, wykorzystując magię Lereala, miał spowodować, że zdarzenia ze snów powtarzały się w świecie rzeczywistym. Logiczne było, że Anton chciał poznać tego rodzaju przypadki, skoro podejrzewał, że mieszkańcy wioski stracili życie na skutek użycia resztkowej magii żywiołów. Sęk w tym, że żadna z sytuacji opisanych w księgach nie przypominała tego, co zdarzyło się w nadgranicznych wsiach...

Przez sześć dni Malcolm pozwalał im obojgu pracować w skupieniu, niemal zupełnie oszczędzając im ciekawskich spojrzeń. W końcu zaczął jednak zadawać pytania – Lore w głębi duszy dziwiła się, że tak późno.

– Tak sobie myślałem... – zaczął powoli. – Może po prostu spytajcie Antona, czego udało mu się dowiedzieć?

Lore na dźwięk jego sugestii zamarła. To samo stało się z pochylonym nad księgą na drugim krańcu biblioteki Gabrielem. Oboje wiedzieli, że jest tylko kwestią czasu, aż będą musieli albo szczerze pomówić z Malcolmem, albo posłużyć się jakimś

wiarygodnym kłamstwem. Pierwszego dnia, gdy Lore oglądała bibliotekę, Gabriel pomówił na osobności ze swoim druhem i wyjaśnił, że lepiej by było, gdyby najwyższy kapłan nie wiedział o ich poczynaniach. Malcolm, ku zaskoczeniu zaniepokojonej Lore, przystał na to. On i Gabriel przyjaźnili się od dawna, a sam Malcolm – na ile potrafiła ocenić – nie był Antonowi aż tak oddany jak Remaut. Skoro Gabriel prosił o dyskrecję, tamten uznał, że na pewno ma po temu ważny powód.

Teraz jednak Gabriel znieruchomiał. Lore zdecydowała więc, że to ona musi przejąć inicjatywę. Podniosła się zza pulpitu i zwróciła się do Malcolma z udawaną swobodą.

– Mówiłeś, że czego dokładnie szukał Anton?

– Nie rozmawiał ze mną o szczegółach – odparł bibliotekarz, który właśnie zdjął z półki kolejny tom i pobieżnie mu się przyglądał. Jak zwykle korzystał z rękawiczek. Dał je również Lore i Gabrielowi, ale i tak nie pozwolił im dotykać najstarszych i najcenniejszych ksiąg. – Chciał, żebym znalazł mu wszystko o praktycznych zastosowaniach Spiritum. Myślałem, że ma pomysł, jak posłużyć się nim na potrzeby neutralizacji Mortemu. Minęły jednak dwa miesiące, a on nie wrócił do tematu. Najwyraźniej nie chodzi mu więc o to, by komukolwiek pomagać... – Głos Malcolma jakby minimalnie się łamał.

Gabriel przyjrzał się przyjacielowi, zaciskając wargi i marszcząc lekko brwi. Ten nawet tego nie zauważył, bo zbyt zaprzętały go tomy na regale. Z ogromną ostrożnością otworzył właśnie kolejny, po czym umieścił go pod przeszkleniem w stole stojącym przed Gabrielem. Zdjął rękawiczki, by przypadkiem ich nie ubrudzić, sięgnął po stojącą w kącie pomieszczenia konewkę i zaczął podlewać rośliny pnące się po półkach.

– Wszystkie wzmianki o tym, że Apolliusz podarował rodowi Arceneaux zdolność władania Spiritum, to chyba tylko metafora – odezwał się po chwili. – Chciano w ten sposób podkreślić, że tak ukochał sobie tę akurat dynastię. Żaden Arceneaux nigdy nie pokierował Spiritum, a przecież ono jest wokół nas, tak samo jak Mortem. Różnica polega na tym, że nie da się go uchwycić.

– Tak samo było z Mortemem aż do śmierci Nyxary – odparła Lore.

– Zgadza się! – przytaknął Malcolm, który najwyraźniej rzadko miał okazję pomówić z kimś o teorii magii. Wydawał się niemal zdumiony, że taka mu się teraz nadarza, ale gdy skończył podlewać rośliny, robił wrażenie znacznie bardziej

rozluźnionego niż zazwyczaj. – Jeśli przyjąć, że Apolliusz istotnie nie umarł, ale jedynie przebywa czasowo w Świetlistym Królestwie – ciągnął, wkładając ponownie rękawiczki – całość wywodu staje się logiczna: nikt nie może posłużyć się Spiritum, ponieważ nie ma boskiego ciała, z którego by ono broczyło.

– „Jeśli przyjąć”? – Gabriel z niedowierzaniem spojrzał na kompana.

– Sam mówiłeś, że te wasze poszukiwania zakrawają na herezję. – Malcolm wzruszył ramionami. – Ja się tylko dostrajam. A wracając do tematu, aby ktokolwiek mógł posłużyć się mocą nadprzyrodzonego bytu, byt ten musi umrzeć. Czy, mówiąc bardziej nabożnie, „przejsć w odmienny stan”.

Gabriel, nawet usłyszawszy to zastrzeżenie, nie wydawał się zachwycony kierunkiem, jaki obrała rozmowa. Zmarszczył mocno brwi, po czym na powrót zagłębił się w lekturze.

– Teoretycznie – kontynuował po chwili Malcolm – można by wydobyć Spiritum z żywej istoty. Tak samo jak Mortem da się wydobyć ze skały czy obumarłego drewna. Tyle tylko, że istoty ożywione kurczowo trzymają się życia i wcale nie chcą dać go sobie wydrzeć.

Lore podeszła do jednej z półek z pozycjami, których Malcolm pozwolił jej dotykać. Stały tam głównie zapisy wykładów z uniwersytetu w Grantere, niewielkim mieście na północy kraju.

– Rozumiem, że wydobyć Spiritum z jakiejś istoty skończyłoby się jej śmiercią?

– To raczej logiczne – mruknął cierpko Gabriel.

Lore puściła jego słowa mimo uszu.

– Żeby móc zrobić *cokolwiek* przy użyciu Spiritum – ciągnęła – trzeba by je pewnie wydobyć z czegoś dużego: człowieka, większego zwierzęcia albo całego stosu kwiatów? – Lore nie miała pojęcia, co mogłoby oznaczać „cokolwiek”. Swoją drogą, Mortem też nie był szczególnie użyteczną materią.

Malcolm skrzyżował ręce i oparł łokcie na blacie stołu.

– Jeśli przyjmiemy, że działa ono podobnie jak Mortem, to tak – odparł. – Pamiętaj jednak, że żaden człowiek nie kierował dotąd Spiritum. Nie wiemy zatem, jak ono działa, i jesteśmy zdani wyłącznie na domysły.

– Po co więc w ogóle o nim pisać? – Lore odłożyła zapis wykładu i sięgnęła po jeden z nowszych egzemplarzy Księgi Praw Świętych. Błyskawicznie odnalazła ustęp, który na tym etapie znała już na pamięć. – Księga Praw Świętych, z Rozprawy

Dwieście Czternastej: „Na znak przymierza zaś ofiarowuję Wam władzę nad Spiritum, magią życia”.

Malcolm uśmiechnął się nagle szeroko. Lore przyjrzała mu się znad książki.

– Rozumiem, że wykombinowałeś jakąś teorię na ten temat...

– Nie „wykombinowałem”. Po prostu przekład tego fragmentu jest sporny. Jesteś pewna, że Apolliusz zwraca się tu do całego rodu?

Spojrzała na niego zaskoczona. Gabriel, choć odpowiedź na pytanie wydawała się z pozoru oczywista, wyglądał na równie zbitego z tropu.

– Otóż nie jest to takie jednoznaczne. – Malcolm sięgnął na półkę po inne wydanie Księgi Praw Świętych i otworzył ją na Rozprawie Dwieście Czternastej. – To wersja rouskańska – wyjaśnił. – Podejrzewam, że nie mówisz w tym języku, ale wystarczy, żebyś wiedziała, że formy drugiej osoby liczby pojedynczej i mnogiej zapisuje się w nim inaczej niż w naszym. W miejscu, gdzie po auverraïńsku widnieje „Wam”, po rouskańsku napisano „Ci”. To przekład z czasów tuż po zniknięciu Apolliusza, więc tłumacz musiał wysłuchać wersji samego Gerarda Arceneaux.

Gabriel podniósł się zza stołu i podszedł do Malcolma, by przyjrzeć się trzymanej przez niego księdze.

– Czy tylko po rouskańsku użyto w tym miejscu liczby pojedynczej?

– Nie. Mniej więcej do roku szesnastego przed Boskim Upadkiem taki zapis stosowano we wszystkich językach, które posiadają odmienne formy dla drugiej osoby liczby pojedynczej i drugiej osoby liczby mnogiej. Zmieniono go kilkanaście lat po zniknięciu Apolliusza, mniej więcej w połowie rządów Gerarda Arceneaux. – Malcolm rozkręcał się z każdym kolejnym zdaniem. Odłożył zaraz rouskańską wersję książki, zdjął z regału kilka kolejnych i wszystkie otworzył na tym samym ustępie. – To wtedy nagle wszedł do kanonu zapis w liczbie mnogiej.

– Przeinaczanie słów Apolliusza to grzech. – Gabriel oparł dłonie na blacie stołu i wpatrywał się w książki takim wzrokiem, jakby chciał wymóc na nich przyznanie się do czegoś.

– Szkoda, że Apolliusz nie wyraził się trochę precyzyjniej... – mruknęła Lore.

Gabriel wyprostował się, wyraźnie nad czymś się namyślając.

– Jeśli powinna tu być liczba mnoga – odezwała się po chwili Lore – to znaczy, że dar władania Spiritum otrzymał nie cały ród Arceneaux, tylko jego jeden wybrany członek.

Malcolm skinął głową.

– Do tego samego wniosku doszedł Anton.

Na samo wspomnienie o najwyższym kapłanie atmosfera nagle się zagęściła. Bibliotekarz przez chwilę przyglądał się w milczeniu Gabrielowi i Lore. Jego spojrzenie zdradzało, że jest szczerze zaintrygowany. Gdy w końcu się odezwał, mówił cicho, ale w jego głosie słychać było zdecydowanie.

– Chcecie zobaczyć najnowszą książkę, którą pozyskałem do biblioteki? Musiałem sprowadzić ją aż z Grantere. Sam August kazał Antonowi ją odszukać.

– Malcolmie... – zaczął Gabriel, lecz bibliotekarz przerwał mu gestem dłoni.

– Dzieje się coś złego, Gabrielu. I to nie od wczoraj. – Po ekscytacji, którą słychać było w głosie Malcolma, gdy mówił o przekładach ksiąg, nie było śladu. Jego ton pobrzmiwał teraz rezygnacją i smutkiem. Jakby potwierdziły się trapiące go od dawna podejrzenia. – Anton i August wyraźnie coś ukrywają, a to niejedyna rzecz, która mnie niepokoi. Anton zatrzymał cię w Cytadeli, choć wie, że to ostatnie miejsce, gdzie chciałbyś być. Jednocześnie cały czas prowadzi badania, nie tylko nad Spiritum, ale też nad technikami manipulacji Mortemem. Z każdym dniem mam większe wątpliwości, czy chcę mieć kogoś takiego za przewodnika duchowego.

Gabriel zamilkł. Wyglądał jak rażony gromem. Wszyscy ocierali się w swoich wypowiedziach o herezję, ale słowa Malcolma z pewnością były jej najbliższe.

– Nie chcę przez to powiedzieć, że zamierzam przyłączyć się do tych waszych dziwnych poszukiwań – rzucił cierpko bibliotekarz. – Ale mam przeczucie... że nadchodzi jakaś zmiana. I chciałbym być jej częścią.

Ani Lore, ani Gabriel nie wiedzieli, co odpowiedzieć. Ten ostatni wyciągnął jednak dłoń i poklepał Malcolma po ramieniu. Nie odezwał się przy tym ani słowem. Wyglądał na zatroskanego, niemal przestraszonego.

Malcolm odwzajemnił jego gest, po czym zwrócił się w stronę szafy, w której przechowywane były najbardziej unikatowe pozycje.

– Zaraz znajdę tę książkę. Może dzięki niej uda się wam zrozumieć więcej – powiedział.

Gabriel skrzyżował ręce na piersi. Ściągnięta twarz zdradzała natłok myśli w jego głowie.

– Mówiłeś, że Anton próbował dowiedzieć się czegoś więcej o Mortemie – zwróciła się Lore do Malcolma, postukując palcami o blat. – Czego dokładnie?

– Paskudnych rzeczy – odparł łagodnie bibliotekarz. – Czytał raporty o nekromantach z pierwszych lat po Boskim Upadku. Okazuje się, że zdolność

wskrzeszania zmarłych nie zależała od tego, ile Mortemu potrafili ukierunkować, ale w jaki sposób potrafili go zmanipulować. Niektórzy mieli pracować parami: jeden wskrzeszał zmarłego, a drugi kierował nim poprzez jakieś skomplikowane mortemiczne rytuały.

Lore zaczęła nerwowo obracać w palcach jeden z ozdobnych frędzli przy rękawie. Tego dnia miała na sobie wrzosową suknię z niewielkimi bukami na ramionach i ciążem dekoracyjnych tasiemek sięgających niemal do mankietów. Materiał drapał ją i wywoływał lekkie swędzenie.

Malcolm otworzył jedną szufladę, potem kolejną.

– Do cholery – zaklął cicho. – To książka o transsubstancjacji. Musiałem włożyć ją tutaj...

– Czyżbyś szukał *Teorii praktycznych zastosowań transsubstancjacji D’Arcy’ego*? – usłyszeli nagle głos Bastiana. – Mam ją tutaj.

Lore zwróciła się w jego stronę tak szybko, że aż jej coś przeskoczyło w szyi.

Książę Słońca stał w wejściu do biblioteki, opierając się ramieniem o framugę. Trzymał w ręku księgę oprawioną w skórę i od niechcienia przerzucał strony, jakby zupełnie nie uświadamiał sobie jej wartości i wieku. Na jego twarzy malował się niegroźny półuśmiech, ale w oczach widać było złowieszczy błysk.

Malcolm jako pierwszy otrząsnął się z szoku.

– Ostrożnie! – zawołał do Bastiana. Następnie podszedł do niego i szybkim ruchem wyjął tom z jego rąk. Z ostrożności nie szarpnął za książkę, ale był tego bliski. – Ma ponad dwieście lat! – rzucił w stronę księcia z wyrzutem.

– To by tłumaczyło ten swąd. – Bastian, który bez oporu oddał Malcolmowi księgę, wsunął ręce do kieszeni i jak gdyby nigdy nic podszedł do stołu, przy którym siedzieli Gabriel i Lore. Dziewczyna patrzyła na niego jak mysz na kota. Gabriel, choć spięty, mniej dawał po sobie poznać zdenerwowanie. – Normalnie miałbym wam za złe, że mnie nie zaprosiliście – powiedział książę, zupełnie nie przejmując się obecnością Malcolma. – Ale tak się złożyło, że sam musiałem trochę tu poszperać. Stąd u mnie ta książka.

– Ale jak ją wyniosłeś? – Ton bibliotekarza był wyraźnie spokojniejszy. Ulżyło mu, że bezcenna księga jest już bezpieczna, lecz wyraz jego twarzy i tak był nieco zafrasowany. – Przecież zawsze zamykam drzwi na klucz...

– Mogę bez trudu zdobyć każdy klucz, jaki zechcę – nie dał mu dokończyć Bastian. – Ale to nie ja wyniosłem stąd tę książkę. Znalazłem ją w gabinecie ojca. –

Przekrzywił lekko głowę. – A jeśli wydaje ci się, że źle się z nią obchodziłem, to powinieneś zobaczyć, co on z nią wyprawiał. Kiedy chciał, żeby pozostała otwarta, przyciskał stronicę kielichem.

– Na Krwawiącego Boga... – Malcolm natychmiast obrócił księgę, by upewnić się, że jej grzbiet jest cały.

Bastian tymczasem zwrócił się w stronę Gabriela i Lore i zmierzył ich oboje wzrokiem.

– No dobrze – zaczął. – Czy któreś z was wie, po co mój ojciec interesował się transsubstancjacją? To magia nie na jego poziomie, więc książkę podsunął mu pewnie Anton. Podejrzewam, że jest w niej coś, co ma związek z wioskami. Nie zdziwiłbym się też, gdyby za jej pomocą próbowali mnie w coś zrobić.

– Na pewno chcesz o tym rozmawiać tutaj? – spytała Lore cicho, ruchem podbródka wskazując na Malcolma, który wciąż z troską sprawdzał, na ile ucierpiała księga.

– No tak, wybacz Malcolmie – odparł księżę. – Niezręcznie mi to robić, ale teraz nie mam wyjścia. Widzisz, Gabriel i Lore pracują dla mnie, bo wygląda na to, że mój ojciec i stryj próbują zrobić ze mnie kiryteańskiego szpiega i zwalić na mnie to, co stało się w wioskach. Gratuluję, teraz wszystko już wiesz. Piśnij komukolwiek słówko, a wszyscy troje traficie na pierwszy statek na Wyspy Popielne.

Malcolm znieruchomiał. Trzymając książkę pod dziwnym kątem, mrugał i gapił się na księcia.

– No cóż... – odezwał się po dłuższej chwili. – Dziękuję, że mnie wtajemniczyłeś.

– Do usług. – Bastian ponownie oparł dłonie na stole. – A wracając do mojego pytania...

– Nie mamy pojęcia, po co to robił – odparł Gabriel przez zaciśnięte zęby. – Od tygodnia siedzimy tutaj, próbując dowiedzieć się czegoś o Spiritum, bo...

Lore posłała mu przerażone spojrzenie.

– ...bo myśleliśmy, że dzięki temu zrozumiemy, co stało się w wioskach – dokończył Gabriel, nie tracąc rezonu. – O transsubstancjacji zaczęliśmy rozmawiać tuż przed twoim przyjściem. Wciąż nawet nie za bardzo wiem, co to takiego.

– To był mój pomysł – przerwał mu Malcolm, zbliżając się do księcia. Wciąż ostrożnie trzymał w rękach księgę. Zerknął z dezaprobatą na gołe dłonie Bastiana i sięgnął do kieszeni po kolejną parę rękawiczek. – Moja biblioteka, moje zasady – powiedział tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Zakładaj.

Bastian uniósł brew.

– Rozwiń myśl – poprosił, posłusznie wciskając dłonie w nieco przyciasne białe rękawiczki.

Malcolm zawahał się przez chwilę, po czym westchnął, otworzył księgę na wybranej stronie i umieścił ją w przeszklonej kasecie poniżej blatu.

– Rozmawialiśmy o wczesnych przekładach Kompendium. W wersetach poświęconych władaniu Spiritum użyto w nich liczby pojedynczej. Mowa była nie o całym rodzie Arceneaux, ale o jednej wybranej osobie.

– To by tłumaczyło, dlaczego żaden z nas tego nie potrafi – odpowiedział Bastian. – Nie wyjaśnia za to, co ma z tym wspólnego transsubstancjacja. Ani czym właściwie jest. – Zastukał palcem w tafłę szkła ponad księgą. – Nie napisano tego z myślą o laikach.

– O transsubstancjacji mówi się zasadniczo wtedy, gdy jedna rzecz pojawia się w miejsce innej, czy jak ujmuje to D’Arcy: „Gdy to, co duchowe, do tego stopnia przeważa nad fizycznym, że w tym ostatnim zachodzi zmiana”.

– Tylko co to ma wspólnego ze Spiritum? – Lore dołączyła do Malcolma i wpatrzyła się przez szkło w słowa na stronicy. Wszystkie zdawały się mieć za dużo sylab, a pismo było tak zdobne, że Lore nie była w stanie niczego zrozumieć.

– Na poziomie definicji nic – odparł Malcolm. – Zresztą naukowo jest to zjawisko generalnie kwestionowane. Jego opisów nie należy odczytywać dosłownie. Anton jednak z jakiegoś powodu koniecznie chciał mieć tę książkę. Wszystko, co ostatnio robił, miało jakiś związek ze Spiritum, więc uznałem, że i tu do czegoś się dokopał.

Gabriel skrzywił się lekko, zadzierając brew ponad przepaskę. Każda wzmianka o najwyższym kapłanie zdawała się go wyprowadzać go z równowagi.

– Wiemy tyle – odezwała się Lore, wyliczając na palcach – że zdolność władania Spiritum mógł posiadać tylko jeden Arceneaux... nie mamy pojęcia który... i że Anton zainteresował się niby-naukowymi bredniami o tym, że jedną rzecz da się zmienić w drugą, jeśli tylko... dostatecznie mocno się w to uwierzy?

– Tak to z grubsza wygląda – zgodził się Malcolm.

Wszyscy na moment zamilkli, jednak Bastian po chwili wstał i krzyżując ręce na piersi, zabrał głos.

– Jak dla mnie wszystko idealnie się tu zgadza.

– Niby jak? – spytała Lore zaczepnym tonem, jakby rzucała mu wyzwanie.

– Tylko jeden Arceneaux otrzymał władzę nad Spiritum, mocą życia. Mój ojciec szukał sposobu, by tym właśnie Arceneaux się stać. – Bastian wzruszył ramionami. – Ostatnia rozpaczliwa próba ocalenia własnego życia.

Wszyscy ze zdumieniem wbili wzrok w księcia, ale ten nie odwrócił spojrzenia. Milczenie jako pierwszy przerwał Gabriel.

– Chcesz powiedzieć, że...

– A tak, byłbym zapomniiał wam wspomnieć. – Bastian odgarnął włosy z twarzy. – August umiera.

Rozdział 28

Zaprawdę: bogowie nie umierają nigdy. Przechodzą jedynie przemianę.

Księga Praw Świątych, Rozprawa 713²

Cisza zdawała się aż dzwonić w uszach Lore. August umierał! To wyjaśniało, dlaczego wciąż popijał truciznę i dlaczego chciał pozbyć się Bastiana. Gdyby jego plany spaliły na panewce, mógłby wtedy wskazać innego następcę tronu. Wciąż nie było wiadomo, czy istniał związek pomiędzy jego stanem a tym, co wydarzyło się w wioskach, ale Lore nie dawała spokoju myśl, że taki związek istnieje.

– Chwileczkę. – Gabriel wykonał dłonią taki gest, jakby prosił o chwilę ciszy. Wszyscy jednak od dobrych kilku minut milczeli. – Od jak dawna król jest chory? I dlaczego nie powiedziałeś nam o tym wcześniej?

– Do dziś sam o tym nie wiedziałem. – Bastian oparł się biodrem o stół i posłał Gabrielowi znużone spojrzenie. – Widziałem wcześniej, jak popija z piersiówki, a po zapachu poznałem, że to nie zawsze alkohol. Dopiero kiedy Alie wspomniała o chorobie Cecelii, przyszło mi do głowy, żeby spróbować dowiedzieć się czegoś od królewskich lekarzy. Za sowitą łapówkę pomocnik jednego z nich zgodził się udostępnić mi historię leczenia. Dwie godziny temu przyniósł mi bardzo przyjemną lekturę. – Oparł łokieć na szkło, ale Malcolm natychmiast wymownie chrząknął, książkę więc z niemal rozżalonym wyrazem twarzy cofnął rękę. – Później zakradłem się do gabinetu ojca. Liczyłem na to, że znajdę tam jakieś poszlaki w sprawie wiosek, ale zamiast tego trafiłem na książkę o transsubstancjacji.

A więc książkę też był przekonany, że wszystkie te sprawy się łączą. Lore tylko umocniła się teraz w przekonaniu, że się nie myliła.

Przygryzła policzek, głowiąc się nad kolejnym pytaniem. Nie dało się zadać go tak, by nie zabrzmiało jak zdrada korony, i choć nikt z obecnych nie doniósłby na nią, i tak czuła się bardzo nieswojo.

– Czy myślisz... – zaczęła nieśmiało – że to August w jakiś sposób zabił tych wieśniaków?

Książę nie wydawał się ani trochę zaskoczony. Zresztą nie on jeden. Wyglądało na to, że wszyscy zdążyli dojść do tego samego, przerażającego wniosku.

– Myślę, że miał w tym udział – odparł po chwili Bastian. – Ale to jednak nie wyjaśnia, *jak* zginęli ci ludzie. Jakoś nie wygląda mi na zbieg okoliczności, że wszyscy stracili życie tuż po tym, jak zachorował i wymyślił sobie, że wskaże nowego następcę tronu. Wciąż nie mam tylko pomysłu, jak miałyby zabić tyle osób z tak daleka, nie pozostawiając żadnych śladów. Nie wiem też, co miałyby mu dać ich śmierć. Jeśli chciał wrobić mnie w zdradę stanu, to były prostsze sposoby.

Malcolm zapukał delikatnie w szkło nad księgą.

– To może mieć z tym coś wspólnego... – zaczął. – Być może wykorzystał transsubstancjację, żeby... przerzucić swoją chorobę na innych?

– Mówiłeś przecież, że ta cała transsubstancjacja to brednia – zdziwiła się Lore.

Bibliotekarz rozłożył ręce.

– Nie wiem. Nie mogę przecież mieć pewności. Wszystko to tylko teoria. Mortem i Spiritum to boskie moce, nieprzeznaczone do tego, by korzystali z nich ludzie. Dlatego właśnie bogowie musieli dostąpić wyniesienia. Stać się czymś więcej. Czymś ponadludzkim. To możliwe, a wręcz prawdopodobne, że pewnych aspektów Spiritum i Mortemu nigdy nie zdołamy zrozumieć.

– Musimy powiedzieć Antonowi. – Choć Gabriel mówił cicho, jego głos przeszył powietrze jak nóż. Mich wbił wzrok w umieszczoną pod szkłem księgę.

– Nie możemy, Gabrielu. – Lore próbowała zdobyć się na łagodny ton, ale trudno było jej ukryć irytację. – Przecież to Anton sprowadził tu tę książkę.

– To nie znaczy, że jest czegokolwiek winny. – Gabriel podniósł się zza stołu i spojrzał na nią gniewnie. – Może chciał lepiej zrozumieć, co zamierza August, albo jakoś temu zaradzić.

– Nie możemy ryzykować, że...

– Lore, zastanów się – przerwał jej Remaut. – Gdyby nie chciał tego wszystkiego powstrzymać, po co w ogóle by cię tu ściągał? Po diabła Anton razem z Augustem sprowadzaliby do pałacu nekromantkę i kazali jej rozmawiać ze zwłokami, gdyby wiedzieli, co stało się w wioskach?! Zwłaszcza, kurwa, gdyby sami maczali w tym palce?!

– Niech wasza miłość baczy na słowa – wtrącił miękko Bastian.

Gabriel posłał mu wściekłe spojrzenie i zaraz znów zwrócił je na Lore.

– To przecież bez sensu – ciągnął po chwili. – Prawidłową odpowiedzią jest zazwyczaj ta najprostsza. A w tym przypadku najprostsza odpowiedź jest taka, że za

tym, co stało się w wioskach, w jakiś sposób stali Kiryteańczycy. Chcą wszcząć wojnę i w końcu zająć Auverrainie.

– No tak, wszystko musi się kręcić wokół Kirytei – odparł Bastian, bębniąc palcami w szkło. – Chyba nie jesteś najlepszą osobą do oceny tej sytuacji, Remaut. Nie potrafisz być bezstronny.

Mnich zacisnął pięści i postąpił o krok w stronę księcia.

– Gabrielu – upomniał go Malcolm.

Na dźwięk swojego imienia wypowiedzianego przez starego druha Gabriel nieco się uspokoił. Odwrócił wzrok od księcia i znużonym gestem przesunął dłonią po twarzy.

– Anton i August nie pozwolili mi wskrzesić żadnego ciała poza jednym, które sami wybrali – odezwała się cicho Lore. – Nie chcieli też, żebym była obecna, kiedy będą zadawać pytania. Być może wcale nie chodziło o pytania, tylko o samo wskrzeszenie. Mogli w jakiś sposób w nie ingerować. Jak, nie mam pojęcia. – Przesunęła dłoń ku leżącej pod szkłem książce. – Wygląda w każdym razie na to, że wiele zostało przed nami ukryte.

– Rozwiązanie jest proste: musimy znaleźć ciało, którego dla ciebie nie wybrali – powiedział po namyśle Bastian. – Jedno z tych, które ukryli.

– Tak jest. – Lore zerknęła na Gabriela, który wciąż milczał z ponurym wyrazem twarzy. – Czyli na dobrą sprawę wracamy do punktu wyjścia...

– Z tą różnicą, że król umiera – wtrącił Malcolm i z westchnieniem zajął miejsce przy stole. – Wygląda na to, że siedzę w tym teraz razem z wami. Nie uśmiecha mi się zesłanie na wyspy, więc spróbuję się przydać i przeczytam tę cholerną książkę. – Bibliotekarz spojrział na Gabriela, unosząc brew. – Ty porównaj ze sobą Kompendia na tamtym stole i zrób notatki. Będziesz mieć zajęcie, a przy okazji dowiemy się może czegoś nowego. Ja wczytywałem się już w nie tyle, że słowa zaczęły mi się zlewać przed oczami.

– A co ja mam robić? – spytał entuzjastycznie Bastian.

– Nie śmiem wydawać poleceń księciu – odparł Malcolm.

– Daj spokój, Malcolmie. Masz żal, że pogroziłem ci zesłaniem? Rozumiem cię, ale nie bardzo miałem inne wyjście. Wybacz niezgrabny dobór słów.

Malcolm przewrócił oczami i spojrział w górę, jakby prosił Apolliusza, by ten pomógł mu zachować spokój.

– W porządku – powiedział po chwili. – Przyjrzyj się zapisom wykładów. Może uda ci się tam coś znaleźć.

Wszyscy w skupieniu przystąpili do swoich zadań. Lore żadnego nie dostała, a że niezbyt miała chęć sama o nie prosić, przysiadła się do Gabriela.

– Przepraszam – bąknęła.

– Za co? – Gabriel nawet na nią nie spojrział. Wzrok wbił w stronicę książki. Nie czytał jednak, lecz tylko się w nią wpatrywał.

– Sama nie wiem... – westchnęła Lore, opierając łokcie na stole i ujmując twarz w dłonie. – Masz rację, że Anton i August nie sprowadziliby mnie tutaj, gdyby znali już prawdę. Najwyraźniej chcą, żebym to ja do niej dotarła. Nie wiem, jaki inny powód mogliby mieć, by mnie tu ściągnąć. Bastian dobrze to ujął: są prostsze sposoby, żeby kogoś zrobić. Może to wszystko wielka zмова, a może tylko ciąg nieporozumień, ale tak czy siak, musimy rozgryźć tę sprawę.

Gabriel milczał przez chwilę.

– Jest jeszcze inna możliwość – odezwał się w końcu.

– Jaka?

– Może wcale nie jesteś w Cytadeli, żeby ustalić, co wydarzyło się w wioskach. – Mnich poruszył się na ławce. – Może Anton planuje coś, co ocali nas wszystkich: Auverrainie od Kiryteńczyków, wioski od wymierania, a nawet Bastiana od Augusta. Być może jesteś częścią jego planu.

– Jakoś nie wydaje mi się to prawdopodobne...

Gabriel, wyraźnie skrepowany, wzruszył ramionami.

– Chciałbym tylko... – zawiesił na moment głos – żebym, kiedy to wszystko się skończy, mógł spojrzeć w lustro.

Lore nie wiedziała, co powiedzieć. Rozumiała, że Gabriel nie potrafiłby żyć z wiedzą, że Anton okazał się zbrodniarzem.

Znów zanurzyła twarz w dłoniach. Kojący odgłos przewracanych stronic i panujący w bibliotece półmrok sprawiały, że coraz bardziej ciężyły jej powieki.

Ponownie zobaczyła biały piasek, morską wodę i błękitne niebo.

Wyczuła obecność tej samej, niewidocznej wyraźnie postaci. Tym razem ta obecność wydawała się bardziej namacalna. Choć wciąż siedzieli w tej samej odległości od siebie, Lore miała wrażenie, że zbliżyła się do nieznajomego.

Skierowała wzrok w stronę postaci. Kosztowało ją to zaskakująco wiele wysiłku, jednak przez mgnienie oka wydało jej się, że kontur nieznajomego staje się

wyraźniejszy i lada chwila zdoła go rozpoznać. Myliła się. Nabierający kształtu obraz niemal natychmiast zniknął.

– No dobrze... – odezwał się pozbawiony wyrazu głos, który zdawał się pełznąć przez sen Lore. – Miałaś nieco czasu, więc spróbujmy raz jeszcze.

Poczuła na sercu bolesne szarpnięcie – jakby ktoś zdołał wsunąć rękę w głąb jej ciała i pociągnąć je jak wiszący na drzewie owoc. Jej usta rozwarły się w niemym krzyku, a z piersi zaczął unosić się dym. Ulatywał na zewnątrz i ciemnymi smugami wzbijał się po błękitnym niebie.

– Lore.

Poczuła dotyk na ramieniu. Potrząsała nim czyjaś dłoń.

– *Lore!*

Zmusiła się do wysiłku i zdołała otworzyć oczy.

Gabriel patrzył na nią ze zmarszczonymi brwiami, jednak ręka na jej ramieniu należała nie do niego, ale do Bastiana. Mnich pacnął ją w czoło, wymownie patrząc na wiszący na ścianie zegar.

– Jeśli się pospieszymy, damy jeszcze radę zdążyć.

Zdążyć? Lore zaczęła odliczać dni wstecz, zastanawiając się, co mógł mieć na myśli.

– Jasna cholera. – Zerwała się szybko zza stołu i przygładziła ręką zmierzwiłone włosy. – Muszę iść na herbatę.

*

Bastian wyszedł razem z nią z biblioteki. Gabriel nie starał się wymyślić pretekstu, by im towarzyszyć, ale Lore aż do samych drzwi czuła na plecach jego spojrzenie. On i Malcolm mieli dalej ślęczeć nad egzemplarzami Kompendium i zapisami wykładów – z nadzieją, że natrafią choć na skrawek użytecznej wiedzy. Gabriel rzucił na pożegnanie, że postara się wrócić do kwatery do czasu, kiedy powinno się skończyć spotkanie u Alie.

– Ależ masz sumiennego kuzyna – szepnął kąśliwie Bastian w drzwiach biblioteki.

Lore wymierzyła mu kuksańca łokciem, udając, że potknęła się o spódnicę i trafiła go przypadkowo. Po minie Bastiana widać było, że się na to nie nabrał. Miał przy sobie księgę o transsubstancjacji. Ukrył ją pod pachą, by jak najmniej rzucała się w oczy.

Szli pod ramię, ale gdy weszli do Cytadeli, Bastian wysunął łokieć spod ręki Lore i wsunął jej w dłoń kartkę.

– Trasa do moich komnat – powiedział cicho.

– Dzięki, ale to słaby moment na takie propozycje.

– Daruj sobie żarty z rysztoła. – Bastian zaśmiał się pod nosem. – Herbata Alie jest dziś u mnie. Jej komnaty są teraz sprzątane. Ja pójdę odnieść książkę, żeby ojciec nie zorientował się, że zniknęła. Widzimy się przy herbacie – rzucił na odchodne, po czym oddalił się korytarzem. Nic nie zdradzało, że niesie skradziony przedmiot. Lore pomyślała, że w innym życiu byłby niezłym truciźniarskim kurierem.

Gdy książkę zniknęła za zakrętem korytarza, przyjrzała się mapce. Przy swoich komnatach Bastian narysował puszczającą oko buźkę. Lore, nie do końca pewna, czy dobrze odczytała trasę, ruszyła w stronę północno-zachodniej wieży. Pokonała dwa długie korytarze – jeden pełen marmurowych rzeźb, a drugi niemal w całości przeszklony – i dotarła do obszernej klatki schodowej wyłożonej karmazynowym dywanem.

– Ładniej niż w południowo-wschodniej – mruknęła pod nosem. – I nie ma tych potwornych rzeźb.

Wieża, choć istotnie ładniejsza, miała identyczną konstrukcję jak ta, którą Lore już знаła. Do kwater wchodziło się schodami przez korytarze odchodzące z kolejnych krótkich półpięter. Według mapy Bastiana jego komnaty znajdowały się na samym szczycie – co najmniej dziesięć kondygnacji ponad miejscem, w którym stała Lore.

Podczas gdy korytarze w pobliżu kwatery Lore i Gabriela tonęły w półmroku, tutaj wyglądało to zupełnie inaczej. Wszystko lśniło czystością, a same korytarze były szersze i znacznie lepiej oświetlone – zarówno wpadającym przez okna światłem dziennym, jak i lampami gazowymi. Ściany ozdobiono barwnymi gobelinami i obrazami olejnymi o jasnej kolorystyce. Wystrojowi poświęcono tu nieporównywalnie więcej uwagi niż w zapuszczonej wieży południowo-wschodniej. Lore złapała się na tym, że marsz schodami wcale jej nie nuży – cały czas rozglądała się z ciekawością i czuła się niemal jak w muzeum.

Na trzeciej kondygnacji zawadziła stopą o tkaninę sukni. Wysoko zadzierając nogę, z trudem odzyskała równowagę.

– Niechby obsrało to miejsce – syknęła wściekle.

Potknięcie, które omal nie skończyło się upadkiem, było jednak szczęśliwe. Dzięki niemu Lore podniosła wzrok sponad mapy i dostrzegła stojącą w korytarzu postać.

Natychmiast rozpoznała Severina Bellegarde'a. Jego ciemne włosy i tym razem były starannie spięte z tyłu, a stonowany strój – bezbłędnie dopasowany do jego wysokiej, smukłej sylwetki. Bellegarde szedł korytarzem, oddalając się od schodów. Z rękoma splecionymi za plecami przyglądał się kolejnym gobelinom. Patrzył na nie tak, jakby przeprowadzał inspekcję ustawionych w szeregu więźniów. Można było odnieść wrażenie, że próbuje dopatrzeć się czegoś w splotach nici. W jednej z jego dłoni Lore dostrzegła złożony skrawek papieru. Tak samo jak tej nocy, gdy ona i Gabriel wpadli na niego na schodach.

Interesujące, ale teraz nie miała czasu się nad tym głowić. Wyprostowała się i błyskawicznie ruszyła ku kolejnemu odcinkowi schodów, licząc na to, że Bellegarde nie zdąży jej zauważyć.

– Eldelore Remaut – usłyszała nagle.

Jak pech, to pech.

Lore zdobyła się na nonszalancko życzliwy wyraz twarzy i odpowiadając na pozdrowienie, niezgrabnie dygnęła. Bellegarde stał przy gobelinie wiszącym tuż przy schodach – musiał najwyraźniej zawrócić w momencie, gdy była do niego odwrócona plecami. Pomiędzy jego ściągniętymi brwiami pojawiła się zmarszczka. Cofnął się o krok – Lore zauważyła, że poruszył przy tym lekko wiszący obok gobelin.

Mężczyzna przyglądał się jej z trudnym do rozszyfrowania wyrazem twarzy. Nie sposób było stwierdzić, czy jest zadumany, czy ma chęć udzielić jej reprimendy. Lore miała już pożegnać się i odejść, gdy Bellegarde w końcu się odezwał.

– Czy ty i Gabriel pojawicie się na balu z okazji zaćmienia?

Pytanie było nieco zaskakujące. Severin nie robił wrażenia człowieka, którego interesują towarzyskie plany innych.

– Tak sędzę – odparła Lore, tłumiąc dreszcz. Bal wypadł w dniu jej dwudziestych czwartych urodzin. Gdyby pochodziła z wierzącej rodziny, w dniu tym przeszłaby również święcenia.

Rodzina... Wystarczyło, że pomyślała o Val i Mari, a pełzający dreszcz natychmiast ustąpił miejsca guli w gardle. Wspomnienie o nich było wciąż bardzo bolesne.

Bellegarde wbił w nią spojrzenie swoich zielonych oczu.

– To wielki zaszczyt. Zaproszenia otrzymują jedynie wybrani.

„Wybrani” – na dźwięk tego słowa Lore od razu pomyślała o opisanym w Kompendium przymierzu. I o wszystkim, co w zgłębiali w kościelnej bibliotece ona, Malcolm, Gabriel i Bastian.

Wyprostowała się w nagłym przypiływie niepokoju.

– Tak – odparła. – A zaproszeń na ucztę wydano chyba jeszcze mniej, prawda? Gabriel i ja dołożymy starań, by się na niej pojawić.

– Dołożycie starań... – Bellegarde uniósł ciemną brew. – Cóż może być ważniejsze niż obecność na uroczystości, na którą zostało się osobiście zaproszonym przez świętego króla? Sama okazja jest zresztą niebagatelna. Całkowite zaćmienia, zwłaszcza te za dnia, to rzadkie i niezmiernie ważne zdarzenia.

Lore próbowała się uśmiechnąć, ale wiedziała, że wyszło to raczej jak grymas.

– Oczywiście, nic nie jest ważniejsze – oparła cicho, czując, jak zaczyna dławić ją niejasny lęk. – Zjawimy się oboje.

– To dobrze. – Bellegarde skinął wyniośle głową. – Jestem przekonany, że będzie to dla nas wszystkich okazja do istotnych przemyśleń. Najwyższa pora na nie, bo Kiryteańczycy nadciągają, a poddani Auverrainie wciąż giną w przygranicznych wsiach.

Z twarzy Lore zniknął kurtuazyjny uśmiech.

– Jak to?

– Nie słyszałaś? – Wyrazu twarzy Severina nie sposób było odczytać. Był jak nieruchoma maska. – Kilka godzin temu wymarła kolejna wieś.

Następna wioska...

Lore nie zdołała się nawet dowiedzieć, co stało się w poprzedniej, a już zginęli kolejni ludzie. Ona tymczasem wciąż marnowała czas, goniąc za własnym ogonem.

– Jak to się stało, że już o tym wiadomo? – spytała zaskoczona. Miała wrażenie, jakby jej własny głos dobiegał z innego ciała.

Na policzku Bellegarde'a dało się zauważyć nerwowy tik. Jakby wymsknęło mu się coś, o czym miał nie mówić.

– Kościół i korona mają swoich informatorów w całym państwie – odparł, choć tak naprawdę nie odpowiedział na pytanie.

Lore, załamana, wbiła wzrok w podłogę. Oczy zaszklily jej się od łez. Od razu pomyślała o chłopcu leżącym na katafalku pomiędzy rękoma kamiennego Apolliusza.

– To straszna wiadomość – powiedziała cicho.

– Owszem, to prawdziwa tragedia. – Bellegarde bacznie się jej przyglądał, ale wyraz jego twarzy był wciąż tak samo nieprzenikniony. – Tym bardziej powinniśmy zjawić się wszyscy na obchodach zaćmienia – dodał. – Pora na nowe otwarcie.

Lore była zbyt odrętwiała, by choć skinąć głową.

– Severin? – usłyszała nagle.

W ich stronę zmierzał korytarzem August.

Król wyglądał zaskakująco zwyczajnie. Miał na sobie prosty czerwony ubiór, a jedyną oznaką jego władzy była złota opaska na siwych włosach. Stał pomiędzy Lore a Bellegarde'em z gracją, ale jednocześnie w sposób mający natychmiast ukrócić ich rozmowę. Choć na jego twarzy widniał promienny uśmiech, widać było po nim pewną nieufność.

– O czymże to z takim zapałem dyskutujecie – spytał?

– Rozmawialiśmy o obchodach zaćmienia – odparł Severin chłodnym tonem. – Upewniłem się tylko, że Eldelore i Gabriel się na nich zjawia.

Jeśli króla zdziwiło, że Bellegarde tak interesuje się cudzym kalendarzem towarzyskim, to nie dał tego po sobie poznać. Przeciwnie – wyglądał wręcz, jakby mu ulżyło.

– Rozumiem, znakomicie. Z radością będziemy was gościć.

Lore zmusiła się, by skinąć głową.

– Będzie to z pewnością wspaniały wieczór – dodał August. – Jestem pewien, że Gabriel ucieszy się z możliwości obejrzenia zaćmienia bez wypełniania kościelnych obowiązków. Mnisi Presque Mort zwykle spędzają zaćmienia na modlitwie. Tym razem jednak mój brat udzielił Gabrielowi dyspensy. Chodź, Severinie. – Król poklepał go po ramieniu, kończąc w ten sposób przypadkowe spotkanie całej trójki. – Pozwólmy młodej damie zająć się swoim życiem towarzyskim. Po ubiorze widać, że zmierza na jakieś przyjęcie.

Bellegarde zasepił się nieco, ale natychmiast skinął głową. Następnie i on, i król spojrzeli na Lore.

Ta dopiero po chwili zrozumiała, że ma się oddalić jako pierwsza. Kolejny raz niezgrabnie dygnęła i ruszyła w swoją stronę. Nim jednak zniknęła za zakrętem, obejrzała się na Augusta i Bellegarde'a. Dwaj mężczyźni, rozmawiając o czymś po cichu, zaczęli schodzić po schodach. Lore zauważyła, że w dłoni Severina nie ma już złożonego kawałka papieru.

Przykucnęła na półpiętrze, poza zasięgiem wzroku rozmawiających.

– Wszystko idzie sprawnie – usłyszała głos Bellegarde'a. – Do wieczora zostanie przetworzona kolejna grupa.

– Związ trzyma?

– Wydaje się skuteczny.

– Ale pewności mieć nie będziemy, póki go nie wypróbuję...

– Zgadza się, wasza wysokość – odparł po krótkiej chwili Bellegarde.

Potem zapadła cisza, którą zakłócał tylko tłumiony przez dywan odgłos kroków.

Gdy ustał, Lore policzyła do pięćdziesięciu. Następnie, poruszając się bezszelestnie, wróciła na piętro, na którym wpadła na Bellegarde'a. Korytarz był pusty, więc postanowiła nie tracić ani chwili. Natychmiast podeszła do gobelinu wiszącego najbliżej schodów.

Wydawało się, że nie różni się istotnie od pozostałych. Białą nicią wyszyto na nim jednorożca w galopie. Sylwetkę zwierzęcia otaczały srebrzyste postaci rycerzy i barwne polne kwiaty. Lore zaczęła przyglądać się kolejnym ścięgom i elementom wzoru. Wpatrywała się w nie tak mocno, że po chwili zaczęły zlewać się w jej oczach.

Była pewna, że Bellegarde próbował dopatrzeć się czegoś w gobelinie. Potrafiła rozpoznać człowieka, który niezdarnie stara się nie wzbudzać podejrzeń. Nienaturalnie swobodny krok, rozbiegane spojrzenie – i jedno, i drugie zauważyła natychmiast u Severina.

Do tego ten skrawek papieru w jego ręku. Skrawek papieru, który po chwili zniknął. Albo Bellegarde zdołał się go jakoś pozbyć, albo wsunął go do kieszeni. Być może wcześniej szukał miejsca, w którym mógłby go ukryć?

Lore raz jeszcze rozejrzała się po korytarzu, by upewnić się, że jest sama. Następnie wsunęła dłoń pomiędzy gobelin a ścianę. Z początku nie wyczuła niczego poza gładkim drewnem, gdy jednak przesunęła palcami po szorstkim od nici spodzie gobelinu, natrafiła na coś ostrego. Szpilka przytrzymująca skrawek papieru! Lore nie miała wątpliwości: musiał to być papierowy zwitek, który widziała w dłoni Bellegarde'a.

Ostrożnym ruchem zsunęła liścik ze szpilki. Udało jej się tylko raz przy tym ukłuć. Na wszelki wypadek cały czas oznaczała kciukiem miejsce, w którym trafiła na swoje znalezisko – zamierzała po przeczytaniu umieścić je dokładnie w tym samym punkcie. Aby utrzymać dłoń pod ciężką tkaniną, musiała przyjąć nienaturalną pozę. Dlatego natychmiast rozwinęła liścik wolną dłonią, by jak najszybciej go przeczytać.

Na kartce nie było ani jednego słowa. Jedynie liczba.

75.

Lore przyjrzała się jej, marszcząc brwi, po czym zaraz umieściła szpilkę i karteczkę w miejscu, z którego je zdjęła. Znów nie obyło się bez ukłucia w palec. Zakłęła pod

nosem. Już teraz była fatalnie spóźniona, a od komnat Bastiana dzieliło ją jeszcze dobrych kilka pięter.

Upewniwszy się, że liścik nie nosi żadnych śladów tego, by ktoś przy nim gmerał, Lore wróciła na klatkę schodową. Starła się nie biec. Czuła, że ma na stopie pęcherz. Wspinanie się po schodach w wąskich pantoflach stawało się coraz bardziej nieznośne. Rozmyślając nad znaleziskiem, czuła narastający dyskomfort.

75.

Siedemdziesiąt pięć czego? Może nie było to nic istotnego. A nuż Bellegarde po prostu katalogował gobeliny. Lore nie wiedziała, ile mogło ich wisieć na całym korytarzu, ale siedemdziesiąt pięć nie wydawało się liczbą nierealną. Być może Severin chciał tylko nabrać pewności, że w wieży, która była latem jego domem, jest więcej gobelinów niż w pozostałych. Lore nie zdziwiłaby się wcale, gdyby dworzanie Cytadeli zajmowali się takimi rzeczami.

A jednak – sama nie dowierzała własnej teorii. Bellegarde zachowywał się dziwnie, gdy ją zobaczył. Jakby próbował zasłonić samym sobą gobelin. W rezultacie tylko zwrócił na niego jej uwagę.

Lore wsunęła do ust skaleczony szpilką palec i wysała z niego kroplę krwi. Miała nadzieję, że liścik Bellegarde'a naprawdę coś oznaczał. Nie chciała dowiedzieć się, że pokłusa się tylko po to, by zobaczyć numerki w ramach idiotycznej kwerendy gobelinów.

„Wybitny z ciebie strateg” – dociął jej kiedyś Gabriel. Ech, na wszystkich umarłych i umierających bogów.

Kierując się rysunkiem Bastiana, dotarła na szczyt schodów i znalazła się u wlotu najszerszego z korytarzy, jakimi dotąd szła. Tam raz jeszcze zerknęła na plan i wczytała się w zapisane zaskakująco zgrabnym charakterem pisma wskazówki. „Pomiędzy palmami” – napisał książkę na samym dole. Zupełnie zresztą niepotrzebnie. Na końcu korytarza znajdowały się tylko jedne drzwi – białe ze złotymi zdobieniami. Dobiegające zza nich śmiechy potwierdzały, że trwa tam jakaś impreza.

– No to chodźmy... – mruknęła Lore, kierując się w tamtą stronę.

Uniosła dłoń, by zastukać w drzwi, nim jednak zdążyła to zrobić, otworzyła jej służka. Lore doceniła, że kobieta nie zmierzyła jej krytycznym spojrzeniem. Zasługiwała na nie. Była zdyszana i coraz bardziej utykała z powodu odcisku na stopie. Pokojówka skłoniła tylko głowę i cofnęła się o krok, tak aby Lore mogła wejść – do najpiękniejszej komnaty, jaką widziała w całym swoim życiu!

Wystrój był oszałamiający w swojej eleganckiej prostocie. Ściany wyłożono nagim jasnym marmurem o złotawych żyłkach. Ponieważ nie wisały na nich żadne obrazy, można było do woli nasycać się pięknem kamienia. Podłoga wyłożona była ceramiką w tonacjach zgaszonej czerwieni – misterna arabeska sprawiała, że po wejściu miało się wrażenie, jakby pod stopami znajdował się jakiś niezwykle powietrzny wir. Pośrodku komnaty kamienna fontanna wyrzucała strugi wody ku przeszklonemu stropowi – niepokojąco podobnemu do tego, który wznosił się ponad kryptami. Potężne okna otaczała tak bujna zieleń, że szyby były w znacznej mierze zasłonięte. Za otwartym holem otwierała się klatka schodowa prowadząca zapewne do kolejnych komnat. Bastian miał tu prawdziwy dwór posadowiony na szczycie Cytadeli.

Lore mogłaby w niemym zachwycie rozglądać się po tym miejscu godzinami, jednak zaraz na ziemię sprowadził ją głos Alienor. Dziewczyna pozdrowiła ją, uśmiechając się szeroko na jej widok. Miała na sobie żółtą sukienkę, która pięknie podkreślała miedziany odcień jej lśniącej skóry.

– Tak się cieszę, że przyszłaś! – powiedziała, ściskając dłoń Lore, po czym powiodła szerokim gestem po komnacie. – Pięknie tu, prawda? Bastian zwykle ma tu straszny bałagan, ale akurat wczoraj zrobiono gruntowne porządki.

– Tak, pięknie tu – zgodziła się Lore. Łatwo było jej wyobrazić sobie tutaj Bastiana. Zdawał się pasować jak ulał do tej rozświetlonej przestrzeni pełnej pięknych, zdrowych roślin. I Alie zresztą wyglądała tu jak u siebie. Podobnie jak Bastian miała w sobie jakiś wewnętrzny blask. Coś, co sprawiało, że poruszała się pośród luksusu z niewymuszoną lekkością.

Lore, patrząc na nią, zastanawiała się, jak bardzo nie na miejscu wydaje się tu ona sama.

– Komnata jest niewyobrażalnie piękna. Podobnie jak jego właściciel. – Alie uniosła brew. – Dobrze, że Bastian przeprowadził dziś pawie do ogrodu. Nie cierpię tych ptaszydeł. Robią tyle hałasu, że nie wiem, jak on przy nich sypia.

– Myślę, że w ogóle nie sypia tu zbyt często – odezwał się nowy głos. Należał do ubranej w zieleń kobiety o kruczoczarnych włosach, stojącej w przeszklonej niszy pełnej czerwonych paproci. – Urządza tu tylko przyjęcia i hulanki – dodała nieznajoma, upijając łyk herbaty.

– Kiedyś musi sypiać – wtrąciła się stojąca obok dworzanka o prostych złotych włosach okalających bladą twarz o pełnych ustach. – Lucien mówiła mi, że ma łóżko wielkości pokoju.

– Ona akurat może wiedzieć – rzuciła żartobliwie kobieta w zieleni, unosząc filiżankę jak do toastu.

– Proszę, mówmy o czymkolwiek, byle nie o podbojach Bastiana. – Alie przyciągnęła Lore lekko ku sobie. – Mam wrażenie, że to niegrzeczne plotkować o tym w jego domu. To jakby przy rzeźniku rozprawiać o jakości mięsa.

– O tym, z kogo jest dobry kąsek, Lucien też ma pojęcie – skomentowała czarnowłosa dworzanka.

Wszyscy wokół wybuchnęli śmiechem – nawet Alie, która żartobliwie wymierzyła brunetce klapsa. Dworzanka zrewanżowała się, ujmując jej dłoń i teatralnie ją całując.

Lore uśmiechnęła się, ale wewnątrz czuła narastające zdenerwowanie. Te kobiety czuły się ze sobą swobodnie – znały się od lat, zapewne razem dorastały. Ich śmiech nie wydawał się kpiarski, a zaciekawione spojrzenia, które kierowały w stronę Lore, nie miały w sobie cienia jadu. Sęk jednak w tym, że takie grupki są zazwyczaj hermetyczne i trudno w nich o miejsce dla nowych twarzy.

Przynajmniej herbaty nie było czuć wilczymi jagodami.

Elegancka porcelana wędrowała ku subtelnym wargom, a delikatne dłonie sięgały po wyszukane wyroby cukiernicze. Lore czuła się pośród tego wszystkiego jak koń wpuszczony do jubilera.

– Gwoli obowiązków gospodyni... – powiedziała nagle Alie, przytrzymując Lore za ramię, jakby wyczuła, że ta najchętniej zaraz by się wymknęła. – To Eldelore Remaut, kuzynka Gabriela. Choć wszystkie zapewne już to wiecie.

– Cudownie cię w końcu poznać, Eldelore. Jestem Danielle – powiedziała złotowłosa dworzanka z szerokim uśmiechem. Podobnie jak Lore miała na sobie bladozieloną suknię, podwinęła jednak rękawy, a zdobiące je wstążki związała powyżej łokcia, dzięki czemu nie dyndały na wszystkie strony.

Więc tak się to nosi, pomyślała Lore. Wcale nie miały zwisać i majtać się po całym ciele, powodując wrażenie, jakby człowieka oblażyły mrówki. Lore poczuła gwałtowną potrzebę, by zrobić porządek ze swoimi rękawami, ale zdołała się na razie powstrzymać. Skłoniła tylko głowę i odwzajemniła uśmiech.

– Brigitte – odezwała się teraz czarnowłosa kobieta, która przed chwilą wycalowała dłoń Alie. Ona z kolei miała na sobie kreację w odcieniu brzoskwini, o dopasowanych rękawach zakończonych koronkowym mankietem. Lore była niemal pewna, że

widziała ją na balu maskowym. Przyszła wtedy w przebraniu syreny z włosami przyozdobionymi skrzącymi się zielonymi pasmami.

– Bardzo mi miło cię poznać – powiedziała Lore, po czym zajęła jedno z wolnych miejsc przy stole z kutego żelaza. – Miło mi, że mogłam się do was wprosić.

– Wcale się nie wpraszasz. – Brigitte poczęstowała się makaronikiem. – Nie mogłyśmy się doczekać, aż cię poznamy. Ty i Gabriel byliście ostatnio w Cytadeli tematem numer jeden.

Lore poczuła na plecach dreszcz zdenerwowania, ale zdobyła się na uśmiech.

– No cóż... – zaczęła, a że nie wiedziała, co miałyby dodać, na tym poprzestała.

– Bri i Dani to moje najserdeczniejsze przyjaciółki – oznajmiła Alienor, kiedy w końcu sama usiadła przy stole i sięgnęła po półmisek pełen wypieków. – Trzymamy się razem, odkąd uczyłyśmy się czytać. Bri i ja brałyśmy też we dwie lekcje gry na pianinie. Ojciec Dani to współpracownik lorda Bellegarde'a.

Ku zdziwieniu Lore nikogo nie raziło, że Alie mówi o swoim ojcu, posługując się jego tytułem.

Dani poruszyła się na siedzisku. Lore była ciekawa, czy jej relacje z własnym ojcem były równie chłodne, jak Alie z Severinem.

– Nie chciałam, żebyś czuła się przytłoczona wielką imprezą – ciągnęła po chwili Alienor, nabijając na widelczyk jakiś przysmak posypany cukrem pudrem. – Ale i tak swojej pierwszej nocy tutaj widziałas fetę w wydaniu Bastiana. Po czymś takim wszystko wydaje się kameralne.

Lore zaśmiała się kurtuazyjnie, cały czas walcząc z przemożną chęcią, by wepchnąć sobie naraz do ust wszystkie słodkie pyszności, które przed sobą miała.

– Tak, to było bardzo pouczające doświadczenie – przyznała.

Daniele uśmiechnęła się do niej szczerze, ale i z wyraźnym zaciekawieniem.

– Od czasu balu maskowego i twojej prezentacji podczas nabożeństwa prawie cię nie widywałyśmy. – Jej ton był przyjazny, ale błysk w jej oczach zdradzał pewne zaniepokojenie.

– Chorowałam – odparła Lore. Nie umiała lepiej wytłumaczyć tak długiego braku aktywności towarzyskiej. Odpowiedź: „Przepuściłam przez siebie za dużo Mortemu, a potem byłam zajęta szukaniem w kościelnej bibliotece dowodu zdrady stanu”, raczej odpadała. – Skurcze żołądka – dodała po chwili w przyływie inwencji.

– Ach. – Brigitte ze zrozumieniem skinęła głową, przesuwając w stronę Lore filiżankę z herbatą. Aromat naparu był równie promienny i wysublimowany jak

wszystko inne wokół. – To powinno pomóc. Sama miewam straszne bóle. Mój brat zresztą również. Coś okropnego.

W jej głosie było tyle współczucia, że Lore poczuła aż wyrzuty sumienia, że skłamała. Inna rzecz, że podczas miesiączki naprawdę doświadczała nieznośnego bólu. Czuła się wtedy, jakby ktoś raz za razem kopał ją po brzuchu.

Upiła łyk podsunętej przez Brigitte herbaty – ta okazała się zaskakująco smaczna.

– Jeszcze kilka dni i wydobrzeję do reszty – powiedziała. – Wtedy chcę w końcu przekopać się przez stos zaproszeń, które dostałam. Wrócę też do trenowania krokieta, tak jak obiecałam Alie.

– Jestem pewna, że zaproszono cię na *każde* możliwe wydarzenie. Nowe twarze to na dworze rzadkość. – Danielle sięgnęła po czekoladkę z karmelowym nadzieniem. – Większość z nas zaczęła przyjeżdżać na lato do Cytadeli jeszcze jako dzieci – powiedziała, rozkoszując się słodyczą. – Znamy się całe wieki.

– Tak właśnie słyszałam – odpowiedziała Lore, usiłując przypomnieć sobie szczegóły fikcyjnej historii, która miała służyć jej i Gabrielowi za przykrywkę. Wiejska posiadłość w... Jasna cholera! Nazwa miejscowości, którą podał jej Gabriel, kompletnie wyleciała jej z głowy. Było też coś o przebytej w dzieciństwie chorobie, która nie pozwalała jej podróżować.

Na szczęście, gdy rozmówczynie Lore zaczęły zadawać pytania, dotyczyły one zupełnie czego innego.

– Powiedz – poprosiła Danielle, zerkając poufale na nią i Alie – dlaczego tak naprawdę Gabriel wrócił na dwór? Czy aby na pewno tylko po to, żeby ci towarzyszyć?

Lore o mało nie zakrztusiła się herbatą. Dziwny błysk w oczach Danielle sprawił, że poczuła się jak uczennica na sprawdzianie.

– Dani – wtrąciła się natychmiast Alienor. Jej ton był dziwny, jakby jednocześnie miała chęć krzyknąć na przyjaciółkę i się roześmiać. Słysząc było, że choć próbuje uciąć temat, sama aż wychodzi z siebie z ciekawości. – Nie mówmy teraz o Gabrielu. Naprawdę nie musimy grzebać w zamierzchłej przeszłości. – Była czerwona jak burak, ale jej oczy zdradzały coś więcej niż zawstydzenie: wciąż tłęły się płomyk nadziei. Lore natychmiast pomyślała o nagiej piersi Gabriela i o ciepłe jego ciała, które czuła przed kilkoma dniami... Na Krwawiącego Boga, czy naprawdę sytuacja wciąż musiała się komplikować?

– Biedny Bastian... – Brigitte pokręciła głową. Jej ton był przekorny, ale wyraz twarzy poważny. – Fatyguje się i używa Alie własnych komnat, a my gadamy o Gabrielu!

– Wiesz przecież, że to nie tak – zaproponowała Alie. – Bastian jest dla mnie jak brat.

– To akurat raczej niefortunne – odparła Brigitte. – Bycie królową Arceneaux miałyby swoje wady, ale księżę jest zabójczo przystojny.

– Prawda! – zapaliła się Dani. – Tyle że mąż byłby z niego fatalny. Tacy jak on nie potrafią być wierni. Bastian ze trzy razy w tygodniu zaciąga kogoś nowego do tego wielkiego łóża.

– Mnie tam dobra zabawa nie przeszkadza. – Brigitte uśmiechnęła się szelmowsko, sięgając po kolejny makaronik. – Mniej mi się uśmiecha samo bycie królową. Tylko nie mówcie tego mojemu ojcu. Widzę, że ma chęć zeswatać nas jeszcze tego lata.

Teraz to Lore oblała się rumieńcem.

– Na bogów, nie mówcie mi o swataniu i zaręczynach... – Danielle dotknęła dłonią skroni, tak jakby sama myśl o tych sprawach przyprawiała ją o ból głowy. W jej głosie słychać było szczere znużenie.

Alie i Brigitte wymieniły porozumiewawcze, pełne współczucia spojrzenia.

– Czyli nic się nie zmieniło? – spytała ostrożnie Alie. – Twoja rodzina wciąż nie chce dla ciebie Luca?

– Oczywiście, że nie. – Dani z westchnieniem opadła na oparcie, krzyżując ręce na piersi. Zerknęła ukradkowo na Lore, po czym wbiła wzrok w swoją filiżankę. – Uważają go za plebejusza. Nie obchodzi ich, że jego ojciec ma stocznię i jest powszechnie szanowany. Liczy się dla nich tylko to, że nie posiada herbu.

– Hugo nie wstawił się za wami?

– Nie – odparła Dani ze smutkiem. – Mimo że zrobiłam to, o czym rozmawialiśmy... Zabrałam go na walkę Luca, udając, że się nie znamy. Podpowiedziałam, jak obstawiać, a Luc wygrał. Hugo zgarnął potężną wygraną. Luc też ładnie zarobił. Ale kiedy potem wspomniałam, że chciałabym wyjść za zamożnego mieszczanina... Hugo nie przyjął tego dobrze. – Danielle skrzywiła się boleśnie. – Cytując mojego kochanego braciszka: „to byłoby topienie pieniędzy”.

Lore w milczeniu zastanawiała się, czy Luc był kimś, kogo potrafiłaby rozpoznać.

– Mamy za to z Lukiem nowy pomysł... – powiedziała cicho Dani z nadzieją w głosie. – To Amelia jest przecież najstarsza. I to jej małżeństwo zaważy na statusie rodziny.

– Więc niech spróbuje złowić Bastiana – odparła Brigitte.

Dani przewróciła oczami.

– Jakbym słyszała ją samą. Amelia uważa, że świetnie sprawdziłaby się w roli królowej. Za to moi rodzice nie chcą przeszarżować i negocjują z wicehrabią Demonde. Moja siostra nie jest zachwycona.

– No myślę – rzuciła pogardliwie Bri. – Gdybym upatrzyła sobie Bastiana, a trafiłby mi się podstarzały Demonde, chyba bym się wściekła.

Lore nie była w stanie zdobyć się na nic więcej niż słaby uśmiech.

– Może i Demonde jest stary, ale jego herb też. – Dani wzruszyła ramionami. – Do tego ma pieniędzy w bród i łatwiej o niego niż o następcę tronu. Jeśli ślub Amelii da rodzinie prestiż, ja będę mogła wyjść za mąż tylko dla pieniędzy, a te nie są u Luca problemem. Jest dziedzicem sporej fortuny, a i sam ma niemałe dochody.

Lore miała wrażenie, że Dani znów zerknęła w jej stronę. Spojrzenie było jednak tak ukradkowe, że mogło być tylko złudzeniem.

– On też buduje statki? – spytała Alie.

– Niezupełnie – odpowiedziała Dani. – Zatrudnił się w nowej firmie, która rekrutuje ludzi z doków do przenoszenia towaru. To jakaś robota kurierska czy coś w tym rodzaju. Płacą kupę pieniędzy, a pracuje się tylko kilka nocy w miesiącu. – Dani z zamyślnym spojrzeniem upiła łyk herbaty. – To chyba nie całkiem legalny interes, ale skoro płacą tyle kurierom, musi ich być stać na sowite łapówki. Zresztą Luca nikt nie śmiałby aresztować. Niechby tylko się dowiedzieli, kim jest jego ojciec.

Lore wiedziała już od Cecelii, skąd dworzanie biorą truciznę. Zdążyła się też przekonać, jak pobłażliwi stają się stróże prawa, gdy zaświecić im w oczy pieniędzmi. Nie miała więc wątpliwości, że Dani ma rację.

– Co to za towar? – spytała.

– Nie wiem – odparła Dani. – I szczerze mówiąc, nie interesuje mnie to. Ważne, że Luc naprawdę dobrze tam zarabia. Kupił dom w dobrej dzielnicy i sam opłacił mój posag. Nie musiał czekać, aż ojciec przekaze mu firmę.

Lore poczuła wewnątrz ukłucie. Coś jej w tym wszystkim nie grało i nie wiedzieć czemu – miała poczucie, że rozmowa, w której uczestniczy, to ciąg dalszy dyskusji, które od tygodnia toczyła w kościelnej bibliotece.

– Ale dość o tym – ucięła Danielle. – Nie miałyśmy czasem rozmawiać o przystojnym księciu Remaut i jego powrocie na dwór?

– Na rany Apolliusza... – jęknęła Alie, chowając twarz w dłoniach.

Lore zbyt szybko upiła łyk gorącej herbaty, przez co sparzyła sobie podniebienie. Czowała na sobie spojrzenia Brigitte i Danielle, które najwyraźniej oczekiwały, że to ona zabierze teraz głos.

– Naprawdę dotrzymuje mi tylko towarzystwa – odezwała się po chwili. – Moim rodzicom zależało, żebym swojego pierwszego lata tutaj miała wsparcie kogoś z rodziny. Wybór padł na Gabriela, bo jako jedyny był dostępny. Nie wydawał się tym zachwycony.

Alie znów jęknęła cicho zza zakrywających jej twarz dłoni.

– Oczywiście tęsknił za niektórymi tutaj... – dodała szybko Lore, zwracając się ku niej. – Wiem na przykład, że bardzo ucieszył się ze spotkania z tobą.

Technicznie rzecz biorąc, było to kłamstwo – Gabriel nic podobnego jej nie mówił. Lore miała jednak poczucie, że nie minęła się wiele z prawdą.

– Naprawdę? – Alie z westchnieniem odjęła dłonie od twarzy. – A już się bałam, że wszystko popsułam. To był dla mnie szok zobaczyć go po tylu latach. Takiego... dorosłego.

I znów ta myśl o jego nagiej piersi w czerwonym świetle kominka. Czerń opaski kontrastująca z elektryzującym spojrzeniem niebieskiego oka... Lore nerwowo upiła kolejny łyk. Tak, Gabriel rzeczywiście nie był już chłopcem.

Inna rzecz, że wspomnienia o nim z ostatnich kilku dni nie były tak przyjemne. Lore co rusz widziała, jak zaciskał szczęki, czytając kolejne – bezużyteczne, jak się wydawało – teksty. Gabriel zamknął się w sobie. Coś ewidentnie nie dawało mu spokoju. Ale nie chciał powiedzieć jej co.

– On też był trochę oszołomiony – powiedziała Lore. – To wszystko... jest chyba dla niego niełatwe.

– Na pewno jest mu tu trudniej niż komukolwiek – odezwała się ze współczuciem Dani. – Niektórzy sądzili, że wróci na dwór na dobre, ale wygląda na to, że wytrwale dochowuje ślubów.

Alie znów poczerwieniała na policzkach.

– Presque Mort to powołanie na całe życie. Kto raz zyska zdolność władania Mortemem, nie może jej przecież zwrócić.

– Ale można z niej chyba nie korzystać? I po prostu odejść? Wiem, że to teoretycznie niedozwolone, ale Gabriel jest przecież księciem. – Brigitte z błyskiem w oku spojrzała na Alienor. – Mógłby uzyskać dyspensę od najwyższego kapłana i...

– Nie. – Alie pokręciła stanowczo głową.

To wystarczyło. Jej przyjaciółki natychmiast zamilkły. Jedno krótkie słowo zdawało się nieść olbrzymi ciężar.

Brigitte skrzywiła się, popijając herbatę.

– Ciekawe, czy Bastian ma tu gdzieś wino – rzuciła.

– Na pewno. Przecież to Bastian! – podchwyciła natychmiast Danielle, po czym wstała i wyciągnęła do niej dłoń. – Chodźmy się rozejrzeć.

– Chcesz przeszukiwać pokoje Księcia Słońca? – zawahała się Brigitte. – Chyba jednak nie powinniśmy...

– Dlatego powiemy, że zrobiły to Alie i Eldelore. – Danielle mrugnęła do nich porozumiewawczo.

Alie przewróciła tylko oczami.

– Słusznie – podchwyciła Brigitte, biorąc Danielle za rękę. – Białe czy czerwone, moje panie?

– Obojętne, byle musujące – odparła Alie.

Brigitte skłoniła się nisko, po czym obie z Dani oddaliły się, chichocząc.

– Przepraszam – powiedziała Alie, gdy odeszły na tyle daleko, że nie mogły jej usłyszeć. – Nie wiem już, jak im tłumaczyć, że mnie i Gabriela nic nie łączy.

– Przez to, co zrobił jego ojciec? – Lore, choć próbowała, nie zdołała zachować neutralnego tonu. Wciąż skręcało ją na myśl o tym, jak cały dwór z uporem godnym lepszej sprawy obarcza Gabriela winą za cudzy grzech.

Alie, kręcąc głową, parsknęła smutnym, zupełnie niesalonowym śmiechem.

– Po części tak... – odpowiedziała. – Ale myślę, że wtedy rzecz była jeszcze do uratowania. Wszystko przepadło dopiero wtedy, kiedy Gabriel wstąpił do Presque Mort.

On sam powiedział coś podobnego.

– Twojemu ojcu zawsze było nie po drodze z Kościołem? – spytała Lore z porcelanowej filiżanki, siląc się na swobodny ton. Przypomniała sobie, co na to samo pytanie odpowiedział Gabriel. Mówił wtedy o splocie religii z koroną i o poglądzie, że powinno się je scalić w jedno ciało.

– Mam wrażenie, że jest mu nie po drodze prawie ze wszystkim. – Alie sięgnęła po ciastko. Oderwała kawałek, po czym odłożyła obie części.

– Chyba jego poglądy mocno nadwyrężyły wasze relacje? – spytała Lore.

– Moje i ojca? Trudno tu mówić o jakiejś relacji – odparła Alie ponuro, dzieląc ciastko na kolejne części, lecz żadnej nie biorąc do ust. – W domu właściwie nie

spędzamy ze sobą czasu. Mijamy się tylko na korytarzu, a kiedy jesteśmy na dworze, nie widzimy się praktycznie wcale. Moja matka zmarła dawno temu, a ja jestem jedynaczką.

– Czujesz się chyba samotna? – Lore o samotności wiedziała wiele. Zdążyła przekonać się, że jest jak pajęcza sieć: choć jej nie widać, nie sposób się z niej uwolnić.

– Tak – odpowiedziała cicho Alie. – Masz rację.

– Skończyły się wam ciastka? – odezwał się nagle znajomy głęboki głos.

Lore odwróciła się i zobaczyła przed sobą uśmiechniętego szeroko Bastiana: położył dłonie na oparciu krzesła i nachylił się nad nią, rzucając cień na jej filiżankę.

Poczuła, że częściowo uchodzi z niej napięcie. Najwyraźniej księciu udało się bez przeszkód odnieść księgę do gabinetu ojca. Lore niepokoiła się, bo gdyby został przyłapany, cały ich wysiłek mógł przecież pójść na marne.

Bastian porozumiewawczo puścił do niej oko – jakby doskonale wiedział, co nie dawało jej spokoju.

– Nie martwcie się, jest więcej. Jeśli tylko moje słodkości nie mają dość słodczy – powiedział wesoło.

– Błagam – jęknęła Alie. – Tylko bez gierk słownych.

– Daj mi jedną chwilkę – droczył się Bastian. – Wymyślę coś o bitej śmietanie.

– Prędzej zapadnę się pod ziemię. – Alie uśmiechnęła się z błyskiem w oku. – Poza tym ugościłeś nas już aż nazbyt hojnie.

– Takiego wyrażenia nie ma w moim słowniku. – Księżę sięgnął po krzesło i usiadł na nim frontem do oparcia, po czym opierając brodę na dłoniach, spojrzał spod ciemnych włosów na Alie z teatralnym zakochaniem w oczach. – Czym mogę cię uraczyć, Alienor Bellegarde, by dowieść mego niegasnącego uczucia? Czy marzą ci się może czekoladowe łabędzie? Albo półmadzy sładzy karmiący cię winogronami?

Alie z cierpką miną uniosła brew.

– Rozumiem, że sam chciałbyś wystąpić w roli sługi?

– Oczywiście. – Szelmowskie spojrzenie księcia na ułamek chwili powędrowało w stronę Lore. – Ale postarałbym się też zwerbować Remauta.

Filuterny uśmiech Alie nieco zbladł. Zaczerwieniła się lekko i spuściła na moment wzrok.

– Wiesz... – odezwała się po chwili. – Bri i Dani węszą właśnie w twoich komnatach w poszukiwaniu wina.

– Mało jest miejsc, gdzie nie schowałem jakiejś butelki – odparł swobodnie książę.
– Ale jeśli chcesz być pewna, że szybko coś znajdą, powiedz im, żeby zajrzały za lustro w sypialni na najwyższym piętrze.

– No jasne... żelazny zapas w sypialni. – Alie pogroziła palcem Bastianowi i Lore. – Idę do nich, a wy grzecznie się tu sprawujcie.

– Na to nie licz – odparł przekornie książę.

Gdy tylko Alienor się oddaliła, z jego twarzy zniknął zawadiacki uśmiech.

– Wymarła kolejna wioska – odezwał się poważnym tonem.

– Wiem. – Lore skinęła głową. – Po drodze tutaj wpadłam na Bellegarde'a.

– Współczuję. – Książę się skrzywił.

– Zachowywał się, jakby czegoś szukał – zaczęła Lore, zaraz jednak się zawahała. – Czy raczej jakby szukał miejsca, gdzie będzie mógł coś ukryć. Miał w ręku zwitek papieru. Kiedy sobie poszedł, zajrzałam pod jeden z gobelinów i znalazłam tam tę karteczkę. Nie było na niej nic poza liczbą siedemdziesiąt pięć i sama nie wiem, czy to była wiadomość dla kogoś, czy coś innego.

Książę zbladł.

– To była wiadomość.

– Skąd wiesz? – spytała Lore.

– Bo tyle właśnie osób zginęło w ostatniej wiosce – odparł Bastian. – Siedemdziesiąt pięć.

Rozdział 29

Jedna chmura to za mało, by rozpuętała się burza.

Porzekadło kiryteańskie

To... – Lore na tę wiadomość aż zakręciło się w głowie. – Skoro to była liczba ofiar...

– ...to Bellegarde musi być w to zamieszany – dokończył za nią Bastian ponurym tonem.

– W połowie rozmowy podszedł do nas August... – Myśli Lore wrywały się w setkach kierunków. Jej umysł przypominał sobie kolejne elementy układanki i starał się wpasowywać je w odpowiednie miejsca. – Nie zajrzał pod gobelin, pod którym Bellegarde schował liścik, ale kiedy odchodziłam, rozmawiał z Severinem. Mówili coś o „przetwarzaniu grup” i jakimś „związku”.

Nagle przerwał jej radosny głos Danielle.

– Bastian, jesteś! – zawołała dziewczyna. – Znalazłyśmy wino. Co prawda nie musujące, ale mam nadzieję, że się nada.

– Nikt nie powiedział mi, że miało być musujące! – Ton księcia w okamgnieniu znów stał się jowialny. Bastian zmienił zresztą nie tylko sposób mówienia, ale i mowę całego ciała. Wyraźne napięcie w ułamku sekundy ustąpiło miejsca nonszalanckiemu luzowi. Bastian znów niedbale rozwalił się na odwróconym krześle. – Bąbelki trzymam w pokoju gościnnym na drugim piętrze.

– To będzie w porządku. – Dani poruszyła w powietrzu butelką, na widok Lore zaraz jednak zmarszczyła lekko brwi.

– Wszystko dobrze, kochana? Pobladaś.

– Rozbolał mnie żołądek – odparła Lore, sięgając po filiżankę ostygłej już herbaty.

– Poślę ci do pokoju trochę mojego naparu – odpowiedziała Brigitte. Chwyciła przez tkaninę sukni korek w butelce i mocno za niego pociągnęła. Ten ustąpił niemal natychmiast z cichym cmoknięciem, a Alienor złożyła ręce do oklasków. Brigitte ukloniła się, po czym rozlała wino do pustych filiżanek po herbacie. – Ten napar naprawdę pomaga – dodała jeszcze. – To mój jedyny sposób na skurcze.

– Dzięki – odpowiedziała cicho Lore. Czowała się podle, okłamując Brigitte. Tak zwykle bywa, gdy za zyczliwość odpłaca się nieszczerością.

Bastian wstał, by krzesła mogły zająć cztery kobiety.

– Stanę sobie ładnie pod ścianą. Gdyby któraś z was miała chęć mnie namalować, rzeknę się nawet honorarium modela – rzucił żartobliwie, po czym odsunął się o kilka kroków, pozwalając Alie i pozostałym sączyć wino i swobodnie plotkować.

Popijając z filiżanki, Lore głowiła się, gdzie też August, Anton i ewidentnie będący z nimi w zмовie Bellegarde mogli ukryć przeszło siedemdziesiąt ciał.

– W przyszłym tygodniu powinno udać mi się spotkać z Lukiem – powiedziała Danielle, zerkając sponad filiżanki na Lore. – Teraz jest gdzieś z ojcem w interesach.

Luc. Doki.

Lore zmarszczyła brwi, układając w głowie myśli.

– Mówisz, że ktoś zatrudnia ludzi z doków do przenoszenia towaru? – spytała i znów poczuła na sobie zdziwione spojrzenia.

Uśmiechnęła się głupawo, licząc na to, że jej dziwne zapytanie towarzyszkę zwałą na karb jej nieobycia towarzyskiego i dzieciństwa spędzonego na wsi.

– Ja... trochę interesuję się transportem – wybąkała. – Ciekawi mnie, jak to wszystko jest zorganizowane. Co to za towar? I jak go transportują?

Brawo, Lore. Teraz nie tylko będą cię miały za nieobytą, ale stwierdzą też, że masz najnudniejsze zainteresowania ze wszystkich ludzi na świecie.

Mina na twarzy Dani była trudna do rozszyfrowania.

– Mówiłam już: nie mam pojęcia. Wiem tylko tyle, że świetnie tam płacą.

– To na bank trucizna. – Brigitte rozparła się na krześle, pociągając łyk wina. – Kto inny niż truciźniarze płaciłby takie pieniądze za przerzucanie paczek?

Dani zbyła jej słowa machnięciem ręki.

– To na pewno nie rośliny. Skrzynki są zbyt ciężkie – odparła. – Luc mówi, że trzeba trzech mężczyzn, żeby dopchać wózek do punktu zrzutu. To jedyny szczegół, jaki mi zdradził. – Uśmiechnęła się. – Bardzo to wszystko tajemnicze.

Trucizna potrafiła sporo ważyć, gdy upakowało się jej w paczce dostatecznie dużo. Lore mimo wszystko jednak uznała, że Luc ma rację. Truciźniarze działali skrycie i raczej nie zatrudnialiby przypadkowych ludzi z doków.

– Czy powiedział ci, gdzie są punkty zrzutu? – spytał nagle stojący nieopodal Bastian. Ręce skrzyżował na piersi, jedną nogę oparł o ścianę. Jego twarz nie zdradzała żadnych emocji, ale w jego oczach pojawił się przenikliwy błysk. Natychmiast domyślił się, co chodzi Lore po głowie.

– Nie. Wszyscy zatrudnieni musieli dać słowo, że tego nie zdradzą – odparła Dani.
– Z ich pracodawcą najwyraźniej nie ma żartów, bo jak dotąd wszyscy go dotrzymują.

Lore zerknęła w stronę Bastiana, ciekawa, czy wyczyta z tych słów coś więcej niż ona. Po Księciu Słońca wciąż jednak niczego nie dało się poznać.

– Bardzo interesujące – powiedziała cicho Lore, pociągając duży łyk wina. Chciała w ten sposób zakończyć temat i udało się jej.

Rozmowa zeszła odtąd na inne, przyziemniejsze tematy. Po kilku minutach Brigitte wstała i pożegnała się, tłumacząc, że jest umówiona na obiad z rodzicami. Zaraz dołączyła do niej Danielle – chciała zdrzemnąć się przed imprezą, na którą wybierała się wieczorem.

– Cudownie było cię poznać – powiedziała do Lore, odchodząc od stołu. – Przejrzyj koniecznie ten stos zaproszeń, bo na pewno znajdziesz tam coś ode mnie. Następnym razem zapraszam do siebie. Chyba że Bastian zechce gościć nas tu co tydzień?

– Gościć u siebie grono pięknych kobiet to nie kłopot, lecz czysta przyjemność – odparł książę, całując jej dłoń. – Im więcej pięknych ludzi się tu zjawi, tym będę szczęśliwszy.

Brigitte uśmiechnęła się, przewracając oczami.

– Poślę ci napar – rzuciła na odchodne do Lore, po czym wyszła za Danielle na korytarz.

– Ja też już pójdę – powiedziała Alie. Wstała i uśmiechnęła się do Lore. – Naprawdę się cieszę, że przyszłaś. Wiem, że życie w Cytadeli bywa przytłaczające, ale kiedy ma się wokół przyjaciół, robi się różnie. – Tu zerknęła na Bastiana, zadzierając brew. – Mogę ją z tobą zostawić czy konieczna będzie przyzwoitka?

– Powinna mi towarzyszyć zawsze, ale o nic się nie bój – odparł książę, podając Lore łokieć. – Odprowadzę pannę Remaut do jej kwatery, a tam czeka już zapewne jej troskliwy mniszek. Trudno o lepszą przyzwoitkę niż on.

Alie spąsowiała lekko na wspomnienie Gabriela. Bastian na szczęście nie ciągnął tematu i po chwili całą trójką opuścili książęcą kwaterę. Ruszyli schodami w dół. Gdy zeszli piętro niżej, Alie ścisnęła na pożegnanie dłoń Lore i odeszła w stronę swojej komnaty.

Gdy zostali z księciem sami, Lore odczekała jeszcze chwilę. Dopiero potem odezwała się ściszym głosem.

– Moim zdaniem ci ludzie z doków przenoszą cię.

– Oczywiście – zgodził się książę.

W tym momencie na schodach pojawił się dworzanin. Lore aż zastygła, za to Bastian pozdrowił go tylko rozleniwionym uśmiechem i spokojnie poczekał, aż się oddali.

– Musimy znów wybrać się do doków – odezwał się książę, gdy mężczyzna zniknął z pola widzenia. – Najlepiej już dziś.

– Dziś? – zdziwiła się Lore. – Minęły dopiero dwa tygodnie, a ty...

– Dziękuję za troskę, ale nic mi nie będzie. – Uśmiech księcia miał w sobie tyle ciepła, że Lore niemal darowała mu jego chłodne spojrzenie. – Chyba dość pokaleczyłem tych dwóch zbójów. Nie pisną słowa.

– Ktokolwiek zatrudnia tych tragarzy, też potrafi wymóc na nich milczenie. Ludzie wyraźnie się go boją – powiedziała Lore. Nie musiała rozwijać myśli. Rzecz była dla nich obojga oczywista. Kimkolwiek był ten, kto stał za nocnym „przenoszeniem towaru”, musiał mieć nie lada pozycję i siłę perswazji. Kto wie, mógł to być nawet ktoś z samego rodu Arceneaux.

Bastian zacisnął szczęki. Wyraźniej było teraz widać ciemny zarost na jego podbródku.

– Chyba przyszło nam do głowy to samo – mruknął.

Samo ukrycie ciał nie oznaczało jeszcze, że August odpowiada za śmierć ludzi w wioskach. Ale zrobienie tego przy jednoczesnej próbie obarczenia winą Kiryteańczyków i Bastiana – tak aby utorować sobie drogę do wskazania innego następcy – wyglądało już paskudnie. Zwłaszcza w świetle informacji o chorobie Augusta. Król rozpaczliwie starał się oszukać śmierć i chwycił się wszystkich możliwych sposobów – od zażywania trucizny po próby ujarzmienia Spiritum.

Jakie miejsce zajmował w tej układance Anton? I on ewidentnie dążył do tego, by August mógł wyleczyć się za pomocą Spiritum. Bracia Arceneaux współpracowali też ściśle, ściągając Lore do Cytadeli. Obaj więc musieli być zaangażowani w jakąś formę ingerencji w ciała zmarłych. Czy oznaczało to jednak, że są winni śmierci mieszkańców wiosek? Być może ich jedyną winą było zatajenie prawdy o tym, co stało się z ich zwłokami, gdy już nie żyli?

Jakkolwiek było, nie mogli ufać Antonowi ani trochę bardziej niż Augustowi. Oczywiście Gabriel miałby w tej kwestii inne zdanie...

Bastian w milczeniu poprowadził Lore przez główny hol w stronę drzwi wiodących poza centralną część Cytadeli. Jeszcze chwila i znaleźli się pośród zapyziałych korytarzy południowo-wschodniej wieży. Zbliźali się pomału do kwatery Gabriela

i Lore. Choć dłuższą chwilę nie odezwali się do siebie ani słowem, cisza nie wydawała się niezręczna. Oboje szli pogrążeni w myślach i było im z tym dobrze. Może aż za dobrze.

– O północy – odezwał się w końcu Bastian, gdy dotarli pod drzwi. – W tym samym miejscu co poprzednio. Załóż coś nierzucającego się w oczy.

Książę delikatnie zastukał. Drzwi zaraz otworzyły się i stanął w nich Gabriel. Miał zmierzwione włosy i wyglądał, jakby właśnie się przebudził. Najwyraźniej próbował nadrobić zaległości snu. Trudno było mu się dziwić – z każdym dniem spędzali w bibliotece coraz więcej czasu i coraz bardziej dawało im się we znaki zmęczenie.

– Witaj, Gabrielu! – Bastian uśmiechnął się szeroko. Oparł dłonie na ramionach Lore i popchnął ją delikatnie w stronę mnicha. – Widzimy się wieczorem. Lore wszystko ci wyjaśni.

Po tych słowach natychmiast się oddalił.

Gabriel i Lore zostali sami. Przez moment wpatrywali się w siebie bez słowa. Cisza z każdą sekundą ciążyła im obojgu coraz bardziej, aż stała się trudna do zniesienia.

– Wszystko w porządku? – spytała w końcu cicho Lore.

Gabriel odwrócił twarz, pocierając przepaskę na oku. Rozpaczliwie starał się wygładzić na sobie koszulę, lecz ta wymięła się podczas snu tak bardzo, że jego wysiłki nie zdawały się na nic.

– Jestem po prostu zmęczony – bąknął. – Nie spałem dobrze od tamtej nocy, kiedy ocknęłaś się po kanalizowaniu Mortemu. – Ledwie wypowiedziawszy te słowa, mnich zamarł. Lore potrzebowała chwili, by zorientować się dlaczego.

Tamtej nocy przyszła do niego. Spali razem na jego posłaniu. Była zmarznięta, chciała się ogrzać i znaleźć w kimś oparcie.

Ani razu później o tym nie rozmawiali. Oboje zajęli myśli czym innym i pozwolili, by wspomnienie tamtej nocy blakło. Teraz jednak Gabriel znów wydobył je na światło. Przyszła chwila, gdy mogli albo o tym pomówić, albo nadal udawać, że nic takiego się nie zdarzyło.

Gabriel otworzył usta. Lore nie wiedziała, które wyjście wybierze. Więcej – sama nie wiedziała, co wołałaby usłyszeć.

Na wszelki wypadek więc nie dała mu nic powiedzieć.

– Ktoś zatrudnia ludzi z doków do przenoszenia towaru – rzuciła, mijając mnicha, po czym weszła do saloniku. – Pójdziemy tam dziś i spróbujemy się dowiedzieć, co to za towar i kto za to wszystko płaci.

– My? – Gabriel zamknął za Lore drzwi i natychmiast zwrócił się w jej stronę. – Czyli Bastian też się tam wybiera?

– Tak, on również.

– To chyba niezbyt rozsądne.

– Błagam, znów to samo. – Lore potarła oczy. Niewyspanie z każdą chwilą dawało jej o sobie znać mocniej, przez co robiła się coraz bardziej nerwowa. – Za co ty go tak nienawidzisz?

Gabriel na dłuższą chwilę zamilkł. Lore zaczynała już myśleć, że całkiem zignorował jej pytanie. On jednak w końcu się odezwał.

– Nie nienawidzę go – zaczął, wpatrując się od drzwi w dogasający na kominku ogień.

Lore cisnęły się na usta różne jadowite riposty, ale wiedziała, że cokolwiek poróżniło Gabriela i księcia, nie sprowadzało się do prostej nienawiści. Czekwała więc cierpliwie, aż mnich zbierze myśli.

– Bastian jest nierozsądny, zbyt beztroski – kontynuował po chwili Gabriel. – Był taki od zawsze, już jako chłopiec. Nierozważnie obchodzi się z władzą i ze swoją pozycją. – Przesunął dłonią po rudawym zaroście na podbródku. – Z ludźmi również.

Słowa zabrzmiały tak lodowato, że Lore spuściła aż wzrok i wbiła go w swoje splecione dłonie. A przecież mnich nawet na nią nie patrzył.

Kolejna minuta upłynęła w ciszy. W końcu jednak Gabriel westchnął i mówił dalej:

– Tamtego dnia nie powinienem być w ogóle być w Belgii. Powinienem być tu.

Tamtego dnia. Gdy jego ojciec poddał księstwo Imperium Kiryteańskiemu. Tego samego, w którym Jax kazał mu patrzeć na śmierć rodzica, a potem wykłuł mu oko.

– Bastian i ja pokłóciliśmy się – ciągnął Gabriel. – O jakąś bzdurę. Chyba o to, że oszukiwał w karty. W każdym razie wściekłem się na niego tak, jak potrafi się wściec tylko dziesięcioletni chłopiec. Rzuciliśmy się na siebie i solidnie go zbiłem. – Na ustach mnicha pojawił się cierpki uśmiech. – Nieraz zdarzało nam się pobić, ale akurat tamtego dnia, jedyny raz, Bastian postanowił powiedzieć o tym ojcu. To było niedługo po śmierci Ivanny. Bastian nie wiedział już chyba, jak zwrócić na siebie uwagę Augusta. To była z jego strony ostatnia, rozpaczliwa próba. – Wzruszył ramionami. – Ojciec i tak się nim nie zainteresował, za to ja na resztę lata zostałem odprawiony do Belgii. Towarzyszyli mi wszyscy opiekunowie, którzy mieli mi zastępować rodziców. Tydzień po tym, jak dotarłem, mój ojciec poddał księstwo

Jaxowi. – Gabriel znów odruchowo potarł przepaskę. – Jak widać, moja obecność nie wystarczyła, by zmienić plany.

Lore nerwowo zacisnęła dłonie na tkaninie sukni.

– Gabi, ja nie...

Mnich nie dał jej dokończyć. Jakby bał się, że zacznie go żałować.

– Nie jestem tak głupi, by uważać, że wszystko, co mnie spotkało, stało się z winy Bastiana. Byliśmy przecież dziećmi. Mimo to... zazdroszczę mu. – Gabriel westchnął smutno. – Zazdroszczę mu tego, że podczas gdy ja dźwigam na barkach winy całej rodziny, on zdaje się nigdy nie ponosić konsekwencji swoich działań. Zazdroszczę mu tego, że tylko cud mógłby sprawić, że zostałby sam i bez grosza przy duszy. Mnie w jednej chwili odebrano wszystko.

Lore rozumiała, o czym mówił Gabriel. To, co zobaczyła, postrzegała jednak inaczej niż on. Beztroska i niefrasobliwość Bastiana były tylko maską. Fasadą. Odgrywał je, by ukryć, jak bardzo troszczy się o różne rzeczy. Lore wciąż pamiętała nocne zajście w zaułku za murami. Pamiętała, jak Bastian w ułamku sekundy niczym pelerynę zrzucił z siebie pozę rozpieszczonego, roszczeniowego królewicza. Chował się za wystudiowaną przez lata maską nonszalancji, ale Lore zdołała dostrzec w niej pęknięcia i przez nie – prawdę o nim.

W pewnym sensie przypominał jej ją samą. Ona też zdążyła być już Lore siostrą nocy, Lore truciźniarką i Lore szpiegiem. A wszystkie te wcielenia pozostawały jedynie fasadami, rolami, które odgrywała na różnych etapach życia. Myślała czasem, że gdyby zerwać z niej to, co sztuczne, w środku ukazałaby się ziejąca pustka. To, co pokazywała światu, było jak ozdoby w oknach opuszczonego domu. Bastian, choć nie musiał nigdy przed niczym uciekać i spędził życie w jednej złotej klatce, zamiast przemykać się z miejsca w miejsce, czuł zapewne to samo co ona. Wszystkie role, które z takim namaszczeniem odgrywał, mogły skrywać taką samą pustkę, jaką nosiła w sobie Lore.

Gniew Gabriela przyjmował z godnością. Pozwalał jego ledwie tłumionej wściekłości ściekać po sobie. Czy jednak na pewno była to godność? A nuż Bastian pamiętał zdarzenia sprzed lat równie dokładnie jak Gabriel. Być może czuł, że zasługuje na jego gniew. Lore nie wiedziała, jak wyrazić słowami tę myśl. Miała wrażenie, że jakkolwiek by ją ujęła, Remaut by jej nie zrozumiał. Bastian szamotał się w swojej klatce, Gabriel w swojej widział wybawienie. Chciał, by ramy, w które został wtłoczony, kształtowały go. Pragnął poruszać się w granicach, które będzie

znał. Stworzył siebie takim, jakim w jego mniemaniu chciał go widzieć świat. I choć gorset, który sobie narzucił, niekiedy go uwierał, Lore i tak trochę mu zazdrościła. Jest coś kojącego w tym, gdy wie się dokładnie, jaki spotka nas w życiu zawód.

Gabriel mylnie odczytał jej milczenie jako wyraz potępienia.

– Wiem, że to z mojej strony nieuczciwe – powiedział tonem oskarżenia pod własnym adresem. – Dawniej go obwinałem. Dziś już tego nie robię, przynajmniej nie tak jak wtedy. Ale zazdrość pozostała.

– Rozumiem – odpowiedziała Lore. Mówiła szczerze.

W ten sposób ich rozmowa na ten temat dobiegła końca. Przez dłuższą chwilę siedzieli w ciszy, którą przerywało tylko syczenie polan w palenisku.

W końcu Gabriel westchnął i pocierając znów przepaskę, odezwał się, tym razem zdecydowanym tonem.

– No dobrze. Do jakiego wariackiego planu tym razem się bierzemy?

*

Bezksiężycowe niebo, ledwie widoczne gwiazdy. Ogrody tonące w mroku. Lore szła krok w krok za Gabrielem, trzymając się go tak blisko, że czuła ciepło jego ciała. Delikatnie mówiąc, to ostatnie nie pomagało jej się skupić.

– Nie podoba mi się to – powiedział mnich. Trzeci w raz w ciągu dziesięciu minut, a w sumie chyba już piętnasty. Zaczął tę litanię, gdy tylko Lore streściła mu plan, a więc tuż po tym, jak zwierzył jej się na temat Bastiana. Od tamtej pory ze zmienną częstotliwością powtarzał wypowiedziane przed chwilą zdanie. Gdyby nie wymogła na nim, by przed nocnym wyjściem choć trochę się zdrzemnęli, zdążyłoby już pewnie paść nie piętnaście, ale co najmniej trzydzieści razy.

– Zrozumiałam – mruknęła. – Zdążyłeś już mi to powiedzieć.

Głośny wydech Gabriela mógł zdradzać rezygnację. W chłodnym powietrzu pojawił się obłoczek pary.

– To, co robimy, jest niebezpieczne. W dodatku całe to przenoszenie towaru może nie mieć nic wspólnego z tym, co stało się w wioskach. Możliwe, że kompletnie bez powodu pakujemy się w jakiś spór pomiędzy grupami trucizniarzy.

– Tego też nie możesz być pewien. A innych tropów nie mamy – szepnęła Lore z irytacją. – Znowu.

Gabriel w odpowiedzi mruknął pod nosem coś niezrozumiałego.

Przemykali się pomiędzy przystrzyżonymi drzewkami, raz po raz postukując podszwami o bruk. Gdy wyłonili się z wystylizowanego zagajnika, dostrzegli czekającego przy przepuście Bastiana. Podobnie jak oni miał na sobie ciemny strój, włosy związał z tyłu. Palił oparty o mur, jednak na ich widok od razu odsunął się od ściany, a niedopałek wrzucił do spływającej przepustem wody. Od dawna nie padało i trawa w ogrodzie była bardzo sucha, a ostatnie, czego było im teraz trzeba, to wzniecić pożar.

Książę gestem dłoni dał im znak, by skryli się w cieniu. Nie odezwał się, póki nie znaleźli się poniżej muru, a ich głosów nie zaczął zagłuszać szmer wody.

– Przede wszystkim nie wychylamy się – zaczął. Wręczył Lore i Gabrielowi takie same czarne maski jak poprzednio i sam przewiązał sobie oczy. – Mamy głównie obserwować. Spróbujmy zobaczyć, czy ktoś rozmawia z ludźmi, próbuje ich rekrutować. Dopiero jeśli to nic nie da, popytamy. Będziemy udawać, że sami szukamy pracy.

– Co z tymi zbirami, którzy nas wtedy widzieli? – spytała Lore. – Jeśli wygadali komukolwiek, kim jesteś, a ty zaczniesz udawać, że szukasz pracy, może się zrobić niebezpiecznie. Ktokolwiek zatrudnia tragarzy, szybko się zorientuje, że został rozpracowany.

– Dlatego to nie ja będę pytać o pracę. – Brodzący przez przepust Bastian zerknął na nią przez ramię. – Tylko wy.

Gabriel znieruchomiał. Lore też była tego bliska.

– Nie... – wydukała, przystając. – Ludzie w dokach mogą mnie znać.

– To akurat jest nam na rękę. – Bastian ruszył dalej przed siebie, zbywając ich niepokoje machnięciem ręki. Jakby były tylko niepotrzebnym szumem. – Jeśli ktoś spyta, dlaczego szukasz pracy, powiesz, że wzięto na widelec grupę, dla której biegałaś z trucizną. Zresztą wcześniej też kilka razy zmieniałaś zajęcie, prawda? Tak działają szpiedzy.

Lore zacisnęła wargi i nie próbowała więcej się sprzeciwić.

Po chwili dotarli do końca przepustu, pod wystającą z muru gładką kamienną płytę i żelazne poprzeczki przegradzające wyjście na drugą stronę. Te ostatnie były nowe – wymieniono je, odkąd byli tu ostatnim razem. Bastian podciągnął się na płytę i poluzował mocujące je śruby, a następnie sięgnął w dół i podał Lore dłoń. Chwytając ją, poczuła, jak jednocześnie Gabriel obejmuje ją dłońmi w talii

i podsadza. Zawieszona w powietrzu pomiędzy ciałami dwóch mężczyzn, poczuła na policzkach uderzenie gorąca.

Chwilę później wygramoliła się przez uchyloną kratę na ulicę. Nie oglądała się na Gabriela i Bastiana, usłyszała jednak dobiegające z przepustu odgłosy. Księżę jęknął nagle gardłowo, a Gabriel zabrzmiał tak, jakby tłumiał wybuch śmiechu. Gdy po chwili obaj wyłonili się zza kraty, Bastian potrząsał palcami dłoni, jakby te chwilę wcześniej zostały przydepnięte.

Przez dłuższą chwilę szli w milczeniu opustoszałą ulicą. Pomarańczowa łuna portowych świateł i dobiegające z oddali krzyki wskazywały, że pomału zbliżają się do areny walk.

– Mieście oczy dookoła głowy – rzucił Bastian, gdy zanurzali się w tłum.

Widownia była liczniejsza niż poprzednim razem. Wokół wyznaczających ring belsiana tłoczyło się więcej osób, a wszystkie sprawiały wrażenie, jakby usiłowały dopchać się jeszcze bliżej. Tej nocy, gdy Bastian walczył z Michalem, przestrzeń wokół ringu przypominała raczej miejsce swobodnych spotkań, nie arenę elektryzującego wydarzenia. Widzowie stali w luźnych grupkach, rozmawiając i śmiejąc się. Niektórzy z nich ledwie zwracali uwagę na rozwój sytuacji w ringu. Teraz wyglądało to zupełnie inaczej. Oczy wszystkich skierowane były naprzód, a ich spojrzenia – pełne emocji.

Lore, gdy tylko zdołała dojrzeć spomiędzy stłoczonych kibiców ring, zrozumiała dlaczego.

Ścierały się na nim zapalczywie dwie kobiece postaci. Włosy zawodniczek zebrane były w kucyki, a ich piersi – ciasno obwiązane. Jedna z walczących otarła właśnie obandażowaną dłońią krew z ust. Druga miała krew na jasnoblond włosach, przez co wyglądała trochę tak, jakby pofarbowała je na różowo.

– Noc wagi lekkiej! – ryknął na widok Lore stojący obok mocno już podpity mężczyzna. – Masz ochotę poboksować? Trochę u ciebie za dużo ciała jak na wagę lekką, ale chyba znajdziemy kogoś w twoim rozmiarze.

– Dzięki, nie trzeba. – Lore cofnęła się o krok i zderzyła się z kolejnym rozgrzanym ciałem.

Trafiła na Bastiana. Rozpoznała go natychmiast po dłoni, którą oparł na jej barku. Podpity mężczyzna wzruszył ramionami i zwrócił się z powrotem w stronę ringu. Blond zawodniczka wyprowadzała właśnie kolejny atak. Jej pięść powędrowała

łukiem przez powietrze, by zaraz dosięgnąć nerki przeciwniczki. Ta osunęła się na przysypany słomą bruk.

Lore odwróciła się do Bastiana.

– Wiedziałaś, że dziś „noc wagi lekkiej”?

– Prawdę mówiąc, nie miałem pojęcia, że coś takiego w ogóle istnieje. – Książę, uśmiechając się pod maską, wyciągnął szyję, by zobaczyć coś ponad tłumem. – Coś pięknego...

Lore zakłęta pod nosem i powiodła wzrokiem po zebranych. Trudno było jednoznacznie wyczuć nastroj tak gęstego tłumu, ewidentnie ogromna większość zgromadzonych skupiała się na walce. Dostrzeżenie tych wymykających się na poufną rozmowę nie powinno więc być trudne.

Gabriel stał przygarbiony o kilka metrów od niej i Bastiana. Był zwrócony twarzą w stronę ringu, ale spojrzenie jego niebieskiego oka czujnie przeczesywało spod maski gęsty tłum.

Zawodniczka z pękniętą wargą wykonała unik w bok. Jej przeciwniczka zachwiała się, gdy jej cios chybił.

– Tam – odezwał się Bastian. Nie wskazał nikogo ręką, skinął tylko podbródkiem w stronę ocienionego miejsca na obrzeżu ringu. Skrawek przestrzeni pomiędzy dwiema latarniami, ale poza zasięgiem każdej z nich, tonął w mroku. Naradzały się tam trzy postaci zupełnie niezwracające uwagi na przebieg walki.

Lore zdołała dojrzeć w mroku twarz jednego z mężczyzn wsłuchujących się w słowa niewidocznego rozmówcy. Trzecia postać była zwrócona do niej i do Bastiana tyłem.

Książę i Gabriel wymienili szybkie spojrzenia. Mnich skinął głową, po czym zaczął przemieszczać się w stronę grupki nieznanomych przy ringu. Płynął przez gęsty tłum niczym rekin przebijający ławicę.

– Chodź. – Bastian chwycił ją za rękę i pociągnął za sobą. – Nasz mniszek powinien dać sobie radę sam, ale na wszelki wypadek trzymajmy się blisko niego.

Wokół ringu podniósł się krzyk. Gdy Lore się obejrzała, zobaczyła, że zawodniczka o blond włosach leży na ziemi. Tymczasem stojąca w cieniu grupka rozeszła się, nim Gabriel zdążył się do niej zbliżyć. Postać, która jeszcze przed chwilą tłumaczyła coś dwóm rozmówcom, zniknęła w tłumie, nim Lore miała szansę się jej przyjrzeć.

Gabriel podszedł teraz do jednego z mężczyzn, którzy rozmawiali z tajemniczą postacią, i zagał niezobowiązującą rozmowę. Bastian i Lore zatrzymali się o jakieś

dwa metry od nich. Z tego, co dało się usłyszeć, Gabriel rozmawiał z mężczyzną o warunkach pogodowych na morzu.

– Na Krwawiącego Boga... – mruknęła.

Bastian cicho parsknął śmiechem.

Jeszcze kilka miałkich zdań o północno-zachodnich wiatrach i Gabriel skinął głową w kierunku, w którym oddalił się nieznajomy.

– Wiecie, czy da się tu złapać jakąś robotę? – spytał. – Potrzebuję dorobić. Najlepiej jakieś fuchy na jedną noc.

– Trochę z grubej rury... – rzucił cicho Bastian.

Lore sprzedała mu kuksańca w zebra.

Mężczyzna, z którym rozmawiał Gabriel, był bardzo niski i drobny. Gdyby nie gęsty zarost na jego brodzie, Lore pomyślałaby, że to jeszcze chłopiec. Chudzielec spojrział na swojego towarzysza, drapiąc się po karku. Był mocno posiniaczony, a obrażenia wyglądały na świeże.

– Jest jeden temat – zaczął powoli. – Ale nie wolno mi mówić o szczegółach.

Gabriel zacisnął szczęki. Drobny mężczyzna cofnął się przepłoszony, na ułamek sekundy szeroko otwierając oczy. Lore ani trochę mu się nie dziwiła. Gabriel nie wyglądał jak ktoś, kogo chciałoby się niepotrzebnie drażnić.

– A gdzie znajdę kogoś, komu wolno? – spytał.

– Przegraj – zaśmiał się szorstko kompan chudzielca, wykonując dłonią ruch w stronę ringu. Był nieco roślejszy od kolegi, ale wciąż wyglądał bardzo młodo.

Lore znów zerknęła na zawodniczki. Blondynka kolejny raz dźwignęła się z ziemi, ale krew brocząca z rozcięcia na łuku brwiowym spływała jej na oczy.

– Przegrać? – Gabriel zmarszczył brwi, wyraźnie zbity z tropu.

– Przegraj walkę – bąknął chudzielec, przesuwając dłonią po sińcach. – Sami się do ciebie zgłoszą, ale interesują ich tylko przegrani.

– Dlaczego?

– Za cholerę nie wiem – odparł zgryźliwie mężczyzna. – Pewnie dlatego, że aby walczyć, trzeba opłacić wpisowe. Kto właśnie umoczył na przegranej walce, nie będzie zadawać tylu pytań.

Wokół ringu rozległy się okrzyki. Blondynka znów padła na bruk, tym razem na dobre. Potężny mężczyzna o splątanej czarnej brodzie zrobił krok ponad belami siana i śmiejąc się, uniósł w górę rękę zwyciężczyni. Dziewczyna miała mocno podbite oko, ale na jej twarzy gościł triumfalny uśmiech.

Gabriel zerknął w stronę Lore i Bastiana, po czym westchnął.

– Z kim mam pogadać, żeby wejść do ringu?

– Nie dadzą ci walczyć – odparł posiniaczony mężczyzna, mierząc Gabriela wzrokiem. – W każdym razie nie dziś. To noc wagi lekkiej.

Pytające spojrzenia trojga oczu – dwojga Bastiana i jednego Gabriela – natychmiast powędrowały w stronę Lore.

– Ja pierdołę... – mruknęła, czując, co się święci.

Rozdział 30

Przeszłość zawsze ma ostatnie słowo.

Przysłowie eroccańskie

Wystarczyło nieco złota Bastiana, by już dziesięć minut później wszyscy troje stali przy ringu, czekając na przeciwniczkę Lore.

– Wiem, że masz przegrać – powiedział cicho księżę, owijając jej knykcie lnem – ale postaraj się dać ludziom trochę rozrywki. Wątpię, żeby ktokolwiek próbował cię zwerbować, jeśli padniesz od pierwszego ciosu.

– Postaram się. – Lore była zbyt zdenerwowana, by silić się na cięte riposty.

Stojący obok niej Gabriel zacisnął szczęki, patrząc wokół wilkiem.

– Nie podoba mi się to – mruknął niezadowolony.

– Wiesz, ja też nie jestem zachwycona – odparła, na przemian uginając i prostując kolana. Widać było, że udziela się jej podszyta nerwowością energia. – Nie uwierzysz, ale nie jestem zbyt dobra w walce na pięści.

Zaskoczony Bastian przerwał na moment owijanie.

– Byłaś trucizniarką i nie umiesz się dobrze bić? To w czym byłaś dobra?

– W uciekaniu. – Lore wyszczerzyła zęby.

– Takie bitki to niewielka sztuka – wtrącił się Gabriel. – Instykt przetrwania od razu bierze górę, a ty masz go na pęczki.

– Dyskusyjne – mruknął Bastian, ale Lore i Gabriel udali, że go nie słyszą.

Chwilę później mnich westchnął, jakby pogodził się ostatecznie z tym, co ma się zaraz stać.

– Staraj się trafić w rzepkę – podpowiedział.

– Słusznie – przytaknął Bastian i upewnił się, że len na pięści Lore odpowiednio leży. – Rzepki to oczy nóg.

Gabriel i Lore spojrzeli na księcia, mnich jednak wzruszył ramionami.

– Ma rację – rzucił zdawkowo.

– Ślicznie wam obu dziękuję za pomoc... – Lore odginała palce to w jedną, to w drugą stronę, walcząc z pełzającym po jej ciele nerwowym odrętwieniem.

W tym momencie tłum po przeciwległej stronie ringu się rozstał. Wyłoniła się z niego dziewczyna o zaplecionych w warkocze miedzianych włosach i takim wyrazie twarzy, jakby ledwo co napiła się skwaśniałego mleka. Przeskoczyła ponad belą siana, po czym stanęła w ringu, przekrzywiając lekko biodro i krzyżując ręce na piersi. Była od Lore o kilka centymetrów niższa, ale miała zblizoną – umięśnioną i delikatnie zaokrągloną – posturę.

– A to bardzo nieeleganckie. – Gabriel się skrzywił. – Nie obwiązała dłoni.

– Chyba len nie jest jej na nic potrzebny – odparła Lore, przyjrzawszy się ręką przeciwniczki. Kolekcja sińców i opuchnięte stawy zdradzały, że ma przed sobą otrzaskaną zawodniczkę.

Teraz i sama Lore zacisnęła pięści. Czuła w nich narastający puls, jakby były dwójgim serc.

Brodaty sędzia zajął miejsce pośrodku ringu.

– Ostatnie zakłady! – zawołał.

– Jeśli się zorientują, że specjalnie przegrałam, przepędzą nas z miasta widłami – szepnęła Lore.

– Więc dopilnuj, żeby się nie zorientowali – odparł Gabriel.

Brodacz przywołał Lore skinieniem palca, a ta ruszyła w jego stronę. Szum krążenia w uszach i wrzawa wokół ringu zagłuszyły ostatnie słowa otuchy ze strony Gabriela i Bastiana. Nadchodząca z drugiej strony rywalka zmierzyła Lore wzrokiem, a następnie szyderczo się uśmiechnęła.

Lore naprawdę żałowała w tym momencie, że musi się podłożyć.

– Zakłady skończone – zakrzyknął sędzia. – No to, moje panie, przekonajmy się, która urządzi której piekło!

Pohukiwania i okrzyki niosły się echem po portowej ulicy. Lore czekała, aż sędzia da sygnał do rozpoczęcia walki.

Doczekała się tylko sygnału w postaci ciosu w brzuch.

Nie zdążyła się jeszcze wyprostować, a rywalka już potężnie zamachnęła się nogą. Lore jednak w porę uchyliła się od kopnięcia. Przeciwniczki ani trochę to nie zraziło – natychmiast wyprowadziła uderzenie otwartą dłonią w ucho.

Lore osunęła się na kolana. W głowie słyszała ogłuszające dzwonięcie.

– Traf ją chociaż raz! – zawołał do niej Bastian.

– Próbuje! – warknęła.

Spojrzała na rywalkę. Ta szła przez ring z dzikim uśmiechem na twarzy, wsłuchana w wiwaty kibiców. Okrzyki tłumu zachęcały ją tylko, by pomału pastwiła się nad wyraźnie słabszą przeciwniczką. Lore, widząc, jak się zbliża, starała się coraz szybciej nabierać powietrza. Oddechem usiłowała wypchnąć z siebie ból.

Poruszyła obolałym ciałem. Z tyłkiem na ziemi, z ugiętymi kolanami i podparta z tyłu dłońmi, przedstawiała sobą widok, od którego sadystyczny uśmiech przeciwniczki tylko się powiększył.

Rywalka znalazła się w końcu w zasięgu ciosu, Lore jednak nie próbowała wyrwać się do ataku. Jeszcze nie.

Miedzianowłosa stanęła nad nią, przypatrując się jej jak nadąsanemu dziecku.

– Dałabym ci się poddać, ale muszę ćwiczyć – rzuciła, zaciskając pięść i szykując się do zadania ciosu.

Siedząca na ziemi Lore miała głowę na wysokości jej brzucha. Idealnie.

W mgnieniu oka oparła się mocniej na dłoniach, zadarła nogę i kopnęła przeciwniczkę w rzepkę. Ta z ochryplym krzykiem padła na ziemię.

– Oczy nóg – mruknęła, podnosząc się.

Na widowni rozległy się entuzjastyczne okrzyki. Sympatie kibiców były, jak widać, zmienne jak pogoda.

Bastian wykrzyknął coś radośnie, za to Gabriel wyglądał na zatroskanego. Chciał, by Lore się poddała – widziała to w jego oczach. Teraz zaś nie było już co liczyć na to, że rywalka jej to umożliwi. Pozostawało więc przegrać z przytupem.

Lore skrzywiła się na samą myśl.

– Zapłacisz mi za to! – Miedzianowłosa podniosła się i potrząsnęła nogą. Kulała tylko nieznacznie, ale gdy znów rzuciła się do ataku, grymas na jej twarzy zdradził natychmiast, że znów przeszył ją ból.

– Coś tak czuję... – westchnęła Lore.

– Rozejść się! – rozległ się nagle głos dobiegający od strony miasta. Wtórował mu tupot ciężkich butów po bruku.

Entuzjastyczne nawoływania tłumu w mgnieniu oka przeszły w okrzyki zaskoczenia.

– Krwawi! Uciekać!

Ring i jego otoczenie momentalnie opustoszały. Kibice i oczekujący zawodnicy błyskawicznie wzięli nogi za pas i rozbiegli się po odchodzących od ulicy zaułkach. Na miejsce walk wpadła tymczasem grupa zbrojnych. Bagnety połyskiwały

złowieszczo w świetle latarni – w ich pomarańczowym blasku przypominały ogniste włócznie.

Dziewczyna, z którą walczyła Lore, nawet się na nią nie obejrzała, odwróciła się tylko na obolałej nodze i rzuciła do ucieczki. Zemsta za cios w rzepkę znalazła się nagle na samym dole listy jej priorytetów. Nic dziwnego, gdy zatrzymanym groziło zesłanie na Wyspy Popielne.

Lore poczuła na ramieniu czyjaś dłoń. Odwróciła się błyskawicznie i zobaczyła Gabriela.

– Uciekajmy! I tak nic by z tego nie było – ponaglił ją mnich.

Razem z tłumem ruszyli ulicą naprzód, słysząc za sobą odgłosy zatrzymań i pojedyncze wystrzały. Po chwili do ich uszu dobiegł jednak głos Bastiana.

– Tutaj! – wołał książę stojący u wylotu jednej z wąskich bocznych uliczek.

Gabriel, nie zwalniając kroku, błyskawicznie skręcił, wciągając za sobą Lore w ocieniony zaułek. Byli tu względnie bezpieczni.

Lore oparła się o ścianę i złapała za brzuch. Był wciąż obolały od ciosu, a nieoczekiwany sprint też nie pomógł.

– Musimy wracać do Cytadeli, zanim zrobi się tu naprawdę paskudnie. – Stojący u wylotu zaułka Bastian wyjrzał ostrożnie na ulicę. Połowa jego twarzy tonęła w mroku, drugą połowę oświetlał słaby blask latarni. Główną ulicą przebiegła grupa gwardzistów. Gdy mijali ciemną uliczkę, książę przylgnął do muru, cały kryjąc się w cieniu. – Przyjdziemy tu jutro...

– Wykluczone – uciął stanowczo Gabriel. – To od początku był głupi plan.

Bastian obejrzał się przez ramię. W słabym świetle latarni przez mgnienie oka dało się dostrzec błysk jego zębów. Lore wspomniała poprzednią sytuację, gdy wylądowała z nim w ciemnym zaułku. Niezwykłe było to, jak błyskawicznie przemienił się wtedy z rozpieszczzonego utracjusza we wściekłego wojownika.

– Masz lepszy? – zapytał Bastian równie ostrym tonem.

– Musi być jakieś wyjście – odpowiedział mnich. – Możemy pomówić z...

– To nic nie da, Gabi, sam przecież wiesz – wtrąciła łagodnym tonem Lore. – Jeśli mamy się dowiedzieć, kto werbuje tych ludzi, musimy zrobić to sami. – Tu wskazała dłonią w stronę głównej ulicy. – Ten nalot to znak. Jesteśmy na właściwym tropie, a ktoś wiedział, że tu dziś będziemy.

Gabriel zwrócił się w jej stronę. Poczowała na sobie świdrujące spojrzenie jego ukrytego pod maską oka.

– Chyba nie rozumiesz, jak niebezpieczne jest trzymanie się tego planu. Przychodzenie tutaj...

– Jestem *stąd*, Gabrielu – przerwała mu, prostując się pomimo bólu. – Nie przyszło ci do głowy, że jesteś wobec mnie trochę nadopiekuńczy?

Nie zamierzała tego mówić. Ją samą zaskoczyło to, jakimi słowami dała upust swoim lękowi i irytacji. Cała trójka na moment zamarła. Każde z nich rozumiało, że zahaczyli właśnie o coś większego i ważniejszego niż wydarzenia tego jednego wieczora.

Gabriel postąpił o krok naprzód.

– Wolałabyś, żebym rzucił cię wilkom na pożarcie i skupił się na własnych planach? – spytał. Nie patrzył przy tym na Bastiana, ale naprawdę nie musiał. Oskarżenie było aż nadto jasne.

Lore czuła na sobie ciężar spojrzenia księcia. Bastian wiedział, kim ona jest i skąd pochodzi. Wiedział, że dała już sobie radę z niejednym „wilkiem”. Gdyby była tak kruchą istotą, jak zdawało się Gabrielowi, dawno już zostałaby z niej pył.

Mnich nie znał na jej temat tylu szczegółów, co książe. Być może przyszła pora, by to zmienić.

Lore wzięła głęboki wdech.

– Gabrielu, muszę ci coś...

Przerwało jej coś, co runęło na nią nagle z ciemności i przewróciło ją na ceglana ścianę. Uderzyła głową o szorstki mur, a jej obolały już wcześniej brzuch jakby zapłonął żywym ogniem. W głowie słyszała ogłuszające dzwonienie. Choć tłumilo ono dobiegające odgłosy, a oczy zaszyły jej mgłą, zorientowała się, że toczy się walka. Usłyszała krzyk Gabriela, wściekłe warknięcie Bastiana i dźwięk pięści uderzających o ciało.

– Nie uczysz się na błędach, co? – odezwał się nagle głos, który wydał się Lore znajomy. Słyszała go już kiedyś, a jednak miała wrażenie, że brzmi inaczej niż poprzednio. Jak gdyby gardło mówiącego było całkiem wyschnięte. – Nic mnie nie obchodzi, że jesteś księciem, a ona jakąś tam damulką. Potrzebuję więcej kasy, a wy ją macie, skurwiele.

Lore, która przestała w końcu widzieć nieostro, rozpoznała przesłaniającą światło latarni postać napastnika. Był nim Milo, zbir, który usiłował wymusić od Bastiana pieniądze. Wyglądał jeszcze gorzej niż poprzednio. Zwaliste cielsko zdawało się

z niego zwisać, jakby nie miał siły dłużej go utrzymać. Widoczne na jego skórze żyły zaszyły szarą barwą kamienia.

Gabriel – przytomny, ale oszołomiony – opierał się ciężko o brudny ceglany mur. Po jego skroni ściekała strużka ciemnej krwi. Z ramienia Mila wystawała rękojęć sztyletu Bastiana, mężczyzna jednak jakby wcale nie czuł odniesionej rany. Jego żyły były tak skamieniałe, że sam fakt, iż ostrze przebiło jego skórę, zakrawał na cud. Musiał przyjąć potężną dawkę trucizny. Wyglądał niewiele lepiej niż zjawy z katakumb.

Bastian klęczał pośrodku uliczki, obejmując tułów rękoma. On również został ugodzony. Na zaśmiecony uliczny bruk sączyła się z jego koszuli krew, która w półmroku wydawała się czarna.

Milo obrócił w dłoni zakrwawiony sztylet.

– W dupie mam, kim jesteś – odezwał się nienaturalnie szorstkim głosem. Na jego ustach malował się zwyrodniały uśmiech, a w jego odurzonych oczach widać było euforyczny błysk. – Tym razem zginiesz.

Czas nagle zwolnił. Lore poczuła, jak wewnątrz jej umysłu coś się krystalizuje. Usłyszała zew instynktu i wiedziała, że musi natychmiast za nim podążyć.

– Odsuń się – rzuciła w stronę Bastiana. Choć jej ciało wciąż było obolałe, a dzwonięcie w głowie nie ustało, jej głos zabrzmiał mocno.

Jakakolwiek wewnętrzna wiedza nią kierowała, Bastian również musiał poczuć ją w sobie. Natychmiast ucisnął mocniej ranę i chwiejnym krokiem odstąpił od Lore i Mila. Poruszał się znacznie szybciej, niż powinien, zważywszy na to, że chwilę wcześniej został ugodzony nożem w brzuch.

I Milo chciał się uchylić, ale Lore była szybsza. Gdy tylko Bastian znalazł się w bezpiecznej odległości, bez trudu przyzwała Mortem. W kamiennych murach, walających się po ulicy śmieciach czy nawet w ostrzu sztyletu było go mnóstwo. Smugi śmierci w mgnieniu oka popłynęły ku Lore.

Mortem, który przyzwała, był potężniejszy niż kiedykolwiek wcześniej. Jego fala powinna była całkowicie przytłoczyć jej zmysły. A jednak bez trudu przyjęła na siebie całą tę olbrzymią moc.

Gdy otoczenie przybrało odcienie szarości, wysunęła ręce przed siebie. Opadała w przestrzeń, w której esencja śmierci była widoczna gołym okiem. I służyła za narzędzie.

Lore pozwoliła Mortemowi płynąć przez swoje ciało. Jej żyły poczerniały, a oczy zaszyły nieprzejrzystym całunem. Serce na ułamek chwili zamarło w jej piersi.

I wtedy, nie namyślając się ani chwili, wyrzuciła z siebie cały Mortem w kierunku Mila.

Tkanie smug śmierci było dla niej równie naturalne jak oddech. Od zawsze nosiła w sobie ten dar, lecz teraz zdawał się on osiągać pełnię rozkwitu. Gdy korzystała z niego wcześniej, działała bez zastanowienia. To, co od innych wymagało mnóstwa uwagi, ona robiła z wrodzoną łatwością. Teraz jednak była w pełni skupiona. I wręcz upajała się tym, co potrafi.

Przędąc Mortem, jakby ten był fizycznie namacalną nicią, owinęła nim potężnego napastnika. Spowiła go całunem skamienienia. Milo zastygł w bezruchu jak róże w kamiennym ogrodzie. Chciała go zamrozić, zanurzyć w zastoju. Nie miała innego wyjścia, jakoś przecież musiała go powstrzymać.

Widzisz, jak łatwo ci to przychodzi, córko mroku?

Głos był ledwie słyszalny, ale wystarczył, by wytrącić Lore ze skupienia.

Pokręciła głową i otworzyła oczy.

Milo został obrócony w kamień. Jego trzymająca nóż ręka zastygła w bezruchu ledwie kilka centymetrów od jej szyi. Spodziewała się, że zobaczy na jego twarzy wściekłość, ta jednak znieruchomiła w wyrazie bezgranicznego przerażenia.

– Lore... – wydukał oszołomiony Gabriel, na przemian otwierając dłonie i zaciskając je. – Nie powinnaś była...

– Co niby innego miała zrobić, Remaut? – zapytał Bastian, zbliżając się z powrotem do Lore. Jego koszula była poplamiona krwią, ale nie uciskał już kurczowo rany i nie robił wrażenia osłabionego. – Zatańczyć z nim?

Mnich nie odpowiedział. Opierając się o mur, spojrzął tylko na kamienny posąg, który jeszcze przed chwilą był żywym człowiekiem. Milo był istotą ludzką. Miał imię, nazwisko i zawód – mniejsza, że zawodem tym było wymuszanie pieniędzy od ludzi obstawiających walki. Był człowiekiem, a Lore tego człowieka obróciła w kamień.

Czy wciąż miał w sobie choć resztkę świadomości? Czy odczuwał ból?

Pokręciła głową. Woląa nie wiedzieć.

Woląa też nie patrzeć na Gabriela. Wiedziała, że wyraz jego twarzy zaboląby ją jeszcze bardziej niż ten, który zobaczyła podczas wycieku Mortemu. Nie była na to teraz gotowa, a wciąż mieli przecież tyle do zrobienia.

– Jak brzuch? – spytała Bastiana słabym głosem.

Książę zerknął na ranę tak, jakby zdążył już o niej zapomnieć.

– W porządku – odparł, marszcząc nieco brwi na widok pokrwawionej koszuli. – To chyba tylko draśnięcie.

Nie, niemożliwe. Na pewno było to coś poważniejszego. Tak przynajmniej sądziła Lore. Kiedy jednak książę uniósł koszulę... skóra wydawała się nienaruszona. Jedynym śladem po ciosie była smuga zaschniętej krwi.

Bastian oparł dłoń na ramieniu Lore i delikatnym ruchem odsunął ją od skamieniałego ostrza w dłoni Mila. Potem przesunął ręką po jej karku i włosach i pogładził kciukiem jej policzek.

– No dobra – odezwał się stanowczym tonem, opuszczając rękę i cofając się o krok. – Nie możemy zostawić go tu w takim stanie, a podejrzewam, że nie zamierzacie go jeszcze ożywiać...

– Pytanie nie brzmi, kiedy go ożywimy – odezwał się Gabriel cichym, ochrypłym głosem – ale czy to w ogóle możliwe.

– Tak czy owak, musimy go stąd zabrać – odrzekł książę, zerkając w stronę rozklekotanego wózka porzuconego na przeciwległym krańcu zaułka. Podeszedł do niego i szarpnął za jeden z uchwytów. Wózek poruszył się, choć koła koszmarnie zgrzytały. – No dobrze, mamy jak go przewieźć. Tylko *dokąd?*

– Ja mam pomysł – odparła Lore. Jej usta wciąż były odrętwiałe. – Wiem, dokąd możemy go zabrać.

*

W rozważania Bastiana i Gabriela o tym, jak ułożyć posąg na wózku i czy ten w ogóle wytrzyma jego wagę, zaczynała przez moment wkradać się panika. Milo już jako człowiek z krwi i kości nie grzeszył lekkością – teraz zamienił się w kamienną statuetkę, a wózek, na którym zamierzali go przewieźć, dawno już miał najlepsze lata za sobą.

Ostatecznie rzecz okazała się znacznie prostsza, niż myśleli. Odliczyli do trzech, po czym razem pchnęli posąg, ten zaś opadł miękko na poduszkę ze śmieci, które Lore ułożyła na wózku.

Bastian wielkimi oczami przyjrzał się figurze na pace.

– Poszło zadziwiająco gładko...

– To coś nie jest z litego kamienia – wyjaśnił Gabriel. Zaraz się jednak poprawił: – Właściwie nie „coś”, ale *ktoś*.

Istotnie, nie mieli przed sobą litego kamienia. Był to żywy człowiek, spowity tylko całunem śmierci. Lore aż zrobiło się niedobrze.

Gabriel nie patrzył w jej stronę. Przysypał Mila warstwą śmieci, po czym ustawił z tyłu, by razem z Bastianem mogli kierować wózkiem. Lore podkradła się do wylotu zaułka i rozejrzała po głównej ulicy.

– Czysto – szepnęła. – Ale lepiej się pospieszmy.

– Zgoda. Ciężko byłoby nam się z tego wytłumaczyć – powiedział Bastian i szarpnął wózek od przodu.

Pomagający mu Gabriel przytrzymał tył, by jazda była stabilniejsza. Lore przyszło też do głowy, że mógł ustawić się tam, by być jak najdalej od niej.

Cała trójka wraz z niecodziennym ładunkiem pomału wyłoniła się z bocznej uliczki. Lore doskonale pamiętała trasę, sprawnie więc prowadziła pozostałych przez kolejne skręty i zakręty. Znajdujący się w pobliżu magazyn od dziesięciu lat był dla ludzi Val bazą wypadową. Lore – choć czasem wołałaby, by było inaczej – trafiłaby tam z zamkniętymi oczami.

Nie miała chęci angażować w to wszystko Mari i Val, nawet teraz, gdy jasne już było, że odpowiedzi, których poszukiwali, więcej mają wspólnego z jej przeszłością trucizniarki niż z jej obecnym fikcyjnym szlachectwem. Gdyby tylko mogła, wołałaby nie oglądać swoich przybranych matek. Po części dlatego, by nie narażać ich na niebezpieczeństwo, a po części – ponieważ sama myśl o nich wciąż była dla niej bolesna. Wspominając je, czuła się, jakby uciskała świeży siniec.

Nie miała jednak za bardzo innego wyjścia.

Mgła wisiała nisko nad ulicami, tym niżej, im bardziej zbliżali się do portu. Słabe światło księżycy odbijało się w widocznej w oddali czarnej wodzie, która zdawała się ciągnąć w nieskończoność jak bezkresne ciemne niebo ponad nią.

Rzut oka na księżyc sprawił, że Lore przypomniała sobie o zaćmieniu i swoich nadchodzących urodzinach.

Magazyn mieścił się w niczym niewyróżniającym się ciemnym podłużnym budynku. W okolicy było takich wiele, a ten celowo pozostawiono w takim stanie, by wyglądał na opuszczony. Dach zapadał się w połowie długości, a rynny pełne były zaschniętych mewich odchodów. Na chropawych deskach zewnętrznych ścian widać było ślady fal przyływu.

Większość sąsiednich zabudowań stała pusta. Okolica ta była prawdziwym rajem dla zjaw. Można tu było spokojnie odespać ostatnią dawkę lub umrzeć

nieniekajonym, gdy skamieniałe ciało dożyło swoich przeżytych na kredyt dni. Val nie wypędzała nigdy nikogo z pustych magazynów. Czasem jednak posyłała tam kogoś, by upewnić się, czy wewnątrz nie zalegają zwłoki. Dopilnowywała tego zwłaszcza w cieplejszych miesiącach, gdy resztki ciała na skamieniałych szkieletach błyskawicznie zaczynały cuchnąć. Znalezione zwłoki natychmiast palono – nie było sensu próbować dotrzeć do rodziny. Jeśli ktoś szedł skonać do pustego magazynu, to nie miał nikogo, kto by go szukał. Wątpliwe też, by troszczył się o to, czy uda mu się wejść do Świetlistego Królestwa. W tej okolicy mało kto zaprzętał sobie tym głowę.

– Dokąd my właściwie idziemy? – Po Bastianie ledwie było słycać zadyszka. Gdy Lore zwróciła się w jego stronę, zauważyła napięte mięśnie pod sztywną od krwi koszulą. Klejący się do ciała materiał podkreślał tylko kontury jego umięsnionego torsu.

– Na metę truciźniarzy – odparła, odwracając szybko wzrok. – Nie było co się zastanawiać.

– Pięknie – odpowiedział Bastian. – Tam mnie jeszcze nie było.

Idący za nim Gabriel wciąż milczał.

Ulice wokół magazynu były opustoszałe. Jak zwykle zresztą. Dawniej Val nie pozwalała pokazywać się tu swoim ludziom o tych samych porach, by nie zaczęli zwracać na siebie uwagi. Widać weszło im to w nawyk, bo trzymali się tego zwyczaju, choć nie musieli się już kryć. Val została przecież „pobłogosławiona” przez Kościół i koronę. W zamian za wydanie Lore Anton pozwolił jej działać legalnie.

Latarnie zostały daleko w tyle. Za jedyne oświetlenie służył im teraz słaby blask księżycy i nielicznych gwiazd. Tonący w mroku budynek wyglądał jak katowski podest.

Lore przystanęła przed drzwiami. Coraz wyraźniej dawało jej o sobie znać zdenerwowanie. Nie było jednak co zwlekać. Miała za sobą obróconego w kamień opryszka i musiała wymyślić, jak przywrócić mu ludzką formę, a tylko tu mogła liczyć na chwilę spokoju.

Zastukała, wybijając na drzwiach kombinację uderzeń znaną na pamięć od trzynastego roku życia: dwa mocne, potem dwa kolejne rozdzielone czterosekundową pauzą i na sam koniec werbel knykciami.

Drzwi natychmiast się otworzyły.

– Na umarłych i umierających bogów, co tak dł... – Soczysty alt Mari uwiązał jej w gardle. – Lore? – spytała z niedowierzaniem, robiąc wielkie oczy.

– Cześć, Mari – odparła Lore. Czuła, jak mimo starań drży jej warga.

Rozdział 31

Więzy rodzinne są święte, choć nie zawsze są to więzy krwi.

Przysłowie myroshańskie

Wnętrze magazynu zupełnie nie odpowiadało wrażeniu, jakie budynek robił z zewnątrz. Podłogi były tu starannie zamiecione, a strop – wysoki i równy. Wyłożono go przy tym kilkoma warstwami drewna i cyny, by – choć wyglądał z ulicy, jakby się walił – do środka nie przedostawały się krople deszczu.

Pod ścianami ustawiono prycze. Część z nich była pościelona, część nie. Większość załogi nie mieszkała w tym miejscu, a Val i Mari miały własną osobną kwaterę nad biurem – prycze stały tu jednak na wypadek, gdyby ktoś czasowo nie miał gdzie się zatrzymać. Przez widoczne po prawej stronie uchylone drzwi do biura sączyła się szeroka smuga światła ze stojącej na biurku lampy gazowej. Lampa będącej jednym z najdroższych sercu Mari przedmiotów. Val podarowała ją jej na którąś rocznicę, bo Mari miała już dość ślęczenia nad księgami rachunkowymi przy świecach.

W głębi pomieszczenia majaczyło w cieniu kilka skrzynek – nieomylny znak, że w najbliższych dniach ma się odbyć zrzut. Val nie trzymała tu trucizny, póki nie musiała.

Mari stanęła przed drzwiami biura z rękoma skrzyżowanymi na piersi. Stamtąd, słuchając pospiesznych tłumaczeń Lore, badawczo przyglądała się Gabrielowi, Bastianowi i znajdującemu się za nimi wózkowi z posągiem. Jej twarz nie zdradzała żadnych emocji.

Lore mówiła Mari prawdę. Przynajmniej w znacznej części. Pominęła na razie w swojej opowieści powód, dla którego znaleźli się w dokach. Miała jednak chęć jej go wyjawić. Na widok jednej ze swoich matek poczuła, jak ból po zdradzie Val stopniowo ustępuje. Tutaj znów była dzieckiem. Znów najchętniej opowiedziałaby swoim przybranym rodzicom wszystko, by Val i Mari mogły od razu zaradzić problemowi, z którym się zмага.

Lore postanowiła zachować też dla siebie tożsamość Gabriela i Bastiana. Marnym pomysłem byłoby wyjawić Mari, że sprowadziła do jej bazy wypadowej księcia Auverrain i członka Presque Mort...

Gdy skończyła swoją opowieść, Mari pomału pokiwała głową. Zaciśnęła wargi i widać było, że potrzebuje chwili na przetrwanie tego, co usłyszała.

– Więc chcesz, żebyśmy przechowały dla ciebie trupa? – odezwała się w końcu. W jej ciemnych oczach malowało się zaniepokojenie.

– On nie jest martwy. – Gabriel po raz pierwszy, odkąd wyszli z zaułka, zabrał głos. Spłoszył tym niemal na równi i Lore, i Mari.

Stojący obok niego Bastian milczał z rękami skrzyżowanymi na piersi i zadumany wyrazem twarzy. Obaj – w odróżnieniu od Lore – wciąż mieli na sobie maski. Gdy zerknęło się w ich stronę kątem oka, dawało to nieco niepokojący efekt. Zamaskowani i zanurzeni w półmroku wyglądali niemal tak samo.

– Niech będzie, *niemartwego* człowieka. Mamy trzymać go tu, aż coś wymyślisz? – spytała Mari.

– To nie potrwa długo – zapewniła ją Lore. Brzmiała niemal jak w dzieciństwie, gdy wdzięczyła się do matek, by jej na coś pozwoliły. – Spróbuję coś z tym zaraz zrobić.

Lore poczuła na karku spojrzenie Gabriela i aż dostała gęsiej skórki. Pozostawienie Mila w obecnym stanie byłoby złe, przywrócenie mu ludzkiej postaci – również. Cokolwiek by zrobiła, wiedziała, że mnich nie będzie zadowolony. Przez moment żałowała, że nie potrafi nie przejmować się jego zdaniem.

– Musieliśmy tylko gdzieś go ukryć – dokończyła szybko. – Nie mogliśmy przecież zostawić go na ulicy.

– No tak... – westchnęła Mari, poprawiając węzeł na chustce przytrzymującej włosy. Zdobiące jej końcówki paciorki z morskiego szkła zamigotały w słabym świetle. Lore miała wrażenie, że zastali ją, gdy akurat zamierzała kłaść się spać. – Niech będzie – powiedziała w końcu. – Może tu zostać.

– Naprawdę mam nadzieję, że to nie potrwa długo. – Lore zwróciła się w stronę wózka i leżącego na nim skamieniałego opryszka. Śmieci, którymi go przysypali, zsunęły się z jego twarzy, ukazując jej przerażony wyraz.

Mari zerknęła na posąg, po czym z uniesionymi brwiami przyjrzała się Lore.

– Daj mi dosłownie chwilę, a jakoś postawię go na nogi – zapewniła nerwowo dziewczyna. – Potrzebowałam tylko... odrobiny prywatności.

Prywatności i miejsca, w którym czułaby się komfortowo. Lore sama nie zdawała sobie sprawy, ile dyscypliny musiała sobie narzucić, póki tu, w magazynie, nie zaczęło uchodzić z niej napięcie. Mimo wszystko wciąż czuła się w tym miejscu jak

w domu. Na bogów, ależ za nim tęskniła... Gdy tylko przekroczyła próg, poczuła się, jakby coś wypełniło potężną wyrwę w jej piersi – wyrwę, której aż do tej chwili nawet sobie nie uświadamiała.

– W porządku, będziesz ją tu mieć. – Mari zerknęła w stronę drzwi. – Niedługo powinna wrócić Val.

Lore poczuła nagle, jak wyrwa wewnątrz niej znów zaczyna ziać pustką

– Czy... to problem? – spytała, przygryzając wargę.

– Szczerze mówiąc, nie wydaje mi się – odparła Mari, patrząc jej w oczy. Wyraz jej twarzy jakby nieco złagodniał; pojawił się w nim cień smutku i rezygnacji. – Val znalazła się między młotem a kowadłem. Najwyższy kapłan nie dał jej właściwie innego wyjścia. Mogła albo wydać ciebie, albo cała załoga by zawisła.

Gabriel znieruchomiał.

– Zawisła...? – powtórzyła Lore cicho. Val mówiła jej, że musiała wybierać między nią a całą załogą. Dotąd jednak Lore była przekonana, że w grę wchodziły grzywny, wyroki więzienia, w najgorszym razie zesłanie na Wyspy Popielne...

– Wybiliby nas co do jednego – szepnęła Mari. Teraz to ona nerwowo przygryzła wargę. – Kapłanowi cholernie na tobie zależało, myszko.

Lore przypomniała sobie swoją pierwszą rozmowę z Antonem, dzień po tym, jak wskrzesiła Konika. Najwyższy kapłan powiedział wtedy, że Kościół obserwował ją, odkąd miała trzynaście lat. I odkąd wskrzesiła Cedrica. Miano na nią oko. Nadzorowano ją z oddali i pozwalano jej żyć iluzją wolności. Aż pewnego dnia szarpnięto za smycz. Kościół odczekał, aż trochę podrośnie. Aż moc władania Mortemem zdąży w niej dojrzeć i się rozwinąć się.

I tak się stało – skamieniały zbir na wózku był tego najlepszym dowodem. Jeszcze kilka tygodni temu Lore nie potrafiłaby zrobić z Milem tego, co stało się z nim teraz. Zupełnie jakby pobyt w Cytadeli wzmógł w jakiś sposób moc, którą w sobie nosiła.

Pobyt w Cytadeli i nieuchronnie zbliżające się dwudzieste czwarte urodziny...

Lore zerknęła w stronę Księcia Słońca. Instynktownie poszukiwała w nim oparcia, siły. Dopiero teraz uświadomiła sobie też, że Gabriel zapuścił się głębiej do wnętrza magazynu, na tyle daleko, że zapewne nie słyszał jej rozmowy z Mari. Gdy znów minął ich, krążąc po pomieszczeniu jak dzikie zwierzę po klatce, zerknął szybko w stronę Bastiana i Lore, po czym odwrócił wzrok.

W tym samym momencie rozległo się pukanie do drzwi. Ktoś wystukał tę samą kombinację co wcześniej Lore, więc Mari natychmiast otworzyła.

W drzwiach stała Val.

– Wybacz, kochana, musiałam jeszcze... – Val urwała. Na widok Lore znieruchomiała z wciąż uchylonymi ustami. – Myszko! – wykrztusiła z siebie po chwili i zaraz ruszyła w jej stronę.

Stojący pod ścianą Bastian wyglądał, jakby szykował się do walki. Rozluźnił i rozprostował ramiona, jednocześnie zaciskając dłonie w pięści.

Val nie tylko jednak nie miała złych zamiarów, ale natychmiast rozpostarła ręce i mocno przytuliła Lore. Nigdy wcześniej nie obejmowała jej tak długo. W ogóle zdarzyło się to dotąd tylko trzykrotnie, a każdą z tych sytuacji Lore bardzo starannie zapamiętała. Z tej pary to Mari była bardziej skora do okazywania uczuć. Ona była rodzicem, który chętniej służył otuchą.

Po chwili szczerzego zdumienia Lore odwzajemniła uścisk. Przytuliła Val równie mocno i poczuła, jak gniew wobec matki rozplywa się w dobrze znanym zapachu jej siwych włosów i szorstkim dotyku tkaniny jej koszuli.

– Myszko... – Ochrypiły głos Val się łamał. – Tak się cieszę, że nic ci nie jest!

Lore nie odpowiedziała. Spuściła tylko podbródek i wtuliła twarz w jej ramię. Miała nadzieję, że Val nie wyczuje, jak jej koszula nasiąka ciepłymi, słonymi łzami. Lore wcześniej nie pozwalała sobie przy niej na płacz i nie zamierzała teraz zaczynać. To nie była pora na przesuwanie granic.

Zebrała się w sobie i kiedy uniosła głowę, po łzach nie było już śladu.

– Rozumiem, dlaczego to zrobiłaś – powiedziała po chwili. Jej ton był łagodny. – Wiem, że obserwowali mnie od dawna... Od tej historii z Cedrikiem. Mari mówiła mi też, czym groził wam najwyższy kapłan.

W oczach Val widać było znużenie. Skinęła głową i poprawiła chustkę na włosach.

– Tłumaczył mi też, że tak będzie lepiej dla ciebie. Że w Cytadeli ze zrozumieniem zbadają twoją... przypadłość. Brzmiało to tak, jakby mieli nauczyć cię, jak nad nią panować.

Lore poruszyła się nerwowo. Zbolało ją, że aby przekonać Val, Anton posłużył się tego rodzaju obietnicą. Ciekawa była też, ile razy sama Val chciała jej pomóc, ale po prostu nie wiedziała jak.

Stara truciźniarka oparła drżące dłonie na ramionach dziewczyny.

– Gdybym tylko wiedziała, że cię obserwują, ochroniłabym cię – powiedziała cicho.
– Mam nadzieję, że mi wierzysz.

– Wierzę – odpowiedziała szeptem Lore. Mówiła szczerze. – Przykro mi, że sprowadziłam na was to wszystko.

– Daj spokój. – Przybrana matka potrząsnęła nią z lekką irytacją. – Przecież to nie twoja wina! Nie zrobiłaś nic złego. Cieszę się, że wszystko u ciebie dobrze.

– Nie do końca *dobrze* – wtrąciła Mari. – Jest problem z tym skamieniałym facetem.

– Słucham? – Val zrobiła wielkie oczy.

– To dłuższa historia – westchnęła Lore.

– W porządku, nie musisz mi teraz wszystkiego mówić. – Siwa kobieta dopiero teraz zwróciła uwagę na Gabriela i Bastiana. Przyjrzała im się nieco nieufnie, a jej dłoń odruchowo powędrowała w stronę skórzanej kabury przy biodrze. Val nigdy nie rozstawała się z pistoletem. – Bardziej niż ten skamieniały interesują mnie ci dwaj nieskamieniali panowie.

Lore otworzyła usta, gorączkowo usiłując przypomnieć sobie historię na przykrywkę. Niepotrzebnie. Bastian oczywiście ją ubiegł.

– Blaise – powiedział i ukłonił się. – A mój gburowaty kolega to Jean-Baptiste.

Gabriel zacisnął szczęki, słysząc, jak kwiecistym fikcyjnym imieniem ochrzcił go Bastian. Po jego twarzy przebiegł cień irytacji i Lore niemal odetchnęła z ulgą. Dobrze było zobaczyć na niej coś innego niż zdystansowany chłód maskujący wezbraną złość.

– Skąd znacie Lore? – spytała Val.

Pomimo jej badawczego spojrzenia Bastian nie stracił rezonu.

– Pomagamy jej w Cytadeli – odparł, zmyślnie zbliżając się do prawdy, ale jej nie wyjawiając. Po chwili uśmiechnął się cierpko i dodał: – My, ludzie z zewnątrz, musimy trzymać się razem, pani.

– Daruj sobie „panią”. – Val w zamyśleniu zerknęła na Lore, po czym znów spojrzała na księcia. – Skoro ona wam ufa, ja też wam zaufam – oznajmiła. – Ale co łatwo zyskać, łatwo też stracić. Niech którykolwiek raz pozwoli sobie na za wiele, a pucinam łby obu.

– Nie śmielibyśmy – odparł Bastian. – Obaj wolimy pozostać w jednym kawałku.

Val skinęła krótko głową, najwyraźniej usatysfakcjonowana taką odpowiedzią.

– No dobra – powiedziała, krzyżując ręce na piersi. – Mówcie, co zamierzacie zrobić z tym skamieniałym.

Wobec braku jakiegokolwiek planu musieli improwizować. Bastian, wieczny czaruś, trajkocząc radośnie, podniósł razem z Gabrielem posąg i oparł go o ścianę. Lore słyszała strzępy jego gadaniny o porcie i statkach. Chwalił też zmyślne zakamuflowanie magazynu, a w pewnym momencie spytał, czy Val i Mari zdarza się bywać na walkach – tu w odpowiedzi padło gromkie „nie”. Większość słów księcia Lore puszczała jednak mimo uszu, bo starała się skupić na Milu. Przemieniła żywego człowieka w spowity całunem śmierci nieruchomy twór, a teraz musiała wymyślić, jak to odkręcić.

Chciała wierzyć, że w ogóle jest to wykonalne.

– Będzie coś pamiętać? – spytała cicho Gabriela. – Kiedy go... odkamienimy?

Mnich udzielił jej odpowiedzi tonem cichym jak szelest wiatru, ale jednocześnie chłodnym. Jakby chciał podkreślić swoją dezaprobatę zarówno wobec tego, co stało się dziś, jak i wobec zająć, o których miał mówić.

– Podobnych sytuacji było zaledwie kilka. W każdej z nich ofiara nie pamiętała niemal nic z ostatnich godzin poprzedzających atak. Ten człowiek zapomni zapewne, że w ogóle nas dziś widział.

„Ofiara”. „Atak”. Nie użył tych słów przypadkiem.

Lore zwiesiła ramiona.

– Co chcesz zrobić? – spytał mnich po chwili. Na przemian rozwierał palce i zaciskał je w pięści.

Nie potrafiła rozszyfrować jego spojrzenia. Miała nadzieję, że to on wpadnie na jakiś pomysł, ale najwyraźniej się przeliczyła. Wyprostowała więc i ponownie ugięła ręce, szykując się na falę klucia i mrowienia.

– Muszę chyba zrobić z nim to samo co z tym chłopcem w krypcie – powiedziała w końcu. – Trzeba to... po prostu odwrócić.

Gabriel jeden raz skinął sztywno głową.

– Pomogę ci – powiedział.

Zabrzmiało to nie tyle jak propozycja pomocy, ile raczej jak rozkaz. Lore miała wrażenie, że mnich nie do końca jej ufa i woli czuwać, na wypadek gdyby nie poradziła sobie sama.

Choć sama nie miała do siebie w pełni zaufania, znów poczuła się, jakby ktoś posypał solą świeże skaleczenie na jej ciele. Bastian natychmiast dostrzegł niemal namacalne napięcie pomiędzy nią a mnichem. Na wszelki wypadek, wciąż entuzjastycznie trajkocząc, przeprowadził Val i Mari nieco w stronę biura. Ta

pierwsza wydawała się poirytowana, druga – speszona. Obie jednak w lot zrozumiały, że cokolwiek ma się wydarzyć, lepiej, żeby odbyło się bez publiczności.

Całe szczęście. Lore nie chciała, by patrzyły na to, co miało się zaraz stać. Odpychając od siebie wspomnienia z dzieciństwa i myśli o swoich przybranych matkach, zwróciła się ku zastygłej, przerażonej twarzy Mila.

– W porządku – mruknęła. – Zaczynamy.

Z wahaniem wyciągnęła przed siebie ręce. Gdy Gabriel zrobił to samo, poczuła delikatny ruch powietrza. Dwie pary płuc zaczerpnęły oddech, by zatrzymać go na dłuższą chwilę. Oboje opadali teraz w przestrzeń, w której Mortem i Spiritum stawały się namacalne.

Śmierć błyskawicznie zalała potężną falą zmysły Lore. To było coś zupełnie innego niż z Konikiem – gdy Mortem stanowił niejako naturalne przedłużenie konającego ciała. Mila nie otaczała ledwie mroczna aureola, lecz pole entropii gęstej niczym smoła. Nicość tak skupiona, że będąca niemal ciałem stałym. Jej wewnętrzna sprzeczność sprawiała, że Lore z trudem utrzymała koncentrację.

Zacisnęła zęby. Tu nie było nad czym się namyślać. Przy obu poprzednich wskrzeszeniach nie kierowała się umysłem, ale instynktem. Musiała zdać się na czucie.

Nie zamykając oczu, odczekała, aż przestanie widzieć kolory i ujrzy jedynie czernie oraz biele oznaczające skupiska życia i śmierci. Stojący przed nią skamieniały mężczyzna był jedną wielką plamą czerni. Jego niewyraźny kontur spowijała aura mroku.

Ciemne smugi unoszące się z jej palców łączyły ją z Mortemem, który tchnęła w ciało Mila. Były jak cieniutkie włókna pajęczyny wiążące ją z całunem, który na nim utkała. Pod nim, gdzieś w głębi, dostrzegła jednak słabe światło – nietknięte wciąż ziarno życia.

Mila dało się uratować.

By obrócić żywą istotę w kamień, tchnęła śmierć w każdą z komórek jej ciała. Mortem spowił je niczym kokon motyla. Lore wyczuwała każdy z punktów, w których czekał, spleciony w kruchej równowadze z życiem. Były jak dwie strony tej samej monety – nie mogły bez siebie istnieć. Wzmocnić jedno oznaczało wzmocnić drugie.

Pomyślała o prawie przeciwieństw...

– Widzisz, gdzie zaczyna się Mortem? – Spojrzała na Gabriela.

Jego oczy zaszyły bielmem, żyły nabrały smolistej barwy, a dłonie przybrały trupi wygląd. Skóra na wargach mnicha obkurczyła się, przez co przypominał zwierzę szczerzące kły.

Wyglądał jak monstrum. Tak samo jak i ona.

– Tak – odpowiedział Gabriel cichym, rzeczowym tonem.

– Spróbujmy go rozpleść. Pomału.

Wzięli się do dzieła – z wprawą, ale i bardzo ostrożnie. Wciąż trzymając ręce przed sobą, Lore skinęła palcem. Biegące ku niemu ciemne włókno drgnęło i zaraz nawinęło się na niego jak żyłka na szpulę. Mortem, ruch za ruchem, opuszczał ciało bandyty i płynął w jej stronę. Serce Lore zwalniało, czuła się, jakby w płucach miała pustkę. Przepuszczała Mortem przez swoje ciało, by następnie kierować go w głąb podłogi – w nieżywą materię. Posadzka magazynu była gruba i mocna, mogła przyjąć go dużo bez ryzyka skruszenia.

Stojący obok Gabriel postępował tak samo. Choć nie dorównywał Lore tempem pracy, w milczeniu pieczołowicie wydobywał Mortem ze skamieniałego ciała. Razem rozwijali kokon śmierci, by wydobyć na wierzch światło życia.

Lore spodziewała się w każdej chwili usłyszeć bezcielesny głos – szept, który wydawał się jednocześnie jej własnym i całkowicie obcym. Nic takiego jednak się nie stało.

Powinno być to dla niej krzepiące, ale nie było.

Gdy całun śmierci udało się rozpleść do końca, a skryte w głębi światło niespiesznie przebiło się na zewnątrz, Lore opuściła ręce i łapczywie zaczerpnęła powietrza. Jej serce zmęczyło się bardziej niż zazwyczaj. W klatce piersiowej czuła łoskot nawracający w formie bolesnych szarpnięć. Krzywiąc się, przycisnęła do piersi wciąż trupio blade dłonie.

Pomału zaczynała znów widzieć kolory. Mogła teraz przekonać się, jaki efekt przyniosły ich działania. Milo znów wyglądał normalnie, a nawet znacznie zdrowiej niż wcześniej. Jego skóra nabrała różowawego odcienia, a żyły – wcześniej antracytowe od Mortemu – były teraz ledwie szarawe, ba, gdzieś tam nawet zdrowo niebieskie. Kończyny opryszka zwiotczały. Sztylet wysunął się jego dłoni i z brzękiem spadł na posadzkę. W którymś momencie Milo zamknął też oczy i usta – i wyglądał teraz, jakby spał.

Gabriel postąpił o krok naprzód, po czym oblizał bok palca i podsunął go pod nozdrza mężczyzny.

– Oddycha – zakomunikował.

– Czyli... naprawiliśmy go? – Lore poczuła, jak do oczu napływają jej łzy ulgi.

Gabriel, nie patrząc jej w oczy, ruszył w stronę biura, z którego dobiegał śmiech Mari. Opowiadający kolejną historię Bastian gestykulował żywo na tle lampy, rzucając cienie w różne miejsca.

Lore nie doczekała się odpowiedzi.

*

Milo nie zdradzał żadnych oznak wybudzenia, nawet gdy Gabriel i Bastian chwycili go za nogi i ręce i wynieśli na zewnątrz. Mari zasugerowała wcześniej, żeby położyć go na jednej z prycz, ale Val stanowczo zaprotestowała.

– Jest na truciźnianym głodzie. Miałby tu co kraść – powiedziała, ale zaraz podsunęła inny pomysł. Niedaleko stał pusty magazyn, do którego zachodziło wielu nocnych marków, by odespać nadmiar wypitego alkoholu. – Jeśli będzie cokolwiek pamiętać, pomyśli, że to tylko zwidy. Kto jak kto, ale on na pewno miał je nieraz.

Gabriel i Bastian, sapiąc z wysiłku i zrzędząc pod nosem, dźwignęli więc bezwładnego opryszka i z trudem wlekli go po szorstkim bruku. Oddechy księcia i mnicha zaznaczały się w chłodnym powietrzu smugami pary. Ich rytm i wtórujący mu odgłos kroków zlewały się harmonijnie z szumem fal przyływu. W oddali co pewien czas rozlegał się dźwięk statkowych syren.

Val prowadziła ich wąskimi uliczkami w stronę majaczącego w ciemnościach magazynu. Jeszcze chwila i znaleźli się pod drzwiami. Gdy Val pchnęła je, ustąpiły z głośnym skrzypnięciem. Jeśli hałas przebudził kogoś śpiącego w środku, ten nie dał po sobie poznać niezadowolenia. Bastian i Gabriel ułożyli Mila na posadzce, po czym błyskawicznie oddalili się bez słowa. Opryszek nawet się nie poruszył.

– No nie powiem, umiecie działać po cichu – pochwaliła ich Val, gdy wszyscy znaleźli się już na zewnątrz. – Nie myślał któryś z was, żeby pobiegać z trucizną?

Gabriel wyglądał na nieco zszokowanego, za to Bastian wzruszył tylko ramionami.

– Zasadniczo nie, ale wiadomo co mówią: nigdy nie mów nigdy. Wiem tyle, że teraz mam na głowie za dużo innych tematów.

– Szkoda. – Stojąca obok Mari pokręciła głową. – Z dnia na dzień ubywa nam ludzi w ekipie.

– Aż tylu aresztowano? – spytała cicho Lore. Interes Val i Mari od niedawna był teoretycznie legalny, ale krwawi słynęli z tego, że zatrzymują wszystkich, którzy z jakiegokolwiek powodu im się nie spodobają.

– Gdyby tylko to był takie proste. – Mari zaśmiała się bez radości, wypuszczając z ust obłoczek pary. – Najlojalniejsi wciąż są z nami, myszko. Stara gwardia, którą znasz, nie odeszła. Za to nowszych co rusz ktoś nam podkupuje. – Truciźniarka uśmiechnęła się cierpko. – Ciężko nam konkurować, kiedy tamci za noc pracy dają zapłatę pozwalającą opłacić roczne komorne.

Na słowa Mari cała trójka pomyślała jednocześnie o tym samym. Bastian zrobił przy tym duże oczy, Gabriel sposepniał, a Lore poczuła, jak znów przyspiesza jej puls.

– Wiesz coś o tych całych transportach? – spytała dziewczyna.

– A co tu wiedzieć? – odparła drwiącym tonem Val. – To jakaś lewizna z przemytu. Nikt nie płaciłby tyle za bieganie z legalnym towarem.

– To, że jest nielegalny, to akurat pewne – zaśmiała się gorzko Mari. – Kiedy Phillip przyszedł mi powiedzieć, że się zwalnia, wymsknęło mu się kilka szczegółów. Powinniście zobaczyć jego minę, kiedy zorientował się, co palnął. Wyglądał, jakby podpisał własny wyrok śmierci. Przez godzinę musiałam go potem zapewniać, że nikomu nie powiem.

– Wiesz, dokąd transportują swój towar? – Gabriel zabrzmiał jak śledczy prowadzący przesłuchanie. Lore posłała mu karcące spojrzenie, ale mnich się nim nie przejął. – Albo może potrafisz wskazać, kto zatrudnia wszystkich tych ludzi?

Val spojrzała na niego bardzo chłodno.

– Mari powiedziała przecież jasno: obiecała przyjacielowi, że niczego nie wyjawia.

Lore przeszedł lekki dreszcz. Ostatnie, czego by chciała, to żeby Gabriel sprowokował Val. Nie miała wątpliwości, że w takim starciu by przegrał...

Bastian, sądząc po jego reakcji, pomyślał dokładnie to samo.

– Oczywiście nie nalegamy, żebyś łamała dane słowo – odezwał się natychmiast. – Przepraszam za nietakt kolegi.

Gdyby spojrzeniem dało się krzesać ogień, to, które Gabriel posłał Bastianowi, w mgnieniu oka spaliłoby go na popiół. Mari skrzyżowała za to ręce na piersi i przygryzła wargę, wyraźnie się namyślając.

– Zależy ci na tej informacji, prawda? – zwróciła się łagodnym tonem do Lore. – Potrzebujesz jej, żeby wywiązać się wobec tych z Cytadeli. A zakładam, że zatrudnili cię do czegoś ważniejszego niż tropienie przemytu.

– Tak – przyznała Lore. Nigdy nie umiała okłamywać Mari. Ta zresztą potrafiła zawsze przejrzeć jej emocje na wylot.

Przybrane matki Lore wymieniły spojrzenia.

– Możesz cokolwiek nam powiedzieć? – spytała Mari.

Lore chciała, naprawdę. Z radością ulżyłaby sobie, mówiąc o ciałach zmarłych, pałacowych kłamstwach, nierozwikłanej okultystycznej zagadce i widmie wojny z Kiryteą. Sęk w tym, że za posiadanie pewnej wiedzy można było zawisnąć.

Wszystkiemu dało się wciąż zaradzić. Ona, Bastian i Gabriel – zakładając, że mnich nie odwróci się od nich po wydarzeniach ostatnich godzin – nadal mieli na to szansę. Nie było potrzeby siać paniki. Nie było potrzeby angażować Val i Mari ani trochę bardziej, póki nie będzie innego wyjścia.

– Nie – odparła więc po chwili Lore. – Przykro mi.

Stojący obok Bastian uniósł lekko rękę. Lore myślała już, że oprze dłoń na jej ramieniu, ale nie zrobił tego.

– W porządku, myszko – odpowiedział Val. – Rozumiemy.

Mari skinęła głową na znak, że zdecydowała i jest gotowa pomóc.

– Dowiedziałam się od Phillipa niewiele – zaczęła. – Ale nawet po tym, co mu się wymysknęło, mało nie złał się w gacie. Jeśli mam przekazać wam, co mi powiedział, muszę mieć pewność, że wszyscy troje będziecie bardzo ostrożni.

– Oczywiście – odparł cicho Bastian.

Gabriel i Lore w milczeniu skinęli głowami.

– Wiem tyle – ciągnęła po chwili Mari – że to, co przenoszą, trafia do katakumb. *Głęboko*. Aż pod samą Cytadelę.

Rozdział 32

*Na każdej miłości poranić się można,
ale trójkąt najbardziej podobny jest do noża.*

Przyśpiewka karczemna

Dziś w nocy – powiedział Bastian poważnym tonem. Siedząc na sofie w saloniku Lore i Gabriela, ani trochę nie silił się już na beztroskę. – Nie możemy dłużej zwlekać. Musimy zadziałać jeszcze dziś. W przeciwnym razie może wymrzeć kolejna wioska.

– Czy strażnicy nie nabiorą podejrzeń? – Lore poruszyła pogrzebaczem węgle w kominku, po czym dmuchnęła w nie, by na nowo rozniecić ogień. Wciąż miała gęsią skórkę i czuła się przemarznięta od przewodzenia Mortemu. – Wymknąć się do miasta to jedno. Zakradać się do kamiennego ogrodu Presque Mort i tajnego wejścia do katakumb to inna bajka.

Oparty łokciem o fasadę kominka, Gabriel poruszył palcami, jakby chciał zacisnąć je w pięść. Odkąd Mari powiedziała im o katakumbach, nie odezwał się ani słowem. Milczał nie tylko przez całą drogę z miasta do Cytadeli, ale również po powrocie do kwatery w wieży.

Lore zerknęła w jego stronę. Był do niej zwrócony profilem – widziała tylko przepaskę na jego oku i fragment twarzy, z którego nie potrafiła wyczytać niczego.

– Nie nabiorą, jeśli będzie z nami mnich Presque Mort – odparł Bastian. Jego wyraz twarzy łatwo było z kolei rozszyfrować. Czuł złość i szykował się na starcie. – Wystarczy, że będziemy ostrożni – dodał. – Pytanie nie brzmi, czy uda się nam wejść do katakumb, tylko jak odnajdziemy ciała, kiedy już tam będziemy. „Pod Cytadelą” to niezbyt precyzyjny namiar.

Lore, przygryzając policzek, posłała mu wymowne spojrzenie. Liczyła na to, że sam zdoła wyczytać z niego odpowiedź. Wcześniej, w zaułku, była o krok od tego, by wyznać Gabrielowi prawdę o sobie. Lecz chwilę później obróciła człowieka w kamień, a mnich odtąd patrzył na nią jak na zło wcielone. Nie zamierzała wyjawiać mu prawdy teraz. A właściwie – nigdy.

Bastian dostrzegł jej wzrok i ledwie zauważalnym ruchem głowy natychmiast dał znać, że rozumie.

– Ale jakoś damy radę – uciął zdawkowo.

– Jak sobie to wyobrażasz? – Gabriel unikał spojrzeń księcia i Lore. Wzrok wbił w na nowo rozniecony na kominku ogień. Nie próbował dłużej walczyć ze sobą i zacisnął pięści. Po podłodze wędrował ostry cień jego knykci. – Katakumby są przecież bardzo rozległe.

– Zdobędę ich mapę – odparł Bastian takim tonem, jakby mówił o czymś oczywistym. – Ktoś w pałacu musi ją mieć.

Lore sądziła, że Gabriel wykpi tę głupawą odpowiedź. Mnich jednak zazgrzytał tylko zębami.

– A co, kiedy znajdziemy już ciała? – zapytał po chwili, wciąż wpatrzony w płomienie. – Co zamierzacie z nimi zrobić?

– Kiedy je znajdziemy – odpowiedziała łagodnie – spytam je, jak straciły życie.

Gabriel zmarszczył brwi, a Lore bez słów wiedziała, co go trapi. Wszyscy pamiętali przecież, co powiedział wskrzeszony chłopiec, zanim kazał im odnaleźć pozostałych.

„Zabiła mnie noc”.

Lore przyciągnęła kolana do piersi, jakby chciała się nimi zasłonić.

– Teraz przynajmniej wiem już, co zrobić... gdyby przypadkiem któreś ciało pozostało ożywione – dodała. Brzmiało to tak, jakby próbowała zbić niewypowiedziany przez Gabriela argument.

Gdy mnich się wzdrygnął, udała, że tego nie zauważyła. W pokoju zaległa pełna chłodu cisza. Czuć było nieufność.

Choć dla Lore było to bolesne, część jej dziwiła się, że dała ona o sobie znać dopiero teraz. Gabriel nigdy przecież nie powinien był jej ufać. Owszem, łączył ich przerażający dar, ale posiadali go każde w innym stopniu. Co więcej – on, nabywając swoją moc, dostąpił niejako zaszczytu.

Ona została naznaczona klątwą.

– À propos – odezwał się Bastian – dobrze by było dać w końcu odejść Claude’owi. Oczywiście kiedy już uporamy się z całą resztą. Należy mu się przyzwoity pochówek. Pomówię z florystą.

Lore ukradkowo spojrzała księciu w oczy, a ten uśmiechnął się do niej smutno. Próbował choć trochę rozluźnić atmosferę, ale na próżno. Nawet światło słońca, które w sobie nosił, nie było w stanie roztopić lodu, który skuł relacje ich trojga.

Znów na kolejnych kilka minut zapadła cisza. Taka, która paraliżuje i rodzi lęk przed czymś nieuniknionym, co ma się zaraz wydarzyć. W końcu Gabriel

wyprostował się i spojrzał najpierw na Bastiana, a potem na Lore.

– Cały plan oparliśmy na założeniu, że Mari nie kłamie – zaczął. Jego ton nie pozostawiał wątpliwości. Wchodził na ścieżkę konfrontacji i nie zamierzał liczyć się z konsekwencjami.

Lore mogła puścić jego prowokacyjne słowa mimo uszu i zdławić w zarodku wiszącą w powietrzu kłótnię. Nie miała jednak do tego cierpliwości.

Podniosła się powoli i spojrzała mnichowi w twarz, odwzajemniając jego wściekłe spojrzenie.

– Nazywasz ją kłamczynią?

– Nie mam żadnego powodu sądzić, że nią nie jest – odrzekł Gabriel. Jego zaczepny ton przed chwilą był iskrą, która zrodziła lodowaty płomień. Mnich patrzył na Lore bez emocji, jakby był ponad gniewem. – To truciźniarka.

– Sama do niedawna byłam truciźniarką – warknęła Lore.

Mnich przekrzywił głowę.

– I jaką lojalnością wykazałaś się wobec władzy, która uwolniła cię od życia kryminalistki?

Lore go spoliczkowała.

Dźwięk uderzenia poniósł się po pokoju jak odgłos wystrzału. Twarz Gabriela odskoczyła na bok, a na jego policzku natychmiast pojawił się szkarłatny kontur dłoni. Mnich nie odezwał się jednak, a po chwili znów spojrzał wprost na Lore.

Stojący za sofą Bastian milczał, przymrużywszy oczy. Przyglądał się im obojgu, wyraźnie kalkulując.

– To może być pułapka – odezwał się znów Gabriel głosem wyzutym z emocji, choć na policzku musiał czuć palący ból. – Być może dawne przyjaciółki próbują cię zwabić do katakumb.

– Niby po co? – spytała. Gabriel nie wiedział przecież, co dokładnie jest w katakumbach. Ani *kto*. Jeżeli ktoś rzeczywiście chciał ją tam ściągnąć, na pewno nie były to Val i Mari. – Po za tym, jeśli chcesz wiedzieć, mają teraz błogosławieństwo Augusta. Pracują dla dworu. Co na to powiesz? Będziesz teraz uważał, że są *lojalne*?

– Będę uważał, że tym łatwiej je tylko kupić.

– No tak, o tym akurat masz pojęcie, księżę Remaut!

Oko Gabriela rozbłysło, jakby na nowo zatlił się w nim zagaszony ogień.

W tej samej chwili dał się słyszeć głos Bastiana. Książę mówił cicho, ale jego słowa brzmiały ważko i wyraźnie.

– Kieruje tobą coś więcej niż chęć chronienia naszej nekromantki, prawda, Gabrielu?

Mnich natychmiast spojrział na niego. Jego wzrok można by wziąć za lekceważący, gdyby nie malująca się na twarzy Gabriela wściekłość.

– Kościół nie pozwala wchodzić do katakumb nikomu, kto nie uzyska specjalnej dyspensy – ciągnął książę – a wątpię, by udało nam się ją otrzymać. Rozumiem cię, przyjacielu. Dźwigasz już na barkach dość grzechów i nie chcesz obciążać się kolejnym. – W swobodnym dotąd tonie Bastiana pojawiła się nuta pogardy. – Co powiedziała by na to Anton?

Żuchwa Gabriela drgnęła nerwowo. Nie odezwał się jednak ani słowem.

– Lore i ja pójdziemy we dwoje. – Książę powiedział to tak, jakby rozmowy nie było już po co kontynuować. – Znam drogę do kamiennego ogrodu. Oboje mamy też dość rozumu, żeby nie dać się złapać. Sami dowiemy się, co dzieje się tam na dole, a twój honor ani trochę nie ucierpi. Wiem, jak cenisz sobie to, co z niego zostało.

Gabriel trwał w zupełnym bezruchu. Przypominał teraz bandytę, którego Lore obróciła w kamień. Wpatrywał się tylko beznamiętnie w ogień, jakby liczył na to, że ten coś mu podpowie.

Bastian tymczasem wyprostował się i ruszył w stronę drzwi.

– Dziś w nocy – rzucił przez ramię do Lore, sięgając ku klamce. – Spotkamy się tutaj.

Po tych słowach wyszedł do przedpokoju i rozpląnął się w mroku. Wszystkie świece na wyobrażającym Apolliusza kandelabrze dawno zagasły. Zacieki wosku na rękach boga sprawiały wrażenie, że cała jego postać zaczyna się topić.

Kiedy książę się oddalił, Gabriel spojrział na Lore. Tylko tyle. Nie odezwał się ani nie poruszył. Jego twarz była nieruchoma i nie zdradzała żadnych emocji, jednak w jego oku wciąż tlił się złowrogi żar.

Gabriel widział, jak kierowała Mortemem i jak wskrzeszała zmarłych. Nie przeszkadzało mu to nadal dostrzegać w niej człowieka. Ale kiedy obróciła Mila w kamień, zsyłając go w próżnię gdzieś pomiędzy życiem a śmiercią, czara goryczy się przelała.

Wierzył w życie pozagrobowe. Wierzył w niezliczone piekła i w Świetliste Królestwo. Gdy rozmawiali w ogrodzie, wszystko to wydawało się Lore abstrakcją,

rozumiała jednak, w czym tkwił teraz problem. Gabriel szczerze wierzył, że posłała Mila po wieczną nagrodę, a następnie mu ją wyrwała. To zaś czyniło ją w jego oczach potworem. Potworem, jakim on sam poprzysiągł nie być.

Lore z trudem przełknęła ślinę. Szczypanie w oczach podpowiadało jej, że jest bliska łez. Czuła, jak z każdą sekundą wzbierają w niej żal i gniew. Szlag by trafił jej uczucia i jej serce! Wciąż chciała, by postrzegano ją jako *dobrą*, a przecież było to zaklinanie rzeczywistości.

– Naprawdę? – wykrztusiła w końcu z siebie ochrypłym głosem. – Zamierzasz stać tak i milczeć? Zostawisz to bez słowa?

Gabriel stał bez ruchu, nie odzywał się. Naprawdę zostawił to wszystko bez słowa.

Lore wyszła z pokoju i zatrzasnęła za sobą drzwi.

*

Sen długo nie przychodził. Gdy w końcu nadszedł, runął na Lore niczym potężna fala. Bogom dzięki, nic jej się nie śniło. Wreszcie mogła po prostu wyłączyć się i odpocząć.

Gdy jednak drzwi jej sypialni uchyliły się, błyskawicznie się przebudziła. Wystarczyło, że usiadła na łóżku, a sen przyszył i uleciał w mgnieniu oka. W progu stała postać oświetlona od tyłu ciepłą łuną płomieni na kominku. Wysoki mężczyzna o szerokich ramionach.

Gabriel.

Nadal milczał. Lore również się nie odezwała. Choć on stał bez ruchu, ona pomału obróciła się na łóżku i oparła stopy na ziemi. Potem podeszła do niego i stanęła tak blisko, że znaleźli się o centymetry od siebie. Od Gabriela biło ciepło, które zdawało się aż wołać do wychłodzonego ciała Lore.

Cała ta sytuacja wydawała się nierzeczywista. Stali tuż naprzeciw siebie w ciemności, w porze, gdy ciało zazwyczaj śpi, a umysł nie myśli trzeźwo. I zapewne to poczucie nierealności sprawiło, że oboje niemal w tym samym momencie wyciągnęli przed siebie dłonie. Ona oparła swoje na jego nagiej piersi, on dotknął jej karku i delikatnie przeczesał palcami jej złotobrązowe włosy. Nie mówili do siebie nic. Ciszę przerywały tylko ich przyspieszone oddechy. Potem on pochylił głowę naprzód, a ona uniosła lekko podbródek. Ich wargi spotkały się, wiedzione pożądaniem i potrzebą ciepła.

Gabriel nie całował jak uwodziciel, ale jak ktoś wygłodniały. Całował wbrew przeczącym jego naturze ślubom, dając upust złości i tłumionym potrzebom. Lore czuła dotyk jego zębów i gorączkowy ruch jego języka. Była pewna, że błogi jęk, który z siebie wydał, nie był udawany.

Poczuła, jak robi jej się gorąco między nogami. Rozchyliła wargi – chciała więcej, nie mogła się nasycić jego niemal zwierzęcym zapachem. Gabriel przesunął ją w stronę okna. Poczuła lekki ból, gdy uderzyła plecami o parapet, jednak Remaut natychmiast uniósł ją i posadził na oknie. Oplotła go nogami w pasie, a on obsypał pocałunkami jej szyję i dekolt.

– Na Krwawiącego Boga – zaklął szeptem, przesuwał wargami po jej obojczyku. – Na wszystkich umarłych i umierających bogów!

Lore czuła, jak jego ciało napiera na nią. Po chwili z jej ust wyrwało się głośne westchnienie, bo odsunął ramię, odsunął ramię jej koszuli nocnej i zaczął całować nagą skórę na jej barkach, jednocześnie pieszcząc dłonią jej pierś. Odnalazł palcem sutek i gładził go opuszką, wykonując delikatne koliste ruchy. Lore znów wyrwało się westchnienie. Potem kolejne. Przyłgnęła do Gabriela, czując, jak nienasycenie i płomień pożądania z każdą sekundą biorą w niej górę nad rozumem.

Gdy ich wargi znów zwały się w pocałunku, Lore sięgnęła do paska Gabriela. Ten na moment znieruchomiał, z jedną dłonią wciąż na jej piersi, a drugą wczepioną w jej włosy. Po chwili oderwał usta, cofnął się nieco i oparł dłonie na parapecie, obok bioder Lore.

Gdy tylko odsunął od niej swoją ciepłą pierś, natychmiast poczuła chłód. Zimno bijące od szyby za jej plecami przyprawiło ją o dreszcz. Gabriel opierał się teraz czołem o jej czoło. Oboje milczeli, oddychając w jednakowym rytmie i godząc się z myślą, że cokolwiek miało się stać – nie stanie się.

Jeszcze chwila i Gabriel ruszył w stronę drzwi. Gdy je uchylił, jego rosłe ramiona niemal w całości przesłoniły światło sączące się z salonu. Zniknął zaraz po drugiej stronie, a Lore została sama w ciemności.

Oparła się ciężko o okno, a jej ciało znów spowił chłód.

Rozdział 33

Trzymaj w ryzach swe ciało, inaczej bowiem powiedzie cię ono na zatracenie.

Księga Praw Śmiertelniczych, Rozprawa 67

Następnego ranka Lore obudziła się późno – obolała i zaspana. Wspomnienie minionej nocy wydawało się nierzeczywiste jak sen. Gotowa byłaby jeszcze uwierzyć, że naprawdę nim było, gdyby nie maleńki siniak na jej ramieniu – pamiątka po chwili, gdy Gabriel zapamiętał się aż zanadto. Chwili, która omal nie skończyła się grzechem.

Spojrzała z niechęcią na lawendowy ślad na skórze i poprawiła na sobie koszulę nocną. Cóż, Gabriel potrafił jednak nad sobą zapanować. Wtedy wzbudziło to w Lore frustrację, ale teraz cieszyła się, że sprawy przybrały inny obrotu. Sączące się zza okna światło dnia skutecznie rozwiewało czcze fantazje: wszystko wydawało się rzeczywistsze i prostsze. Całe szczęście – sytuacja i bez *tego* była dość skomplikowana.

Lore stanęła przed drzwiami i poczuła, jak z zażenowania żołądek zaplata jej się w supeł. Mimo to nie zamierzała dać tego po sobie poznać. Zadarła podbródek i nacisnęła klamkę. Spodziewała się, że Gabriel będzie udawał, że nic się nie stało – i zamierzała mu na to pozwolić. Tak będzie łatwiej, pomyślała.

Gdy jednak weszła do saloniku, okazało się, że pomieszczenie jest puste. Gabriel zwinął swoje pośłanie, a złożone koce starannie odwiesił na oparcie sofy. Musiał wyjść, jeszcze zanim się przebudziła. I dobrze, tak było nawet prościej.

Prosto i łatwo, do wszystkich cholernych bogów.

Na stoliku przed sofą lśniła srebrna taca ze śniadaniem. Wsunęto pod nią liścik zapisany znajomo wyglądającym, eleganckim charakterem pisma.

„Po ostatniej nocy nabrałem apetytu. Ty pewnie też. Zbieraj siły. Bastian”.

Książę z pewnością nie przyniósł tacy osobiście. Liścik był więc przeznaczony nie tyle dla niej, ile dla wścibskich postronnych. Kąciki ust Lore drgnęły w uśmiechu. Cała Cytadela i tak myślała już, że sypia z Księciem Słońca, dlaczego więc tego nie wykorzystać? Mieli przecież przekradać się dziś razem do kamiennego ogrodu. Gdyby ktoś ich przyłapał, trudno byłoby o lepszą wymówkę niż nocna schadzka.

Kochankowie. Kamień. Skojarzenie z Gabrielem nasuwało się samo. Lore odkryła tacę i zabrała się do śniadania. Sięgając po kolejne owoce i wypieki, uporczywie odpychała od siebie myśl o mnichu. Nie chciała rozpamiętywać ostatniej nocy i tego, co prawie się stało, ani też głowić się, co mogło to wszystko oznaczać.

To nie znaczyło nic, powtarzała sobie. Zupełnie nic.

Gdy taca była już prawie pusta, Lore nalała sobie kawy i z westchnieniem opadła na oparcie. „Zbieraj siły”, pisał Bastian. Odczytała to jako zawołaną sugestię, by nie opuszczać swojej kwatery. Książę miał chyba słuszność. Trzymanie się z dala od dworzan pozwalało nie narazić się na spotkanie z Bellegarde'em lub kimkolwiek innym, kto mógłby być powiązany ze zwożeniem ciał do katakumb.

Lore miała nocą wskrzesić jedno z tych ciał. Na samą myśl o tym poczuła na karku mrowienie. Cóż, teraz przynajmniej wiedziała, czego się spodziewać. Znów miała zobaczyć nieruchome uchylone usta i usłyszeć dobywający się z nich ochryply szept. Oby tylko tym razem zmarły powiedział coś, co okaże się pomocne.

Czując przyływ frustracji, ukryła na moment twarz w dłoniach. Powinna spędzić cały dzień sama, zamknięta w pokoju, a nie miała tu nic do roboty. Jediną dostępną rozrywką była lektura tomików poezji erotycznej, które przyniosła z biblioteki. Przechadzanie się z Gabrielem po Cytadeli i wyśmiewanie jej nedorzecznego przepychu – wszystko to wydawało się teraz wspomnieniem z innego życia.

Lore raz jeszcze westchnęła, nieco teatralnie, jakby ktokolwiek miał szansę ją usłyszeć. Potem zgarnęła książki ze stolika przy łóżku i zaniósła je do niewielkiego gabinetu znajdującego się na prawo od jej sypialni. Usiadła przy biurku, zarzuciła nogę na podłokietnik krzesła i otworzyła jeden z tomików na losowej stronie. Wiersz opowiadał o księdzu, który łamie śluby czystości, by zażywać rozkoszy w ramionach kochanki o wielkim biuście.

– Cóż za ironia losu... – mruknęła pod nosem.

*

Gdy żołądek burczeniem dał jej znać, że nie da się oszukać kolejnym ciastkiem, Lore zdecydowała się zignorować radę księcia. Narzuciła na siebie ubranie, po czym pospiesznie opuściła kwaterę, o mało nie trzaskając drzwiami. Pokonała długie i kręte schody i po kilku minutach dotarła do głównego holu, gdzie jak zwykle czekał olbrzymi stół zastawiony smakołykami. Wokół tryskającej winem fontanny leżały

półmiski z warzywami, pieczywem i różnymi rodzajami mięs, na czele ze znienawidzonym przez Bastiana pawiem. Lore, wiedzona na równi głodem i przewrotnością, sięgnęła zaraz po ten ostatni specjał i nałożyła sobie obfitą porcję.

– Jak miło cię widzieć! – usłyszała nagle.

Radosny głos należał do Alie, która tego dnia miała na sobie bladopomarańczową suknię i dobrane do niej odcieniem wsuwki do włosów zdobione klejnotami. Wyglądała jak motyl lub jakaś inna pełna gracji latająca istota.

Lore pozwoliła jej się uściskać. Ten czuły dotyk, który nie wymagał niczego w zamian, sprawił, że z trudem przełknęła gulę w gardle.

Alie cofnęła się o pół kroku i wciąż opierając dłonie na ramionach Lore, uniosła filuternie brew.

– Błagam, powiedz, że zostałam zaproszona na bal i ucztę. Bez ciebie to będzie jakaś potworna nuda – powiedziała rozbawiona. – Tak mi się przynajmniej zdaje. Ja sama idę pierwszy raz. Mój ojciec upierał się dotąd, żebyśmy chodzili na nocne czuwania. W tym roku po raz pierwszy zgodził się na coś bardziej rozrywkowego.

Byłoby dużym nietaktem zapchać sobie usta chlebem, by nie odpowiadać na pytanie. Lore o mało się do tego nie uciekła.

– Tak, zaproszono nas – odparła jednak po chwili.

Dopiero widząc, jak Alie zalśniły oczy, uświadomiła sobie, że przez pomyłkę użyła liczby mnogiej. „Nas” oznaczało oczywiście ją i Gabriela. Gabriela, do którego w sercu Alienor wciąż tliło się jakieś uczucie, a który tej nocy jak oszalały całował Lore – by tuż po tym zniknąć.

Lore wiele wysiłku włożyła w to, by nie przestać się uśmiechać.

– Bogom dzięki – powiedziała z ulgą Alie, a następnie cofnęła dłonie i sięgnęła po jabłko. – Gdybym cały wieczór miała spędzić z królem i z moim ojcem, chyba bym oszalała – dodała, wycierając owoc o brzeg sukni.

– Nikogo poza nimi tam nie będzie? – Pawie mięso nagle niemal stanęło Lore w gardle. – Tylko August i twoja rodzina?

Jeśli tak, to nie mogło być mowy o zbiegu okoliczności.

Alie zwlekąca chwilę z odpowiedzią, by nie mówić z pełnymi ustami. Dworskie maniery nakazywały jej najpierw przełknąć.

– Na bal zaproszono wiele osób – odparła w końcu i sięgnęła po kieliszek wina. – Na kolację poza Antonem przyjdzie kilka, ale to będzie bardzo kameralne wydarzenie. Wręcz ekskluzywne. – Tu Alie nachyliła się do Lore, by nikt przypadkiem

jej nie podsłuchał. – Dani i jej rodzinę zaproszono na ucztę, za to Bri nie. Nie żeby Bri się skarżyła. Tego samego wieczora Fabian Beauchamp urządza w swojej posiadłości pod miastem wielką imprezę. Bri wybiera się do niego powozem tuż po balu.

Tęskna nuta w głosie Alie zdradzała, że sama wolałaby bawić się u Beauchampa niż siedzieć na uczcie Augusta. Lore ani trochę jej się nie dziwiła.

– Teraz jestem już spokojniejsza – dodała Alie. – Skoro przyjdziecie ty, Gabi i Bastian, na pewno miło spędzimy czas. – Wypowiadając imię Gabriela, uśmiechnęła się szerzej. – Bastian potrafi rozruszać nawet najnudniejsze dworskie posiedzenie. – Upiła kolejny łyk wina i zaczęła zbierać się do odejścia. – Muszę iść na lekcję pianina – wyjaśniła. – Daj mi znać, gdybyś miała wolne popołudnie. No i pamiętaj o rewanżu w krokietu. Mam nadzieję, że ćwiczysz!

Po tych słowach oddaliła się i zniknęła wśród dworzan w popołudniowych kreacjach. Lore została sama z talerzem jedzenia, na które nie miała już najmniejszej ochoty, ale którego nie miała serca wyrzucić. Westchnęła i po chwili ruszyła w stronę swojej kwatery. Nie do końca wiedziała, czego spodziewać się po balu z okazji zaćmienia, ale jednego była pewna – nie będzie tam „nudno”.

Szybkim krokiem podążała w stronę wyściełanych dywanem schodów prowadzących do wieży. Szła ze spuszczoną głową, nie zauważyła więc Augusta, póki ten nie zwrócił na siebie jej uwagi wymownym chrząknięciem.

Na widok świętego króla znieruchomiała. Kurczowo ściskając w dłoniach naczynia, czuła, jak serce zamiera jej w piersi. Zaraz jednak skłoniła głowę i niezgrabnie dygnęła. Nie podnosiła oczu, obawiając się, że król natychmiast dostrzeże malujący się w nich przestרח.

– Wasza wysokość – wydukała.

August wyglądał... strasznie. Miał potężne cienie pod oczami, a jego pobladła skóra lśniła od potu, zupełnie jakby dostał wysokiej gorączki. Ramiona króla były zwieszane, co pogłębiało tylko wrażenie, że jest wycieńczony. A jednak, pomimo tego wszystkiego, wciąż miał w sobie władczość. Lore, czując na sobie jego spojrzenie, odruchowo się wyprostowała.

August nie tracił czasu na kurtuazję.

– Spędzacie czas z moim synem? – spytał.

Lore odniosła wrażenie, że wypowiadając słowo „syn”, skrzywił się lekko, jakby wzbudzało w nim niesmak.

– Oczywiście, wasza wysokość – odparła, ściągając brwi i przytakując skinieniem głowy. – Wypełniamy twoje rozkazy co do joty.

Technicznie rzecz ujmując, nawet nie skłamała, bo August nie raczył nigdy swoich poleceń sprecyzować.

– Dobrze. – Król sięgnął niezgrabnie pod dublet, wy dobył spod niego piersiówkę i pociągnął z niej duży łyk. – Sprawa jest bliska rozwiązania. Już niedługo szczeniak dostanie to, na co sobie zasłużył.

Po tych słowach, bez zdawkowego choćby pożegnania, święty król minął Lore i podążył dalej przed siebie. Potwornie cuchnął wilczymi jagodami.

Odprowadziła go wzrokiem, a po chwili ostrożnie ruszyła w dalszą drogę do wieży.

*

Kiedy znalazła się z powrotem w swoim pokoju, przysiadła na parapecie i czekała, aż zacznie się ściemniać. Na szybie wciąż widniała niezmyta smuga. Może był to ślad po przepoconej tkaninie, może po dotknięciu dłonią.

Lore wytarła ją szybkim ruchem i znów usiadła nieruchomo, wsłuchując się w tykanie zegara. Pozwoliła płynąć minutom i godzinom, aż w końcu wskazówki zbliżyły się do północy.

Gabriel wciąż nie wracał. Lore w pewnym momencie przestała nawet nasłuchiwać jego kroków na korytarzu. Zastanawiała się, czy wrócił do klasztornej celi. Czy schronił się pośród surowych murów przed wszystkim tym, co nauczono go uważać za grzech. Anton z pewnością wyraziłby na to zgodę, gdyby usłyszał, że jego podopieczny o mało nie złamał ślubów. I to z nekromantko-trucizniarką...

Lore poczuła w środku bolesne ukłucie, ale cały czas starała się racjonalizować sytuację. Nieraz już balansowała w relacjach na granicy, a potem ostatecznie je studziła. Zdarzenia takie jak to z zeszłej nocy naprawdę nie musiały nic znaczyć.

A jednak...

Zamknęła oczy i pokręciła głową, jakby fizycznie próbowała odpędzić myśl o Gabrielu. Powtarzała sobie, że powinna skupić się na przygotowaniach do tego, co może czekać ją nocą, a nie zadrećzać się wspomnieniem mnicha, który najwyraźniej nie zamierzał narażać dla niej swojego wątpliwego zbawienia.

By o nim nie myśleć, koncentrowała się na ścianie lasu. Starając się wzmocnić chroniącą umysł zaporę, wyobraziła sobie grube pnie i plątaninę zielonych gałęzi.

Znów zobaczyła też unoszące się ponad nimi smugi ciemnego dymu, który wyglądał, jakby dobywał się z pożaru.

Wskazówka była coraz bliżej godziny dwunastej. Gdy tylko do niej dotarła, rozległo się pukanie do drzwi. Lore wstała, próbując nie myśleć o tym, co czeka ją w kamiennym ogrodzie i kryjących się pod nim mrokach katakumb.

Czekający w przedsionku Bastian był ubrany na czarno. Światło nowych świec w kandelabrze padało na niego od tyłu, co nadawało jego sylwetce nieco złowieszczy wygląd, a wyraz jego twarzy ukrywało w mroku. Lore dostrzegła jednak w ciemności błysk oczu księcia. Tym razem w jego spojrzeniu nie było nic figlarnego. Szykował się do wykonania zadania, które traktował ze śmiertelną powagą.

– Gotowa na pogawędkę ze zmarłymi? – spytał.

– Na tyle, na ile można być na to gotowym – odparła Lore. Wyszła na korytarz i ostrożnie zamknęła za sobą drzwi. Drogę ku schodom oświetlał tylko jeden kinkiet, poza tym korytarz pogrążony był w mroku.

– Rozumiem, że Gabriel postanowił nam nie towarzyszyć? – spytał Bastian, gdy szli ramię w ramię w stronę klatki schodowej.

– Tak – odparła Lore ze wzrokiem utkwionym w drugi koniec korytarza. Woląла wpatrywać się w ciemność niż myśleć o mnichu. – Nie widziałam go od zeszłej nocy.

– Hmm – mruknął zdawkowo Bastian. Nie zadawał już więcej pytań.

Gdy dotarli do rozwidlenia korytarza, wyprzedził Lore, by służyć jej za przewodnika. Nie mogli tym razem skorzystać z trasy wiodącej na tyły pałacu i w stronę przepustu w murze – byłby to wybór zbyt oczywisty.

Lore przypomniała sobie Augusta: popijającego truciznę i wyglądającego niemal jak własne widmo.

„Szczeniak dostanie to, na co sobie zasłużył”.

Niby wiedziała, że August nienawidzi Bastiana. Ale czym innym było zobaczyć tę nienawiść w czystej formie, a nie zawoalowaną jako lekka pogarda czy fałszywa troska. Na samą myśl o tym, co usłyszała, zrobiło jej się niesamowicie żal księcia. Wiedziała mimo to, że on nie chciałby jej współczucia.

A jednak myśl o jego relacji z Augustem nie dawała jej spokoju. Wiadomość, że Val, przybrana matka, wydała ją Antonowi, była dla Lore potężnym ciosem. Nie potrafiła wyobrazić sobie, jak musi się żyć komuś, komu rodzony ojciec życzy śmierci.

– Wszystko w porządku? – spytała cicho Bastiana.

Skręcili właśnie w nieznaną jej korytarz. Jego ściany obwieszane były gobelinami, które zdawały się tłumić głosy. Na suficie, ponad ich głowami, migotały złoczone reliefy wyobrażające gwiazdy i słońce.

– Tak – odparł książę, zerkając na nią przez ramię. – Przemykając się korytarzami to nie jest coś, co by mnie przerażało.

– Pytałam tak ogólnie... – Lore zacisnęła wargi i wykonała dłonią nieokreślony gest.

Wiedziała, że Bastian nie chce, by go żałowano, ale chciała dać mu *cokolwiek*. Podarować choć szczyptę czułości i troski, których być może potrzebował. Nie była dobra w ich okazywaniu, postanowiła jednak przynajmniej spróbować.

W oczach Bastiana pojawił się błysk. Choć Lore wyraziła się tak nieprecyzyjnie, zrozumiał, co miała na myśli.

– Daję radę – odpowiedział zdecydowanym tonem, po czym sięgnął po coś do kieszeni. Była to piersiówka. Książę pociągnął z niej sążnisty łyk, a następnie, nie oglądając się za siebie, podsunął ją Lore.

Ta, nim upiła, powąchała zawartość. Nie była to trucizna, więc przyłożyła piersiówkę do ust i spróbowała.

Whisky. Cholernie mocna. Lore omal się nią nie zakrztusiła.

– To ma być sposób na dawanie rady? – spytała.

– Z dwojga złego ten jest lepszy – odparł Bastian, odbierając od niej piersiówkę.

Korytarz przed nimi się rozwidłał. Skręcili w wyłożoną lśniącem marmurem lewą odnogę.

– Trzymaj się blisko ściany. Przez środek korytarza idzie sadzawka – ostrzegł Bastian.

– Kto uznał, że to dobre miejsce na nią? – Lore nie kryła zdumienia.

– Jeden z moich przodków, który miał za dużo pieniędzy, za to za grosz smaku. Mógł to więc być każdy z nich.

Kawałek dalej dziwaczny korytarz dobiegł końca i przeszedł w obszerne atrium ze szklanym sufitem, pełne roślin kwitnących nocą. To akurat miejsce było wyjątkowo piękne. Bastian wyraźnie zwolnił kroku, nasycając się jego urodą, a Lore nie próbowała go popędzać. Nie spieszyło jej się do katakumb.

Gdy się rozejrzała, rozpoznała kilka gatunków roślin. W atrium rosły między innymi ciemiernik barwy zaschniętej krwi i bieluń, który piał się do księżyca po drewnianej kracie. Obie te rośliny były trujące – każdemu, kto próbowałby hodować

je poza Cytadela, groziłoby aresztowanie. Tu najzwyczajniej w świecie służyły za dekorację.

– Mój ojciec to zły człowiek – usłyszała nagle głos księcia.

Odwróciła wzrok od ciemiernika i spojrzała na Bastiana. Zadarł głowę ku górze i zwrócił się ku księżycowi, jakby sam był zakwitającą nocą toksyczną rośliną.

– Dzięki temu jest mi lżej – dodał cicho. – Lżej mi z myślą, że chce mojej śmierci. Kto wie, może nawet czyni mnie to dobrym? – Księżę zaśmiał się pod nosem i jeszcze wyżej podniósł głowę. – Wiemy przecież, co mówi prawo przeciwności, prawda? Skoro zły człowiek chce pozbawić mnie życia, to ja siłą rzeczy muszę być dobry. Przynajmniej teoretycznie.

Lore nie miała wrażenia, by księżę czekał, aż ona coś mu odpowie. Chyba czuł się dobrze, prowadząc rozmowę sam ze sobą. Chłonąc woń roślin, przyglądała mu się więc tylko. Już wcześniej uważała, że jest nieprzeciętnie przystojny. Teraz jednak, w blasku księżyca, był żywym obrazem zjawiskowej urody, która potrafi łamać serca. Powietrze wokół niego zdawało się niemal lśnić – jakby wzbijał się ponad nim złoty pył. Światło księżyca czyniło go jeszcze piękniejszym, ale działało się to na zasadzie kontrastu: było jak ciemność podkreślająca blask płomienia. Bastian Arceneaux nie był synem nocy. Był jej przeciwnością.

– Moja matka też nie była dobrą osobą – odezwała się po chwili nieśmiało. Księżę zerknął na nią ukradkowo, wyraźnie czekając na ciąg dalszy, ale jego twarz wciąż zwrócona była w stronę księżyca. – Kiedy po moich narodzinach siostry nocy zorientowały się, co potrafię, odsunęła się ode mnie. Nie pamiętam, by choć raz czule mnie dotknęła. – Lore, jak wcześniej w objęciach Alie, znów poczuła bolesną kulę w gardle. Przesuwając palcami po szyi, z trudem przełknęła ślinę, jakby fizycznie próbowała odepchnąć od siebie gorycz. – Była już wtedy całkowicie oddana siostrze – ciągnęła. – Liczyła się dla niej tylko ich misja: nigdy nie pozwolić Pogrzebanej Bogini się odrodzić.

„Idź”, powiedziała do Lore i popchnęła ją lekko ku rażącemu oczy światłu dnia. Dłoń dziewczynki była wciąż obolała po naznaczeniu, a matka wypychała ją na zewnątrz jak podlotka z gniazda. Może więc nie była oddana siostrze w pełni.

– Coś... było ze mną nie tak – kontynuowała Lore łamiącym się głosem. – Coś we mnie przeczyło wszystkiemu, czemu zdecydowała się poświęcić życie.

Lore nie uświadamiała sobie nawet, że wpatruje się w księżycową bliznę na swoim ręku, póki nie poczuła na niej dłoni Bastiana. Księżę podszedł do niej bezszelestnie

i delikatnie otoczył palcami jej dłoń. Zobaczyła, jak wygojony już kontur połowy słońca na jego ręku styka się z liniami jej blizny.

– To nie tak, że tego nie rozumiem – szepnęła. – Ludzie są różni, a bycie spokrewnionym z kimś nie oznacza jeszcze, że ten ktoś będzie dla nas dobry. Tyle że ja nie miałam poza nią nikogo. Było mi trudno z tym, że patrzy na mnie jak na jakieś monstrum. – Lore przymknęła oczy i wzięła głęboki wdech. – A jednak nawet ona nie chciała mojej śmierci. Przeciwnie, uratowała mnie. Kiedy siostry postanowiły posłać mnie do grobowca bogini, odprowadziła mnie do wyjścia z katakumb.

Kącki ust księcia drgnęły w delikatnym uśmiechu.

– To niemało.

Jeszcze przez krótką chwilę stali w przeszklonym atrium ze splecionymi dłońmi. Blizna w bliznę. Lore miała przez moment wrażenie, że kątem oka widzi spowijającą ich mgłę, w której mrok zlewa się ze złocistym światłem. A może to po prostu łzy napłynęły jej do oczu? Gdy tylko spróbowała przyjrzeć się dziwnej poświacie, ta natychmiast zniknęła.

– No cóż – odezwał się w końcu Bastian. – Na razie oboje wciąż żyjemy.

Po tych słowach cofnął dłoń i ruszył w stronę wyjścia z atrium. Lore bez słowa podążyła za nim.

Księżę poprowadził ją teraz wąskimi, prowadzącymi w dół schodami. Jeszcze chwila i Lore zaczęła pomału rozpoznawać korytarze, które pokonywali. Dotarli na główną kondygnację pałacu – z tą różnicą, że szli teraz nie ku jego tyłom, ale w stronę części frontowej. Z różnych stron kilkukrotnie dały się słyszeć śmiechy i westchnienia kochanków, ale na swojej drodze nie napotkali nikogo.

Aż do chwili, gdy na końcu korytarza dostrzegli jednego z krwawych.

Bastian natychmiast chwycił dziewczynę za rękę i wciągnął za sobą do wykusza okiennego. Niestety ani tam, ani w sąsiednich wnękach nie było kotar, za którymi mogliby się skryć.

– Kurwa! – syknęła Lore. – Niech go jasny szlag!

– Starczy tych knajackich wiązanek. – Bastian, z plecami przyklejonymi do ściany, wyjrzał poza załom i ocenił odległość dzielącą ich od gwardzisty. Potem spojrzał poważnie na Lore. – Damy radę obok niego przejść – szepnął – ale musisz robić dokładnie to, co powiem.

– W porządku.

– Pocałuj mnie.

Lore zrobiła wielkie oczy. Tymczasem odgłos kroków wartownika stawał się coraz głośniejszy.

– No, już – popędził ją szeptem Bastian, przewracając oczami. Gdy wciąż się ociągała, złapał ją za rękę, przyciągnął ku sobie i przywarł ustami do jej ust.

Lore wydała cichy jęk, zaraz jednak zorientowała się, że Bastian tak naprawdę jej nie całuje. Dla pozorów przycisnął wargi do jej warg, ale nie poruszał nimi i nie próbował posunąć się dalej. Jedną ręką otoczył ją w talii, drugą zaś ujął jej nadgarstek i uniósł ponad głowę. Zrozumiała teraz, o co mu chodziło, i pomału oparła dłoń na jego ramieniu. Mieli po prostu odegrać parę dworzan podczas nocnej schadzki. Taki widok nikogo w pałacu nie dziwił i wystarczyło poczekać, aż wartownik ich minie.

Bastian obrócił nieco głowę i pozwolił włosom opaść na policzek – wszystko po to, by twarze jego i Lore były dla przechodzącego gwardzisty niewidoczne. Oderwał wargi od jej warg, ale gdy się odezwał, niemal musnął je ponownie.

– Jak prawdziwa truciźniarka – szepnął miękko. – Zadziałaś natychmiast.

Jego oddech smakował liśćmi mięty. Każdy jego wydech stawał się jej wdechem. Dla Lore było to aż nadto wrażeń. Biskość księcia przytłaczała ją, a przeklęty strażnik zbliżał się niesamowicie wolno!

W końcu jednak odgłos kroków dotarł na ich wysokość, a po chwili zaczął się znów oddalać. Gwardzista nawet nie przystanął.

Odczekali w tej samej pozycji jeszcze chwilę, wciąż trzymając usta tuż przy sobie. Lore aż zakręciło się lekko w głowie od oddychania tym samym powietrzem co Bastian. Byli zbyt blisko, by mogła zobaczyć całą jego twarz, ale kącik jego ust zdradzał, że maluje się na niej wilczy uśmiech.

Gdy odgłos kroków na dobre ucichł, Bastian odsunął się i oparł o ścianę.

– Gotowa? – spytał, wciąż opierając dłonie na biodrach Lore.

Ta skinęła głową. Oboje bez słowa znów zanurzyli się w mroku.

Lore nie potrafiła jednak nie wrócić myślą do tego, co stało się przed chwilą. Miała wrażenie, że książę w pewnym momencie dał się ponieść odgrywanej roli i gdyby tylko czuł, że Lore pozwoli mu pocałować się naprawdę, zrobiłby to.

Nie wiedziała przy tym, czy sama odwzajemniłaby pocałunek.

Dotarli w końcu do niepozornych drzwi umieszczonych pomiędzy parą wnęk z posążkami Apolliusza. W piersi boga jak zwykle widać było wyrwę, a jego dłonie przyozdabiały granaty.

Bastian nacisnął na klamkę z kutego żelaza, a drzwi natychmiast bezgłośnie ustąpiły.

– Panie przodem – szepnął książę.

Lore przekroczyła próg i stanęła na miękkiej trawie. Na prawo od niej, ponad perfekcyjnie przystrzyżonym trawnikiem, majaczył w półmroku mur kamiennego ogrodu. Wokół nie było nikogo, a jedynym dźwiękiem, jaki dało się słyszeć, był szelest wiatru na granitowych płatkach kwiatów.

Podeszli do furty. Bastian potrzebował tylko chwili, by uporać się z zamkiem, i zaraz skinieniem głowy dał Lore znak, że może już wejść do ogrodu.

Gdy była tu pierwszy raz z Gabrielem, miejsce to wydało jej się ładne w swojej dziwności. Teraz, skąpane w świetle księżyca, emanowało złowieszczym pięknem. Kamienne róże rzucały na bruk gęste cienie, a ciemność sprawiła, że zniknęły wszystkie barwy. Nawet rośliny, w które nie tchnięto Mortemu, wydawały się teraz szare. Pośrodku ogrodu rysował się chłodny kontur studni – to pod nią kryło się wejście do katakumb.

Bastian zbliżył się ostrożnie do okrągłej pokrywy przyciśniętej posążkiem Apolliusza. Chwycił za nią i spróbował odsunąć.

– Ciężka jak diabli... – stęknął.

– Specjalnie – dobiegł nagle od strony furty znajomo brzmiący głos.

Lore odwróciła się i znieruchomiała. Naprzeciw niej stał Gabriel.

Na Bastianie jego widok nie zrobił większego wrażenia.

– Gabriel – zagaił książę nonszalancko, prostując się z gracją. – A myślałem już, że postanowiłeś się do nas nie przyłączać. Co się stało, że nagle zmieniłeś zdanie?

Lore natychmiast przypomniała sobie dłonie i usta błędzące w ciemności. Poczowała, jak krew uderza jej do twarzy.

Gabriel nie patrzył w jej stronę. Stał nieruchomo z rękoma skrzyżowanymi na piersi, a skórzana przepaska na jego oku zdawała się pochłaniać i tak bardzo słabe światło. W rezultacie połowa jego twarzy wyglądała, jakby rozplynęła się w próżni.

– Zmieniłem zdanie... – odezwał się po chwili – bo jestem pewien, że jeśli mnie z wami nie będzie, to wszystko spieprzycie.

– Posłuchaj tylko naszego mnicha. – Bastian poruszył wkoło głową i rozprostował ramiona. – Jeszcze trochę i wypowie śluby zakonne.

Lore cieszyła się, że wokół jest ciemno. Jej policzki płonęły tak bardzo, że można by odpalić od nich świecę.

– Więc może zechcesz pomóc? – spytał Bastian, ruchem głowy wskazując na pokrywę studni. Statuetka Apolliusza musiała być znacznie cięższa, niż na to wyglądała. Książę z trudem, centymetr po centymetrze, przesuwał ją po drewnianej podstawie w stronę muru.

Gabriel westchnął ciężko i postąpił naprzód. Po drodze musnął ramieniem Lore. Ta ani drgnęła i był to z jej strony świadomy gest. Błysk w oku Gabriela zdradził, że poddał ją w ten sposób próbie. Lore podjęła wyzwanie.

– Gdzie się podziewałeś? – spytała go.

– Musiałem pomyśleć.

Wyraźnie zaznaczona żuchwa rzucała cień na jego szyję.

– Doszedłeś do jakichś interesujących wniosków?

Mnich dopiero teraz spojrzął na Lore. Jego rozżarzone niebieskie oko przywodziło na myśl latarnię morską na skalistym brzegu – było zarazem obietnicą bezpieczeństwa i ostrzeżeniem przed niebezpieczeństwem.

– Doszedłem do wniosku, że nie mogę pozwolić ci iść tam samej – powiedział.

– Jest ze mną Bastian – odrzekła. Prawda oraz wspomnienie o dzielonym w wykuszu ciepłym oddechu były w jej głowie jak oręż. – Ani przez chwilę nie zamierałam iść do katakumb sama. Po prostu wybieram się tam bez ciebie.

Żuchwa Remauta ledwie zauważalnie drgnęła.

– Pomyśl lepiej o tym, co zrobisz, kiedy ostatecznie dowiedziemy, że Anton to kłamca – dodała Lore, po czym odwróciła się, by pomóc Bastianowi odsunąć posązek z pokrywy.

Po krótkim zawahaniu mnich dołączył do niej.

Rozdział 34

Obserwacja zatrzymanych nekromantów pracujących parami wykazała, co następuje: potężniejszy z dwojga absorbował Mortem, mniej potężny zaś ukierunkowywał go. Tą metodą, biorąc na cel kilku zmarłych jednocześnie, mogli przy mniejszych nakładach energii wskrzesić większą ich liczbę. Niektórzy z nekromantów zdolni byli również kształtować czysty Mortem jeszcze przed przepuszczeniem go przez siebie. Pozwalało im to zyskać choćby większą siłę czy znaczniejszą wytrzymałość. Praktyki te mogłyby w teorii znaleźć zastosowanie militarne, jednakże liczba osób potrafiących je stosować jest tak znikoma, że dalsze badania w tym kierunku mijają się z celem.

Zapiski Thierry'ego LeMana, badacza pracującego w kolonii karnej na Wyspach Popielnych około roku 10 P.B.U.

Gdy wzięli się do tego wszyscy troje, uwolnienie pokrywy okazało się dość łatwe. Gabriel podpowiedział dwojgu pozostałym, że posążek umieszczono na ledwie widocznej prowadnicy. Gdy pchnąć go pod odpowiednim kątem, łatwiej go przesunąć. Jeszcze chwila – i figura znalazła się w specjalnym otworze wydrążonym w murze wokół studni.

– Jeśli się nad tym zastanowić – odezwał się Bastian – to oczywiste, że trzeba ją było pchać w stronę tej niszy.

– Cóż za obiecujący początek naszej współpracy – mruknął Gabriel.

Lore była zbyt zdyszana, by cokolwiek powiedzieć. Nawet gdy figurę pchało się po prowadnicy, i tak była jak na jej możliwości naprawdę ciężka.

Bastian odsunął drewnianą pokrywę, odsłaniając krąg ziejącej czerni – tak gęstej, że zdawała się ciecżą. Z głębi studni bił przeszywający chłód. Wszyscy troje odruchowo zrobili krok wstecz.

– Macie klucz? – spytał Gabriel. Jego mroczny ton był wciąż podszyty podejrzliwością. Unosząc brew, spojrzał na Bastiana, który wyglądał na kompletnie zbitego z tropu.

– Jaki klucz?

– Do komnat w katakumbach – odparł mnich. – Nie stoją otwarte.

– No to jesteśmy udupieni – mruknął książe, odgarniając włosy z twarzy.

– Dam radę – powiedziała nagle Lore, nie patrząc na żadnego z nich. Jej spojrzenie utkwione było w czarnym owalu studni: drodze do podziemi, od których żywi powinni trzymać się z dala. – Dam radę tam wejść – powtórzyła po chwili.

– Niby jak? – Zaskoczony Gabriel zmarszczył brwi. Stojący za nim Bastian milczał.

Lore przełknęła nerwowo ślinę. Jej gardło było zaschnięte.

– Dam radę wejść do każdej komnaty, na którą trafimy. Po prostu. Zaufaj mi.

Lore była tego równie pewna, jak znajomości katakumb, blizny na dłoni i własnego imienia. Nic, co znajdowało się pod ziemią, nie było dla niej niedostępne.

Twarz Gabriela świadczyła o tym, że ten bije się z myślami. Był bliski zaufania jej, ale wciąż nie potrafił skoczyć na głęboką wodę.

– Lore była kurierką. Roznosiła truciznę – dobiegł z ciemności głos Bastiana. – Potrafi otwierać zamki.

Gabriel czuł, że nie mówią mu wszystkiego i że nie pozna całej prawdy. Jego zaciśnięte wargi zdradzały, że – choć nie chce dać tego po sobie poznać – cierpi. Całe jego życie było pasmem drobnych zranień, a Lore dołożyła właśnie kolejne.

Mnich zaraz jednak otrząsnął się i skinął głową.

– W porządku – rzucił zdawkowo.

Bastian nie spuszczał oczu z Lore. Natychmiast wychwycił moment, w którym poczuła się nieco pewniej i zdołała zapanować nad toczącym ją poczuciem winy. Ledwie zauważalnie skinął głową, po czym zrobił krok w stronę studni.

– Dobrze – zaczął. – W takim razie Lore i ja ruszamy na poszukiwania. Nie wiem, ile czasu zajmie nam odnalezienie ciał, ale sądzę, że wrócimy przed świtem. Ty, Remaut, zostań tu i...

– Wykluczone – zaprotestował mnich ostrym tonem. – Myślisz, że pozwolę ci zabrać ją tam samą?

– Będziesz musiał – odparł Bastian. Jego głos miał w sobie wyrachowaną łagodność. – Ktoś musi zostać na straży, a ty jesteś najsensowniejszym kandydatem.

– Dlaczego mam wrażenie, że to zaplanowałeś?

– Zapewniam cię, że nie zaplanowałem – odrzekł stanowczo książę. – Byłoby to trudne, zważywszy, że jeszcze pięć minut temu żadne z nas nie wiedziało, że się tu zjawisz. Zostawiłeś Lore samą na cały dzień.

– Za to ty na pewno dotrzymałeś jej towarzystwa...

Na Krwawiącego Boga i jego wyrwane serce... Lore czuła, że zaraz przez tych dwóch zwariuje.

– Bastian ma rację – powiedziała tonem nieznoszącym sprzeciwu. Nie zamierzała pozwolić księciu i Gabrielowi kontynuować sporu. – Jedno z nas musi trzymać straż, a twoją obecność tutaj będzie znacznie łatwiej wytłumaczyć.

W świetle księżycy odbijającym się w złoconym dachu Cytadeli błękitne oko Gabriela zdawało się lśnić. Mnich popatrzył na Lore, po czym potarł przepaskę.

– Przemysł to – powiedział po chwili cicho. – Jeśli chcesz, mogę trzymać straż, ale czułbym się lepiej, gdybyś zamiast z nim poszła tam sama.

– Zostawiłeś mnie. – W jej słowach pobrzmiwało niewypowiedziane wspomnienie ciemnego pokoju i ich zwartych w uścisku ciał. – Wiem, że wolałbyś widzieć mnie w pojedynkę, ale ja nie.

Mnich cofnął się o krok. Księżycowy refleks przestał padać na jego oko. Twarz Gabriela skryła się w ciemności, jakby zarzucił na nią kaptur.

Bastian tymczasem przysiadł na cembrowinie i spojrział w ciemność. Po chwili ponad jego dłonią rozblęskło światło zapalki. Niewielki płomyk oświetlał ledwie sam początek krętych stopni, ale lepsze było to niż nic.

– Masz pojęcie, ile schodzi się na sam dół?

– To jakieś dziesięć metrów – odparł Gabriel wyzutym z emocji tonem.

– Znakomicie – odrzekł książe, po czym postawił pierwszy krok na schodach. – Do zobaczenia o świcie.

Lore czuła, jak spojrzenie Gabriela wierci jej dziurę w karku. Wpatrywał się w nią badawczo, świadom, że o czymś mu nie powiedziała. I mówić nie zamierzała, choć jego milczenie i brak natarczywych pytań wzbudzały w niej – paradoksalnie – poczucie, że być może powinna.

Wraz z tym, jak Bastian pokonywał kolejne stopnie, czubek jego głowy pomалу zanurzał się w półmroku. Lore wspięła się na studnię, by zaraz ruszyć za nim.

– Lore.

Na dźwięk swojego imienia obejrzała się przez ramię. Gabriel stał tuż za nią z rękoma skrzyżowanymi na piersi. Ich twarze znajdowały się niemal na tej samej wysokości.

– Nie chciałem cię zostawiać – odezwał się po chwili milczenia. – Nie chciałem tego przerywać.

Palce Lore drgnęły. Poruszyła dłonią w stronę mnicha, szybko jednak wstrzymała ją i zwarła.

– Więc dlaczego wyszedłeś? – spytała.

Gabriel odwrócił wzrok.

– Poczuję, że to byłoby... niewłaściwe. Coś w tym wszystkim wydało mi się niebezpieczne. Musiałem uciec od tego, póki potrafiłem się na to zdobyć. – Przygryzł skraj dolnej wargi, jakby wahał się, jak dobrać słowa. – Czułem się, jakbym popełniał błąd, który kiedyś już popełniłem. Po prostu wiedziałem, że to musi się źle skończyć.

Próbował powiedzieć to samo, co i ona wyczuła, gdy tylko się poznali. Połączyło ich przedziwne natychmiastowe wrażenie więzi. To samo czuła zresztą wobec Bastiana. Nie dało się tego racjonalnie wyjaśnić – Lore wiedziała po prostu, że zna ich obu w jakiś pozazmysłowy, pierwotny sposób.

Teraz jednak jej uwagę najbardziej przykuło jedno słowo.

– Błąd... – powtórzyła cicho.

Gabriel wzdygnął się, jakby dopiero teraz dotarło do niego, jak musiało to dla niej zabrzmieć.

– Lore, nie miałem na myśli... – zaczął.

– Wyraziłeś się jasno – przerwała mu. A potem postawiła stopę na pierwszym stopniu i ruszyła w dół.

Odprowadziło ją bolesne westchnienie Gabriela.

*

Całe katakumby wyglądały tak samo: ciągi kolejnych korytarzy z prastarego kamienia, rozszerzających się i zwężających w sposób – zdawałoby się – całkowicie przypadkowy. Można było odnieść wrażenie, że ktoś wytyczył je, wzorując się na rytmie oddechu chorego człowieka.

Za posadzkę służyła tu naga ziemia, gdzieniegdzie przysypana okruchami kamienia. No i ten ozonowy, ziejący pustką zapach. Drażnił nozdrza Lore od chwili, gdy postawiła pod ziemią pierwszy krok.

Natychmiast dała też o sobie znać obecność Mortemu. Lore odczuwała ją niemal jak ból fantomowy. Śmierć była tu wszędzie: w kamiennych murach i kościach zjaw, które wczołgały się tu, by dożyć swoich ostatnich chwil. Kto umierał w katakumbach, nie miał nawet jednej osoby, która mogłaby chcieć go pochować.

Zdziwiła się, że mimo obecności Bastiana odczuwa Mortem tak intensywnie. Nie wiedziała, z jakiego powodu wcześniej jej dar przy nim słabł, ale w ostatnich dniach efekt ten jakby zanikał. Więcej – tu, w katakumbach, miała wrażenie, że obecność

księcia wyczula jej zmysł. Mortem wydawał się wyrazistszy, niemal fizycznie zaostrzony. Bastian działał na jej moc jak osełka na ostrze sztyletu.

Lore, nie wiedząc czemu, pomyślała nagle o swoich urodzinach. Miała dostąpić święceń w dniu, gdy księżyc spowije ciemnością słońce. Zerknęła na Bastiana. I znów dostrzegła kątem oka złotawy poblask, któremu nie zdołała przypatrzeć się poprzednim razem.

Pokręciła głową.

Na dole schodów natrafili na stertę starego drewna, zeschniętych roślin i sznurów. Bastian sklecił z nich naprędce pochodnię, podpalił ją i bez słowa podał Lore.

Ona zaś poczuła nagle, jak wzbiera w niej panika – niczym skwierczący na patelni olej, który lada sekunda rozprysnie się i ją poparzy. Wystarczyło, że znalazła się w mroku katakumb, a wszystkie jej zmysły zaczęły krzyczeć. Całe jej ciało wołało, by natychmiast wrócić na schody i wydostała się na górę – ku otwartemu niebu.

– Oddychaj, Lore – usłyszała nagle łagodny głos księcia. Poczowała ciepło jego dłoni na ramionach i nutę wina w jego oddechu.

Uśluchoła. Patrząc w złotobrzowe oczy Bastiana, kilkakrotnie zaczerpnęła pomалу powietrza. Gdy po chwili udało jej się uspokoić, zrobiła krok wstecz. Książę cofnął dłoń, po czym sięgnął do stosu drewna, by sklecić drugą pochodnię.

– No więc – spytał – dokąd teraz?

Lore zamknęła oczy i natychmiast zobaczyła pod powiekami mapę katakumb. Ukazały jej się rzędy krzyżujących się korytarzy, a pośród nich – jeden pulsujący Mortemem punkt. To tam musiały znajdować się ciała. W pobliżu widniały też dwa skupiska bieli – Bastian i ona sama.

Pozostawało ustalić trasę łączącą ich położenie z ogniskiem czerni. Przypatrywanie się mapie przypominało spoglądanie z góry na niezadaszony labirynt. Po chwili gdzieś niżej Lore dostrzegła ledwie zauważalny błysk – kilka kolejnych drobnych białych punktów. Obok nich zaś jeszcze jedno potężne pulsujące skupisko Mortemu.

Siostry nocy i strzeżone przez nie zwłoki Nyxary, skryte w obsydianowym grobowcu w głębi przedziwnej podziemnej katedry. Lore zobaczyła go tak wyraźnie, jakby stała tuż naprzeciw niego – pod kryształowymi stalaktytami, pośród ścian połyskujących miką. Oczami umysłu dokładnie widziała ciemną – ciemniejszą nawet niż mrok katakumb – bryłę sarkofagu.

Nie o tym jednak miała teraz myśleć. Otrząsnęła się więc i skupiła z powrotem na tym, jak dotrzeć do ukrytych ciał.

– Tędy – powiedziała po chwili.

Bastian błyskawicznie podпалиł pochodnię i poszedł za nią.

Kilka kroków dalej natrafili na pierwszą stertę kości. Były stare i zeschnięte, częściowo okrywało je brudne płótno w trudnym do nazwania kolorze. Bastian z grymasem na twarzy obszedł na palcach coś, co wyglądało na kość udową.

– Ohyda – wycedził z niesmakiem. – Już zaczynam mieć dość, a czeka na nas stos trupów...

– Pomyśl, jak ja muszę się czuć – odparła Lore.

Po chwili milczenia Lore obejrzała się przez ramię. Bastian przypatrywał jej się z lekko zmarszczonymi brwiami, płomień pochodni rzucał na jego twarz migotliwy cień.

– Nie powiedziałaś chyba Gabrielowi, że tu dorastałaś? – spytał.

– Czy to ma znaczenie? – Ton Lore zabrzmiał ostrzej, niż zamierzała.

– Nie, twój wybór. Możesz mówić o tym, komu chcesz. – Bastian wzruszył ramionami, ale jego wymowne spojrzenie zdradzało, że bardzo chciałby poznać odpowiedź. – Byłem po prostu ciekaw, bo macie do siebie wyraźną słabość.

– Nie mam żadnej słabości do Gabriela Remaut!

– No cóż. On za to z pewnością ma ją do ciebie.

– Nie. – Lore zaśmiała się szorstko. – Nic podobnego.

– Najwyraźniej dałem się zwieść.

– Zwieść ciebie to akurat żadna sztuka.

Teraz to książkę parsknął śmiechem.

– Może dla ciebie – odrzekł, po czym kontynuował łagodniejszym tonem. – Dlaczego w takim razie zdecydowałaś się powiedzieć mnie?

– Zagroziłeś mi zesłaniem!

Trasa przed nimi rozwidlała się w dwa różnej szerokości korytarze. Lore przystanąła, zaczerpnęła tchu, po czym wybrała lewą odnogę.

– Nie tylko dlatego... – odezwał się znów idący za nią Bastian. W jego tonie pobrzmiwało coś, czego dotąd nie słyszała. Niedowierzanie. – Ufasz mi, Lore. Pomimo wszystko i być może wbrew sobie, ale ufasz mi.

– Niespecjalnie dałeś mi wybór – odparła, ale jej odpowiedź nie brzmiała oskarżycielsko.

– Sam czułem, że nie mam wyboru. – Nuta wątpliwości w głosie Bastiana stawała się coraz wyraźniejsza. – Wciąż głowię się, dlaczego tak zależało mi, żeby poznać

prawdę o tobie i twoim dzieciństwie. Z jakiegoś powodu czułem, że *muszę* się tego dowiedzieć. Oczywiście, musiałem bronić się przed Augustem, ale to nie wszystko. Coś... popychało mnie ku temu. Jakby coś podobnego już kiedyś się zdarzyło. Jakbym był w coś uwikłany, czy tego chcę, czy nie.

Książę dobrał słowa inaczej niż Gabriel, a jednak zwierzenie mnicha natychmiast odbiło się echem w głowie Lore. Znowu udzieliło jej się poczucie, że większe elementy składają się w jedną całość, a za rozwojem wydarzeń stoi jakaś siła przerastająca ludzkie pojęcie. Przerastająca królów i toczona przez nich wojny.

Ona, Bastian i Gabriel byli jak komety, które coś nieustannie przyciągało ku sobie. Lore odwróciła się i spojrzała na księcia. W jego oczach widać było zagubienie i złość.

– Znam cię – powiedział Bastian takim tonem, jakby odczytywał wyrok. – A ty znasz mnie, Lore. Powiedz, o co w tym chodzi? Skąd to poczucie, że znamy się od zawsze?

W innej sytuacji mogłoby to zabrzmieć romantycznie. W obecnych okolicznościach był to jednak kolejny wyraz bólu i zdezorientowania. Kolejna wątpliwość bez odpowiedzi. Lore przypatrywała się księciu w milczeniu.

– Powiedz, że nie tylko ja to czuję.

Wiedziała, że Książę Słońca nie będzie nikogo o nic błagać. Ale w tym momencie był chyba tak bliski tego, jak tylko potrafił. Dla niej jego słowa były jak zadra w ranie, która raz po raz goiła się i otwierała.

– Powiedz, że nie jestem w tym sam, Lore – powtórzył.

Czy i ona, odkąd tylko pamiętała, nie pragnęła właśnie tego? Nie być sama.

Powiodła wzrokiem po jego oświetlonej pochodnią twarzy, kamiennych murach i szczątkach kości.

– Nie jesteś sam, Bastian – powiedziała w końcu ochrypłym głosem. Z trudem przełknęła ślinę. – Ja też to czuję.

Po tych słowach odwróciła się i ruszyła dalej. Bastian z nerwowym westchnieniem podążył za nią.

Rozdział 35

Nic w świecie nie jest nowe.

Księga Praw Śmiertelniczych, Rozprawa 135

Lore od razu wyczuła, że pierwsza komnata, do jakiej dotarli, nie jest tą właściwą. Mapa, którą widziała oczami umysłu, podpowiadała jej, by minąć ją i meandrować dalej w mrok. Bastian jednak przystanął i oświetlił pochodnią sypiące się drewniane drzwi.

– Zajrzemy? – spytał.

– To nie tu. – Lore natychmiast ruszyła dalej. W katakumbach było zimno, a w palcach czuła narastające mrowienie. – Chodź. Jeśli mamy zdążyć przed świtem, musimy się pospieszyć.

– Skąd wiesz, że to nie tu? – Bastian raz jeszcze zerknął na drzwi. – Poza tym spod ziemi i tak nie zobaczymy, że zaczyna wschodzić słońce. Nie zorientowalibyśmy się, nawet gdyby na górze trwał koniec świata.

Księżę przesadził celowo, lecz Lore i tak wzruszyła lekko ramionami.

– Po prostu wiem – odparła. Jej intuicja była jak iskra boża. Lore wiedziała, że jej nie zawiedzie. Jakaś jej część czuła się w katakumbach u siebie, jak nigdzie indziej.

Lore od zawsze pragnęła znaleźć sobie miejsce poza mrokiem. A jednak tylko ciemność i śmierć zdawały się oferować jej bezpieczną przestrzeń.

– Nie mówiłaś mi, jak to się stało, że potrafisz poruszać się tu bez mapy – zagaił po chwili Bastian. – To pewnie jakiś dar, który masz od urodzenia?

– Chyba tak. – Wzruszyła ramionami, wpatrując się w mrok przed sobą i nie oglądając się na księcia.

– Czyli ty jedna znasz tak dobrze katakumby. Jesteś przecież jedyną osobą, która się tu urodziła.

– Nie jestem.

Bastian uniósł wysoko brew. Lore tymczasem westchnęła i potarła oczy. Dobrze, że była tu tylko z Bastianem. Nie miałyby teraz siły zatajać dłużej swoich sekretów.

– Było więcej siostr nocy, które urodziły w katakumbach – odezwała się po chwili.

– Niejedna niezamężna ciężarna wołała ukryć się pod ziemią niż mieć do czynienia

z rodziną na powierzchni.

– Raczej marnie to świadczy o tych rodzinach.

– Albo w ogóle o społeczeństwie – odparła Lore. – Żeby spłodzić dziecko, trzeba dwojga, a jednak ciężar zawsze spada na tę osobę, która fizycznie nosi je w sobie.

– To prawda. – Bastian skinął głową. – Ale chyba nie wszystkie urodzone tu dzieci potrafią władać Mortemem?

– Nie. – Próbowала zdobyć się na śmiech. – Tylko ja mam to wielkie szczęście.

Księżę uśmiechnął się pod nosem, po czym przyświecając sobie pochodnią, wskazał ruchem głowy na księżycową bliznę na dłoni Lore.

– Czy wszystkie dzieci sióstr nocy noszą taki znak?

– Nie. – Lore odruchowo zamknęła dłoń. – Tylko te, które wybrano do wejścia do grobowca w dniu zaćmienia.

Na dźwięk słowa „zaćmienie” spojrzenie księcia sposepniało. Natychmiast skojarzył je z nadchodzącym balem. Przybywało tu zbieżności, które nie mogły nie wydać mu się podejrzanym.

Przez moment szli w milczeniu. W końcu jednak Bastian przełknął ciężko i się odezwał.

– Nie powinnaś iść na bal.

– Muszę. Inaczej będzie oczywiste, że...

– Nie musisz, do jasnej cholery! – przerwał jej Bastian ostrym, zapalczywym tonem. – Nie tańcz, jak zagrają ci August z Antonem. Jeśli będzie trzeba, ja i Remaut pójdziemy tam dla niepoznaki. A ty dasz znać, że jesteś chora, i zamkniesz się w pokoju. Albo, jeśli chcesz, wymknij się na miasto i spij w jakiejś tawernie. Rób, co chcesz, bylebyś nie szła na bal.

Lore przystanęła.

– Czyżbyś o czymś wiedział?

– Oczywiście, że o niczym nie wiem – odrzekł Bastian z widoczną irytacją. – Mam po prostu złe przeczucie. A ponieważ chodzi o ciebie, to mi wystarczy.

– Dlaczego nagle tak bardzo chcesz mnie chronić? – Lore zatrzymała się gwałtownie na piasku, po którym walały się szczątki kości. Stała z księciem twarzą w twarz, by zmierzyć się z nim bez ogródek.

– Dlaczego? – powtórzył Bastian.

I znów ta sama myśl. Niewyjaśniona więź, o której dopiero co mówili. Poczucie, że się znają, a jednocześnie są wprawiani w ruch przez sznurki, których sami nie

wiązali.

– Nie wiem... – przyznał książę.

Westchnęła i odwróciła wzrok.

– Zgoda – powiedziała. – Postaram się wykręcić od obecności na balu.

Obietnica z trudem przeszła Lore przez gardło. Ciężyła jej na języku jak kłamstwo. Zaraz pomyślała też o Gabrielu i o tym, jak zareaguje, jeśli sprzeciwi się w ten sposób Antonowi. Trzymał dotąd jej stronę głównie z uwagi na groźbę zesłania. Groźbę realną tylko w odniesieniu do niej – bo on dzięki swemu tytułowi i koneksjom zapewne nie trafiłby na wyspy. W świetle ostatnich wydarzeń nie miała chęci sprawdzać, ile wciąż gotów byłby dla niej zrobić.

Bastian skinął głową.

– Dziękuję – powiedział cicho.

– Ty też nie powinieneś tam iść – odparła Lore, odpychając od siebie myśl o Gabrielu. – Przecież twój ojciec nastaje na twoje życie.

– Jem tylko własne potrawy – odpowiedział książę. – August nie zdoła mnie otruć. Podczas uczty nie wezmę do ust niczego, co mi poda. Nie będę ułatwiać mu zadania.

– Książę uśmiechnął się lekko, jego zęby zabłyśły w świetle pochodni. – A gdyby spróbował zabić mnie w mniej subtelny sposób, zawsze mogę się zrewanżować – dodał.

Lore poczuła pulsujący w skroniach niepokój.

– Cóż, miejmy nadzieję, że będzie umiał się opanować.

Spojrzenie Bastiana zdawało się mówić, że jakaś jego część ma nadzieję na coś dokładnie przeciwnego – na krwawą jatkę.

Tunel rozwidlał się teraz pod kątem prostym. Musieli wybrać skręt w lewo lub w prawo. Trasa, którą wytyczyła w myślach, biegła w tym drugim kierunku, ale gdy tylko skręcili, jej uwagę zwrócił napis na murze.

Lore przyjrzała mu się w świetle pochodni, marszcząc brwi. Bastian przystanął obok niej i oświetlił kolejne wyryte w kamieniu słowa. Pismo było bardzo nierówne – gdzieś wyrażnie zaznaczone, gdzie indziej ledwie widoczne.

– To jakieś bazgroły – powiedział książę. – Jakiejś zjawie tuż przed śmiercią zebrało się na twórczość.

– Zjawy nie zapuszczają się tak głęboko – odparła Lore. Odkąd minęli ostatnie szczątki, minęło dobre pół godziny. Przysunęła płomień bliżej ściany i zmrużywszy

oczy, pomału odczytała napis na głos. Szczęście, że był po auverrainśku. – „Boskość nigdy nie zostaje unicestwiona... lecz tylko niesie się echem”.

– Podtrzymuję, co mówiłem. To jakaś nonsensowna bazgranina – skwitował Bastian. Nuta niepokoju w jego głosie zdradzała jednak, że i on dostrzegł w tych dwóch zdaniach pewną powagę. – Ciekawi mnie raczej, jak komuś udało się to napisać na kamiennym murze. Mniejsza, czy był zjawą, czy nie.

Lore zauważyła po chwili wystający z ziemi przedmiot o bladym odcieniu. Gdy trąciła go stopą, okazało się, że to ostro zakończona kość. Jej powierzchnia była chropawa i spękana, kość musiała leżeć tu od dawna.

– Może i miałeś rację z tą zjawą – powiedziała.

– Cieszę się. – Bastian zmarszczył w uśmiechu nos. – Więc którą teraz?

Lore skinęła głową w prawo i ruszyła w tamtym kierunku nieco przyspieszonym krokiem. Leżącą na ziemi kość kopnęła w ciemność.

Zmierzali żwawo przed siebie w migoczącym świetle pochodni. Lore szacowała, że odkąd zesli przez studnię do katakumb, minęły nie więcej niż dwie godziny. Gabriel jednak z pewnością już się niepokoił. Wyobraziła sobie, jak raz po raz pocierając przepaskę na oku, krąży nerwowo wokół studni.

– Myślisz, że nic mu nie jest? – Pytanie wyrwało się Lore niemal nieświadomie.

– Komu? Remautowi? – Bastian spał się nieco, ale jego ton był spokojny. – Jestem pewien, że wszystko u niego w porządku. Może skorzystał z wolnej chwili, żeby się zdrzemnąć. Wyglądał ostatnio na zmęczonego.

– Sypia pod drzwiami, żeby strzec wejścia – powiedziała Lore.

– Niektórzy lubią takie pokazy rycerskości.

– Jej akurat mógłbyś się od niego uczyć.

Zapadła cisza, którą po chwili przerwał książę.

– Chciałbyś, żebym to zrobił, Lore?

Gdyby Bastian powiedział to swoim zwyczajowym nonszalanckim tonem, można by to wziąć za błahy flirt. On jednak mówił serio.

Lore nie odpowiedziała. Wolała skupić się na widzianej oczami umysłu mapie, która prowadziła ich teraz przez ciąg zakrętów. Białe punkty oznaczające ją i Bastiana zbliżały się w końcu do skupiska Mortemu, a po chwili znalazły się bezpośrednio przy nim. Dotarli na miejsce. Tyle tylko, że mieli przed sobą lity mur.

– Kurwa! Niech to szlag! – Uderzyła dłonią w szorstki kamień.

– Przecież muszą tu być jakieś drzwi. – Bastian poruszył pochodnią. – Może gdzieś jest ukryta dźwignia albo inny mechanizm.

– Nie ma – odparła Lore. Korytarz był w tym miejscu bardzo wąski. Wystarczyło lekko się odchylić, a dotykało się plecami drugiej ściany. Lore zsunęła się po niej plecami i przykucnąwszy, przycisnęła spód dłoni do czoła. – Nic tu nie ma – powtórzyła.

– Musi być. Przecież poprowadziłaś nas...

– Pomyliłam się! – Opuściła dłoń i spojrzała wściekle na księcia. – Może w ogóle myliliśmy się co do wszystkiego! Może powinniśmy byli odpuścić.

– Opuścić? – powtórzył chłodno Bastian, patrząc na Lore z góry. Wyprostowany, w świetle pochodni wydawał się równie majestatyczny i niedostępny jak sam Apolliusz. – Ot tak, pozwolić mojemu ojcu i stryjowi zwozić tu ciała nie wiadomo w jakim celu, a potem poprowadzić kraj na wojnę?

Lore nie spuszczała z niego wzroku, lecz wciąż milczała. Była już zmęczona. Zmęczona ciągłymi próbami naprawiania czegoś, co nie w pełni nawet rozumiała. Zmęczona tym, że wciąż szarpano nią w różne strony i usiłowano w ten czy inny sposób wykorzystać. Nawet jeśli było to niekiedy uzasadnione, to nie stawało się od tego mniej bolesne.

Bastian zaklął cicho. Potem wsunął pochodnię pionowo w głąb stosu kamyków i zabrał się do obszukiwania ścian. Wciąż liczył na to, że uda mu się znaleźć ukrytą dźwignię czy rygiel. Lore obserwowała go przez chwilę bez ruchu. Potem westchnęła, dźwignęła się na nogi i zaczęła robić to samo co on. Księżę zerknął na nią kątem oka, ale nie odezwał się ani słowem. Miał dość rozumu, by milczeć.

Przypuszczenia Lore się potwierdziły: nie znaleźli żadnego ukrytego mechanizmu. Kiedy jednak przesuwiała ręką po kolejnym fragmencie muru, jej dłoń nagle... zatrzymała się.

Lore zmarszczyła brwi. Przy odrobinie wysiłku mogła przesunąć dłoń dalej, ale coś zdawało się przyciągać jej skórę w poprzednie miejsce – wyraźnie gładsze i chłodniejsze od reszty. W pierwszej chwili pomyślała, że to tylko złudzenie wynikłe z różnicy w fakturze kamienia. Gdy jednak przycisnęła dłoń do ściany, wyczuła w niej... puls. Był niczym powolne krążenie kostniejącej od mrozu krwi.

Mortem. Wzywał ją, skupiony i wyczekujący.

– Chyba mam rozwiązanie – powiedziała.

Bastian przestał wodzić dłońmi po murze i spojrzął na nią. Jego włosy przyprószone były kurzem. Cofnął się o krok i rozłożył ręce, jakby dawał znać, że się poddaje.

– Co musimy zrobić? – spytał.

– Jest tu zamek, ale nie otwiera się go kluczem – wyjaśniła Lore. – To mechanizm, który uruchamia się magią.

– Wiesz, że w magii nie potrafię ci pomóc. – Księżę przełknął ślinę i powiódł nieufnym spojrzeniem po ścianie. – Coś ci grozi?

– Bardzo możliwe.

– No cóż. – Bastian ustawił się za Lore, jakby chciał w razie czego ją podtrzymać. – Jestem z tobą. Postaraj się nie zginąć.

Zamknęła oczy i delikatnie uniosła głowę. Uchyliła wewnętrzną zaporę – na myśl o niej jak zawsze wspomniała Gabriela – po czym spróbowała pomału wy badać zmysłami ścianę. Przywołała spowijający mur Mortem, ale ten został misternie opleciony wokół ukrytych drzwi i nie poddał się jej wezwaniu.

Lore zaczerpnęła powietrza i wstrzymała oddech, aż zobaczył pod powiekami gwiazdy. Gdy z powrotem otworzyła oczy, widziała wszystko w odcieniach szarości. Mur, który miała przed sobą, był gęstym splotem czerni. Swoją rękę, jak zawsze w takiej sytuacji, widziała jako ciemnoszarą smugę. Wokół siebie, w ziemi i w ścianie za swoimi plecami wyczuła więcej Mortemu. Uniosła dłoń, a cienkie smugi mroku zaczęły oplatać jej palce. Lore zaczęła wprawnie przepuszczać je przez swoje ciało, a po chwili delikatnie tchnęła je w mur przed sobą.

Mortem, który już w nim tkwił, tworzył zmyślną konstrukcję przywodzącą na myśl skrzynię otwieraną szyfrem. Jego gęsty splot w samym środku był jak zamek, a rozpościerające się wokół cieńsze smugi pozwalały dostrzec kontur drzwi. By je otworzyć, Lore musiała rozgryźć opracowane przez kogoś zabezpieczenie.

Miała przy tym niemal pewność, że tym kimś był Anton. To, co przed sobą widziała, aż nadto przypominało jej sytuację podczas wycieku. Najwyższy kapłan zaplótł wówczas Mortem w węzeł w sposób, jakiego nigdy wcześniej nie widziała. Cokolwiek jednak zrobił wtedy, było niczym w porównaniu z misternym mechanizmem wewnątrz muru. Lore nie miała pojęcia, że Mortemowi da się w ogóle nadać taką formę. Że zamiast przepuszczać go przez siebie i kierować natychmiast w głąb martwej materii, można posłużyć się nim jako surowcem i narzędziem.

Musiało to wymagać niewyobrażalnego skupienia. Jednoczesne kanalizowanie Mortemu i formowanie go w określony kształt wydawało się nie lada sztuką.

Tylko czy podczas wycieku Anton na pewno kanalizował Mortem? Lore zawahała się. Owszem, władał nim, nadając mu kształt, ale czy przepuścił go przez swoje ciało? Nie przypominała sobie, by jego oczy zaszły bielmem lub by jego ręce stały się trupio blade. Czyżby więc potrafił kształtować Mortem w czystej postaci? Zapleść go, a dopiero potem posłać w stronę Lore, by to jej ciało go wchłonęło? Wiedziała, że robiono takie rzeczy. Było to jednak przed wiekami.

Nie miała czasu teraz się nad tym głowić. Wciągnęła przez zęby powietrze, siłując się z magicznym mechanizmem. Smugi przyzwanego przez nią Mortemu oplatały te zaplecione przez najwyższego kapłana, muskając je niczym palce struny.

By uporać się z drzwiami, Lore musiała rozpleść znajdujący się pośrodku węzeł. Reszta nie nastroczałaby już trudności – pozostawało odnaleźć na obrysie ukrytego wejścia własne smugi Mortemu i za ich pomocą otworzyć drzwi. Sęk w tym, że rozwiązywanie węzła mogło trwać niewyobrażalnie długo.

Wykonała serię drobnych, precyzyjnych ruchów. Pilnując odpowiedniej kolejności, poruszała fragmentami gęstego splotu. Aż w pewnym momencie jedna z kierowanych przez nią smug, jakby wskutek oporu stawianego przez kamień, ześlizgnęła się w bok. Wewnątrz mechanizmu coś nagle zaskoczyło.

Węzeł ustąpił.

Lore znieruchomiała na moment, zdziwiona, że ślepy traf pozwolił jej uporać się z czymś tak wymyślnym. Teraz pozostawało tylko wykonać ostatni ruch. Tchnęła w mur resztę zgromadzonego wcześniej Mortemu.

Rozległ się cichy trzask i wejście stanęło otworem.

Lore cofnęła się o krok, łapiąc powietrze. Smugi Mortemu odpływały z jej ciała, a przed oczami zaczynała znów widzieć kolory. Z jej rąk uchodziła pomału trupio blada barwa. Tymczasem zza otwartych drzwi bił chłód, a ciemność za progiem wydawała się gęstsza niż smoła. Lore drżącą dłonią sięgnęła po pochodnię. Płomień rozświetlał tonącą w mroku przestrzeń na nie więcej niż krok naprzód.

– Ja pójdę pierwszy. – Bastian rozprostował ramiona. Jego wysunięta naprzód szczeka zdradzała determinację. Nim Lore zdążyła cokolwiek powiedzieć, postąpił naprzód i przekroczył próg.

Z ciemności dobiegł nagle jego krzyk. Lore, zapominając o strachu, wyrwała naprzód i o mało nie zderzyła się z plecami księcia.

– Nabrałaś się! – rzucił rozbawiony Bastian.

Dziewczyna oparła dłoń między jego łopatkami i pchnęła go naprzód.

– A pocałuj mnie w dupę.

– Właściwie to chętnie, ale poproś grzeczniej. – Księżę silił się na żartobliwy ton, ale w jego głosie dało się wyczuć nerwowość. Rubaszny humor nie wystarczył, by ukryć lęk, który i on odczuwał w gęstych ciemnościach.

Choć brodzili w mroku, Lore miała poczucie, że otaczająca ich przestrzeń jest bardzo obszerna. Jak nigdzie w podziemiach. Coś mówiło jej, że pomieszczenie, w którym się znaleźli, jest wręcz ogromne. A przez to – bardziej przerażające.

– Co to? – usłyszała nagle głos Bastiana.

Księżę był od niej dalej, niż sądziła. Aby znaleźć się obok niego, potrzebowała dobrych kilku kroków. Stali teraz oboje pod ścianą, na której Bastian namacał coś przypominającego pozbawione liści pnącze. Był to lont.

– Tylko go nie podpalaj – upomniała go Lore.

Za późno. Księżę zdążył przytknąć do końcówki płomień pochodni.

Rozbłysła iskra. Powędrowała jednak nie ku jakiegoś rodzaju materiałom wybuchowym, ale ku zatkniętej na ścianie pochodni. Potem ku kolejnej i jeszcze następnej. Płomyk poruszał się szybko i po chwili całe pomieszczenie rozświetliło się migoczącym, pomarańczowym blaskiem.

Lore nie myliła się – było ogromne, jak trzy sale tronowe. W równych odległościach rozmieszczono w nim kamienne podesty, które zaraz skojarzyły się jej z posępnymi żelaznymi belkami w pałacowej podłodze.

Na każdym podeście leżały zwłoki.

Pośród zmarłych były osoby różnych płci i postur – lecz w martwym bezruchu, okryte ciemnymi całunami, wszystkie wydawały się jednakowe. Każde z leżących ciał wyglądało, jakby tylko spało. Wrażenie to ulatywało dopiero wtedy, gdy podeszło się do któregoś z nich. Dawało się wtedy dostrzec bladość cery i woskową fakturę skóry.

Wszyscy zmarli wyglądali na podobnych wiekiem. Nie było wśród nich ani dzieci, ani osób starszych. Jedynie sami dorośli w kwiecie wieku.

Bastian postąpił naprzód jako pierwszy. Wciąż przyświecał sobie zapaloną pochodnią, choć teraz nie była ona już potrzebna.

– Gdzie pozostali? – zastanawiał się na głos. We wsi musieli przecież mieszkać także starcy i dzieci.

– Może w osobnej komnacie... – odparła Lore, czując mętny, nieokreślony niepokój. – Mogli celowo ich rozdzielić.

– Mogli. – Bastian ściągnął brwi. – Tylko w jakim celu?

Lore podeszła powoli do najbliższego katafalku. Leżała na nim kobieta o mocnym, umięśnionym ciele, starsza od Lore nie więcej niż o kilka lat. Miała rudawe włosy i gładką cerę, na której nie zaznaczyły się jeszcze zmarszczki. I żadnych oznak gnicia.

Ostatnia z wiosek wymarła przed dwoma dniami. Życie straciło wtedy siedemdziesiąt pięć osób. Ale w pomieszczeniu, w którym się znajdowali, ciał było znacznie więcej. Musiały więc pochodzić także i z pozostałych zaatakowanych wsi.

Dlaczego jednak zmarłych ułożono według wieku? I jak to się stało, że ciała były w tak dobrym stanie?

– Lore – odezwał się Bastian. Mówił cicho, jakby bał się zakłócić spokój zmarłych. – Spójrz na tę dłoń.

Ręka jednego ze zmarłych zsunęła się z kamiennej płyty i luźno zwisała z katafalku. Lore nie chciała jej dotykać, przykucnęła jedynie obok i starannie się jej przyjrzała. Na dłoni zmarłego wycięto znak zaćmienia: u góry, tuż poniżej palców, pół słońca, z którego rozchodziły się promienie, u dołu – dopełniający słońce półksiężyc.

– Nie rozumiem – powiedziała Lore, zaciskając w pięść dłoń z blizną. – Co to ma oznaczać?

– Jest tylko jeden sposób, by się dowiedzieć – odparł Bastian.

Lore delikatnie oparła dłonie na kamiennej płycie. Zamknęła oczy i zaraz ujrzała kryjącą się w ciele śmierć. Łagodnie przyzwała ją do siebie.

Gdy zaczerpnęła powietrza, poczuła smak pustki i skalnego chłodu. Opuszki jej palców momentalnie ostygły i pobladyły. Smugi mroku zaczęły przepływać z martwego ciała na nią. Świat wokół znów stracił barwy.

Coś jednak było nie tak. Lore widziała własne ciało w odcieniach bieli i jasnej szarości – z ciemną plamą w głębi. Stojący obok Bastian zdawał się niemal pulsować jasnym światłem. Mimo to tuż ponad każdym z ciał widać było gęsty splot czerni – o barwie nocnego nieba pozbawionego gwiazd i księżyca. Lore od razu przypomniała sobie wyciekający ze sklepowych drzwi Mordem.

Znów Anton.

Co też takiego zrobił z ciałami najwyższy kapłan?

Serce Lore biło coraz wolniej. Zaczynała czuć, jak ciężą jej kończyny. Wchłonawszy niemal tyle Mortemu, ile była w stanie, znów oparła dłonie na katafalku, by tchnąć smugi śmierci w kamień. Czuła, jak ten z każdą chwilą staje się coraz bardziej kruchy i porowaty.

Jej żyły były ociężałe. Płuca nie dawały rady zaczerpnąć dość powietrza. Przyjęła na siebie więcej śmierci, niż mogło się udać w tak krótkim czasie. Ta zaś... wydawała się cięższa i gęstsza, niż powinna.

Lore poczuła, jak zaczynają drżeć jej kolana. Bastian natychmiast przyskoczył do niej i ją podtrzymał. Czuła na ramionach jego ciepły dotyk.

– Co się z wami stało? – szepnęła Lore w stronę ciała. Jej głos brzmiał słabo i piskliwie. – Kto wam to zrobił? I dlaczego?

Ciało nie reagowało. Wciąż leżało nieruchomo na podeście i milczało.

– Nie rozumiem. – Bastian przymrużył oczy. – Co się...

Przerwał mu nagle dobiegający zewsząd trzask. Wszystkie ciała w potężnej sali usiadły jednocześnie na katafalkach, a następnie spojrzały na nich martwymi, niewidzącymi oczami.

Na Lore, jak za dotknięciem różdżki, spłynęło olśnienie: wydobywając śmierć z jednego z ciał, jakimś sposobem wyszarpnęła ją ze wszystkich. Ciemne węzły widoczne ponad katafalkami musiały być ze sobą połączone.

Bastian odruchowo wysunął się przed Lore, a jego ręka powędrowała w stronę ukrytego pod ciemnym ubraniem sztyletu. Co właściwie chciałby nim zrobić – tego nie wiedziała. Zmarłych nie dało się przecież powtórnie zabić. Żadne z ciał nie próbowało jednak ich atakować czy choćby się do nich zbliżyć. Wszystkie, jak na sygnał, otworzyły za to usta. Ich zuchwy opadły znacznie niżej, niż byłoby to możliwe u żywego człowieka.

– Budzą się – odezwały się leżące najbliżej zwłoki. Mówiły, nie poruszając ustami, tak jak wskrzeszony chłopiec w krypcie. – Budzą się tak jak nowe naczynia.

Ciało Lore przeszywał chłód nieruchomy jak sama śmierć.

– Budzą się. – Pierwszemu ciału zawtórowało kolejne. – Budzą się tak jak nowe naczynia.

Jedne zwłoki za drugimi podejmowały śmiertelny zaśpiew, który rozchodził się po sali jak fala i po chwili był już na ustach wszystkich przebudzonych zmarłych. Każde z ciał podchwyciło go jednak w innym momencie i mówiło w nieco innym tempie.

Kakofonia głosów dobiegających ze wszystkich zakamarków olbrzymiej komnaty była jak napierający przypływ.

Aż nagle słowa ustały, a z ust zmarłych dobył się krzyk.

Rozdział 36

Ranny pies zawsze wraca do pana.

Przysłowie kiryteańskie

Na bogów, jaki to był potworny hałas. Kakofonia wrzasków niosła się echem po przytłaczająco wielkiej komnacie, z ogłuszającym efektem odbijając się od ścian. Lore chwiejnym krokiem odstępowała od katafalku. Zaraz też – z zaciśniętymi zębami i dłońmi przytkniętymi do uszu – potknęła się o leżący na ziemi kamień i przewróciła na plecy.

Wciąż czuła przy palcach cienkie strużki mroku łączące ją z wyczuwalnym wokół, ocierającym się o jej twarz mortemicznym woalem. Był jak uczepiona jej ciała resztką pajęczej sieci. Nie zetknęła się wcześniej z taką anomalią. W chwili gdy mortemista przerywał kanalizowanie, wszystkie smugi powinny natychmiast zniknąć. W przestrzeni, w której się znajdowali, coś sprawiało jednak, że Mortem reagował inaczej. Lgnął ku niej, jakby za sprawą samej przesiąkniętej śmiercią ziemi.

Stojący obok Bastian przyklęknął nagle. Przyciskał dłonie do uszu tak mocno, że Lore nie zdziwiłaby się, gdyby skończyło się to sińcami. Mimo to ani on, ani ona nie próbowali rzucić się w stronę drzwi. Zamierzali wytrwać tu do momentu, aż ciała zamilkną.

Zmienili zdanie, gdy te zaczęły się poruszać. Z początku robiły to w sposób chaotyczny i niezgrabny. Szybko jednak dało się dostrzec coś, co przypominało wyreżyserowaną choreografię. Ciała uniosły w górę prawe dłonie z rozczapierzonymi palcami, a następnie spuściły z katafalków lewe nogi. Ich usta były niezmiennie otwarte, wciąż dobywał się z nich przeszywający krzyk.

– O kurwa... – szepnęła Lore, podnosząc się natychmiast z ziemi. – To niemożliwe...

Chwyła za ramię wciąż kulącego się Bastiana i szarpnęła go w stronę drzwi. Książę, który dopiero w tym momencie otworzył oczy, zaklął zdumiony.

Bogom dzięki, wyjście było wciąż otwarte. Lore przyciągnęła ku sobie Bastiana dokładnie w chwili, gdy wszystkie martwe twarze zwróciły się w ich stronę. Mieli przed sobą dziesiątki par trupich, czarnych oczu i rozdziawionych, nieruchomych ust.

Pomału, krok za krokiem, przesuwali się w stronę drzwi.

– Zamknij je! – krzyknął Bastian, gdy tylko znaleźli się po drugiej stronie.

– Nie wiem jak! – Lore przywarła dłońmi do kamienia, ale smugi Mortemu ślizgały się po nim bez żadnego efektu. – Magia nie ustępuje. Nie rozumiem, co się dzieje!

Wiele rzeczy wciąż pozostawało dla niej niewiadomą. Choć mortemiczna magia żyła w jej ciele od blisko dwudziestu czterech lat, ciągle była dla niej tajemnicą. Skrytym za diamentową fasadą przekleństwem.

Bastian nie powinien był widzieć smug Mortemu spowijających palce Lore – nie miał przecież jej daru. A jednak, nie wiedząc w jaki sposób, zobaczył je. Dało się to poznać po jego szeroko otwartych oczach i uchylonych w zdumieniu ustach.

Kolejna zagadka.

Książę postąpił nagle naprzód. Zdecydowanym ruchem oderwał dłonie Lore od kamiennych drzwi i ujął je w swoje. Wokół jego palców widać było złote migotanie. Lśniące smużki były wyraziste, niemal namacalne – nie mogły być złudzeniem. Lore widziała je równie wyraźnie jak Mortem spowijający jej własne dłonie. Książę Słońca zagarnął mieniącymi się palcami smugi śmierci i szarpnął nimi ku sobie!

Mortem ustąpił i wyślizgnął się z ciała Lore jak nic z ucha igielnego. Dziewczyna odetchnęła, a jej oczy znów zaczęły dostrzegać wszystkie barwy. Miejsce, którego dotknął Bastian, zdawało się teraz... rodzić życie. Powracający puls przywracał ciepło i przebudzał wrażliwość nerwów.

Lore czuła, jak Mortem uchodzi z jej ciała, jednocześnie jednak – gdyby tylko zechciała – wciąż dałaby radę go pochwycić. Miała przy tym przedziwne poczucie dwoistości, jakby trzymała w ręku linę utkaną z cienia i ze światła. Czuła się dwojgiem odmiennych rzeczy wtłoczonych w jedną formę. W tej samej chwili w jej umyśle rozbłysła iskra zrozumienia. Lore poznała odpowiedź na pytanie, którego nie potrafiła zadać...

Wszystkie wskrzeszone ciała padły nagle na ziemię. Ich krzyk momentalnie ustał, pozostawiając po sobie dzwoniącą w uszach ciszę.

Lore i Bastian stali w progu olbrzymiej sali, ciężko oddychając. Jej dłonie wciąż spoczywały w jego dłoniach. Po chwili książę delikatnie pochylił głowę i oparł swoje czoło o czoło Lore. Pozwoliła mu na to. Jednocześnie czuła, jak ustaje w niej euforyczne, witalne drżenie, które pojawiło się, gdy Bastian uwolnił ją od smug Mortemu. Wraz z nim zdawał się też ulatywać kruchy fragment wiedzy – pytanie i odpowiedź na nie.

Lore wysunęła dłonie z rąk Bastiana.

– Jak... Jak ty... – dukała. Czuła się, jakby w gardle stanęła jej garść żwiru. – Jak ty to zrobiłeś, Bastianie? – wydusiła z siebie w końcu.

Księżę przyglądał się zdumiony swoim dłoniom. Złotawa poświata wokół nich nieco przygasła, jednak rozbłysła natychmiast na nowo, gdy tylko skinął ręką w stronę Lore. Ta wzdrygnęła się instynktownie.

– Nie wiem... – powiedział Bastian, cofając natychmiast dłoń. – To chyba dlatego, że jesteśmy w katakumbach.

Zbliżał się świt, Lore czuła to w kościach. Nie było czasu na rozważania, musieli się pospieszyć.

– A ty? – spytał księżę. W jego głosie wciąż pobrzmiewała nerwowość. – Zdarzyło ci się już kiedyś coś takiego?

– To, że Mortem tak się mnie uczeplił? Czy to, że gonił mnie tłum trupów? – Lore zaśmiała się ponuro. Głos wciąż miała rozedrgany. – W obu przypadkach odpowiedź brzmi: nie.

– Mało to grzeczne z ich strony, że zanim się rozwrzeszczały, nie odpowiedziały ci na pytania – stwierdził Bastian. – Co one tam w ogóle mamrotały? Coś o budzeniu się?

– „Budzą się”. Coś podobnego słyszałam już od tego chłopca w krypcie. Szkoda tylko, że wciąż nie wiadomo, o kim mowa.

– Myślisz, że nagadali ci bzdur?

– Zmarli nie kłamią. Te słowa brzmią dziwacznie, ale to szczerą odpowiedź na moje pytanie. – Lore potarła czoło, pozostawiając na nim smugę popiołu. – Niestety za cholerę nie wiem, jak ją rozumieć.

Bastian spojrzał w stronę drzwi. Pochodnie wewnątrz sali z katafalkami wciąż oświetlały jej wnętrze. Migoczące światło padało głównie na zasłaną ciałami podłogę, ale pozwoliło też dostrzec im coś, co przeoczyli przy świetle ręcznych pochodni. Na kamiennych drzwiach widniał ledwie widoczny znak „X”.

– Myślisz, że zrobiła go ta sama osoba, która skleciła ten uroczy wierszyk na ścianie korytarza?

– Możliwe, ale wątpię. – Przesunęła po oznaczeniu palcami, po czym spojrzała na nie. Były czarne od węgla. – To miał być tymczasowy znak, który łatwo będzie usunąć.

– Przynajmniej nie został zrobiony kością.

– Tak, za to drzwi zaryglowano za pomocą Mortemu. – Lore otarła palce z czarnego pyłu. – Tylko raz widziałam, żeby ktoś posługiwał się nim w podobny sposób. Wtedy przy wycieku.

– Anton... – Bastian, wciąż wpatrzony w drzwi, zacisnął zęby i skrzyżował ręce.

– Tak – potwierdziła.

Ich wypad do katakumb miał dowieść, że Anton kłamał. Teraz jednak, gdy mieli już niezbity dowód, Lore poczuła na barkach ciężar. Sądząc po wyrazie twarzy księcia – i on czuł się podobnie.

„Mój ojciec to zły człowiek”, powiedział Bastian w atrium, pośród nocnych roślin. Niełatwo musiało mu się żyć z poczuciem, że ciąży na nim dziedzictwo występku.

Księżę westchnął i spojrzał na Lore.

– Więc mój stryj i ojciec zabijają własnych poddanych? Żeby wszcząć wojnę?

– Chyba tak. – Lore, nie przekraczając progu, sięgnęła do wielkiej sali po nową pochodnię. Poprzednią, wypaloną, odrzuciła na ziemię. – Tylko właściwie po co? Kiryteańczycy i tak zbierają się przecież do natarcia. Wojna już teraz wisi w powietrzu. Po co jeszcze robić coś takiego?

– Muszą coś dzięki temu zyskiwać – odparł Bastian, stając obok niej. Ciemne włosy opadały mu na czoło. – Widać znaleźli sposób, by zarabiać na wojnie, zamiast drenować nią skarb państwa.

– Nikt w Cytadeli i tak nie odczułby tego drenowania – odparła cierpko Lore.

Bastian w milczeniu skinął głową.

W drodze powrotnej do studni nie rozmawiali. Lore, korzystając z widzianej umysłem mapy, bez słowa odtwarzała ich trasę przez płataninę tuneli. Po drodze zerknęła na wryty w murze napis.

„Boskość nigdy nie zostaje unicestwiona”.

W końcu zobaczyli przed sobą cienką wiązkę światła. Była zbyt jasna, by mogła pochodzić od księżyca. Ubiegł ich świt. Po godzinach spędzonych w katakumbach nawet taka ilość światła dziennego wystarczyła, by Lore rozboleła głowa.

Bastian przystanął u podnóża schodów i z niezadowoleniem zerknął ku górze.

– Właz jest ledwie uchylony – mruknął.

– Gabriel zaraz go otworzy.

– Ależ ty ufasz naszemu mniszкови. – Księżę ostrożnie ruszył w górę po schodach. Gdy podpierał się ręką o ścianę, pod jego zakurzoną koszulą widać było grę mięśni

ramion. – A przecież to taka zmienna istota. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby zniknął stąd z podkulonym ogonem tuż po naszym odejściu.

– Powinieneś pokładać w nim więcej wiary – odparła Lore. Wypowiadając te słowa w stronę szerokich pleców Bastiana, uświadomiła sobie, że łakomie się w nie wgapia. Szybko spuściła wzrok, by uważniej przyglądać się pokonywanym stopniom. – Przyszedł przecież nam pomóc, tak?

Za odpowiedź wystarczył jej widok odsuwanej pokrywy. Krętą klatkę schodową natychmiast zalało światło. Nie wstał jeszcze dzień, ale nawet blada szarość świtu była dość ostra, by Lore, oślepią, odwróciła wzrok.

Gdy znów spojrzała naprzód, nie zobaczyła przed sobą Bastiana, jedynie otwór w cembrowinie i różowawe niebo ponad nim. Przewróciła oczami. No jasne, księżę nie mógł znieść tego, że miała rację. On i Gabriel pewnie już zaczęli obrzucać się wyzwiskami.

Kiedy jednak dotarła na szczyt schodów, zobaczyła Bastiana leżącego na plecach pomiędzy dwoma mnichami Presque Mort. Jeden z nich trzymał szpic bagnetu tuż przy szyi księcia. Obok stał Malcolm – w jego oczach widać było namysł, ale zaciśnięte wargi zdradzały determinację.

Przy studni Lore ujrzała też Antona. Wisior w kształcie serca Krwawiącego Boga połyskiwał na jego piersi w bladym świetle poranka.

Obok Antona stał zaś Gabriel.

Bastian roześmiał się bolesnym, jadowitym śmiechem.

– Co tam mówiłaś Lore? – rzucił. – Że mam pokładać w nim więcej wiary?

Lore nic nie odpowiedziała. Aż za dobrze wiedziała, że wpadli.

Zapadła cisza, którą zakłócał tylko cichy łopot szaty Antona na wietrze. Gabriel zbliżył się do studni i wyciągnął dłoń w stronę Lore, by pomóc jej zejść na ziemię. Nie przyjęła jej. Nawet na niego nie spojrzała. Choć nogi jej drżały, sama zeskoczyła na bruk.

Anton wykonał dłonią znużony gest.

– Do kościoła z nimi. Koledzy na nas czekają.

– Koledzy? Ciekawe określenie współników w zdradzie! – warknął Bastian, wciąż z ostrzem na gardle.

Lore ledwie rozpoznawała dwóch widzianych w dniu wycieku mnichów, którzy właśnie poderwali go na nogi. Zaskakująco dążyli do siłowego obchodzenia się z księciem.

Stojący obok Gabriel wzdrygnął się na słowa Bastiana. Ten zauważył to i posłał mu wściekłe spojrzenie. Na twarzy księcia malowała się szpetna mieszanka gniewu i pogardy wobec zdrajcy.

– No i zobacz, Remaut, ludzie jednak mądrze gadają – wycedził. – Kiedy ktoś sam pokazuje, kim jest, lepiej od razu wierzyć. A ja uparłem się, żeby dać ci kredyt zaufania. Dureń ze mnie.

Przestrzeń wokół Gabriela zdawała się aż wibrować od wysiłku, jaki musiał sobie zadać, by zachować spokój. Bez słowa zacisnął u boków palce w pięści.

– Bastian ma rację – odezwała się nagle Lore. Spojrzenia wszystkich natychmiast powędrowały w jej stronę. – Zdrada rzeczywiście przychodzi ci łatwo, księżę Remaut – dodała, nie patrząc ani na mnicha, ani na księcia. Jej wzrok utkwiony był w smudze światła rzucanej przez wschodzące za murem ogrodu słońce.

Ubodła swoimi słowami Gabriela. Chciała, by tak się stało. A jednak – widząc, jak mnich zwiesza lekko ramiona i odwraca twarz, odgradzając się od niej tą koszmarną przepaską na oku – poczuła, że żołądek zawiązuje jej się w supeł.

– Rzecz jest bardziej złożona, niż wydaje się tobie i mojemu bratankowi – odezwał się Anton, patrząc na Lore. Padające z za jego pleców światło wschodzącego słońca rzucało na okaleczoną część jego twarzy brudny cień. – Tak to zresztą zwykle bywa, gdy idzie o zdradę wobec człowieka czy kraju. Ale wszystko w swoim czasie. – Najwyższy kapłan ruszył w stronę furty. – Pomówimy w kościele. Jest o czym.

*

Mnisi odeskortowali Lore i Bastiana do obszernego pomieszczenia, w którym nie było nic poza długim stołem, kilkoma krzesłami i gobelinem z trzymającym się za otwartą pierś Krwawym Bogiem. Miejsce to przypominało Lore pokój, w którym zamknięto ją po tym, jak wskrzesiła Konika. Tym razem jednak skrepowano ją w bardziej wymyślny sposób. Siedzącego obok Bastiana zresztą również. Ich ręce skuto, a żelazne okowy przywiązano do osadzonych w podłodze obręczy. Te ostatnie skojarzyły się Lore z żelaznymi belkami w pałacowej podłodze. A myślała, że tu, w kościele, nikt nie potrzebuje tego typu symbolicznego przypomnienia o roli duchowieństwa.

Kajdany założył im na nadgarstki sam Malcolm.

– Dlaczego to robisz? – zwróciła się do niego. – Myślałam, że chcesz, żeby coś się w końcu zmieniło. Myślałam, że jesteś po naszej stronie.

Wbrew jej intencjom łatwo dało się z jej tonu wyczytać, że czuje się zraniona.

Bibliotekarz nie odpowiedział od razu. Gdy w końcu się odezwał, jego słowa poprzedziło westchnienie.

– Anton wszystko wam wyjaśni – powiedział. – Zawiadomił go Gabriel, a potem obaj przyszli do mnie. Po tym, co od nich usłyszałem, uznałem, że musimy działać razem.

Lore posłała mu gniewne spojrzenie. W tej samej chwili inny mnich krępował obok ręce Bastiana. Ten milczał ze wzrokiem utkwionym w podłogę.

Minęła godzina, a Bastian wciąż nie odezwał się ani słowem. Lore zdążyła w tym czasie zauważyć, że każde z nich zareagowało na zdradę nieco inaczej. Ona była jak skuta lodem, jej twarz nie zdradzała żadnych emocji. Bastian natomiast raz wyglądał, jakby miał gołymi rękoma wyrwać metalowe obręcze z posadzki, a raz jak ktoś, kto stracił właśnie serdecznego przyjaciela.

W jakimś sensie tak się zresztą stało – mimo że nienazwanej więzi łączącej ją, księcia i Gabriela nie sposób było raczej nazwać przyjaźnią. Było to coś innego, pierwotnego – zarazem głębszego od przyjaźni i mniej od niej złożonego. Zdrada Gabriela bolała, choć jednocześnie wydawała się nieunikniona.

– Współczuję – odezwał się w końcu Bastian ściszoneg głosem.

Lore zmarszczyła brwi.

– Czego?

– Skoro mnie tak zabolęła jego zdrada – wyjaśnił, wpatrując się w swoje skrępowane ręce – to aż trudno mi sobie wyobrazić, czym musi być dla ciebie. Zależy ci przecież na nim.

– Nie zależy mi na nim. Wcale... – Jej słowa zabrzmiały dziwnie chropawo, ani jak prawda, ani jak kłamstwo. Jakby, niedopowiedziane, zawisły w powietrzu.

Drzwi stanęły nagle otworem. Lore i Bastian oboje unieśli wzrok.

Tak jak się spodziewali, ujrzeli przed sobą Antona, Gabriela i Malcolma. Bibliotekarz zerknął ukradkowo w stronę Lore. Widać po nim było zaniepokojenie.

Mnisi rozstąpili się, a wtedy okazało się, że towarzyszy im czwarta postać.

Severin Bellegarde.

– No proszę – odezwał się Bastian, opierając się na krześle przy wtórze brzęku kajdan. – Nasze domysły były trafne. Powiedz mi tylko, Severinie, co ci po wojnie?

Chcesz się na niej dorobić? I tak masz już więcej domów niż krewnych, a sądząc po tym, jak się nosisz, nie będziesz wydawać pieniędzy na modne stroje...

– Nikt nie chce wojny, Bastianie – odparł Anton. Swoją powłóczytą szatę zamienił w ciemny przylegający strój, który miał na sobie w dniu wycieku. Gabriel i Malcolm ubrani byli podobnie. Najwyższy kapłan usiadł przy stole i skrzyżował ręce. Pomimo siwizny wyglądał nagle na znacznie młodszego niż w rzeczywistości. – Przeciwnie. Staramy się zapobiec jej wybuchowi.

„My” miało najwyraźniej oznaczać jego i Bellegarde’a.

Bastian zerknął na Lore. Ona i księżę w jednej chwili uświadomili sobie tę samą rzecz. Mnisi zamknęli za sobą i Bellegarde’em drzwi, a więc nikt więcej nie miał dołączyć do spotkania.

August nie został na nie zaproszony.

Bellegarde dostrzegł iskrę zrozumienia w ich oczach. Cierpki wyraz jego twarzy ustąpił lekkiemu uśmiechowi.

– Jedynym, który chce wojny, jest August – odezwał się. – A my bynajmniej nie popieramy jego dążeń.

Anton poruszył się za stołem i opierając łokcie na kolanach, spojrzał na Bastiana.

– Mój brat sądzi, że jesteśmy po tej samej stronie, ale się myli. Nie jest tak już od dłuższego czasu. Przykro mi, bratanku.

– Niby z jakiego powodu? – Bastian patrzył na niego z zadartym podbródkiem, nie dając po sobie poznać emocji. Znów przywdział maskę aroganckiego królewicza. – Trochę za późno na żale.

– Ubolewam nad tym – zaczął spokojnie Anton, niezrażony jego reakcją – że choroba i zazdrość uczyniły z twego ojca złego człowieka. Przykro mi, że padłeś tego ofiarą. – Najwyższy kapłan zawiesił na chwilę głos. – Współczuję ci, że ojciec chce twojej śmierci, choć niczym nie zasłużyłeś sobie na jego gniew.

Żuchwa Bastiana ledwie zauważalnie drgnęła, a cichy brzęk kajdan zdradził, że jego skute ręce napięły się na mgnienie oka. Przez twarz przebiegł mu cień smutku. Jego ojciec umierał, a zarazem wciąż chciał jego śmierci. Jedno i drugie było bolesne.

Chwila zaskakującej, niepokojącej nieco czułości dobiegła końca, gdy Anton zwrócił się do Lore.

– Co się stało, kiedy próbowałaś wskrzesić ciało w ukrytej komnacie?

Lore uchyliła usta i miała już odruchowo skłamać. Zaprzeczyć, jakoby wiedziała cokolwiek o jakiejś ukrytej komnacie czy wskrzeszonym ciele. Darowała sobie jednak.

Czas, gdy Anton mógłby nabrać się na taką odpowiedź, dawno minął.

Zwiesiła głowę. Kajdany u jej rąk wydały cichy brzęk. Przez twarz patrzącego na nią spod drzwi Gabriela przebiegł bolesny grymas. Lore przypomniała sobie, jak pierwszego dnia ich znajomości poluzował jej więzy. Chciał, by było jej możliwie wygodnie.

Odepchnęła od siebie to wspomnienie.

– Wiemy, że po to właśnie tam poszłaś – kontynuował Anton nieco znużonym tonem. – I dlatego cię nie powstrzymaliśmy. Dlatego zostawiliśmy liścik i poleciliśmy Danielle, by powiedziała ci, co dzieje się w dokach. Jej rodzina również zdaje sobie sprawę, jakim zagrożeniem stał się August. To ludzie lojalni Kościołowi ponad wierność królowi. Jak my, oddanie Bogom stawiają ponad oddanie ludziom. Lore, musimy wiedzieć, co tam się stało.

A więc kartka pozostawiona przez Bellegarde'a była trikiem. Lore dała się podejść jak dziecko.

Stojący za Antonem Gabriel zamknął zdrowe oko i lekko odwrócił twarz. Czyżby wiedział już wtedy? Czy od początku był współwykonawcą planu Antona?

Wszyscy pozostali spojrzeli teraz na Lore z lekką dezorientacją, ale i wyczekiwaniem – mnisi, Bellegarde, a nawet Bastian.

– Nie udało mi się – odezwała się w końcu, kurcząc się w sobie. Krępowano ją mówienie o swojej porażce. – Nie usłyszałam nic nowego.

– Nic nowego? – powtórzył Anton. – Czyli ciało powiedziało to, co poprzednie?

Skinęła głową.

Najwyższy kapłan i Bellegarde wymienili spojrzenia tak szybkie, że mogło się to Lore przywidzieć.

– Co jeszcze się wydarzyło? – spytał Anton.

– Najpierw musiałam uporać się z tym całym mechanizmem – odparła Lore, nieco nadąsana. Skoro kapłan zwracał się do niej jak do dziecka, dlaczego miała sama nie wejść w rolę?

Na ustach Antona pojawił się delikatny uśmiech.

– Racja. Nie była to pierwsza lepsza rzecz. By tak ukształtować Mortem, trzeba niemałej wiedzy i wiele praktyki. – Tu skinął głową w stronę Malcolma. – To szczęście, że z ksiąg w naszych bibliotekach można się tyle dowiedzieć.

Malcolm zacisnął wargi i nie odpowiedział ani słowem.

– Co stało się potem? – ponowił pytanie Anton.

– Wskrzesiłam jedno ciało... – odparła Lore, celowo nie wspominając o znakach na ręce zmarłej – a tuż po tym nagle podniosły się wszystkie. Cała sala.

– Podniosły się? – spytał z ekscytacją Bellegarde. – Chcesz powiedzieć, że się poruszały?

Przez twarz stojącego za nim Malcolma przebiegł grymas. Bibliotekarz szybko jednak zapanował nad sobą. Lore skinęła spokojnie głową, choć dziwnie entuzjastyczna reakcja Severina wzbudziła w niej podobny niesmak jak w Malcolmie.

– Wszystkie zaczęły się poruszać jednocześnie – powiedziała. – Zeszły z katafalków i zaczęły iść w naszą stronę.

– Do tego zaczęły wrzeszczeć – wtrącił Bastian. – Nie zapominaj o tym.

Wrzaski wskrzeszonych ciał zdawały się jednak nie interesować Bellegarde'a, który ignorując słowa księcia, zwrócił się w stronę Antona.

– To znaczy, że związ działa – powiedział. – Teraz trzeba tylko...

Kapłan przerwał mu gestem dłoni. Bellegarde natychmiast umilkł.

– Jaki znów związ? – warknęła Lore. – O czym on mówi?

Najwyższy kapłan westchnął.

– Powiązaliśmy ze sobą ciała – odparł cicho. – Ja sporządziłem splot, a Gabriel i Malcolm skierowali na nie Mortem. Po latach nauki wykorzystaliśmy swoją wiedzę o własnościach magii.

Instynkt wziął górę. Lore, choć obiecywała sobie tego nie robić, natychmiast spojrzała na Gabriela. Dopadło ją wrażenie ziejącej wewnętrznej pustki – poczucie bycia zdradzoną odżyło w niej w mgnieniu oka.

Gabriel zwiesił ramiona. Jego twarz wciąż zwrócona była w inną stronę, więc Lore nie miała szans dostrzec jej wyrazu.

Gdy Anton zauważył jej reakcję, w jego oku pojawił się błysk znamionujący wyrachowanie.

– Powiązaliśmy ze sobą ciała w taki sposób, by to, co stanie się z jednym, działało się również z pozostałymi – kontynuował. – Również po tym, jak ponownie zostanie z nich wyprowadzony Mortem. Miał to być eksperyment. Chcieliśmy się przekonać, czy przebudzenie jednego ciała wystarczy, by przebudziły się pozostałe. – Kapłan skinął dłonią w stronę Lore. – Wskrzeszenia musiał dokonać potężny nekromanta, a dodatkowo moc tej osoby musiała zostać dwójako wzmożona. Po pierwsze, bliskością dwudziestych czwartych urodzin i czasu święceń, po drugie, obecnością Spiritum. – Tu Anton wskazał na Bastiana. – Musieliśmy sprawić, że znajdziecie się

blisko siebie, aby wasze moce mogły wzajemnie się napędzać. Tak oto zastosowaliśmy w praktyce prawo przeciwieństw.

– Jakie Spiritum! – syknął Bastian. – To wszystko pieprzona bajka. Nie ma go w sobie żaden z nas.

– Apolliusz ofiarował swój dar wybrańcowi – odparł Anton łagodnym tonem. – Tym wybrańcem jesteś ty, Bastianie – dodał, unosząc palce i dotykając nimi okaleczonej strony swojej twarzy. Lore dostrzegła w tym momencie, że kapłan ma blizny również na dłoni. Te były świeże, wciąż czerwone i zaognione. – Wiem to od samego Boga, bratanku. On sam powiedział mi, że jesteś tym Arceneaux, któremu podarował swą moc. On też powiedział mi, że po ingresie winni ci towarzyszyć Gabriel Remaut i dziecko katakumb. Razem szykujecie drogę, którą powróci.

– Co takiego? – Głos Gabriela zabrzmiał słabo i cicho. Zdumiony mnich szeroko otworzył oko. Oniemiały, uchylił też usta, zaraz jednak je zamknął.

– Oto coś, na co czekaliśmy latami – szepnął Anton. – Echo czasów. Apolliusz sięga ku nam, byśmy mogli dostąpić komunii z nim. Witają go księżę Arceneaux, dziecko zdrady i dziecko nocnej siostry zrodzone z mortemicznym darem. – Kapłan rozłożył ręce, uśmiechając się zdrową stroną twarzy. – Od czasów Gerarda Arceneaux nikt nie słyszał tak wyraźnie głosu Apolliusza.

Zszokowany Gabriel pobladł i stęzał na całym ciele. Potem pokręcił głową, jakby liczył na to, że słowa Antona ułożą się w niej w ciąg, który będzie dla niego zrozumiały. Rzecz jasna, spojrzął też na Lore. Usłyszał przecież właśnie, że ma przed sobą nieczystą istotę.

– Dziecko siostry nocy... – powtórzył, wpatrzony w nią z przerażeniem. – O czym on mówi?

Lore nie wiedziała, co odpowiedzieć. Patrząc na Gabriela, natychmiast przypomniała sobie wyraźnie wszystkie powody, dla których wcześniej niczego mu nie zdradziła. Spojrzenie mnicha było pełne wstrętu. Choć stali od siebie o dobrych kilka metrów, Gabriel natychmiast cofnął się o kolejny krok. Anton powiedział właśnie, że wszyscy troje zostali wykorzystani. Posłużono się nimi w imię wizji, której w całości aż dotąd nie poznali. Gabriela ubodło jednak nie to, że się nim wysługiwano, ale wieść o nocnej siostrze i o tym, że Lore posiada swój dar od urodzenia.

Bastian zauważył natychmiast jego reakcję i przymrużył oczy, uśmiechając się okrutnie.

– Rozumiesz już, dlaczego ci nie powiedziała, Remaut?

Gabriel ciężko przełknął ślinę.

– Powiedziałaś *Bastianowi*? – spytał.

Lore wciąż nie potrafiła wydusić z siebie słowa. Książę zrobił to za nią.

– Tak – odparł, opierając się wygodnie. Nogi krzesła zatrzeszczały, kajdany znów wydały z siebie cichy brzęk. – Powiedziała *Bastianowi*.

Malcolm, Bellegarde i Anton milczeli. Pozwolili, by cisza spowiła pomieszczenie jak zarzucony na ciało całun. Twarz najwyższego kapłana nie zdradzała najmniejszych emocji. Choć przed momentem zadał Gabrielowi potężny cios, wydawał się tym ani trochę nieporuszony. Kilkoma zdaniem unicestwił wszystko, co Remaut – jak mu się zdawało – wiedział o ich relacji, a nie drgnęła mu nawet powieka.

Wizje, proroctwa, zamachy stanu i przyszłe wojny niewiele jednak teraz obchodziły Lore. Myśl o nich bledła wobec świadomości, że uczestniczyli w masowym mordzie. Wbrew temu, w co dotąd wierzyła, ani przez moment nie mieli przysłużyć się sprawiedliwości, a teraz dopiero dotarło do niej, jak bardzo pragnęła przyczynić się do zmiany na lepsze.

– Więc to ty ich zabiłeś? – zwróciła się do Antona.

Czy to on pozbawił życia ludzi w podziemiach? Chłopca w krypcie? A wszystko dlatego, że zachciało mu się eksperymentu? Dlatego że chciał się przekonać, ile zdziała za pomocą magii martwej bogini i dziewczyny, którą tą straszną magią naznaczono? Lore wiedziała, że dla Kościoła i Cytadeli ona sama i wszyscy zmarli w katakumbach byli nieistotni. Że widziano w nich ledwie trybiki, które w każdej chwili można poświęcić. Myśl o tym napawała ją wstrętem. Jak żadna inna w całym jej życiu.

– To ty wymordowałeś ludzi w wioskach? – ponowiła pytanie.

– Nie, Lore – odparł Anton z politowaniem. – Nie wymordowałem.

Wciąż nie wiedzieli więc nic. Po wszystkim, co przeszli i usłyszeli, nie byli ani trochę bliżej poznania odpowiedzi.

– To, co zabiło tych ludzi, jest niczym w porównaniu z planami, jakie ma wobec nich August – ciągnął po chwili najwyższy kapłan. – Mój brat zamierza stworzyć z nich armię, której nie sposób będzie pokonać. – Anton spojrzał wymownie na Lore.

– Teraz władzę nad tą armią masz ty. To dlatego sprowadziliśmy cię do katakumb

dziś, przed balem z okazji zaćmienia. Chcieliśmy, żebyś zawładnęła umarłymi, zanim zdąży to zrobić August.

Rozdział 37

Najbardziej gorzki lek to zwarzona miłość.

Przysłowie caldieńskie

Nie – powiedziała Lore.

Nawet Gabriel, wciąż oniemiały po poznaniu jej przeszłości i wizji Antona, wydawał się z niej niemal dumny. Niemal.

– Nie? – spytał łagodnym tonem Anton.

– Nie zrobię tego. Nie wskreszę ich. – Lore zerknęła na Bellegarde’a, a potem na Malcolma, licząc na choćby cień poparcia, na najmniejszy znak, że jej sprzeciw coś dla nich znaczy. – Nie wskreszę ich i nie będę nimi kierować. Nie zrobię już nic ani dla Augusta, ani dla ciebie.

Najwyższy kapłan westchnął.

– Obawiam się, moja droga – powiedział cicho – że co miało się stać, już się stało.

Wpadające przez okno słońce poranka ogrzewało mocno kark Lore. Jakby miało wypalić na nim ślad na wzór blizny na jej dłoni.

– Jak to?

Anton znów westchnął, jakby cała ta sytuacja była dla niego bolesna. Następnie uniósł brew jak nauczyciel mobilizujący do odpowiedzi oporną uczennicę. Lore nie chciała jednak zachęt ani poszturchiwania. Chciała w końcu poznać odpowiedź!

– O co ci chodzi? Powiedz wreszcie, do jasnej cholery...

– Lore – przerwał jej ochrypy głos Gabriela.

Bastian posłał mu mordercze spojrzenie, ale ten zupełnie się tym nie przejął. Patrzył teraz tylko na Lore.

– Pamiętasz, co stało się z Konikiem? – spytał. – Pamiętasz, po co wróciliśmy do krypty tej nocy, kiedy czekał tam Bastian?

Lore ściągnęła brwi. Nie rozumiała do końca zwrotu, jaki dokonał się w rozmowie.

– Oczywiście – odpowiedziała po chwili. – Wskrzesiłam go, a potem...

Pozostał wskrzeszony. To samo stało się później z chłopcem w krypcie.

Anton powiedział, że ciała zmarłych zostały ze sobą powiązane – co działało się z jednym, działało się i z pozostałymi... Lore poderwała się z krzesła, ale zaraz została

boleśnie sprowadzona na siedzisko przez naprężone kajdany.

– Mogę to odwrócić! – powiedziała. – Kiedyś już mi się udało.

– Nie tym razem – odparł łagodnie Anton. – To setki ciał. Nawet ty nie dasz rady przepuścić przez siebie takiej ilości Mortemu.

– Musisz pozwolić mi spróbować! – Lore nie zamierzała wybuchnąć płaczem przy mnichach i Bastianie, ale powstrzymywanie się przychodziło jej z trudem. Była wściekła i czuła się przytłoczona sytuacją, a właśnie w takich momentach najtrudniej było jej zapanować nad łzami. Chciało jej się płakać na samą myśl, że tuż pod ich stopami, w katakumbach, tkwią setki krzyczących ciał, które jeszcze niedawno były zwyczajnymi ludźmi...

– Więc to po to nas tu sprowadziłeś. – Spokojny, chłodny ton Bastiana kontrastował z podszytym paniką głosem Lore. Spojrzenie księcia utkwione było w Gabrielu. – To dlatego wróciłeś i nam pomogłeś. Lore miała wskrzesić zmarłych, żeby nie było już odwrotu.

Gabriel nie odpowiedział. Nie musiał. Wyraz jego twarzy zdradzał, że oskarżycielskie słowa księcia były prawdziwe. Bastian oparł się na krzesło tak swobodnie, jakby siedział na złotym tronie, a kajdany na jego rękach były jedynie ozdobą.

– Dlaczego mielibyśmy wierzyć, że nie wysługujecie się znów mojemu ojcu? – rzucił po chwili. – Posłużyliście się właśnie nami, żeby tchnąć życie w jego nieumarłą armię.

– August nie ma władzy nad tą armią. Oto dlaczego – odrzekł Anton. – I jeśli nam się powiedzie, nie będzie jej mieć nigdy.

– I tak nigdy by jej nie miał – wtrąciła Lore. – Nie włada przecież Mortemem.

– Na razie – mruknął Anton.

Z oddali dało się słyszeć bicie dzwonów. Gdzieś zaczynało się nabożeństwo pierwszego dnia.

Gabriel stał nieruchomo z kamienną twarzą. Lore zamknęła oczy i odwróciła głowę. Nie chciała patrzeć na Remauta, ale jej spojrzenie zdawało się samo raz po raz wędrować w jego stronę. Jakby przyciągała je jakaś nieznana siła ciężenia.

– Dlaczego właściwie uznaliście, że trzeba pokrzyżować plany mojego ojca? – spytał Bastian. – Od lat rządził jak despota i doił kraj do ostatniego grosza. Zwykli ludzie z roku na rok uboželi, za to możni w Cytadeli się bogacili. Wy *dwaj* też.

Przestał wam odpowiadać, bo zachciało mu się wojny? Baliście się, że na niej straciecie?

– August za nic ma Apolliusza. – Wyraz twarzy Bellegarde’a wydawał się mocno podszyty drwiną. – Usiłowałyby zmienić swoje miejsce w historii. Uzurpowałyby sobie pozycję, która mu się nie należy, żeby odmienić swój los. Wizja najwyższego kapłana była jasna: nie wolno dopuścić, by August poszedł na wojnę z Kiryteą. Podkopałoby to ład, jaki znamy.

Bellegarde nie odpowiedział tak naprawdę na pytanie Bastiana, ale i tak wyraził się dostatecznie jasno. Gra nie szła tu o dobro Auverrainne, ale o władzę. I o to, w jaki sposób religia służy sięganiu po nią.

Szyderczy uśmiech Bastiana był znacznie bardziej oczywisty.

– Wszystko to nie zmienia faktu, że nie mam żadnej magicznej mocy – powiedział książe. – Nie jestem żadnym wybrańcem.

– Magia lgnie do ciebie jak inkaust do papieru. – Ton Antona był niemal nabożny. Kapłan patrzył na swojego bratanka tak, jakby jego widok był dla niego kojący. – Czy sam w to wierzysz, czy nie, Bastianie, jesteś wybrańcem, na którego czekaliśmy. Zostałeś pobłogosławiony przez Apolliusza i przepraszam, że nie uświadomiłem sobie tego wcześniej.

Bastian wzdrygnął się na krześle. Chyba chętnie odsunąłby się dalej od stryja, gdyby tylko nie uniemożliwiały mu tego kajdany.

Lore tymczasem rozboleła głowa. Myślała o poprzedniej nocy – wciąż miała w oczach widok Bastiana stojącego w atrium pośród trujących roślin, jego dłoni spowitych złotawą poświatą.

Książę odwrócił nagle wzrok, jakby i on wspominał tę samą scenę. Zaciskając szczękę, wziął długi, urywany wdech.

– Kto jeszcze o tym wie?

– Każdy, o ile tylko wierzy w zapisy rozpraw.

– Wiesz przecież, o czym mówię, starcze. – Ton Bastiana zabrzmiał jadowniczo. Było w nim coś ocierającego się o przemoc.

Anton wyczuł to natychmiast i przyjrzał się z namysłem bratankowi.

– Tylko twój ojciec i osoby w tym pokoju – powiedział z posepnym wyrazem twarzy. – To zresztą kolejny z powodów, dla których August chce twojej śmierci. Uważa, że gdy się ciebie pozbędzie, zdoła zająć twoje miejsce jako wybrańiec Apolliusza.

– Transsubstancjacja – mruknął pod nosem Malcolm. – Gdy duch przeważa nad tym, co cielesne...

Najwyższy kapłan skinął głową.

– Jeśli zdobędzie władzę nad Spiritum, może sięgnąć też po moc Lore. A wtedy władałby życiem i śmiercią jak dwoma mieczami.

– To niemożliwe. – Lore pokręciła głową. – Mortem i Spiritum znoszą się wzajemnie.

– Przeciwnie. Jedno wzmacnia obecność drugiego – odrzekł Anton, wodząc spojrzeniem zdrowego oka między nią a Bastianem. – Mogą co prawda współistnieć tylko w określonych okolicznościach, ale jest to możliwe. Choćby podczas zaćmienia.

A Bastian w katakumbach przestrzegał Lore, by nie szła na bal – wiedziony jakoby tylko przecuciem. Wszyscy zdawali się tu mieć pojęcie o rzeczach, o których wiedzieć nie powinni. Kolejne elementy ich wiedzy wskakiwały w odpowiednie luki jak na zamówienie.

– Więc od początku za wszystkim stałeś ty... – Widzenie Lore stało się nieostre. Utrzymująca kajdany metalowa obręcz w posadzce ukazała jej się jako plama szarości. – Obserwowałeś mnie, odkąd wyszłam z katakumb. Urządziłeś nalot, żeby mnie zdemaskować, ściągnąłeś mnie tutaj, a potem podsuwałeś mi poszlaki, tak żebym wskrzesiła tych ludzi. Po to, żeby ziszczały się kolejne elementy twojej wizji. Augustem też udawało ci się sterować, póki nie zachciało mu się wojny.

Anton skinął głową bez cienia zażenowania.

Jakże wszyscy tutaj przywykli do bycia wykorzystywanymi.

– A ty? – Gdy Lore spojrzała na Gabriela, wciąż nie widziała ostro. Tym razem od leż. Rysowała się przed nią jedynie ciemna sylwetka podkreślona czerwienią i złotem. – Towarzystwo mi? Przyjaźń ze mną? – Ugryzła się w język, nim zdążyła wspomnieć o czymś więcej. – Czy to wszystko była tylko gra?

– Gabriel wiedział tyle samo co ty, nic więcej – odpowiedział za mnicha Anton. – Gdy przyszedł do mnie wczoraj i powiedział mi o twoich zamiarach, liczył na to, że cię powstrzymam. Nie chciał, żebyś krążyła po katakumbach.

Lore spuściła wzrok i bardzo, bardzo starannie przyjrzała się podłodze między swoimi stopami.

– Powiedziałem mu wtedy, co musi się wydarzyć i do czego od dawna dążymy – kontynuował Anton. – Należało wskrzesić zmarłych, a moc mojego bratanka musiała

zostać spotęgowana za sprawą twojej, tak aby mógł podjąć się należnej mu roli. Teraz pozostaje nam jeszcze niestety kwestia zaćmienia. I twojego ingresu, Lore.

– Mojego ingresu?

– Twoja władza nad Mortemem osiągnie najwyższy poziom w dniu twoich dwudziestych czwartych urodzin. Te zaś pokrywają się z zaćmieniem. – Anton skrzyżował ręce na piersi. – August zamierza podczas balu zabić was oboje i przejąć waszą moc.

– Ale jak? – Lore skierowała pytanie w podłogę. Głowa zaczęła niesamowicie jej ciążyć. – Jakim sposobem miałyby przejąć naszą moc?

Wyraz zdrowej części twarzy najwyższego kapłana był niemal współczujący.

– Chce zabić was w momencie całkowitego zaćmienia. Kiedy księżyc przysłania słońce, da się jednocześnie władać życiem i śmiercią. – Oko Antona rozbłysło. – To moment namaszczenia wybrańców: naczyń mocy.

– Nie – powiedzieli jednocześnie Bastian i Gabriel. Ich głosy duetem odbiły się od marmurowych ścian.

Lore podniosła głowę, by zobaczyć, jak dwaj mężczyźni patrzą na siebie z nieskrywaną nienawiścią. Skomplikowane wcześniej poczucie więzi przeradzało się teraz w ostrą jak brzytwa niechęć.

– Nie może zabić Lore! – Gabriel oderwał wzrok od księcia i skierował spojrzenie na Antona. – Mówiłeś przecież...

– Zachowaj spokój, mój synu. – Słowa kapłana miały tonować emocje, ale jego głos zabrzmiał ostro. Gabriel aż się wzdrygnął. – Nic jej nie będzie grozić.

– Bezpieczniej byłoby ukryć ją do czasu, aż zaćmienie się skończy – nie odpuszczał Gabriel. Zadarty podbródek zdradzał jego determinację. Tym razem nie zamierzał dać się spłoszyć. – Niech zostanie tutaj albo spędzi kilka dni u swoich matek.

Na temat bezpieczeństwa Bastiana Gabriel nawet się nie zająknął. Uwagę Lore najbardziej zwróciło jednak to, że nazwał Mari i Val jej matkami. Zabrzmiało to niemal jak rozgrzeszenie – zwłaszcza że mnich znał już jej prawdziwe pochodzenie.

Lecz Anton natychmiast pokręcił głową.

– To niestety wykluczone – odparł. – Musimy działać dalej tak, jakbyśmy nic nie wiedzieli o jego zamiarach. W przeciwnym razie nabierze podejrzeń.

– Mamy ot tak, iść na ten cholerny bal? I liczyć na to, że w porę powstrzymasz mojego ojca przed zabiciem nas i wszczęciem wojny? – Książę zmarszczył brwi.

W jego głosie słyhać było wyraźny sceptycyzm. Cały czas patrzył przy tym nie na Antona, ale na Lore.

– Bastianie, nie masz pojęcia, ile już razy udawało mi się go powstrzymać. Nie wiesz, przed jak wieloma rzeczami zdołałem cię uchronić.

Książę Słońca oderwał teraz wzrok od Lore i spojrzał na swego stryja. Po raz pierwszy od początku rozmowy wydawał się całkowicie zbity z tropu.

– Zatem do rzeczy – powiedział najwyższy kapłan, jakby poprzedni wątek uznał za wyczerpany. – Do balu pozostały dwa dni. Sugeruję, żebyście wykorzystali ten czas na zbieranie sił. To będzie długa noc. Ty, Lore, nie opuszczaj swojej kwatery. Gabriel będzie trzymać przy tobie straż.

Miała więc być więźniarką. Gabriel miał tak naprawdę dopilnować, by nie uciekła. Niepotrzebnie. Lore – choć żałowała, że nie jest inaczej – nie miałyby nawet sił, by podjąć taką próbę. Ostatnich kilka dni do szczętu ją wydrenowało. Czuła się, jakby ją wypatroszono.

– Ty, Bastianie – Anton zwrócił się w stronę bratanka – zostań najlepiej tutaj.

– No proszę. – Książę zaśmiał się szorstko. – Mam być więźniem?

– Myśl o tym jako o gościnie, nie o uwięzieniu.

Bastian nie odpowiedział, ale w jego oczach tliły się chłód i chęć zemsty.

– Zapewnię ci bezpieczeństwo, bratanku – powiedział Anton niemal z czcią. – W swoim czasie wszystko zostanie ci wyjawione.

Lore nie wiedziała, co właściwie ma to znaczyć. Bastian – sądząc po jego wyrazie twarzy – również.

Gabriel rozkuł kajdany na jej rękach. Bez słowa pozwoliła mu wyprowadzić się na korytarz. Gdy się obejrzała, zobaczyła za oknem wiszące już wysoko słońce. Wpadające do pokoju promienie oświetlały Bastiana od tyłu i spowijały kontury jego skrytej w cieniu twarzy złotym, przypominającym blaskiem aureolę.

Rozdział 38

Czasem da się dostrzec, że nadciąga miłość.

Jeśli zmieni kurs, bądźmy jej wdzięczni.

Fragment twórczości Maryi Addou, malfourańskiej poetki

Przez całą drogę powrotną do kwatery oboje milczeli. Lore szła przodem, Gabriel trzymał się za nią jak jednooki cień i pilnował, by przypadkiem nie zboczyła z trasy. Dziewczyna nie miała już na sobie kajdan, jednak to teraz – po raz pierwszy – czuła się w Cytadeli więźniem.

Drzwi do ich apartamentu były zamknięte. Sięgnęła po klucz i zdążyła do połowy wsunąć go do zamka, ale wtedy Gabriel podszedł do niej i wstrzymał jej dłoń.

– Nie będzie pasować – powiedział cicho. – Anton wymienił zamek.

Lore spojrzała na niego bez słowa. Nie było tu nic do dodania.

Gabriel przełknął ślinę, po czym sięgnął do kieszeni po inny klucz i otworzywszy drzwi, przepuścił Lore przodem.

Dziwnie było znaleźć się z powrotem w tych pomieszczeniach. Lore przestała czuć się tu komfortowo, a przytłaczało ją poczucie obcości i dyskomfortu. Nasilała je dodatkowo świadomość, że Anton zeszłej nocy polecił wymienić zamki. Do stu piekieł, ktoś prawdopodobnie obserwował ją już w chwili, gdy razem z Bastianem opuszczała apartament.

A wszystko dlatego, że Gabriel zawiadomił Antona.

Lore czuła swędzenie nadgarstków wywołane przez żelazne kajdany. Próbując się go pozbyć, raz po raz pocierała skórę.

Nagle poczuła palce Gabriela. Mnich dotknął miejsca, które przed momentem drapała.

– Pokaleczysz się – powiedział cicho.

Gdy Lore zwierzała się Gabrielowi i Bastianowi, że nie potrafi się bić, mówiła szczerze. Teraz jednak górę wzięła nad nią instynkt. Wyszarpnęła nadgarstek z ręki Gabriela i spodem dłoni uderzyła go w ramię. Mnich zachwiał się lekko.

– Nie dotykaj mnie! – warknęła. – Masz mnie, kurwa, nie dotykać!

Zdrowe oko Gabriela zrobiło się wielkie. Mnich patrzył na nią zdumiony.

– Chciałem tylko, żebyś była bezpieczna – powiedział po chwili.

– I dlatego poszedłeś do człowieka, o którym wiedzieliśmy, że kłamie?

– On jest po naszej stronie! Wszystko już przecież słyszałaś. Wiesz, że Anton próbuje pokrzyżować plany Augusta!

– Za to ty tego nie wiedziałaś! – Lore znów podrapała skórę na nadgarstku. – Nie miałaś pojęcia, w co zamieszany jest Anton, a i tak do niego poszedłeś! To ślepy fart, że przez ciebie wszyscy troje nie zginęliśmy!

– Mogłem albo pójść do niego, albo patrzeć beczynnie, jak sama prosisz się w katakumbach o pewniejszą śmierć! – Gabriel w emocjach przeczesał palcami włosy, po czym odwrócił twarz. – Chciałem, żeby Anton was powstrzymał. *Oboje!* To było dla mnie znacznie ważniejsze niż rozmyślanie o politycznych gierkach...

– To nie jakieś tam gierki! Gdyby się okazało, że mieliśmy rację, a August i Anton są wciąż po tej samej stronie, Bastian mógł...

– Wybacz – przerwał jej Gabriel. – Zapomniałem, że na pierwszym miejscu zawsze musi być Bastian.

– Daruj sobie – syknęła Lore. – Oboje doskonale wiemy, co się wydarzyło. Przerosła cię myśl, że jeden raz mogłeś się co do czegoś mylić. *Bałeś się.*

Dłonie Gabriela drgnęły, niemal zwierając się w pięści. Nabyty instynkt kazał mu bronić człowieka, który zastąpił mu zamordowanego ojca.

– Po czyjejkolwiek stronie był Anton, wiedziałem, że będzie to słuszna strona.

Lore wybuchła wysokim, szorstkim śmiechem.

– Na bogów, Gabi! Jesteś jak skopany pies, który sam pcha się pod pański but. Anton przygarnął cię, bo uroił sobie, że tak każe mu zaginiony bóg. Nie kocha cię i nigdy cię nie kochał. Nie jest twoim ojcem i nie zmieniają tego kościelne tytuły, którymi będziesz go nazywał.

Gabriel postąpił o krok w jej stronę. Lore, wbrew sobie, natychmiast wspomniła tamtą noc w jej sypialni – jego wargi całujące jej kark i jego dłonie wędrujące po jej ciele. Zastanawiała się, czy i teraz spróbuje ją pocałować. Język ciała wydawał się dla nich obojga ucieczką. Jedyнным sposobem, w jaki potrafili się skomunikować, gdy nawarstwiony spór pomiędzy nimi stawał się nie do przejścia.

– Liczyło się dla mnie *twoje* bezpieczeństwo. – Mroczny i niski głos Gabriela zabrzmiał jak zwiastujący burzę grzmot. Mnich zatrzymał się jednak w pewnej odległości od Lore i nie próbował bardziej się zbliżyć. – I jeśli ceną za nie miałyby być to, że Bastian ucierpi, postąpiłbym tak samo.

Lore posłała mu wściekłe spojrzenie.

– Mam tego dość, do ciężkiej cholery. Nie zamierzam być dłużej liną, którą przeciągacie.

– Zwłaszcza że wybrałaś już zwycięzcę zawodów, prawda? – Gabriel zaśmiał się przykrym, wyciętym z radości śmiechem. Tak jak chwilę wcześniej Lore. – Dokonałaś wyboru, kiedy powiedziałaś mu o swoim pochodzeniu.

A więc sięgnął i po ten argument.

– Nie próbuj się tym zasłaniać – odparła Lore. – Jeszcze godzinę temu nie wiedziałeś, że z nim o tym rozmawiałam.

– Od jak dawna wiedział? – warknął Gabriel. – Ja spytałem cię pierwszego dnia! Chciałem wiedzieć, dzięki czemu władasz Mortemem, a ty mnie okłamałaś. Jego też okłamywałaś czy może Bastian był godny prawdy od samego początku?

Gabriel jak zwykle stał wyprostowany, lecz można było odnieść wrażenie, że jego ramiona są zwieszane. Robił, co mógł, by nie zdradzić swoich emocji wyrazem twarzy, ale te znajdowały ujście gdzie indziej.

– Powiedziałam mu tej nocy, kiedy pierwszy raz zabrał nas na walkę – odparła.

Gabriel zamknął oko, zaraz jednak otworzył je z powrotem.

– Już tak dawno?

Lore nie odpowiedziała.

Mnich skinął głową i uśmiechnął się gorzko.

– Więc naśmiewacie się ze mnie we dwoje już dłuższy czas.

– To nie tak. Powiedziałam mu tylko dlatego, że groził mi...

– Ty może ze mnie nie szydzisz, ale on na pewno – nie dał jej dokończyć Gabriel. – Może i ci groził. Ale oboje wiemy, że prędzej czy później i tak byś mu powiedziała. Ufałaś mu na tyle, żeby pójść z nim do tych cholernych katakumb. – Pokręcił głową i znów się zaśmiał. – I w tym mnie pobił. I w tym okazał się lepszy.

– Na Krwawiącego Boga! Nie wszystko kręci się wokół ciebie i twojego poczucia winy! – Lore potrząsnęła głową. – Wiesz, dlaczego nie powiedziałam ci o swoim dzieciństwie? Bo wiedziałam, jak zareagujesz. Wiedziałam, że zaczniesz we mnie widzieć potwora.

– Wcale mnie nie znasz – odrzekł Gabriel.

Miał rację. Jego, Lore i Bastiana łączyła jakaś przedziwna więź, ale nie oznaczało to wcale, że znali się na wylot. Szczególne relacje pomiędzy nimi tylko to uwydatniały.

– To prawda – odparła Lore znużonym tonem. – I może lepiej, żeby tak zostało.

Jakby miała w tej kwestii jakikolwiek wybór. Czuła się, jakby ruchome ściany zmierzały w ich stronę, by uwięzić pomiędzy sobą ich troje.

Na twarzy Gabriela nie pojawił się choćby cień emocji – ani złości, ani poczucia zranienia. Tylko nieprzenikniony bezruch.

– Odpocznij – rzucił mnich beznamiętnym głosem. – Będę na zewnątrz. – Po tych słowach odwrócił się i otworzył drzwi.

Lore obejrzała się za nim.

– Kiedy będę mogła wyjść? – spytała.

– Bal jest za dwa dni, o ósmej – odpowiedział Gabriel. – Będiesz mogła wyjść dziesięć minut przed jego rozpoczęciem.

Drzwi zamknęły się za nim i dał się słyszeć chrobot zamka.

*

Lore nie zamierzała zasypiać. Sen spadł na nią w sposób niekontrolowany. W jednej chwili siedziała skulona na krześle w ciasnym gabinecie, a w następnej zobaczyła przed sobą błękitny ocean, biały piasek i łagodne fale omywające jej odsłonięte kostki.

– Że co? – wyrwało jej się. W tym momencie uświadomiła sobie, że po raz pierwszy w tym nawracającym śnie jest w stanie się odezwać. Wydało jej się to istotne.

Podobnie uważała najwyraźniej siedząca obok niej postać. Lore nie patrzyła w jej stronę, ale wyczuła, że ta jakby tężała. Wydawała się bardziej cielesna niż wcześniej.

– Twój czas się zbliża. – Gładki, lecz pusto brzmiący głos raczej nie dobiegał z ludzkiego gardła. – Nie wiem, jak to wszystko dalej się potoczy, więc warto, żebyśmy wykorzystali ten moment.

Głos brzmiał, jakby starał się przekonać sam siebie.

Lore znów poczuła szarpnięcie na sercu – jakby ktoś próbował wyciągnąć je spod jej żeber. Znów dobiegła się z niej smuga czarnego dymu, która po chwili wzbiła się w niebo.

Spojrzenie w bok kosztowało Lore sporo wysiłku, ale udało jej się to zrobić. Siedząca obok postać również zwróciła twarz w jej stronę.

Był to Cedric. Jego nieskazitelna, nienaruszona twarz wydawała się osadzona na wraku ciała. Patrząc na nią, odsłonił w szerokim uśmiechu zakrwawione zęby.

Zaraz jednak postać zmieniła formę. W miejsce Cedrica pojawił się chłopiec z krypty. Uchylił usta, po czym zniknął, a zamiast niego pojawiła się twarz matki Lore. Ta przyjrzała się uważnie swojej córce. Miała gładkie jasne włosy i takie same orzechowe oczy jak Lore. Nachyliła się ku niej i ujęła dłonią jej policzek. Na jej ustach gościł łagodny uśmiech, którego Lore z dzieciństwa wcale sobie nie przypominała.

– Nie przestaje próbować – szepnęła, gładząc kciukiem twarz córki. Nie mówiła swoim prawdziwym głosem: i ona brzmiała nienaturalnie, w sposób wyzuty z czegokolwiek ludzkiego. – Nie rozumiem, że On nie może pozwolić Im na powrót. – Miraż matki Lore westchnął i przygładził dłonią włosy. – To nie twoja wina. Tym razem możemy chociaż wykorzystać to, co Ona z siebie da. Wkrótce będzie po wszystkim.

Szarpięcia w piersi Lore stały się nie do wytrzymania. Czuła, jakby jej ciało usiłowało wywrócić się wnętrzem na wierzch.

Krzyknęła. Dym łagodnymi meandrami wzbijał się dalej ku niebu.

*

– Kurwa... – Lore usiadła i odgarnęła z oczu przepocone, splątane włosy. W karku czuła palący ból, zasnęła bowiem z głową zwieszoną na podłokietnik krzesła. Zakłęła jeszcze raz, pocierając dłonią obolałe miejsce, po czym powlekła się do saloniku i zerknęła na zegar.

Poprzednią dobę spędziła w odosobnieniu. Przecierająca się ciemność za oknem podpowiadała, że zbliżał się świt jej dwudziestych czwartych urodzin. To dziś miało nastąpić zaćmienie.

Na stoliku za sofą czekała taca z jedzeniem. Proste przekąski: jabłka, pieczywo i ser. Specjalnie wybrano produkty, które mogły poleżeć dłużej. Lore ich dobór uznała za zawoalowaną wiadomość – nikt nie otworzy drzwi, póki nie przyjdzie pora, by odeskortować ją na bal. Bal, a więc także ingres i rytuał, który miał pozwolić Augustowi zawładnąć jej mocą. Rytuał przed którym miał ocalić ją Anton. Gdyby mu się nie udało, ona i Bastian mieli pożegnać się z życiem.

Niemal bawiło ją to, jak łatwo pogodziła się z tym, że księżę także posiada magiczną moc. Okazało się, że ona, Lore, stanowi jego mroczne lustrzane odbicie. On posiadał wrodzony dar władania magią życia, ona od urodzenia potrafiła przewodzić

śmierć. Doświadczyła jego mocy w katakumbach, gdy nie mogła uwolnić się od smug mroku, a zastępy zawodzących ciał pomału zmierzały w ich stronę. Bastian wyszarpnął z niej Mortem, a Lore poczuła natychmiast, jak jej ciało rozkwita życiem. Jej żyły zdawały się aż pęcznieć od krwi, a płuca od powietrza. W tamtym momencie Bastian władał jednocześnie życiem i śmiercią – dzierżył je obie w swoich dłoniach.

Lore posłużyła mu za piorunochron. Była ciemnością, dzięki której jego światło rozbłysło po ingresie jaśniej. Teraz zaś to dla niej zbliżał się czas święcenia.

Przebywając z Bastianem, a zarazem z każdym dniem, kiedy zbliżała się do dwudziestych czwartych urodzin, czuła, jak jej moc narasta. Teraz nastał dzień, który dla innych był okazją do radosnego świętowania. Dla niej mógł oznaczać śmierć z rąk Augusta.

Lore sięgnęła po kawałek sera i opadła płasko na sofę. Po jej twarzy bokiem spłynęła łza. Nie poczuła nawet, że ją uroniła, póki ta nie dotarła do jej ucha. Jej wilgotny dotyk był zaskakująco nieprzyjemny.

– Pierdol się, Gabi – rzuciła w powietrze, po cichu licząc na to, że mnich stoi za drzwiami i ją usłyszy. Część niej miała chęć podejść do klamki i szarpnąć za nią. Przekonać się, czy Remaut stróżuje po drugiej stronie i co by zrobił, gdyby spróbowała wyjść. Czy by ją związał? Ogłuszył? A może pocałował?

Każda z tych opcji wydawała się na równi prawdopodobna.

Myśl o Gabrielu sprawiła, że wspomniała znów Bastiana. Głowiła się, gdzie jest i czy Anton obszedł się z nim okrutnie. W to ostatnie bardzo wątpiła. Przebieg zaskakującej rozmowy, której była świadkiem, sugerował, że stryj troszczył się o bezpieczeństwo swego bratanka znacznie dłużej, niż któremukolwiek z nich trojga przyszłoby wcześniej do głowy. Lore wciąż miała w uszach niemal nabożny ton, którym Anton zwracał się do Bastiana.

A jednak niepokoiła się o księcia zdanego na łaskę stryja. Ani ona, ani on nie byli bezpieczni. Żadne też nie mogło opuścić miejsca, w którym przebywało.

Lore znów zaczęła odpływać myślami, ale tym razem nie pozwoliła sobie na to, by zapaść w sen. Czas płynął. Szare światło poranka przeszło w gorący blask zenitu, a następnie w złote i leniwe letnie popołudnie.

Znów się posiliła, by ukoić burczenie w żołądku. Potem otworzyła stojącą na półce pod oknem butelkę wina. Przypomniała jej się pierwsza noc, gdy popijali je z Gabrielem, ale zaraz opędziła się od tego wspomnienia gwałtownymi ruchami głowy. Było jak mucha, którą miała chęć ubić.

Opróżniła butelkę do połowy i poczuła w głowie przyjemny szum. Po kolejnej godzinie za oknem zaczęło robić się ciemno. Od dawna nie padało, a suchość powietrza sprawiała, że światło zachodzącego słońca wydawało się kruche niczym szkło.

Gdy zegar wskazał wpół do ósmej, drzwi otworzyły się i stanął w nich Gabriel. Zauważył natychmiast zmierzwione włosy i poczerwieniałą cerę Lore, ale nie skomentował ich ani słowem. W rękach trzymał torbę ze strojem dla niej.

– Ubieraj się – powiedział. Jego głos brzmiał tak, jakby od kilku dni milczał, a ostatnie słowa wypowiedział w gniewie. – Za dwadzieścia minut wychodzimy.

– Cóż za słowność – rzuciła Lore.

Żuchwa Gabriela drgnęła, ale się nie odezwał. Odłożył tylko torbę i znów zniknął za drzwiami.

Lore, wciąż lekko oszołomiona winem, sięgnęła po przyniesiony pakunek i wyjęła suknię, którą przygotowano dla niej na wieczór. Nie była ciężka – dół wykonano z zachodzących na siebie fragmentów koronki, a prosty ciemny gorset był nisko skrojony i pozostawiał ramiona odsłonięte. Żadnego haftu, żadnych rozbudowanych ozdób – tylko czarny jedwab i koronka.

– No to pora na przedstawienie – mruknęła.

Rozdział 39

Dzierżyć jednocześnie ciemność i światłość – a więc władać wszystkim, co składa się na ten świat – winno być brzemieniem jednego tylko boga. Wszelka moc trafi w moje ręce, a wówczas ludzkość dowie się, w której godzinie powrócę.

Księga Praw Świętych, Rozprawa 856 (zdania wygłoszone przez Apolliusza wprost do
Gerarda Arceneaux)

Dwadzieścia minut później Gabriel ponownie otworzył drzwi.

– Daj mi jeszcze chwilę – poprosiła Lore, która chwilę wcześniej skończyła rozczesywać włosy i zaplatała je właśnie w warkocz poprowadzony jak wianek wokół głowy. W torbie poza suknią znalazła garść wsuwek i szpilek do włosów. Udało jej się za ich pomocą zebrać warkocz i tylko raz ukłuć się przy tym w głowę.

Gabriel nic nie odpowiedział. Stał wyprężony w drzwiach, jego ramiona wypełniały niemal całą szerokość framugi. Nie zwieszał już ich, a jego postawa nie zdradzała zauważalnego wcześniej niepokoju.

Przyglądając się Lore, odchrząknął jednak nieco nerwowo.

– Wyglądasz... – zaczął, po czym zawiesił głos.

Wyglądała *dobrze* i wiedziała o tym. Suknia leżała na niej idealnie, jakby uszyto ją na miarę, a z brakiem przesadnych ozdób i biżuterii było jej wyjątkowo do twarzy. Lore korciło, żeby raz jeszcze wykonać przed lustrem obrót. Nim zjawił się Gabriel, zrobiła to już dwukrotnie. Mimo to czuła, że akurat w tym momencie jest w tym nasycaniu się swoją prezencją coś niezdrowego. Lada moment miał przecież czekać ją niewiadomy rytuał.

Ostatecznie, nie bacząc na Gabriela, skinęła tylko głową i jeszcze raz przyjrzała się sobie w lustrze.

– Dobra, miejmy to za sobą – rzuciła w jego stronę i skierowała się w stronę drzwi.

Mnich jednak nie ruszył się ani o krok. Wciąż tarasując wyjście swoją roslą sylwetką, patrzył na Lore z mieszanką determinacji i bólu. Spojrzała mu w oczy, sama próbując nie dać po sobie znać jakichkolwiek emocji.

– Będiesz bezpieczna, dopilnuję tego – powiedział cicho Gabriel. – Możesz zaufać moim słowom.

– Nie mogę ufać niczemu – odparła Lore. W jej głosie nie było cienia wahania. Nie zamierzała okazać ani krzty słabości. – Chodźmy, bo się spóźnimy – powiedziała, wskazując głową na drzwi.

Mnich stał bez ruchu jeszcze przez krótką chwilę. Wyraźnie szukał słów, ale te nie chciały do niego przyjść. W końcu więc poddał się i po prostu podał Lore łokieć – jak wtedy, gdy pierwszego dnia, nie wiedząc zupełnie, czego się spodziewać, szli razem na bal maskowy Bastiana.

W milczeniu wyszli na korytarz.

*

Jak na ironię, bal wyprawiono w tym samym atrium, w którym Lore i Bastian zatrzymali się w drodze do katakumb. Po jednej stronie przeszklonego pomieszczenia stał długi stół, którego niemal dosięgały liście trujących roślin. Zadbano jednak o to, by nikt nie otarł się o nie przypadkiem w czasie korzystania z umieszczonej na blacie fontanny wina. Pod lśniącymi oknami ustawiono srebrne krzesła – nie ciągiem, a z myślą o kilkusobowych grupkach, tak aby ułatwić swobodne rozmowy i plotkowanie.

W narożniku sali zajął miejsce zespół smyczkowy, który przygrywał skocznie wirującym na parkiecie tancerzom. Gości było znacznie więcej, niż Lore się spodziewała – w atrium, pomimo jego znacznych rozmiarów, było gęsto.

Dostrzegła w kącie Cecelię. Wyglądało na to, że tym razem dziewczyna nie uraczyła się naparem z trucizny. Obok niej siedziała Dani, której towarzyszyła jej blondwłosa siostra, Amelia. Ta ostatnia spojrzała natychmiast w stronę Lore, Dani natomiast unikała jej spojrzenia. Gdy sama Lore utkwiała w niej wzrok – odwróciła twarz.

Świadomość, że Dani od początku pracowała dla Antona, bolała. Chyba bardziej, niż powinna. Lore trudno było pogodzić się z tym, że za całą jej serdecznością i ich rozmowami stał ukryty motyw. Wiedziała, że biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności, niesprawiedliwe z jej strony jest ocenianie Danielle, a jednak patrząc na nią, nie potrafiła nie czuć się zdradzona. Zastanawiała się, czy i Alie mogła być uczestniczką intrygi. Być może wszystkie pałacowe przyjaźnie Lore zasadzały się na znacznie wątlejszym fundamencie, niż dotąd sądziła, i miały ostatecznie służyć zdradzie...

Odepchnęła od siebie tę myśl. Nie miała teraz czasu ani energii na roztrząsanie tego.

Tron Augusta nie pomagał w kwestii zatłoczenia atrium – mimo że wybór padł nie na potężny mebel z sali na dole, ale na zdobiony złotem i srebrem tron podróżny, który ustawiono na drewnianym podeście. Wieńczyły go wizerunki księżycy i słońca podwieszane na cieniuteńkich, ledwie widocznych niciach z drogocennych metali.

Sam święty król – jak na kogoś uczestniczącego w przyjęciu – wyglądał zaskakująco... stoicko. Prezentował się przy tym jeszcze gorzej niż poprzednim razem: jego twarz wydawała się wychudła, cera nabiegła fioletem, a oczy były podkrążone i zapadłe. Król widział, jak Gabriel wprowadza Lore na salę, lecz w żaden sposób nie okazał, że odnotował ich obecność. Siedział dalej nieruchomo, pogrążony w myślach.

Wyglądało na to, że spośród najważniejszych graczy na sali obecny jest tylko on. Lore nie zauważyła dotąd mnichów Presque Mort, Antona ani Bellegarde'a. Tylko córka tego ostatniego bawiła się na parkiecie. Bal przebiegał jak każde inne przyjęcie, a ta pozorna normalność przyprawiała Lore o pełzające po ciele przerażenie.

Rozejrzała się szybko za Bastianem. Liczyła na to, że pojawił się na sali mimo nieobecności tych, którzy go przetrzymywali. Po księciu nigdzie jednak nie było śladu.

Ręka Lore zadrżała ze zdenerwowania. Gabriel zacisnął na niej mocniej łokieć. Jego chwyt był jak potężne imadło.

– Nadawałbyś się do służby więziennej – mruknęła półgębkiem.

Z Gabriela jakby uszło nieco powietrze.

– Lore, proszę cię...

– Nareszcie! – przerwał mu głos Alie, która oddzieliła się właśnie od Brigitte, swojej partnerki w tańcu. Ta ostatnia pozdrowiła Lore skinieniem dłoni, po czym oddaliła się w stronę fontanny z winem. – Zastanawiałam się, kiedy w końcu się pojawicie! Tańce niedługo się skończą.

Pomimo wszystkiego, co wyjawiał jej Anton, z Alie u boku Lore poczuła się rażniej.

– Myślałam, że bal zaczął się o ósmej – powiedziała zaskoczona.

– *Kolacja* ma się zacząć o ósmej – poprawiła ją Alie. – No, może chwilę po. Chodzi chyba o to, żeby zgrać ją z momentem całkowitego zaćmienia.

To krótkie przypomnienie o tym, co ma się niedługo wydarzyć – i o wszystkich zamiarach Augusta – sprawiło, że Lore w miejsce pełzającego przerażenia poczuła

mocno zaciśnięty węzeł na żołądku.

Alie powachlowała się dłonią, by osuszyć nieco zroszoną potem cerę.

– Przyznam, że nie rozumiem, dlaczego August koniecznie chce jeść z garstką gości po ciemku – powiedziała.

Garstka gości... A więc ci, co do których król był przekonany, że są po jego stronie. Tacy, którzy nie próbowaliby przeszkodzić w rytuale, i zdrajcy – jak Bellegarde.

Lore sama nie wiedziała, która z tych frakcji bardziej ją mierzyła.

Zespół zaczął grać kolejny utwór, tym razem wolniejszy. Zaraz dało się rozpoznać rytm walca.

– Ostatni taniec wieczoru. – Alie przełknęła ślinę, po czym z zadartym podbródkiem spojrzała na milczącego Gabriela. – Zatańczymy?

Remaut się wzdrygnął. Lore natychmiast poczuła to na wciąż uwięzionej w jego uścisku ręce.

– Niestety mam...

– Zatańcz z tobą z radością – dał się nagle słyszeć niski, znajomo brzmiący głos.

Bastian. Bogom dzięki.

Księżę Słońca nie wyglądał na wymizerowanego, jedynie skóra wokół jego złotobrazowych oczu zdradzała lekkie zmęczenie. Miał na sobie prosty, pozbawiony zdobień ciemny strój, idealnie zgrywający się z suknią Lore. Za jedyną ozdobę służyła księciu złota, niewysadzana kamieniami opaska na głowie.

Bastian uśmiechał się, choć jego cera była blada. Szybko jego uśmiech stał się nieco jadowity.

– Księżę Remaut nigdy nie każe damom czekać – powiedział, klepiąc Gabriela po ramieniu. Trochę zbyt mocno jak na przyjacielski gest.

Przez twarz mnicha przemknął złowieszczy cień, jednak zaraz Gabriel skinął głową.

– Z przyjemnością, Alie – odpowiedział, a jego słowa zabrzmiały szczerze.

Lore pomyślała, że pomimo wszystko takie chyba były.

Gdy tylko Gabriel wypuścił spod łokcia rękę Lore, Bastian ujął jej dłoń. Jego zrogowaciałe palce zamknęły się na niej kojąco. Były jak drzwi chroniące dom przed ciemną, zimną nocą.

Alie natychmiast pociągnęła Gabriela w stronę parkietu. Na odchodne mnich raz jeszcze się obejrzał i ze zmarszczonymi brwiami spojrzał ostrzegawczo na księcia.

– Pilnuj się – rzucił.

Ani Bastian, ani Lore nie odpowiedzieli. Remaut szybko zniknął pośród tłumy tancerzy.

Wybrzmiał kolejny takt melodii i Bastian porwał Lore do tańca. Prowadził ją równie płynnie i swobodnie jak na balu maskowym. Wystarczyło jednak, że upewnił się, iż Alie już ich nie widzi, a z jego twarzy natychmiast zniknął uśmiech.

– Musimy uciekać – powiedział cicho.

Lore spodziewała się tego. Nie spodziewała się natomiast własnej reakcji na te słowa. Poczula się, jakby strach miał zaraz zmieść ją z nóg. Jakby doświadczyła nagle potężnego lęku wysokości. Mogła opuścić salę, ale jej próba ucieczki musiała okazać się daremna. Równie dobrze mogłaby usiłować ująć w dłonie cały ocean. Czuła się unieruchomiona nie tylko fizycznie, ale i duchowo.

– Nie możemy – szepnęła. – Nie mam najmniejszej chęci zdawać się na Antona, ale to nasza jedyna...

– Nie rozumiesz, Lore. – W tonie Bastiana było coś rozpaczliwego. Dało się wyczuć, że i on słyszy zew nocy zaćmienia i desperacko próbuje z nim walczyć. – Wymarła kolejna wioska.

Tylko dzięki podtrzymującej ją w talii dłoni Bastiana Lore nie przewróciła się o rąbek sukni.

– Kiedy? – spytała. Czuła, jak z jej palców odpływa ciepło.

– Zeszłej nocy – szepnął Bastian do ucha Lore, po tym jak przyciągnął ją ku sobie. Ktoś przyglądający im się z oddali uznałby, że lada moment poszukają sobie jakiegoś ustronnego miejsca, jednak na twarzach ich obojga malował się tak naprawdę strach. – Kilku mnichów pojechało po ciała. Anton powierzył dowodzenie Malcolmowi.

Kolejna wioska. Lore pomyślała od razu o tym, jak źle spała i jak mroczne sny – z których pamiętała tylko skrawki – towarzyszyły jej przez całą zeszłą noc. Natychmiast pokręciła głową, odsuwając od siebie kiełkujące domysły.

– Więc gdzie jest Anton? – spytała.

– Nie wiem – odparł księżę i okręcił Lore w tańcu. – Chyba szykuje się do powstrzymania Augusta. Ale to bez znaczenia. Nie pozwolę, żeby jedynym, co będzie dzielić cię od śmierci, był mój stryj. Mogę dać ci pieniądze i jedzenie. Wsadzę cię na statek i...

– Nie mogę opuścić Dellaire – przerwała mu. – Mortem mi nie pozwoli.

– Niech to szlag – syknął przez zęby Bastian. Zacisnął przy tym dłoń na talii Lore tak mocno, że niemal sprawił jej ból. – Trudno. W takim razie znajdę w mieście

miejsce, gdzie...

– Bastianie. – Lore znów nie dała mu dokończyć. Jej nos musnął policzek księcia. Nie musieli trzymać się aż tak blisko siebie, ale oboje czuli, że jest im tak różnie, i żadne nie próbowało się odsunąć. – Wiesz przecież, że zaraz by mnie znaleźli.

Jej droga musiała dobiec końca tu, w Cytadeli. Lore miała albo zginąć z rąk Augusta, albo żyć w złotej klatce jako narzędzie służące kontrolowaniu oszalałego, umierającego króla. Wiedziała o tym. Wiedział o tym także Gabriel. I Bastian również.

Z ich trojga to Bastian miał największą skłonność do tego, by próbować zmienić to, czego zmienić nie sposób. To on najczęściej myślał, że zdoła przemienić świat na taki, który będzie mu bardziej odpowiadać. A jednak nawet on musiał rozumieć, że tym razem nie ma nawet co próbować.

Dla Lore nie było ucieczki.

Nie oznaczało to, że taki sam los musi czekać pozostałych.

– Ja nie mogę stąd uciec – szepnęła do ucha księcia. – Ale ty tak.

Bastian po raz pierwszy zgubił w tańcu krok, a zaraz po tym przystanął. Pozostałe pary sunęły gładko obok niego i Lore jak nurt strumienia opływający dwa kamienie. Stali naprzeciw siebie, patrząc sobie w oczy. Jej ręce wciąż spoczywały na jego ramionach, a jego dłonie – na jej talii.

– I tak po prostu cię tu zostawić? – Książę nie był może zły, ale wyraźnie poczuł się dotknięty.

– Anton powiedział przecież, że udaremni rytuał – odparła Lore. Marny argument, ale innego nie miała.

– Załóżmy nawet, że to zrobi – nie ustępował Bastian. – Co potem? – Kolejni goście zaczęli gapić się na stojącą parę, więc poprowadził Lore dalej w tańcu. Jego pełne gracji, swobodne ruchy kontrastowały ze zwartą linią zaciśniętych szczęk. – Mam uciec i zostawić cię tu w niewoli? Liczysz na to, że August nie spróbuje kolejny raz cię zabić? I że Anton nie będzie chciał zrobić z ciebie swojej broni? Ci dwaj będą zawsze toczyć jakąś wojnę, a ty zawsze będziesz między młotem a kowadłem.

– *Ja*, nie ty – odpowiedziała spokojnie Lore.

– Do cholery, naprawdę nie rozumiesz? – Obracając ją w tańcu, książę użył większej siły, niż było to konieczne, po czym otoczył ją ręką w talii i mocno przyciągnął ku sobie. – Mówiłem ci już w katakumbach: może mi się to nie podobać,

ale ty, ja i Remaut siedzimy w tym razem! Choćbym chciał, nie mogę cię tu ot tak, zostawić. Nawet jeśli miałbym dzięki temu ocalić skórę.

– Jeśli? – W gardle Lore wezbrał śmiech, który ostatecznie zabrzmiał jak łkanie. – Jeżeli zostawisz mnie teraz, na pewno się uratujesz.

– A jednak nie zrobię tego. – Taniec dobiegł końca. Oboje stanęli nieruchomo naprzeciw siebie. – Cokolwiek ma się stać, spotka nas dwoje.

Cokolwiek ma się stać...

Lore podniosła wzrok. Słońce było nisko na niebie.

Nagle dostrzegła ruch w pobliżu stojącego po drugiej stronie atrium tronu Augusta. Znajdującymi się za nim niewielkimi drzwiami wślizgnął się na salę Severin Bellegarde, ubrany równie ponuro jak zazwyczaj. Stał z boku, by nie zwracać na siebie uwagi. Z rękoma splecionymi za plecami czekał obok donic pełnych trujących roślin.

W tym momencie August podniósł się z tronu, jakby zjawienie się Bellegarde'a było dla niego sygnałem do działania. Uniósł ręce w geście łaskawego władcy.

– Dziękuję, że byliście z nami – odezwał się tonem, który jasno sugerował, że goście mają się rozejść. – Wraz z jutrzejszym dniem nastanie dla Auverrainie nowa, zwycięska era. Czuję to! – Król się uśmiechnął. – Nawet ciemność da się ujarzmić tak, aby wzmagała światło.

Dał się słyszeć kurtuazyjny aplauz, a chwilę później dworzanie zaczęli żegnać się i rozchodzić. Tłum gości opuszczał atrium szerokim, jasnym orszakiem. Niektórzy z wychodzących z zaciekawieniem zerkali przez ramię, chcąc zobaczyć grono zaproszonych na królewską kolację. Wydawało się, że nikt nie miał wrażenia dziwności sytuacji. Lore miała chęć krzyknąć na cały głos – przekonać się, czy ktokolwiek zareaguje, zechce pomóc lub zorientuje się, że dzieje się coś złego. Wiedziała jednak, że to daremne. Nikt nie zrobiłby nic. Święty król przemówił, a jego słowo było nawet ponad prawem.

Niedługo w atrium pozostało zaledwie jakieś dwadzieścia osób. Lore rozpoznała Bellegarde'a, Alie i kilku członków Presque Mort, którzy musieli się zjawić, kiedy spierała się z Bastianem. Mnisi nie stawili się komplecie – część z nich pod kierownictwem Malcolma udała się do wymarłej poprzedniej nocy wioski. Lore bardzo ciekawiło, jakim kryterium posługiwał się Anton, kiedy decydował, którzy mają jechać, a którzy zostać.

Dani i Amelia stały obok winnej fontanny wraz z kilkorgiem innych osób, zapewne krewnych. Na twarzy Danielle malowało się wyłącznie wyrachowanie. Po życzliwości, jakiej Lore zaznała od niej na spotkaniu przy herbacie, nie było śladu. Dani bez zarzutu odegrała swoją rolę, czym popchnęła ją ku kolejnemu etapowi przedziwnego planu Antona.

Lecz gdzie był sam Anton?

August, z wciąż uniesionymi rękoma, stanął przed swoim srebrno-złotym tronem. Na jego palcach połyskiwały rubiny. W sali zaległa cisza.

Lore miała chęć skulić się i zniknąć. Nikt z zebranych – czy to stronników króla, czy spiskowców najwyższego kapłana – nie przyglądał jej się, jednak wszyscy byli świadomi jej obecności. Przyprawiało ją to o ból głowy i nudności – niepokojąco podobne do tych, jakich doświadczała, kiedy przepuszczała przez swoje ciało zbyt wiele Mortemu.

Poczuła nagle, że ktoś stoi za jej plecami. Był to Gabriel. Nie dotykał jej, za to trzymał dłoń w pobliżu kabury ze sztyletem. Bastian wciąż tymczasem obejmował ręką jej talię. Stali we troje blisko siebie – znów razem.

August na ich widok przymrużył przelotnie oczy. Szybko odwrócił wzrok, zadarł nieco głowę i przemówił. Można było odnieść przy tym wrażenie, że zwraca się nie do zebranych, ale do nieba ponad przeszkłonym sufitem.

– Skoro tu jesteście, wiecie, że stoimy u przełomu. Przyjdzie nam sięgnąć po przemoc mającą jednak zamysł i cel: chwałę Auverrainne. Chwałę Apolliusza, Krwawiącego Boga! Utorujemy drogę jego przyjściu i nastaniu nowego świata odrodzonego z popiołów starego.

– Niech powróci – rozległy się głosy zgromadzonych. – Niech powróci we krwi i ogniu. Rany jego niech będą zagojone.

Chóralny zaśpiew przywodzący na myśl modlitwę powszechną z nabożeństwa pierwszego dnia zabrzmiał nieco złowrogo. Stojąca obok ojca Alie zmarszczyła brwi. Na jej uśmiechniętej dotąd twarzy malowała się narastająca dezorientacja. A więc przynajmniej ona nie należała do całej tej zмовy. Lore miała tu choć jedną przyjaciółkę.

Wciąż czuła na biodrze ciężar dłoni Bastiana. Przyjaciół było więc dwoje. Gabriel – choć wydał ją i księcia Antonowi – też stał wciąż za jej plecami. Może więc mogła liczyć na więcej osób, niż sądziła...

Niewielka pociecha, gdy miała naprzeciw siebie króla, który zamierzał pozbawić ją życia, a po człowieku, który twierdził, że go powstrzyma, nie było wciąż śladu.

– Noc zaćmienia to czas mocy – ciągnął August. – Światłość i mrok łączą się wtedy w jedno. Świat staje się bramą otwartą na zmiany, a różnym sprawom nadać można nowy bieg. – Ciemne oczy króla zaśniły, gdy natrafił spojrzeniem na swego syna. – Od czasu zniknięcia Apolliusza światu brak równowagi. Nie wszystko układa się tak, jak powinno. Naszym zadaniem jest temu zaradzić.

– Gdzie, do cholery, jest Anton? – szepnął Bastian półgębkiem, kierując pytanie do stojącego za nim Gabriela. – Słaby sobie wybrał moment na spóźnienie.

– Przyjdzie – odparł Gabriel. Jego ton zdradzał jednak, że mnich jest tak samo zaniepokojony jak pozostała dwójka.

Na dłonie Lore wystąpił zimny pot. Stojąca po przeciwnej stronie atrium Alie wodziła spojrzeniem zielonych oczu pomiędzy nią, Augustem i swoim pogrążonym w zadumie ojcem. Starła się zrozumieć nieoczekiwaną sytuację i złożyć wszystkie elementy w całość. Malujące się na jej twarzy z troską ustąpiło po chwili miejsca determinacji.

Alie postąpiła naprzód, jakby chciała dołączyć do stojących bliżej środka sali Lore, Bastiana i Gabriela. Ledwie jednak postawiła krok, dłoń jej ojca wystrzeliła naprzód. Bellegarde wczepił się bladymi palcami w miedzianobrazową skórę przedramienia córki. Lore stała za daleko, by mieć pewność, ale zdawało jej się, że z ust Alie dobiegł cichy jęk bólu. Takie samo wrażenie musiał odnieść Gabriel, który natychmiast naprężył się, jakby zamierzał rzucić się jej na ratunek.

August nie zwracał na żadne z nich najmniejszej uwagi. Wciąż wychylając błądą twarz ku niebu, uśmiechnął się niepokojąco, po czym mówił dalej.

– W rękach boga klątwa stać się może darem. W rękach boga, jedyne i prawdziwego, światłość i mrok mogą zostać pogodzone. *Wszelka* moc w harmonii zasiedlić może jedno święte ciało. Jeden bóg, jedna korona! Jedno imperium aż po kres świata, a wraz z jego nastaniem przywrócić równowagi i prawości!

Gdy król mówił, do atrium schodzili się kolejni członkowie Presque Mort. Ubrani na czarno, z bliznami na twarzach i ciałach, jeden za drugim ustawiali się pośród trujących roślin. Żaden z nich nie odezwał się ani słowem. Wszyscy z nieprzeniknionym wyrazem twarzy zajmowali tylko pozycje na obrzeżach sali. Przypominali teraz ustawiających się w szyku bojowym żołnierzy. Ich wódz wciąż jednak się nie zjawiał.

August opuścił w końcu głowę i powiódł wzrokiem po zebranych. Na jego twarzy gościł wyraz głębokiego spokoju i spełnienia – wyglądał jak ktoś, kto po latach uważnych starań zdołał ziścić swój plan.

Król niespiesznie skinął głową, a mnisi Presque Mort zareagowali błyskawicznie i bez słowa. Ich ruch jako pierwszy dostrzegł Bastian. Odwrócił się, szczerząc zęby, a ukryty w jego bucie sztylet zalśnił złowrogo w jego dłoni. Gabriel zwlekał z reakcją ułamek chwili. Na jego twarzy widać było pewną dezorientację, ale gdy jeden z mnichów oparł rękę na jego ramieniu, i on sięgnął do rękojeści sztyletu.

Lore, choć nie miała broni, również nie zamierzała poddać się bez oporu. Gdy chwycił ją jeden z członków Presque Mort, zaczęła szarpać się i wrywać. Jej wysiłek był daremny, ale próbowała przynajmniej się bronić.

A więc Anton ich opuścił. Nie zjawił się, by udaremnić rytuał. Być może ani przez moment nie zamierzał dotrzymać słowa. Może tylko udawał, by uspokoić nastroje ich trojga i powstrzymać ich przed próbą ucieczki. Był jak rzeźnik głaszczący królika na sekundy przed tym, jak ma skrócić mu kark.

Lore zerknęła na Gabriela. Ten wciąż nie potrafił użyć sztyletu przeciwko towarzyszom z zakonu. Przypominał warczącego psa, który nie rzuca się do ataku, ale czuje się zdradzony i zagubiony.

Bellegarde ścisnął rękę Alie tak mocno, że pozostawił na niej ślad. Córka przy swojej drobnej posturze nie miała szans uwolnić się z jego chwytu. Z wyrazem paniki na twarzy wciąż jednak parła naprzód.

– Gabi! – zawołała w pewnym momencie.

Na dźwięk głosu Alie wypowiadającego jego imię Remaut w końcu się przełamał. Wydając z siebie udręczony odgłos, dobył sztyletu i natarł na jednego z mnichów. Pozostali natychmiast rzucili się na niego, by go obezwładnić. Gabriel otworzył usta w niemym okrzyku. Chciał chyba zawołać Alie, ale nie zdążył. Któryś z mnichów wymierzył mu potężny cios w skroń. Remaut przy wtórze głuchego huku osunął się na ziemię.

Ktoś z Presque Mort chwycił Lore za warkocz, który wysunął się spod spinek, i szarpnął jej głowę do tyłu. Krzyknęła, próbując stawiać opór, ale nadaremno. Chwył mnicha całkowicie ją unieruchomił. W tej samej chwili dwóch kolejnych zakonników obezwładniło Bastiana. Książę szarpał się, miotając przekleństwa, ale i on nie miał szans. Jeden z napastników sięgnął po sztylet i musnął ostrą krawędzią jego łuk

brwiowy. Krwawiący Bastian na ułamek sekundy znieruchomiał, a to wystarczyło mnichom, by wykręcić mu rękę za plecy.

Cień księżycy był coraz bliżej wiszącego nisko nad horyzontem słońca.

Mnich, który obezwładnił Lore, poprowadził ją w stronę królewskiego tronu. August stał nieruchomo z dłońmi splecionymi za plecami i nieobecny wyraz twarzy. Po chwili podszedł do niego kolejny zakonnik, ten, który podczas wycieku stracił stopę. Korzystał z protezy i poruszał się prawie normalnie. Wręczył teraz królowi srebrny sztylet ze złotymi inkrustacjami słońca i księżycy, idealnie odpowiadający wzornictwem zdobieniom tronu.

– Dziś stanie się to, co miało się stać od zawsze – powiedział August tak cicho, by usłyszeli go tylko Lore i Bastian. – Mortem i Spiritum połączą się w rękach jednej osoby. Wiek wielu bogów przeminął. Pora, by niepodzielnie panował jeden.

– I uważasz, że powinieneś nim być akurat ty? – Głos Lore brzmiał ochryple. Zakonnik wciąż przytrzymał ją za włosy, czym nienaturalnie wypychał jej gardło ku przodowi. Była jak zwierzę podsuwane kapłanowi na ofiarę. Gdy z trudem skierowała spojrzenie w dół, zobaczyła, że August wodzi palcami po ostrzu sztyletu.

– Sam Apolliusz zdecydował, że ma to być ktoś z mojego rodu. – Król wzruszył ramionami. – Pomylił się co do wyboru konkretnej osoby, ale temu akurat da się łatwo zaradzić. Gdy stanę się już naczyniem jego mocy, jego ziemskim wcieleniem, zrozumie.

Mnisi podprowadzili teraz Bastiana wyżej na podest. Księżę wciąż miotał się i rzucał obelgami. Choć cały czas go przytrzymywano, zdołał wyprowadzić po drodze niejednego celny cios. Mnich, który wcześniej wykręcił mu rękę, miał podbite oko i siniec na policzku. Teraz trzymał księcia za włosy tak samo, jak jego towarzysz Lore – odginając mu głowę i wypychając do przodu szyję.

Bastian mrużył oko, na które sączyła się krew z rany, i dyszał ciężko z obnażonymi zębami. August tylko westchnął. Jak zwykle na widok swojego syna poczuł rozczarowanie.

Bastian zrewanżował mu się salwą jadowego śmiechu.

– Ależ to w twoim stylu! – rzucił szyderczo. – Nigdy nie umiałeś sobie darować ostentacji!

Król pokręcił głową. Przez jego twarz przebiegł ulotny cień żalu. O tyle przerażającego, że szczerzego.

– Ty nigdy się nie nadawałeś – mruknął. – Nieważne, co mówiła wizja Antona.

– Bo nie byłem dość *pobożny*? – Bastian, choć nie miał szans się uwolnić, znów szarpnął się w uchwycie mnichów. – Czy nadawałbym się, gdybym mordował własnych poddanych, żeby potem robić z nich armię?

– Nie zabiłem tych ludzi, Bastianie. – Żal na twarzy Augusta ustąpił miejsca chłodowi. – O to jedno nie możesz mnie obwiniać.

Król spojrział wymownie na Lore.

Ta zaniemówiła. Poczowała, jak jej umysł momentalnie odpycha od siebie aluzję Augusta. Nie chciał i nie potrafił pogodzić się z tak straszną prawdą. Nie, to niemożliwe! Mortem *nie mógł* spowodować czegoś takiego! Nie mógł pozbawić życia całej wioski, pozostawiając ciała w nienaruszonym stanie! Byle mortemista nie zdołałby posłużyć się nim w taki sposób.

Tyle że Lore nie była byle mortemistką...

– A zatem... – August uniósł nóż. – Zaczynajmy.

Atrium coraz bardziej pograżało się w ciemnościach. Do całkowitego zaćmienia pozostawała ledwie chwila. Lore sądziła, że ostrze sztyletu lada sekunda rozpląta gardło Bastiana. Księżę spodziewał się najwyraźniej tego samego, bo znów zaczął się wyrywać. Przytrzymujący go mnisi nie odciągnęli jednak jego głowy dalej do tyłu, by uczynić z szyi jeszcze łatwiejszy cel. Zamiast tego jeden z nich zmusił księcia do wysunięcia naprzód otwartej dłoni. Kontur blizny o kształcie połowy słońca załśnił blado w niknącym świetle.

Mnich przytrzymujący Lore zrobił to samo z jej dłonią. Wyciągnął jej rękę zza pleców i wypchnął ją naprzód, obnażając półksiężyc wypalony przez siostry nocy dokładnie jedenaście lat wcześniej. Lore usiłowała zacisnąć dłoń w pięść, ale zakonnik siłą wyprostował jej palce, omal ich przy tym nie wyłamując.

Wszystko potoczyło się teraz błyskawicznie. August szybkim i bezlitosnym ruchem naciął najpierw dłoń Bastiana. Brocząca z niej krew zmieszała się na posadzce z krwią sączącą się z rany na jego głowie. Tuż po tym przyszła kolej na Lore. Gdy ostrze zagłębiło się w jej ciało, zacisnęła zęby, po czym zaczęła krzyczeć. Nóż przeciął jej linie życia i serca, uzupełniając kontur starej blizny o nowy fragment – stykającą się z półksiężycem połowę słońca.

Lore nie musiała patrzeć na swoją dłoń, by wiedzieć, że widnieje teraz na niej odbicie wzoru na ręce Bastiana. Ich dwie blizny złożone w jeden symbol.

Życie i śmierć. Światłość i mrok.

Niebo za oknami spowiła ciemność. Na ułamek sekundy przed całkowitym zaćmieniem dwa ciała niebieskie ułożyły się we wzór idealnie odpowiadający siostrzanym ranom Lore i Bastiana. August upuścił zakrwawiony nóż i przycisnął do siebie ich świeżo nacięte, krwawiące dłonie.

Lore poczuła się, jakby trafił ją piorun. Miejsce, w którym jej dłoń zetknęła się z dłonią Bastiana, eksplodowało mocą, a ta w mgnieniu oka rozeszła się po całym jej ciele. Coś podobnego poczuła w katakumbach, gdy księżę uwolnił ją od opornych smug Mortemu, obecne doświadczenie było jednak po wielokroć silniejsze. Rozpierało ją życie. Krew zaczęła szybciej krążyć w jej żyłach, a utrudzone płuca pęczniały nagle od rzeźkiego powietrza.

Widziała i czuła jednocześnie, że Bastian doświadcza czegoś przeciwnego. Więź, którą wyczuwała pomiędzy nimi, stała się teraz mostem, po którym spływały na księcia chłód śmierci, bezruch i pustka. Przeciwności zetknęły się i nawzajem potęgowały.

August otworzył usta i wydał z siebie szaleńczy odgłos. Nie był to ani śmiech, ani krzyk, ale coś znacznie bardziej od nich zwierzęcego. W mroku zaćmienia rysy króla nabrały złowieszczej ostrości i przypominały nagą czaszkę.

Król puścił dłonie Bastiana i Lore, a te natychmiast ciężko opadły. Oboje poruszali się na granicy przytomności i nie panowali do końca nad swoimi ciałami. Lore czuła się, jakby rozciągano ją w różnych kierunkach. Miała wrażenie, że zaraz zostanie rozerwana na kawałki. Kipiały w niej światłość i mrok, życie i śmierć – żywioły, które nie powinny ze sobą współistnieć.

– Dość! – dał się nagle słyszeć znajomo brzmiący głos.

Anton. Nareszcie.

Najwyższy kapłan stał po przeciwległej stronie atrium. Miał na sobie białą szatę. Na jego szyi lśnił nieodłączny wisior, który zakołysał się miarowo, gdy Anton ruszył w stronę środka sali.

August beznamiętnie przyglądał się bratu. Na jego dublecie widniały smugi krwi.

– W końcu raczyłeś się pokazać – odezwał się król, maskując nieufność wyniosłym tonem. – Teraz twoja kolej. Ich moce są już połączone, ale tylko kapłan Apolliusza może dokończyć dzieła i przekierować je w nowe naczynie. – Na jego ustach pojawił się okrutny uśmiech. – Wiem, jak czekałeś na ten moment. W końcu to nie ja, lecz ty masz o czymś przesądzić.

Anton uśmiechnął się do brata niemal z politowaniem.

– Wiesz przecież, że nie mogę przedłożyć naszych ziemskich pragnień ponad wolę Apolliusza.

Gdy najwyższy kapłan zmierzał w stronę tronu, nikt z zaproszonych przez Augusta dworzan – ludzi, co do których był przekonany, że są po jego stronie – nawet nie drgnął. Na widok zbliżającego się Antona mnisi przytrzymujący Lore i Bastiana cofnęli się i sprowadzili ich z podestu. Pod Lore ugięły się kolana, dwaj zakonnicy podtrzymali ją jednak i podciągnęli ku górze. Bastian stąpał po własnej krwi. Każdy jego krok pozostawiał czerwony odcisk podeszwy. Oddalony od nich Gabriel był wciąż nieprzytomny. Leżąc bezwładnie pod ścianą, przypominał porzucony wór trocin.

– On jest niegodny! – odparł August. Należało mu oddać, że w jego głosie nie było słyhać strachu. Mówił donośnie i bez wahania i tylko jego spojrzenie zdradzało kielkujący niepokój. – Przecież rozmawialiśmy o tym, bracie. Bastian nie może być wybrańcem. To musi być pomyłka. Nie jest gotowy do tej roli, a nam zostało niewiele czasu.

Anton pokonał prowadzące na podest schody i stanął naprzeciw brata.

– Być może nie jest, ale będzie – powiedział. – Wystarczy, że pod właściwym kierunkiem zdobędzie nieco wiedzy.

– On nie zapanuje nad taką mocą. – Nawet w chwili, gdy cały jego plan legł w gruzach, August emanował siłą. Nagle wyglądał nieporównywalnie lepiej niż kiedykolwiek w ostatnich dniach. Obietnica magicznej mocy dodawała wigoru jego schorowanemu ciału. Wyprostowany, z zadartym podbródkiem spoglądał w pociemniałe niebo. Zdawał się widzieć na nim samego Apolliusza. – To go przerasta – dodał.

Stojący naprzeciw siebie bracia byli jednego wzrostu. Gdyby nie różne odzienie i blizny na twarzy Antona, wyglądałoby jak swoje lustrzane odbicia. Gdy więc najwyższy kapłan spojrział na brata, patrzył mu prosto w oczy.

– W takim razie ktoś musi służyć mu za przewodnika. Odpowiednio nim pokierować – powiedział.

– Mogę to zrobić ja. – Usta króla drgnęły w chytrym uśmiechu. August poczuł najwyraźniej, że zdoła jeszcze ułożyć wszystko po swojej myśli. – Jestem przecież jego ojcem.

– Nigdy nie traktowałeś go jak ojciec syna – odparł Anton, po czym wbił ostrze sztyletu w bok brata.

By zadać cios, prawie nie musiał unosić ręki.

Rozdział 40

Ujrzyście oto mój powrót.

Księga Praw Świętych, Rozprawa 896 (zdanie wygłoszone przez Apolliusza wprost do Gerarda Arceneaux)

Lore nie wiedziała, czego właściwie oczekiwała. Anton zapowiadał, że powstrzyma Augusta przed dokończeniem rytuału i... nie sposób było powiedzieć, że nie dotrzymał słowa. Namysławiając się nad tym, co właśnie się zdarzyło, Lore była wciąż nieco nieobecna. Wir życia i śmierci, splecionych ze sobą, wciąż pulsował w jej żyłach i ją odurzał. Świat widziała na przemian w odcieniach szarości i w normalnych barwach.

Bastian miał szeroko otwarte oczy. Poblądł i uchylił usta, ale nic nie mówił. Chwilę wcześniej mnisi pchnęli go na kolana – klęczał teraz we własnej krwi jak modlący się przed ołtarzem asceta. Zgromadzeni na sali wciąż nie widzieli, co się stało, bo członkowie Presque Mort otaczali podest tronowy szczelnym szpalerem.

Anton upuścił nóż. Zsuwające się ostrze pozostawiło na jego szacie karmazynową smugę i zniknęło w połach materiału u jego stóp. Kapłan podtrzymał swego brata bliźniaka za ramiona, więc choć pod Augustem ugięły się kolana, wciąż stali twarzą w twarz. Z ust króla zaczęła sączyć się różowawa ciecz. August krztusił się, próbując łapać powietrze.

Kątem oka Lore dostrzegła, że Bastian wzdrygnął się na jego widok.

– Nigdy nie potrafiłeś zrozumieć... – Anton mówił do brata łagodnym tonem, jakim ktoś mógłby zwrócić się do spłoszonego konia. – Apolliusz się nie myli. Nigdy i co do niczego.

– Masz rację, to ja się myliłem. – Głos Augusta łamał się i rwał. Słowa nieskładnie wypadały z jego ust. Ostatnim tchem wciąż jednak próbował się ratować. – Nie rozumiałem jego świętości...

– Nie chciałeś rozumieć – warknął Anton. – Woląłeś zagarnąć moc dla siebie. Gdy miała się ziścić przepowiednia, odwróciłeś się od niej. – Drobiny krwi krztuszącego się Augusta osiadały na policzku kapłana. – Oto cena zdrady.

– Nie – odezwał się król ostatkiem sił. – Oto cena zazdrości. I kto tu jest grzesznikiem, bracie?

Na zroszonej czerwienią twarzy Antona odmalował się strach. Kapłan puścił ramiona brata i cofnął się o krok.

Święty król osunął się na ziemię. Wciąż poruszał się w drgawkach i łapał na próżno powietrze, gdy Anton zwrócił się do zebranych. Ci wydawali się nieporuszeni. Spodziewali się tego, co właśnie zaszło. Wszyscy, którym ufał August, pozostali ostatecznie lojalni wobec Antona. Kościół zatriumfował nad koroną.

Jedyną osobą, która sprawiała wrażenie zszokowanej, była Alie. Bellegarde wciąż ścisnął jej rękę, a jego córka w niemym przerażeniu przytknęła dłoń do ust.

No i Bastian.

Wciąż klęcząc we własnej krwi, wyglądał, jakby miał zaraz osunąć się na posadzkę. Rana na jego twarzy przestała krwawić. Rdzawy ślad zasychał na łuku brwiowym i policzku, upiornie kontrastując z białkami oczu.

Anton uniósł ręce w takim samym geście jak wcześniej jego brat.

– Wierni Kościoła – zaczął z namaszczeniem. – Wszyscy wiedzieliśmy, że to nie August ma poprowadzić nas ku nowemu...

Przerwał mu krzyk. Lore, póki nie poczuła napięcia w żuchwie, nie zorientowała się nawet, że dobył się on z jej gardła. W brzuchu czuła przeszywający, palący ból. Mnisi, którzy ją przytrzymywali, natychmiast puścili jej rękę.

Lore osunęła się na kolana. W jej boku tkwił srebrno-złoty nóż Augusta.

Król leżał za Antonem z ręką wciąż uniesioną po rzucie. Po chwili jego dłoń opadła ciężko na drewniany podest. Z ust ciekły mu krew i żółć.

– On też tego nie zrobi... – odezwał się na wpół zrozumiale konający August. – Nie, jeśli to *ja* ją zabiję.

Lore znów przestała widzieć barwy. Wszystko wokół było czarne, białe lub szare. Własne ciało jawiło jej się jako chaotyczny zbiór białych i czarnych łun. Mortem i Spiritum wciąż przeplatały się w niej – w wyniku rytuału, ale i odniesionej rany.

Jak z oddali usłyszała, że ktoś woła ją po imieniu. Rozpoznała głos Bastiana.

Anton natomiast wydawał się nieporuszony. Uniósł tylko oczy ku niebu i westchnął jak rodzic niesfornego dziecka. Potem zwrócił się ku leżącemu na podłodze królowi.

– Od rany w brzuch nie umiera się od razu – powiedział. – Zaczynam żałować, że nie zabiłem cię inaczej.

Po tych słowach uniósł stopę i zmiądzzył ciężkim butem głowę Augusta. Jasna poświata wokół głowy króla uleciała jak porwana wiatrem. Jej miejsce zajął obłok czerni.

Kiedy Anton uniósł nogę, na jego podeszwie widać było kawałki strzaskanej czaszki i mózgu Augusta. Lore na ich widok zwymiotowała winem. Zmieszana z krwią z jej brzucha ciecz osadziła się kleistą plamą na jej udach. Wokół rozległy się kolejne krzyki, ale brzmiały, jakby dobiegały spod wody. Lore nie potrafiła zebrać myśli ani nawet skupić spojrzenia na jednym punkcie. Wszystko przyćmiewał ból. Czuła, że gaśnie.

Przez wszechobecny zgiełk przebił się głos Bastiana. Wiedziała, że to on, choć nie rozumiała już poszczególnych słów. Usłyszała też Gabriela, a zaraz potem szczęk stali, bezładne okrzyki i odgłosy uderzeń. Mnich musiał się ocknąć. To dobrze, pomyślała, być może i jemu, i Bastianowi miało się udać ujść z życiem. Dwóch z trojga to całkiem nieźle...

– Weźcie ją do ogrodu! Już tam na nią czeka – usłyszała głos Antona.

Poczuła, jak ktoś chwyta ją za ramiona i pod kolana, po czym niesie jak omdlałą szlachciankę.

Po chwili jej powieki opadły.

*

Twarde podłoże. Chłód sączący się przez rozdartą tkaninę. Ból promieniujący z rany na boku i pełzający po kamieniu wiatr, szemrzący na granitowych liściach i płatkach.

Lore zmusiła się, by otworzyć oczy.

Była w kamiennym ogrodzie. Wokół studni zatknięto pochodnie, bo niebo wciąż było ciemne od zaćmienia. Lore wciąż widziała nieostro, a ból i utrata krwi sprawiały, że trudno było jej się na czymkolwiek skupić. Dostrzegła jednak stojącego ponad otwartą studnię Antona. Obciążający pokrywę posążek Apolliusza odsunięty był na bok.

Wokół kapłana Lore widziała garść niewyraźnych kształtów. Musieli to być mnisi Presque Mort – ci, którzy nie pojechali z Malcolmem po ciała. Ciała zmarłych po ostatnim śnie Lore...

Była jeszcze jedna postać – smukła, o kaskadzie jasnych włosów, ubrana na czarno. Stała niedaleko Antona, po przeciwnej stronie studni. Nim do Lore zdążyło dotrzeć,

kogo ma przed oczami, zwrócił się ku niej najwyższy kapłan. Całe szczęście.

– Och, Lore – odezwał się.

Na dźwięk jej imienia dwóch zakonników natychmiast podeszło do niej i ostrożnie pomogło jej wstać. Suknia Lore była nasiąknięta krwią, a głowa ciążyła jej, jakby była z kamienia – jak otaczające ją uśpione kwiaty.

– Znakomicie się spisałaś – dodał Anton, gdy Lore chwiejnym krokiem ruszyła w jego stronę. – Naprawdę możesz być z siebie dumna. Odegrałaś dziejową rolę, a sam Apolliusz wspomniał o tobie z *imienia*! I to nieraz. Po raz pierwszy usłyszałem o tobie podczas wizji, której pamiątką są moje blizny, ale mówił też o tobie później. Polecił mi nauczyć się nawiedzania snów i zbadać, jak wzmóc twoją moc, tak aby mogła powstać nasza nieumarła armia. – Anton mówił aż za szybko i z przesadną ekscytacją. Jakby od dawna czekał na moment, gdy będzie mógł wyjawic wszystkie te sekrety.

„Zamknij się” – chciała burknąć. Z jej gardła dobył się jednak tylko niezrozumiały dla Antona chrypliwy rechot.

– To, że Gabriel nauczył cię otaczać umysł zaporą, nastreczyło mi niemałych problemów – ciągnął kapłan. – Sam obeznałem go z tą techniką, a później musiałem zapłacić za to wysoką cenę. – Tu Anton pogładził rękę, na której widniały świeże blizny po oparzeniu. W nieokaleczonej dłoni trzymał wysadzany granatami diadem: prostą koronę, którą miał na głowie August w chwili śmierci z rąk brata. Lore zastanawiała się, dlaczego Anton sam wciąż jej nie założył. – Mimo to wszystko jest ostatecznie, jak powinno – kontynuował. – Wybacz tę nieprzyjemną formalność, ale zadam ci kolejny cios. Gdy zaś umrzesz, twoja moc spłynie na Bastiana. Będzie władać odtąd i Spiritum, i Mortemem, życiem i śmiercią. Wówczas wszystko rozpocznie się na dobre.

Lore ledwie słuchała Antona. Jego słowa spływały po niej bez większego efektu. Wszystko dlatego, że w końcu udało jej się skupić na postaci stojącej po drugiej stronie studni.

Kobieta miała gładkie złote włosy, bladą cerę i subtelne rysy. Szczupła i wysoka, posturą zupełnie nie przypominała Lore. Miała jednak takie same jak ona lśniące oczy o orzechowym odcieniu.

Siostra nocy. Ta sama, która pozostawiła na dłoni Lore bliznę, a następnie zdecydowała się ją ocalić. To ona – zamiast posłać ją do obsydianowego grobowca na

zatrącenie umysłu – odprowadziła ją ku wyjściu z katakumb. Gdyby nie ta kobieta, Lore bezpowrotnie straciłaby część siebie.

Siostra nocy uśmiechnęła się ze szczerym żalem w oczach.

– Witaj, córeczko – powiedziała.

Rozdział 41

Zakończenia muszą potrwać.

Porzekadło kiryteańskie

Lore nie знаła prawdziwego imienia swojej matki – siostry nigdy się nim nie posługiwały. Kiedy przysłała na świat, jej matka już od miesięcy mieszkała pośród niedobitków Straży Grobowej. Na dobre wniknęła w ich szeregi, choć towarzyszki przyglądały jej się z pewnym zaniepokojeniem.

Lore wiedziała dlaczego – opowiadano jej o tym. Już po jej narodzinach matka podeszła pewnego razu do grobowca Nyxary. Był to obowiązek, z którego musiały wywiązywać się wszystkie siostry, lecz tamtego dnia kobieta miała na rękach maleńką Lore. Z grobowca dobyła się nagle smuga mroku, która musnęła korpus matki i śpiącą dziewczynkę – nieświadomą swojej mocy ani roli, jaką przyjdzie jej kiedyś odegrać.

Zupełnym przypadkiem więc Lore po raz pierwszy pokierowała Mortemem. Zaczerpniętą z sarkofagu smugę tchnęła w kamienną podpórę podziemnej świątyni, przez co omal nie spowodowała jej zawalenia. Nie było to jednak zaskoczeniem. Przeciwnie – było to coś, czego oczekiwano.

Z pierwszych trzynastu lat życia Lore nie pamiętała prawie nic – w jej umyśle pozostały ledwie strzępy wspomnień. Włożyła niemało starań w to, by tak się właśnie stało. Mimo to wciąż potrafiła przypomnieć sobie spojrzenia z ukosa i szepty zza zakrytych dłońmi ust.

Gdy nastał czas zaćmienia, matka podeszła do niej z rozpalonym żelazem w kształcie półksiężyca. I to również nie było niespodzianką. Gdy przypalała jej dłoń, Lore płakała – wiedziała, że zostaje naznaczona, bo ma jako następna wejść do grobowca. Do dziś pamiętała też, że dla pozostałych sióstr była to radosna okazja. Gratulowały jej matce siły. Cieszyły się, że w końcu zrobi to, co należy.

W nocy jednak matka przebudziła ją delikatnym szturchnięciem. Lore pamiętała malujące się w jej oczach przerażenie. Doszły tunelami do miejsca, skąd w oddali widać było światło ostatniego dnia przed zaćmieniem.

– Uciekaj – szepnęła jej matka.

I Lore usłuchała.

Uciekała. Uciekała całymi latami. Teraz zaś historia zdawała się zataczać koło. Lore znów stała naprzeciw swojej matki, a ta znów miała w oczach ból i przerażenie.

– Tęskniłam za tobą – odezwała się. Jej wyznanie zabrzmiało szczerze, a to tylko uczyniło sytuację Lore jeszcze trudniejszą. Siostra nocy stała za studnią, ale jej ręce były rozłożone, jakby chciała uściskać córkę. – Jesteś już dorosła. I taka piękna. – Kobieta westchnęła. Jej głos lekko się łamał. – Tak żałuję... Liczyłam na to, że Ona zmieni jeszcze zdanie. Że nie okażesz się tą wybraną. – Zamknęła oczy. Na jej policzku rozbłysła kryształowa łza. – Lecz bogini jest nieubłagana. Powinłam była posłać cię wtedy do grobowca. Wtedy jej moc wyrządziłaby ci krzywdę, ale wypaliłaby się, zanim osiągnęłabyś wiek wyniesienia. Teraz wyjście jest tylko jedno: musisz umrzeć.

Słowa matki natychmiast wybiły Lore z letargu. Pomimo bólu w boku znów spróbowała wyrwać się zakonnikom.

– Nie! – zaoponowała. Jej głos brzmiał jednak, jakby usta miała pełne waty. – Nie, nie, nie! Nie chcę...

– Moja kochana, nie możemy pozwolić, by historia się powtórzyła – powiedziała cicho matka Lore. – Nocna Wiedźma też była wybranką Nyxary. Miała stać się jej ziemskim wcieleniem. Gdyby do tego doszło, spustoszyłaby nasz świat. Dlatego i ty musisz umrzeć. Wybacz...

– Nie tak od razu. – Głos Antona brzmiał teraz inaczej. Był na dobre odarty z pozorów zdrowego rozsądku. – Zgodnie z umową dostaniecie wybrankę z powrotem, kiedy armię zasili sześć wiosek. I to ja mam zadać śmiertelny cios! Dokument czyniący ponownie Straż Grobową częścią Kościoła jest gotowy, ale jeśli nie dotrzymacie warunków, w każdej chwili mogę go uchylić.

– Oczywiście... – powiedziała cicho siostra nocy. – Umowa to umowa.

– Otóż to. Nie dziwię się, że siostry wybrały cię kapłanką nocy. – W oczach Antona widać było niezdrowy blask. – Mam nadzieję, że sprawisz się lepiej niż poprzednia.

Matka Lore – kapłanka nocy – skłoniła tylko głowę.

Trzy matki, dwie zdrady. Obie w imię jakiegoś wyższego dobra, którym Lore wciąż nie potrafiła się przejąć. Zależało jej tylko na tym, by żyć. Żadne wyższe dobro jej nie obchodziło.

– Proszę, nie dajcie im mnie zabić. – Lore miała świadomość, że brzmi żałośnie. Bezbronna, zakrwawiona i zwieszona ciężko pomiędzy dwoma mnichami była

żałosna. – Przecież nic nie zrobiłam! Nie wybrałam sobie tego...

– Serce moje... – Kapłanka nocy uniosła dłoń i opuściła ją takim gestem, jakby z oddali gładziła policzek Lore. – Nie możemy postąpić inaczej. Bez twojej ofiary świat nie przetrwa.

– Umowa to umowa – powiedział Anton. – Rozliczmy się i każdy będzie mógł odejść w swoją stronę.

Kapłanka skinęła dłonią, lecz jej usta zacisnęły się w pełnym niesmaku grymasie.

– Bierz, co ci należy.

– Doceniam współpracę – odparł Anton. W jego głosie zadźwięczała nuta szyderstwa. – Cieszę się, że tym razem rozumiecie, że nie ma miejsca dla więcej niż jednego boga.

– Z pewnością nie ma go dla sześciorga bogów – odrzekła łagodnym tonem kapłanka nocy. – Bogowie nie lubią dzielić się mocą.

– Odwieczny problem wyniesień – zgodził się Anton. – Gdy ludzie zostają bogami, nie porzucają swoich charakterów.

Najwyższy kapłan wyszczerzył zęby w triumfalnym uśmiechu i z uniesioną ręką postąpił krok w stronę Lore.

Ta poczuła szarpnięcie w piersi – jak w swoich sennych wizjach. Tyle że bez woalu snu ból okazał się potworny. Serce dziewczyny zamarło. Było teraz jak kawałek mięsa wyszarpywany siłą spod jej żeber. Ciemne smugi Mortemu dobywały się z jej piersi, przypominając strużki krwi z tysiąca drobnych ran. Obląkany kapłan, zagarniając je w garść, zaplótł w powietrzu śmierć w jej czystej postaci.

– Apolliusz – zaczął szeptem, wznosząc oczy ku niebu. Po jego policzku spłynęła łza wzruszenia, jakby naprawdę dojrzał tam swego boga. – Oto na twoją chwałę ujarzmiam moc twojej zdradzieckiej towarzyski życia.

Mówiąc ku pustemu niebu i gestykulując palcami, Anton cały czas wysyłał z Lore moc. Ta wiła się i pulsowała ponad ich głowami, przybierając kształt węzła – misternego, przywodzącego na myśl cielesny organ. Z głównego splotu ku niebu spowitemu mrokiem zaćmienia wyzierały gęste smugi. Wyglądały jak macki poszukujące ofiary.

Miała nią być kolejna wioska. Mieli zginąć kolejni ludzie. By armię Antona zasilili nowy zastęp ciał. To w tym celu najwyższy kapłan posługiwał się Lore. Ujarzmiony Mortem z jej namaszczonego przez boginię ciała pozwalał robić rzeczy niedostępne dla żadnego innego mortemisty.

– Dałeś nam znak – szepnął Anton ku niebu. – Obietnicę nastania nowego świata dla twych wiernych. Świata, który ukształtujesz wedle swej woli. Racz pamiętać, Krwawiący Boże, że jednocząc przeciwne sobie moce, utorowałem owemu nastaniu drogę.

Pomimo powolnego upływu krwi, stygnących palców i pełzającego w ciele chłodu śmierci Lore wciąż czuła w sobie Spiritum. Nić życia, która przeszła jej ciało w chwili, gdy nacięte dłonie jej i Bastiana się spotkały. Życie i śmierć, Spiritum i Mortem – Lore miała je w sobie. Były w niej i mogły zostać przez nią wprowadzone w ruch...

Nie miała czasu dłużej się namyślać. Wyciągnęła przed siebie dłoń i szarpnęła.

Z Antona dobyło się nagle światło. Wyrwane z otaczającej go poświaty, popłynęło przez kamienny ogród ku czekającym na nie palcom Lore. Nie była to smuzka czy nić, którą należałoby cierpliwie nanizować, lecz prawdziwa błyskawica – skrzący się potok energii. Przy wtórze wrzasku Antona Lore sama krzyknęła i z całych sił przyzwała tę moc ku sobie. W żyłach czuła gorąco i pęcznienie. Jej serce łomotało, jakby zaraz miało wyrwać się z jej piersi.

W boku poczuła nieznośny, palący ból, lecz nie musiała nawet patrzeć na ranę. Wiedziała, że ta właśnie w okamgnieniu się zagoiła. Potęga życia pędziła przez jej ciało, uzdrawiając *wszystko*.

Lore nie dawała rady utrzymać strumienia Spiritum. Był zbyt potężny, zbyt jasny. Z krzykiem zwolniła chwyt. Skrząca się błyskawica oderwała się od jej dłoni i odbiła ku klęczącemu Antonowi. Stary kapłan dyszał ciężko z boleśnie wykrzywionymi wargami i dłońmi przyciśniętymi do serca.

– Głupia guślarko – warknął. – Myślisz, że wolno ci się na to porywać?

– Myślę – Lore, dysząc, dźwignęła się na nogi – że nie dam ci zabić nikogo więcej *moją* mocą.

– Nie rozumiesz, Lore – odezwała się jej matka, smutna i spowita blaskiem płomieni. – To *Jej* moc, nie twoja. Im dłużej będziesz żyć, tym będziesz potężniejsza, a zarazem tym bardziej podobna do Niej.

– Nie możemy dopuścić do kolejnego Boskiego Upadku. – Anton podniósł się powoli. Przypominał starego i kruchej człowieka. Tylko spojrzenie mówiło co innego. Jego oczy wciąż lśniły szaleństwem i chorym zapałem, na którego widok Lore aż się wzdrygnęła. W dłoni najwyższego kapłana zalśnił nóż, którym zabił swego brata. – Nie wolno nam pozwolić, by historia się powtórzyła.

– Zamiast tego zamierzasz mordować ludzi? – Choć rana się zagoiła, bok Lore wciąż był obolały. Aby oszukać ból, przycisnęła do niego pięść. – Odjęło ci rozum, Anton. Nie będzie drugiego Boskiego Upadku, *bo nie ma już bogów!*

– *Jest jeden, a ty oddasz mu swoją moc* – wycedził kapłan, opluwając drobinami śliny okaleczoną stronę ust. – Świat ukorzy się przed miłosierną potęgą Apolliusza, a jego święty...

Słowa, które zamierzał wypowiedzieć Anton, porwał jego własny krzyk. Widoczne dotąd pochodnie opadły nagle na bruk, kolejna zaś przeszła w locie powietrze. Zmęczone suszą żywe kwiaty wyrastające z kamiennych łodyg natychmiast zajęły się ogniem. Studnię w mgnieniu oka spowiła czerwona luna.

Po chwili spośród płomieni wyłonił się Bastian.

Jego elegancka koszula była rozdarta i splamiona krwią. Obnażone w gniewie zęby księcia połyskiwały w migoczącym świetle.

Na twarzy Antona pojawił się błogi, szaleńczy uśmiech. Lore poczuła na jego widok, jak skręca ją w żołądku. Mając Bastiana u boku i chroniąc go przed Augustem, kapłan tak długo skrywał... cześć wobec swego bratanka. Teraz jednak, widząc, że rozstrzygnięcie jest bliskie, patrzył na niego tym samym spojrzeniem, które podczas modlitwy wznosił ku niebu.

– Bastian, mój chłopcze! – zawołał. – Wybacz, że ucierpiełeś. Mówiłem im, że mają nic ci nie robić, ale w całym tym zamęcie...

– To, co zrobili mi twoi mnisi, to nic w porównaniu z tym, jak sami ucierpieli – odparł książe. W ręku trzymał krótki miecz, który musiał chwilę wcześniej komuś odebrać. Jego ostrze połyskiwało w blasku płomieni.

Stojący w pobliżu zakonnicy wydawali się zdezorientowani. Wszyscy sięgnęli do skórzanych uprząży na piersiach, zerkając w stronę najwyższego kapłana. Czekali na rozkazy, gotowi w każdej chwili rzucić się do walki.

– Dobrze, że jesteś – ciągnął Anton, niezrażony niskim, złowieszczym tonem Bastiana. – Przeciągnęło się to wszystko. Najwyższa pora zakończyć sprawę z tą dziewczyną. Skoro się pojawiłeś, bierzmy się do dzieła. Może ty zdołasz przemówić jej do rozsądku.

Bastian natychmiast spojrzał na Lore.

– Jesteś ranna? – spytał spanikowanym głosem.

– Nic jej nie jest. – Anton zbył jego przerażenie machnięciem ręki. – Ma się świetnie. Użyła Spiritum, żeby się uleczyć. – Ostry śmiech kapłana poniósł się echem

wśród płomieni i kamiennych kwiatów. – Skoro *jej* magia osiągnęła taki poziom, pomyśl tylko, jaką mocą będziesz władać ty!

Kapłanka nocy stała bez ruchu po drugiej stronie studni niczym wykuty w kamieniu posąg. Wyraz jej oświetlonej płomieniami twarzy zmienił się, lecz nie patrzyła na Bastiana z przestraczem, raczej z rezygnacją. Tak jak żeglarz patrzeć może na oceaniczny pływ, który zmusił go do zmiany planów. Po chwili spojrzała na Lore. W jej oczach próżno było szukać współczucia.

– Zależy ci na nim, prawda? – spytała ledwie słyszalnie, podchodząc do córki.

Gdy Lore nie odpowiadała, w oczach jej matki zalśniły łzy.

– Jeśli ci na nim zależy... – wyszeptała. – Jeśli zależy ci na kimkolwiek na tej ziemi, poświęcisz się. Proszę, nie utrudniaj tego bardziej, niż to konieczne. Nie masz pojęcia, jakie nieszczęście możesz sprowadzić na świat.

– Wybacz, że trzymałem cię w niewiedzy. – Anton postąpił w stronę Bastiana z takim nabożeństwem, jakby zbliżał się do ołtarza. Na Lore i kapłankę nocy nie zwracał najmniejszej uwagi. Książę stał zaś nieruchomo w blasku płomieni i bardziej niż na człowieka z krwi i kości wyglądał na odlany ze złota posąg. – Sam do niedawna nie byłem świadom wielu rzeczy. Wiem też, że masz słabość do tej dziewczyny, i przepraszam, że stawiam cię w takim położeniu. Zrozum jednak, że to uczucie nie może położyć się cieniem na losie nas wszystkich. Musisz przewyciężyć je, aby nastał nowy świat zgodny z wolą Apolliusza. – Po policzku kapłana spłynęła łza. – Twój świat...

– Dość ofiar. Nie poświęcisz więcej nikogo – przerwał mu czyjś głos.

Głos Gabriela.

Remaut wyłonił się spośród płomieni i stanął ze sztyletem w dłoni tuż za najwyższym kapłanem. Ostrze przyłożył do jego szyi. Natychmiast wykręcił też nadgarstek Antona – czym zmusił kapłana do upuszczenia noża, wciąż czerwonego od krwi Augusta.

Ucierpiał bardziej niż Bastian. Był cały posiniaczony, ktoś zerwał też przepaskę z jego oka.

– Ach, to ty, Gabrielu – westchnął Anton. – Cóż, twoja lojalność jest wiecznie niestała. Powiniennem być się tego spodziewać. – Ton najwyższego kapłana stał się ostrzejszy. – Część ciebie wie chyba, kim się staniesz, jeśli dalej potoczy się to w ten sposób. Będziesz odrażającym uosobieniem powielanego grzechu.

Mnich przełknął ciężko ślinę, przyciskając mocniej ostrze do skóry Antona.

– Zamilcz – powiedział głosem, w którym słychać było złamanego ducha. – Błagam, ojcze, zamilcz.

– Nie jestem twoim ojcem, chłopcze – wycedził Anton.

Gabriel wzdrygnął się i na ułamek chwili spuścił powiekę zdrowego oka.

– Lore. – Matka dotknęła jej ramienia chłodną dłonią. – Proszę, zrób, co należy, zanim będzie za późno.

Niebo zaczynało się pomału przejaśniać. Kontur księżyca drgnął.

Zapleciony przez Antona mortemiczny węzeł wciąż unosił się w powietrzu. Był złowieszczą masą śmierci i mroku, która w bezruchu czekała tylko, by wskazać jej cel ataku.

Najwyższy kapłan spojrzał na Lore i nocną kapłankę.

– Wciąż należy mi się jedna wioska – rzucił niemal z irytacją, jakby nie miał noża przy szyi.

Lore uniosła dłoń i przyzywała ku sobie cały swój Mordem. Wrażenie było z początku takie samo, jak za każdym poprzednim razem: odrętwienie kończyn, zanik barw i charakterystyczne szarpnięcie w piersi. Kiedy jednak rozplątywała mortemiczny węzeł i chłoneła go, poczuła, że jest inaczej niż zwykle. Jej doświadczenie wydawało się pełniejsze.

Śmierć, którą przyzywała, była jej własną. Pochodziła z jej ciała. Jej moc była mocą Lore – nie przepuszczała jej tylko przez siebie, lecz chłoneła ją krwiobiegem i kośćmi.

Nie minęła chwila, a mortemiczny węzeł był rozwiązany – jego ostatnie smugi wniknęły w palce Lore i połączyły się z jasnym strumieniem Spiritum. Czowała w sobie teraz obie moce i z obu mogła korzystać.

Im dłużej będziesz żyć, tym będziesz potężniejsza, a zarazem tym bardziej podobna do Niej.

Matka Lore wydała z siebie coś pomiędzy westchnieniem a szlochem.

– Ten obraz widziałam odbity w grobowcu... – szepnęła łamiącym się głosem, jakby do siebie samej. – Myślałam, że temu zapobiegnę. Wierzyłam, że wybierzesz dobro świata ponad swoje.

– Jestem na to zbyt samolubna – odparła szeptem Lore.

Mnisi Presque Mort obserwowali nieufnie, jak misterny pokaz mocy ich przywódcy niknie w oczach. Ich spojrzenia jakby mówiły, że to nie wobec niego czują się już lojalni, ale wobec Bastiana.

– Dziwka! – syknął Anton. – Apolliusz i tak zatriumfuje. Cokolwiek zrobisz, znajdzie sposób, by...

– Zamknij się! – uciszył go Gabriel. Jego głos zdawał się jednak drżeć. Bezruch i nieprzenikniony wyraz oczu pozostałych zakonników musiały niepokoić go tak samo, jak niepokoiły Lore.

Spojrzenia Gabriela i Bastiana się spotkały. Pusty oczodół mnicha spowijał cień.

– To stary, obłąkany człowiek, Bastianie – odezwał się Gabriel. – Pozbaw go tytułu, a nikogo więcej nie skrzywdzi.

Księżę nie odpowiedział. Zamiast tego, z dłonią wyciągniętą przed siebie, zwrócił się w stronę Lore i jej matki.

– Jeśli ją tkniesz – powiedział beznamiętnym tonem do kapłanki – osobiście wywelekę z katakumb was wszystkie.

– Lore... – Kapłanka podjęła ostatnią, rozpaczliwą próbę. – Proszę.

Lore popatrzyła tylko na nią i natychmiast podeszła do Bastiana. Po drodze kopnęła w ogień złoto-srebrny sztylet Antona.

Oddech jej matki drżał, gdy wypuściła powietrze.

Lore powiodła spojrzeniem po nieruchomych, skąpanych w ognistej łunie zakonnikach.

– Dlaczego nic nie robią? Na co czekają? – spytała.

– Nie wiem i nie obchodzi mnie to – odparł Bastian, po czym zrobił krok w stronę swojego stryja.

Gabriel natychmiast odciągnął najwyższego kapłana od zbliżającego się księcia.

– Bastianie! – Widać było, że Remautem targają sprzeczne emocje. Na jego twarzy malowały się jednocześnie strach, żal i złość. – Rozmawialiśmy o tym.

– Nie „rozmawialiśmy”, ty mówiłeś. – Bastian wykonywał dłońmi zaskakujące ruchy. Otwierał je i zamykał, raz po raz rozczapierzając i podkurczając palce. Jakby nawijał na rękę niewidzialny sznur. Wokół jego sylwetki widać było złotą poświatę.

– Pogubił się. – Gabriel zrobił kolejny krok wstecz. Anton, z oczami wzniesionymi jak do modlitwy, opierał się ciężko na jego rękach. – Jest tylko człowiekiem. Weź sobie jego posadę albo daj ją komuś, ale nie zabijaj go!

– Jestem świętym królem, do cholery. – Bastian nie krzyczał. Raczej szeptał, ale jego głos i tak poniósł się echem pośród trzasku oświetlających go płomieni. W blasku ognia wyglądał, jakby jego głowę otaczała aureola. – Zabiję, kogo zechcę.

– Więc nie jesteś w niczym lepszy – warknął Gabriel. Płonący za nim ogień zdawał się wzmaczać wraz z jego gniewem. – Ani od niego, ani od swojego ojca.

Za plecami mnicha Lore wciąż widziała migoczącą w świetle płomieni sylwetkę matki.

– Posłuchajcie... – odezwała się, stając pomiędzy mnichem a księciem. – Cała ta noc to ciąg bezsensownej przemocy. Nie musimy...

– Nie bezsensownej – powiedział cicho Anton. – Chyba że za bezsens uważasz zapobieżenie apokalipsie. Bastianie – zwrócił się teraz do bratanka – jej moc będzie narastać. Zwłaszcza że teraz włada też Spiritum! Ta moc zatruje jej umysł. *Nyxara* zatruje jej umysł! Pozwól dziewczynie umrzeć dziś. Inaczej po nastaniu Apolliusza będziesz patrzył, jak błaga o śmierć. – Anton znów uniósł wzrok ku niebu, jednocześnie dał się słyszeć jego cichy, świszczący śmiech. – To siła, której nie powstrzymacie. Fala, która unosi was już teraz i zmiażdży jak poprzednim razem.

Lore mimowolnie spięła ramiona. To samo zrobił Bastian. Końcówka ostrza sztyletu Gabriela drgnęła.

– Przepowiednia mówi jasno, co się stanie. Nie chce w nią jednak uwierzyć nikt poza mną! – ciągnął Anton chrapliwym głosem. – Nikt, Apolliuszu, tylko ja! Oto ostrzegam ich przed tym, co stanie się, gdy nadejdzie nowy wiek. Gdy nowi bogowie powstaną przeciwko twojej woli!

Gabriel jakby się zachwiał. Trudno było mu obezwładniać dalej człowieka, w którym przez lata chciał widzieć ojca. Raz jeszcze zerknął błagalnie na Bastiana.

Księżę Słońca – a właściwie święty król – odpowiedział mu nieustępliwym spojrzeniem. Wciąż poruszał dłońmi, przyzywając coraz więcej złotego światła.

– Podpowiesz nam inne rozwiązanie, starcze – powiedział. – Nie każ mi go z ciebie wyciągać.

Gabriel odwrócił wzrok, lecz jego trzymająca sztylet dłoń pozostała nieruchoma.

– Ja je znam. – Lore, lekko drżąc, wystąpiła o krok naprzód. Jej warkocz się rozplótł i rozpuszczone włosy okalały jej twarz cieniem. Kosmyki były miejscami ciemne od krwi. – Umiem już chronić swój umysł przed Mortmemem, nauczył mnie tego Gabriel. Teraz przecież musi to wciąż wyglądać podobnie. Mogę powstrzymać się przed odczuwaniem mocy, przed stawaniem się potężniejszą. Mogę... – zawiesiła głos, niepewna, jak dokończyć zdanie. Może jednak nie musiała wcale tego robić? Zdążyła już przecież powiedzieć, co ma na myśli.

Znów dał się słyszeć śmiech Antona.

- Zawsze byłaś gotowa zrobić cokolwiek, byle ocalić skórę – rzucił kapłan.
- Wcale mnie nie znasz – odparła Lore.

Anton przymrużył oko. Pojawił się w nim błysk identyczny z tym na ostrzu sztyletu Gabriela.

- Jesteś tego taka pewna?

– Mówcie, co musielibyście zrobić. – W głosie i postawie Bastiana coś się zmieniło. Po zblazowanym księciu nie było śladu. Mieli przed sobą króla. Bastian raz już pokazał Lore to oblicze, tamtej nocy w zaułku, gdy opowiedziała mu swoją historię. Miał w sobie to coś od zawsze. Krył się w nim król. Bezlitosny władca.

Lore zerknęła na Gabriela. Ten starał się nie okazywać emocji, ale nie dawał rady. Jego brwi i usta zdradzały, że cierpi. Kiedy spojrzenia jego i Lore się spotkały, w oku Gabriela pojawił się błysk nadziei. Nadziei na to, że ocali tak bliskiego mu podłego człowieka. Człowieka, który wyłącznie się nim wysługiwał.

– Mogę ją tego nauczyć – zapewnił mnich. – Pokażę jej, jak chronić umysł w sposób nawet pełniejszy niż do tej pory. Nigdy więcej nie wydarzą się takie tragedie, jak w tych wioskach.

Dopiero teraz do Lore dotarło, że Gabriel raz już to zrobił. Tej nocy, gdy go obudziła. Usiadł wtedy przy niej i rozrzedził mrok, uwalniając ją od nawracającego, dziwnego snu. Tamtej nocy nikt nie stracił życia.

Anton pokręcił głową, nie bacząc na ostrze przytknięte do jego szyi. Gabriel nie zdążył w porę cofnąć sztyletu – i na skórze kapłana pojawiła się karmazynowa szrama.

– Efekt nie będzie trwały – wychrypiał. – Tu zresztą wszystko zostało już rozpisane. Pozwolić dziewczynie żyć, to znaczy zgodzić się na zagładę świata. A przede wszystkim waszą własną.

- Oszczędź nam tych kościelnych bzdur – wycedził Bastian.

Kapłan znów się roześmiał.

- Ech, bratanku. Tego akurat oszczędzić sobie nie możesz. Przekonasz się.

– Lore. – Głos kapłanki nocy, choć cichy, niósł się w przestrzeni. Jej twarz na pozór nie zdradzała emocji, a jednak w oczach i kącikach ust dało się wypatrzeć cień rezygnacji. – Sprawy zaszły dalej, niż się spodziewaliśmy – powiedziała łagodnie. – Teraz widzę, że nie mogę nalegać, abyś wybrała śmierć.

- No myśle! Chyba po moim trupie – warknął Bastian, wysuwając się przed Lore.

– Byłam dawniej zbyt słaba – kontynuowała kapłanka, ignorując księcia. – I przepraszam cię za to.

– Przepraszasz, że dałaś mi żyć? – Ton Lore zabrzmiał szorstko. – Że mnie ocaliłaś? Kobieta spuściła głowę. Niemal cała jej twarz skryła się za jasnymi włosami.

– Ty za to możesz teraz okazać siłę – dodała po chwili, jakby w ogóle nie usłyszała pytań Lore. – Możesz dokonać właściwego wyboru.

– Kazesz jej dać się zabić i wydaje ci się, że prawda jest po twojej stronie? – Gabriel niemal splunął słowami.

Kobieta nie odpowiedziała. Patrzyła tylko na Lore. Na swoją córkę.

– Wszystko sprowadza się do wyboru, którego dokonasz – powiedziała cicho. – Jesteś ziarnem apokalipsy.

Było tak. Lore nie wiedziała, skąd w niej ta pewność. Nie rozumiała wszystkich zawłości. Czowała po prostu, że jej matka mówi prawdę.

Prawdą było jednak też to, co sama powiedziała chwilę wcześniej: była samolubna. Jeśli miała wybierać między światem a sobą, zamierzała wybrać siebie.

Kapłanka nocy westchnęła. Skinęła głową na znak, że choć Lore się nie odezwała, ona zna już jej odpowiedź. Następnie odwróciła się szybko. Migoczące światło płomieni sprawiło, że jej ruch wydawał się chwiejny. Wspięła się na cembrowinę studni i ruszyła po schodach w mrok.

Bastian postąpił o krok naprzód, tak jakby wiedziony chęcią zemsty, chciał ruszyć za nią. Lore oparła dłoń na jego piersi.

– Nie – szepnęła. Nic więcej nie miała do dodania.

Bastian usłuchał.

– Oto wybraliście we troje, jaką drogą podążycie – odezwał się cicho Anton. – Biada nam, jeśli inni podążą za wami.

Bastian spojrział na Gabriela i skinął ręką.

– Starzec zostanie przy życiu – powiedział.

Po mnichu widać było wyraźną ulgę. Zwiesił luźno ramiona i odsunął w końcu ostrze od szyi Antona. Potem cofnął się o krok i pozwolił mu wstać.

Bastian z niezwykłą gracją poruszył dłonią. Jego palce otaczał złoty wir utkany z nici zdających się pochodzić wprost ze słońca. Złota smuga powędrowała wprost ku Antonowi, a następnie rozszczepiła się na kilka odnóg, które wbiły się w ziemię wokół niego i... eksplodowały. Z każdej z nich wystrzeliła zielona ciernista winorośl. Pnącza pięły się ku górze, zakwitając kwiatami róży o takim samym odcieniu jak te,

które płonęły wokół studni. W mgnieniu oka opłotły nogi Antona i jego tułów, a następnie wdarły się do jego ust. Najwyższy kapłan nie zdążył nawet krzyknąć. Jego zdrowe oko wywróciło się bielmem naprzód, tymczasem drugie wypełniły zieleń i czerwień. Po chwili różane płatki wybiły na okaleczone czoło kapłana.

Wszystko to trwało ledwie ułamek chwili. Anton Arceneaux został uwięziony pośród róż i krwi, by stać się kolejnym posągiem w ogrodzie. Bastian przemienił go z taką łatwością, jakby była to jego druga przyrodzona natura.

Gabriel cofnął się o krok, wydając z siebie dźwięk zdziwienia.

– Miałeś go nie zabijać – odezwał się, podnosząc głos. – Sam obiecałeś!

– Powiedziałem, że pozostanie przy życiu – odparł Bastian. Podszedł do tego, co zostało z jego stryja, i wyszarpnął zakrwawioną koronę z jego ręki. – I nie skłamałem.

Pierś Antona minimalnie drgnęła. Dał się słyszeć świst jego ledwie wyczuwalnego oddechu. Bastian mówił więc prawdę. Anton rzeczywiście żył wciąż gdzieś wewnątrz różanego kłębowiska.

Na bogów, to było gorsze niż śmierć.

Gabriel oderwał oczy od kapłana i spojrzał na swojego króla. Szok na jego twarzy ustępował miejsca płomiennej, jadowitej nienawiści.

– Nie jesteś w niczym lepszy – powiedział jakby na potwierdzenie wcześniejszych obaw. Pochłaniające kwiaty płomienie zdawały się lgnąć ku niemu w gniewie. – Tak ma odtąd być? Będziesz tyranem o magicznej mocy? Gorszym niż August w naszych najczarniejszych snach?

Bastian nie odpowiedział, tylko wsunął na głowę koronę. Złoty kruszec zetknął się z krwią na jego skroni.

– Niech żyje święty król.

Epilog

Siedzisko było mało komfortowe. Zresztą nie tylko ono. Dla Lore niekomfortowa była sama obecność na podeście w sali tronowej, u boku Bastiana.

Posadzono ją na srebrnym meblu wydobytym z jednego z niezliczonych składów w Cytadeli. Bastian przekopał je wszystkie, gorączkowo poszukując rzeczy, które nadadzą się na sprzedaż, do oddania lub do przetopienia. Chciał natychmiast pomóc w jakikolwiek sposób ludności żyjącej poza murami. Od czegoś trzeba było zacząć, a tymczasem w pałacu piętrzyły się prawdziwe stosy gromadzonego od pokoleń majątku. Te poszły na pierwszy ogień.

To krzesło ocalono. Specjalnie dla niej. Żeby mogła zasiąść obok Bastiana jak równa z równym.

Niemal jak królowa.

Niektórzy zresztą tak już o niej mówili. Zdążyła usłyszeć część wypowiedzianych szeptem określeń: „królowa trucizny”, „cykutowa królowa”, „królowa guślarka”. Dwór, jak widać, uwielbiał nadawać przydomki.

Lore bardzo nie chciała tu być. Wolałaby pozostać niewidoczna i nie wystawiać się na ciosy. Tyle że historia o niej i o tym, co próbowali zrobić Anton i August, nie tylko zdążyła już obiec Cytadelę, ale i stała się znana poza jej murami. Lore mogła zapomnieć o anonimowości. Pozostawało jej ufać, że Bastian zdoła zapewnić jej bezpieczeństwo. Zwłaszcza że wieść o jej mocy dotarła też poza granice Auverraine. Do Kirytei.

Był dopiero późny ranek, a już należało zająć się wieloma sprawami. Petycje czekały na wysłuchanie, skazańcy – na ułaskawienie. A mowa była tylko o gronie osób, które stawily się na balu z okazji zaćmienia.

Lore najbardziej uwierał przypadek Dani. Ją i całą jej rodzinę skazano na zesłanie na Wyspy Popielne, wyjątek zrobiono jedynie dla jej starszej siostry, Amelii. Ta tydzień wcześniej została pospiesznie wydana za lorda Demonde, któremu nie przeszkadzał skandal łączony z panieńskim nazwiskiem jego nowej żony. Dani patrzyła na Lore z nienawiścią nawet w chwili, gdy zakuwano ją w kajdany.

Bastian trzymał ją u swego boku, bo tak było bezpieczniej, choć Lore wolałaby, by pozwolił jej na przykład ukryć się za swoim tronem.

Teraz miała przed sobą zgięte w ukłonie Val i Mari. Ta pierwsza trzymała w ręku odnowiony kontrakt. Wszelkie ułaskawienia musiały zostać rozpatrzone ponownie, a sprawa trucizniarek była dla Bastiana jednym z priorytetów. Nowy król nie tylko potwierdził wcześniejsze porozumienie, ale wciągnął też na oficjalną listę płac dworu całą załogę Val i Mari. W kolejny kroku – jak zdradził Lore – zamierzał zalegalizować stosowanie trucizny przez osoby śmiertelnie chore. Zyskałyby one dzięki temu możliwość dbania dłużej o dobrostan rodziny lub po prostu uśmierzenia bólu. Osoby skazane za roznoszenie trucizny, a nieoskarżone o nic innego – Bastian ułaskawiał tak szybko, jak tylko nadażał ze składaniem podpisów.

Robił dla Dellaire same dobre rzeczy, a jednak Mari zerknęła na Lore z pewnym niepokojem. Na jej twarzy dało się zauważyć cień zmartwienia.

Opuszczając salę tronową po pomyślnym załatwieniu swojej sprawy, ona i Val nie odezwały się do siebie ani słowem, ale obie raz jeszcze obejrzały się na Lore.

Ta miała rozpaczliwą chęć zbiec z podestu i pójść za nimi.

– Została nam ostatnia sprawa. – Bastian poruszył się na tronie i poprawił na głowie koronę wyobrażającą słoneczne promienie. Wyglądała na nim naprawdę dobrze, lepiej niż kiedykolwiek na Augustcie. – Potem będziemy mogli coś zjeść i przez kilka dni nie oglądać tej cholernej sali.

– Kto nam został? – spytała Lore.

Nie przeczytała całej listy ułaskawień czekających tego dnia na rozpatrzenie. Nie miała na to sił. Po ostatnich wydarzeniach bała się zasnąć i ograniczyła sen do absolutnego minimum.

Bastian posłał jej spojrzenie, którego nie potrafiła rozszyfrować.

– Został nam...

Nim zdążył dokończyć, otworzyły się drzwi.

Stanął w nich Gabriel.

Były ksiązę Remaut nie był skuty kajdanami. Dwa tygodnie, które upłynęły od śmierci Augusta, spędził w kościele, w klasztornej celi. Był to tak naprawdę ukłon wobec niego – mógł przecież trafić do lochów. To Lore poprosiła o takie rozwiązanie, nie musiała jednak nalegać. Bastian zgodził się, gdy tylko o nim wspomniała. I on nie chciał wtrącać Gabriela do aresztu.

Remaut wyglądał bardzo mizernie. Był wychudły i wciąż posiniaczony. Utraconą przepaskę zastąpił inną, ale ta nie leżała równie dobrze jak poprzednia i niepotrzebnie podkreślała wklęsłość pustego oczodołu.

Serce Lore zadrżało.

Nie wiedziała, o co formalnie oskarżony był Gabriel, ale zdawało się, że opcje są tylko dwie: zdrada stanu lub współuczestnictwo w zabójstwie. Za jedno i drugie można było trafić na Wyspy Popielne lub na szubienicę.

Nie, do stu piekieł... Bastian przecież nie zrobiłby mu tego. W razie czego jednak Lore musiała stanąć w obronie mnicha.

Sęk w tym, że bardzo nie chciała musieć.

Gabriel przystanął w pół drogi do tronu, zaczerpnął powietrza i uniósł wzrok. Jeśli zaskoczył go widok Lore, to nie dał tego po sobie poznać. Zerknął tylko na nią ukradkowo, nie okazując żadnych emocji.

– Gabrielu Remaut – zaczął Bastian oficjalnie, jak w przypadku wszystkich poprzednich podsądnych. – Czy wiesz, dlaczego zostałeś tu wezwany?

– Darujmy sobie te wstępy – odparł Gabriel ochryłym głosem. – Przejdźmy, kurwa, od razu do rzeczy... wasza królewska mość.

Ton mnicha aż ociekał pogardą. Lore nerwowo przygryzła wargę, Bastian jednak tylko spokojnie skinął głową.

– Dobrze – powiedział, po czym rozsiadł się wygodniej na tronie. Nawet królewski mebel leżał mu lepiej niż ojcu. – Gabrielu Remaut, czy ślubujesz lojalność wobec Korony Świętego Króla i Kościoła Auverrainne jako strażników wiary i pobożności w oczekiwaniu na nastanie Apolliusza? – Bastian powiedział to wszystko tak szybko i tak zwyczajnym tonem, że zarówno Lore, jak i Gabriel potrzebowali chwili, by w ogóle zrozumieć jego słowa.

– Nie jestem... – zaczął mnich, wyraźnie zaskoczony.

– Po prostu powiedz „tak”, Remaut – przerwał mu Bastian, bębniąc palcami o kolano. – Wiesz przecież, o co chodzi. Słyszałeś już wcześniej rotę.

Teraz dopiero Lore zorientowała się, w czym rzecz i jak ważne słowa właśnie padły.

I aż rozdziawiła usta ze zdumienia.

Gabriel wyprostował się.

– Ślubuję – odparł.

– Ogłaszam cię zatem najwyższym kapłanem.

Zapadła cisza. Ani Gabriel, ani Lore nie wiedzieli, jak zareagować. Oto Remaut w jednej chwili z więźnia stał się drugą osobą w państwie.

Bastian tymczasem wyglądał niemal na znudzonego.

– No dobra – rzucił z niedbałym gestem dłoni. – A teraz zejdź mi z oczu. Ja i moja czarownica mamy wiele spraw do omówienia.

Podziękowania

Ani ta, ani moje poprzednie książki nie powstałyby bez wsparcia mojej niezastąpionej agentki, Whitney Ross. Oby czekało nas w przyszłości jeszcze więcej historii – najlepiej coraz bardziej szalonych.

Jestem też niezmiennie wdzięczna mojej wydawczyni, Brit Hvide. Jest moją przewodniczką, a jej rady są bezcenne. Dzięki niej jaśniej wyrażam, co mam na myśli (to naprawdę potrzebne, dziękuję!). Brit, uwielbiam z Tobą współpracować przy tworzeniu książek i liczę na to, że będzie ich jeszcze wiele.

Dziękuję całemu zespołowi Orbit. Są niesamowici i mam wielkie szczęście, że mogę z nimi pracować.

Dziękuję mojemu Podowi – bez niego nie byłabym tu, gdzie jestem.

Dziękuję raz jeszcze wspaniałym przyjaciółkom, którym dziękowałam już poprzednio i którym z pewnością dziękować będę jeszcze nie raz – Sarze, Liz, Nicole, Ahsley, Chelsea, Jencie, Steph i Leah. Kocham was bezgranicznie!

I wreszcie – dziękuję Calebowi. Jesteś fantastyczny i cieszę się, że Cię mam.

I chcę mieć dalej.

¹ Cytat za pierwszym przekładem Kompendium. Ze współczesnych Kompendiów usunięto rozprawy od 690 do 821. Znaleźć je można wyłącznie w egzemplarzach sporządzonych bezpośrednio po podyktowaniu całości przez Apolliusza (rok 1 P.B.U.).

² Werset wykreślony z Kompendium w roku 200 P.B.U. – po tym, jak Margot D’Laney, druga kapłanka nocy i zwierzchniczka Straży Grobowej, podjęła próbę otwarcia grobowca Nyxary.

Redaktorka inicjująca: Ewa Orzeszek-Szmytko
Redaktorka prowadząca: Anna Kapuścińska

Przekład: Stanisław Bończyk
Redakcja: Gabriela Niemiec
Korekta: Ewa Skibińska, Marta Akuszevska

Opracowanie okładki polskiego wydania: Paulina Piorun

Grupa Wydawnicza Foksal sp. z o.o.
02-672 Warszawa, ul. Domaniewska 48
tel. 22 828 98 08
faks 22 395 75 78
biuro@gwfoksal.pl
www.gwfoksal.pl

ISBN: 978-83-8319-352-6

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
i Michał Latusek

M1700